

Б 340249

Укр

Ф 83

ІВАН ФРАНКО

АКАДЕМІЯ НАУК  
УКРАЇНСЬКОЇ РСР

ІНСТИТУТ  
ЛІТЕРАТУРИ  
ім. Т. Г. ШЕВЧЕНКА

# ІВАН ФРАНКО

ЗІБРАННЯ ТВОРІВ  
У П'ЯТДЕСЯТИ ТОМАХ

ХУДОЖНІ ТВОРИ  
ТОМИ 1—25

# ІВАН ФРАНКО

ТОМ 17

ПОВІСТІ ТА ОПОВІДАННЯ  
(1887—1888)

ВИДАВНИЦТВО  
«НАУКОВА ДУМКА»  
КИЇВ — 1979

**Редакційна колегія:**

*І. І. Басс*  
*М. Д. Бернштейн*  
*Г. Д. Вервес*  
*А. Т. Гордієнко*  
*О. І. Дей*  
*Б. А. Деркач (заступник голови)*  
*В. Ю. Євдокименко*  
*О. Є. Засєнко*  
*Д. В. Затонський*  
*С. Д. Зубков*  
*Є. П. Кирилюк (голова)*  
*П. Й. Колєсник*  
*Н. Є. Крутікова*  
*В. Л. Микитась*  
*Ф. П. Поєребенник (відповідальний секретар)*  
*Є. С. Шабліовський*

**Редактор тому**

*Г. Д. Вервес*

**Упорядкування та коментарі**

*В. С. Дроб'язка*  
*В. Н. Климчука*

**Редакція художньої літератури**

70303-284  
Ф м221(04)-79 передплатне 4702590100

© Видавництво «Наукова думка», 1979



Іван Франко. Фото 1866 р.

ПОВІСТІ  
ТА  
ОПОВІДАННЯ



## LELUM I POLELUM

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

### I

— Władku! Naczku! gdzie was diabli noszą?

— Lezie jeden z drugim, jak Lelum i Polelum!

— Świniaki! Mówią, że o pierwszej będą na miejscu, a tu już prędko drugiego bić będą!<sup>1</sup>

— Dać im w kark po raz, niech się uczą słowa dotrzymać!

— Sponiewierzyć im front!<sup>2</sup>

— Zakobzać ich popod szczeble!<sup>3</sup>

— Zajechać im między lipki, żeby im aż Wojtek zakapował!<sup>4</sup>

Takie wykrzykniki i delikatne propozycje słyhać było z wielkiej, hałaśliwej gromady dzieci ulicznych na jednej z odludnych ulic Lwowa pewnego pięknego jesiennego dnia 1859 roku. Dzieci umówiły się zrobić tego dnia po obiedzie wspólną wycieczkę na Pełczyńskie „góry” — na tarki, pieczarki, głogi, przy okazji też na kartofle, marchwie i brukwie, które można było „namuchrać”<sup>5</sup> z przyległych zasadzonych pól. W lasku wóleckim miano rozpalić ogień, piec kartofle i grzyby, — w ogóle całe popołudnie, spędzone na swobodzie, pośród bogatej przyrody, miało wedle słów aranżera Stefka, niedawno napędzonego z warsztatu terminatora stolarskiego, być „przyjemnym, jak sto diabłów”.

Dzieci zgromadziły się już od godziny, ale nie wyruszały pomimo nalegań niektórych zbyt niecierpliwych. Stefko,

---

<sup>1</sup> Druga bić będzie.

<sup>2</sup> Dać im w twarz.

<sup>3</sup> Poszturczać ich popod zioobra.

<sup>4</sup> Uderzyć ich między oczy, żeby im aż księżyc zaświecił.

<sup>5</sup> Nakrasć.



chłopak już prawie pod wąsem, dzierżący przywództwo nad tą całą gromadką po prostu na mocy swej przeważnej siły fizycznej, wstrzymywał hałaśliwą zgraję, dopóki nie zbiera się wszyscy uczestnicy zamierzonej wycieczki. Osobliwie potrzebni mu byli Władek i Naczek, dwaj bracia bliźniaki, wyrostki liczące po dziewięć lat, znane ze swej zręczności i szybkości: nikt z całej kompanii lepiej od nich nie umiał uporać się w ogrodzie lub wpośród drzew owocowych, nie potrafił zręczniej umykać przed pogonią, korzystać z najmniej znaczących kryjówek i z bogatszymi wracać łupami. Nie dziw więc, że w oczach Stefka, biorącego sprawę wycieczki czysto ze strony praktycznej, Władek i Naczek byli uczestnikami niezbędnymi i że wolał całą godzinę wstrzymywać niecierpliwą rzeszę na miejscu, niż bez nich w pole wyruszać.

Wreszcie oczekiwani pokazali się na skrócie ulicy i zostali przywitani gradem gróźb, wyrzekañ i żartów.

— Gdzieżeście u diabła tak długo siedzieli? — pytał ich Stefko, gdy stanęli śród kompanii.

— Musieliśmy czekać na obiad. Wojciechowa rano gdzieś tam na chrzcinach była, dopiero o jedenastej wróciła, i to już podochocona. To nasamprzód póki nas obu wybiła, potem póki się z mężem wyklóciła, dalej nim ogień rozpałiła i kartofle do barszczu zgotowała, to i pierwsza minęła.

— A za cóż was biła?

— Abo ja wiem — odparł Władek. — Dalibóg nie wiem, czy za kocię, czy za mleko.

Cała kompania zaśmiała się głośno.

— Jak to, czy kocię może mleko zjadło?

— E, gdzie tam! — spokojnie odrzekł Władek. — Zachorowało kocię na brzuch, pewnie od tych zgnitych ogórków, cośmy je wczoraj nimi napchali. Radzimy się dziś rano oba: czym by kocięciu pomóc, bo szkoda, jak by miało zdechnąć. Mówi Naczek: wiesz co, skąpmy je w mleku! Dobrze, — mleko pomaga, osobliwie gdy ciepłe. A nasza stara, wicie, ma grajzlernię, to i mleka co dzień rano gruby garnek kupuje, uprzy i sprzedaje na półkwatki. I dziś tak samo. Uprzyła ona to mleko, odstawiła na bok, a sama zebrała się i poszła na chrzciny, a swego głuchego Wojciecha zostawiła w grajzlerni, niech sprzedaje. Nam tylko tego trzeba było. Zaraz my chore kocię z pieca, pomacali mu puls — oho, kiepsko. Koniecznie trzeba leczyć. Ano, wziął Naczek za ogon, ja za głowę — kocięcisko ci

tylko łapki rozkraczyło i cicho. Pytam się ja Naczka: a co, Naczku, czy pomału zanurzać, czy od razu? A Naczek mówi: Kto wie, może to uroki, to trzeba od razu, by się przelęknęło, to i uroki się przelękną i ustąpią. Myśle sobie: ma rację. Jak hukniemy ci leciuteńko kocię do mleka, jak kocię od razu nie miauknie niby wściekłe, jak nie chwyci mię pazurami za rękę, ja jak się nie złęknę i nie trzepnę ręką, a moje kocię całe zatoneło w mleku, tylko Naczek za ogon trzyma. Pottrzymał chwileczkę, wyciąga — a kocięcisko ci całkiem gołe jak bęben, a spuchnięte jak beczka, tylko para z niego idzie. Rozumie się, że nie żywe, bo mleko, psia kość, było jeszcze prawie kipiące, tak że od razu wszystka sierść z niego oblaża i w garku pozostała.

— Na masz! — mówię do Naczka — otośmy kocięciu dali radę.

— E — mówi mi Naczek — bajka kocię, ale co będzie z mlekiem.

— Z mlekiem? — powiadam ja. — Idź, głupi, co ma być z mlekiem! Mleko stara precedzi i sprzeda po półkwatrze, ale kocięcia szkoda! — Zaczęliśmy się kłócić, czego większa szkoda, czy mleka, czy kocięcia, i poszliśmy na sąd do głuchego Wojciecha. Ale nimeśmy mu wytłumaczyli, o co rzecz idzie, aż już i Wojciechowa przyszała i zobaczyła, cośmy narobili.

To opowiadanie Władka, wygłoszone całkiem niewinnie, a nawet nieco patetycznie, od początku do końca wywoływało nieustanne wybuchy śmiechu w całej kompanii. Stefko aż się za boki brał. Nawet Naczek, stojąc z boku, uśmiechał się dobrodusznie, nie tyle z samego opowiadania, ile z radości z powodu tryumfu brata, który między wszystkimi ulicznikami znany był ze swego humorystycznego talentu.

— No i cóż — zapytał Stefko, uśmiewszy się do syta — rozsądziła Wojciechowa wasz spór?

— Niel — odrzekł Władek prawie z płaczem. — Wybiła nas, co prawda, dobrze, ale na moje pytanie, za co nas właściwie karze, czy za kocię, czy za mleko, dała mi w pysk i koniec na tym. Ale ja ciągle myślę, że jej kocięcia większa szkoda, bo mleko stara czarownica rzeczywiście zaraz precedziła — pewnie, że dziś jeszcze sprzedawać będzie.

— To stara czarownica! — rozległy się dokoła krzyki działywy. — Taż to choroba, nie mleko!

— Owwał nie bójcie się — odrzekł mitygując Władek. — Wie ona, co zrobić. Mleko jeszcze raz przegotuje, zmiesza z czystym pół na pół, i nikt ani pozna, że się w nim chore kocię ugotowało.

Całą kompanię niezmiernie ubawiło to opowiadanie. Śród głośnych śmiechów i żartów ruszyli wszyscy pod dowództwem Stefka ku cytadeli, powtarzając między sobą na różne sposoby i z różnymi dodatkami Władkową powieść o kocięciu i jego oryginalnym leczeniu. Tylko autorowie tego wesołego opowiadania, Władek i Naczek, nie brali udziału w powszechnej wesołości. Szli oni na czele kompanii, po obu stronach Stefka, pilnie słuchając planu kompanii, jaki tenże na dziś ułożył i w którym im ważne role przypadały w udziale.

— Wiesz co, Władku — mówił Stefko nachylając się na prawo — ty pójdziesz otam na kartofle. A ty, Naczku — tu Stefko nachylił się na lewo — pójdziesz na brukiew.

— Nie — odrzekli chłopcy obaj w jeden głos — my pójdziemy obydwaj razem.

— Ale w takim razie zostaniemy bez brukwi! — zawołał Stefko.

— Bierz diabli brukiew. Kartofle starsze od brukwi. A kiedy ci się tak chce brukwi, to idź sam albo poszlij kogo innego.

— Kogo tu posłać, kiedy to wszystko taki drobiazg, takie niezdary! Najlepiej by było, gdyby jeden z was...

— Nie, o tym nie ma co mówić! — rzekł stanowczo Władek. — My tylko razem chodzimy.

Stefko wiedział już o tym nie od dziś, ale mimo to próbował jeszcze raz nakłonić malców, by się rozłączyli. Wszelkie namowy były jednak bezowocne. Chłopcy, zdawało się, ani przedstawić sobie nie mogli, żeby gdzieś się ruszyć jeden bez drugiego. Za to obaj razem szli jak w dym nawet na najniebezpieczniejsze wycieczki i zwykle wychodzili cało.

— Prawdziwi z was Lelum i Polelum — rzekł Stefko, klepiąc ich obiema rękoma po plecach. — Ani sposób was rozłączyć!

— A chyba ty nie wiesz — rzekł ozywiając się nagle Naczek, który dotychczas więcej milczał — że nasza matka jak umierała, to nam wyraźnie tak nakazała?

— Jak wam nakazała? — pytał zaciekawiony Stefko.

— Pamiętam dobrze, co nam mówiła przed śmiercią. A tak

nam nakazała, żebyśmy się, broń Boże, jeden drugiego nie popuszczali. „Pamiętajcie mi — mówiła — wszędzie i zawsze trzymajcie się razem! Bóg was razem na świat powołał, Bóg wam też szczęście będzie, dopóki się razem trzymać będziecie”. No, a skoro tak, to sam widzisz, że nam oddzielnie iść nie wypada.

— Przeze mnie, idźcie obaj razem — rzekł Stefko, nie znajdując na taki dowód żadnej odpowiedzi.— A z brukwią już my sobie jakoś poradzimy.

Z szumem i hałasem przebiegła gromadka obdartej, bosej i zamorusanej dziatwy przez groblę Pełczyńskiego stawu i rozsypała się po krzakach okrywających przeciwległe wzgórza. Ożyły wzgórza od częstych krzyków, nawoływań i przekleństw, które bardzo nienaturalnie brzmiały z dziecięcych nieraz ust. Ale cóż, ulica jest także swego rodzaju szkołą, gdzie ton i słownik jest dla wszystkich jednakowy i obowiązkowy.

— Władku! Naczku! — wołał Stefko, wdrapawszy się już na szczyt pagórka, z którego mógł swobodnie oglądać sąsiednie pola. Władek i Naczek byli już przy nim. — A więc wiecie już, dokąd macie iść?

— Wiemy, wiemy!

— A uważajcie dobrze! Tam i kukurydza jest!

— I kukurydzy nałamiemy.

— Tylko trzeba dobrze szpanować, bo w kukurydzy może żłob kymać<sup>1</sup>. Żeby was nie zaścignął.

— Nie bój się, nic nam się nie stanie! — zawołali bracia, i pobrawszy się za ręce puścili się cwałem bieć z góry na pole.

— A wiecie, dokąd potem iść? — wołał za nimi Stefko.

— Wiemy, wiemy! Do wóleckiego lasku! — wołali w odpowiedzi chłopcy, i wkrótce schowali się w grządkach zasadzonych wysoką kukurydzą. Jak w wodę wpadli w gąszcz sytej, szeleszczącej zieleni. Stefko długo spoglądał z góry, czy nie dojrzy jakiego ich śladu, ale nadaremnie. A przecież pole zasadzone kukurydzą wcale nie było tak obszerne, bo wynosiło zaledwie dziesięć grządek. Za kukurydzą szła dopiero szersza łąka kartofli.

— Gdzie się te odmienne podziać mogły? — mruczał sam do siebie Stefko, usiłując nadaremnie swymi oczyma z odległości przeniknąć w gąszcz kukurydzy.

<sup>1</sup> Trzeba dobrze pilnować, bo w kukurydzy może chłop leżeć.

— I co tam tak długo robią? Czemu kartofli nie kopią?

Ale w tej chwili przerwał pasmo swych pytań i aż w dłonie klasnął ze zdziwienia. Na przeciwległym końcu kartoflanej połaci z pośród wysokich rządków i na poły zeschniętych badyli mignęła mu czarna, krótko ostrzyżona głowa jednego z braci.

— Widzisz ich, buchackie dusze! — zawołał Stefko pełen zdziwienia. — Jam myślał, że oni jeszcze w kukurydzy, a oni już całe kartoflisko splądrowali! No, nie chciałem bym ja słuchać tego, co żłob<sup>1</sup> powie, gdy na swej niwie zobaczy ślady ich roboty!

Lecz w tej chwili pasmo rozmyślań Stefkowych jeszcze raz przerwany zostało wcale niespodziewanym sposobem. Z pośród kukurydzy wychyliła się potężna, barczysta postać właściciela i zaskoczyła braciom odwrot. Za późno krzyknął Stefko z góry, by ich ostrzec. Właściciel zobaczył już obu młodych złodziejów i również krzyknął do pracujących w oddali robotników:

— Trzymaj! Łapaj złodzieji!

— Trzymaj! Łapaj! — rozległo się naraz z różnych stron.

— A tuście mi, ptaszki! — zaryczał właściciel, postępując z rozkrzyżowanymi rękoma ku braciom, jak gospodyni, która chce naraz dwie kury spojmać.

Chłopcy wypłoszeni ze swych kryjówek zerwali się razem na równe nogi i w pierwszej chwili stali jak odrętwiali. Władek rozpędził się, by biec ku potokowi, ale zza potoka już nadchodziła pogoń. Zatrzymał się i nagle jak kula rzucił się ku bratu, który z wybladłą twarzą i zagryzionymi wargami ciągle jeszcze stał na miejscu, mierząc okiem wielkość niebezpieczeństwa. A gospodarz z wolna, z rozkrzyżowanymi rękoma, czerwony i groźny, zbliżał się ku nim.

— Razem na niego, Naczku! Wał mu głową w brzuch, żeby się na miejscu przewrócił! — krzyknął Władek, i obaj bracia, niby wypuszczeni z procy, rzucili się ku gospodarzowi. Ale przeliczyli się. Zamiast wałnąć go głowami w brzuch, natknęli się na potężne, żylaste ręce, które od razu chwyciły ich obu za kołnierze.

— Aha, mam was! — zawołał radośnie gospodarz i potraśił obu młodymi przestępcami tak gwałtownie, że tym

---

<sup>1</sup> Chłop.

aż kości w karku zatrzeszczały i w oczach po sto świec zabłyśło.

— Jeszcze nie masz, psia twoja mać bytał — pisnął Władek, któremu aż lzy stanęły w oczach. — Naczku, wal go głową w brzuch, jak ty to umiesz!

Naczkowi nie trzeba było nawet gadać. Zaledwie stanął dobrze nogami na ziemi po gwałtownym wstrząśnieniu, a już ustawivszy swą krótkoostrzyżoną głowę jak bodący baran z całej siły uderzył gospodarza czołem pod bok tak gwałtownie i niespodzianie, że tenże aż stęknął i chwycił się prawą ręką za bok, wypuszczając z niej kołnierz Naczka. Ale w tej chwili krzyknął głośno z bólu i podniósł lewą rękę ku ustom: ręka broczyła krwią z długiej i głębokiej rany, zadanej mu przez Władka nożem w dłoń.

— A diabli by was pobrali, bachory przeklęte! — zaklął nieborak w ślad za uciekającymi braćmi, splunął i ze stoicznym spokojem wydobył z zanadru chustkę i zaczął nią zawiązywać skaleczoną rękę.

A chłopcy tymczasem jak wichur wpadli w kukurydzę, tyłko badylami załomotali.

— Trzymaj! Łapaj złodziejów! — zawołali sąsiedzi, którzy właśnie nadbiegli na pomoc poszkodowanemu właścicielowi.

— E, diabła wy ich tam złapiecie — rzekł właściciel. — Nawet się nie trudzicie. Niech sobie pohulają. Już ja im dam za swoje.

I rzekłszy to, przytrzymał zębami jeden koniec chustki, by móc jedną ręką zawiązać węzeł na skaleczonej dłoni.

— Co wam takiego zrobili? — pytali sąsiedzi.

— Ta ot patrzcie, *chwyciłem ich obu za karki, myślałem sobie: cóż dzieci!* Byłbym ich trochę przetrzepał i puścił. Diabeł ich wiedział, że to już — takie małe, a takie ćwiczone w złodziejskim rzemiośle. O, pewnie z nich zaden swoją śmiercią nie zginie!

— No, no, i cóż wam zrobili? — pytali sąsiedzi, więcej ciekawi na złodziejską sztuczkę chłopaków, niż ze współczucia ku poszkodowanemu.

— Ta ot widzicie co! Jeden z tego diabelskiego nasienia jak mię wałnął głową w bok, pod same serce, to o małym nie zemdlął. Zdaje mi się, że mi tam parę żeber złamał. A drugi w tej samej chwili wydobył nóż i rozfałatał mi rękę aż do kości.

— A! — krzyknęli jednym głosem sąsiedzi.— Oto dzia-  
teczkil Żeby nie urosły większe! Żeby im się ojciec powie-  
sił! Żeby im i ślad zaginął! No, patrzcie ludzie dobrzy, co  
to dziś za pokolenie wyrasta. Jezu Nazareński, nawróć was  
gdzie na złamanie karku, ale nie między naród chrześci-  
jański!

Takie mniej lub więcej pobożne życzenia rozlegały się  
z grupki ludzi, co obstała poszkodowanego właściciela.  
Ten stał pośrodku nich, blady, ale spokojny, i wodził  
oczyrna po swej niwie, oceniając zniszczenie, wyrządzone  
mu w kartoflach przez zuchwałych uliczników.

— No, i patrzcie ludzie, co mi te szelmy szkody nara-  
biły — rzekł on, gdy ucichły bezcelowe wyrzekania kumów  
i kumoszek.— Na guldena bym się nie patrzył. No, i po-  
wiedźcie, jak tu żyć przy takiej zgraj? Ale nie, ja im  
tego nie podaruję! Ja im pokażę, którądy ścieżka w groch.  
Oni myślą, że ja będę za nimi biegał po debrach, jak  
wariat. Nie, niech sobie lecą,— ja ich znajdę w samym  
gnieździe. Na szczęście wiem, gdzie ich szukać. To tej  
grajzlerki na Garncarskiej urwipołcie — nie wiem, czy sy-  
nalki, czy wychowanki, ale dla mnie to wszystko jedno.  
Zapakuję ją ich do Karmelitów, niech się tam trochę prze-  
siedzą, i już huncwot nie moje imię, jeżeli im tam nie  
wygarbują skórę tak, że popamiętają ruski miesiąc.

Nie tak jeszcze był by śpiewał właściciel, gdyby był  
wiedział, co robią chłopcy, uszedłszy jego rąk. W rowie  
granicznym, który oddzielał jego kukurydzę od tłoki,  
między łopuchami leżała cała kupa nałamanych szyszek  
kukurydzy, parę wielkich brukwi i kupa kartofli. Do tego  
też składu skierowali swe kroki zbiegi, a obławowawszy się,  
mimo bliskości poszkodowanego, nakradzioną jarzyną, po-  
pełzli rowem w przyległy jar, a jarem w górę ku swym  
towarzyszom.

A Stefko z góry, ukryty za krzakiem tarniny, widział  
całą tę historię, widział jak bracia wpadli w ręce wła-  
ściciela, jak mu się wyrwali i znikli między kukurydzą.  
Odtąd minęła dobra chwila, a chłopców nie było. Już  
Stefko myślał, czy nie przelękli się i nie uciekli do domu,  
gdy wtem z dna jaru, który otwierał się tuż u jego nóg,  
połyszał lekkie psykanie.

— Pst, pst!

— Kto tam? — zawołał, nachylając głowę w tę stronę,  
skąd szedł głos.

— Czy to ty, Stefku? — posłyszał stłumiony głos Władka.

— Ja. A co tam?

— Chodź tu, pomóż nam zabrać. A prędejl!

Nie namyślając się długo, Stefko na łeb, na szyję rzucił się w dół po stromej ścianie jaru. Potłukł się porządnie, zdrapał sobie twarz o jakieś zielsko, podrapał ręce, którymi się starał utrzymać, ale za to w jednej chwili był na dnie jaru, i sapiąc ciężko, stał obok braci.

— Nie leć za nami? — zapytali bracia w jeden głos.

— Nie, nikt nie leci. A wy co tu macie?

— Jak to co? To, po cośmy chodzili. Na, bierz, pomóż nam nieść i chodźmy prędko do lasu!

Stefko stał osłupiały na widok łupów, przyniesionych w takiej obfitości mimo tak groźnego niebezpieczeństwa.

— Diabeł w was siedził — zawołał. — Przecież was żłob miał w rękę! I nie baliście się jeszcze to brać?

— Bać tośmy się bali, bo gdyby był chciał za nami lecieć, to był by nas mógł złapać. Ale znowu jakeśmy narwali, to grzech było zostawiać.

— No, a jakżeście się wyrwali od żłoba?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Władek. — Popamięta on nast! Widzisz, tym majchrem rozfałatałem mu rękę jak polędwicę!

— A ja jakem mu kobzną makówką pod szczeble, to pewnie mu ze dwa złamał! — chlępił się Naczek.

— A on sobie pomyślał, że za dużo dwa grzyby w barszcz i puścił nas na fraj.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Stefko. — Zuchy z was, nie ma co mówić. Ho, będzie trojenie<sup>1</sup>, aż się wszyscy diabli rozradują. Ano, hołota, do lasu! To mówiąc, Stefko gwizdnął na swą kompanię, a sam w towarzystwie braci, wszyscy trzej obładowani jarzynami, chyłkiem, kryjąc się po jarach, pospieszyli ku pobliskiemu laskowi.

Nie minęło i pół godziny, a już w odległym zakątku lasu, w jarze, u stóp rozłożystego dębu, palił się ogień z suchych gałęzi i liści, piekły się w zarzewiu kartofle i obrane z liści szyszki kukurydzy, a Stefko siedząc na grubym korzeniu, jak jaki król wydawał rozkazy i obdzierał siedzącą dokoła ogniska dziatwę równo pokrajanymi kawałkami brukwy.

<sup>1</sup> Jedzenie.



Naczka i Władka znowu nie ma w kompanii. Razem z dwoma innymi chłopakami poszli oni na grzyby — nikt tak dobrze nie zna w tym lesie polanek i krzaków, gdzie zawsze, mimo licznych amatorów grzybobrania, można się spodziewać znaleźć kilkanaście ładnych gołąbków, syrojadek i innych grzybów przydatnych do pieczenia. Zanim powrócą, kompania przegryza po kawałku brukwi — ale najlepsze, najsoczystsze kawałki leżą na stronie, na zielonym łopuchu, zachowane dla zbierających grzyby. Kartofli ani kukurydzy przed ich przyjściem nikt jeść nie śmie: upieczone już kawałki odkładają na bok, w gorący popiół.

Boże, jak cudnie dokoła Cisza, słońeczko grzeje łagodnie, chyląc się już ku zachodowi. Stare dęby stoją, wyciągając w górę swe potężne ramiona i grzeją się do słońca. Tylko zadumana brzoza nad jarem posmutniała i niby lży złote bez wiatru roni swe pozótkłe liście. Dzieciół zastukał w konarze. Kapią od czasu do czasu na pół dojrzałe żółdzie z dębów, a tylko czasem ledwie dostyszalny doleci do tego samotnego ustronia głos blaszanego dzwonka na szyi u krowy, która się pasie gdzieś tam za gościńcem, w zubrzańskim zrębie. Dzieci mimo woli zamilkły, słuchają lekkiego trzeszczenia ogniska, patrzą dokoła szeroko rozwartymi oczyma, w których spod grubej kory miejskiego zepsucia, przedwczesnego sieroctwa, nędzy i zaniedbania prześwieca szczerą radość, to chwilowe, ale czyste szczęście, jakie wlewa w duszę ludzką piękna przyroda. Oto maleńka, żółtawa myszka leśna wybiegła ze swej norki, zwabiona ciepłem i ciszą lasową, usiadła na pniu pod gęstym krzakiem leszczyny i nagle niby zakamieniała, utkwivszy oczki w niewidziany nigdy krwawy blask płonącego ogniska, podniosła nawet ku pyszczkowi swe drobne, aksamitne łapki, jak gdyby chciała się bliżej przypatrzeć dziwnemu zjawisku; wreszcie ruszając żywo białymi wąsikami skoczyła na krzak leszczyny, chwyciła wiszący na gałązce orzech i w mgnieniu oka skryła się ze zdobyczą w swej norze. Dzieci z niemym podziwem spoglądały na śliczne zwierzątko, ale nikt ani śmiał krzyknąć, tym mniej rzucać za nim patykami, by go nie spłoszyć. Po co płoszyć? Przecież ono nikomu nic złego nie robi, i dzieci również w tej chwili nie chciały nikomu nic złego robić. To nie zgraja lwowskich uliczników i obszarpańców, aspirantów do kryminału i szpitali, wyrzutek społeczeństwa, — to kupka dobrych, cichych dzieci, pragnących pieśczęt i miłości, zdolnych do wszy-

skiego co dobre i szlachetne, tuliła się w jarze u korzeni starego dębu przy ognisku. Niestety, ognisko to zgaśnie wkrótce, przecudny dzień dobiegnie do końca, chwila upojenia ciszą i pięknnością przyrody minie, a społeczeństwo jak było, tak i pozostanie obojętnym na losy swych wyrzutek, jak było tak i pozostanie dziesięćkroć skłonniejszym do zemsty i kary, niż do miłości, przebaczenia i pieczołowitości matczynej.

— Hurra! — rozległ się głośny okrzyk z drugiej strony jaru, i z zielonej gęstwiny, niby szczupaki z szuwaru, wynurzyły się zaczerwienione, obszarpane, z rozczochranymi włosami, ale wesołe postacie chłopaków. Czapki nieśli w rękę, a w każdej czapce pełno grzybów.

— Hurra! — powitała ich cała kompania.

— Oto kławe jandrusy! Szpanujcie, ile grzybów namu-chrali!

— Żeby was kaczką kopała! Gdzieżecie na takie śliczne gołąbki napadli?

— Nie, ja mówię, te bestie mają do wszystkiego szczęście, Rzuć ich ze strychu, to pewnie tak jak kot zawsze na nogi upadną!

— Wybierz im oczy, to tak jak ten bogacz będą plecyma widzieć!

Śród takich radośnych okrzyków cała kompania obsta-piła uszczęśliwionych chłopaków. Osobliwie Władek i Naczek byli w honorach, do nich skierowane były wszystkie powyższe delikatne przemowy, oni byli, żeby się tak wyrazić, bohaterami dnia. Zabrano od nich grzyby, które pod okiem Stefka zaczęto czyścić i piec, odłamawszy każdemu korzonek i posypawszy to miejsce obficie solą. Grzybów było tyle, że na każdego z towarzystwa wypadało po trzy sztuki, a prócz tego zostało się jeszcze po jednej dla Stefka, Władka i Naczka. Rozdziału grzybów, jak i wszystkich innych rzeczy, dokonywano hurtownie, śród kłótni i hałasu, ale z największą sumiennnością i z uwzględnieniem wszelkich możliwych względów sprawiedliwości. Tylko Władek i Naczek, w poczuciu swej wyższości, nie mięszali się do tych sporów, ale siedzieli u ogniska pod dębem, smacznie zjadając pozostawione im kawałki brukwi i radośnie opowiadając o swej wędrówce po lesie za grzybami; ich słu-chała pilnie, z wytrzeszczonymi oczyma i otwartymi usty kupka najmłodszych w kompanii chłopaków, pięcio- lub

sześcioletnich bębnow, którzy z zazdrością i podziwem patrzyli na każdy krok braci, chwyłali każde ich słowo, i zapewne całą noc, leżąc gdzieś po brudnych, cuchnących i wilgotnych kątach swych nędznych pomieszczeń, marzyć będą o tych cudach przyrody, o przygodach wśród leśnej zieleni, o tych przyjemnościach i rozczarowaniach grzybobrania, które w tej chwili tak wymownie malują im, dopełniając się wzajemnie, Władek i Naczek.

— Kukurydza gotowa! Hej do kukurydzy, bachory! — woła Stefko, i wszyscy rzucają się ku niemu. Za kukurydzą idą kartofle pieczone z grzybami — pańska potrawa, jak się wyraził któryś z towarzystwa. Wszystko to spożywa się wśród głośnych śmiechów, żartów i dobrodusznych docinków. Ten wspomina swój „dom”, swoich „starych” — rodziców czy opiekunów, ów klnie majstra, co go wypędził z terminu, inny wyśmiewa szkołę i szkolarzy, — jednym słowem, konwersacja toczy się ogólna, ożywiona, suto przeplatana plastycznymi dowcipami w ulicznym języku. Dzieci, które przed chwilą jeszcze były tylko dziećmi, stworzeniami w rzędzie innych stworzeń przyrody, teraz nieznacznie, ale kompletnie przemieniły się w przedstawicieli pewnej klasy społecznej, pewnego typu ludzkiego i dobitnie wyjaśniły wszystkie osobliwości tego typu.

Słońce już zaszło, gdy wesoła, gwarliwa gromadka dzieci po tej pamiętnej wycieczce wracała do Lwowa. Gromadka rozbiła się na grupki, które szły sobie swobodnie, nie słuchając już żadnej komendy, tym więcej, że Stefko obładowany dość znacznymi resztkami niespożytych kartofli (przydada się na głodne jutro), szedł z samego tyłu. Dziwna rzecz, że Władek i Naczek szli samotni i przygnębieni, jak gdyby nagle spadli z tej wysokości, na której znajdowali się przed chwilą. Nikt się jakoś nimi nie zajmował, nikt nie starał się wciągnąć ich do swej grupy, szli osobno, jeden obok drugiego i milczeli. Im więcej zbliżali się do Lwowa, tym silniej wzmagало się w nich uczucie jakiegoś niepokoju, jakiejś trwogi, coś, co niby czarna, w gromy brzemienna chmura przy swym zbliżeniu nasycza powietrze elektrycznością i wywołuje niezwykle napięcie i drganie w nerwach ludzi i zwierząt. Żaden z braci nie starał się wyjaśnić sobie przyczynę tego niezwykłego i nieprzyjemnego stanu; na dnie dusz dziecięcych kłębiło się ciemne poczucie winy, ale świadomość wzdrygała się zerwać z niej ostatnią zasłonę.

— Władku — rzekł Naczek, gdy już zbliżali się ku Garncarskiej ulicy — jak myślisz, bardzo nas będzie Wojciechowa całować, gdy nas zobaczy po tak długim niewidzeniu?

Ton i słowa miały oczywiście intencję wprowadzić Władka w lepszy humor, ale chybiły celu, już chociażby dlatego, że były wypowiedziane chłodno, oczywiście po długim i męczącym namyśle.

— Et, co tam o tym gadać! — odrzekł poważnie Władek. — Co będzie, zobaczymy.

Lecz i jego myśl wcale nie była tak stoiczną, jak jego słowa, przeciwnie, pracowała usilnie, tworząc fantastyczne plany, jak by to i gdzie by to się tak schować, żeby nikt a nikt nie mógł ani jego ani Naczka zobaczyć, żeby grożąca bieda — jaka, od kogo i za co, o tym starał się nie myśleć — minęła, a oni by jej ze swej bezpiecznej kryjówki na nosach zagrali. I poszły, i poszły sceny za scenami, jak to oni żyją sobie, przez nikogo nie widziani, a sami wszystko widząc, wszędzie mając dostęp: biorą co im się podoba, wszystko mają, za nic nie płacą, robią co chcą i śmieją się ze wszelkiej biedy.

A tymczasem nogi, mimo że co chwila stają się jakies ocieplejsze, nieświadomie i niby przeciw ich życzenia niosą ich naprzód, ciągle naprzód, coraz bliżej do celu — do pomieszczenia ich opiekunki Wojciechowej. Już wychylili się zza pagórka — u ich stóp cały Lwów rozsypał się w półksiężyc na dnie doliny, lewek na ratuszu miejskim błyszczy i gore w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, zegar bernardyński wydzwania siódmą, biją w deski murarze na fejerabend gdzieś kolo św. Mikołaja, półprzezroczysty, niebieskawy tuman ściele się nad miastem i zlewa się w oddali z ciemną zielenią gęstego lasu na Wysokim Zamku. Ale cóż to za naród stoi tłumnie na Garncarskiej, tuż przed grajzlernią Wojciechowej? Mężczyźni i baby, drwale z piłkami i toporami, murarz z kielnią, służąca z dwiema konewkami wody, Bojko ze śliwkami w koszyku, handełes z przewieszoną przez plecy parą starych spodni, — wszystko to kogoś obstało, czegoś słucha, kiwa głowami, gestykuluje. Skroś czarne chałaty, zgrzebne koszule i perkalowe fartuchy miga żółta, mosiężna blacha policjanta. Innym razem widok podobny był by dla chłopców pożądańszym od piernika; pobiegliby co tchu, by swymi figurkami zwiększyć zbiegowisko uliczne, ale obecnie raptem zdało się im, że daleko

lepiej by było, gdyby przed grajzlernią Wojciechowej nie było ani żywej duszy. Co więcej, przypatrzwszy się z góry nieco bliżej owej grupie ulicznej, obaj bracia poczuli nagle, że znajdują się zanadto blisko od niej, i jak by na komendę podali tył i zwrócili się do ucieczki. I nie bez przyczyny. W środku grupy, obok policjanta, znajdowała się potężna postać gospodarza z Wólki, któremu dziś prócz szkody na niwie zadali takie szkody na ciele.

— Łapaj ich, łapaj! — rozległy się głośne krzyki z grupy przed grajzlernią, i raptem zdało się braciom, że niebo pokryło się gęstymi chmurami, że drzewa okalające ulicę chyłą swe gałęzie aż ku ziemi i tamują im nie tylko kroki, ale i oddech i że proch uliczny przemienia się pod ich nogami w lepka smołę, która czepia się ich stop, ciągnie się, wstrzymuje ich kroki.

— Aha, tuście ptaszki! — słychać gruby głos nad ich głowami, i jakieś grube ręce jak młoty spadają na ich plecy i walą ich obu razem na ziemię.

— Mamciu! Mameczko! Ratuj nas! — jęknął Naczek i zaszedł się konwulsyjnym łkaniem, podczas gdy Władek, zagryzłszy wargi aż do krwi, bił rękami i nogami, starając się wyrwać się z rąk prześladowcy. Ale nadaremnie. Wkrótce zebrała się prawie cała grupa uliczna dokoła nich, policjant wziął ich obu za karki i popchnął przed siebie; obok niego, klnąc łobuzów, szedł poszkodowany gospodarz, a dokoła ciekawy, hałaśliwy tłum uliczny.

— Do policji z nimi, do aresztu. Jeszcze dziś chcę protokół złożyć. — Naglił gospodarz. Chłopcy szli machinalnie, prawie nie widząc ani słysząc niczego, co się dokoła nich działo. Naczek wciąż jeszcze szlochał, a Władek gryzł wargi. A dokoła nich rozlegały się złorzeczenia i przekleństwa pobożnych kumoszek, grube docinki roboczego ludu i wrzaski ulicznej dziatwy.

— Mój Boże, takie jeszcze małe, a już takie zepsute! — wzdychała jakaś staruszka, litościwie kiwając głową.

— A, żeby ich i powiesili, to by nie szkoda było, kumo moja! — wykrzykiwał jakiś donośny głos po środku ulicy. — Bo to wy nie wiecie, ile ja się z nimi co dzień nagryzę, namęcę, ile ich się natłukę i naupominam, ale gdzie tam! Widać, że się to jedno z drugim już pod taką złodziejską gwiazdą urodziło! Bogu dzięki, że ich teraz biorą, — przy najmniej się kłopotu pozbędę.

Władek, idąc przed policjantem obok swego brata, słyszał te słowa. Głos ich był mu znajomy, aż nadto dobrze znajomy — to była Wojciechowa. Wbrew swego zwyczaju tym razem chłopiec nic jej nie odpowiedział, ale porównawszy się z nią i widząc, że ona na niego patrzy, pokazał jej język.

— O, widzicie go, złodziejskie nasienie! — wrzasnęła Wojciechowa. — Prowadzą go na karę, a ono jeszcze swych diabelskich sztuk nie porzuca. Czekaj, czekaj, ty urwiszu, będziesz ty teraz wiedział, co to znaczy język komu pokazywać! Poznasz ty, do czego te twoje galgania prowadzi!

— Ale ten drugi wydaje się jakiś cichszy, spokojniejszy. — Rzekała jakaś dobroduszna kobiecina.

— Gdzie tam! — krzyknęła Wojciechowa. — Jeden jak drugi dla szubienicy rośnie! To z cicha pęk, ale ani o włos nie lepszy od tamtego. Gdzie jeden, tam i drugi. Nie, kumo, ja to ciągle powtarzam, co się pod złodziejską gwiazdą urodziło, to już chyba szubienica naprawi!

Bracia nie słyszeli już tego surowego wyroku; w towarzystwie policjanta, poszkodowanego gospodarza i kilku świadków podążyli do policji.

## II

... dawane rozkazy; nie biegano tłumnie i bez celu, ale co chwila przebiegali to członkowie rady miejskiej, to policjanci, gwardziści, członkowie Rady narodowej do sali posiedzeń wydziału miejskiego i na powrót. Naraz nastąpiła kompletna, martwa cisza, jak przed burzą. Kalinowicz opuścił pióro z ręki i podniósł głowę. Cisza ta przygnębiła go; był sam w całej buchalterii, bo żaden z jego kolegów nie jawił się dziś do roboty. Zdało mu się, że jest w kamiennym, zamurowanym grobie, i poczuł nagle, jak mróz przechodzi mu poza plecyma.

— Co to może być takiego? — pomyślał Kalinowicz i wstawszy z wolna ze swego krzesła ruszył ku drzwiom, by u przebiegających po sieni gwardzistów dowiedzieć się, co tam słychać na świecie. Nagle zabrzęczały okna, zadrzęły grube ściany budynku i potężny huk wystrzału działowego wstrząsnął powietrzem. Pociski zastukały o bruk i ściany ratusza.

— Boże, a to co? — krzyknął biedny kancelista, i nie oglądając się, bez czapki, kaloszy i paltota wyleciał z kancelarii, której już nigdy w życiu nie miał zobaczyć. W korytarzu było pusto, gwar głosów ludzkich i stuk kroków dolatywał go z dala, zdaje się, gdzieś z pierwszego piętra. Stał chwilę u drzwi i słuchał, wtem nagle podskoczył, jak ukąszony: drugi wystrzał rozległ się nad miastem. Jak spłoszony koń, zakąsiwszy wędzidła, tak Kalinowicz, wystraszony, z gwałtownie bijącym sercem poleciał wzdłuż korytarza ku bramie. Po trzasku pocisków tuż w pobliżu, po brzęku rozbijanych okien czuł, że pociski skierowane są na ratusz, i śmiertelna przejęła go trwoga. Biegł bez pamięci, na oślep, dopóki się nie natknął na zbitą masę mieszczan, żydów i gwardzistów, co zalegali bramę ratuszną.

— Nie wolno wychodzić! — wrzasnął do niego jeden z gwardzistów.

. . . . .

### III

— Władysław Kalinowicz! Ignacy Kalinowicz! Ano, zbierajcie się sakompak!<sup>1</sup> Pójdziecie do sądu!

Tak komenderował na drugi dzień po aresztowaniu naszych bohaterów klucznik aresztu policyjnego. Bracia, którzy w brudnym, pełnym rozmaitego narodu areszcie policyjnym całą noc prawie oka zmrużyć nie mogli, popychani, szturczeni i trąceni przez pijanych aresztantów, zziębli na gołym łażeniu z desek, głodni i trwożni, — poskoczyli na ten głos, jak na hasło wybawienia. Dziś rano dano im po „szalce” ciepłej wody z kilkoma ziarnkami krup, zwanej tutaj zupą dębową (jęczmienna) i po bochenku czarnego i nadzwyczaj kwaśnego chleba. Po tak okropnej nocy jedli z apetytem, a obecnie wzięli resztki chleba ze sobą i nie oglądając się wyszli z przeklętej kaźni. Na podwórzu stała już dość wielka kupa aresztantów, również przeznaczonych do sądu, pod dozorem dwóch dozorców z wysłużonych wojskowych, uzbrojonych w karabiny z „naflancowanymi bagnetami”. Obu braci, jako też poszkodowanego gospodarza przesłuchał jeszcze wczoraj komisarz policji, a dziś przysłał zawiadomienie do aresztu policyjnego, że ich papiery odstą-

<sup>1</sup> Zepsute niemieckie „Mit Sack und Pack”.

pione będą sądowi karnemu, i że ich samych należy niezwłocznie tędy odesłać.

— Ano, panowie złodzieje! Stawajcie parami! Marsz! — zakomenderował starszy „dziad”, tj. konwojujący dozorca. Aresztanci w milczeniu wykonali jego rozkaz, i pochód ruszył przez furtkę „furdygarni” na ulicę; jeden „dziad” szedł z przodu, a drugi z tyłu. Pomimo że na ulicy wskutek obfitego nocnego deszczu było błoto, nie szli trotoarem, ale, wedle przepisu, krajem ulicy, którądy wozy jeżdżą, brnąc po kostki w zimnym błocie. Że nasi bohaterowie byli bez butów, o tym, zdaje się, i wspominać nie trzeba.

Przed gmachem policji pochód zatrzymał się na chwilę. Jeden z dziadów poszedł na inspekcje, by zabrać papiery aresztantów, ci zaś dzwoniли zębami na ulicy. Rosił drobny, ale gęsty i chłodny deszczyk; ani śladu nie było wczorajszego pięknego, ciepłego dnia. Przechodnie pod parasolami szli spieszenie każdy w swą stronę, zaledwie jedno pobieżne spojrzenie rzucając na kupkę obdartych i sponiewieranych fizjognomij, które z niemą zawiścią spoglądały za każdym uchodzącym, nie to błagając go o jakąś pomoc, pociechę bodaj, nie to złorzecząc mu w miarę jak się oddalał objętnie.

— Władku, ty nie zmarł? — zapytał Naczek ze łzami w oczach brata, który tak samo jak on zesiniał i trząsł się od zimna, ale z fanfaronadą prawdziwego ulicznika próbował świsnąć.

— Nie — odrzekł Władek. — Albo co, tobie może zimno?

— Juści zimno — rzekł Naczek i zakaszlał się.

— A, to krzesz z kolana ogień i zagrzej się! — rzekł Władek, oczywiście pragnąc pobudzić do śmiechu ponurą i zziębniętą kompanię. Ale widząc, że ten wysiłek jego dowcipu był nadaremny, nachylił się ku Naczkowi i szepnął mu po cichu:

— Głupi, nie bez przy ludziach! Myślisz, że ja w futrze i w berlaczach tu stoję? A jak ci bardzo zimno, to przecierz masz chleb pod pachą — bierz i gryź, to ci ciepłej będzie.

I rzeczywiście Naczek, z rezygnacją rozpaczy usłuchał rady brata i zaczął wielkimi kawałkami gryźć chleb, który miał pod pachą.

Wreszcie po półgodzinnym czekaniu zjawił się dziad z papierami, i kompania klnąc głośno „przekłête dziadowskie porządki” ruszyła dalej ku sądowi karnemu, czyli, jak się



wyraża żargon złodziejski, „pod kruka”. Tam wpakowano ich nasamprzód „do klatki”, tj. do ciemnej i ciasnej nizy pod schodami, tuż naprzeciw wejścia ze sieni, położonej tak, że siedzący w niej znajdowali się właśnie w punkcie, gdzie się krzyżowały dwa przeciągi chłodnego powietrza. Bracia byli przemokli do nitki, i zamiast choć trochę ogrzać się pod dachem, tutaj zaczęli jeszcze silniej trząść się i dzwonić zębami. Władek dawno już przestał świstać i zgiął się we dwoje, a Naczek, obgryzłszy całą wierzchnią skórkę ze swego chleba, siedział w kąciku i płakał chuchając w palce. Z klatki wywoływano jednego po drugim, prowadzono tuż obok do protokołu podawczego, gdzie już znajdował się strażnik z papierami; tam wciągano ich imiona i nazwiska z dodaniem rysopisu osób do księgi i następnie wystawiono „auftrag” dla kerkermajstra, by dane indywiduum umieścić w areszcie śledczym. Naczka i Władka zawołano razem. Siwy, łysy protokolista z dużymi wąsami i ogromnymi okularami na nosie zmierzył ich surowym okiem i splunął.

— Takie malcy, niedawno od matczynej piersi, a już się na kradzież i na rozbój puszczają! Tfu, co za świat!

I następnie począł z wolna pisać gęsim, zgrzytającym piórem, bełkocąc sobie pod nosem to, co pisał:

— Wła-dy-sław i Ig-na-cy Ka-li-no-wicze, bra-cia-bliź-nia-ki, lat 9, Wła-dy-sław bru-net, Igna-cy blon-dyn, twarzy o-wal-nej, nos zwykły, o-czy u obu czar-ne, wzrost szczupły, szcze-gól-nychl zna-ków żad-nych.—No, ruszajcie do diabła!

Strażnik wziął obu braci równocześnie za plecy i wysunął ich za drzwi.

— Ordynans! — krzyknął, i oddając stojącemu u drzwi ordynansowi papier, rzekł — Odprowadzić tych bębnów, niech się trochę ogrzeją, bo wkrótce całkiem w nich ducha nie stanie.

Strażnik był stary, surowy służbista, ale miał także drobne dzieci i nieraz myślał, co to się z nimi stanie, gdy jego nie stanie? Widok tych biednych chłopaków z bochenkami aresztańskiego chleba pod pachami, zziębniętych, zsi- niałych, mokrych i na pół nagich wzbudził litość w jego sercu, a raczej okropną myśl: kto wie, może i dla moich robaków taka sama doła w górze pisana?

Bracia tymczasem w towarzystwie strażnika poszli długim, na pół ciemnym korytarzem, z którego wychodziło się

na jakiś wąski ganek, zacieśniony z jednej strony murem gmachu sądowego, a z drugiej — parkanem drewnianym, wysokim przeszło na dwa sążnie. Równie wąska, czysto złodziejska furtka prowadziła z tego ganku na podwórze więzienne, gładkie i puste, usypane szutrem, a gdzieś tam wybrukowane płytami kamiennymi, ze wszech stron okolone to murami domów, to wysokimi drewnianymi parkanami. Naprzeciw wchodzących znajdował się długi, dwupiętrowy budynek więzienny, o brudnożółtych ścianach, ciasnych kratowanych oknach, zakrytych w suterenie drewnianymi koszami, zupełnie zasłaniającymi widok, a wpuszczającymi tylko z góry nieco światła dziennego do wnętrza. Poprzed oknami po wąskiej brukowanej ścieżce chodził milczący sztydłach z karabinem na ramieniu, w przemokłym płaszczu, chodził tam i na powrót, niemo, miarowym krokiem, jak machina. Zresztą na podwórzu było zupełnie pusto, tylko we drzwiach tego budynku stali jeszcze dwaj żołnierze, jeden klucznik i od czasu do czasu przebiegał jeden lub drugi aresztant w siwej sukiennej kurtce, w takichże spodniach i czapce, spiesząc to do warstata, to do kancelarii. Żołnierze, stojące we drzwiach, rozmawiali z klucznikiem, który czegoś śmiał się, głośno pobrzękując kluczami od celi więziennych. Zobaczywszy braci nadchodzących ku sobie, zaśmiał się jeszcze głośniej.

— Ho, ho, cuwaksy! cuwaksy!<sup>1</sup> A, goście do nas, witajcie! Ale do stu diabłów, skądżeście to takich rekrutów wytrzasnęli?

— No, no — rzekł strażnik, prowadzący aresztantów, który idąc za nimi zdołał sylabizując odczytać z papieru ich winę — nie bardzo się z nimi przekomarzajcie! Małe to, małe, ale płaszki nie lada! Widzicie: za kradzież i skaleczenie! To nie żart!

I on pokazał wesołemu klucznikowi papier.

— Fiu, fiu! — krzyknął ten, robiąc nagle poważną minę. — Jeżeli tak, to przepraszam. Takich panów trzeba z *honorem* przyjąć! Zaczekajcie, moi państwo, zaraz wam miarę wezmę, jakiej szubienicy będzie dla was potrzebna!

To mówiąc wy dobył z kieszeni drewniany składany łokieć, rozpuścił go a zbliżył się ku Naczkowi, niby rzeczy-

---

<sup>1</sup> Niemieckie słowo „Zuwachs”, przyrost; tak nazywają każdego nowoprzybywającego aresztanta.

wiście z zamiarem zdjęcia z niego miary. Chłopiec przerażony wzdygnął się i przycisnął do brata. Chciał krzyknąć, ale głos mu zamarł w piersi.

— Chodź tu! — wrzasnął klucznik, od którego czuć było mocny zapach wódki. — Umiałeś jeden z drugim na szubienicę zarobić, to dajże sobie spokojnie miarę zdjąć.

Obecni żołnierze i strażnik, który przyprowadził aresztantów, stali milczkiem, dusząc się ze śmiechu nad oryginalnym żartem klucznika. Ale chłopcom wcale było nie do żartu. Mróz, osłabienie, ponure otoczenie, wszystko to przyniotło ich umysły; w ohydny żarcie widzieli okropną rzeczywistość i cofali się przed napierającym klucznikiem. Dopiero Władek, spojrzawszy dokoła, zobaczył roześmiane twarze i poznał, co się święci. Lecz zamiast się rozweselić, oburzył się tym żartem, który ich obu chwilowo taką przejął trwogą. Czarne oczy jego zapłonęły jak dwa węgliki, pięści ścisnęły się, a gdy klucznik, wciąż jeszcze z groźną miną, podstąpił całkiem blisko ku niemu i nachylił się, by przyłożyć łokieć, Władek ze ściśniętymi pięściami rzucił się na niego, bijąc go w twarz, w brodę i piersi co siły i krzycząc urywanym, przytłumionym głosem:

— Psie! Pijaku! Masz! Masz! Ażebyś wiedział, jak sobie masz żarty stroić!

Klucznik odskoczył, niby przez zmięję ukąszony.

— Brawo, malec, brawo! Dobrym będziesz rekrutem! — zawołali żołnierze, których jeszcze trzech wyszło z wartowni patrzeć na zabawną scenę.

Okrzyk ten dołał oliwy do ognia. Twarz klucznika nabiegła krwią, zęby zazgrzytały. Ścisnął pięść i odwinął rękę, podstępując ku Władkowi.

— A ty smrodzie! — wrzasnął — to ty tak do mnie? Nie dość, żeś na świecie nabroił, jeszcze i tu będziesz? Na, masz żebyś wiedział, jak się tutaj zachowywać!

I podniósł pięść, by z całej siły uderzyć Władka w głowę, ale podniesioną rękę zatrzymał w powietrzu kapral.

— Nie, panie — rzekł kapral surowo. — Panieś sam zawiął, nie masz prawa go bić!

— Co? — wrzasnął klucznik, próbując wyrwać rękę. — A pan jakie masz prawo mieszać się do naszego domowego porządku?<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Austriackie ustawy o postępowaniu karnym, zawierają nadzwyczaj liberalne przepisy co do położenia więźniów we więzieniu śledczym,

— Przepraszam — rzekł spokojnie kapral — tu jest nasza wartownia, i tu ja mam prawo trzymać swój porządek. A tam sobie pan rób, co się panu podoba, ja się panu mieszać nie będę.

— No, ja tam tego szczeniaka zabiję! — krzyknął kluźnik.

— Dobrze — rzekł z przekąsem kapral — ja będę za świadka.

Podczas całej tej niespodzianej kłótni bracia stali w kącie pod ścianą, stuleni do kupy, wybledli, drżący i wystraszeni. Dziecięce serca ich ścisnęły się z trwogi na wstępie w ten nowy, tak odmienny a tak okropny świat, który połknął ich, jak mniemali, bezpowrotnie, jak jakiś straszny, nienasycony potwór polyka swą ofiarę.

— Panie Trapiszewski — rozległ się nagle głos z głębi sieni. — A panu co takiego? Czego pan tak krzyczysz na cały kryminal?

Równocześnie z pomroki, panującej w dalszej części korytarza więziennego, wynurzyła się mała, okrągła jak arbuz figura pana kerkermajstra, z dużą opasłą głową na krótkiej szyji, z gładko wygoloną twarzą i z dobrodusznym uśmiechem na dużych, czerwonych i soczystych ustach. Stosownie do ówczesnych przepisów figurka ta ubrana była w mundur na pół wojskowy, ze szlifami oficerskimi i ze szpadą u boku, co nadawało jej nadzwyczaj komiczny widok. Ale właśnie ów komiczny widok, którego sam kerkermajster był świadom, ów dobroduszny uśmiech, dźwięczny i łaskawy głos, prędko, drepcący chód — wszystko to znajdowało się w rażącej dysharmonii z ogólną fizjonomią zakładu więziennego, a w oczach aresztantów czyniło kerkermajstra jakąś postacią z innego świata, świeżą i sympatyczną.

Mimo jednak pozornej dobroduszności był to człowiek nadzwyczaj surowy dla wszelkich przewinień swych podwładnych — aresztantów czy strażników — i nadzwyczaj punktualny i sumienny w pełnieniu obowiązków swej ciężkiej służby. Osobliwie strażnicy musieli mieć się przed nim na baczności. Toż nie dziw, że posłyszawszy jego głos, wojow-

---

z tym jednak dodatkiem, „o ile takowe nie sprzeciwiają się więzienemu porządkowi domowemu”. Niestety atoli, w każdym więzieniu istnieje porządek domowy, pochodzący z czasów ciemnego absolutyzmu i wręcz sprzeczny z publikowanymi ustawami, które wskutek tego figurują jedynie na papierze, ale w praktyce wcale nie znajdują zastosowania.

niczy klucznik nagle opuścił grzebień i zmalął do niepoznanego. Wyciągając się po wojskowemu, z twarzą zwróconą do kerkermajstra, zamiast bezpośredniej odpowiedzi na jego pytanie, rzekł tonem urzędowym:

— Jeszcze dwa cuwaksy, proszę pana kerkermajstra.

To mówiąc, podał kerkermajstrowi „auftrag” protokołu podawczego.

— Co, to wy, chłopcy — rzekł kerkermajster, spojrzawszy na papier i zwracając się następnie do chłopców — za kradzież i skaleczenie? Bójcie się Boga, dzieci, co wyście narobili?

Bracia, ciągle jeszcze trzęsąc się całym ciałem, w niemym zdziwieniu patrzyli na niego dużymi oczyma, nie mówiąc ani słowa.

— Mój Boże! — krzyknął kerkermajster, zbliżając się do nich i przyglądając się im bliżej. — Toż to biedactwo bose i na pół nagie, przemokłe, zmarznięte! No, i mają że ci ludzie serce taszczyć ich w taki chłód z policji i jeszcze trzymać w klatce! Prędko, panie Trapiszewski, prędko! Rusz się pan! Przynieś im pan koszule, gacie, kitle i czapki! Wszystko, co trzeba! Chodźcie do mojej kancelarii, chłopcy, ogrzejcie się trochę, zaraz was przebierzemy! Mój Boże, mój Boże, nawet nad bydłkiem grzech by było tak się pastwić, a to przecież ludzie, dzieci! Co to rozumie o kradzieży! Pewnie gdzieś w sad wleźli, parę jabłek urwali albo coś podobnego — i zaraz to po kryminałach taskać!

Tak rozmawiając sam ze sobą, uczciwy kerkermajster odemknął kancelarię i wprowadził do niej chłopców. W kancelarii było chociaż nie bardzo jasno, ale za to ciepło. Przeziębli chłopcy stanęli koło pieca, by się rozgrzać. Czkawka ścisnęła ich gardła. Na rozmaite pytania, zadawane im przez kerkermajstra, nic nie odpowiadali, spo- de fba tylko, jak schwyłane w lesie młode wilki, spoglądając na swego nowego władcę.

— Dzikie to, zastraszone, zaniedbane, przybite nędzą — i to ma sędzia sądzić! — mówił dalej sam do siebie kerkermajster, chodząc po kancelarii i od czasu do czasu poglądając na chłopców. — Nie ich bym ja sądził, ale ich rodziców, którzy ich na taką drogę puścili.

— My nie mamy rodziców! — odezwał się nagle Władek tonem na pół zuchwałym, na pół żalobnym.

— A tak, to rzecz jasna! — zawołał kerkermajster, niby uradowany, że mu się jedna zagadka rozjaśniła. — Sieroty,

bez ojca, bez matki, kto o nich ma dbać. No, ale dosyć wam już stać koło pieca, jeszcze kataru dostaniecie! Chodźcie tu, rzucajcie te swoje mokre szmaty, tu macie suche, przebierzcie się.

Dopóki chłopcy przebierali się w jednym kącie kancelarii, kerkermajster usiadł na swym urzędowym krześle i wpisawszy, co było potrzeba do swej księgi, zwrócił się do klucznika.

— A co, panie Trapiszewski, ileż to nam dzisiaj cuwaksów przybyło?

— Piętnastu, proszę pana kerkermajstra.

— O, to dużo, to dużo! A masz pan jakie miejsce, żeby gdzie tych malców umieścić?

— Albo ja wiem, proszę pana kerkermajstra? Może jednego na 45?

— Ależ tam już jest piętnastu!

— A jeden by mógł pójść na 15.

— Ależ tam także już 10, choć to karnia tylko na 8, tak że dwóch musi spać na podłodze.

— No, to dam jednego...

W tej chwili Władek, tylko w koszuli i w gaciach sztych na dorosłego i włokących się za nim po ziemi, zbliżył się i przerwał mowę klucznika.

— Proszę pana kerkermajstra — rzekł błagającym głosem — ja bym prosił, żeby nas dać obu razem.

— Obu razem? — rzekł zdziwiony tą zuchwałością klucznik. — Widzisz no go! Czego on chce! Obaj do jednej sprawy należą i obu razem ich dawaj. Żebyście się zma-wiali, jak się przy protokole wykręcać!

— Tego nie można, mój chłopcze — rzekł kerkermajster.

— Ależ my się nie będziemy wykręcać — rzekł, ozywając się Władek. — Myśmy się do wszystkiego przyznali już w policji i nie mamy się czego wykręcać, a my jeden bez drugiego być nie możemy.

— Dlaczego nie możecie? — pytał zaciekawiony kerkermajster.

— Bo nie możemy — odrzekł poważnie Władek. — Od kiedy żyjemy, nigdyśmy się jeszcze nie rozstawali. Proszę pana nas nie rozłączać! My będziemy grzeczni!

— Jak nas rozłączą, to ja umrę, głowę o mur rozbiję — rzekł ze swego kąta Naczek spokojnym, aż do komiczności stanowczym głosem.

— Nie będziesz ty tam cicho, smarkaczul — krzyknął klucznik. — Niech ich pan kerkermajster nie słucha. To totry!

— Daj pan spokój, panie Trapiszewski — odrzekł kerkermajster. — To już moja rzecz, co z nimi zrobić. Dasz ich pan obu razem, ale gdzie?

— Kiedy obu razem, to może by najlepiej było na 44?

— Gdzie? Na 44, do Semka Tumana?

— Tak jest, proszę pana kerkermajstra.

— Ależ to wariat. On może którego z nich skaleczyć lub zabić.

— Gdzie tam, proszę pana kerkermajstra! On ich tylko nauczy posłuszeństwa i pokory. Ten co wczoraj od niego dostał kibelem w łeb, nie chciał go posłuchać i nadto jeszcze kpił sobie z niego. A dla malców to będzie najlepiej, bo stary ich nie zepsuje.

Kerkermajster pomyślał chwilę, wreszcie rzekł:

— Niech i tak będzie! Prowadź ich pan na 44. Wprawdzie to kaźnia tylko na dwa łóżka, no, ale malcy mogą obaj spać na jednym. A że będą razem z Semkiem Tumanem, to może się to jeszcze na co przyda.

— No, hultaje! — rzekł klucznik do braci, gdy wyszli z kancelarii i płatając się w szerokich aresztanckich ubraniach szli schodami na drugie piętro — czekajcie wy, teraz ja wam pokażę, jak się do mnie stawiać! Tu wam nie pan kerkermajster, tu ja pan! Ty urwipolciu! — harknął do Władka, pukając go kluczami w czoło. — Ty mnie do oczu się rzucasz? Ach, ty nieboskie stworzenie! Ale będziecie wy się tam mieli, nie bójcie się! Poznacie wy, co to jest Semko Tuman. A ja pewnie nie będę taki głupi, żebym was miał brać do innej kaźni. Oho! Niech was i pozabija! Jeszcze jak postyszę wasz pisk, to na drugi korytarz ucieknę, żebym niczego nie słyszał. Ja wam nie pan kerkermajster, co się nad każdym machabundą lituje, jak nad rodzonym bratem! Ano, bierzcie sobie siennik, poduszkę, koc i prześcieradło, tu z tej kupy!

Na korytarzu drugiego piętra leżały wielkie kupy rek wizytów: słomą napchanych aresztanckich sienników, takich-że poduszek, niby czystych prześcieradeł i siwych, welnianych koców. Chłopcy wzięli poduszkę, koc i prześcieradło, ale siennika mimo wszelkich usiłowań udźwignąć nie byli w stanie.

— To mi złodzieje! Nawet siennika sobie zanieść nie mogą! — gniewnie krzyknął klucznik i dość silnie uderzył

jednego i drugiego pękiem kluczków po plecach.— No, marsz do kaźni!

I poszedł naprzód korytarzem, zniknął w ciemnej framudze grubego muru, w którym znajdowały się całkiem czarne, dębowe drzwi, okute dokoła i na krzyż grubymi, żelaznymi sztabami, z małym okienkiem pośrodku, zabitym blachą z rzadka podziurawioną jak druszlak, wprócz tego zamykanym z zewnątrz żelaznymi drzwiczkami, brzęknął masywną żelazną kłódką, odemknął następnie zamek u drzwi, i otwierając je wpuścił braci po jednym do wnętrza krzyknąwszy:

— Cuwaks! I jeszcze cuwaks!

I przy tych słowach nie zaniedbał jednemu i drugiemu dać znowu pękiem kluczków w plecy, i to tak dobitnie że chłopcom aż tzy w oczach stanęły. Za aresztantami i klucznik wszedł do kaźni, zostawiając drzwi za sobą odchyłone.

Kaźnia pod numerem 44 była jedną z lepszych w całym zakładzie. Już to jedno, że znajdowała się na drugim piętrze, było korzystnym: była niższą, okno miała większe i dostępnejsze, a więc miała więcej światła i widoku, niż kaźnie na pierwszym piętrze, a zwłaszcza w parterze. Była to reszta celka wcale małych rozmiarów, mająca zaledwie sześć kroków wzdłuż i cztery wszerz. Wzdłuż ścian po obu stronach okna stały dwa tapczany, jeden zaścielony, drugi zaś z gołych desek. W przeciwległych kątach, po obu stronach drzwi stały — w jednym kącie żelazny piec skuty w spojeniach żelaznymi obręczami, jak jaki nadzwyczaj ciężki zbrodniarz, a właściwie w tym celu, ażeby aresztanci nie mogli zdjąć wierzchniej części pieca czy to dla dobowania ognia do cygar, czy też w danym razie dla ucieczki — w drugim zaś kącie stało naczynie drewniane, zwane w aresztanckim żargonie „zošką” i zastępujące miejsce wychodka. Oto było całe umeblowanie kaźni.

Na zaścielonym tapczanie, twarzą ku oknu zwrócony, siedział człowiek ogromnego wzrostu, o długich, jak mleko białych włosach, spadających mu na potężne ramiona, i w zwykłym aresztanckim ubraniu. Na kolanach miał lirę, na której oczywiście niedawno przygrywał, gdyż prawa ręka trzymała rękojęść korby, a lewa spoczywała na drewnianych klawiszach. Ale w tej chwili, gdy chłopcy p zez otwarte drzwi kaźni weszli do wnętrza, w kaźni panowała zupełna cisza, a dalej z wolna zwróciła się ku nim żółta,



niby martwa twarz, okolona białym włosom i taką samą, aż na piersi spadającą brodą. Pomarszczone czoło, blade bez krwi usta, a osobliwie całkiem białe, krwią podbiegłe ślepe oczy nadawały tej twarzy coś okropnego, tak że chłopcy na pierwszy widok tej postaci stanęli jak skamieniałi.

— Macie tu dwóch cuwaksów, Semku — rzekł do niego klucznik. — Małe bębny, dziewięcioletnie, a już za złodziejstwo i rozbój tu przychodzą.

— Nieprawda — odciął Władek. — Nie za rozbój, a tylko za skałeczenie. Przecież jak nas łapali, tośmy się musieli bronić.

— Nie będziesz ty cicho, psia pasol — krzyknął klucznik i znowu poczęstował Władka kluczami. — Widzicie, jakie zuchwałel Bądźcie nad nimi dobrym gospodarzem! Jak was nie zechcą słuchać, to bijcie co się wlezie. Ja wam pozwalam.

I obracając się do braci, na odchodnym rzekł:

— No, miejcie się dobrze! A nie zapominajcie, że dziad Semko pięciu ludzi jednej nocy zamordował i że jest ślepy, a jak bije, to nie widzi, którądy bije. Spodziewam się, że i wam dogodzi.

To rzekłszy, wyszedł i drzwi za sobą zamknął naprzód na zamek, a potem jeszcze na kłódkę, wiszącą u drzwi na masywnym skoblu.

Ostatnia rekomendacja klucznika do reszty przeraziła i oniemiła chłopców. A więc jeszcze przed karą wpełchnięto ich w towarzystwo takiego okropnego człowieka, pięciokrotnego mordercy, poddano ich nawet poniekąd pod jego władzę! Stali biedaki zupełnie oszołomieni, nie śmiejąc się ruszyć, nie śmiejąc spojrzeć po sobie, i jak zakłęci nie spuszczała oka z szerokiej, martwej, ku nim zwróconej, na nich ślepych oczyma mrugającej twarzy straszego dziada.

— Pójdźcie tutaj, dzieci! — rzekł dziad głębokim, niby grobowym głosem.

Chłopcy nie śmieli nawet pomyśleć o sprzeciwieniu się i przystąpili ku niemu. Naraz dziad wyciągnął długą, kościstą rękę, chwycił nią Władka za głowę i przyciągnął ku sobie. Władek ze strachu aż wargi zagryzł, żeby nie krzyknąć, myśląc, że dziad zaraz na wstępie Bóg wie co z nim zamysła zrobić. Ale dziad przyciągnawszy go blisko, lewą ręką odłożył na bok lirę, a następnie zaczął obiema rękami obmacywać Władkowe włosy, czoło, twarz, plecy, nadzwyczajnie.

czaj starannie i systematycznie, jak biegły kupiec obmacuje bydłę, które zamierza kupić. Dalej nachylił się i obwąchał głowę chłopca, wciągając nosem zapach jego włosów, jak pies, który węchem śledzi trop zwierzyny.

— Jak się nazywasz? — pytał dziad.

— Władek Kalinowicz.

— Władek — Władek — Władek Kalinowicz — z wolna powtarzał dziad jak gdyby uczył się na pamięć tych słów.

— A ile masz lat?

— Dziewięć.

— A jakie masz włosy?

— Czarne.

— Czarne! A, tak i myślałem. I ja kiedyś miałem czarne włosy. To ładnie. A czy to może ty odpowiadał klucznikowi?

— Ja.

— To ładnie — powtórzył z wolna dziad. — No, a drugi gdzie jest?

I znowu wyciągnęła się długa ręka w próżną przestrzeń, dopóki nie namacała Naczka.

— To mój brat Naczek — rzekł wypuszczony i ośmielony nieco Władek, podczas gdy dziad z Naczkiem te same robił manipulacje, co i z nim poprzednio.

— Naczek — Naczek — Naczek Kalinowicz, czy tak?

— Tak — rzekł z cicha, nieśmiało Naczek.

— A ty ile masz lat?

— Także dziewięć. My bliźniaki.

— A włosy jakie masz?

— Blond.

— Aha, widzisz go! Blond! I to ładnie. Moja żona miała blond włosy — ładna była. A za co was tu przywiedli?

— Chodziliśmy kraść kartofle — rzekł rezolutny Władek — aż tu gospodarz nas zaszedł z tyłu i schwycił obu w ręce.

— Obul — żywo zawołał dziad. — A to jak?

— Nie mieliśmy którędy uciekać, więcęśmy się oba rzucili na niego. Myśleliśmy, że jak razem na niego uderzymy, to może go powalimy na ziemię.

— A widzisz go! Co za chytre chłopaki! I kto by się spodziewał! — wołał dziad oczywiście zadowolony i jego ślepa twarz ożywiła się, zajaśniała wyrazem wewnętrznego życia. Chłopcy czuli się już daleko swobodniejszymi i

mniej przygniecionymi jego obecnością, chociaż zawsze jeszcze stali nieruchomo naprzeciw niego, oparci o swój goły tapczan.

— Aha — rzekł Władek — gospodarz jucha widać, że się tego spodziewał, bo przycupnął, rozstawił ręce i złapał nas obu za kołnierz, nimesmy mogli w niego uderzyć.

— Owa! — zawołał dziad z żywym współczuciem.

— Złapał nas — opowiadał dalej Władek — i jak nami oboma potelepał, tom myślał, że mi głowa z karku zleci, jak jabłko z gałęzi. O, myślę sobie, zdechł byś i krzyczę Naczkowi: wal go łbem w bok! Tylko go Naczek łbem w bok grzmotnął, on lewą ręką uchwycił się za ziobro, a Naczek w nogi. A ja tymczasem nóż z kieszeni, jak go fałatną w prawą — i mnie puścić musiał. I takeśmy uciekli, jeszcze i nakradzonej kukurydzy nabrali, bo już nie miał ochoty lecieć za nami. Dopiero nas w wieczór na ulicy zabrał policaj.

— Zuchy chłopaki — rzekł dziad. — Rezolutne chłopaki. I ja kiedyś takim byłem i dotychczas takich lubię. Nie bójcie się, będzie wam tu dobrze. Ja tylko mazgajów i plaksów nie lubię. Tych wałę, czym się zdarzy. A wy się nie bójcie. A co wam ten pijaczysko klucznik o mnie mówił, to mu plujcie w oczy. Kłamie, jak pies. Nikogo ja nie zabiłem. Prawda, panowie mają na mnie podejrzenie, zem wymordował całą rodzinę szlachecką i o to już dziesięć lat mię męczą. Dziesięć lat śledztwo ze mną prowadzi a niczego wysledzić nie mogą. Po wszystkich sądach mię włóczą, setki świadków ściągają i niczego mi dowieść nie mogą. Oślepiłem w śledztwie, posiwiałem w śledztwie i czuję, że w śledztwie umrę, a winy mi nie udowodnią.

Wszystko to wypowiedział głosem spokojnym, bez żadnego wzruszenia albo oburzenia, wparłszy swe białkami i krwią zasłże oczy w pustą przestrzeń, jak gdyby z jakiej niewidzialnej książki czytał suchą notatkę o jakimś dawnym i całkiem obojętnym fakcie. Ale na chłopców to krótkie opowiadanie tym silniejsze wywarło wrażenie. Stall zapierając dech w sobie i wpatrując się w dziada, z całkiem już innym uczuciem, z nietajonym współczuciem i litością.

— No, ale wy nie stójcie, chłopcy — rzekł dalej dziad. — Zdaje mi się, że już prędko wieczór będzie. Róbcie sobie łóżko, bo tu u nas jak się ściemnieje, to nic nie widać, a światła nam nigdy nie dają.

— Ależ my jeszcze nie mamy siennika — rzekł Władek.

— Tak? No, to zapewne wam zaraz przyniosą.

I rzeczywiście, kłódka zabręcząca, drzwi się otworzyły i w nich pokazał się klucznik, a za nim aresztant dźwigający siennik.

— Macie, złodzieje, siennik — rzekł klucznik — chociaż warto by wam tak zrobić, żebyście spali na gołych deskach.

Aresztant położył siennik na tapczanie i mimochodem szepnął coś do dziada, na co ten tylko głową skinął. Aresztant odszedł, drzwi się zamknęły, a chłopcy wzięli się do stania łóżka. Siennik był duży, tak że dla obu było na nim miejsca dosyć. Również i koc jeden dla obu wystarczył, tak że Władek, poszeptawszy się z Naczkiem, zwrócił się do dziada:

— Może wam jeszcze jednego koca potrzeba? Dla nas jeden wystarczy.

— A jak zmarzniecie? Tu jeszcze nie pałą, aż od wszystkich świętych zaczynają, a w nocy zimno.

— Mamy dwa prześcieradła. A może wy marzniecie w nocy, to wam się koc przyda.

— I pewnie, że marzną — rzekł dziad, przyjmując koc. — Bóg zapłać wam, dzieci!

Zmrok zapadał coraz gęstszy. W kaźni zaległa cisza. Jeszcze raz z brzękiem i szczękiem otworzyły się drzwi, wszedł klucznik, a obok niego drugi klucznik, pełniący nocną służbę, z lampą w ręku, policzyli aresztantów i życząc im dobrej nocy wyszli, zamykając drzwi kaźni na zamek, na kłódkę ze skoblem i na drugą kłódkę, która zamykała duży żelazny wrzeciędz, zakładany na noc poprzek całych drzwi.

Dziad ciągle siedział na swym miejscu, nie myśląc nawet kłaść się. Na kolanach u niego znów leżała lira.

— Idźcie spać, dzieci — rzekł. — Nie patrzcie na mnie, ja stary, nie mogę spać. A wy pewnie zmęczeni.

Chłopcy rzeczywiście byli nadzwyczaj zmęczeni i osłabieni wskutek poprzedniej bezsennej nocy i przeziębienia. Rozegrali się więc i pokładli razem na swym tapczanie. Ale zasnąć nie mogli. Twarze ich ciągle zwrócone były ku dziadowi, którego głowa w pociemku błyszcząca, jak biały, nieokreślonych kształtów tuman. Po chwili milczenia dziad westchnął parę razy, pochylił głowę i z wolna pokręcił korbą liry. Struny instrumentu wydały przeciągły, żalostny głos, niby jęk cichy. Klapnęły pod palcami dziada klawisze,

struny wydały jeszcze żalobniejszy akord. Akord ten pociągnął się w nieskończoną dal, wpadając czasem w odmianę, to znowu powracając do pierwotnych tonów. Do tej muzyki dziad zanucił cichym, ale czystym i wyrazistym tonem smętną aresztańską piosenkę:

Komu świeci miesiąc, a mnie nie ma słońca;  
Już memu nieszczęściu nigdy nie ma końca.  
Ja siedzę w więzieniu i cierpię niewolę,  
Płaczę i narzekam na nieszczęsną dolę.

Chłopcy mimowoli szczerzej przycisnęli się jeden do drugiego na odgłos tej muzyki i tej pieśni, śpiewanej z wolna, na nutę nadzwyczaj prostą, a przecież wzruszającą do głębi, osobiwie każdego, kto znajduje się w tym położeniu, o jakim mówi pieśń. Naczek, przycisnąwszy twarz do szyji brata, zaczął po cichu płakać; jego ciepłe łzy kapwały na szyję Władkową. Władek zrazu chciał go ofuknąć, ale nie mógł; odwrócił się tylko, pocałował Naczka w mokre oko i rzekł szeptem:

— No, no, daj spokój, jakoś to będzie!  
A dziad nucił dalej o losach areszta:

Do sądu wołają inkwizyta słuchać,  
Mój konsylarz złośny wziął się na mnie fukać.  
Wziął się na mnie fukać, bym prawdę powiedział;  
„A jak powiesz prawdę, nie będziesz tu siedział”.

— Słuchaj, Władku, słuchaj! — szepnęła Naczek, podnosząc głowę i nadśluchując.

O ścianę pod ich bokiem stuknęło, oczywiście kawałkiem drzewa. Nasamprzód stuknięto raz. Dziad natychmiast przestał grać i śpiewać, odłożył lirę, wstał i nie macając zbliżył się ku ścianie, gdzie kończył się ich tapczan, i drewnianym klawiszem swej liry również stuknął o ścianę. Natychmiast odezwały się z tamtej strony liczne stuknięcia, w pewnych odstępach, to częstsze, to rzadsze. Po każdym odstępku dziad stukał po raz, niby dając znak, że rozumiał. Następnie telegrafista z kaźni sąsiedniej skończył, a dziad zaczął jemu w taki sam sposób udzielać nowin. Chłopcy słyszeli o tym sposobie porozumiewania się, któryś ze starszych uliczników uczył ich nawet złodziejskiego abecadła, ale nie zapamiętali go, nie mogli więc nic zrozumieć z tej rozmowy, jaka toczyła się przez ścianę. Skoń-

czył wreszcie dziad i znowu sąsiad począł, lecz tym razem krótko. Zamiast odpowiedzi dziad stuknął trzy razy i odszedł od ściany, a stanąwszy pod oknem między tapczanami, trzykrotnie stuknął obcasem o podłogę. Po chwili odezwało się z dołu również trzykrotne stuknięcie. Dziad wlaź na framugę okna i przyłożył głowę szczelnie ku kratom, a rękę wychylił na zewnątrz i natychmiast wyciągnął ją napowrót, odwiązawszy z długiej, cieniutkiej, z prętów związanej żerdzi list, podany mu przez okno z kaźni sąsiedniej. Zlaź z okna, podsunął się pod tapczan, na którym leżeli chłopcy i namacał gdzieś w ukrytej szparce sznurek. Na jego końcu uwiązał list i spuścił przez okno na dół do kaźni, leżącej bezpośrednio pod nim, gdzie go też odebrano. Gdy dziad związał sznurek, odezwały się znowu trzy stuknięcia z dołu — znak, że list odebrany. Dziad odpowiedział również trzykrotnym stuknięciem obcasa o podłogę, a następnie swym klawiszem stuknął trzykrotnie o ścianę i dopiero odebrawszy taką samą odpowiedź, wsiadł w powrót na swe miejsce i wziął się do liry. Wieczorna poczta była załatwiona.

Chłopcy ze zdziwieniem spod swego koca spoglądali na tę całą robotę. Zdawało im się, że dziad z nastąpieniem nocy odmienił się, że napływająca ciemność wlała w tę ogromną postać nowe życie. Ruchy jego były pewne i bystre, głos czysty, dźwięczny a wcale nie taki grobowy, jakim do nich gadał, a owa żywa komunikacja jego z aresztantami we wszystkich kątach nadała mu w ich oczach urok jakiejś tajemniczej potęgi. W wyobraźni snuły się im sceny z matczynych opowieści o starych czarownikach, siedzących w głębokim lesie w kamiennej pieczarze i czarownicy ci przybierali teraz całkiem wyraźne rysy i kształty Semka Tumana.

A dziad siedział znowu spokojnie i nieruchomo na swym tapczanie. Spać ani myślał. Nastroiwszy lirę, zagrał te same, co i przedtem smętne akordy i kończył przerwana pieśń aresztancką:

Ja prawdę powiedział, dekret mi czytają;  
Przyszli ojciec, matka, smutno mię witają.  
„Witam synu, witam, w kajdany okutyl  
Nie chciałeś nas słuchać, masz drewniane buty”.

Głos umilkł na chwilę, tylko lira brzęczy. Czy to dziad westchnął? Czy struna śliznęła się po drewnianym

kółku? Lecz oto znowu dziad zaśpiewał, ciszej, żałośniej:

Masz drewniane buty i ucięte włosy;  
Ty siedzisz w więzieniu, w polu leżą kłosa.  
Masz drewniane buty i burą sukmanę;  
Ja się ciebie wstydzę, gdy przy tobie stanę!

Pieśń skończona. Lira zabrzęczała silniej, żywiej, jak gdyby ubogie, smętne tony na jej strunach zatrzępotały się w przedśmiertnych podrygach. I popłynął w półsennej wyobraźni chłopców daleki, szeroki potok ciemności. Deszcz leje i pluska w kałużach. Wiatr jesienny pędzi po pustym polu i gdzieś daleko — daleko świszczę między krętymi brzegami. A pośród tej ciemności, stoty i wiatru idzie biedny aresztant, przemokły, zziębnięty i płacze. Czy jego grube, gorące, spadają głośno niby na szklaną podłogę i rozbijają się w tysiączne bryzgi — kap! kap! kap! Czył Czy to szklana podłoga rozbrzęczała się tak od kapiących na nią łez? Czy może drasnęło ją to żółtawe światło, padające ukośnym słupem z łona ciemności? Nie, to nie podłoga brzęczył! To w owem świetle igra rój złotych muszek i wydaje cichy, ledwie dosłyszalny, lecz nieskończenie luby dźwięk z niewidzialnych diamentowych skrzydełek — *ńńń, ńńń!* Dźwięk ten zbliża się, staje się silniejszym, wyraźniejszym! *ńńń!* Oddala się, w górę, w górę, jeszcze wyżej, ciszej, wreszcie rozplynął się zupełnie w przestworzu. Chłopcy zasnęli.

#### IV

Tydzień minął od chwili, kiedy bracia wstąpili w progi kryminału, a jeszcze nie wołano ich do sądu. Życie ich płynęło jednostajnie, jak w zegarku. Rano o ósmej dawano im chleb, w południe o dwunastej obiad, po południu chodzili na godzinę na spacer, prowadząc pod ręce dziada Semka — oto były wszystkie ich czynności. Mimo to nie nudzili się: dziad grał na lirze, uczył ich pieśni, opowiadał bajki i przygody ze swego życia, zawsze jednak wybierając takie, w których grał rolę świadka, a z których o jego własnym życiu i czynach jak najmniej można się było dowiedzieć.

Kłoczniak Trapiszewski, który dał chłopców do tej kazi w tej jedynej nadziei, że dziad nie będzie się mógł z

nimi żyć i będzie ich tak traktował, jak poprzednich towarzyszy w kaźni, był bardzo rozczarowany i markotny z tego, że się omylił w swej rachubie i starał się sam ile możliwości dokuczać mieszkańcom numeru 44. Wbrew dawniejszemu zwyczajowi parę razy z łoskotem wpadał do kaźni i zakazywał dziadowi śpiewać i grać, krzycząc:

— Tu jest dom płaczu! Tu śpiewać nie wolno! Ty, spróchniały dziadu, lepiej byś robił, gdybyś płakał za swe grzechy i modlił się Bogu, niż tu będziesz swoje sabadaszki wycinał!

Na takie napaści dziad nic nie odpowiadał, tylko głowę pochylał, jak wół w jarzmie, a czasem wargi bezkrwiste przygryzał. Chłopcy zaś znając z wieczornych obserwacji jego zręczność i wnioskując z jego wzrostu o jego siłę, drżeli ze strachu, aby się nie uniósł i nie narobił jakiego nieszczęścia. Ale dziad zachowywał spokój niewzruszony, a gdy klucznik, rozbrojony tym spokojem, a przy tym czując, że czepia się dziada bezprawnie (bo grać na lirze pozwolił mu sam prezydent sądu), odchodził zadąsany, dziad mawiał do chłopców:

— Cóż robić! Taka woła Boża. Trzeba się giąć i korzyć przed lada siepaczem. Ba, gdyby to tak przed laty dziecięciu, gdym był wolny i miał oczy jasne, taki siepacz był się ośmielił powiedzieć mi coś podobnego, był by on wiedział, co to znaczy przyczepić się do Semka Tumań! Ale dziś! Dziś moje więdnienie, a jego kwitnienie.

Wreszcie pewnego dnia przyszedł ordynans z kartką w rękę i zawołał Semka Tumań do sądu. Zadrzał stary, zbladł jeszcze bardziej, niż zwykle — od roku prawie nie wołano go do sędziego! — i przeżegnawszy się, poszedł, prowadzony pod rękę przez ordynansa. Pierwszy raz od czasu swego aresztowania bracia zostali się sami z sobą. Chwilę milczeli, niby zbierając się z myślami i spoglądając jeden na drugiego.

— Ciekawa by rzecz wiedzieć — zaczął wreszcie Naczek — co tam za protokół będzie nasz stary zdawać?

— A ty jak myślisz? — pytał Władek.

— Myślę, że coś tam musi być strasznego, kiedy się zegnał wychodząc.

Dalszą ich rozmowę przerwało wejście kerkermajstra. Nie widzieli go chłopcy jeszcze od tego dnia, kiedy się grzali w jego kancelarii i zdziwili się niepomiętnie z jego przybycia, a nawet przełękli się nieco. Lecz pan kerkermaj-



ster uśmiechał się tak dobrodusznie, był oczywiście taki dobry i łaskawy, że bojaźń ich od samego jego widoku minęła. Skinąwszy klucznikowi, który z pokorną miną stał we drzwiach otwartych, by się oddalił, kerkermajster drzwi przyknął, a następnie zwracając się do chłopców rzekł:

— No cóż, chłopaki, jak wam się powodzi?

— Dobrze, proszę pana kerkermajstra — odpowiedział Władek.

— Do sądu was wołali?

— Jeszcze nie.

— A z dziadem jak się godzicie? Nie robicie mu psikusów?

— Nie — odparli chłopcy.

— I on was nie bije?

— Nie, broń Boże!

— To ładnie. Tego się zresztą po was spodziewałem. No, a coż robicie cały dzień?

— A coż mamy robić? Siedzimy. Czasem dziad śpiewa lub opowiada cokolwiek, to słuchamy lub uczymy się jego pieśni.

— A ładne pieśni umie dziad?

— O, bardzo ładne! — z zachwytem krzyknął Naczek. — Nie wiedzieć co bym dał, gdybym je umiał wszystkie na pamięć!

I rzekłszy to, Naczek schował twarz za ramię brata, jak gdyby się wstydził swego zapału.

— No, a co wam dziad opowiada takiego ładnego? — pytał dalej pan kerkermajster.

— Rozmaite rzeczy — rzekł Władek.

— Dziad umie takie śliczne bajki, osobliwie o rozbójnikach! — wyrwał się znowu Naczek. — Nieraz jak zacznie opowiadać wieczorem, to my aż drżymy ze strachu, to płaczemy z żalu, to się zrywamy na łóżku, dopóki wreszcie zaśniemy.

— A coż on wam takiego rozpowiada o tych rozbójnikach? — pytał dalej kerkermajster ze wzrastającą ciekawością.

— Ta tak — rzekł Władek — jak rozbójnicy spotkali w lesie panienkę, którą macocha kazała wyrzucić na zjedzenie wilkom, albo znowu, jak śliczny królówicz polując dostał się między rozbójników, albo jak rozbójnicy pod dębem pieniądze liczyli, a dureń ze stępą na dębie siedział — to takie śmieszne!

— Aha! — rzekł kerkermajster z pewnym rozczarowaniem w głosie — to o takich rzeczach wam dziad rozpowiada. I o niczym więcej nie gadacie?

— Dlaczego — rzekł dobrodusznie Naczek, zachęcony tym, że kerkermajster wziął go za rękę, przyciągnął ku sobie i pogłaskał jego kędzierzawe ciemnoblond włosy — gada i o innych rzeczach, co sam widział lub co mu inni ze swego życia opowiadali. Także bardzo ciekawe rzeczy.

— Tak? A cóż tam takiego ciekawego wam dziad o sobie opowiadał?

— A, opowiadał, jakim to on był gospodarzem zamożnym i szanowanym, jaką miał żonę ładną, jakiego synka — płakał wspominając o nich. A potem mówił nam dużo o pańszczyźnie i jaki tam w ich wsi był pan okrutny, jak się pastwił nad ludźmi, jak jego syna wziął do dworu za lokajczyka, jak matka płakała, i jak pan zaraz w parę dni kazał temu chłopcu za jakieś przewinienie dać sto kańczuków, tak że biedny chłopiec tej samej nocy umarł.

— Rzeczywiście, to ciekawe! — rzekł kerkermajster. — No, a cóż więcej?

— Dalej opowiadał, jak on ze swą żoną uciekał od tego pana, jak ich hajduki ścigali, jak oni rzucili się po nocy w rzekę, by ją przepłynąć: on przepłynął, a żona jego utonęła.

— A nie mówił, dlaczego uciekali od pana?

— Nie, tego nie mówił — rzekł Władek. — No, ale to się przecież rozumie, że jak pan był taki zły, to od niego uciekali.

— Aha, on wam tak mówił?

— To się rozumie.

— No, i cóż dalej?

— Dalej... dalej nic takiego nie opowiadał.

— E, nie, Władku — znowu wyrwał się Naczek, — chyba żeś zapomniał, jak opowiadał o tym, że zrobił się kaleką i przyszedł do dziadów, zaczął na lirze grać.

— A tak, o żebrakach dużo opowiadał, jakie to u nich zwyczaje, jakie szkoły, jaka wielka kompania, jak się wszyscy znają, jak się czasem zgromadzają i radzą.

— Ciekawe rzeczy! Ciekawe rzeczy! W istocie, warto posłuchać. Muszę kiedy zaprosić starego, żeby i mnie co opowiedział. No, a cóż wam jeszcze gadał o swym życiu?

— Więcej niczego.

— Niczego? Ano, przypomnijcie sobie dobrze. Do swego dawnego pana jako dziad nie wracał?

— Nie, nic o tym nie mówił.

— A Chajma Rübenthala nie wspominał?

— Nie, nie wspominał.

— No, a o zakopanych skarbach nic wam nie opowiadał?

— O, opowiadał nieraz! — krzyknęli obaj chłopcy.

— Tak? A cóż wam takiego o nich opowiadał?

— Że każdy skarb raz do roku gore niebieskim płomieniem, a kto to zobaczy, to powinien przeżegnać to miejsce i rzucić coś: ździebełko, kapelusz albo co ma pod rękę — to i wykopie skarb. Opowiadał i o takich skarbach, co ich strzegą smoki w pieczarach, albo co są zakłętę, tak że ich dotknąć się nie można.

— A więcej nic nie mówił?

— Mówił, że w górach są skarby jakiegoś rozbójnika Dobosza, złożone w jednej podziemnej jaskini. Zawieszono je tam na dwudziestu i czterech wozach, a wchód przykryto kamieniem, na którym dla znaku wydtubali rozbójnicy krzyż. Ale Dobosz zaszedł w nocy i ten kamień, co leżał krzyżem na wierzch, obrócił krzyżem na dół, tak że od tego czasu nikt tego kamienia ani tej jaskini znaleźć nie może.

— A co, może i dziad go także szukał? — zapytał z uśmiechem kerkermajster.

Dzieci spojrzały mu w oczy zdziwione, wreszcie Naczek odpowiedział:

— Nie wiemy. Dziad o tym nic nie mówił. Ale my jak dorośniemy, to może i pójdziemy szukać. Byle by się dowiedzieć, na której to górze. A dziad właśnie mówił, że nawet o tym trudno się dowiedzieć, bo w każdej okolicy na inną górę wskazują.

— No, a o swoim własnym skarbie nic wam nie mówił? — zapytał kerkermajster z jeszcze słodszyim uśmiechem, głaszcząc chłopców po głowach.

— O swoim własnym? — powtórzyli w jeden głos chłopcy, znowu wpatrując się w twarz kerkermajstra, jak gdyby chcieli wy badać, czy żartuje, czy prawdę gada. — Chybaż dziad Semko także skarb zakopał?

— Ja nie wiem, dzieci! — rzekł śmiejąc się szczerze kerkermajster. — Ale jeżeli wam tyle bajek o innych naga dał, to mógł wam i o sobie jaką bajkę powiedzieć.

— Nie — odrzekł poważnie Władek — dziad o sobie tylko prawdę gada. To widać po nim.

— No, no, ja nic o tym nie mówię. — Rzekł kerkermajster, i zadawszy chłopcom jeszcze parę obojętnych pytań, wyszedł z kaźni. Po jego wyjściu bracia długi czas w milczeniu poglądali po sobie.

— Jak myślisz, Naczku — rzekł wreszcie Władek — kerkermajster dobry człowiek?

— Widać, że dobry — rzekł Naczek.

— Mówisz, że dobry? A czegoż on od nas chciał?

— Od nas? Czegoż on mógł od nas chcieć? Niczego.

— Ty tak myślisz? A ja myślę, że on nie darmo do nas przychodził i tak pilnie się dowiadywał, o czym dziad z nami rozmawia.

— Nie darmo? — krzyknął Naczek, jak gdyby mu się teraz dopiero oczy otworzyły. — To niby on chciał się od nas coś dowiedzieć o starym Semku, czy tak myślisz?

— A jużci, że tak! Kto wie, może myśmy z głupiego rozumu i nagadali co niepotrzebnego?

— Bój się Boga, Władku, nie mów tak! Żebyśmy mieli w czym zaszkodzić dziadowi? To byłoby świństwo! Nie, skoro dziad przyjdzie, musimy mu wszystko opowiedzieć, to zaraz zobaczymy, czyśmy co złego nagadali. Zresztą ja myślę, że jak by nam chciał coś takiego powiedzieć, co dla niego może być szkodliwym, to był by nam kazał nic o tym nikomu nie gadać.

— Być może — rzekł Władek — a'le zawsze głupstwośmy zrobili, żeśmy temu diabłowi tyle nagadali.

— Na drugi raz będziemy się mieli na baczności. Diabła zje, nim się co ode mnie dowiel — krzyknął Naczek, ściskając swą dziecinną pięść i grożąc nią w stronę drzwi, którędy wyszedł kerkermajster. — No, ale któżby się był po nim spodziewał, że taki dobry i łaskawy człowiek zechce z nas robić kapusiów?<sup>1</sup>

— Nie, Naczku — rzekł poważnie Władek — nie tak zrobmy. Jak nas będzie jeszcze raz pytał o dziada, to plećmy mu rozmaite banialuki, co ślina na język przyniesie, niech sobie potem doszukuje prawdy, jeżeli mu o nią idzie.

— Dobrze — przystał Naczek. — Już ja mu zakręcę charamaną, aż uszy rozwiesi. Bylebyśmy dziś nic takiego nie nagadali!

---

<sup>1</sup> Denuncjantów.

— A odmawiać kerkermajstrowi odpowiedzi nie można — pouczał dalej Władek — bo przecież wiesz, on tutaj pan, on by nam mógł tak nasolić, że by nam się i krochmalu z mlekiem odechciało.

— Byle byśmy dziś dziadowi nie naszkodził! — powtarzał ciągle zasmucony Naczek. — Skoro przyjdzie, zaraz mu wszystko opowiemy.

— Ale gdyby się nas kerkermajster pytał, czyśmy gadali dziadowi o jego wizycie, to powiemy, żeśmy nic nie gadali, rozumiesz?

— Ano, to się rozumie — rzekł serio Naczek.

Po jakimś czasie dziad wrócił ze sądu blady, drżący, jak gbyby złamany. Ręce mu się trzęsły, ślepe oczy niespokojnie biegały w różne strony, niby szukały punktu, na którym by spocząć mogły. Usta poruszały się ciągle, szepcząc jakieś niedosłyszalne wyrazy. Cała twarz jego wyrażała głębokie przygniębienie i wzruszenie. Usiadł na swym tapczanie i długo-długo siedział nieruchomy, niemy i ponury, nie mogąc przyjść do siebie. Gdy był w takim stanie, dzieci nie śmiały odzywać się do niego i trwożnie tuliły się na swym tapczanie, nie odwracając oczu od tej dziwnej postaci, nie ważąc się ani mówić ani nawet szeptać ze sobą. Wreszcie po godzinnym może męczącym milczeniu dziad nieco się uspokoił, czoło wypogodził i nad ruchem rąk swych zapanował: oczywiście myśl jego przynajmniej pozornie zwyciężyła tę ciemną, groźną marę, która z wielką potęgą stanęła była przed nim w sądzie.

— Wy tu, dzieci? — zapytał zmienionym, miększym niż zwykle głosem.

— Tu — odpowiedzieli chłopcy.

— Był kto u was, jak mnie nie było?

— Był kerkermajster.

— O co was wypytywał?

— Wypytywał, o czym wy z nami rozmawiacie?

— Stara historia — mruknął dziad. — Dziesięć lat już powtarzają ze mną to samo, i jeszcze im się nie sprzyrzyło. No, i coż wyście mu odpowiedzieli?

— Odpowiedzieliśmy mu wszystko — rzekł prostodusznie Władek. — Wyście nam nie mówili, co możemy gadać, a co nie. Opowiedzieliśmy mu, jakie nam opowiadacie bajki o rozbójnikach, o pańszczyźnie, o tym, jak pan waszego syna zabił, jak wyście z żoną uciekali i żona utonęła, jakście z żebrakami chodzili.

— No, i coż on?

— Nic. Ale nas wypytywał, czy nie opowiadacie nam co o skarbach. A gdym mu powiedział, że nam opowiadacie o skarbach Doboszowych, uśmiechnął się i zapytał, czyście nam także o swoim własnym skarbie nic nie opowiadali?

— Czy tak? O moim własnym skarbie? A skąd on o moim skarbie wie?

— Pytaliśmy go, ale on powiedział, że nic nie wie, ale myślał, że wy nam taką bajkę nagadali.

— Aha. No, a jeszcze nie pytał was o co?

— Nie — odrzekł Władek.

— Pytał jeszcze o jedną rzecz — rzekł Naczek. — Czyście nie wspominali przed nami o jakimś Chaimie Rübenthalu? Ale myśmy powiedzieli, że nie.

— Dureń! — gniewnie mruknął dziad, ale chłopcy zauważyli, że na wspomnienie tego nazwiska twarz jego pobladła a usta zadrgały kurczowo. — Dureń! — powtórzył jeszcze raz i zwiesił głowę na pierś, popadłszy w głęboką zadumę.

— A może myśmy wam co naszkodzili tym, cośmy gadali kerkermajstrowi? — rzekł nieśmiało Władek, zbliżając się do dziada. — Myśmy potem i sami się dorozumieli, że nie trzeba mu było nic gadać, ale wyście nas powinni byli ostrzec. Jak nam co mówicie, a chcecie, żeby o tym nikt nie wiedział, to nam powiedzcie. My nikomu nic nie powiemy, choćby nas rznął.

— Dobrze chłopaki! — rzekł smutno dziad, głaskając obiema rękami ich głowy. — Nie bójcie się, wasze gadanie nic mi nie zaszkodzi, bo cóż wy wiecie o mnie takiego?

A po chwili dodał z lekkim uśmiechem:

— No, ale ja nie wiedział, że wy takie zuchy i że umiecie milczeć.

— Ażeby nas na męki brali, a jak czego nie można powiedzieć, to nie powiemy — wykrzyknął patetycznie Władek.

— Ładnie, ładnie! Tego się trzymajcie! To wam się w całym życiu bardzo może przydać. Nigdy, niebożęta, nie noście serca na języku. To już taka boża wola, że serce ma być schowane, a to, co w sercu, także musi być schowane. Gdyby Pan Bóg był chciał inaczej, to mógł by być dać nam serce na czole, ażeby każdy od razu widział, co się w nim dzieje. A ja wam sekretów żadnych nie mam do gadania. Co ode mnie słyszycie, to możecie każdemu powiedzieć.

Tylko to wam powiem: nie wiercie kerkermajstrowi, choć on się wydaje taki dobry i łaskawy. Teraz ja wiem, dlaczego on taki i dlaczego was dał do mnie. Słuchajcież, co wam powiem. Był na Podolu, nad samą rosyjską granicą, bardzo bogaty żyd Chaim Rübenthal. Mieszkał w murowanej karczynie na samym środku wsi T., ale tak, że karczyna ta stała niby na łące, a chaty były od niej dość oddalone, przedzielone od niej płotami, sadami i ogrodami. Trzeba było dobrze krzyknąć, żeby z karczyny słychać było do chat. Otoż jednego poranku, gdy ludzie przyszli do karczyny, zastali żyda z całą rodziną — osiem dusz — zamordowanych, skrzynie i kufry porozbijane, pieniądze zabrane. Otoż za to morderstwo padło na mnie podejrzenie, mnie aresztowali i trzymają już dziesięć lat w śledztwie, ale niczego dowieść mi nie mogą. Na moje nieszczęście powołałem się na głupich świadków, którzy zamiast mię oczyścić, zawikłali mię jeszcze w dwie inne paskudne sprawy, i takem, niebożęta, włożył, zem już i oslepił w kryminale i zdaje mi się, że tutaj też życia dokonam.

— A jakież to dwie inne sprawy? — zapytali chłopcy.

— Widzicie, jedna sprawa z tym panem, co mi zabił chłopca i utopił żonę. Pan ten nazywał się Golejowski i w rok po mojej ucieczce został w swym pokoju okropnie zamordowany. Jakim sposobem mnie przypiętli do tego morderstwa, sam nie wiem. A druga sprawa z jakimś rosyjskim generałem, którego także zamordowano w karczynie w Salanowie. Niech mu tam Pan Bóg świeci nad duszą nieboszczykowi generałowi, ale przez niego trzymali mię w rosyjskich aresztach całe dwa lata, dopóki się nie przekonali, że ja nic nie winien, i nie oddali mię znowu tutejszym sądom. Otoż widzicie, chłopcy, co to znaczą te kerkermajstrowe wypytywania. Wszyscy panowie tu w sądzie są przekonani, że ja rzeczywiście popełniłem te morderstwa, i już by mię dawno byli powiesili, gdyby nie prawo, które za podejrzenia wieszac nie pozwala, ale wymaga dowodu. A dowodu, da Bóg, nie znajdują, ażeby i sto lat szukali. No, a kerkermajster chytry lis. Myśli sobie: a co, może stary zwierzył się przed dziećmi, a dzieci wyśpiewają. Głupi, nie wie, że nawet choć byście wy co wyśpiewali, to wasze świadectwo nie miało by walu. Ale jemu nie tyle o to idzie, aby mię powiesili — on dobry człowiek! — ile o odkrycie tych pieniędzy, co pozabierano u Rübentholza, Golejowskiego i rosyjskiego generała. Na pieniądze go korcił Pewnie

nie po to, żeby je oddać poszkodowanym, ale po to, żeby się sam nimi udławił i swoją rodzinę zabezpieczył. Wiecie teraz, dlaczego on taki dobry z wami?

— Wiemy! — zawołali chłopcy. — Ale diabła zje, nim się czego od nas dowie.

Nie zupełną jednak prawdę gadał dziad przed chłopcami i nie zupełnie tak był spokojnym co do ich zwierzeń przed kerkermajstrem, jak przed nimi udawał. Tej samej nocy długo telegrafował w różne strony, polecając swym znajomym aresztantom baczną śledzenie i podsłuchiwanie, czy kerkermajster nie wie o nim z opowiadań chłopców czegoś takiego, czego by wiedzieć nie powinien. Polecił też pilnie obserwować chłopców, gdy ich poprowadzą na protokół: czy kerkermajster będzie ich wołał po drodze do siebie, i w miarę możności podsłuchać, o czym z nimi będzie rozmawiać. Ponieważ kancelaria kerkermajstra leżała w suterenie, gdzie się też znajdowało więzienie zasądzonych na mniejsze dekrety (do roku), warsztaty, praczkarnie i t. p.; ponieważ dekretowi areztanci, zajęci przy różnych robotach lub i nie zajęci, mieli wewnątrz parterowych części budynku daleko większą wolność ruchów, niż areztanci pozostający w śledztwie i cały dzień pozamykani w celach, nie dziw więc, że jako palacze godzinami nieraz przesiadujący w piecach, jako zamiatacze, roznosiciele wody i t. p. mieli zupełną możność szpiegowania i donoszenia swym towarzyszom wszystkiego, co się dzieje w kancelarii kerkermajstra.

I rzeczywiście w samą porę zatelegrafował dziad do parteru. Na drugi dzień rano zawołano do protokołu na sam przód Władka. Poszedł z bijącym sercem, chociaż wiedział, że protokół będzie krótki. Sprawa była, jakich wiele, a prócz tego protokół sporządzony w policji nie pozostawiał prawie niczego do życzenia. Władek też nie myślał wypierać się winy. Lecz inny protokół czekał go po powrocie ze sądu. Kerkermajster spotkał w sieni powracającego ordynansa, który prowadził Władka do kaźni, a następnie miał sprowadzić do sądu Naczka. Odesławszy ordynansa po Naczka, kerkermajster kazał Władkowi iść za sobą do swej kancelarii.

Kerkermajster był dziś w nadzwyczaj dobrym humorze. Jego okrągła, pulchna twarz podobną była do rozkwitłej w całej pełni piwonii. Na ustach igrał uśmiech dobroduszny. Zamknąwszy drzwi za sobą, rozsiadł się wygodnie w poręczowym krześle i zawołał Władka przed siebie.



— No cóż, mój chłopczyku,— rzekł, mierząc go jasnymi, uśmiechniętymi oczyma — cóż mi powiesz nowego?

— Nie wiem, co bym takiego mógł panu kerkermajstrowi powiedzieć — odrzekł Władek.

— Widzisz nieboże, rzecz jest taka. Pomieściłem was w jednej kaźni z tym dziadem, bo wiem, że on lubi dzieci i że przed dziećmi człowiek nie jedno może wygadać, czego przed dorosłymi nie powie. A trzeba ci wiedzieć, że to dziad przekłęcie chytry. Wszyscy wiemy, że wiele ludzi pomordował, pieniędzy narabował, ale bestia tak umiała wszystko powikłać, że mu niczego dowieść nie można. Więc może być mi jeszcze raz dokładnie opowiedział, co on wam gada, możeby z tego sąd dowiedział się czego nowego, możeby znalazł jaką wskazówkę?

— A czy pan kerkermajster także do sądu należy? — zapytał nagle, jak gdyby z kryjówki wyrwał się Władek. Kerkermajster poczerwieniał się jeszcze bardziej, wreszcie rzekł:

— No, widzisz, sędzią nie jestem, ale moim obowiązkiem jest, jeżeli się coś takiego dowiem, sądowi donosić.

— Ale bo pan kerkermajster po prostu bierze mię na protokół, jak sędzia. A ja niczego nie wiem. Gdybym co wiedział, to bym się zameldował do pana sędziego i jemu bym powiedział.

— Widzisz go, jaki mądry! — krzyknął kerkermajster na pół żartem, a na pół gniewnie. — Gdy byś coś wiedział. A któż wie, może to, co się tobie wydaje niczym, dla sędziego było by bardzo ważnym? No, o! na przykład wczoraj, po powrocie ze sądu, jaki był dziad: smutny, wesoły czy jaki?

— Jakiż miał być? Był taki, jak zwykle. On nigdy wesołym nie bywa.

— No, a z wami rozmawiał?

— Rozmawiał.

— O czym?

— O różnych rzeczach. Narzekał, że go tak długo w śledztwie trzymają, a on nic nie winien, że go do Rosji wozili i także za darmo męczyli.

— No, i co jeszcze?

— Więcej nic takiego nie mówił.

— A pytał się, czy był kto u was w kaźni?

— Nie.

— Nie? Powiedz prawdę!

— Co mam kłamać? — rzekł czerwieniąc się Władek, — kiedy się nie pytał.

— Kłamiesz! — krzyknął nagle kerkermajster i zerwawszy się z krzesła, wymierzył Władkowi potężny policzek. — To masz za kłamstwo! A teraz gadaj prawdę! Pytał się czy był kto u was w celi?

— Nie — odparł Władek.

— Chcesz jeszcze jednego zjeść? — krzyknął kerkermajster. — Kiedy ja wiem, że się pytał.

— Jeżeli pan kerkermajster wie, że się pytał, to po co się pan mnie pyta? Ja nie wiem.

— A ty drabie! A ty gałganie! — krzyknął kerkermajster, chwytając ze ściany potężny kańczuk ze skóry pleciony. — To ty tak mi odpowiadasz? Zaraz mi gadaj prawdę, bo jak cię zrznę, to ci się zaraz rodzona matka przywidzi!

Władek milczał.

— Gadaj! — krzyknął kerkermajster, stojąc nad nim z kańczukiem, — pytał się was dziad, czy był kto bez niego w celi? Ja wiem, że się musiał pytać, i chcę tylko przekonać się czy prawdę gadasz.

Władek milczał.

— Czego milczysz? — pytał kerkermajster, podnosząc kańczuk.

— Niech pan kerkermajster bije — rzekł spokojnie Władek — bo ja nie wiem, a chociaż bym co wiedział, to panu kerkermajstrowi nic nie powiem.

— Dlaczego?

— Bo tak.

— No, powiedz, dlaczego?

— Proszę bić!

— Nie, powiedz, dlaczego nic mi nie chcesz powiedzieć?

— Bo pan kerkermajster chce mię oszukać. Z początku chciał mię oszukać dobrocią, a teraz chce mię oszukać gniewem. Proszę bić!

Kerkermajster aż zadrżał i posiniał na te słowa, ale ręka podniesiona z kańczukiem opadła.

— To cię ten przekłety dziad nauczył takiego gadania? — sapnął.

— Nikt mię tego nie uczył — odrzekł spokojnie Władek. — Sam widzę.

Kerkermajster milczał. W tej chwili posłyszano się w sieni kroki. To ordynans Naczka ze sądu prowadził. Rzucając kańczuk na stół, kerkermajster chwycił Władka za

ramię i popchnął go ku drzwiom, otworzył je i zawołał ordynansa:

— Panie Proksz! Weź pan tego do kaźni, a tamtego mnie zostaw!

— Nic nie mów, Naczku! — rzekł Władek do brata, odalając się z ordynansem, tak głośno, że nie tylko brat, ale i kerkermajster posłyszał te słowa.

— To łotr! — mruknął skrót zęby kerkermajster, zamykając się z Naczkiem w kancelarii. Chwilę chodził w zadumie, nie wiedząc, w jaki sposób z Naczkiem postąpić, ale rzuciwszy okiem na skromną i niby bojaźliwą figurę tego ostatniego zmiarkował, że groźbą tu może więcej wskórać, niż od zuchwałego i hartowniejszego Władka. Zbliżył się do stoła, usiadł na krześle, trzymając kańczuk w ręce i skinął Naczkowi, by się zbliżył.

— Widzisz to? — rzekł surowo, pokazując Naczkowi kańczuk.

— Widzę — rzekł z cicha Naczek.

— A wiesz, do czego to służy?

— Wiem — odrzekł Naczek.

— No, to pamiętaj ze sobiel A teraz powiedz mi czystą prawdę, o co cię będę pytał. Chcę się przekonać o twej szczerości. Wiem wszystko, tylko chcę wiedzieć, czy jednakowo oba gadacie z bratem. Kiedy dziad wczoraj wrócił ze sądu, w jakim był usposobieniu?

— Był jak zwykle. Długo milczał, siedząc na tapczanie, a my go się i tak nigdy nie pytamy, co mu jest.

— No, a potem? Gadał co do was?

— Gadał rozmaite rzeczy, żałował się, że go tak długo trzymają, a on niewinny...

— Dosyć, dosyć! — przerwał kerkermajster. — Stara złodziejska piosenka. A pytał się was, czy był kto w kaźni, jak jego nie było?

— Pytał.

— A co wyście mu powiedzieli?

— Powiedzieliśmy mu, że nikogo nie było prócz klucznika.

— Co? Tak iście mu naprawdę powiedzieli? — zawołał kerkermajster groźnie.

— Naprawdę tak — rzekł Naczek czyniąc chytrą minę.

— A to dlaczego?

— Bo my, proszę pana kerkermajstra, bardzo się boimy dziada — łgał Naczek pochylając głowę. — Pan klucznik

mówił nam, że on pięćoro ludzi zabił, to co by mu to znaczyło jeszcze i nas w dodatku pozabijać? A gdybyśmy mu byli powiedzieli, że był pan kerkermajster i o niego się wypytywał, to on mógł by nas Bóg wie o co podejrzewać, mógłby myśleć, żeśmy na niego Bóg wie co nagałali, a wtenczas byśmy się mieli od niego!

— Widzisz go! Jaki on chytry! — zawołał kerkermajster, rozjaśniając oblicze. — No, i cóż on, uwierzył wam?

— Czemu by nie miał uwierzyć? Ostrzegaliśmy nas nawet przed panem kerkermajstrem.

— Czy tak?

— A jużci. Mówił, że pan kerkermajster stara się wywiedzieć jakieś jego sekrety i żeby panu kerkermajstrówi nic nie gadać.

— Tak? Więc oczywiście, że on ma jakieś sekrety, że się czegoś boi!

— Albo ja wiem — rzekł Naczek. — Nam on się z żadnych sekretów nie zwierzał.

— No, a jeżeli by się zwierzył, to tybyś mi powiedział? — dobrodusznie zapytał kerkermajster.

— Z największą chęcią! — rzekł Naczek.

— No, to ładnie, mój chłopczyku. Toście rozumnie zrobili, żeście mu wczoraj nic o mnie nie mówili. On was jeszcze nie podejrzewa, i być może, że wam kiedyś powie coś takiego, co się sądowi może przydać. I ty sam staraj się go czas od czasu wypytywać: o tego pana, co od niego uciekł, o żydów, o Rosję, a gdy się tylko co dowiesz, to szepnij rano klucznikowi, że chcesz do pana kerkermajstra, a on cię zaraz do mnie zaprowadzi.

— Dobrze, proszę pana kerkermajstra — rzekł Naczek.

— No, a powiedz mi jeszcze jedno, dlaczego twój brat z tego wszystkiego nic nie chciał powiedzieć?

Kerkermajster przy tych słowach wstał uśmiechając się ironicznie, jak gdyby chciał zmiażdżyć Naczka tym odkryciem. Ale Naczek stał skulony i spokojny i ani drgnął na to pytanie.

— Myśmy się tak z Władkiem umówili — rzekł Naczek — że w razie, gdyby nas pan kerkermajster o co pytał, to tylko ja będę gadał, a on ma się zapierać, że o niczym nie wie.

— A to dlaczego fak? — spytał zdziwiony kerkermajster.

— On miał się nawet stawić do pana kerkermajstra tak, żeby pana kerkermajstra doprowadzić do gniewu, żeby go pan kerkermajster wybił.

— Co? co? co? To wyście to między sobą umówili?

— Tak jest.

— Kiedy?

— Wczoraj w nocy, jak dziad zasnął.

— Ale po co?

— To, proszę pana kerkermajstra, jest taka rzecz — zaczął znowu chytrze Naczek i oczka jego zaigrały żywym ogniem, jak zwykle w chwilach, kiedy mu jakaś szczęśliwa myśl przychodziła do głowy. — Dziad Władkowi jakoś nie dowierza. To myśmy sobie myśleli, że gdy by on dostał od pana kerkermajstra dobre cięgi i przyszedł do kaźni zaplakany, to dziad wtenczas mógł by być pewny, że on panu kerkermajstrowi nic nie powiedział, i może by był z nami otwartzym.

Kerkermajster w osłupieniu spoglądał na genialnego chłopca i o mało go nie uściskał z radości.

— Niech cię pioruny biją, chłopcze! — krzyknął rzucając kańczukiem o stół. — Nigdy się z takiego kordupła jak ty nie spodziewał tyle przebiegłości. Fu, bracie! Ciebie pewnie czeka albo szubienica albo krzesło ministeralne! Ta ty już teraz pierwszego adwokata w pole wyprowadzisz! A może ty i przede mną nakłamał, ha?

— Pan kerkermajster sam to najlepiej wie, żem nie nakłamał — odrzekł pokornie Naczek. — Przecież pan kerkermajster z góry mi powiedział, że wie o wszystkim, a tylko chcę się dowiedzieć, czy ja szczerze i po prawdzie gadam.

Cios ten trafił w samo sedno, i kerkermajster zamilkł i wysłał Naczka z klucznikiem do kaźni, jeszcze raz poleciwszy mu, by się starał dobrze wyszpiegować dziada.

Hej, toż to uciechy, toż to żartów i śmiechu było w kaźni pod numerem 44, gdy Naczek do słowa opowiedział swe posłuchanie u kerkermajstra! Dziad Semko, choć ślepy i stary i bardziej zachmurzony niż kiedykolwiek, aż głowę rozdziawił, aż na miejscu spokojnie usiedzieć nie mógł, słuchając tego splotu chytrych kłamstw, które tak swobodnie płynęły z Naczkowych ust.

— Czy ciebie diabli mają, chłopcze! — zawołał. — Tak gadasz, jak gdybyś całą złodziejską akademię przeszedł. I skądęś ty się nauczył takich sztuk?

— O, żebyście wy, dziadu, pobyli byli choć miesiąc u naszej Wojciechowej, to takżebyście się byli tak nauczyli — rzekł Naczek. — Tam nie było wyboru: albo baty, albo kłam co się wlezie. Władek zawsze wołał milczeć albo przedrzeźniać przekłętą babę i brat baty, a ja zawsze wołałem się wykłamywać, no i za rok doszedłem do dobrej wprawy.

Rozumie się samo przez się, że w nocy było długie telegrafowanie przez wszystkie piętra kryminału aż do dziada, i że wiadomości otrzymane od aresztantów w zupełności potwierdziły to, co opowiadali Władek i Naczek.

Mimo to jednak dziad Semko z każdym dniem stawał się smutniejszy, blebszy i bardziej milczący. Nie grał już na lirze i nie opowiadał chłopcom bajek, jadł mało i prawie całe noce przesadywał bez snu na swym tapczanie, ciężko wdychając i przysłuchując się spokojnemu oddechowi śpiących obok niego dzieci. Chłopcy częstokroć pytali go, co mu jest, czy nie zameldować go do doktora, ale on uparcie odmawiał, że to nic, że wołałby widzieć obok siebie tysego diabła, niż więziennego doktora.

Chłopcy widzieli, że dziad z każdym dniem słabnie i opada na siłach, że na półgodzinny spacer z największym wysiłkiem wychodzi, ale dziad zakazał im zawiadamiać o tym klucznika, a niezjedzone potrawy wylewał do kibla, zaś chleb oddawał podczas spaceru aresztantom z sąsiedniej kaźni. Wreszcie jednego dnia, przyszedłszy ze spaceru, dziad natychmiast położył się na tapczanie i oczywiście używał wszelkich możliwych wysiłków, by nie stękać i nie jęczeć. Dopiero gdy klucznik obszedł i pozamykał kaźnie na noc, dziad poczuł się *nieco swobodniejszym*, rozebrał się i położył się na prześcielone przez chłopców łóżko. Milczał długo, i chłopcy myśląc, że mu jest lepiej i że zasnął, rozebrali się także i zasnęli.

Ale około północy dziad ich rozbudził.

— Słuchajcie, moje chłopczyki — rzekł on niezwykle zmienionym, drżącym i miękkim głosem. — Czuję że się śmierć moja zbliża. Długo myślałem, jak mam umierać, i postanowiłem odkryć wam jeden sekret. Czy styszycie mię, nie drzemiecie?

Chłopcy już od kilku dni przywykli byli do tego, że dziad budził ich w nocy, jeżeli czuł się mocniej niż zwykle osłabionym. Wkrótce też byli zupełnie ze snu wytrzeźwieni i zaczęli nacierać mu wodą nogi i piersi.

— Bóg wam zapłać, moje dobre chłopaki — rzekł dziad — ale teraz już mi nie trzeba waszej pomocy. Dajcie spokój! Słuchajcie, co wam powiem.

Chłopcy słuchali, nie porzucając jednak nacierania, które staremu widocznie przynosiło ulgę w boleściach.

— Jakiem żył, com zrobił — rzekł dziad, przerywając swe słowa ciężkim stękaniem — tego wam nie będę opowiadać. To już między mną i Bogiem rachunek. On wie, com zawinił, on też wie, com wycierpiał przedtem i potem, — on mię też sądzić będzie. Nie chcę brukać waszych młodych dusz nawet opowieścią tych strasznych rzeczy... Zresztą i sił by mi nie starczyło...

Boleści oczywiście wzmagały się, bo dziad prawie do krwi przygryzał wargi, by nie jęczeć na cały kryminał i nie przywołać tym dyżurnego klucznika.

— Słuchajcie tylko uważnie, co wam powiem! — mówił dziad, chwyciwszy obu chłopców za ręce i kurczowo przyciskając ich do wychudłej piersi. — Ten lis nie darmo na was naciskał. Zakopałem skarb, wielkie pieniądze. Bóg mi nie dozwolił z nich skorzystać, może za to, że je nieprawdą zdobył... Ochl... Chociaż nie wiem, za kim było więcej nieprawdy: czy za mną, czy za tymi, co te pieniądze zgromadzili! No, ale niech się dzieje Boża wola!

Umilkł na chwilę, a potem dalej rzecz prowadził:

— Jest, możecie słyszeć, miasteczko Towste, za Tar-nopolem, na Podolu. Za tym miasteczkiem o jakich tysiąc kroków jest wielka mogiła w polu. Łatwo ją znajdziecie, wychodząc na wschód z miasteczka. Od tej mogiły nie daleko do lasu, co się tędy ciągnie od gór Miodoborskich. Idźcie od mogiły równo pięćset kroków na północ, wejdziecie w las, a w tym lesie dojdziecie do starego dęba. Łatwo go poznać, bo ma duży krzyż wyrzynięty na korze, a dwa potężne korzenie widłami do wschodu zwrócone. Otoż między tymi widłami kopcie, odstąpiwszy dwa kroki od pnia. Wykopawszy jamę na łokieć znajdziecie płytę kamienną tak dużą, że ją tylko dwóch rękami podźwignąć zdoła, ale jeżeli jama jest dość szeroka, to można ją drągiem podważyć. Pod nią znajdują się pieniądze, złote i srebrne. Pamiętajcie te znaki, którem wam wyliczyłem!

Chłopcy słuchali, szeroko wytrzeszczywszy oczy w ciemności. Dziad po chwilowym milczeniu tak dalej mówił:

— Ale nie myślcie, że dla was, na waszą własność skarb ten zostawiam! Mówiłem wam, że on nieprawdą zdobyty,

Jaką? to nie wasza rzecz. Ale nieprawda nikogo nie zagrzeje, i wam by też nie wyszła na dobre. Dlatego dajcie mi święte słowo, że zrobicie to, co wam teraz powiem. Przyszekacie?

— Przyszekamy! — w jeden głos rzekli chłopcy, przejęci jakąś dziwną grozą.

— I niech was Bóg ciężko skarze, jeżeli to słowo złamiecie?

— Niech nas skarzel

— Amen! Słuchajcie więc! Skarb ten możecie wydobyć z ziemi dopiero wtenczas, jak będziecie mieli ukończonych dwadzieścia i cztery lat. Rozumiecie?

— Rozumiemy.

— W tym czasie macie pokończyć szkoły. Rozumiecie?

— Rozumiemy.

— Bóg wam dał zdolności — widać to po was. Grzech byście mieli, gdybyście je zmarnowali. Idźcie do szkół, ucźcie się, pilnujcie się, a gdy pokończycie szkoły, to oberzecie sobie każdy z was taki zawód, w którym jaknajwięcej będziecie mogli biednym ludziom dopomagać. Rozumiecie?

— Rozumiemy.

— Jestem ciemny i nieświadomy dziad, to i nie mogę wam wskazać drogi ani sposobów. Sami lepiej w swój czas zobaczycie. Ale jednego się strzeżcie! Nie idźcie na takie stanowiska, gdzie byście mieli ludzi męczyć lub wyzyskiwać! A jeżeli was zła dola na takie stanowiska popchnie, to w takim razie wara od mego skarbu! W takim razie niech on będzie przeklęty na wieczne czasy i niech każdy, co go się dotknie, będzie także przeklęty! Przyszekacie mi to?

— Przyszekamy.

— Jedno wam tylko powiem, i myślę, że to będzie najważniejsze — rzekł dziad po dość długim boleśnym milczeniu. — Słyszeliście ode mnie, jak mię pańszczyzna wypędziła z rodzimego gniazda i z porządnego gospodarza zrobiła żebrakiem, aresztantem. Co prawda, pańszczyzna została skasowana, ale takich jak ja, co przez nią zostali wyparci ze swej kolei, pozostały tysiące. Bywałem po różnych stronach kraju, widywałem ich. A jeszcze więcej pozostało takich ludzi i gromad całych, którym już po skasowaniu pańszczyzny panowie poodbierali lasy i pastwiska. Za dzieśnięć lat mego pobytu w kryminale setki widziałem ludzi, aresztowanych i sądzonych za bunty z tego powodu. Buntują się ludzie w każdej wsi, tracą pieniądze, posyłają deputacje do namiestnika i do cesarza, ale co im to pomoże? Panowie



sobie myślą: przepadła siekiera, to dobrze przynajmniej toporzysko zatrzymać, a panowie zawsze prędzej do namiestnika i do cesarza dostąpią, niż biedny chłop. Nie ma komu upomnieć się za biednym chłopem, i tracą nasze gromady swoje prawa, swoje grunty, swoje lasy, i będą tracić do reszty, jeżeli im nikt pomocnej dłoni nie poda. Więc myślałem sobie: a co, gdybyście tak wy się wyuczili na tęgich adwokatów, to przy pomocy tych pieniędzy, przeze mnie zdobytych, moglibyście stać się silnymi, moglibyście wszędzie znaleźć dostęp i znaczenie, a wtenczas moglibyście skutecznie i silnie bronić takich krzywdzonych. Chcecie to uczynić? Gdybym miał pewność, że to moje krwawe pieniądze pójdą na pomoc biednym, na obronę tych, z których zostały nazdzierane, to umarł bym spokojnie, w przekonaniu, że mi Pan Bóg wielką część mych grzechów odpuści. Przrzekacie mi, że zrobicie co będzie w waszej sile dla tego celu?

— Przrzekamy! — zawołali chłopcy w jeden głos i zalali się łzami, przysłaniając twarze do potężnych, ale wychudłych jak szcypy rąk starego rozbójnika.

— Niechże wam w tym Bóg miłosierny dopomóż! — rzekł Semko. — Nie płaczcie, moje chłopczyki! Raczej klękajcie i pomódlcie się, żeby mi Bóg dał prędkie skonanie.

Chłopcy łkając poklękali na podłogę i zaczęli się modlić. Po jakim kwadransie rzekł im dziad:

— Dosyć, dzieci, dosyć! Czuję, że Bóg wysłuchał waszej modlitwy. Lżej mi, znacznie lżej. Czuję, że zasną. Wstańcie i wy kładźcie się spać.

Chłopcy usłuchali go i położywszy się na swój łapczan prawie w tejże chwili zasnęli. Już był dzień całkowity, kiedy zbudził ich grzmot odmykanych zamków i kłódek i odsuwanych rygli u drzwi kaźni — znak, że przychodził klucznik z arestantami, którzy mieli wynosić kible. Chłopcy zerwali się z pościeli i napół senni wzięli kibel za żalazne uszy i wynieśli go na korytarz. Klucznik stał opodal i do kaźni nie zaglądał. Wróciwszy do kaźni, bracia znowu się pokładli i znowu twardo zasnęli. Lecz spali tym razem nie dłużej jak godzinę. Zbudził ich ponowny zgrzyt zamków u drzwi: to przyniesiono wypróżnione kible i zarazem inni arestanci, z worami przewieszonymi przez plecy, pod dozorem klucznika, roznosili inkwizytom chleb, po bochenku na dzień dla każdego.

Odebrawszy chleb i wniosłszy do kaźni kibel i wodę z konewką, bracia zaczęli, jak co dnia, myć się i ścielić łóżko. Teraz dopiero przypomnieli sobie nocną scenę, która w pierwszej chwili wydała się im jakimś snem fantastycznym. Śród zajęcia obaj zatrzymali się naraz i spojrzeli po sobie w milczeniu, a następnie, niby na dany znak, zbliżyli się do dziada. Zdziwiło ich to, że dziad spał tak twardo i spokojnie, nie stękał, nie kaszłał i nie ruszał się nawet. Jedno dotknięcie do jego chłodnego i sztywnego ciała przekonało ich, że dziad Semko Tuman, nie doczekawszy końca śledztwa, poszedł do domu.

Chłopcy nie poczuli osobliwego strachu na widok trupa. Dziad leżał nakryty dwoma kocami, obrócony do nich plecyma, tak że twarzy jego wcale widzieć nie mogli. Umyli się więc, zrobili w kaźni porządek, pośniadali chlebem i wodą i dopiero wtenczas zastukali w wizytyrkę, wołając klucznika. Nie prędko jednak jawił się klucznik, i jawił się z ordynansem.

— Czego stukacie? — krzyknął groźnie klucznik, odmykając drzwi.

— Dziad umarł — brzmiała krótka odpowiedź.

— Co? — przeciągnął klucznik, wchodząc do kaźni. I nie zważając na chłopców postąpił ku dziadowi, wziął go za nogę, lecz natychmiast cofnął rękę i splunął.

— Tam do diabła! — rzekł. — Umarł naprawdę! Kiedy umarł?

— Musiał w nocy umrzeć — odpowiedzieli chłopcy. — Wczoraj po południu bardzo był zastał, stękał i jęczał.

— Czemużecie mię nie zawołali, urwisze?

— On nic nie kazał, a myśmy nie myśleli, że z nim tak źle jest — rzekł Władek.

— A nie wiecie dokładnie, kiedy umarł?

— Nie, spaliśmy, dopiero teraz chcieliśmy go zbudzić, a on nieżywy.

— Władysław Kalinowicz i Ignacy Kalinowicz — do sądu! — rzekł naraz ordynans, który stał we drzwiach.

I znowu drgnęli bracia na to wołanie, chwycili za czapki, wzdziali na nogi wielkie i bezkształtne aresztanckie trzewiki i poszli z ordynansem. Zdziwili się nieco, gdy w kancelarii sędziego śledczego zastali poszkodowanego przez nich gospodarza z Wólki. Sędzia wstał z krzesła i zbliżywszy się ku braciom rzekł:

— No, cóż, urwisze, sprawa wasza skończona. Macie po-  
dziękować sądowi, że uchwalił nie trzymać was dłużej,  
zważając na wasz wiek dziecienny. Podziękujcie także temu  
panu, który bacząc na wasze przyznanie się do winy, prosił,  
żeby mieć wzgląd nad wami! Ukłońcie mu się do nóg  
i pocałujcie go w ręce!

Chłopcy rozptakali się i uczynili, co im sędzia kazał.

— Sąd uważał także na pamięć waszego ojca, którego  
tu wszyscy znali i dlatego uchwalił was wypuścić na wol-  
ność, dawszy wam tylko małeńkie napomnienie na pamiętkę,  
żebyście się nie kompanowali z lampartami i prowadzili  
porządne życie.

— Niech nas świetny sąd jeno odbierze spod opieki  
Wojciechowej, to my się poprawimy — rzekł śmiało Władek,  
kłaniając się sędziemu.

— A jeżeli będziemy u Wojciechowej, to musimy zejść  
jeszcze na gorszą drogę — dodał Naczek.

— A to dlaczego? — zapytał sędzia.

— Jeść nam nie daje, bije, z chaty napędza, naszą pensję  
bierze, a do szkoły nas posyłać nie chce ani żadnej innej  
roboty nie uczy, to co mamy czynić? — rzekł rezolutnie  
Władek. — Musimy iść na cudze kartofle.

— A wy byście chcieli do szkoły chodzić? — pytał sędzia.

— Rozumie się — odrzekli chłopcy.

— A o jakiej to oni pensji mówią? — zapytał wólecki  
gospodarz.

— Ich ojciec był starszym kancelistą, to po jego śmierci  
idzie na nich trzecia część jego pensji aż do ich pełnolet-  
niości.

— A oni już chodzili do szkoły? — pytał dalej tenże  
gospodarz.

— Byli już w trzeciej klasie — rzekł sędzia. — Mam tu  
w aktach ich świadectwa, widać, że zdolne chłopcy. Dopóki  
żyła ich matka, to ich pilnowała, a jak im matka przed  
rokiem umarła, to zesłi na psy.

— To proszę prześwietnego sądu — rzekł kłaniając się  
gospodarz — jeżeli by prześwietny sąd nie miał nic przeciw  
temu, to ja bym ich wziął w swą opiekę. Jestem zamożny  
i mam jednego synka, ich rówieśnika, także do trzeciej  
klasy chodzi, to niech by się uczyli razem. Łózka mi nie  
zależą i chleba nie przejedzą, co na nich z kasy przyjdzie,  
to też na nich obrócę, dla siebie nie potrzebuję niczego, bo  
mam Bogu dzięki i swego dosyc. Jeżeli są tacy zdolni, jak

pan sędzia mówi, to i mój chłopiec od nich skorzysta. A już za to ręczę, że im się rozłampartować nie dam! To już w tym moja głowa!

— Widzicie, łobuzy! — rzekł sędzia, wzruszony uczciwością chłopca. — To ten sam człowiek, któregoście obkradli i pokaleczyli! A on oto jak z wami chce postąpić! Zaraz mu dziękujcie i przeproście za to, coście mu przedtem nabroili! A co do opiekuństwa nad tymi malcami — rzekł sędzia zwracając się do gospodarza — to musicie się zwrócić do sądu opiekuńczego i tam złożyć oświadczenie. A my stąd napiszemy, żeby odebrać opiekuństwo tej grajzlerce, która sprowadziła dzieci na taką złą drogę. A teraz, moi kochani, kiedy ta rzecz tak ładnie została załagodzona, musicie jeszcze odebrać to upomnienie, które wam sąd przeznaczył, i to wobec poszkodowanego. Ordynans!

— Słucham pana sędziego — rzekł ordynans stając we drzwiach.

— Wprowadź tutaj tych z klatki!

Chłopcy stali zmieszani i nieco zaniepokojeni, spoglądając to po sobie, to na sędziego, gdy wtem drzwi się otwarły i weszło trzech drabów w aresztanckich mundurach, z których jeden trzymał w ręku dobrze im znany kańczuk z kancelarii kerkermajstra.

— Bierzcie na sam przód tego — rzekł sędzia wskazując na Naczka — i dajcie mu dziesięć!

I zanim biedny Naczek zdołał przyjść do siebie, już leżał na ławie wyciągnięty jak struna, jeden z drabów trzymał go za głowę, drugi za nogi, a trzeci już i operację rozpoczął. Wrzasnął z bólu biedny Naczek, ale to mu nic nie pomogło.

— Nie krzycz — rzekł do niego Władek. — Nie wiesz, że tu kancelaria?

To upomnienie rozśmieszyło wszystkich, ale nie wybawiło ani Naczka, ani samego Władka od bolesnej operacji, tylko że Władek wytrzymał sądem przepisane razy, jak polano, ani pisnąwszy z bólu.

— To mi zuch chłopiec — rzekł ich nowy opiekun, gdy Władek po odebraniu kary wstał z ławki. — Z tego będzie tęgi człowiek.

Ukloniwszy się sędziemu, chłopcy wyszli. Ordynans zaprowadził ich jeszcze raz do kaźni, by oddali rzeczy skarbowe. Dziada już w kaźni nie było — podczas ich niebytności przeniesiono go do trupiarni. Kerkermajster, zły i ponury, kazał

pozdejmywać z nich aresztanckie ubranie, i oddać im ich własne łachmany, ale co im to znaczyło teraz, kiedy ich przyszłość bodaj jako tako była zapewnioną! W całkiem odmiennym usposobieniu niż weszli tu przed kilkoma tygodniami, opuścili bracia ten „dom płaczu” i wyszli przez wąską furtkę na ulicę Halicką, gdzie nowy ich opiekun już ich oczekiwał. Widząc smutny stan ich kostiumów i ich bose nogi — bo kerkermajster, zły, że ich nie mógł jeszcze przynajmniej dzień u siebie zatrzymać i o ostatnie chwile dziada wypytać, wypuścił ich zupełnie w tym samym, w czym byli weszli — uczciwy człowiek poszedł z nimi prosto na tandetę i pokupował im tanie buty i ubrania, a złożwszy jeszcze w sądzie opiekuńczym potrzebne oświadczenie, udał się ze swymi nowymi pupilami na Wólkę.

## V

Było to w jesieni 1874 roku. Bracia Kalinowicze zajmowali ładne pomieszkane przy ulicy Pańskiej, na pierwszym piętrze w oficynie, złożone z dwóch pokoi, jednego saloniku i kuchni. W jednym pokoju znajdowała się sypialnia obu braci, w drugim wcale bogata biblioteka i pracownia, a salon służył zarazem za jadalnię. Mimo że to było mieszkanie kawalerskie, to przecież urządzenie było nadzwyczaj gustowne i praktyczne, chociaż dalekie od wszelkiego fałszywego blasku i przepychu; za to porządek wszędzie był wzorowy, czystość nic nie pozostawiająca do życzenia. Bracia Kalinowicze, chociaż młodzi kawalerowie, prowadzili życie tak regularne i umiarkowane, że mógł by im pozazdrościć nie jeden człowiek familijny. Wprawdzie nie było to życie mólów książkowych i gabinetowych mruków — przeciwnie, bracia chętnie bywali w towarzystwach czy to w licznych domach prywatnych, czy w kasynach i klubach, brali udział w zabawach i rozrywkach towarzyskich, — ale wszędzie i we wszystkim umieli zachowywać miarę, we wszystko wnosili jakiś odcień myśli poważnej, głębszej, co nadawało im osobliwy takt w obchodzeniu i otaczało ich pewnym urokiem, który odszczególniał ich pomiędzy masą wykształconej młodzieży stolicy.

Bracia Kalinowicze właśnie przed rokiem ukończyli uniwersytet — Władysław wydział prawniczy, a Ignacy filozoficzny, a przed miesiącem pozdawali obydwa summa cum laude egzamina doktorskie. Władysław odbył już praktykę

sądową i został przyjęty do kancelarii jednego z pierwszych lwowskich adwokatów na praktykę adwokacką. Ignacy zaś obrał sobie całkiem inny fach: nie myślał o karierze pedagogicznej, ale mając już z dawna zamiłowanie do historii i publicystyki i porobiwszy gruntowne studia nad politycznym, ekonomicznym i umysłowym stanem kraju, zamierzał z nowym rokiem założyć dziennik polityczno-społeczny, poświęcony obronie spraw krajowych, specjalnie zaś obronie spraw ludu wiejskiego, i stanąć sam na czele tego dziennika jako kierownik, redaktor i główny współpracownik. Obaj byli młodzi, przystojni, zdrowi i zdolni, a oprócz tego zamożni i niezależni, — nie dziw więc, że życie ścieliło się przed nimi, jak brukowany gościniec. Zapraszano ich do wszystkich lepszych domów nie tylko wyższej inteligencji, profesorów uniwersytetu, nauczycieli i urzędników, ale i majątnego, inteligentnego mieszczaństwa, i wszędzie witano ich rado i odszczególniano pod niejednym względem. U pięci pięknej mieli także szczęście i niejedna matka cichaczem błagała Boga, by mogła któregoś z nich nazwać swym zięciem. Bracia zaś wszędzie i wobec wszystkich zachowywali się z godnością i taktem, nie zapominając jednakowoż, że byli młodzi i mieli krew gorącą i serce tak samo jak i u innych pragnące użyć rozkoszy życia. Zawiązywały się też często stosunekczki, które żywiej poruszały krew młodzieńczą, rodziły mnóstwo świetnych marzeń, lecz po krótkim czasie rozplywały się nieznacznie, jak różowe chmurki w dzień letni.

Co prawda, nikomu z „towarzystwa” nie było rzeczą tajemną, że bracia Kalinowicze pochodzili z niskiego rodu, że byli synami ubogiego kancelisty, który znowu swoją drogą był synem ubogiego księdza rusińskiego, że pozostawszy wcześniej sierotami bez ojca i matki jakiś czas pędzili żywot lwowskich uliczników i raz nawet weszli w konflikt z władzami i zawarli bliższą znajomość z wewnętrznym urządzeniem kryminału, — wszystko to z dawna wiadomym było od kolegów szkolnych Kalinowiczów, i jakiś czas niektóre zbyt dumne damy próbowały nawet szpilkować braci w towarzystwie napomknieniami na tę ich nieświetną przeszłość, ale bracia przyjmowali te szpilki z taką dobroduszną obojętnością, tak dalecy byli od obrażenia się lub jakiegokolwiek z tego powodu irytacji i taką okazywali gotowość do opowiadania coram publico epizodów ze swego ówczesnego życia, które nazywali swą pierwszą i najcięższą szkołą, że wkrótce wszystkim odeszła ochota do jakiegokolwiek bądź

szpilowania, i młode lata braci przestały być ową ponurą chmurą, któraby rzucała cień na teraźniejszość, ale przeciwnie, stały się jakąś niewyraźną, nieco nawet romantyczną pomroką, na której ciemnym tle jeszcze korzystniej odbijały się sympatyczne postacie braci Kalinowiczów.

Wiedzano też, że później byli na utrzymaniu u prostego chłopca z Wólki, którego i obecnie jeszcze otaczali swą wdzięcznością, obdarzali synowskim prawie przywiązaniem, ale i to nie czyniło im żadnej ujmy w oczach „towarzystwa”. Chociaż słynęli jako chłopomani, jednak tak mało było chłopskiego w ich postaciach, ułożeniu i słowach, tak oględnie i delikatnie umieli zajmować stanowisko, gdy rzecz zaszła o przekonaniach i poglądach, że zaznaczali swoje stanowisko z wszelką stanowczością, ale też i z wszelkim umiarkowaniem, nigdy nie dochodząc do fanatyzmu i zaślepienia partyjnego, nigdy nie stawiając swych poglądów wyzywająco, nie rzucając swym przekonaniem nikomu w oczy. Słuchano ich argumentów z uśmiechem, ale nie bez przyjemności, tym więcej, że w dyskusje tego rodzaju zapuszczali się niechętnie, niby od niechcenia. Oczywiście nie szło im o propagandę, o prędką zmianę przekonań obcych, ale raczej o staranne odgrodzenie własnych. Byli to więc, jak się wyrażały damy z „towarzystwa” — „chłopomani comme il faut”, a jak mówili mężczyźni więcej biegli w kwestiach politycznych i umiejący cenić wagę argumentów, byli to „demokraci, z którymi można gadać”.

Niewątpliwie, że największa część uroku, jaki otaczali tych demokratów, osobliwie w oczach ludzi starszych, leżała w tej wiadomości, że bracia Kalinowicze — ludzie zamożni, ba nawet bardzo majątni. Skąd wychowańcy prostego chłopca z Wólki, od którego nie tylko że nic prócz utrzymania nie dostali, ale którego przeciwnie nieraz jeszcze i sami w późniejszych latach wspomagali, — przyszli do majątku? Nikt tego dokładnie nie wiedział. Przez cały czas swego szkolnego życia bracia zarabiali wiele lekcjami prywatnymi, i już wtenczas wyrobili sobie wziętość i częstokroć przyjaźń i nieproszoną protekcję w wielu wpływowych domach. Nosili się zawsze porządnie, nawet elegancko, ani w ich kształtach, ani w minach, ani w słowach nic nie zdradzało ciężkiej walki o chleb powszedni. Byli w każdym wypadku spokojni i pewni siebie, jak chłopcy w najlepszych stosunkach wychowani. Gdy wstąpili na uniwersytet, stosunki ich jeszcze się poprawiły: obaj dostali krajowe stypendia, które obok lekcji

prywatnych umożliwiły im porządne utrzymanie na własną już rękę, we Lwowie, i zgromadzenie dobranej i cennej biblioteki dla studiów fachowych, którym się zamierzali poświęcić. Już wtenczas żaden z towarzyszy uniwersyteckich nie wpadał jakoś na myśl wypytywać ich o stosunki majątkowe: wszyscy wiedzieli, że Kalinowiczowie żyją dostatnio, że chętnie dopomagają potrzebującym kolegom, ale że wszystkie ich środki są wyłącznie owoce ich usilnej i różnorodnej pracy.

Lecz po ukończeniu uniwersytetu stosunki nieco się zmieniły. Bracia dostali z Rosji od jakiegoś nieznanego adwokata uwiadomienie, że stryj ich matki umarł bez rozporządzenia ostatniej woli i pozostawił znaczny spadek w gotówce i dobrach ziemskich. Adwokat, któremu rząd porучzył kuratorię masy spadkowej, za pomocą długiej procedury sądowej dowiedział się o istnieniu braci i prosił ich, by zaopatrzeni w dokumenty stwierdzające słuszność ich pretensji czym prędzej przybywali do Rosji. List ten widziało kilku kolegów, chociaż żaden z nich nie umiał go odczytać, bo list był pisany po rosyjsku. I rzeczywiście bracia wybrali się w drogę. Zabawiwszy w Rosji niespełna miesiąc, powrócili spokojni jak zwykle, nie okazując żadnych oznak radości ani smutku. Gdy ich się koledzy zaczęli wypytywać o spadek, odpowiadali krótko i niechętnie, nie chcąc opisywać rosyjskiej procedury, ale przyznali się, że w rezultacie podróż ich uwieńczoną była pomyślnym skutkiem. Z luźnych wzmianek, pochwyconych w ciągu rozmowy, koledzy wywnioskowali tylko tyle pewnego, że prócz Kalinowiczów był jeszcze inny pretendent do spadku i że bracia dokonali w drodze polubownej podziału w ten sposób, że pretendentowi odstąpili dobra ziemskie, a sobie zatrzymali kapitał gotowy. Ile ten kapitał wynosił, tego się nikt nigdy od braci dokładnie nie dowiedział: niektórzy mówili o krociach, inni sceptycy o kilku zaledwie tysiącach. Bracia sami, gdy słuchy podobne o ich obijały się uszy, uśmiechali się i ściskali ramionami, jak gdyby uważali to za rzecz niegodną bliższego objaśnienia. A gdy czasem jakie niedyskretne usteczka za nadto uporczywie nalegały na nich, by ciemny ten punkt wyjaśnili, bracie zawsze umieli wysliznąć się zręcznym zwrotem, w rodzaju n. prz. ogólnika, że „na nasze życie wystarczy”, lub że „nie pieniądze nadają człowiekowi wartość, ale człowiek pieniądзом” i że „wszelki kapitał wtenczas tylko ma wartość dla ludzkości, jeżeli obracany bywa na rzeczy korzystnie



dla ludzkości, a w razie przeciwnym staje się tylko Molochem, pożerającym tysiące ofiar, ale nie tworzącym niczego żywego". Piękne to były myśli, ale ani nie nowe, ani nie stanowiące odpowiedzi na pytanie. Dopiero gdy się rozeszła wieść, że jeden z Kalinowiczów zamierza na własną rękę wydawać dziennik, gdy zliczono, ile takie przedsiębiorstwo już od pierwszego kroku kosztuje: sama kaucja 6000 złr, najęcie lokalu, drukarnia, współpracownicy, administracja, kolporterzy i Bóg tam jeszcze wie co, — gdy rozważono, że Ignacy Kalinowicz zanadto jest rozsądnym, by nie wrzucić w to przedsięwzięcie całego swego majątku, i że Władysław Kalinowicz musi posiadać co najmniej drugie tyle, co Ignacy, — to gorące umysły i żywe wyobraźnie rozmaitych przyjaciół i przyjaciółek z wszelką matematyczną ścisłością obliczyły majątek obu braci — jedni na 100, drudzy na 200, a inni nawet na 500 tysięcy złr. Nie dziw więc, że Kalinowiczowie stali się najbardziej interesującymi młodzieńcami w salonach inteligentnego towarzystwa. Najwyższa śmietanka, towarzystwo magnackie, arystokratyczne trzymało się, jak zawsze, zupełnie osobno, w swym ciasnym, zamkniętym kółku; przeniknąć w ten odrębny i wcale dla nich niepojętny świat bracia ani się starali ani pragnęli.

Właśnie wybiła szósta na wieży bernardyjskiej; zmierzch już zapadł zupełny. W saloniku i w pokojach braci Kalinowiczów paliło się kilka lamp i świec, krzątała się stara kucharka, która służyła im zarazem za gospodynię i usługę; prócz starej Mikołajowej kręcił się też najęty z traktierni kelner i jeszcze jeden, również na dzisiejszy tylko wieczór najęty sługus, ustawiając stoły i krzesła, rozwieszając w odpowiednich miejscach lampy, przenosząc krzesła i sofy. Kucharka pozaścielała stoły i następnie poszła do komody po serwety, podczas gdy kelner na kredensie rozkładał przyniesione z traktierni talerze, półmiski, noże, łyżki i widelce. Bracia tymczasem w swej sypialni urządzali wszystko, co było potrzebnym, by ją chwilowo przekształcić w elegancki fumoir, zaopatrzone we wszystko, co rozwesela serce namiętego pałacza.

— Ile nakryć każą panowie właściwie przygotować? — zapytała Mikołajowa z sąsiedniego pokoju, z odcieniem niechęci i rozdrażnienia w głosie.

— Dwadzieścia, Mikołajowa, dwadzieścia — rzekł łagodnie Władek. — Ale na wszelki wypadek nie zaszkodzi, jeżeli będziecie mieli jeszcze z pięć nakryć i porcyj w re-

zerwle. Dwudziestu panów nam się obiecało, ale może ich się i więcej zbierze.

Mikołajowa odeszła mrucząc coś pod nosem i podejrzliwie pilnując oczyma starych sługusów, takich zwinnych jak wiewiórki a spoglądających tak po złodziejsku, jak sroki.

— I po coteż moi panowie muszą zgromadzać u siebie tyle wszelkiej hołoty? — mruczała stara kucharka, przebie-  
rając bieliznę w komodzie. — Dawaj temu jeść i pić i wszelkie wygody. Narobią tu krzyku, śmiecia, nieporządku, dymu i plotek, i dalibóg nie wiem, po co to się wszystko zdało? Przecież to moi panowie, Bogu dzięki, nie tacy, by potrzebowali tej różnej hołocie stać o łaskę. Pewnie mają tyle, żeby ich wszystkich mogli z duszą i ciałem zakupić. Ba, kiedy to młodość nigdy nie rozważy, że staremu może to być za trudnem na jego stare kości! „Musimy się, Mikołajowa, postawić! Będziemy mieli gości!» — i masz babo re-  
duty. Staw się, Mikołajowa! Staraj się, żeby wszystkiego było pod dostatkiem, i jadła, i piwa, i wina, i cygar, i nakryć, i krzesel, i talerzy, i naczyń, i Bóg nie wie czego jeszcze! A wszystko to na mojej głowie, bo przecież panowie sami nie będą się tym zajmować, mają co innego do roboty. Ha, cóż mam robić, niech i tak będzie. Zobaczymy, czy stara Mikołajowa nie potrafi jeszcze wystarczyć za dwie młode ficyfindry dzisiejszych czasów!

Zanim jeszcze wszystkie przygotowania były poczynione, zaczęli się schodzić goście, zaproszeni przez braci na koleżeński wieczorek. Nie był to już pierwszy wieczorek przez nich sprawiany, ale pierwszy, na który zaproszono tak liczne i różnorodne grono. Byli tu adwokaci i urzędnicy, koncypiści i adiunkci, a nawet jeden radca sądu krajowego. Było dalej kilku dziennikarzy i literatów i kilku posłów sejmowych, a między nimi dwaj księża rusińscy. Przeważna część tych ludzi znała się między sobą; niektórzy przychodzili grupkami i bądź to siedząc w salonie, bądź też przechadzając się po sąsiednich pokojach, ciągnęli dalej zaczęte na ulicy rozmowy. Bracia witali wchodzących serdecznie i bacznym okiem śledzili za rozmawiającymi grupami jako też za tymi, którzy siedzieli milcząc. Tu jeden, tu drugi z nich starał się jakimś zręcznym zwrotem podtrzymywać rozmowę, znajomić między sobą ludzi pierwszy raz przybyłych i wprowadzać w konwersację świeże elementy.

— Słuchaj Władku, co to u was dziś za zbiegowisko takie? — zapytał Władka po cichu jeden koncypient adwo-

kacki, starszy od Władka o parę lat, któremu pozostało już tylko cztery lata praktyki do otwarcia własnej kancelarii adwokackiej.

— Cóż, bracie — rzekł Władek. — Wstępujemy w nowe życie, gdzie nam się przyjdzie stykać z różnymi elementami. Chcieliśmy więc ten wstęp uświęcić taką uczną pamiątkową, która by nam dała w miniaturze obraz tego życia i tych elementów.

— Niech was diablił — krzyknął koncypient i zaśmiał się głośno. — Więc my wszyscy mamy być dla was niby ilustracją w humorystycznej książce! Kłaniam uniżenie!

— No, cóż, bracie — odrzekł spokojnie Władek ściskając jego rękę — z tej strony na rzecz patrząc, to wszyscy my jesteśmy równocześnie ilustracjami dla innych i spektatorami dla siebie. Przypatrzyć się temu album ilustracyj, które tu masz przed sobą, może i ty cokolwiek skorzystasz.

— Co do mnie, to nie masz się czego obawiać — rzekł koncypient. — Ja mam swój cel na oku. Chcę pozyskać względy pana radcy, a za jego pośrednictwem wtargnąć w serduszek jego córki. A śliczną ma córunię, dalipan! I posazną, ma się rozumieć. Warto trudu i zabiegów, żeby tę rzecz pomyślnie zreferować. A może ty mi mógł co pomóc?

— Z największą ochotą — rzekł Władek — chociaż nie wiem jeszcze, w jakimby to sposób mógł uczynić. Z radcą znam się, ale nie tak blisko, żebym mógł mieć wpływ na jego rodzinne sprawy. Zresztą to wszystko zależy od okoliczności.

— Proszę cię, nie zapomnij o tym! — rzekł koncypient i uściskawszy gorąco rękę Władka poszedł do innej grupy.

— A, gratuluję panu, gratuluję! — mówił do Naczka siwy, rozczochrany redaktor, jowialnie potrząsając rękę młodzieńca. — Zaszczył to dla naszego stanu, jeżeli tacy młodzi i zdolni ludzie poświęcają dla niego swą karierę, swój czas i kapitał.

— Cóż, panie redaktorze — odpowiedział Nacek — każdy szuka drogi, która mu najdogodniejsza dla jego celów. Nazywać to poświęceniem, to zdaniem moim nadużycie wielkiego słowa.

— Ej, wy młodzi, młodzi — rzekł kiwając głową redaktor. — Zdaje wam się, że jak wybieriecie drogę, która wam się chwilowo podoba, to ona też będzie najdogodniejszą. A nasza droga, panie łaskawy, wcale nie różami wysłana!

— Czyż ja tego żądam? — wtrącił Nacek.

— Teraz może pan jeszcze nie żąda — rzekł posępnie redaktor. — Teraz jeszcze pan młody, w pełni rozkwitu sił i nadziei. Ale co pan powie, jeżeli pan tak jak ja stera trzydzieści lat w tym rzemiośle? Ugnie się grzbiet pod ciężarem drobnej pracy, nie pozostawiającej po sobie żadnego głębszego śladu. Przedwcześnie posiwieje włos od trosk i zgryzot z powodu spraw, któreby w innym stanie człowiekowi ani przez myśl nie przeszły, które z własnymi jego interesami najmniejszego nie mają związku. A co najsmutniejsza, mój panie miły, to to, że przebywszy tę długą, ciernistą drogę, staniesz, obejrzyś się myślą wstecz, i cóż zobaczysz? Wyszliśmy z bezmyślności, deptaliśmy ścieżką po bezmyślności, i dochodzimy omal że nie do tego samego punktu, z któregośmy wyszli.

— No, panie redaktorze — rzekł poważnie Naczek — myślę, że tak kategorycznie tego twierdzić nie można. Przecież wstępując na jakąkolwiek bądź drogę, a tym bardziej na taką par excellence publiczną drogę, jak publicystyczna, każdy myślący człowiek musi mieć jasno sformułowany program, cel swej działalności, jasno wytknięte drogi, wyrobione poglądy, zdecydowane sympatie!

— Te, te, te! — rzekł stary redaktor, machnąwszy ręką, — Trafia się i tak, że niejedyn, wstępując do gazeciarskiego rzemiośla, rzeczywiście wnosi z sobą jakiś program i jakieś ideały. Ale na długo tego nie wystarczy. Szarpie się człowiek, zadaje sobie trudu, dowodzi, argumentuje, poucza, a wreszcie opuszcza ręce, przekonawszy się, że tych jego, krwią i nerwami pisanych artykułów nikt prawie nie czyta, a jeżeli kto czyta, to chyba pewnie nikt nie przemyśli, nie przecezuje i bodźców do czynu z nich nie wyciągnie.

Naczek z niedowierzaniem przechylił głowę na lewo i uśmiechnął się.

— No, panie redaktorze — jeżeli tak jest, to przyznaj pan, że nie warto być dziennikarzem. Lepiej buty szyć, lub kamienie tłuc.

— Jak dla kogo, mój panie łaskawy, jak dla kogo! Ja na przykład tak się już wciągnąłem w to jarmo, że porzucić je znaczyłoby dla mnie chyba żyć przestać.

— Ależ to przecież można zejść z rozumu, dzień w dzień robiąc robotę, o której się ma z góry przekonanie, że na nic się nie zdała.

— Pardon, łaskawy panie, tego nie mówiłem! — żywo krzyknął redaktor. — Dwojakiem może być pojmowanie

istoty dziennikarstwa. Jedni pojmują je jako nauczyciela i oświeciciela publiczności, przedstawiając sobie w prostocie ducha, że mogą wpłynąć na publiczność, wyrabiać jej smak i przekonania, prowadzić ją do celów, co w nieskalanej, teoretycznej świetności błyszczą przed ich wyobraźnią. Drudzy rozumieją tę rzecz daleko skromniej. Nie pnąc się na trybunę, do której nie czują w sobie zdolności, są oni jedynie sługami swej publiczności, spełniają pewną funkcję społeczną, zaspokajając ciekawość, zadowalniając gusty i upodobania tej masy, z której żyją. Hasłem ich jest to, co powiedział nieśmiertelny Dickens: „Dawajcie tym dzieciom fakty, tylko fakty, jak najwięcej faktów!” Być może, że pan to nazwie degradacją godności ludzkiej — bo są i tacy, którzy coś podobnego widzą w tym drugim pojmowaniu służby dziennikarskiej. Lecz ja nic w tym zdrożnego nie widzę. Nie możemy być nauczycielami i prawodawcami — bądźmy reporterami!

Towarzystwo podzieliło się na grupy, zajęte żywą rozmową. Grupa prawników, osobiwie młodszych, pomалу skoncentrowała się około radcy sądowego, który opowiadał o nowym buncie agrarnym w powiecie T-skim, gdzie baby z kociubami długi czas stawiały opór dwom kompaniom wojska, które przyszły na wieś w celu egzekucji z powodu gwałtu popełnionego przez gminę na dziedzicu z powodu ostatecznego przegrania długoletniego i kosztownego procesu serwitutowego. Pomimo oporu bab żołnierze zajęli wieś, zniszczyli ją kompletnie przez czas czterotygodniowego pobytu, a trzydzieści osób obojej płci jest aresztowanych i osadzonych w tutejszym kryminale pod zarzutem zbrodni zaburzenia spokoju i porządku publicznego i czynnego oporu władzom.

— Jedno mię tylko dziwi — rzekł radca do Władka — jakim sposobem pański adwokat przyjął ich obronę.

— A to dla czego? — zapytał Władek z całkiem niewinną miną.

— Rozumie się, mam wszelki respekt przed zdolnościami pana mecenasa — rzekł radca — ale o ile wiem, jest to pierwsza chłopska sprawa, której obrony on się podjął z własnej chęci. Musi tu zachodzić rzeczywiście jakaś niezwykła komplikacja, tym więcej, że, jak mówię, wieś jest ekonomicznie prawie zupełnie zrujnowaną, a więc honorarium, takim, do jakich przywykł pański mecenas, tu ani mowy być nie może.

— Komplikacja zachodzi o tyle chyba — odrzekł spokojnie Władek — że sieć intryg i nadużyć, które popchnęły lud do ekscesów, jest rzeczywiście oburzającą. A co do honorarium, to mam to przekonanie, że interesy mego pana mecenasa na tej sprawie wcale nie ucierpią. Cała wieś oświadczyła dziwną jednomyślność i solidarność w tej sprawie. „Ażebyśmy się mieli wszyscy zaprzedać żydom w niewolę, to się zaprzędamy, a swoich obronimy z więzienia!” Sam na własne uszy usłyszałem te słowa.

W innej grupie rozprawiał ksiądz rusiński i zarazem poseł sejmowy o ubiegłej sesji sejmu krajowego.

— Jestem Rusinem, panie dobrodzieju, i nie wstydzę się tego — perorował ten czcigodny kapłan i przedstawiciel narodu. — Nasz święty obrządek grecko-katolicki jest mi nadewszystko drogim. Ale tego, panie dobrodzieju, pojąć nie mogę, co się w tym naszym kraju i w sejmie dzieje. Te wieczne swary i niesnaski o narodowość, o język! Mój Boże, niby to my nie wszyscy w jednego Boga wierzymy? Niby to pan Bóg na to nas stworzył jednych Polakami a drugich Rusinami, ażebyśmy sobie z tego powodu nawzajem łby rozbijali? A mnie się ciągle zdaje, że całej tej kłótni jedna jest przyczyna — konstytucja. Na co nam jej? Czyżemy to bez niej nie żyli spokojnie, chwając Boga i słuchając władzy? Co nam się mieszać do rządzenia, kiedy nas tego w szkołach nie uczono, i prawdę mówiąc, o tejsztuce nie mamy pojęcia. Niech rządzą ci, których Bóg u steru postawił, a my słuchamy ich i pełniemy każdy swe obowiązki w naszym zakresie. Dopóki nie było tej nieszczęśliwej konstytucji, nie mieliśmy też narodowych swarów, była zgoda i miłość bratnia. A teraz, wiercie mi państwo, coraz ku gorszemu idzie. O! w przeszłym roku przeforsowali uchwalenie rusińskiego gimnazjum. Po co im tego? Dalibóg, nigdy pojąć nie mogłem. Po co chłopom gimnazjów? A księża i z niemieckich i z polskich zakładów dobrzy mogą wychodzić. I komu gdzie na świecie rusiński język przydać się może? Nie, byle tylko Polakom na złość! No, panie dobrodzieju, moje sumienie nie pozwalało mi głosować za takim zgubnym wnioskiem! Więc wyszedłem z sali podczas głosowania, i tym się szczycę. A cesarz nasz łaskawy i dobry, myśli sobie: napaarliście się, więc miejcie sobie to gimnazjum! Więc i sankcjonował tę uchwałę. Ale ja się nigdy nie dam skusić, bym miał swoje dzieci posyłać do tego zakładu. Ja chcę, żeby moje dzieci, panie dobrodzieju, dały sobie radę w świecie, i posyłam je do niemieckiego gimnazjum.

Z niemieckim, panie dobrodzieju, dziś cały świat zejść można, a z rusińskim dokąd się ruszysz? Nie, ja myślę, że myśmy jeszcze do konstytucji nie dojrżeli. Może ona gdzieś tam w Anglii lub Szwajcarii dobra, ale dla nas to za ostry napój. I zgody narodowości u nas nie będzie, dopóki we wszystkich szkołach, poczynawszy od normalnych, i we wszystkich urzędach nie będzie znowu przywrócony język niemiecki. Ani Polakom ani Rusinom nie będzie krzywdy, nie będą mieli o co jedni drugim zazdrościć. Chłopi po wsiach mogą sobie mieć swą chłopską mowę w swych szkółkach — rusińską i mazurską; nie umiając po niemiecku, nie będą przyjmowani do szkół wyższych, nie będą się piąć na tę drabinę, na którą piąć się nie powinni, i będziemy mieli jaknajpiękniejszy porządek i harmonię społeczną.

Mowę tę przyjęli słuchacze w milczeniu, ale z wyrazem jakiejś trwogi, jakiegoś niepokoju na twarzach, jak gdyby nagle spostrzegli, że zamiast wygodnych plecionych krzesłał siedzą na mrowiskach. Milczenie przerwał dziennikarz rusiński, człowiek jeszcze młody, wysoki i chudy, który siedział dotychczas cicho, tylko nerwowym drganiem ust, marszczeniem brwi i niecierpliwymi ruchami rąk zdradzając wrzące w jego wnętrzu uczucia. Odezwał się od razu gwałtownie, namiętnie, i w miarę jak gadał, czarne jego oczy roztlewały ponurym blaskiem, jak u maniaka-fanatyka.

— Zgoda, zgodą! Dobrze, niech będzie zgodą! Ale co to jest zgoda? Zgoda, to most. A gdzie się stawia most? Gdzie są brzegi i rozdzielająca je przepaść? Wszyscy w jednego Boga wierzymy, — to prawda. Ale przecież i Niemiec w tego samego Boga wierzy. A dlaczego właśnie on nas ma brać za łby, a nie my jego? A jeżeli ja nie mam co jeść, to wy mi, ojcze, swego kęsa nie dacie, choć w tego samego Boga wierzycie, co i ja. Co to gadać o pokoju, dopóki wojna nie skończona? Konstytucja, to możność uczciwej, otwartej walki. Cesarz nam ją dał, cesarz chciał, byśmy walczyli. Próbujecie swych sił! Kto z was silniejszy, ten więcej dostanie, bo sam sobie więcej weźmie. A o zgodzie żadnego paragrafu niema. To puste gadanie. A ja wciąż powtarzam: żadnej zgody, dopóki Polacy nie będą stanowić jeden brzeg, a Rusini drugi, a między nami — przepaść. Inaczej zgoda będzie zabagnieniem. Wtenczas, kiedy tak staniemy naprzeciw sobie, każda strona w całej pełni swych praw i sił, a pokaże się nam potrzeba mostu, to i most sobie zbudujemy!

Szum i gwar iskrzącą falą unosił się nad towarzystwem.

Mimo osobnego fumoiru oba pokoje i salonik tonęły w kłębach dymu. Towarzystwo było w komplecie, a więc gospodarze przerwali dalsze dyskusje i poprosili gości do zastawionej kolacji. Jedna za drugą cisnęły się grupy do stołu, nie rozchodząc się i zajmując miejsca swobodne, gdzie się komu podobało. Tylko radcę sądowego i obu posłów poprosili bracia zająć najwyższe miejsca, co im się zresztą z wieku samego należało. Kolacja była obfita i dobrze przyrządzona. Nie brakło też ani wódek, ani wina, a przy tej całkowitej swobodzie, jaka panowała w towarzystwie, rozmowy rozpoczęte przedtem, nie przerywały się i za stołem, chociaż z konieczności rzeczy, rozprysły się jeszcze na mniejsze grupki bezpośrednich sąsiadów. Gwar stawał się czym raz bardziej ożywionym; z wielu stron sypały się żarty i dowcipy, którymi, jak piłkami, rzucano z jednej strony stołu na drugą, z ust do ust.

Tylko pan radca milczał, w głębokiej pogrążony zadumie. Wreszcie, gdy ostatnie talerze ze stołu zebrano i kieliszki winem napełniono, zadzwonił nożem o swój kieliszek i podniósł się z krzesła.

— Pst! Pst! Silentium!—dało się słyszeć z różnych stron, i w salonie zaległa chwilowa cisza. Pan radca oparł się obiema rękami o stół i parę razy kiwnąwszy głową, zaczął surowym głosem:

— W imieniu jego Cesarsko-Królewskiej Mości...

Całe towarzystwo parsknęło śmiechem, który napróżno starano się wstrzymać. Przestraszony sędzia wytrzeszczył oczy na zgromadzenie, i dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że nie znajduje się w sali sądu i nie ma czytać wyroku.

— A, pardon! — zawołał zmieszany. — Wielce szanowne zgromadzenie! Czy to przepraszam, moi panowie!

Mały, psotliwy diabełek, zwany Śmieszkiem, niby natrętna mucha latał od krzesła do krzesła, i gdzie tylko przeleciał, podnosiły się ręce ku ustom i pochylały się głowy ku szklankom, by wstrzymać lub ukryć gwałtem wyrwywający się z piersi chychot.

— Moi panowie — powtórzył pan radca, podnosząc głos i obrzucając całe towarzystwo surowym, niemal piorunującym wzrokiem. — Nie wiem, co tu jest tak śmiesznego. I myślę, że moje stanowisko, mój wiek, moje... moje... No, ale mniejsza o to. Co to ja chciałem powiedzieć? A?



I pan radca oglądając się dokoła siebie i bardzo uważnie spozjrzał poza siebie, jak gdyby właśnie tam schowało się to, co on chciał powiedzieć.

— Aha — rzekł pan radca, prostując się znowu. — Chciałem wypowiedzieć wszystkie nasze, jak się nazywa, tego..., kończąc słowami: Niech żyją nasi kochani gospodarze, panowie doktorowie Kalinowicz!

I podniósł swój kieliszek, a za nim uczynili to wszyscy, dusząc się od śmiechu. Wypito toast, a pan radca, niby ożywiony, zaczął wygłaszać środek mowy, której początek i koniec tak zręcznie w jeden węzeł zawiązał.

— Bo to proszę panów, ja mówcą nie jestem, ale tak mi się zdaje. (Ledwie powstrzymany śmiech w towarzystwie). Mianowicie szukam przyczyny naszego dzisiejszego zgromadzenia, i zdaje mi się, że nam ją sami nasi kochani gospodarze najlepiej wyjaśnią. (Salwa głośnego śmiechu, pokryta kilkoma okrzykami: brawo, brawo!). Od jednego tylko nie mogę się wstrzymać. Muszę oświadczyć tu wszem wobec i każdemu z osobna, że tak utalentowanych, tak godnych i wiele obiecujących młodych ludzi, jak nasi gospodarze, dotychczas nie spotykałem. Myślę, że mię panowie nie posądzicie o przesadę, jeżeli ich nazwę kwiatem naszej młodzieży, nadzieją naszej nadziei!

— Brawo, brawo! Brawissimol — rozległy się ze wszech stron huczne okrzyki, ledwie pokrywające jeszcze huczniejszy śmiech. Prawie wszyscy goście tłumnie otoczyli pana radcę, trącając się kieliszkami o jego kieliszek i gratulując mu tej świetnej i rzeczywiście niemożliwej do naśladowania przemowy. Pan radca zresztą znany był ze swej słabości do wygłaszania toastów i z jeszcze większej słabości w ich stylizowaniu, ale dzisiaj — takim był powszechny głos opinii publicznej — sam siebie przewyższył.

— Szanowni i kochani goście! — rzekł Naczek, gdy towarzystwo znowu usiadło i kieliszki napełniono. — Pozwolił mi się zaprosić was dzisiaj w nasze skromne progi z okazji naszego wstąpienia na arenę publicznej działalności. Przyjmicie serdeczne dzięki za to, żeście nie wzgardzili zaproszeniem ludzi młodych, nieznanych i niczym nie zasłużonych. Za wielkie by też były nasze pretensje, gdybyśmy chcieli was trudzić w tym jedynie celu, by waszą obecnością uświętnić fakt, mający tylko dla nas dwóch czysto osobiste znaczenie. Nie, szanowni panowie, tak ambitnymi nie jesteśmy. Zapraszając was tu dzisiaj, mieliśmy nieco szerszy cel

na myśli. Ten też cel, chciałbym, szanowni panowie, podać waszej rozwadze.

— Słuchamy, słuchamy! — odezwało się parę głosów, podczas gdy większa część towarzystwa siedziała w milczeniu z pochylonymi głowami, lub też kręcąc gałki z chleba, nieco niecierpliwie spoglądała na mówcę, jak gdyby mówiąc mu wzrokiem: tylko, bój się Boga, nie nudź długo!

— Młodzi jesteście — mówił Naczek — mało mamy praktyki życiowej, ale za to może więcej i żywiej odczuwamy to życie. Przynajmniej jego ujemne strony żywiej nas dotykają. A za najujemniejszą stronę naszego galicyjskiego życia uważamy apatię do spraw publicznych, niechęć do krytyki i analizy tych spraw i jakieś fatalistyczne poddawanie się woli losu czy co ten los wyobrażamy sobie w postaci rządu, czy gradu lub wezbranych rzek, czy też starostwa, żandarmerii i policji. Byle nie my, byle kto inny za nas zrobił, o nas dbał, nami się opiekował. Niechaj ten inny ukróca nasze prawa, wyzyskuje nasze interesa, byle by tylko i nam przy tym jako tako dychać dozwolił — będziemy kontenci. Moi panowie, stan ten umysłowy naszego społeczeństwa da się historycznie wyjaśnić, tak jak się da wyjaśnić geneza każdej choroby i nienormalności. Ale usprawiedliwić go nie można. Pozostawiać go bez prób chociażby zaradzenia, przeciwdziałania — byłoby grzechem wobec terażniejszości i potomności.

— A ładnie bestia gada! — szeptał do swego sąsiada na pół już pijany koncypijent adwokacki, uśmiechając się i trącając sąsiada łokciem.

— Das hat, panie dobrodzieju, Fuss und Kopf, co on gada — rzekł pochylając się ku radcy ksiądz poseł, zacięty przeciwnik konstytucji.

— Et, perekińczyki — szepnął pogardliwie fanatyczny dziennikarz rusiński do swego milczącego sąsiada, oczywiście także Rusina.

— No, ale coż na to zaradzić? — rozległ się z przeciwnego końca stołu donośny głos starego redaktora.

— Właśnie też o to idzie — odrzekł Naczek. — Jaki jest lek przeciw apatii? Żywe i ciągłe zajmowanie się sprawami publicznymi. A że żywego zajęcia się sprawami nie można nakazać nikomu, tylko sobie samemu, że w drugich zajęcia to trzeba z wolna rozbudzać i ciągle podtrzymywać wedle wszelkich prawideł pedagogii, więc, moi panowie, nakazmy je przede wszystkim sobie samil Dajmy tu sobie święte

słowo, ilu nas tu jest, przedstawicielei najrozmaitszych gałęzi inteligencji krajowej i różnych narodowości, — dajmy sobie słowo, że od dziś wszelkie prywatne sprawy podporządkujemy sprawie publicznej, że słowem i przykładem będziemy każdy w swoim otoczeniu rozbudzać interes do tych spraw, będziemy informować się pilnie o ich toku i informować innych, wyświeślać ich znaczenie i powstawać otwarcie i głośno przeciw wszelkiemu ich nadużywaniu i wyzyskiwaniu dla celów prywatnych. Zawijemy dziś, panowie, nie towarzystwo, ale związek braterski przeciw panującej u nas apatii!

Mowa ta, wypowiedziana gorąco i dobitnie, przyjętą została ogólnym milczeniem. Rzecz była taka niezwykła i niespodziana, chociaż od tych chłopomanów można się było zawsze czegoś podobnego spodziewać. Niektórzy goście znaleźli się formalnie w kłopotliwym położeniu wobec tego projektu. Pan radca nagle poczerwieniał cały i zaczął żałować w duchu, że przyszedł na tę kolację, a wreszcie, nie wstając z miejsca i utkwwszy surowy wzrok w Naczka rzekł siląc się na ton żartobliwy:

— Ej, panie Ignacy! Coś to mi ten związek pachnie tajnym towarzystwem, a pan wiesz, że to rzecz surowo zabroniona.

— Ależ, panie radco — odrzekł spokojnie Władek wyręczając brata — przecież pojęcie tajnego towarzystwa musi mieć jakieś znamiona. A tutaj o niczym podobnym i mowy nie ma. Po prostu idzie o to, żeby każdy z nas wobec swego sumienia dał słowo przyczyniać się wedle możliwości do ożywienia i wyklarowania opinii publicznej w kraju. Ani w celu, ani w środkach przez nas proponowanych nie ma ani krzty niczego zdrożnego.

— Zgoda z wami! — krzyknął stary redaktor z przeciwnego końca stołu i wyciągnął ku braciom prawicę. — Taki moralny związek przedstawicielei naszej inteligencji może się stać tym kawałeczkiem kwasu, który z czasem całe ciasto zakwasi. Zgoda, młodzi przyjaciele, szczęść Boże! O mojej pomocy i przychylności dla tego celu ani wątpić nie możecie, bo to przecież od lat trzydziestu moje ciągle rzemiosło.

— I my także gotowiśmy podać rękę do tego związku — rzekł redaktor rusiński, wskazując na siebie i swego milczącego towarzysza — ale tylko pod jednym warunkiem, że na podstawie tej naszej zgody nie zostaniemy pociągnięci do żadnej innej zgody z Polakami. Dla nas najważniejszą sprawą

publiczną jest budzenie poczucia samodzielności Rusi — jednej, wielkiej i potężnej Rusi od Cisy do Amura.

— Przepraszam, od Cisy do Esmanil! — odezwał się nagle milczący towarzysz opryskliwym tonem, przerywając redaktora, który ze zdziwieniem i oburzeniem spojrział na swego towarzysza, jak gdyby nagle odkrył w nim najzaciętszego wroga.

— Przepraszam — zakrzyknął stentorowym głosem ksiądz poseł. — Jako Austriak i greko-katolik radziłbym panom mówić tylko o naszej świętej Rusi galicyjskiej.

— I ja przepraszam, mocno przepraszam! — krzyknął wśród rozbudzonego przy tych poprawkach szumu i śmiechu pan radca, podnosząc się w krzesło i oparłszy się o stół obiema rękami. — Oświadczam z góry, że do takiego związku należeć nie mogę i o niczym słyszeć nie chcę. Jestem, proszę panów, cesarskokrólewskim urzędnikiem i niczym więcej. Jedyłą sprawą i publiczną i prywatną, która mię ma interesować w mym życiu, są sprawy biurowe, a poza nimi absolutnie o niczym wiedzieć nie pragnę.

— Ależ, panie sędzio, pa... panie ła... łackawco! — rzekł przechylając się przez stół na pół pijany koncypient adwokacki wikłającym się nieco językiem. — Niech się pa... pan sędzia tak tym nie irytu... tuje. To wszystko bla... błaga, żart tych poczciwych chłop... paków. Cha, cha, cha! Chodź tu, Naczku, niech cię uściskam! Żartujesz, jak sto diabłów, dalibóg!

Ta uwaga, wypowiedziana głośno i całkiem szczerze, wywołała w jednej części towarzystwa zamieszanie i zakłopotanie, w innej śmiech pusty. Goście zaczęli wstawać z miejsc, odsuwać z szumem krzesła, posypały się uwagi, docinki i żarty, wszczął się szum, w którym nie łatwo było rozłyszeć, co kto mówił. Oczywiście większość naprawdę uważała projekt Naczka za prosty epizod, za wpływ dobrego humoru, któremu nie należy przypisywać poważniejszego znaczenia. Nie mogli też gospodarze sami wobec siebie zaprzeczyć, że Naczkowa mowa popsuta nieco wesoły nastrój towarzystwa, osobiwie zaś zdekonceptowała radcę sądowego, który też mimo wszelkich nalegań pożegnał towarzystwo i gospodarzy i poszedł w bardzo nieróżowym humorze. Tak samo też grupka Rusinów spoglądała na siebie wzajemnie z niedowierzaniem i rozbiegła się w różne strony salonu, żeby się wcale nie spotykać. Ale wszystkie te smutne objawy nie mogły wstrzymać braci od wykonania tego, co zamie-

rzyli. Gdy więc towarzystwo znowu rozsiadło się grupami w salonie obok porozstawianych stołów, ponalewano znowu wina i Władek poprosił o głos. Z pewnym niepokojem spojrzeli po sobie starsi członkowie towarzystwa, gdy on zaczął mówić.

— Moi panowie, — rzekł Władek. — Widzę, że projekt nasz, wyłożony przez mego brata, nie szczególnie znalazł pośród was szczęście. Smuciło by mię to, gdybym mógł przypuszczać, że stało się to właśnie z powodu tej samej apatii dla spraw życiowych, przeciw której projekt nasz zawsze was do walki. Sądzę atoli, że tak nie jest. Sądzę, że jedyną przyczyną jest to, że brat mój nie wszystko jeszcze powiedział, co miał na myśli.

— Masz babo reduty! — Nam i tego za dużo, a ten jeszcze więcej chce! — zawołał koncypient, ale go uciszono.

— By uleczyć chorobę, trzeba dojść jej przyczyny. Usunąwszy przyczynę, usuniemy i samą chorobę. A zapytajmy się sumienie, moi panowie, jaka jest przyczyna ogarniającej naszą inteligencję apatii do spraw publicznych? Skąd pochodzi owo nasze zasklepienie, owa ciasnota i zastarzałość poglądów, na którą słusznie użalają się wszyscy ludzie postronni, mający z nami do czynienia? Moim zdaniem jedno tylko jest źródło tej choroby — głęboki przedział, jaki istnieje między naszą inteligencją, a ludem prostym, pracującym. Tradycje szlacheckiej wyłączności, moi panowie, o których światlejsze umysły u nas już w XVIII wieku czuli, że się przeżyły, pod szczęśliwym berłem Habsburgów w naszym zakątku przechowały się żywo dotychczas i wrosły głęboko w serca i umysły wszystkich inteligentnych ludzi. Żyjemy w tym słodkim omamieniu, że inteligencja, to nie tylko kwiat narodu, ale że jest sama dla siebie całym narodem, sama sobie celem, a ten prosty chłop, robotnik, to chyba podściółka, nawóz, na którym kwiat ten powinien wykwiatać. I zamiast widzieć w nim brata, człowieka z ludzkim uczuciem, ludzkimi pragnieniami i równymi prawami, — pomiatamy nim, jak niewolnikiem. Za co? bo ciemny. Ale któż temu winien, że on ciemny, jeżeli nie inteligencja, która go nie oświeciła? Wierzajcie mi, moi panowie, to, co się u nas wielbi mianem inteligencji, tak długo będzie płonką, a nie kwiatem narodu, dopóki nie pozna i całą swą istotą nie poczuje, że kwiat powinien przemieniać się w owoc, że komu więcej dano, od tego się więcej żąda, a kto kosztem społeczeństwa, kosztem ludu roboczego

większe otrzymał wykształcenie, więcej też powinien na korzyść społeczeństwa pracować, by z lichwą zwrócić, ludowi to, co ten wyłożył na jego oświatę. Związek przez nas projektowany, moi panowie, musi mieć źródło nie w filantropijnym sentymentalizmie. To nie jałmużna, której od was żądamy,— to musi być wpływem głębokiego i szczerego poczucia obowiązku.

— Ależ panie, to socjalista! — krzyknął stary redaktor.

— Więc my mamy być sługami chłopów i szewców? — z różnych stron posłyszały się rozdrażnione głosy.

— Tak jest, moi panowie! — rzekł Władek stanowczo. — Wtenczas tylko spełnimy święcie swój obowiązek, kiedy oddamy całą swą siłę, całe swe życie na służbę interesów masy ludowej. I wierząc mi, dopóki to pojmovanie sprawy publicznej jako sprawy ludowej nie zwycięży, dopóki będziemy mieli konstytucję dla armii, dla ministrów i parlamentów, a autonomię dla wydziału krajowego i dla rad powiatowych, a nie dla ludu,— tak długo panować będzie u nas apatia, ciasnota poglądów, zgnilizna i korupcja. A służyć— całe życie, całą siłą służyć chłopom i szewcom, jak się ktoś z panów wyraził, to nie wstyd, moi panowie, bo to i tylko to znaczy służyć swej ojczyźnie!

— No, co tego, to już zanadto — rzekł stary redaktor. — Tak skrajnych poglądów jeszcze mi się w moim życiu słyseć nie zdarzyło.

— Panie Władysławie — rzekł z gorzkim wyrzutem ksiądz poseł, utkwivszy surowy wzrok w twarzy Władka. — Mądrześ nam tu pan gadał, tylkoś pan o jednej, o najważniejszej rzeczy zapomniał. Pierwszym i najważniejszym zadaniem każdego człowieka, każdego chrześcijanina jest służyć Bogu i kościołowi. Szukajcie przede wszystkim królestwa bożego, a reszta wszystko doda się w przydatku.

— Nie, dalibóg, ta prelekcja warta rzeczywiście wie... wieńca laurowego — rzekł koncypient adwokacki, z trudem tylko utrzymując swą ociężałą głowę na barkach. — Pa... panie doktorze, pa... panie Władysławie! Niech mię dia... bli po... porwą, przekonałeś mię pan zupe... pełni! Masz pa... pan moją rękę! Przystępuję do wa... waszego związku. Ale pod tym wa... warunkiem, ażebyś pan na ka... każdym po... siedzeniu taką mowę wy... wygłosił.

I z trudem powstawszy z krzesła poszedł ku Władkowi, wyciągając ku niemu rękę.

— Nie, kochany kolego — odrzekł z uśmiechem Władek. — Pańską rękę przyjmemy aż jutro, pod tym jednak warunkiem, jeżeli pan sobie dokładnie przypomni, o czym dziś była mowa.

— Niech cię diabli! — rzekł koncypient. — Nie wiedziałem, że prócz wymowy masz także szczyptę do... dowcipu. Troszeczkę, troszeczkę, ale masz. Gra... gratuluję!

Jeden tylko milczący Rusin, ten sam, który rektyfikował granice Rusi od Cisy do Esmani, zbliżył się podczas ogólnego gwaru do Naczka i rzekł mu po cichu:

— W gruncie rzeczy sympatyzuję z panami. Jestem narodowcem i pragnąłbym widzieć swój naród szczęśliwym, samodzielnym. Ale, przyznam się, że to, co pański brat mówił o służbie ludowi, wydaje mi się nieco paradoksalnym. Więc zamiast rozwijać naukę, dźwigać naprzód wiedzę i postęp, mamy się wszyscy zaprząć w jarzmo i ciągnąć te milionowe, ciemne tłumy?

— Tak jest, panie — odrzekł krótko Naczek.

— A czy nie będzie to cofnięciem się cywilizacji wstecz?

— Przepraszam pana — odrzekł Naczek — jaką pan naukę dźwigasz naprzód?

Cichy narodowiec zmięszał się nieco.

— No, proszę pana — odrzekł jękając się — pan zamiast prostej i jasnej odpowiedzi przerzucasz kwestię na pole osobiste.

— Daruj pan — odrzekł Naczek. — Przerzucam ją właśnie na to pole, na którym ona właściwie stać musi. Człowiek, który dźwiga naprzód naukę, pracuje nad wielkimi i pożytecznymi wynalazkami — już tym samym pracuje dla społeczeństwa, dla cywilizacji i dla narodu. Ale ilu to mamy takich ludzi? A podszywać się pod płaszczyk nauki i cywilizacji, by nim zasłaniać własną nicość i brak poczucia swego obowiązku względem narodu, to, proszę pana, po prostu niesumienność. Tylko się nie uważajmy za coś nadto wielkiego i dobrego, ażeby nas wbrew naszemu przekonaniu nie potępiła historia.

Cichy narodowiec odszedł jeszcze bardziej zmieszany i do samego końca siedział w samotnym kącie i milczał jak zakłęty.

Humor towarzystwa był stanowczo popsuty. Siedzieli, dopijali wino, gawędzili, ale skwaszeni, jak te dzieci, którym zamiast przysmaczków pokazano różgę. Niektórzy silili się

na podtrzymanie dyskusji o przedmiocie poruszonym przez braci Kalinowiczów, ale dyskusja nie szła.

— Czy pan i dziennik swój myślisz wydawać w takim duchu? — zapytał Naczka stary redaktor.

— Rozumie się — odpowiedział ten.

— No, to nie wiem, jak się to panu powiedzie — rzekł weteran wzruszając ramionami. — Trudna to i niebezpieczna droga.

— W tym względzie nie robię też sobie żadnej iluzji — rzekł Naczek. — Zresztą od pana łaskawego — dodał z uśmiechem — mam słowo, że będziesz mi pomocnym.

— Ode mnie? — z trwogą zawołał czcigodny weteran. — Nie, łaskawco! Co do walczenia przeciw apatii publicznej — zgoda! Ale ta czerwona chłopomania pańskiego brata, to służenie prostemu ludowi, który mojej gazety ani zna ani nie czyta, — to padam do nóg!

— Ależ pojmy szanowny pan, że w taki sposób, że się tak wyrażę, chwytasz pan ogon, a nie chcesz głowy. Apatia, to tylko jeden z objawów tego odosobnienia inteligencji od ludu. Zamurujmy źródło złego, to i bagna dokoła niego nie będą.

— Cóż, murujcie, panowie, murujcie — rzekł stary kiwając głową — ale ja już za stary, żebym to wespół z wami robił. Przyznam się, że nawet logikł waszej nie rozumiem.

Było już późno w nocy, i chociaż inszymi czasy towarzysztwa podobne daleko dłużej jeszcze siadywały w tym ciepłym i gustownym saloniku, to dziś nagle jak umową wszyscy zerknęli na zegarki i zdecydowali, że trzeba wędrować do domów. Wyszli pożegnawszy się z gospodarzami i wyprawdzeni przez służbę ze świecami.

— E, co tam, feczki, becзки, mecзки! — słyszał Władek ze schodów głos podchoconego koncypienta. — Ano, panowie, kto idzie ze mną do Dobrowolskiego na trzy koniaki?

— Ja, ja, ja! — odezwało się kilka głosów, właśnie z tych, którym przed chwilą najpilniej było powracać do domu. Z gorzkim uśmiechem na ustach Władek powrócił do pokoju.

— No, cóż, Naczku, jak myślisz, kiepski początek naszej publicznej działalności? — zapytał z goryczą w głosie Władek.

— Cóż z tego, że kiepski — odrzekł spokojnie Naczek — ale przecież nie gorszy, niżesmy się z góry spodziewali.



— Pyszna scena z galicyjskiej „Komedii ludzkiej”— ironizował dalej Władek.— Tak się każdy z nich plastycznie odzworował ze swym charakterem, ze swymi poglądami i ze swym sumieniem, że rzeczywiście, lepiej i nie trzeba. Ale dla nas to słaba pociecha.

— Przesadzasz, bracie — rzekł Naczek.— Zawsze trzeba przypuszczać, że w każdym człowieku pod grubą warstwą niezmytego życiowego brudu, egoistycznych nagniotków i głupich nawyknień tleje niewygasła iskra boskiego ognia, i że lada podmuch żywy, nieraz całkiem niespodzianie, może dostarczyć jej pożywienia, rozdmuchać z niej płomień cudotwórczy. Jestem pewny, że pomimo pozornego chłodu i nawet żartów niejednemu bodaj ziarko nowej myśli zapadło dziś na dno duszy, przynajmniej jakieś słabe zwątpienie z czasem się w niej zbudzi, bodaj jeden poryw do nowego, sprawiedliwszego życia,— a wszystko to już będzie zyskiem dla sprawy, bo żaden taki ruch nie przepadnie daremnie, a suma drobnych ruchów tworzy burzę.

— Poetyzujesz, bracie — odparł praktyczniej na życie patrzący Władek.— Takie drobne porywy nie na wiele nam się przydadzą, a natomiast lękam się, by nam dzisiejsze wystąpienie od samego początku nie przysporzyło wrogów. Ano zobaczysz, czy weteran-redaktor z łam swej gazety w najbliższych dniach nie ciśnie gromem na nasze ideje i na twój jeszcze nienarodzony dziennik.

— Cóż, to być może, chociaż było by brzydko ze strony redaktora. Ale to mię nie wstrzyma i nie wiele mi zaszkodzi. Boję się tylko, by oburzony radca sprawie włościan przez ciebie bronionych nie stawiał jakich utrudnień. On przecież ma śledztwo.

— O to się nie lękaj! Śledztwo już prawie ukończone w Stanisławowie, tak że panu radcy nie wiele co zostaje do zrobienia. Myślę, że sprawa ta pójdzie dobrze, i że nie pożałuję tego, iż ją ze Stanisławowa przeciągnąłem do Lwowa, wykazawszy, że główny oskarżony należy do lwowskiego okręgu sądowego. Co prawda, memu mecenasowi będę musiał zapłacić 500 reńskich za obronę,— gmina zaledwie 50 reńskich złożyć zdołała.

— Cóż robić — rzekł Naczek — róbmy co można! Kroku dzisiejszego absolutnie nie żałuję. W pierwszej linii konieczne trzeba się było zwrócić do inteligencji, poszukać pośród niej sojuszników. Nic to nie znaczy, że nam się dziś nie udało. Trzeba szukać dalej, cierpliwie a starannie, nie gar-

dząc żadną szczerą chęcią. Dziwnym by też było, gdybyśmy mieli całkowiłą ponieść klęskę. A nie zapominaj, że to tylko początek naszej roboty i że stary poeta powiedział bardzo rozumnie, chociaż jednostronnie:

Flectere si nequeo superos, Acheronta movebol

— Tak to tak — rzekł w zadumie Władek — ale z tym Acherontem, bracie, trudna sprawa.

— Nie taka trudna, jak ci się zdaje! — gorąco zawołał Naczek. — Trzeba tylko rzucić ze siebie resztki szlacheckich uprzedzeń i z szczerym sercem, z silną wolą wziąć się do dzieła. Rusza się już i w tym Acheronczie duch nowy, duch światła i postępu. Trzeba tylko szczęśliwego podmuchu, by i tam, w ciemnościach ognia zapłonął. A jeżeli on tam zapłonie, to wtenczas nasza wygrana. Wtenczas my nie będziemy potrzebowali zwracać się do wodociągu, bo będziemy u źródła. Bądź dobrej myśli, bracie, jakoś to pójdzie!

I bracia, obmieniawszy się szczerym pocałunkiem, udali się na spoczynek.

## VI

Wielka sala „Narodowego Domu” pałała mnóstwem płomieni gazowych, które złocistym piaskiem odpryskiwały od świeżo wywoskowanego parkietu. Na galerii muzyka wojskowa stroiła instrumenta, a z przylegających do głównego wejścia pokoji, przemienionych na garderobę dla dam i na bufet, dolatywał przeciągły gwar i szum, skrzywienie lakierowanych trzewików i szelest ciężkiego jedwabiu lub lekkiej tarlatany. Stąd też, z głównego wejścia, z ciepłej garderoby, płynął i płynął nieprzerwany strumień świetnych ubiorów, obnażonych biustów, gustownych fryzur i z lekka zarumienionych twarzy i twarzyczek, zmieszany z niemniej obfitym strumieniem czarnych fraków, glansowanych rękawiczek i wąsatych, brodatych lub gładko wygolonych męskich fizjognomij. Za chwilę miał się zacząć jeden z tych świetnych balów „akademickich”, cieszących się taką sławą w całej Galicji i stanowiących w owych czasach jedyne chyba świadectwo, że „jeszcze nie wymarła nasza dziarska i wiele obiecująca młodzież”.

Wzdłuż wszystkich czterech ścian przestronnej sali ustawione były krzesła szczerze jedno obok drugiego. Komitetowi, sami najdorodniejsi młodzieńcy, we frakach, z białoczerwonymi kokardami na piersiach, snuli się jak osy z rękami

wygiętymi w kabłąki, odprowadzając przybywające damy z garderoby do sali; grupy niezajętej młodzieży stały po obu stronach wejścia pod galerią, rzucając zawistne spojrzenia na komitetowych, niby na szczęśliwych szafarzy tak mnogich skarbów piękności i gracji i obejmując krytycznymi wejrzyniami każdą nowo wchodzącą piękność. Lekki szept podziwu, przesypany mniej lub więcej humorystycznymi uwagami, niby pół przejrzysty tuman unosił się nad tą gromadą młodzieży, pełną sił i zapału do zbliżającej się pracy, skłonną do marzeń i do żartów i gotową do białego dnia oddać się upajającemu wirowi zabawy, zapomniawszy na dziś wszystko prócz klasycznego: *Carpe diem!*

Bufet jeszcze stoi samotny, jak sierota. Starsze i najstarsze pokolenie mija go tymczasem; ulokowawszy damy w sali i powierzwszy je opiece któregoś znajomego z pomiędzy młodzieży, mężowie i ojcowie spieszą do fumoirów, z wszelkim komfortem urządzonych w dwu niewielkich salkach za bufetem. Do komfortu prócz bezpośredniej bliskości bufetu i najętych umyślnie dla tych salek dwu kelnerów należy też cały szereg zielonych stolików z niezbędnymi dla nich rekwizytami — kartami i pudełkami sztonów dla preferansu, taroka i innych gier dozwolonych.

Tutaj też najwcześniej rozpoczęło się zwykle balowe życie tych panów, którzy we właściwym balu nie brali udziału, ale ograniczali się chyba tym, że w ciągu całej nocy raz lub dwa razy spojrzeli przez drzwi bufetu, jak tam młodzież po sali hasa, a potem co prędzej powracali do swego ulubionego gniazda, dusznego i ciemnego od dymu, lecz mieszczącego w sobie najsilniejszy dla nich magnes — zielony stolik z siedzącą dokoła niego kompanią, mniej lub więcej czcigodnych łysin. Jeszcze muzyka na galerii ciągle stroiła swe instrumenta, gdy w ostatnim fumoirze już przechadzały się liczne grupy panów, a nie mniej liczni goście pozajmowali już miejsca za zielonymi stolikami, paląc cygara, rozmawiając i oczekując kompletu dla rozpoczęcia gry. Były tu przeważnie postacie stateczne, niektóre obciążone latami i masywnymi złotymi łańcuszkami od zegarków, większość z wielkimi sygnetami na pulchnych palcach z mniej lub więcej obwisłymi dolnymi wargami — rys fizjognomiczny, charakteryzujący większą część szlachty galicyjskiej bodaj czy nie lepiej od herbów wyrytych na sygnetach.

— A, pana hrabiego dobrodzieja! — wołał jakiś małutki, okrągłutki i nadzwyczaj ruchliwy człowieczek, zrywając się

z krzesła i spiesząc drobnymi krokami naprzeciw wchodzącego olbrzyma z ospowatą, nabrzęktą twarzą, czerwonym nosem i dużymi, siwymi oczyma, jakoś mętnie i apatycznie poglądającymi z pod nawisłych, krzaczystych brwi.

— Witam, witam pana komornika! — rzekł hrabia z wolna, nieco przez nos, i podał małemu komornikowi swą ogromną rękę, którą ten obiema swymi rączkami objął i uściskał śród komicznych ukłonów, przy czym wazkie poły jego fraka rozwięwały się na obie strony, jak widlasty ogon jaskółki.

— Jak że szanowne zdrowie? — pytał komornik.

— Prosperuje, prosperuje, jak widzisz — rzekł hrabia i ciężkim krokiem podążył ku czarnej, ceratowej sofie, której połowę zajął swą potężną osobą. Na drugiej połowie umieścił się komornik, ciągle jednak podrzucając się na swym miejscu niby na sprężynach. Po zwykłych pytaniach o szanownej pani hrabinie i o nie mniej szanownej familii, pod którą rozumiało się trzy nie pierwszej piękności i nie pierwszej młodości córeczki, które właśnie olśniewały całą salę świetnością swych toalet, sprawionych za pieniądze, otrzymane od żyda na rachunek przyszłorocznej pszenicy, rozmowa dwu czcigodnych panów z wolna zesłała na inne, mniej ceremonialne, a więcej żywotne tematy. Hrabia, który dotychczas niby od niechcenia i z pewną wielkopańską nonszalancją odpowiadał na pytania komornika, pałac cygaro i spoglądając całkiem w inną stronę, nagle rzucił wypalone do połowy cygaro i zwracając wzrok na siedzącego obok siebie adwokata, rzekł tym samym tonem:

— M-m-m, zaczynasz mi się nie podobać, komorniku.

— Ja! Panu hrabiemu! — krzyknął komornik z wyrazem komicznego przestachu na gładko wygolonej twarzy i aż podrzucił się na swym miejscu. — Mój Boże, a to co za nie-szczęście? Co się stało?

— No, no, nie udawaj — rzekł z wolna, z flegmą hrabia. — Sam wiesz „najlepiej” co się stało.

— Ani się domyślałam! — zawołał komornik.

— Sprzeniewierzyłeś się swej tradycji, swej starej, dobrej tradycji, komorniku — rzekł hrabia. — My, szlachta, podnieśliśmy cię w górę, na nas zrobiłeś majątek — boś go zrobił, temu zaprzeczysz nie możesz, — a teraz kogo bierzesz w obronę? Buntujące się chłopstwo, podbechtane komunistycznymi agitacjami za „lisy i pasowyska”. I przeciw komu występujesz? Przeciw nam, przeciw poczciwemu Alfonsowi! Nie, komorniku, tak prawdziwy sodalis robić nie powinien!

Wypowiedziawszy tę długą tyradę, hrabia aż odsapnął. Oczywiście dawno już mu się nie zdarzało wygłosić taką długą mowę i tak silnie natężyć swój mózg. Ale sprawa była ważna, a nawet, prawdę powiedziawszy, stanowiła jedną z głównych przyczyn jego przedwczorajszego przyjazdu do Lwowa. Pan Alfons był jego bliskim sąsiadem i dalekim krewnym i zagrożony nagłym zwrotem procesu agrarnego, z którego prócz śledztwa przeciw zbuntowanym chłopom, wywiązało się drugie równoległe śledztwo przeciw jego własnym oficjalistom o wymuszania i oszustwa przez wiele lat na chłopach popełniane, udał się do hrabiego, mającego mało pieniędzy a znaczne znajomości i protekcje we Lwowie w różnych wysokich sferach i w zamian za kuzynowską „pożyczkę” dość znacznej sumy uprosił hrabiego udać się do Lwowa i użyć wszelkich możliwych sposobów do zatuszowania nieprzyjemnej i niebezpiecznej sprawy.

— Ależ panie hrabio! — odparł komornik, zatrzepotał rękami i nogami. — Bóg mi świadkiem, że w tej sprawie nic nie winien! Przecież wiadomy panu hrabiemu nasz regulamin, który nam nakazuje przyjmować obronę każdej sprawy, o której mamy przekonanie, że jest słuszną. Co do osoby pana Alfonsa — wszelki respekt dla jego prawości i szlachetnego charakteru, wszelki respekt! Ale tu rzecz idzie nie o jego osobę, a o nadużycia jego oficjalistów, za które on przecież nie może być odpowiedzialnym!

— Hm, hm, komorniku, wykręcasz mi się regulaminem. Jak też to dotychczas nie zmuszał cię regulamin do przyjmowania chłopskich spraw?

— Bo się chłopci nigdy do mnie nie udawali.

— Dziwna rzecz, że się teraz do ciebie udali! — rzekł hrabia wkładając na nos w złoto oprawny pince-nez i wpatrując się w przeciwległy kąt pokoju, gdzie wśród kłębow dymu cygarowego tonęły jakieś postacie, zajęte cichą rozmową. Nagle zrzucił pince-nez i zwracając się do komornika z uśmiechem dodał: — A powiedz no mi, komorniku, ale tak, z ręką na sumieniu, ile ci chłopci zapłacili za prowadzenie tej sprawy?

— Stawiasz mię hrabia w kłopotliwe położenie — odrzekł nagle spoważniawszy komornik. — Kwestium honorarum jest kwestją ściśle biurową i popełniłbym...

— No, no, no — przerwał go żywo hrabia z odcieniem goryczy w głosie — nie popełniaj niczego takiego, komorniku,

nie popełniaj. Wcale mi nie szło o to, by cię skusić do popełnienia niedyskrecji.

— Pan hrabia mię niewłaściwie zrozumiał — rzekł skruszony nieco komornik, który ze swej strony także potrzebował hrabiego dla pewnej sprawy i musiał dbać o to, by go nasłodzić łaskawie.— Niedyskrecji przez to nie popełnię. Myślałem jedynie, że dla pana hrabiego jest to rzeczą obojętną...

— Najzupełniej obojętną — bąknął hrabia, zapalając nowe cygaro i puszczając kłęby dymu w przeciwną od komornika stronę — najzupełniej!

— Jak na chłopów płacą wcale nieźle — rzekł dalej komornik, starając się cofnąć swą pierwotną odmowę.— Pięćset reńskich z góry.

— Nie może być! — prawie krzyknął wbrew swemu zwyczajowi hrabia, obracając się nagle do komornika i dmuchawszy mu prosto w twarz gęstym kłębem wonnego dymu.

— Tak jest, panie hrabio, sami u mnie byli i zapłacili. Ale przyznam się panu hrabiemu, że wszystko to jeszcze by mię nie było skłoniło zająć się tą sprawą, chociaż pięćset reńskich w sprawie kryminalnej, jak na nasze stosunki, wcale ładna suma. Skłonił mię głównie do tego mój praktykant, dr. Kalinowicz, który też pół na pół wziął tę sprawę na własną rękę.

— Dr. Kalinowicz — z jeszcze większym zdziwieniem krzyknął hrabia.— Czy nie ten, co to wydaje tego demagogicznego „Gońca”?

— Nie, panie hrabio, to jego brat. Nadzwyczaj, nadzwyczaj zdolny człowiek. On tę sprawę wyszperał, no, i, wie pan hrabia, młody człowiek, tylko co dostał prawo stawać przed sądem jako obrońca w sprawach kryminalnych, więc szuka pola do popisu. Nie mogłem mu odmówić przyjęcia tej sprawy. Przyznać się panu hrabiemu — rzekł komornik, jeszcze bardziej ponizając głos — żałuję tego nieco. Nie wiem jakim sposobem sprawa ta, jeszcze nie ukończona, nabrała wśród chłopstwa takiego rozgłosu, że teraz prawie dzień w dzień walą do mnie deputacje od różnych gmin z zadawionymi i powikłanymi sprawami serwitutowymi. Opędzić się im nie mogę!

Komornik westchnął, niby pod brzemieniem tego kłopotu, jaki ma dzień w dzień z chłopstwem, chociaż opowiadanie jego było w wielkiej mierze przesadnym, gdyż zaledwie trzy nowe sprawy serwitutowe wpłynęły w ostatnich czasach do jego kancelarii, i wszystkie trzy po dokładnym zbadaniu

okazały się nadającymi się do dochodzenia cywilnego i zostały przyjęte i przydzielone d-rowsi Władysławowi Kalinowiczowi. Na hrabiego jednak to opowiadanie wywarło wrażenie niepospolite.

— U, komorniku—rzekł, odrzucając znowu do połowy wypalone cygare — jesteś, jak widzę, niebezpiecznym człowiekiem. Gdybym cię nie znał od tak dawnego czasu, posądziłbym cię o komunistyczne i demagogiczne aspiracje. Czyż to możliwa, czy to obywatelska rzecz — dla dogody swemu praktykantowi podejmować się spraw, które nie są niczym innym, jak tylko jątzeniem starych, a niezagojonych jeszcze ran społecznych?

— Właśnie, hrabio — rzekł adwokat, prostując się i nagle poważniejąc — myślę, że jest to rzecz iście obywatelska przyczyniać się do zagojenia tych ran, niż dawać im się ciągle jątzyć.

W tych prostych słowach, które niczego jeszcze nie przysądzały, poczuł jednak hrabia powiew jakiegoś nowego ducha, wcale odmiennego od tego, jakim dotychczas oddychał dawnemu znajomy komornik. I rzeczywiście był to najsilniejszy argument, którym Władek skłonił komornika do przyjęcia drażliwej chłopskiej sprawy. Komornik długo mu się opierał, ale później z aplombem powtarzał go w swych odpowiedziach na wszelkie zakulisowe zarzuty.

Rozmowa przerwała się. Z sali uderzyły o uszy zgromadzonych potężne akordy rzewnego preludium Tymolskiego do jednej z jego czarujących kołomyjek. Był to zwyczaj przejęty od Rusinów, niejako koncesja dla ziemi rusińskiej — zaczynać bal rusińskim tańcem narodowym. W sali wszczął się ruch i pary zaczęły występować naprzód i utworzyły ogromne, barwne koło, wewnątrz puste. Chwila oczekiwania, podczas której drżą nerwy, w takt kurczą się mięśnie pod dźwięki porywającej kołomyjki. Wtem z nieruchomego koła wyrывa się jedna para: mężczyzna w lekkich podskokach wypada jak sarna na polanę z gęstego lasu, dama płynie lekko, z wolna, przechylając na bok głowę i podtrzymując rękoma fałdy sukni. Podpływają aż na środek koła: mężczyzna w czym raz żywszych skokach zabiega to z tej, to z owej strony. Zbliża się — dama odwraca twarz i cofa się w gracjoznych, drobnouktych skokach; on się oddala, w dół pochylając głowę, — dama zwraca się ku niemu, sunie naprzód, niby pociągana jakąś magnetyczną siłą. Chwilę oboje poruszają się miarowo, ale na jednym miejscu, niby niezdecydo-

wani. Lecz oto mężczyzna z nową zbiera się siłą do ataku: ująwszy się pod boki podbija się nogami do góry, odłącza się od ziemi, unosi się w powietrzu, leci, trącając tylko parkiet błyskawicowo szybkimi ruchami. Dama niby oczarowana tym dowodem siły i zręczności utyka prawie na miejscu, stoi nieruchomo, z lekka tylko dygając pod takt muzyki. A mężczyzna ciągle unosi się przed nią „na prysudy”, wyrabiając ze swymi nogami najnieprawdopodobniejsze sztuki, wyrzucając je na kształt pierzchających skrzydeł na obydwie boki, to znowu ciskając nimi przed siebie, to niby rzucając się do stóp swej nadobnej władczyni, a wciąż w lot, nie szukając opory na ziemi, lecz tylko odpychając ją od siebie, i wciąż płynie, fruwa, leci, zbliża się ku swej damie. Ta już się nie odwraca. Z pochyloną ku niemu twarzą, z iskrzącymi oczyma wciąż dyga na miejscu, zbliża się nieznacznie. Naraz mężczyzna, pewny triumfu, zrywa się, prostuje, wyciąga ramiona i już trzyma swą wybrankę w objęciach, piersią przypada ku jej piersi i puszcza się z nią w wir życia wśród burzy oklasków. A po odtąnczeniu tego mistrzowskiego solo zdaje się, że burza entuzjazmu rzuca się wszystkim w nogi, w ręce, we wszystkie członki. Strojne koło jak na skinienie różdżki czarodziejskiej pryska na niezliczone samodzielne grupki dygające, podskakujące, płaczące się, a zawsze strojne i pełne gracji. Cała sala wre i kipi, niby rozklekotana powierzchnia jeziora, co pieni się tysiącem fal, bryzg i wirów. Nagle rozlega się głos aranżera: Hołubiec! — i pary łączą się i puszczają się w tan wirowy, a po trzykrotnym jego powtórzeniu muzyka urywa, i jedno ogromne westchnienie nappełnia salę, niby westchnienie żalu, że ten sen czarodziejski trwał tak krótko i minął bezpowrotnie. Kołomyjka skończona.

Kawalerowie odprowadzają swe damy na krzesła, kłaniają się nisko, rozpoczynają rozmowy, na które podczas samego tańca nie było ani miejsca, ani czasu. Niektórzy przynoszą swym damom z bufetu chłodniki, limonadę. Liczne pary panienek, pobrawszy się za ręce, chodzą po sali, rozmawiając to ze sobą, to z towarzyszącymi im kawalerami, we frakach i z szapoklakami pod pachą.

Całe grono komitetowych zbliża się do Władka, który chodzi po sali pod rękę z jakimś kolegą z biura.

— Panie doktorze — mówi jeden z młodzieży, ściskając rękę Władka — przychodzimy w imieniu komitetu podziękować panu za cudowne solo, któreś pan odtąńczył. Rzeczy-



wiście, nic podobnego dotychczasemy nie widzieli. To jedno solo utrwali na długie lata sławę naszego balu.

— Masa zaszczytu dla mnie, panowie koledzy — odrzekł żartobliwie Władek. — A do wstawiania waszego balu nie mam pretesji. Całkiem co innego przynosi mu zaszczyt i sławę!

I to mówiąc powiódł oczyma po sali, osobliwie zaś po krzesłach, na których siedziała pięć piękna. Nagle wzrok jego utkwiał w jednym punkcie, zatrzymał się tam parę sekund, poleciał dalej i znowu powrócił. Komitetowi odeszli, a Władek biorąc pod rękę swego towarzysza, skierował swe kroki ku temu punktowi, który przed chwilą tak żywo go zainteresował.

— Nie wiesz, co to za panienka? — zapytał Władek swego kolegę wskazując oczyma w punkt pomieniony.

— Która?

— Ta szatynka z krótkimi włosami, w ciemnej sukni?

Towarzysz Władka włożył pincez-nez na nos, spojrzał uważnie w tę stronę, dokąd oczyma wskazał Władek i obejrawszy szatynkę z krótkimi włosami, odrzekł obojętnie:

— Nie wiem. To jakaś nietutejsza.

— Ciekawe zjawisko — rzekł Władek, nie spuszcżając z niej oczu.

— Nie wiem, co tam w niej ciekawego widzisz! — rzekł kolega. — Błada nadzwyczaj, chuda... Więcej nerwów, niż ciała.

— Więcej nerwów, więc też więcej duszy, więcej charakteru — rzekł Władek.

— Idź ty mi ze swą duszą! Od pierwszego wejrzenia zaraz o duszy sądzisz! Zanim się w niej duszy dokopiesz, to ci jej nerwy histeryczne całe życie zatrują!

— No, Bóg z tobą — rzekł Władek — jak ty strzelasz! Naraz i do histeryki doleciał!

— Rozumie się — odparł tamten niechętnie. — Wszystko to bardzo blisko jedno drugiego. A ja pojąć nie mogę twego gustu, tego twego szukania duszy i charakteru tam, gdzie prosty chłopski rozum widzi tylko anemię i skórę z kośćmi. Zresztą sit tibi! O gusta sprzeczać się nie warto.

I potonęli obaj w różnobarwnym wirze balowych postaci. Lecz Władek przez swe solo kołomyjkowe stał się rzeczywiście swego rodzaju znakomitością balu. Nazwisko jego podawano sobie z ust do ust, setki oczu zwracały się ku niemu, śledziły za nim.

— Kalinowicz, Kalinowicz! — mówiła chuda jak szczerpka pani hrabina do otyłej jak arbuz pani komornikowej. — Czy to nie ten sam Kalinowicz, co wydaje tego okropnego „Gońca”?

— Nie, to jego brat — odrzekła pani komornikowa — Ten u mego męża w kancelarii pracuje. Doktor praw.

— No, to co innego! — rzekła przekonana pani hrabina. — Ach, nie możesz sobie pani kochana wyobrazić, jak hrabia Adolf oburzony na ten nowy dziennik! Byliśmy wczoraj u niego — i wyobraź sobie pani, o niczym innym gadać nie mógł, tylko o tym szkaradnym „Gońcu”. Co za ton, co za tendencja, co za cynizm w wywlekaniu najniebezpieczniejszych spraw! Nie wiem, jak mogą władze, jak może policja tolerować coś podobnego!

Naczek stał w pobliżu tych szanownych dam, oparty o filar i słyszał całą ich rozmowę. Innym razem był by może zwrócił na nią uwagę, była by mu może krew żywiej w żyłach zabiła na wiadomość, jak znakomicie uderzył on swym wystąpieniem w jądro spraw krajowych i jak głęboko poruszył przynajmniej niektóre interesowane w nich sfery, — ale w tej chwili cała myśl, cała uwaga, cała dusza jego była gdzie indziej. Od pierwszej chwili, kiedy podczas kołomyjki wzrok jego upadł przypadkowo na bladą twarz szatynki z krótkimi włosami, gdy w wirze tańca przesunął blisko niej i przypadkowo zajrzał w jej wielkie, ciemne oczy, głębokie i powleczone jakąś niby mgłą smętną, która tak dziwnie harmoniowała z jej ciemną suknią i z jej powolnymi ruchami, — od tej chwili zaczęło w głębi jego duszy budzić się uczucie, że stanął na jakimś Rubikonie życia, że ta chwila zwiastuje mu coś nadzwyczaj ważnego, jakiś stanowczy zwrot, jakąś przemianę wszystkiego, co dotychczas uważał za fundamenta swego życia.

Wir tańca uniósł przed jego oczu bladą twarzyczkę, obramowaną u góry krótkimi włosami rozczesanymi równo nad środkiem czoła na obydwie strony i spiętymi u góry wąską czerwoną wstążeczką. Naczek odetchnął, niby ze snu zbudzony. Ukończywszy turę i odprowadziwszy swą danserkę na miejsce, on szukał oczyma dziwnego zjawiska, lecz w ogólnej zawierusze nie łatwo było kogokolwiek znaleźć. Nagle poczuł obok siebie coś niby lekkie uderzenie stosu elektrycznego. To była ona. Odprowadzona przez swego dansera na pierwsze lepsze krzesło, usiadła, lecz gdy ten się oddalił, wstała, by przejść na drugą stronę sali, gdzie sie-

działa jej ciotka ze swą córką, w których towarzystwie ona przybyła na bal dzisiejszy. Przechodząc obok Naczka, twarzą zwrócona w inną stronę, dotknęła się go lekko końcem łokcia, tak że Naczek obróciwszy się, mógł ją widzieć tylko z tyłu. Chód jej był lekki, równy, pefen gracji i Naczek śledził ciekawie, dokąd ona pójdzie.

— Regino, siadaj tu koło mnie! — rzekła poważna matrona, znana Naczkowi obywatelka miasta Lwowa, pani Drelichowa.

— Nie, ciociu, siadę koło Milci — rzekła szatynka i usiadła obok córki pani Drelichowej, wysmukłej blondynki, z śladami ospy na podłużnej, rumianej i wcale ładnej twarzy. Milcia też natychmiast zaczęła jej coś żywo szeptać do ucha, na co Regina z lekka się uśmiechała, od czasu do czasu odpowiadając kilkoma krótkimi słowy.

— Więc to siostrzenica pani Drelichowej — pomyślał sobie Naczek — Regina jej na imię. Regina — powtórzył jeszcze raz, a w uchu jeszcze dźwięczał mu jej głos, czysty, piersiowy, niby z samej duszy płynący. I okrążywszy łukiem to miejsce, gdzie siedziała pani Drelichowa z córką i siostrzenicą, by nie przechodzić im poprzód oczy, Naczek przecisnął się pod filar w ich pobliżu, skąd mógł niewidziany dla nich obserwować wygodnie wszystkie ruchy, chwycić wszystkie słowa Reginy. Nie dziw więc, że zatopiony w tej obserwacji puszczał pomimo uszu wszystkie rozmowy i szepty, jakie skądinąd dolatywały do jego słuchu. A dolatywało ich dość i zapewne nie pozbawionych interesu, bo nazwisko jego często lałało z ust do ust. Mówiono wiele o Władku, a nie mniej i o nim samym i o pierwszym kwartale jego gazety, której gruntowne i oględne redagowanie do rozpaczy doprowadzało prokuratora żadnego konfiskat, a której ostro i niczego nie oszczędzająca krytyka z drugiej strony doprowadzała do pasji te warstwy i sfery, przeciw którym była wymierzona. „Goniec” też wydawany przez Naczka zaraz w pierwszym kwartale, mimo konfiskat i rozmaitych intryg silnie stanął na nogi, zdobył sobie znaczne koło czytelników, osobliwie wśród średnich warstw na prowincji i w ogóle rozwijał się nadspodziewanie pomyślnie. Ale wszystko to, chociaż obijało się o jego uszy, nie mogło teraz dotrzeć do świadomości, skoncentrowanej na skromnej postaci szatynki, która, jak zauważył Naczek, prawie wcale się nie uśmiechała, w żadną stronę szczególnie nie zwracała uwagi i zdawała się być pogrążoną w sobie samej. Czy

była piękną, Naczek nie mógł by osądzić, bo nie próbował nawet porównywać jej z innymi kobietami. Zresztą nie piękność jej tak uderzyła go w pierwszej chwili, ale to nieokreślone coś w wyrazie jej oczu, co w rzadkich chwilach życia odsłania się człowiekowi, niby niewidziane dotychczas głoski wyroków losu. Lecz teraz, ochłonawszy nieco z pierwszego wrażenia, do jakiego zdolne są tylko tak wrażliwe, czyste i niepoczęte natury, jak była Naczkowa, on przypatrywał się jej uważniej, okiem estetyka i krytyka. Ował twarzy był bez zarzutu, duże, nieco wypukłe czoło przysłonięte było do pół krótkimi włosami, nos nieco za duży, ale wielce charakterystyczny, usta drobne i cudnie wykrojone nawet z punktu widzenia krytyka. Naczek przyznać musiał, że Regina była pięknocią. Dziwił się nieco, że młodzież nie roiła się koło niej, że prócz jednego dużego i niezgrabnego pana, który ją zaangażował do walca, więcej nikt ku niej nie przystępował. Że była nieznaną w mieście — to nie racja. Tyle przecież było dokoła pańienek z prowincji, zdaniem Naczka, daleko brzydszych, pretensjonalnie i bez gustu poubieranych, a przecież młodzież koło nich snuła się rojami. Chyba pójść samemu i zaangażować ją do kadryla, a podczas tańca wejść w rozmowę, poznać się? Myśl była tak prosta i naturalna, a przecież na samą tę myśl serce gwałtownie zatrzępotało się w piersi Naczkowej. Zrobił krok i nagle zatrzymał się. Do niej zbliżył się jakiś pan i z grzecznym ukłonem coś do niej przemówił, oczywiście zaangażował ją do tańca. Kto to taki? Naczek poblądł, poznawszy w tym panu swego brata Władka. Niby jakaś zimna ręka chwyciła go za serce. Lecz trwało to tylko sekundę. Opamiętał się i z wolna przeciskając się przez tłum, który już się przygotowywał do walca, stanął przed Regimą. Czuł, że kolana pod nim drżały, że rumieniec twarz mu nalewał, i zły był sam na siebie, że nawet na tyle zapanować nad sobą nie potrafi.

— Czy mogę panią prosić do pierwszego kadryla?

— Przepraszam, jużem zaangażowana do wszystkich trzech — rozległ się przed nim głos, pochodzący ni to z jakiejś niezgłębionej głębi, ni to z jego własnej duszy. Przed oczyma migwały mu jakieś dwa różowe ogniki — zresztą niczego nie widział. Czuł się rozbitym zaraz pierwszymi jej słowami, jednakowoż z wielkiem wysileniem wydobył jeszcze resztki głosu ze swej piersi.

— To może panj pozwoli prosić się do mazura?

— Proszę — odrzekła krótko Regina, z prawdziwie królewskim (jak się zdawało Naczkowi) majestatem skinąwszy głową. I podała mu swój porządek tańców, by na nim naprzeciw odnośnego tańca wpisał swe nazwisko. Drżącą ręką wziął ten bilecik i skwapliwie zaglądnął, kto też zaangażował ją do wszystkich trzech kadryli? Władek! Cóż to, miałby Regina i na niego wyrzucić takie same potężne, a niewyjaśnione wrażenie? Naczek dobrze przypominał sobie mnóstwo faktów z ich życia, świadczących o dziwnej zgodności ich gustów, upodobań i namiętności i o jakimś potężnym związku, który niewidzialnymi ogniwami łączył ich organizmy fizyczne i psychiczne. Dotychczas w tej zgodności bracia znajdowali znaczną część siły i wytrwałości przy zwalczaniu niezliczonych przeszkód, zanim z samego dna społecznego ciężką pracą wydobyli się tak wysoko, na słoneczne wyżyny życia i społeczeństwa. Ale w tym razie rzecz się miała całkiem inaczej. Naczek poczuł jeszcze silniejszy chłód w swym sercu na myśl, że Władek mógł by tutaj stać się jego współzawodnikiem, a co gorzej, szczęśliwym współzawodnikiem. Ta myśl od pierwszej chwili stanęła przed nim ciemna, okropna, jak widmo śmierci. Na pół nieprzytomną ręką wpisał na bileciku swe imię i przezwisko, podał go Reginie i ukłoniwszy się paniom, odszedł. Regina zaś, którą nieco rozśmieszyła postać tego, niby nieprzytomnego pana, rzuciwszy okiem na jego podpis, zdziwiła się bardzo.

— Cóż to, i ten Kalinowicz! — szepnęła do Milci. — To pewnie brat tamtego?

— Tak jest — żywo odrzekła Milcia. — Chciałam ci go już dawno pokazać, ale nie mogłam go dojrzeć. Ten jest redaktorem, a tamten adwokatem. Znam ich obu z widzenia. Mieszkają koło nas blisko, na Pańskiej, i co dzień idą po kilka razy koło naszych okien. Zresztą ich służąca zachodzi czasem do naszej, to co ci ta o nich za ciekawe rzeczy opowiadał

— Czy naprawdę? — rzekła Regina. — A opowiesz i mnie cokolwiek?

— No, to się rozumie! — rzekła Milcia. — Przecież teraz, kiedyś się już do nas przeniosła na stałe pomieszkowanie, to musisz wiedzieć wszystko. No, ale oto i walc się rozpoczyna.

I rzeczywiście z galerii zagrzmiał jeden z najwyuzdańszych walców wiedeńskiego mistrza Straussa, i w sali robuszował się ten wicher, ten chaos kręcących się par, ten

upostaciowany zawrót głowy, który się nazywa walcem. Tylko dzicy lub małpy mogły wymyśleć taniec podobny; tylko z ogniska zmysłowej rozpusty, kultu ciała bez ducha i życia, bez myśli mogła wypłynąć muzyka tak odpowiednia do tego tańca.

Tymczasem bufet zapełniał się — podczas tańców starszym, przeważnie męskim pokoleniem, zaś podczas pauz damami. W pierwszym fumoirze kult Bachusa i Pomony także zwyciężył nad kartami, wycisnąwszy je do ostatniego fumoiru. Za stołami zasiedli panowie zjadający kotlety, bifsztyki i popijający wino lub piwo butelkowe. Około jedenastej godziny przybył na bal także hrabia Adolf, wysoki dostojnik i pan wielkich włości, a odprowadziwszy hrabinę z córkami do sali, usadowił się w tym pokoju, który też wskutek tego stał się magnesem przyciągającym ku sobie cały świat męski i żeński, stał się prawdziwym centrem balu. Zabawa zabawą, ale widzieć hrabiego Adolfa, być przedstawionym hr. Adolfowi, mówić z hr. Adolfem — to były rzeczy dla wielu daleko pojętniejsze, ważniejsze i donioślejsze. Ku niemu ciśnięto się, jednak z użyciem tysiącznych fortelów strategicznych, by uniknąć pozorów natłoku lub zaskakiwania; słowa jego łowiono w locie i podawano z ust do ust, jak drogie historyczne pamiątki; komitetowi biegali, ziemi pod sobą nie czując, niezmiernie zaszczytzeni tym honorem, jaki wyświadczył hrabia Adolf całej młodzieży uniwersyteckiej, odwiedzając z dostojną rodziną bal akademicki. „Pierwszy raz się to dzisiaj zdarzyło, pierwszy raz!” — szeptało po kątach. — „Co też to może znaczyć?” — zastanawiali się domyślnie, skłonni do wietrzenia w każdej drobnostce, uczynionej przez „wielkich” ludzi — jakichś wielkich, tajemniczych i ważnych zamiarów i planów.

Hrabia Adolf był to sobie podeszłego wieku pan, z krótkim, siwizną przyprószonym włosiem i z taką, krótko ostrzyżoną brodą, z silnie rozwiniętymi szczękami, szeroką twarzą i nadzwyczaj wysokim czołem, rosty, barczysty i kościsty. Mówił z wolna, głosem przenikliwym i nieprzyjemnym, nieco przyprawionym ciąglą cierpką ironią, która też błyskała z jego siwych, ostrych oczu. Widać było po nim, że czuje swą wyższość nad całym otoczeniem i że chętnie udaje wielkiego człowieka. Stał nieco na bok pochyłony, oparłszy się lewą ręką o stół i założywszy prawą nogę swobodnie na lewą, na której się opierał całym korpusem, — stał zwrócony plecyma do publiki a twarzą do kąta, gdzie

na sofie rozsiadł się w celu wygodnego trawienia hrabia Hiacynt, ten sam, któregośmy widzieli w rozmowie z komornikiem. Hrabia Hiacynt, mimo że stał na jednym z hrabią Adolfem szczeblu splendoru szlacheckiego, czuł przecież aż nadto dobrze niezmierną wyższość hrabiego Adolfa pod względem majątkowym, jako też pod względem kariery politycznej i zdobytych w niej honorów i dostojęństw. To poczucie, nieco dla siebie upokarzające, starał się maskować jeszcze większą swobodą i nonszalanją ruchów, jeszcze więcej zblazowanym tonem, w jakim prowadził rozmowę.

— Pokazuje się, wie ekscelencja — cedził z wolna hr. Hiacynt, zapalając Bóg wie już które cygaro — że ci Kalinowicze...

— Co? — przerwał go hr. Adolf. — Mówisz o nich w liczbie mnogiej?

— Tak jest. Jest ich dwóch. I pokazuje się, jak mówię, że działają obaj w porozumieniu.

— W porozumieniu? Co działają?

— Jeden, jak ekscelencja wie, wpływa na opinię publiczną za pomocą gazety, a drugi, jakem się dowiedział od komornika S-skiego, jest ten sam, który temu pocziwemu człowiekowi wcisnął do rąk ten skandaliczny proces chłopów z hrabią Alfonsem.

— Czy ta-a-ak? — rzekła ekscelencja ze zdziwieniem. — No, to rzecz ważna. To trzeba wiedzieć. Temu trzeba zapobiegać.

— Myślę atoli — cedził dalej hr. Hiacynt, niezmiernie rad w duszy, że mu się choć raz w życiu udało powiedzieć coś ważnego i zwrócić na coś uwagę ekscelencji, i starając się nadać sobie minę człowieka wiedzącego jeszcze ważniejsze rzeczy, — myślę, ekscelencjo, że wszystko to rzeczy nie ważne, że ekscelencja zamadło gorąco to rzeczy pojmuje.

— Czy ta-a-ak? — rzekła ekscelencja.

— Takie moje zdanie — odparł poważnie hr. Hiacynt. — To plebejusze i proletariusze. Jakie są ich siły, ich środki? Jeden praktykant adwokacki, a drugi młokos całkiem bez zajęcia, gryzi piórko. Odziedziczył po jakimś krewnym parę tysięcy i rzucił w gazetę. N-no, my wiemy, co taka gazeta zjeść potrafi. Wystarczy ekscelencji pomówić parę słów z prokuratorem, i za pół roku gazeta upaść musi. A co do adwokata — nno, to z tym jeszcze łatwiejsza sprawa.

— Preceniasz, hrabio, mój wpływ na prokuratora, a mało ważysz przeciwnika — rzekła ekscelencja również poważnie.

Mówiłem ci ja z prokuratorem zaraz po wyjściu pierwszego numeru tego „Gońca”, wskazywałem mu na groźące niebezpieczeństwo dla porządku społecznego — obiecał uczynić co można, i cóż uczynił? Skonfiskował na sześćdziesiąt numerów zaledwie dziesięć, a i z tych trzech konfiskat sąd nie zatwierdził. A takie artykuły, jak krytyka przeszłorocznej uchwały sejmowej o propinacji, jak krytyka ustawy drogowej, jak rzecz o porcjach, o lichwie bankowej — wszystko to poszło i nawet w tysiącach odbitek rozrzucanym bywa po wsiach i miasteczkach.

— N-no, moim zdaniem, są to niewinne stylistyczne ćwiczenia, które nam nie zaszkodzić nie mogą — rzekł hr. Hiacynt.

— Czy ta-a-ak? A czytałeś, hrabio, choć jedno z tych niewinnych ćwiczeń?

— Przyznam się, że nie czytałem, uważając to za bagatelę.

— Toż to i jest nasze nieszczęście, że bagatelizujemy każdego wroga, dopóki ten nas za kark nie weźmie. Bagatelizujemy żyda, dopóki nas z dworu nie wyrzuci. Bagatelizujemy chłopą, dopóki nam buntu nie podniesie lub gumną nie podpali. Bagatelizujemy Rusinów, dopóki także w siłę nie wzrosną, a teraz bagatelizujemy i to nowe zjawisko, które, o ile sądzę z dotychczasowej jego działalności, bardzo łatwo może zogniskować w sobie wszystkie niezadowolone elementy wyznaniowe, narodowe i społeczne, i stworzyć nam w kraju takiego wroga, który nas przy pierwszym poruszeniu na miazgę zgniecie.

Hrabia Hiacynt znał hrabiego Adolfa, wiedział, że tenże bardzo często lubi występować w roli generalnego opiekuna, zastępcy i obrońcy interesów całej szlachty galicyjskiej, w roli, żeby tak powiedzieć, pieczołowitego ojca, dbałego o każdego członka rodziny, o każdy najmniejszy przedmiot rodzinnego majątku i o niepokalany honor domu. Wiedział, że właśnie ta pieczołowitość o ogół nieraz popycha hrabiego Adolfa do przesady, do przeceniania prawdziwych lub nawet rzekomych niebezpieczeństw, groźących stanowi szlachectwu. Przyjmował więc wywody ekscelencji cum grano salis, chociaż i z poważnym obliczem.

— Spróbuj tylko hrabia przekartkować dotychczasowe wydawnictwo tego Kałnowicza — prawil dalej hr. Adolf — sam się przekonasz, z jaką szatańską zręcznością jest ono prowadzone i jakie dzielne ma pióra. Sam nieraz się zapalam przy czytaniu jego artykułów, a dopiero po chwili, otrząs-



nąwszy się z pierwszego wrażenia, widzę całą ich przewrotność. Nie, to nie lada jaki przeciwnik! Mówisz, że mlókos? Tym gorzej dla nas. Zobaczył byś tylko, jaką on ma falangę korespondentów w najrozmaitszych stronach kraju! I jakich korespondentów. Diabli wiedzą, skąd on ich wytrząsał! Gdyby nasz „Czas” w całym roku dał choć dziesięć takich korespondencyj, jakie „Goniec” daje omal że nie co dnia! A, żebyś hrabia widział, jak tam ciebie i twego Alfonsa wymalowano!

— Co? — krzyknął hrabia Hiacynt, zrywając się ze sofy i pierwszy raz zapominając przeciągnąć głos. — Czy możliwa rzecz? Mnie, mnie opisali? I kto taki? Co napisał?

— Czytaj, hrabio, pilniej dzienniki — rzekł uśmiechając się hrabia Adolf, rad, że choć takim zadrażnieniem poruszył to gruboskóre zwierzę. — Czytaj i śledź korespondenta, jeżeli ci to sprawia satysfakcję.

— Ale czegoż on ode mnie chce? Co ja komu zawiniłem? — krzyczał na pół oburzony, na pół wystraszony hrabia.

— Hm — odparła ekscelencja z poczuciem swej przewagi. — Musi tam coś być na tym, kiedy prokuratoria gotową już była wytoczyć ci śledztwo. Przypomnij sobie, jakiegoś tam chłopca, ponoć nawet radnego, kazałeś na dziedzińcu różgami oćwiczyć, aż zemdłał.

Hrabia Hiacynt poczerwieniał cały i parę sekund zdawało się, że żuje coś zębami. Wreszcie wybuchnął.

— A, to o tym? Więc ten pan mięsza się w moje domowe rzeczy? Cóż to, chyba mi nie wolno mego chłopca oćwiczyć, jeżeli przewini?

— Ha, ha, ha, pyszny jesteś, hrabio! — zaśmiała się ekscelencja. — Zapominasz, że mamy konstytucję i autonomię i inne takie dobrodziejstwa!

— Więc mówi ekscelencja, że prokuratoria miała z tego powodu wytoczyć mi śledztwo?

— I prawdopodobnie wytoczy ci nawet, jeżeli nie skłoniśz chłopca, by wszystkiemu zaprzeczył. Było by ci ono już wytoczono, gdybym swym osobistym wpływem nie był wyjednał odroczenie sprawy. Ale zatuzować jej nie będzie można, bo ten Kalinowicz już ją roztrąbił po wiedeńskich i zagranicznych dziennikach.

— Mój Boże! — zawołał hrabia Hiacynt, chwytając się za głowę. — I wszędzie tam moje nazwisko stoi?

— No, nie, tylko początkowe litery.

To nieco uspokoiło hrabiego, chociaż nie zupełnie uciszyło jego wzburzenie.

— Ależ to horrendum! I kto mu mógł o tym napisać? A nadto niech ekscelencja zwazy, że ich jest dwóch: jeden dziennikarz, a drugi adwokat, i że obaj działają w porozumieniu!

W sali nastąpiła pauza i wpływający stamtąd do bufetu i do sąsiednich pokojów potok gości przerwał rozmowę dwóch jaśniewielmożnych. Hrabiego Adolfa znowu otoczono; hrabia Hiacynt siedział w swym kącie, paląc cygaro i oddając się głębokim, lecz oczywiście wcale nie wesołym myślom.

— A, najniższy sługa pani dobrodziejki! — zawołał nagle hrabia Adolf, z szarmanckim ukłonem zbliżając się do pani Drelichowej, która właśnie weszła z bufetu do bocznego pokoju w towarzystwie Milci i Reginy. — Pannie Milci mój komplement — rzekł hrabia i spoczął wzrokiem na obcej dla niego postaci Reginy.

— Moja siostrzenica, ekscelencjo, Regina Kisielewska, córka mojej nieodżałowanej Kasi — rzekła pani Drelichowa, przedstawiając hrabiemu Reginę, która spokojnie spojrzawszy na hrabiego, dygnęła i pochyliła twarz.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panią — rzekł hrabia Adolf. — Znałem matkę pani, gdy jeszcze była panienką, i chronię o niej bardzo sympatyczne wspomnienia.

— Chciałybyśmy na chwilę usiąść, wypić cokolwiek — mówiła pani Drelichowa do hrabiego, który też natychmiast poprowadził panie do stołu, przy którym niedawno rozmawiał. W natłoku Reginie wypadł z ręki wachlarz i porządek tańców, a hrabia, jak prawdziwy kawaler, lotem błyskawicy schylił się i podniósł uronione przedmioty.

— Dziękuję ekscelencji — rzekła Regina, przyjmując wachlarz z rąk hrabiego.

— O, nie, tego mi nie dosyć! — rzekł hrabia z uśmiechem. — Muszę się popatrzeć, jakie też to pani tego wieczoru konkiety porobiła! Pani niedawno we Lwowie?

— Tak jest.

— I pierwszy raz na balu?

— Na takim wielkim balu pierwszy raz.

— Tym ciekawiej, tym ciekawiej, komu też to pani od pierwszego razu głowę zawróciła — żartował hrabia i rzucił okiem na porządek tanców, by odczytać nazwiska kawalerów, którzy się tam powpisywali. Wzdrygnął się nagle.

— Cóż znowu! — rzekł na pół żartobliwie a na pół serio. — To jakaś fatalność. Kalinowicz i Kalinowicz! Od samego nowego roku prześladowe mię to imię! Czy pani

znasz tych panów Kalinowiczów? — zapytał hrabia Reginę.

Twarz jej, zwykle tak blada, splonęła rumieńcem, gdy hrabia zwrócił do niej to pytanie.

— Nie, ekscelencjo.

— Ja ich znam — rzekła pani Drelichowa — chociaż tylko z widzenia. Mieszkają o dwa numery za moim domem. Nadzwyczaj zdolni młodzi ludzie.

— Więc oni są tutaj? Nie wiedziałem o tym. Panie, panie komitetowy — zwrócił się nagle hrabia do jednego z komitetowych. — Bądź pan tak dobry i przedstaw mi pana Kalinowicza!

— Służę ekscelencji! — rzekł komitetowy i oddalił się spiesznie z głębokim ukłonem.

Hrabia Adolf i pani Drelichowa byli dawni znajomi. Pani Drelichowa pochodziła ze starej szlacheckiej rodziny. Majętność jej rodziców graniczyła z jedną z włości hrabiego, który też, jako młody panicz częstym bywał gościem w skromnym szlacheckim dworku. Nie tyle wabiło go tam ciche, staroświeckie życie, ile urodziwa córka właściciela, z którą wkrótce zawiązał głębszy, serdeczny stosunek. Stosunek ten trwał parę lat, dopóki młody hrabia nie ukończył uniwersytetu i nie udał się do Wiednia, a dalej za granicę, robiąc dyplomatyczną karierę. Tymczasem stosunki w starym szlacheckim dworku fatalnie się zmieniły: 1846 rok piorunem uderzył w ten cichy zakątek. Właściciel i cała męska służba zostali przez bandę chłopską straszliwie wymordowani, dobytek zrabowano, folwark spalono i zniszczono do szczętu. Matka z dwiema córkami sprzedała zniszczone dobra i z niewielkim kapitałikiem udała się do Lwowa, by dokończyć edukację młodszej, 16-letniej córki i umożliwić też starszej, 20-letniej, zawinięcie do portu małżeńskiego.

Starsza ta córka, panienska niezwyklej urody i również niezwyklego sprytu okazała się nadspodziewanie zdolną do torowania sobie drogi w życiu. Nie minął rok, a już stała u ołtarza, podając rękę staremu, lecz bogatemu kupcowi lwowskiemu Drelichowi. Małżeństwo to, tak rażąco niedobrane, w swoim czasie było przedmiotem licznych rozmów w salonach lwowskich, ale rozmowy te wkrótce zmieniły się w szept, przy których starsze damy trwożliwie oglądały się, czy ich nie słyszą młode panienki, panienki zaś starały się omawiać dotychczas wieści tak, by ich nie słyszały matule i ciotce. Młoda pani Drelichowa okazywała swemu mężowi

od pierwszych dni zamęścia nieograniczoną pogardę, prowadziła życie szumne i wesołe w gronie złotej młodzieży, nie troszcząc się wcale o męża, który pod wpływem tych miodowych miesięcy coraz częściej zaczął zapadać na zdrowiu. Wkrótce też powrócił do Lwowa dawny jej znajomy, hrabia Adolf, także już żonaty i dość wysokie zajmujący stanowisko służbowe, i dawny stosunek między nimi odnowił się, wszakże nie w dawnej już romantycznej formie, wzbogacając skandaliczną kronikę lwowską wielu ciekawymi faktami.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie było życie i położenie matki i młodszej siostry wobec takiego życia pani Drelichowej. Na prośbę jej męża matka i siostra sprowadziły się do jego kamienicy przy ul. Pańskiej, gdzie też mieszkali państwo Drelichowie. Wyznaczono im w oficynie na drugim piętrze dwa skromne pokoiki z kuchenką; pan Drelich dawał im też regularnie co miesiąc pewną sumę na utrzymanie, ale za tę jałmużnę musiała stara matka, przywykła do cichego, skromnego i patriarchalnego życia, przypatrywać się zbliżającemu się, co robiła jej córka na beletażu, słuchać tysiącznych szeptów usługujących języków i narzekań jej nieszczęśliwego męża. Jedynym pragnieniem starej kobiety było wydobyć się z tego gniazda, a możliwie to było przez zamęście jej młodszej córki.

Od samego początku pobytu we Lwowie poznał się z nimi niejaki Kisielewski, nie pierwszej już młodości drobny obywatel z Sanockiego okręgu. Była to postać nadzwyczaj ciekawa, istny zwiastun zbliżającego się nowego czasu. Chociaż niewielkie miał szkolne wykształcenie, zdołał jednak usilną pilnością i skrzętnym czytaniem książek najrozmaitszej treści zdobyć sobie masę różnorodnych wiadomości. Chociaż to wszystko było dorywcze, nieprzerobione i niekrytyczne, mimo to jego ruchliwy i niezmordowany umysł operował tym pstrym materiałem, tworząc niezliczone plany i kombinacje. Najróżnorodniejsze gałęzie przemysłu czy to podupadłego czy całkiem u nas nowego roiły się przed jego wyobraźnią, to znowu tworzył plany organizowania handlu eksportowego, eksploatacji bogactw mineralnych kraju, organizacji spółek produkcyjnych. Bogactwa, miliony, skarby — te słowa nie schodziły z jego ust, mimo że sam, spieniężywszy swą niewielką posiadłość w Sanockim, żył ze szczupłej pensji kancelisty i przepisywał w domu akta dla pewnego adwokata, by nie uszczuplać swego kapitałiku, który zdaniem jego przeznaczonym był do wielkich rzeczy,

miał się stać źródłem olbrzymich bogactw, gdy przyjdzie stosowna chwila.

Otoż ten Kisielewski częstym bywał gościem w pomieszkaniu wdowy obywatelki i wiele usług robił kobietom w pierwszym czasie ich pobytu we Lwowie. Później, gdy starsza córka wyszła za mąż, nie przestawał bywać w pomieszkaniu jej matki i siostry, wnosząc w to ciche, skromne i smutne ustronie całe roje swych świetnych planów i fantazyj. Słuchały go obie kobiety, nieprzywykłe do podobnych rzeczy, podziwiała ogrom jego wiedzy i bystrość spostrzeżeń, a pewność, z jaką się wyrażał, udzielała się im; nie wątpiły, że tego człowieka o tak silnej głowie i żelaznej woli wielka czeka przyszłość. Zresztą Kisielewski był człowiekiem nawskróś uczciwym i ani na chwilę nie pozostawiał w błędzie swe znajome panie co do rzeczywistego stanu swego majątku. Miał pięć tysięcy reńskich w kasie oszczędności, od których odsetki również co roku dokładał do kapitału. Gdy przyjdzie stosowna chwila i zdarzy się odpowiednie przedsięwzięcie, miał z tymi pieniędzmi wyruszyć na zdobycie fortuny.

Nie dziw więc, że obie panie, matka i młodsza córka, z prostoduszną szczerością przyjmowały udział w losach Kisielewskiego i że ucieszyły się bardzo, kiedy ten pewnego razu doniósł im, że stosowna chwila nadeszła, że przedsięwzięcie, zdolne do polepszenia jego losów, nadarza się. Znajomy Kisielewskiego, niejaki Schneider, wyszedł źródła bogactw w Truskawcu: rudę srebrną i naftę, którą wówczas dopiero nauczono się oczyszczać i używać do oświetlenia. Wzrastające nagle i szybko kopalnie borysławskie, o których wszyscy w kraju mówili, czyniły prawdopodobnym istnienie takichże źródeł i w pobliskim Truskawcu, gdzie zresztą kopanie nastroczało pomyślniejsze warunki z powodu braku żydowskiej konkurencji. Lecz jeszcze więcej zdziwiły i ucieszyły się obie panie, gdy Kisielewski przedłożył im podzielić jego romantyczną podróż do złotodajnej Kolchidy, tj. gdy poprosił o rękę panienki. Życie obu pań w domu pani Drelichowej stało się po prostu nieznośnym, obie więc, matka i córka, uchwyciły się za podane im ździebełko, by się wydobyć z tej toni. Zresztą matka zachowała część kapitału ze sprzedanej majątności jako posąg dla młodszej córki, tak że początkowy kapitał uszczęśliwionego podwójnie zięcia nagle wyniósł przeszło dziesięć tysięcy. To był kapitał jak na owe czasy wcale już okazały, to też po odbyciu skrom-

nego wesela państwo młodzi wraz z matką na skrzydłach nadziei polecieli na błogosławione podgórze, do Truskawca, gdzie Kisielewski przedtym już zakupił był za paręset guldenów niewielką realność z małym domkiem.

Minęło parę lat. W małym domku w Truskawcu wiele się zmieniło. Staruszka babka umarła, wykolosawszy troje wnucząt: chłopczyka i dwie dziewczynki. Ale złote nadzieje Kisielewskiego nie ziściły się. Mimo starannych poszukiwań i wszelkich geologicznych prawdopodobieństw ani nafty ani srebra nie było: cały kapitał poszedł „w ziemię” na marne. Pokazały się długi, weksle, które trzeba było spłacać; musiał sprzedać mały domek i realność. Z otrzymanych pieniędzy zaledwie drobna pozostała cząsteczka. Ze smutkiem i płaczem wróciły rozbitki do Drohobycza, gdzie ojciec znowu zaprzął się w jarzmo kancelaryjne, by utrzymać rodzinę i dawać edukację dzieciom. Spólnik jego Schneider, również zrujnowany, kręcił się po Boryslawiu. Lecz fantazje o nowym wypłynięciu na wierzch nie polyszały Kisielewskiego. Poparzystywszy się na przemyśle, zwrócił oczy w inną stronę, ku loterii. Do spółki ze Schneiderem zakupił parę losów loterii rządowej: po wygraniu któregośkolwiek bądź losu mieli się spółnicy podzielić pieniędzmi po równych częściach. Lecz Kisielewski nie doczekał już tej chwili, kiedy się koło fortuny miało korzystnie dla niego obrócić: umarł pod ciężarem prac i zgryzot. Żona jego, w nędzy i niedostatku utrzymywała się to szyciem, to udzielaniem lekcyj kroju, to trzymaniem na stacji studentów, byle tylko nie zaniedbywać edukacji swych dzieci. O upadającej pod brzemieniem tego trudu siostrze przypomniała sobie wreszcie pani Drelichowa i wzięła do Lwowa jej najstarszego syna, Ernesta, wielkiego lamparta, którego w Drohobyczu z gimnazjum wypędzono. Potrzymawszy go przy sobie rok jeden, umieściła go na rządowy koszt w szkole wojskowej we Wiedniu. Tymczasem najstarsza panna Kisielewska wyszła za mąż za jakiegoś drobnego urzędnika, młodsza zaś kończyła w Drohobyczu żeńską szkołę, kiedy nagle biednym kobietom, znękanym walką z przeciwnościami losu, uśmiechnęło się szczęście. Jeden z losów, zakupionych przez ich ojca, wygrał wielką sumę.

Ale niestety, i ten uśmiech fortuny był zwodniczy. Losy znajdowały się w posiadaniu Schneidera, który ani mówić sobie nie dawał o podziale. Biedne kobiety nie miały w ręku żadnego pisemnego kontraktu ani dokumentu; trzeba było

wyszukiwać świadków umowy, wytaczać długoletni i uciążliwy proces. Schneider śmiał się z tego, wiedząc, że bez pieniędzy takiego procesu prowadzić niepodobna. Proponował Kisielewskim paręset reńskich odczepnego, lecz niezłamana przeciwnościami kobieta odrzuciła tę propozycję i weszła na drogę procesu. Ciągnęła się z ostatniego na opłacenie najpierwszych kroków sądowych, lecz na doprowadzenie całej rzeczy do skutku sił jej nie starczyło. Umarła w nędzy, pozostawiając swej najmłodszej córce Reginie prócz swego błogosławieństwa tylko plik papierów, które miały służyć za podstawę do dalszych kroków sądowych przeciw nieuczciwemu spółnikowi. Pani Drelichowa i tym razem wyciągnęła pomocną dłoń i sprowadziła Reginę do siebie w pół roku po śmierci jej matki — oczywiście nie spieszo jej się działo.

W domu pani Drelichowej tymczasem zaszły również niektóre zmiany. Stary Drelich dawno umarł, pozostawiwszy swej żonie cały swój majątek, a także dwoje dzieci: syna i córkę Milcię. Pani Drelichowa naraz spoważniała, tym bardziej, że i hrabia Adolf na nalegania rodziny na długie lata opuścił Lwów i Galicję. Została więc pani Drelichowa wdową w pełnym znaczeniu tego słowa, a gdy wreszcie hrabia Adolf po latach kilkunastu powrócił, by zająć we Lwowie wysokie stanowisko rządowe, to dawne bliskie stosunki już się nie odnowiły między nimi. Pani Drelichowa była kobietą zanadto rozsądną, by miała pragnąć powrotu tego, co się już wrócić nie mogło, zadowalniała się natomiast uczuciem cichej przyjaźni i ciepłej poufałości, które jej okazywał hrabia. Bywał on czasem w jej domu, gotów był na jej prośbę okazywać protekcję jej krewnym, forytował w służbie politycznej jej syna, a natomiast miał w pani Drelichowej gorącą wielbicielkę i zwolenniczkę, gotową propagować jego sławę jako polityka i administratora w sferach bogatego mieszczaństwa i wyższego urzędnictwa.

Widząc, że hrabia zainteresowany Kalinowiczami, pani Drelichowa krótkimi słowy opowiedziała mu to, co i sam hrabia już wiedział, lecz nagle, upatrzawszy stosowną chwilę, nachyliła się bliżej, do samego ucha hrabiego i szepnęła mu coś, parę słów, na które hrabia odpowiedział jej tylko wymownym wejrzeniem.

— Mam zaszczyt przedstawić ekscelencji mego kolegę, doktora Kalinowicza! — rzekł komitetowy, przybliżając się do stoła pod rękę z Władkiem, który się uklonił.

— Przyjemnie mi pana poznać — rzekł hrabia, wstając i podając rękę Władkowi, lecz w tej że chwili pilnie obserwując jego twarz i twarz Reginy, która znowu żywym oblała się rumieńcem. — Proszę, niech pan siada koło nas. Panie zapewne znają pana doktora?

— O, tak, miałem zaszczyt poznać się — rzekł Władek kłaniając się paniom i siadając na krześle, które mu naprzeciw siebie wskazał hrabia.

— Czy to pan wydajesz „Gońca”? — zapytał się hrabia, przystępując wprost do rzeczy.

— Nie, ekscelencjo, to mój brat.

— Tak? To szkoda, chciałem właśnie z pańskim bratem pomówić.

— Mogę go ekscelencji przedstawić — rzekł Władek.

— Niech się pan nie trudzi — rzekł hrabia. — Nic to tak ważnego. Zresztą panowieście bracia, mieszkacie razem, poglądy macie jednakowe (słowa te hrabia wyrzekł z osobliwym, nieco ironicznym naciskiem) — to myślę, że co powiem panu, to tak, jak bym powiedział pańskiemu bratu.

Władek zamiast odpowiedzi tylko ukłonił się w milczeniu.

— Muszę panu powiedzieć — mówił hrabia surowym tonem — że mi się bardzo nie podoba kierunek „Gońca”. Pojąć nie mogę intencji panów. O co wam idzie? Chcecie ponowić sceny 46 roku? Bo oczywiście ta, jak wy mówicie „krytyka”, a właściwie krucjata przeciw szlachcie do niczego innego doprowadzić nie może. I tak kraj do spokoju przyjść nie może, a panowie jeszcze większe chcecie wywołać zamieszanie.

Władek siedział całkiem spokojny, i ani na krztę nie zmieszał się pod tym gradem zarzutów.

— Daruje ekscelencja — odpowiedział — ale zdaje mi się, że ekscelencja mylnie pojmuje nasze wystąpienie. Nie jesteśmy stroną zaczepiającą, nie głosimy żadnej krucjaty, bronimy jedynie interesów tej warstwy, która zdaniem naszym przez wszystkich jest krzywdzoną a przez nikogo szczerze nie bronioną.

— Tere, fere, panie doktorze! — niecierpliwie odrzekł hrabia. — Znam te frazesy, czytałem je często w „Gońcu”. Ładnie to mówić: bronimy. A w rezultacie wychodzi tak, że panowie podkładacie lont zapalony pod beczkę prochu i mówicie: za ewentualny wybuch nie jesteśmy odpowiedzialni. Odpowiedzialność niech spadnie na tych, którzy ten



proch zgromadzili. To, panie, nieładnie, nie po obywatelsku tego ścierpieć nie można!

— Cóż, ekscelencjo — odrzekł Władek — robimy, co nam każe sumienie i poczucie obowiązku, stoimy na gruncie ustawy, występujemy w imię najprostszych zasad ludzkości i sprawiedliwości. Myślę, że i ekscelencja niczego innego od nas żądać nie może.

— Młodziście, panowie, za mało wiecie i za mało widzicie, a za wiele ufacie tym swoim zasadom. Wierz mi pan, że im starszymi będziecie, tym więcej doświadczenie ograniczać i ścieśniać będzie obszar tych zasad, dopóki je całkiem nie zabsorbują.

— Ha, ekscelencjo — postarzejemy się, to będziemy postępować tak jak starzy. Ale dopókiśmy młodzi, pozwól nam, ekscelencjo, postępować jak młodym.

— Pozwól wam! — prawie krzyknęła ekscelencja. — A ile wy za ten czas możecie szkody narobić, jaki pożar możecie wzniecić! To was nic nie obchodzi!

— Nie pojmuję właściwie, czego ekscelencja od nas żąda — rzekł Władek.

— Żądam, żebyście panowie dali spokój temu wiecznemu i szalonemu atakowaniu szlachty.

— Z największą przyjemnością — odrzekł Władek. — Skoro tylko szlachta da spokój wiecznemu krzywdzeniu i ponizaniu ludu wiejskiego.

— Więc panowie koniecznie chcecie wojny? — rzekła ekscelencja, zaczynając tracić cierpliwość.

— Przeciwnie, ekscelencjo, chcemy spokoju, ale korzystnego dla obu stron, nie zaś dla jednej tylko.

— Nudzisz mię pan. Żegnam! — rzekł hrabia Adolf odwracając się i skinął ręką na znak, że audiencja skończona. — Arogant! — wycedził przez zęby, zwrócony do pani Drelichowej, ale tak, że odchodzący Władek mógł to słowo usłyszeć.

— Mój Boże, co to dziś za młodzież, co za pokolenie! — narzekała pani Drelichowa. — Wszystkiemu winna ta konstytucja. Poprzewracało się w głowie młodzikom i myślą, że im wszystko wolno!

Hrabia Adolf nie słyszał prawie tych słów, ciężko odychając i starając się uspokoić rozdrażnienie, któremu mimowoli dał się unieść wobec „aroganckich” słów tego młodzika. Gdy jednak po chwili zapanował nad sobą zupeł-

nie i chłodno rozważył swój krok, pożałował nieco swej zapalczywości. W następnej chwili spojrzął na rzecz znowu z innego punktu widzenia. Oczywiście te młodziki nie z takich, by ich można groźbą zastraszyć lub obietnicami czy protekcją zwabić z raz powziętego kierunku. Trzeba z nimi walczyć, trzeba ich zgnieść, inaczej nie umilkną. A jeżeli tak, to i lepiej się stało, że sytuacja wyklarowała się w pierwszej chwili. Uczciwiej nawet i daje mu to zupełną swobodę ruchów. Wojna więc wojnal

Całkiem odmienne uczucia pozostawiła ta rozmowa w sercu Reginy. Władek od pierwszego razu, kiedy go zobaczyła w kołomyjce, wywarł na nią silne wrażenie, a to, co słyszała w ciągu tego wieczora o nim i od niego, postawiło go bardzo wysoko w jej mniemaniu. Co prawda, więcej prawie niż o Władku, mówiono o jego bracie, lecz brat ten stał w jej wyobraźni jak cień obok jasnej i sympatycznej figury Władka, oddając jemu wszystkie swe dobre przymioty, a biorąc na siebie wszystkie niedostatki. Władek zręczny, śmiały, rezolutny, przystojny, a brat jego jakiś niby wystraszony, jękiwy, patrzący z ukosa, niby wiecznie ktoś o coś podejrzujący,—oto jaki kontrast przedstawili obaj bracia w oczach Reginy; nie dziw więc, że jej żywa, wrażliwa i zdrowa natura czuła się więcej pociągniętą przez pierwszego, niż przez drugiego. Co więcej, rozmowa z hrabią Adolfem, w której Władek zajął tak śmiałe, niezależne i pełne godności stanowisko i swym spokojem zdołał wyprowadzić z równowagi takiego wytrawnego dyplomaty i wysokiego dostojnika, postawiła go w oczach Reginy nadzwyczaj wysoko.

Naczek tymczasem jak zblakana owca brodził po sali, szukając oczyma nadobnej główki z krótkimi włosami, która mu zniknęła w wirze walca. Próbował zastanowić się dokładniej, co go tak ciągnie do niej, nieznanym, pierwszy raz widzianym. Wstydził się na samą myśl, by mogła to być sama fizyczna piękność, która zresztą, jak mógł się przekonać z klasyfikacji swoich kolegów, wcale nie była tak wybitną i nie zwróciła na się prawie niczyjej uwagi. Przebłysk sympatycznej, niepospolitej duszy, który dostarzał w jej oczach, mógł co prawda być owym magnesem, ale mógł też być złudzeniem, wytworem jego własnej wyobraźni, ucieleśnieniem jego ideału, które mogło nie mieć nic wspólnego z realną, rzeczywistą Reginą Kisielewską. Lecz choć i jak uspokajającymi mogły być podobne argumen-

ty,—wszystkie one prysnęły jak lód na słońcu, skoro we drzwiach bufetu za potężną figurą pani Drelichowej pokazała się smukła, równa i z niezwykłą gracją stąpająca figurka Reginy. Nie widząc jej głowy, Naczek mógł by ją był poznać po samym chodzie spośród całego tu zebranego towarzystwa.

Rozpoczął się mazur, do którego Naczek zaangażował Reginę. Chciał podczas tego tańca wciągnąć ją w rozmowę, przekonać się, czy rzeczywiście te głębokie, tajemnicze oczy była oknem żywej i pięknej duszy. Używał największych wysiłków, by być wobec niej swobodnym, wesołym i przytomnym, lecz gdy stanął przed nią, gdy z ukłonem dotknął się jej ręki i poczuł jej dotknięcie, wszystkie jego postanowienia dymem się rozwiały. Regina zresztą wydawała mu się teraz jakaś niezadowolona, niechętna; jakaś chmurka wisiała na jej jasnym czole, a oczy błyszczały chłodnym, niby stalowym blaskiem, nie pozwalającym zajrzeć w głębię duszy.

— Czy pani na długo zagościła do Lwowa? — zapytał wreszcie Naczek podczas tańca.

— Na stały pobyt — szepnęła Regina i odwróciła się.

— I pani będzie u cioci przebywać?

— Tak jest.

— A gdzie pani dotychczas przebywała?

— Mniejsza o to — szepnęła Regina oczywiście niezadowolona z tego, że Naczek podczas tej rozmowy zrobił jakiś niezręczny krok.

Na tym rozmowa się przerwała, lecz Naczek jeszcze nie tracił nadziei. Gdy skończyli turę, on odprowadził ją na jej krzesło, a korzystając ze sposobności, że ani Milci ani pani Drelichowej nie było w pobliżu (panią Drelichową odprowadził hrabia Adolf do bufetu, żywo coś z nią rozmawiając), zapytał:

— Pozwoli pani usiąść obok siebie?

— Proszę! — rzekła Regina nie patrząc na niego. Naczek usiadł.

— Daruje pani mej śmiałości — rzekł spoglądając z boku na jej profil — ale chciałem się pani spytać, co porabia brat pani?

— Mój brat? Jaki brat?

— Ernest Kisielewski, mój były uczeń.

Regina obróciła się nagle i wypatrzyła się wielkimi oczyma na Naczka, lecz i tym razem nie było w nich

żadnej iskry uczucia, a była tylko chłodna ciekawość.

— Więc pan znasz mego brata? — zapytała. — Nie mogę sobie przedstawić, skąd i jakim sposobem.

— Przecież on przez rok chodził do gimnazjum we Lwowie, a potem zdaje mi się poszedł do wojskowej szkoły.

— Już z niej wyszedł — odcięła krótko Regina.

— A to dlaczego wyszedł? — zapytał Naczek.

— Mniejsza o to! — odrzekła Regina.

— I gdzie się teraz obraca? Bardzo bym chciał odnowić z nim znajomość. Chociaż żywego temperamentu i nieco zaniedbany, był to jednak chłopiec wielkie rokujący nadzieje.

— Przepraszam pana! — rzekła Regina wstając i idąc naprzeciw powracającej cici, nie rzuciwszy nawet jednym spojrzeniem na nieszczęsnego Naczka. Ten siedział odrętwiały i śledził za nią bezsilnym wzrokiem; był moment, kiedy ta smukła postać wydała mu się jakimś potworem, czemś złowrogim i nieprzyjaznym, kiedy on gotów był się zerwać i rozszarpać ją na sztuki. Ale był to tylko poryw wzburzonego uczucia, jak rozbitej nadzieji. Gdy Regina w tłumie znikła mu z oczu, zerwał się niby w obawie przed samym sobą i poszedł przeciskać się w przeciwny kąt sali, jak najdalej od tej zniechęconej istoty.

— Głupia gęś! — szeptał sam do siebie. — Nudę! Arogantka! Myśli, że Bóg wie czym jest! Myśli, że naprawdę jest królową a ktoś jej poddany. A ja głupi także myślałem, że nie wiedzieć jaką perłę znalazł. Głupił głupił!

I Naczek, siedząc w krześle i utopiwszy nieprzytomny wzrok w migających przed nim różnobarwną falą parach, obrzucał Reginę najgorszymi epitetami z tą lubością, z jaką ranny w gorączce rozdrapuje swe rany. Czuł się nieszczęśliwym, tym nieszczęśliwszym, że był zły sam na siebie i na tę, w której przed chwilą widział wcielenie swego ideału. Radość, z jaką szedł na bal dzisiejszy, była do gruntu zatruta. Szelest jedwabiu, stuk miarowy setek kroków, grzmot muzyki z galerii, blask lamp, biżuterij i setek młodych oczu, — wszystko to teraz raziło go, niepokoiło i dręczyło. Pragnął ciszy, samotności i ruchu, ruchu gwałtownego, nieskończonego, spierającego oddech i odbierającego przytomność, by mógł bodaj na chwilę zapomnieć o sobie i o wszystkim, co przeżył w ostatnich kilku godzinach.

Wstał, by się oddalić z tego nienawistnego balu, lecz nagle stanął jak piorunem rażony. W swym osłupieniu nie pamiętał jak długo przesiedział w samotnym kącie, jakie za ten czas szły po kolei tańce i pauzy. Teraz właśnie tańczono pierwszego kadryla, i w tej samej chwili przepłynęła obok niego Regina w parze z Władkiem. Lecz jakże była zmieniona, niepodobna do tej, która z nim tańczyła mazura i którą on przed chwilą przeklinał. Wesola, pogodna, uśmiechnięta, z twarzą lekko zarumienioną, z okiem pałającym żywą wewnętrzną radością, w żywej rozmowie ze swym danserem, którą niechętnie przerywała przy odpowiedniej komendzie aranżera. Naczek musiał się oprzeć o śłup, by nie upaść na ten widok i przez cały czas tańca nie spuszczał oczu z tej pary. Władek obracał się z nią swobodnie, bez cienia adoracji, ale z tą wykwintną grzecznością i uwagą, która go zawsze cechowała. Przeciwnie, Regina sama dość widocznie wyróżniała go od innych mężczyzn, i gdy kapryśne figury kadryla kazały jej podawać rękę innemu mężczyźnie, natychmiast lekka chmurka zawiąsała na jej czole, odpowiadała krótko, gdy tancerz co do niej zagadał.

— Kapryśne, rozpieszczone dziecko! — zakonkludował Naczek, lecz i ten sąd nie przyniósł mu spokoju. Myśl jego natychmiast znalazła drugi koniec tego kija: „Niezepsuta, zdrowa natura, nie umie maskować swych sympatyj ani antypatyj”. I biedny Naczek czuł się stokroć nieszczęśliwszym, niż przed tym, stokroć porывał się z miejsca, by uciekać od tego widoku, i zawsze pozostawał nieruchomy, nie mogąc oczu od niej oderwać.

Wreszcie skończył się kadryl. Władek odprowadził Reginę na jej miejsce i chwilę jeszcze, pochylony naprzeciw niej, oczywiście zapatrzony w te cudowne oczy, których momentalny blask oczarował Naczka, stał, rozmawiał, żartował. Śmiali się oboje, śmiała się obok siedząca Milcia, tylko Naczek stał z dala, ciemny, jak czarna chmura, wrący zazdrością i złością, przeklinający siebie, brata, Reginę i cały świat.

Wreszcie Władek uklonił się paniom i odszedł. Jak jastrząb na swą zdobycz, tak impetycznie rzucił się za nim Naczek, roztrącając wszystkich, co mu stali w drodze. Dopędził go u samych drzwi bufetu i ścisnąwszy go ręką jak kleszczami za ramię, rzekł gwałtownym, z trudem hamowanym głosem:

— Władku, chodźmy stąd! Chodźmy do domu!  
Swym spokojnym, wesołym i zadowolonym wzrokiem  
zmierzył Władek wzburzoną do głębi postać brata.

— Co ci jest? — zapytał. — Czyś ty nie chory?

— Nie. Ale chodźmy stąd! — powtórzył Naczek. — Chodźmy do domu.

— Czyś oszalał! — rzekł Władek. — Musiałeś się zanadto rozgrzać w tańcu. Chodź, napij się koniaku i nie marudź! Zaraz się zaczyna drugi kadryl. A ja się tu poznał z jedną panienką — mówię ci, szyk dziewczyna. Wiesz, tej pani Drelichowej siostrzenica. Niedawno tu przyjechała. Ukończyła w Drohobyczu gimnazjum. Chce tu szukać jakiejś służby. Zaangażowałem ją do wszystkich kadryli, to nie wypada mi porzucić ją na lodzie. Chodź, chodź, wypijemy!

Ale Naczek już go nie słyszał, jak burza poleciał do garderoby, zażądał swego paltota, kapelusza i kaloszy i rzucając garderobianej guldena, wybiegł na schody, do sieni, na ulicę, pędząc, jak gdyby kto za nim gonił.

— Co się stało chłopcu? — mruknął sam do siebie Władek, powracając do sali. — Spodziewam się, że nie chory. Musiało go coś bardzo rozstroić. Trzeba go się będzie wypytać, jak powrócę do domu. Ale porzucić balu na samej połowie nie można.

I uspokoiwszy się poszedł ku Reginie, gdyż już rozpoczęto drugiego kadryla.

## VII

Naczek zbudził się bardzo rano. Miał o pół do szóstej być w drukarni dla tłumaczenia nocnych telegramów i ostatecznego zredagowania rannego wydania numeru „Gońca”. Tym uciążliwym trudem rannego wstawania dzielił się on ze swym głównym współpracownikiem, tak że jednego dnia wstawał rano jeden, drugiego dnia drugi, prócz niedzieli, w której nie wychodziło ranne wydanie „Gońca”. W tych dniach, kiedy miał rano wstawać, Naczek budził się zwykle daleko wcześniej, niż było potrzeba, nieraz o trzeciej lub czwartej, i już nie spał więcej dopóki stara Mikołajowa z regularnością zegarka nie wstawała punkt o piątej, nie wyczyściła jego rzeczy i nie przygotowała mu wody do mycia.

I dziś zbudził się Naczek o czwartej rano. Na dworze była jeszcze noc — jasna, mroźna, zimowa. Pełna tarcza

księżycy chyliła się ku zachodowi, a jej białe światło roziskrzało zmarznięty śnieg, którym obsypany był Lwów. Mleczna jasność tej nocy biła w niezastonięte okno Naczkowej sypialni, tak że wszystkie w niej przedmioty, chociaż w półcieniu, rysowały się jednak wyraźnie przed jego oczyma. Machinalnie jakoś spojrział Naczek w przeciwny kąt izby i zawołał nawet na pół jeszcze sennym głosem:

— Władku, spisz?

Ale w tej chwili przypomniał sobie, że już od dwóch tygodni sam on śpi w tym pokoju, że Władek wyprowadził się na inne pomieszkowanie, i serce jego ścisnęło się od żalu i jakiegoś niejasnego bólu.

Sięgnął ręką na stojący u wezglowia jego łóżka naktkastlik, dostał leżący na nim zegarek i paczkę siarników, zaświecił, a przekonawszy się, że jeszcze za wcześnie do wstawania, zaklął po cichu, wiedząc, że już nie zaśnie, położył zegarek i siarniki na miejsce i przewrócił się na drugi bok, czyniąc nadaremne wysiłki, by zasnąć. Sen nie przychodził. Zamiast snu niespokojne myśli roily się po jego głowie, szumiąc i brzęcząc, jak natrętne muchy.

Przede wszystkim zamyślał się o Władku. Co się z nim stało, że się rozłączył z bratem i poszedł na osobne mieszkanie? Gdy przed kilkunastoma dniami oświadczył Naczkowi o tym zamiarze, ten aż zdrętwiał ze zdziwienia pomimo wcale nie najlepszych i oziębłych stosunków, jakie od owego balu pomiędzy nimi panowały. Co prawda, Władek długo i szeroko tłumaczył bratu, że jako adwokat, który musi mnóstwo rozmaitych ludzi przyjmować u siebie, musi też mieć osobne pomieszkowanie, tym bardziej, że tutaj jego klienci przeszkadzają Naczkowi w jego pracy. Ale w tej Władkowej argumentacji czuł Naczek nieszczerłość, jak ranę ukrywaną w strzępy krasomowstwa i nawet humoru. Naczek dotychczas nie miał przyczyny żalić się na przeszkody ze strony Władkowych klientów, tym bardziej, że pracował w osobnym kabinecie, oddzielonym od Władka salonikiem, w którym też była poczekalnia dla nielicznych dystyngowanych klientów. Chłopi, których przybywało więcej, czekali w kuchni lub na korytarzu. Prócz tego do pomieszkowania przychodzili ci klienci rzadko, gdyż właściwie urządowanie Władkowe było w kancelarii jego adwokata. Rzecz więc oczywista, że nie ta okoliczność była główną przyczyną rozłączenia braci. Ale cóż nią było?

Naczek czuł dobrze i nie mógł sam przed sobą zaprzeczyć—choć żaden z nich przy rozstaniu ani słówkiem o tym nie wspomniał—że były nią właśnie te nieszczerze i ozięble stosunki, jakie zapanowały między nimi po balu. Czuł też Naczek, że sam on był temu najwięcej winien, ale nie czuł w sobie siły, nie widział sposobu naprawienia tej winy. Zaraz na drugi dzień po balu Władek z prawdziwie braterską troskliwością zaczął go być wypytywać o to, co mu się wczoraj takiego stało, lecz on, nie wiedząc z jakiej przyczyny, poczuł się niemile dotkniętym tą troskliwością i pierwszy raz w życiu grubo odfuknął bratu, żeby mu dał spokój. To odfuknięcie było jak gdyby nagłym jękiem pękniętej struny: rzeczywiście, od tej chwili pękła między braćmi żywa struna harmonii i szczerzej otwartości. Naczek chodził ponury, na pytania brata odpowiadał krótko, niechętnie i krył w sobie swe myśli i wrażenia, jak ta muszla, która ścisza i kurczy się czym raz silniej, gdy w miękkie składki jej ciała dostanie się ostry kamyczek, który czym raz głębiej wgryza się w mięso. Jak by w przeczuciu tego, co się dzieje na sercu brata, i Władek, chociaż w ogóle daleko swobodniejszy i weselszy, unikał przed Naczkiem nawet wspominać o Reginie, chociaż w rzeczy samej nawet nie podejrywał, jak głębokie i fatalne postać jej wywarła na Naczka wrażenie. Czy to ogólna duszna atmosfera, jaka zapanowała w ich cichym ustroniu, czy obawa, by się nie naprzykrzać posępnemu Naczekowi opowiadaniem swych przyjemnych wrażeń,—dość, że coś niby formalnie wstrzymywało Władka od poruszania wrażeń balowych. Naczek zaś, który wiedział, że Regina i dla brata nie przeszła niespostrzeżoną i sama oczywiście więcej chyliła się ku Władkowi, niż ku niemu, z zawiścią bezsilnego a pokrzywdzonego czekał na przemówienie Władka, dręcząc się tysiącnymi pomysłami szalonej zazdrości, wynajdując i zarzucając tysiączne podejrzenia, które jeszcze bardziej zamykały jego serce, nakładaly pieczęć na usta.

Lecz w tydzień niespełna po balu zaszedł fakt, na pozór całkiem zwykły i naturalny, który mimo to fatalnie wpłynął na wzajemny stosunek obu braci. Pewnego dnia, powróciwszy nieco wcześniej, niż zwykle z redakcji, Naczek spostrzegł, że z pracowni jego brata wychodzą dwie panie, które Władek z ogromnymi grzecznościami i zapewnieniami swych najlepszych chęci wyprowadza. Naczek od razu poznał obie te panie: były to pani Drelichowa i Regina. Jak



burza wpaść on po chwili do Władkowego gabinetu i chwytając go, jak ongi w sali balowej, oboma rękami za ramię, rzekł spiesznie, przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Co... co to za... damy były teraz u ciebie?

Władek rzucił na brata długie, badawcze wejrzenie, od którego Naczek aż twarz odwrócił, i rzekł spokojnie:

— Co ci jest, Naczku? Drżysz cały, jak w febrzel! Czyś ty nie chory?

— Głupiś ze swoją chorobą — odrzekł opryskliwie Naczek. — Odpowiedz na moje pytanie!

— Te panie — mówił zdziwiony Władek — co ciebie mogą te panie obchodzić? To była nasza bliska sąsiadka, pani Drelichowa z siostrzenicą.

— I czego one u ciebie chciały? — mówił Naczek, gwałtownie wyrzucając ze siebie słowa.

— Coraz więcej mię zadziwiasz, Naczku — mówił Władek ściskając ramionami. — Pojąć nie mogę, o co ci idzie. Czy może myślisz, że te damy chciały mię sprowadzić z drogi moralności? — rzekł uśmiechając się ironicznie. — Uspokój się i nie miej o to obaw! Przychodziły do mnie radzić się w jednej sprawie prawniczej, w sprawie spadkowej.

— Co to za sprawa? — pytał dalej Naczek, starając się znaleźć jakiś punkt, za któryby mógł uchwycić się myślą.

— E, to dosyć zawikłana sprawa — odrzekł Władek. — Sprawa tej panny siostrzenicy ze spółnikiem jej ojca w Drohobyczu o wygrany los. Zdaje się, że dojść to może do wytoczenia procesu karnego i cywilnego zarazem.

— No i cóż, przyjąłeś tę sprawę na siebie?

— E, jakiś ty skory! — zawołał uśmiechając się Władek. — Tu jeszcze nie wiedzieć, czy sprawa w ogóle będzie wytoczona, a ty już się pytasz, czy ją przyjął. Znam ją tylko z babskich opowiadań, a ty wiesz, że to wcale jeszcze nie dokumenty. Kto wie, może się wszystko ma przeciwnie. Mówiłem im, by się udały z tym do mego mecenasa, by mu odniosły dokumenty, to może co z tego być. Zresztą wiesz, że takie sprawy do mego fachu nie należą.

Naczek z niezwykłym, gorączkowym jakimś zapałem uściskał rękę brata.

— Tak jest, Władku — zawołał żywo — to sprawa nie twoja! Nie bierz jej na siebie, odpraw te panie! Co ci się wdawać w ich zakłęte stosunki! Przed nami inna droga. Bądź zdrow!

I jeszcze raz gorąco uściśnawszy mu rękę Naczek znowu jak wichur wyleciał z gabinetu. Niestety jednak, ten zapal, ta gorączka i to wzburzenie Naczka dały Władkowi dużo do myślenia, a nawet ukłuły go nadzwyczaj przykro w samą głębię sumienia, gdyż w tej chwili on, sam nie wiedząc jasno dlaczego, pierwszy raz w życiu skłamał przed bratem. Wizyta pani Drelichowej w towarzystwie Reginy taką go napełniła radością, tak go oszołomiła, że wysłuchawszy opowieści o sprawie jej losu i prawie zupełnie nie zrozumiawszy, o co rzecz idzie, on z nadzwyczajną gotowością i z widoczną uciechą podjął się prowadzenia tej sprawy — rozumie się, pod firmą swego adwokata — schował dokumenty dla późniejszego dokładnego rozpatrzenia i prosił panie, by się zgłosiły za tydzień po ostateczną decyzję: i w tej chwili, kiedy tłumaczył Naczkowi, że ze sprawy tej może jeszcze niczego nie będzie i że on się do niej mieszać nie myśli, sam drżał na myśl, że corpus delicti, świadczący o jego bezwstydnym kłamstwie, leży tuż przed nim, w biurku w niezamkniętej szufladce, i że Naczek jednym pociągnięciem ręki może je wydobyć i całą prawdę zobaczyć.

Naczek oczywiście nic o tym nie wiedział i dlatego zdziwił się ogromnie, gdy mu Władek na drugi dzień podczas obiadu oświadczył, że wyszukał sobie nowe pomieszkowanie, na które się za parę dni chce sprowadzić. Przyjął on tę wiadomość w milczeniu, jak ciężki ale zasłużony cios, nie pytał brata o motywy tego kroku, a gdy ten z własnego popędu zaczął mu je wyłuszczać, machnął ręką i otarł ukradkiem łzę, która mu nabiegła na oczy. Czuł bowiem Naczek, że to rozłączenie jest początkiem jakiegoś nowego zwrotu w życiu, który, być może, poprowadzi ich na różne drogi, i kto wie, czy nie wpłynie fatalnie na sam rozwój tej pracy, której oni poprzysięgli oddać swe siły, swe życie. Nic jednak nie mówił o tym Władkowi, bojąc się obrazić go napominaniem o takiej rzeczy, która dla nich obu była tak zwykłą, tak naturalną i konieczną, jak oddychanie. Tylko stara Mikołajowa, dowiedziawszy się, że „starszy” panicz myśli się wyprowadzić, cicho szlochała w kuchni, nie śmiejąc także mówić ani słowa.

I to już minęły dwa tygodnie od dnia, kiedy Władek zajął nowe pomieszkowanie. Zdawało się, że rozdział ten wpłynął korzystnie na stosunek między braćmi. Władek często wieczorem przychodził na swe stare pomieszkowanie,

zostawał na herbacie, żartował z Mikołajową, opowiadał Naczekowi o swych zajęciach i wyzywał go również na rozmowę, co mu się też niekiedy udawało. Lecz Naczek czuł, że wszystko to jest pozornym, że Władek gada do niego, jak do obcego, którego chce zabawić w towarzystwie, że ich rozmowie brak ciepła, brak braterskiej szczerości i bezwzględnej otwartości. Czuł, że i sam on zamyka w swym sercu przed bratem wiele ważnych rzeczy, które się stały w ostatnich dniach, i podejrzewał Władka, że i ten musi coś przed nim ukrywać. I im nieszczęśliwszym czuł się Naczek, tym bardziej gryzącymi, tym silniejszymi stawały się jego podejrzenia. Po co się Władek wyprowadził? Dlaczego nie wspomina nic o Reginie i o jej sprawie spadkowej? — te dwa pytania w umyśle jego kombinowały się i łączyły się mimowoli, napełniając jego serce jadem goryczy i zatruwając mu każdą chwilę dnia.

Myśli jego przeszły ku Reginie, chociaż, prawdę mówiąc, od owego pamiętnego balu nigdy prawie nie odstępowały od owej wysmukłej postaci w ciemnej sukience, od owej główki z krótkimi włosami i z niezgłębionymi, a zarazem tak zmiennymi oczyma. Ileż to razy biedny chłopiec wyrzucał sobie swą słabość, lekkomyślność i brak poczucia męskiej godności, starał się wybić ją sobie z głowy, zapomnieć, wzgardzić nią — wszystko nadaremnie. Całymi godzinami chodził po ulicy, kryjąc się poza węglami domów, jak złodziej, by tylko zabaczyć ją wychodzącą z domu lub powracającą do domu. Ileż to razy, spotykając ją na ulicy, chciał do niej przemówić, odkryć jej swoje serce, wypowiedzieć swe uczucia, — ale zawsze wstrzymywało go wspomnienie owych opryskliwych słów i chłodnych wejrzeń, jakie mu się od niej dostały w udziale na balu. Wreszcie pewnego razu zdecydował się na krok stanowczy. Napisał jej list, krótki i skąpy w wyrazy, w którym przedłożył jej swą rękę i serce.

Uspokoił się nieco, oddawszy ten list na pocztę i pełen otuchy wziął się do pracy nad nową rozprawą o stosunkach krajowych, w której chciał w całej pełni, na masie faktów wykazać, jak reprezentanci szlachty galicyjskiej w radzie państwa, sejmie, powiatach i rozmaitych towarzystwach zamiast interesów ogółu mają na względzie jedynie swoje klasowe interesy, a nawet starają się, nieraz nawet z ewentualną własną szkodą, podkopywać lub zaniedbywać interesy ludu, mieszczan i robotników. Materiał

do tego artykułu przygotowywany i gromadzony był od dawna, całość ugrupowana i kilkakrotnie przez braci punkt za punktem sumiennie przedyskutowana; nadto zaś przedstawiona przez Naczka jasno i zrozumiale, ze spokojem i bezstronnością historyka, stylem jasnym i plastycznym, rzecz ta, drukowana w „Gońcu” od pierwszego razu zrobiła potężne wrażenie w kraju, wywołała różnorodne i żywe dyskusje i wcisnęła „chłopomańskie” pismo w ręce mnóstwa takich nawet ludzi, którzy go dotychczas nie czytali. Stary redaktor-weteran nadziwił się nie mógł powodzeniu tej gazety, którą on myślał zabić w kolebce, mieszcząc natychmiast po owej wieczerzy u braci Kalinowiczów siarczyste ostrzeżenie przeciw jej zgubnym tendencjom. Ostrzeżenia, przekręcania i denuncjacje, które byłyby w stanie zabić dwie inne gazety, „Gońcowi” cudem jakimś wychodziły na korzyść; ten zaś nie polemizował, nie bronił się, tylko szedł spokojnie swoją drogą.

Po wysłaniu listu do Reginy pracował Naczek spokojnie nad swym wielkim artykułem. Rychłej odpowiedzi nie spodziewał się, bo sam w liście prosił Reginę, by się dobrze namysliła, by wzięła pod rozwagę, że mimo wszelkich pozorów nie jest to krok lekkomyślny, ale wyptyw silnego i niezłomnego postanowienia, że on czuje, iż bez niej żyć nie może i prosząc ją o rękę stawia cały swój los na kartę: życie lub śmierć jego zależeć będzie od jej decyzji.

Lecz oto trzeciego dnia po wysłaniu tego listu dostał Naczek odpowiedź. Była ona krótką i opiewała w te słowa — Naczek pomnić je będzie do grobowej deski, mimo że nie mógł znaleźć w sobie siły, by je przeczytać więcej niż jeden raz: „Szanowny Paniel Moja siostrzenica Regina Kisiełewska dziękuje Panu za zaufanie, ale oświadcza Panu przeze mnie, że Pańską żoną nie będzie. Powolna Hermina Drelichowa”.

Mimo że list ten doszedł do rąk jego przed dwoma dniami, Naczek i teraz jeszcze, wspomniawszy każde jego słowo, każdą literę tego brzydkiego, rozlazłego pisma aż rzucił się na łóżku, niby na cierniowej pościeli. Przekleństwo! Więc aż do tego doszło! Więc ona aż tak nim wzgardziła, że nawet sama nie odpowiedziała na jego słowa, krwią serdeczną pisane, ale powierzyła odpowiedź nieczystym rękom tej... tej... Straszne musiało być w pierwszych chwilach wzburzenie Naczka, kiedy i teraz jeszcze, gdy czas

zdołał już znacznie uśmierzyć ból, on na samo wspomnienie o tym ciosie nie mógł dłużej uleżeć na łóżku, zerwał się zgrzytając zębami i załamując ręce w niemej rozpacz i począł biegać po pokoju jak szalony.

— A więc nic, nic, nic mi nie pozostało! — szeptał ścisli-  
kając głowę dłońmi, jak gdyby się lękał, że mu pęknie z bólu.— Brat mię porzucił, ta mię popchnęła nogą gorzej niż jakiego psa. Wszystko, co ludzie nazywają osobistym szczęściem, zamknąłem w głębokiej piwnicy i mam klucz rzucić do morza. Ale bez osobistego szczęścia życie — nie życie, człowiek nie człowiek. Gdy człowiek upada pod brzemieniem osobistego cierpienia, to jakżeż on może należycie pracować dla sprawy publicznej? Nie, czuję to, jestem zgubiony! I za co? Dlaczego?

I znowu biegał po pokoju, łamiąc ręce, to chwytając się za głowę. Wtem wybiło pół do szóstej. Naczek zadrżał, zatrzymał się, i zarazem zdawało się, że cały wezbrany potok jego myśli i uczuć zatrzymał się, zamarzl i skrzepnął od razu. Ból w piersi pozostał, głuchy, głęboki, nieuleczony, — ale myśli, przyzwyczajone do pracy zawodowej jak konie do kieratu, zwołna zaczęły brać inny obrót. Machinalnie zaśwycił lampę, ubrał się i wzięwszy z gwoźdźcia wielki klucz od bramy, wyszedł z kamienicy. Do drukarni, na ulicę Jagiellońską, miał spory kawał drogi, trzeba było spieszyć. Prędkie kroki jego dudniły po zamarzłym i ze śniegu obmiecionym trotuarze. Ulice były jeszcze zupełnie puste. Mimo światła księżycowego po rogach i skrętach paliły się lampy naftowe, które zwykle bywają gaszone tylko wtenczas, kiedy największe panują ciemności. Gdzieś niedzie tylko spieszyli robotnicy do swych warsztatów lub też turkocąc po zamarzłym i grubą warstwą lodu pokrytym bruku jechały blaszane budy ze świeżym pieczywem, rozwożąc je po grajzlerniach. Obok kościoła Bernardynów stały jakieś dwie skulone staruszki w łachmanach, czekając, rychło li otworzą kościół na ranne nabożeństwo, i skracają sobie czas czekania całą litanią przekleństw i nadobnych epitetów, którymi się nawzajem obrzucały. Dalej z rześiście oświetlonej kawiarni Müllera słyhać było urywki śpiewów, przekleństw i wyrzekań, wygłaszanych równocześnie kilkoma ochrypłymi, pijanymi głosami. Mijając szybko kawiarnię, Naczek przypomniał sobie anekdotę z 1848 roku, wedle której przed jenerałem Hammersteinem, bombardującym miasto, stanęła deputacja najpoważniejszych miesz-

czan Polaków. Gdy mu się członkowie deputacji przedstawili imiennie, miał rubaszny jenerał krzyknąć:

— Der Teufel noch amal. Hild, Mild, Wild, Stieler, Piller, Müller! Das sind ja aber verflucht polnische Namen.

I Naczek uśmiechnął się, mijając plac Halicki. Puste stragany Bojków synowódzkich długim szeregiem sterczały obok trotuaru, jak obnażone z ciała kości. Po drugiej stronie placu stało kilka sanek fijaków; słychać było, jak przeziębłe koniska z wolna, regularnie chrupały obrok i jak na sankach, okryci kocami, chrapali woźnice.

W drukarni stanął Naczek pierwszy ze wszystkich. Musiał przejść na poprzek podwórza aż w kąt i zastukać do okna magazynu rekwizytowego, przez które młym światłem błyskała nisko skrzycona lampa. Tam, między zapasowymi lub popsutymi częściami maszyn, połamanymi kasztami i regałami na pościeli z różnobarwnych arkuszy papieru afiszowego, należycie zmiętych, nakryty rogózką z łyka, w której przyszła opakowana z fabryki jakaś machina, spał stróż drukarni, młody jeszcze i krzepki chłopak o śniadej cerze i obrzękłej twarzy. Zerwał się na stuk jak oparzony i poleciał pędem, przewracając rozmaite rzeczy napotykanę w drodze. Dopiero w trzecim pokoju przypomniał sobie, że zapomniał wziąć ze sobą klucz i siarniki. Wrócił więc, podkręcił lampę tak, że stało się zupełnie widno w ciemnym magazynie, wziął co potrzeba, i z lampą w ręku pospieszył odemknąć Naczekowi drzwi kancelarii. Następnie zaś przyniósł parę polan i zaczął palić w piecu, gdyż w kancelarii panowało piekielne zimno.

Naczek, zrzuciwszy ciężki zimowy paltot, wziął się do roboty. Telegramów jeszcze nie było, lecz u bramy znajdowała się skrzynka redakcyjna na listy i artykuły, przychodzące już po wykończeniu wieczornego wydania numeru, lub też późno w nocy. Wziąwszy więc kluczyk wyszedł do sieni, a po chwili wrócił z całym pękiem świstków, zaklejonych kopert i zwitków telegraficznych, pochodzących z prowincji. Usiadł więc przy stole i z piórem w ręku zabrał się do czytania i „adjustowania” tych rzeczy. Niektóre pochodziły od jego stałych, już wypróbowanych współpracowników, jako to sprawozdanie z izby sądowej, z wieczornego przedstawiania teatralnego i z jakiegoś koncertu. Tych rzeczy nie trzeba było nawet czytać; wypisawszy na każdym kawałku niebieskim ołówkiem olbrzymie „Musi” — Naczek odłożył je na

bok. Dalej pootwierał telegramy z prowincji. Tu donoszono o dopełniającym wyborze posła na sejm krajowy; Naczek przeczytawszy nazwisko, zmarszczył brwi i mruknął: tumany tumana wybrali! — a następnie zaadjustował go do druku, wypisawszy na czele miejsce wysłania i datę, i poprawiwszy idiotyczną telegraficzną pisownię. W drugim telegramie jakiś korespondent zapowiadał wielką i nadzwyczaj ważną korespondencję. „No, no, nie rycz, a daj mleka!” — mruknął Naczek i rzucił telegram pod stół. Dalej szły rzeczy w tym samym guście: jakiś szlachcic, obrażony korespondencją groził sądem, ale rzeczy nie prostował, — i Naczek rzucił telegram również pod stół z jedyną konkomitacją: „Paszo!” Tam znowu był sążniowy list o jakimś amatorskim koncercie w Wielkich Oczach, gdzie występujących na estradę koncertową amatorów wielkooockich porównywano z pierwszorzędnymi śpiewakami i szeroko pisano o tym, jak Wielkie Oczy z powodu tego koncertu podzieliły się na dwa wrogie obozy, jak „partia przewrotu” stara się podkopać niebotyczną sławę wielkooockich artystów i artystek, i t. p. „No, no, no! — rzekł uśmiechając się Naczek, — tośmy już czytali, mój panie, to stoi, chociaż nieco innymi słowy, w drugiej części Don Kiszota, gdzie mowa o stronnictwach Iahaczów i Aj-a-haczów!” I energicznym zamachem pióra przekreślił całą pracę wielkooockiego Cervantesa, pozostawiając z niej jedynie nagi i drobny fakt, że „w Wielkich Oczach przy licznych udziale miejscowej publiczności odbył się amatorski koncert na cele dobroczynne, który przyniósł całych 25 złr 50 kr czystego dochodu”. A obok niebieskim nakreślono „pod szpic!”

Punktualnie o szóstej godzinie przybyli zecerzy, którzy za osobnym wynagrodzeniem zobowiązali się do rannej roboty. Stróż już pozapalał lampy w tych miejscach, gdzie każdy z nich stał. Raźnie zdejmowali ze siebie paltoty i surduty, wdziewali płócienne bluzy i także fartuchy, w milczeniu brali skrypta sprzed redaktora i umocowawszy je na drewnianych widełkach, zaczęli składać, kiwając się miarowo na nogach i stukając ołowianymi literami nieustannie o winkelhaki. Mimo, że cztery lampy pod szerokimi papierowymi umbrami rzucały szerokie kręgi światła na regały, — obszerna zecernia była posępną i wyglądała jak pusta; kąty tonęły w półcieniach, tym więcej, że okna z niej wychodziły na ciemne, jak studnia, głębokie podwórze trzypiętrowej kamienicy. Zecerzy też byli milczący i sku-

pieni każdy przy swej robocie; tylko czasem ten lub ów głośno odczyta parę słów sterczącego przed nim skryptu, lub opowie swemu koledze krótkimi słowy o jakim fakcie, który się wydarzył od wczoraj wieczora. Rzadko wyrwa się któremu humorystyczna uwaga, odnosząca się do składanego właśnie skryptu lub przedstawionego w nim faktu.

Lecz oto zastukano pospiesznie do drzwi kancelarii: to woźny z urzędu telegraficznego przyniósł telegramy. Wszyscy zecerzy zwrócili oczy w tę stronę, przejęci obawą, by telegram nie był długi i żeby numer wskutek tego się nie spóźnił. Metrampaż nawet robotę porzucił i na palcach zbliżył się do Naczka, by zobaczyć telegram. No, Bogu dzięki! Telegram nie długi, numer wyjdzie na czas! Raźniej zastukały ołowiane litery o winkelhaki, raźniej zaczęli się kiwać zecerzy nad swoją robotą, ogólny nastrój między nimi ożywił się. Rozmowa popłynęła nieprzerwanym strumieniem. Prócz tego im bliżej było do siódmej godziny, tym więcej też innych zecerów, chłopców, parobków od maszyn przybywało, bo o siódmej zaczyna się regularna robota w drukarni. Oto już i panny obsługujące maszyny poprzychodziły, jedna po drugiej, spiesząc drobnymi, lekkimi krokami, pozawijane z głową i twarzą w czarne materiałne chustki lub w ręczną robotą plecione szale. Ucichły przy maszynach głośne śmiechy i tłuste żarty parobków; przy pannach nie można było sobie pozwolić niczego nieodpowiedniego. Zresztą przybycie pańien było dla nich początkiem ciężkiej pracy. Już na stole maszynisty stała gotowa na dużym żelaznym blacie pierwsza strona arkusza, tj. pierwsza i ostatnia strona numeru „Gońca”. Ta część gazety pozostawała bez zmiany od wydania wieczornego. Tylko w stronie wewnętrznej robiono tyle zmiany, że wyrzucano telegramy, nadeszłe wczoraj rano, a wstawiano natomiast te, które nadeszły dziś rano. Dalej wyrzucano sprawozdanie o teatrze przedwczorajszym i w ogóle tę część kroniki, która była już we wczorajszym rannym numerze a następnie też w wieczornym. Natomiast wstawiano świeżo naskładane sprawozdania i „kroniki”, które następnie będą powtórzone w wydaniu wieczornym, a jutro rano również wypadną.

— Jazda! — zawołał maszynista, ustawivszy przy pomocy dwóch krzepkich parobków blat z „zacem” na maszynie i umocowawszy wszystko śrubami. Panny zajęły swe miejsca — jedna obok tego, na ruchomych sztalugach umocowa-



nego biału, by w czasie jego periodycznych ruchów nakładać nań arkusze papieru, druga zaś u końca maszyny, na wysokim stołku, by odbierać i równo na blaszanym blacie układać wychodzące z maszyny arkusze.

— No, jazda! — jeszcze raz zakomenderował maszynista, Parobki, stojąc u koła twarzami ku sobie zwróceniu i z rozstawionymi nogami, razem chwycili za rączkę koła i zaczęli obracać. Z wolna i łatwo poruszyło się potężne koło na swej szlifowanej i oliwą zapuszczonej osi; cicho i z wolna, jak ogromny polip, poruszyły też wszystkie inne części maszyny, zęby zahaczały za zęby, błyszczące żelazne drągi to wysuwały się naprzód, to się cofały w głąb korpusu, niby ogniste języki żmiji. Zawarczała wreszcie sztaluga, dźwiagająca na sobie płytę z zacem, zasyczały korkowe walce, napuszczone czernidłem, zaszeleścił papier, przesuwał się przez gardło maszyny, poruszyły się nagle po drugiej stronie żelazne grabki, chwytając zadrukowany arkusz i półkolistym ruchem układając na blacie — maszyna weszła w ruch.

Ruch ten, nadany jej rękami „usługujących“ parobków i pańienek, zdawało się że z wolna wlewał w nią samą życie. Zdawało się że te błyszczące, żelazne koła, biału, drągi i walce, jak owe upiory bajeczne, mogą żyć życiem wyssanym u innych żywych istot. Z cichej przed chwilą maszyny robiła się groźna, warcząca, szczękająca istota, która swym ciągłym piekielnym hałasem napełniała cały pokój, wstrząsała szyby u okien i zagłuszała wszelki inny żywy głos dokoła.

Tymczasem Naczek dawno już skończył tłumaczenie telegramów, które zecerzy, pokrajawszy na małe paski, składali na cztery ręce. „Odbijać!“ — rozległ się głos metram-paza, i chłopiec praktykujący rzucił się z wałkiem, paskiem mokrego papieru i szczotką, by odbić naskładany skrypt dla korekty.

Ukończywszy korektę tego, co dziś naskładano, ponumerowawszy pojedyncze ustępy, Naczek ubrał się i wyszedł z drukarni. Praca nad rzeczami dalekimi i obcymi jego osobistym interesom uspokoiła go, przynosząc mu bodaj na chwilę zapomnienie. Było już pół do ósmej; ranek był jasny i zimny, po ulicach snuły się już tłumy ludzi. Działwa obojej płci spieszyła do szkół; chłopaki uliczne ślizgały się po niewielkich pasach gładkiego lodu w ulicznych rynszto-kach. W otwartych sklepach poziewali zaspani sklepowi, ubrani

w ciepłą odzież. Przez otwarte bramy w zamierzonych podwórzach widać było jeszcze tu i owdzie oświetlone okna, za którymi w ciasnych, brudnych i wilgotnych komórkach pracowali od rannego świtu drobni rzemieślnicy: szewcy, krawcy, szczotkarze i inni. Ten bezustanny ruch miejski również dobroczynnie wpłynął na Naczka, niby powiew chłodnego wiatru w skwarne letnie południe. Poczł się żywą, czynną częścią tego ruchliwego, pracującego tłumu i z zadowoleniem wspomniał o skończonej już porcji swej dziennej pracy. Poczł apetyt i podwoiwszy kroku pospieszył do domu na śniadanie.

Do rozpoczęcia pracy w biurze redakcyjnym miał jeszcze półtorej godziny czasu, których używał zwykle na załatwienie swej prywatnej korespondencji lub też na wyszukanie w bibliotece tych ksiązek i papierów, jakie mu mogły być potrzebne do dalszego ciągu jego pracy, którą pisał z dnia na dzień w biurze redakcyjnym. Dzisiaj nie było do kogo pisać listu; wypisł więc kawę, którą podała mu Mikołajowa, Naczek wstał spieszenie od stołu i rzucił się do biblioteki, szukając czegoś, przewracając ksiązki, przenosząc nawet całe ich kupy z półki na półkę. Oczywiście chciał się zająć bodaj fizyczną pracą, by nie dopuszczać sobie do głowy natrętnych myśli i wspomnień. Gdy jednak obejrzał się po chwili, zobaczył, że jest nie sam w pokoju. U progu stała stara Mikołajowa.

— Czego wam trzeba, Mikołajowa? — zapytał ją Naczek takim tonem, jak gdyby nie miał czasu i nie chciał się odrywać od jakiejś bardzo pilnej roboty.

— Niczego, proszę panicza — odrzekła staruszka, nie ruszając się z miejsca.

— No, to czego tu stoicie? — pytał dalej Naczek.

— Ot tak sobie. Chciałabym trochę pogadać z paniczem. Cały dzień siedzę w domu sama, dalej już i mówić po ludzku zapomnę. Dawniej, jak jeszcze obaj panicze razem byli, to bodaj czasem ze starą Mikołajową pogadali, pożartowali. A teraz panicz nie łaskaw na starą.

— Ależ, moja Mikołajowa — odrzekł nieco opryskliwe Naczek — Chyba innym razem pogadamy. Widzicie, że ja nie mam czasu.

— A cóż panicz robią? — z chytrym uśmiechem zapytała staruszka.

— Co robię? — rzekł Naczek nieco zmięszany. — Widzicie, szukam jednej rzeczy...

— Widzę to ja, widzę — rzekła stara kiwając głową — że panicz jednej rzeczy szuka, ale, proszę panicza, tej rzeczy panicz tu nie znajdzie. Jej trzeba szukać gdzie indziej. Ej, paniczu drogi — rzekła stara, postępując bliżej i siadając na krzesło — mam ci ja oczy i uszy i przeżyłam, Bogu dzięki, siedemdziesiąt lat na świecie, to choć niepiśmienna na książkach, ale umiem nieco czytać na ludzkich twarzach i w ludzkich oczach. Wiem ja, czego panicz szuka!

— Et, gadacie, Mikołajowa! No, czegoż ja szukam?

— Szczęścia panicz szuka, ot czego! — rzekła stara. — Chyba to ja nie wiem, czego młodzi ludzie w takim wieku szukają? Chyba to ja nie słyszę, jak panicz co nocy przez sen krzyczy i błaga kogoś, jak się zrywa i chodzi po pokoju? Chyba to ja nie widzę, jak panicz ręce załamuje i na ulicy na kogoś czatuje i przy spotkaniu oczy spuszcza, ukloni się i ucieka? Stara ja, paniczu mój kochany, i wszystkie te historie znam dobrze!

Naczek słuchał zdumiony, osłupiały. A więc to, co on uważał za swoją wyłączną tajemnicę, wiadomym było tej starej, wisało na jej gadatliwym języku! Lecz co ona wie? Może to tylko domysły, pozbawione faktycznej podstawy?

— Co też wam się śni, Mikołajowa! — rzekł on głosem mimowoli znacznie miększym. — Nagadaliście mi tu nowin, o których ja i sam niczego nie wiem. Kogoż to ja wołam przez sen? Na kogo czatuję na ulicy?

— Ej, paniczu, paniczu! — rzekła stara, żalobnie kiwając głową. — Jak to wam młodym ludziom łatwo zarzucić staremu kłamstwo. Niby to panicz nie wie dobrze, że ja prawdę gadam. Milczałam ci ja długo, ale teraz widzę, że grzech bym miała, gdybym dłużej chciała milczeć.

— No, i cóż mi macie powiedzieć?

— Jedno tylko paniczowi powiem: niech sobie panicz da spokój z tą panienką, co ma włosy obstrzyżone jak chłopiec.

Naczek zbladł przy tych słowach, a potem twarz jego żywym oblała się rumieńcem. Jednak próbował jeszcze się zapierać.

— O jakiej wy paniencie mówicie, Mikołajowa? Znam kilka takich panienek.

— To toż to nieszczęście, że panicz zna ich kilka, a myśli o jednej, której nie zna nawet.

— Ale skądże wy o niej wiecie?

— Już skąd wiem, to wiem, ale to jedno mogę paniczowi radzić, jak bym radziła własnemu synowi: niech panicz da sobie z nią spokój! To nie dla panicza partia. Byłam ci ja tam u nich parę razy w kuchni: ich kucharka to moja kuma. Opowiadała mi cokolwiek, zresztą i samam się przypatrywała z bliska tej panience, i mówię jeszcze raz: to nie dla panicza partia.

— Ale o kim wy mówicie, Mikołajowa? — z trwogą i niecierpliwością krzyknął Naczek.

— Niby to panicz nie wie — rzekła uśmiechając się stara. — O tej paninie Reginie, którą panicz co nocy woła, o której rękę panicz się oświadczył. A widzi panicz, że ja wiem wszystko. Ale niech się panicz nie boi, ja umiem milczeć. Nikomu o tym ani słowa nie powiem, nawet paniczowi Władziowi.

— No, i cóż wy wiecie o paninie Reginie? — pytał Naczek.

— Nie wiele wiem, co będę kłamała. Chodzi to po pokoju milczące, dumne, jak by naprawdę jaka królowa. Albo siądzie u okna i siedzi całymi godzinami, jak niema. A złośnica, niech Bóg zabroni. Nie lubią jej tam, to mi panicz może wierzyć.

— Tęskni za czymś, czuje się obcą w tym otoczeniu, zanadto zresztą czysta dla niego — zbijał w myślach Naczek zarzuty Mikołajowej z nieuleczalną sofistyką zakochałego.

— Majątku nie ma żadnego — ciągnęła dalej Mikołajowa. — Co się tam po rodzicach pozostało, to brat lamparcisko przeputał, a ten los wygrany, to, proszę panicza, gruszki na wierbie. Spółnik pieniążki zagarnął. Procesuj się z nim, jak chcesz. Przyjęła ją ciotka z łaski, bo skończywszy szkołę, nie miała się gdzie podzić. Teraz szuka dla niej jakiego miejsca przy poczcie albo telegrafii, ale ja myślę, że to nie dla uczciwej panienki miejsce,

— To cóż ma robić? — krzyknął Naczek. — Żyć na łasce ciotki, czy ginąć z głodu?

— Ale czego bym się tak puszyła? — odpowiedziała z czysto żeńską logiką Mikołajowa. — Zresztą i ta jej ciotka, proszę panicza, całkiem mi się nie podoba. Gdy się dowiedziała, że ja u paniczów służę, to zawołała mię do pokoju i jak zaczęła mię wypytywać o paniczach, to mię męczyła z pół godziny. Gadaj jej to, gadaj jej drugie: jak panicze żyją, czy wcześniej wieczorem do domu przychodzą, kto u

nich bywa, u kogo oni, po kim spadek dostali i ile? Jednym słowem — jak jaki komisarz. Wykręcałam się od niej, jakim mogła, a żem paniczów chwaliła, to tego panicz może być pewny.

— A ta... Regina była przy tym?

— Rozumie się, że była. Aż mię pasja porywała. Cały czas siedziała u okna, jak mruk, obrócona do mnie plecyma, nawet się nie obejrzała. Nie, proszę panicza, to nie dla panicza partia. Całkiem mi się tam nie podobało. Dałam sobie słowo więcej tam nie iść.

— I lepiej Mikołajowa zrobi! — rzekł Naczek, wstał i ubrawszy się wyszedł do redakcji.

Co prawda, miał jeszcze pół godziny czasu, ale uciekł, formalnie uciekł z domu, by uniknąć gderania starej służącej i uporządkować w głowie myśli rozwieruszone jej opowiadaniem. Wszystko, co mówiła Mikołajowa dla poniżenia w jego oczach Reginy, stawiało ją wyżej, rzucało jaśniejsze światło na jej postać, czyniło mu ją sympatyczniejszą. Do głębi wzruszyło go jej położenie w domu ciotki, położenie podrzędne, zależne i z gruntu fałszywe. Pojmował aż nadto dobrze, jak w takim położeniu, a nadto mając do czynienia z ludźmi o tak odmiennym moralnym obliczu, jak pani Drelichowa, musiał cierpieć jej charakter, musiała wyradzać się ta nieufność, podejrzliwość, zamknięta w sobie duma i złość. We wszystkich tych nieidealnych przymiotach widział Naczek nie wady, ale zalety silnego, nieepsutego charakteru Reginy. Lecz wszystko to równocześnie wołało do niego wielkim głosem, żeby nie porzucił myśleć o niej. Wszystko przepowiadało mu, że tylko wielka miłość, gotowa do wszelkiego poświęcenia, cierpliwa i niezłomna, jego miłość zdoła wybawić ją z tego położenia i oczyścić jej duszę z tych chropowatych żuzli, które powstały w ogniu ciężkich prób i świadczą jedynie o czystości i dobroci metalu jej duszy. I znowu niepoprawna idealistka — nadzieja ożyła w jego duszy, zatrzepotała tęczowymi skrzydłami i wzleciała w pogodne niebo przyszłości. Wyprostowany, wzmocniony na duchu wszedł Naczek do biura redakcyjnego.

Wziąwszy w ekspedycji dzisiejszy numer „Gońca”, który właśnie ekspedytorka rozdawała cisnącym się tłumnie do okienka miejscowym prenumerantom, Naczek poszedł do swego biurka, na którym zastał już plik gazet i kupę listów. Przejrzawszy świeży numer swego „Gońca”, zakląwszy

po cichu na widok kilku nie poprawionych błędów drukarskich, Naczek wziął się nasamprzód do listów. Były to korespondencje z prowincji i z zagranicy. Jedną po drugiej odczytywał Naczek uważnie, robił na marginesach znaki, kreski lub uwagi czerwonym ołówkiem, wykreślał co zbędne, i wreszcie odkładał osobno rzeczy gotowe do druku, a osobno takie, które trzeba było jeszcze bardziej skrócić lub którym wypadało dać inną, dla dziennika odpowiednią formę.

Nagle rzucił się na krzesło, niby od ukłucia. Małeńki liścik z monogramem R. drżał w jego ręce. Kilkanaście słów skreślonych kobiecą ręką, dużymi lecz pięknymi literami wywołały wielką burzę w jego umyśle. List ten opiewał:

„Szanowny Panie! Spieszę zaglądnąć swą winę przed Panem. Postąpiłam nietaktownie, dając Panu odpowiedź na jego zaszczytną dla mnie propozycję za pośrednictwem Cioci. Postąpiłam nierozważnie, odrzucając tę propozycję bezwzględnie. Odwołuję jedno i drugie. Nie pytaj mię Pan o przyczyny, dlaczego się tak stało. Pragnęłabym, by było lepiej. Lecz daruj Pan, że muszę postawić jeden warunek. Umiarkuj Pan ton swego dziennika! Poprowadź go Pan w innym, nie tak drażliwym i rewolucyjnym kierunku! A w takim razie być może, że drogi nasze zejdą się z czasem. Pozostaję z uszanowaniem — Regina Kisielewska”.

— Co to jest! — krzyknął Naczek zrywając się z krzesła, i jeszcze raz przebiegał oczyma każde słowo, każdą literę listu. — Chce zaglądnąć swą winę! Przyznaje się do nietaktu! Szlachetna! Dobra! Lecz warunek! Co za warunek! „Umiarkuj Pan ton swego dziennika! Poprowadź go Pan w innym kierunku!” To znaczy — sprzeniewierz się swym zasadom, pracy swego życia, a wtedy gotowa jestem pokochać cię! Podła! Niegodna!

Naczek aż zębami zazgrzytał z ostrego wewnętrznego bólu. Zdawało mu się, że jakaś okrutna ręka rozdziera w jego sercu niezgojoną jeszcze ranę i wierci w niej tępym, zardzewiałym żelazem. Począł biegać po pokoju, jak dziki zwierz po klatce. W głowie mu szumiało, myśli się plątały.

— Proszę pana redaktora, skrypt! — rzekł chłopiec z drukarni otwierając drzwi i wsuwając głowę do gabinetu.

— Na, masz! — rzekł Naczek i, zwinąwszy do kupy przygotowane przedtym rękopisy, zaczął znowu biegać po gabi-

niecie, swym zwyczajem łamiąc ręce, to znów ściskając w dłoniach rozpalone czoło.

— Nie, nie, nie! — zawołał wreszcie. — To nie może być! To nie ona! To nie Reginy duch wieje w tych podłych, cuchnących wyrazach. Ona nie mogła tego pomyśleć! Między początkiem listu a jego końcem jest taka sprzeczność, jak między czystością a brudem, między cnotą a występkiem!

Drzwi gabinetu znowu się otworzyły: wszedł główny współpracownik, a przywitawszy się z Naczkiem, przedstawił mu powykreślane miejsca z gazet dla zreferowania do kroniki krajowej i politycznej.

— Dobrze, dobrze — rzekł nieprzytomny Naczek — niech pan będzie łaskaw to zrobić.

— A artykuł pan redaktor daje?

Naczek zawahał się chwilę. Ona żąda zmiany kierunku, zmoderowania tonu, a właśnie jego artykuły są pisane najostrzej, cechują kierunek pisma. Ale nie! Byłoby podle zboczyć z obranej drogi, tym więcej, że to nie może być jej prawdziwym żądaniem. A jeżeli nawet, to i to jeszcze nic nie znaczy!

— Rozumie się, że daje! — rzekł Naczek stanowczo. — Bądź pan łaskaw przyjmować przychodzących, żeby mi nie przeszkadzali, ja za godzinę będę gotów.

Współpracownik poszedł zabrawszy gazety, a Naczek pozostał sam. Chwilę jeszcze chodził po pokoju, ale myśl jego, gwałtownym wysiłkiem woli skierowana w inną stronę, pracowała już nad układaniem nowego rozdziału artykułu o polityce klasowej szlachty galicyjskiej. Siadł wreszcie i z błyskawiczną szybkością poleciało pióro po papierze, zapełniając szybko wąskie paski równym, czystym pismem, bez kreśleń i poprawek. Naczek pisał bez pauz; podczas pisania jednego zdania drugie już się układało i zaokrąślało w głowie i płynęło pod pióro całkiem gotowe. Pod wpływem wielkiego nerwowego rozdrażnienia pamięć, bystrość kombinacji i analizy wzmogły się do jasnowidzenia. Mnóstwo faktów jak roje pszczoł pszesuwały się przed oczyma jego duszy, poplątane ze sobą niezliczonymi nićmi, których tajemne węzły i komplikacje stawały przed nim w przerażającej wyrazistości. Czasami, gdy ręka omdlewała, zatrzymywał się na chwilę i na leżącym obok świstku papieru notował myśli i kombinacje, które mu się nasunęły podczas pisania, a które należało zużytkować i rozwinąć dopie-

ro w dalszym ciągu rozprawy. Czasami znowu przerywał, by zajrzeć do dawniejszych notat lub do książek przyniesionych. Nigdy w nich nie szukał długo, wszędzie szedł na pewniaka, mając w głowie jasne wyobrażenie stronicy i wiersza nawet, gdzie się znajdował potrzebny dla niego cytat. Za godzinę cała kupka długich a wąskich pasków była zapisaną; rozdział przeznaczony na dziś był skończony. Naczek wstał z krzesła, chwiejnym krokiem postąpił ku sofie w przeciwnym rogu pokoju i rzucił się na nią w całkowitym zniemożeniu. Zimny pot pokrywał jego czoło, twarz była strasznie blada, ręce się trzęsły, tylko oczy gorzały dziwnym, gorączkowym blaskiem. Każdy rozdział jego pracy kosztował go strasznie wiele, wrzusał do głębi całą jego istotę i wyczerpywał jego siłę, tak że musiał z pół godziny odpoczywać w zupełnym prawie osłupieniu, zanim mógł po trosze przyjść do siebie.

Tym razem jednak nie długo dano mu spoczywać. Nasamprzód przyszedł chłopiec za skrytem, a wkrótce po jego wyjściu dały się słyszeć w pierwszym pokoju jakieś rozmowy, niby sprzeczka i certowanie. Wszedł główny współpracownik i oświadczył, że przyszedł jakiś pan i koniecznie żąda mówić z samym panem redaktorem.

— Proś go pan tutaj — rzekł Naczek, ciągle jeszcze blady i osłabiony, z wysiłkiem podnosząc się ze sofy.

Wszedł młody panek, lat dwudziestu pięciu, o niepewnej i przedwcześnie postarzałej fizjonomii, która nosiła wyraźne ślady mnogich niespanych nocy i nadmiernego używania ostrych napojów.

— Czy mam przyjemność mówić z panem redaktorem „Gońca”? — zapytał nieśmiało młody człowiek.

— Tak jest — rzekł Naczek, zbliżając się ku niemu.

— Czy pan nim jesteś?

— Tak jest.

— A nie mógł byś mi pan powiedzieć, gdziebym mógł znaleźć pana Ignacego Kalinowicza?

— Ale przecież ja nim jestem! — rzekł Naczek nieco rozdrażnionym głosem.

— Pa-a-a-n? — rzekł młody człowiek z wielkim zdziwieniem.

— Czego sobie pan życzy? — pytał Naczek.

— Prze... przepraszam — rzekł do reszty onieśmielony młody człowiek — widzę, że się pomylił w adresie.

— Jak to?



— Bo... bo ja chciałem mówić z panem Ignacym Kalinowiczem.

— Ależ mówię panu, że ja nim jestem! — krzyknął Naczek.

Młody człowiek przypatrywał mu się pilnie swymi osowiałymi oczyma, wreszcie rzekł:

— Prze... przepraszam, może się pomylił w osobie. Mo... może pan nie ten Ignacy Kalinowicz, którego mi potrzebna. Tamten był... był daleko młodszy.

— Kiedyś i ja byłem młodszy — rzekł Naczek ze zdziwieniem poglądając na niezwykłego gościa. — Kiedyżeś go pan ostatnią razą widział?

— Przed dziesięciu laty — odrzekł młody człowiek.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Naczek — toż to i nie dziw, że był młodszy. Cożeś pan chciał, żeby człowiek za dziesięć lat pozostał niezmiennym! No, ale proszę, z kim mam honor?

— Jestem Ernest Kisielewski, może pan sobie przypomina?

— Ernest! — krzyknął Naczek, podając rękę młodzieńcowi o zderanzowanej fizjonomii. — No jakże, jakże! Mój elew! Coż porabiasz, Erneściku, jak ci się powodzi? Ale przede wszystkim bądź łaskaw, siadaj tu na sofie, pogadamy. Ja i tak już ukończyłem swą robotę!

— Nie szczególnie mi się powodzi — rzekł Ernest usiadłszy. — Byłem w Wiedniu w wojskowej szkole, wypędzili mnie, a teraz od tygodnia jestem tutaj.

— No, i gdzie pozostajesz, co porabiasz?

— Porabiam nie porabiam niczego, a pozostaję tak, przy siostrze.

— Przy siostrze? — rzekł ze zdziwieniem Naczek. — A siostra przy kim?

— Siostra u ciotki, ale ma nadzieję, że wkrótce dostanie jaką posiadłość. Już tam ciotka dla niej wyrobiła protekcję u bardzo wysokich ryb, u samego hrabiego Adolfa, wie pan...

— No, i cóż, jak dostanie posiadłość?

— A, wtenczas najmiemy sobie osobne pomieszkanko i będziemy żyć obydwójce razem.

— To znaczy, chcesz pan żyć jej kosztem! — rzekł surowo Naczek.

— Prze... przepraszam — odrzekł Ernest. — Tylko na czas, dopóki i sobie nie znajdę jakiego miejsca.

— A jakież pan miejsce mógł byś zająć?

— Albo ja wiem? — odparł Ernest. — Zająłbym, jakie by się trafiło. Czy kasjera, czy dyurnisty... Co bądź.

— A masz pan kwalifikację na kasjera?

— Kwa... kwalifikacje? He, he, he! Co mi tam za kwalifikacji potrzebno! Pieniądze brać i wydawać, to, panie, łaskawy, potrafię.

— Aha! No, i to dobrze na początek — rzekł Naczek. — No, a czymże ja mogę panu służyć?

— Hm, panie Ignacy — rzekł młody człowiek, nadymając się i wyciągając nogi przed siebie. — Pan mi możesz służyć kilkoma rzeczami, i mam nadzieję, że mi pan nie odmówisz.

— Cóż — rzekł Naczek, który czym raz jaśniej zaczynał rozumieć niechęć i opryskliwość Reginy na wzmiankę o bracie — niech pan powie! Co tylko będzie można, jestem gotów dla pana uczynić.

— Wiem o tym, panie Ignacy, wiem — rzekł Ernest z miną protektora i skinął ręką. — A więc przede wszystkim chciałbym dostać miejsce przy administracji pańskiego dziennika. Dużo by mi pan mógł zapłacić miesięcznie?

— Hm, to by się zobaczyło — rzekł Naczek, zdziwiony tak nagłą zmianą w zachowaniu się nieśmiałego młodzieńca. — A co więcej?

— Dalej, proszę pana, dać mi natychmiast na rachunek mej pensji pięćdziesiąt reńskich, których bardzo potrzebuję dla załatwienia niektórych interesów nie cierpiących zwłoki.

— Czy to wszystko? — rzekł Naczek i twarz jego zaczęła się oblewać rumieńcem gniewu i oburzenia.

— Nie panie, jeszcze nie wszystko. Najważniejszą rzecz chowam na sam koniec. Będziesz pan łaskaw w jak najkrótszym czasie zmienić ton i kierunek swego pisma.

— Co, co, co? — krzyknął Naczek, zrywając się ze sofy i stając na przeciw Ernesta, który wyciągnawszy chude jak tyki nogi rozsiadł się na sofie i spoglądał mu prosto w oczy ze spokojem i upartością idioty.

— Tak, panie. To rzecz dla nas bardzo ważna — rzekł Ernest.

— Dla kogo „dla nas”?

— Dla mnie i dla mojej siostry.

— Siostry? A to jakim sposobem?

— A, bo to, widzi pan, hrabia Adolf tylko pod tym warunkiem obiecał mojej siostrze wyrobić posadę, jeżeli ona

wpłyńcie na pana, byś pan zmienił kierunek swego pisma i nie napadał na szlachtę.

— Co, co, co, co? Szalony, co pleciesz? — krzyknął Naczek, chwyciwszy się za głowę. — Hrabia Adolf — siostra — wpływać — jak? z jakiej racji?

— E, panie Ignacy — odrzekł Ernest z cynicznym uśmiechem. — Nie udawaj znowu pan głupiego. Przecież ja wiem wszystko. Lepiej gadajmy na rozum! Pan kochasz moją siostrę, prosisz nawet o jej rękę. Siostra stawia panu warunek zmienić kierunek pisma i wie, że jej pan tego nie odmówisz, a ja...

W tej chwili Naczek jak szalony rzucił się ku drzwiom i otworzywszy je krzyknął co siły:

— Feliksie!

Sługa redakcyjny, niski, krępy człowieczek, przybiegł na ten krzyk z pokoju ekspedycyjnego.

— Pokaż temu panu — i Naczek wskazał na siedzącego Ernesta — któregoś się od nas wychodzi!

— Co? — krzyknął Ernest, zrywając się z sofy i zwracając się ku Naczkowi. — Pan byś śmiał obrazić mię, brata...

— Feliksie! — rzekł Naczek z przyciskiem i odwrócił się.

— Proszę pana — rzekł Feliks — niech się pan nie opiera!

— Więc tak, tak! — krzyczał zaperzony Ernest. — Zamiast mi dopomóc, pan mię wyrzucasz? Dobrze, ja pójdę, ale ja się panu przysłużę! Czekał pan! Pożalujesz pan tego!

I wciąż wyrzekając i grożąc Ernest wyszedł z lokalu redakcyjnego w towarzystwie Feliksa.

A Naczek tymczasem rzucił się po swym gabinecie, jak raniony zwierz. — A więc taka to historia! Więc ona, ta święta, czysta i dobra Regina dała się użyć za narzędzie podłej intrydze tych sfer, którym zależy na zgniceniu jego dziennika! Więc ich to duch wieje z jej słów. Więc w tym to celu nadziała ona maskę dobroci i żalu za popełniony nietakt, by się przypodobać im! Eoże! W jaką przepaść brzydoty moralnej dał mu zaglądnąć ten kretyń, ta nadpsuta mumija! — I Naczek nie mógł dłużej wytrzymać w pokoju. Cieśniły go mury, dusiło powietrze, zbrzydło mu wszystko na świecie. Ubrawszy się wyleciał z redakcji, poruczywszy współpracownikom przejrzeć to, co przyniesie reporter brukowy i sprawozdawca sądowy.

Szedł ulicą jakiś czas bez myśli, przyspieszonym krokiem, z pochyloną głową, jak gdyby przygotowywał się roz-

bijąc nią mury. Ostry wiatr wschodni, który prażył od rana, otrzeźwił jego wrzącą krew, nawiał mu chłodniejsze, spokojniejsze myśli. Począł zastanawiać się nad położeniem Reginy. Było ono okropne. Bez majątku i środków do życia, na łasce ciotki, mającej córkę na wydaniu, a do tego jeszcze z takim bratem na karku, jak ten Ernest,—toż to rzeczywiście oszaleć można. Nie dziw, że biedna dziewczyna uległa pokusie i dała się użyć za narzędzie intrygi, której doniosłości sama zapewne nie ocenia. Zrobiło mu się jej bardzo żal. Gotów był zrobić wszystko dla ulżenia jej przykrego losu, ale zmieniać kierunek swego pisma, toż to znaczyło deptać nogami własne ideały, zabijać swą własną duszę! Nie, nigdy, przenigdy! Tego ona od niego żądać nie może! A gdyby nawet żądała, gdyby taką zdradą na własnych świętościach mógł on okupić wszystkie rozkosze raju—nigdy, przenigdy nie zrobiłby tego. Byłby podłym, niskim, nie wart by żyć na świecie, gdyby zrobił coś podobnego! I Naczek, idąc uderzył nogą o zmarzły bruk, jak gdyby dla tym dobitniejszego wyrażenia swej niezłomnej woli.

Zatrzymał się i spojrzął, gdzie się znajduje. Znajdował się, jak zwykle, na ulicy Pańskiej, naprzeciw pomieszkania pani Drelichowej. Choć nie daleko mu było do swego pomieszkania, nie szedł jednakże tędy, ale mimo silnego mrozu i wiatru zaczął chodzić po trotuarze przed domem pani Drelichowej, zawsze odchodząc tam i napowrót o tyle, by nie tracić z oczu głównej dramy kamienicy. Wiedział, że przed dwunastą zwykła Regina wychodzić z domu na godzinę, na lekcję muzyki, i chciał choć z dala zobaczyć ją. Lecz gdy rzeczywiście w bramie kamienicy ukazała się jej postać, w czarnym zimowym paltocie, w czarnym kapelusiku z taką aksamitną kokardą z boku bez żadnych zresztą ozdób i z czarnym barankowym muftkiem na prawej ręce, Naczek drgnął mimowoli i zwolnił kroku. Regina szła przeciw niemu, równym i szybkim krokiem. Ostry wiatr zarumienił jej lica, oczy spuściła w dół, chroniąc je od drobnego śniegowego kurzu. Śmiała myśl błysnęła w Naczkowej głowie, i nie zastanawiając się długo postanowił ją wykonać. Gdy się porównali z Regina, uchylił przed nią kapelusza i ukłoniwszy się, zwrócił się do niej.

— Przepraszam pani — rzekł przerywającym się ze wzruszenia głosem.

Regina spojrzała na niego. Ciężko niechęci przebiegł po

jej czole, lecz po chwilowym wahaniu ledwie dostlyszalnym dlosem zapytala:

— Proszę, czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panią o bardzo ważnej sprawie — rzekł ośmielony Naczek. — Jeżeli pani pozwoli, mogę jej towarzyszyć.

— Nie wiem, czy to będzie odpowiednie miejsce — rzekła Regina. — Ja się muszę spieszyć.

— Postaram się być krótkim — rzekł Naczek, i oboje poszli w parze. — Od razu więc przystąpię do rzeczy. Pani byłaś tak łaskawa napisać mi list, który dziś dostałem. Jestem pani bardzo, bardzo wdzięczny za słowa pociechy i nadziei. Tylko chciałbym wiedzieć, czy wszystko, co w tym liście napisane, pochodzi od pani?

— Jak to pan myślisz? — pytała zmieszana nieco Regina. — Przecież list cały pisany jedną ręką, moją ręką.

— Nie o to mi idzie — odrzekł Naczek. — Ale myśl, wyrażona w drugiej połowie tego listu, warunek, który mi pani stawia, czy to jest na prawdę wpływ jej przekonania?

Regina odwróciła się i ledwie dostlyszalnie odrzekła:

— Tak, panie.

— I pani na serio myśli przy nim obstawać?

— Tak, panie — brzmiała również cicha odpowiedź.

Naczek na chwilę umilkł, walcząc sam ze sobą i szukając słów do dalszej rozmowy. Nagle uczucie, hamowane dotychczas siłą woli, wezbrało, rozłamało tamy. On chwycił ją za rękę i ściskając w swej dłoni, szeptał namiętnie:

— Panno Regino, jedyna, ukochana nade wszystko w świecie, powiedz mi, czy rzeczywiście tak jest? Powiedz mi całą prawdę, szczerze i otwarcie! Oszczędź mi męki, na którą nie zasłużyłem swą miłością ku tobie! Czy rzeczywiście ten okropny warunek jest twoim pomysłem?

Piers Reginy falowała silnie ze wzruszenia. Wyszwozodziła swą rękę z Naczkowej dłoni i ciągle jeszcze odwrócona wyszeptala:

— Tak, panie!

Naczek ścisnął usta, żeby nie wypowiedzieć nadto ostrego słowa, dopiero po chwilowym ciężkim milczeniu rzekł:

— A jeżeli ja pani powiem, że nie tak? Że pani kłamiesz? Że sama siebie, nie wiem w jakim celu, stawiasz w mych oczach w tak brzydkim świetle?

— Panie! — odezwała się Regina na pół surowym, na pół boleśnym głosem.

— Jeżeli ja pani powiem — ciągnął dalej nieubłagany Naczek — że wiem wszystko, że wiem, jaką intrygę uknuła przeciw mnie godna ciocia pani ze swym godnym hrabią Adolfem i jak pod presją obecnego położenia użyto panią za narzędzie tej intrygi? I jeżeli pani wyjawię, że dowiedziałem się o tym od osoby kompetentnej, od brata pani, który właśnie był u mnie, by z góry już eskontować owoce tej intrygi i którego zamiast całej odpowiedzi kazałem wyrzucić za drzwi? Jeżeli powiem pani to wszystko, czy i wleczas jeszcze będziesz mi mogła odpowiedzieć „tak, panie”?

Słowa te wywarły okropne wrażenie na Reginę. Zwróciła na Naczka swe duże, czarne oczy z wyrazem nieopisanego trwogi a zarazem z błagającym wejrzeniem ofiary, prowadzonej na śmierć, zatrzymała się, niby osłupiała na miejscu. A gdy Naczek skończył — pozostała niema, tylko dwie duże, gorące łzy nabiegły na tych cudnych oczach, stoczyły się po policzkach i upadły na brudny śnieg trotuaru. Lecz nagle ochłonęła. Twarz jej zapałała rumieńcem gniewu i oburzenia, i otrząsnąwszy swym mufkiem ślady łez rzekła głosem pełnym gorzkiego wyrzutu:

— Męczysz mię pan! Nie masz pan litości. Żegnam pana!

I odwróciwszy się zniknęła w sieni domu, przed którym oboje stali, pozostawiając Naczka w niemym osłupieniu, podziwiew i rozpacz. On niczego nie widział, nie słyszał, nie czuł, tylko te jej łzy, duże, czyste, jak perły. Żadne słowa, żadne wyrzuty ani zaklęcia miłosne nie były w stanie wzruszyć go tak potężnie i głęboko, jak te łzy ukochanej kobiety. Gotów był rzucić się na ziemię i całować to miejsce, gdzie one upadły. Czuł, że te łzy pieką go, ciążyą mu na sercu, jak dwa najcięższe grzechy śmiertelne. Jakim dzikim barbarzyńcem okazał się on wobec niej!

Ile to wewnętrznego bólu i upokorzenia kosztować musiały tę dumną kobietę te ciężkie łzy! I w jakim celu on wycisnął je Reginie? Czy po to tylko, by ją przekonać, że kłamie, że nie jest szczerą? Jaki nędzny powód, jaki pogardy dostojny cel! Chybaż on nie wiedział i przedtem tego, co wie teraz, że tylko ostateczna presja, że rozpaczliwe i nieznośne położenie zmusiło ją do takiego postępo-

wania? Czy nie było obowiązkiem kochającego mężczyzny oszczędzić ją w tym ciężkim położeniu, podać jej w milczeniu pomocną rękę, zamiast jątrzyć jej ranę? I cóż teraz, co dalej? Teraz ona rzeczywiście ma powód gardzić nim, nienawidzieć go! Boże, Boże, co on narobił!

Ale nie! — szeptał mu inny głos. — Wszak to wszystko miłość ze mnie mówiła, czysta, prawdziwa, bezgraniczna miłość. Każda kobieta głos jej sercem odgadnie, instynktem przeczuje, i nie zmyli ją w tym przeczuciu chociażby i najbardziej szorstki ton.

Ale cóż robić, co robić? — pytał sam siebie Naczek, z wolna idąc ku swemu pomieszkaniu. Zwiesił głowę w ciężkiej zadumie. W sercu jego straszna toczyła się walka, ale w stanowczej chwili przed wyobraźnią jego znowu błysnęły dwie duże łzy w oczach Reginy, i Naczek rozpaczliwie machnął ręką.

— Wszystko mi jedno! — szepnął. — Stracę życie, zgubię duszę, ale ciebie zdobędę, ciebie posiędę, Regino!..

### VIII

Sala sądowa z wolna zaczęła się napełniać publicznością. Był ostatni dzień rozprawy przeciw zbuntowanym za lasy i pastwiska włościanom ze T-kiego powiatu. Postępowanie dowodowe po trzech dniach było skończone, — dziś miały nastąpić przemówienia prokuratora i obrońców, resume przewodniczącego i werdykt sędziów przysięgłych.

Był początek kwietnia 1875 roku. Miało się już ku wiosnie. Śnieg stajał, ciepły wiatr powiewał od południa. Woźny Cedzidło przed rozpoczęciem rozprawy pootwierał okna sali, by odświeżyć powietrze, ponapełniał karafki świeżą wodą, wiedząc, że później będzie tu duszno. Przez duże okna, o łokciowych kryształowych szybach padały skośne ciepłe słoneczne promienie i jasnymi słupami opierały się o gładki parkiet sali. Błyszcząca politurowana pod jawór ława sędziów przysięgłych, jak zwierciadło. Stół prezydialny, pokryty zielonym suknem, zawalony był papierami; na jednym końcu jego, w samym potoku promieni słonecznych, leżały corpora delicti: okrwawione cepy, stara, sznurkami powiązana dwururka, obwinięta szmatami paczka śniarników i długie widły od snopów, sterczące swymi gładkimi, błyszczącymi zębami drewnianymi prawie na środek

sali. Ze strony przeciwległej od ławy sędziów przysięgłych stał w samym kącie, w cieniu, wyniosły pulpit prokuratora, a niżej ława adwokatów i dziennikarzy. Pośrodku sali, bliżej stoła prezydialnego stała ławka dla podsądnych; dwie ławy podobne znajdowały się po bokach — jedna poniżej ławy przysięgłych, druga poniżej ławy adwokatów. Dalej, przedzielając salę na dwie nierówne połowy, znajdowały się balasy, oddzielające publiczność od aktorów dramatu sądowego. Przed balasami ciągnęła się długa ława świadków. Zaś w połowie wysokości sali znajdowała się galeria dla dam, z amfiteatralnie ustawionymi siedzeniami.

Wybiła dziewiąta. Cedzidło, niestrudzony cerber tego miejsca, pozamykał okna. Za balasami i na galerii było już dość publiczności. Na samą balustradę galerii opierały się łokciami Milcia i Regina, ciekawe na turniej językowy, jaki się miał rozpocząć wkrótce w tej sali.

Milcia szeptała, śmiała się, potrzącała Reginę, robiąc uwagi nad tym lub owym z wchodzących sędziów przysięgłych, lecz Regina, bledsza niż zwykle, milczała, nie spuszczać oczu ze drzwi, którędy miano wprowadzić podsądnych, którędy mieli wejść adwokaci.

Przysięgli w komplecie zasiedli swe miejsca; prokurator zasiadł w swym kącie na podwyższeniu, jak raróg na obręczy. Ściągają się też członkowie trybunału — znudzeni, zmęczeni jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia i zajęci oczywiście całkiem czym innym, niż losem podsądnych chłopów, który się tu wkrótce ma rozstrzygnąć. Dziennikarze również zasiedli już na swej ławie i notują coś pochyleni nad ćwiartkami papieru. Cedzidło, stojąc we drzwiach bocznej sali i pobłyskując swą łysiną, wzbrania wstępu jakimś niepoczesnym, brodatym i pejsatym postaciom, które nie wiedzieć po co cisną się tędy: to są świadkowie, żydzi wiejscy, który przebywszy już trzy dni we Lwowie, radzi by nie upuścić i ostatniego, najciekawszego aktu sądowego dramatu, by potem móc o wszystkim jak najdokładniej opowiedzieć swym mniej szczęśliwym a nie mniej ciekawym jednowiercom.

Wszedł prezydent trybunału, z plikiem papierów pod pachą, za nim weszli obaj adwokaci. Prezydent zadzwonił i wprowadzono do sali podsądnych. Weszli długim szeregiem, w gługich płótniankach, wychudli, żółtkli, zmęczeni długim, przeszło 9-miesięcznym więzieniem śledczym, i zasiedli na ławach — dwunastu mężczyzn i trzy kobiety.



Widok tych smutnych, przygarbionych i mizernych postaci nie zrobił na publiczność żadnego wrażenia — przecież to nawet dla miejskiej publiczności codzienne zjawisko, a do tego wszyscy podsądni — ludzie statecznych lat, z ostrzyżonymi wąsami, niektórzy z białym jak mleko włosiem. Kobiety też stare — lornetować ich żółte, zmarszczone twarze wcale się nie opłaca, a odczytywać genezę tych zmarszczków — komuż przyjemnie?

Nie na podsądnych też, lecz na ławę adwokacką zwróciły się oczy Reginy. Obronę prowadził znany nam już maleńki, okrągły komornik ze swym pomocnikiem Władysławem Kalinowiczem. Komornik siedział, sapiąc i ocierając pot z czoła i widać było po nim, że rozprawa obecna nie bardzo mu przypada do smaku. Przy przesłuchaniach podsądnych i świadków trzymał się on z wielką rezerwą, pytań prawie wcale nie zadawał, a tylko pilnował formalnej strony procedury. Mimo to jednak czuł się jakoś nie na swoim miejscu jako obrońca „zbuntowanych chłopów” i starał się nie zwracać oczu na publiczność za balaskami, skąd z niedwuznacznym zarzutem i politowaniem spoglądali na niego hrabia Hiacynt i hrabia Alfons.

Za to Władek był, rzecz można, właściwym lwem obecnej obrony. Pierwszy jego debiut na tym polu już teraz, przed stanowczą chwilą, można było uważać za świetny, i jeżeli nie gdzie indziej, to na galerii bez wątpienia pozyskał on zupełną sympatię. Co więcej, u ogółu [publiczności i u sędziów przysięgłych umiał on wyrobić sympatię dla podsądnych taką, o jakiej z początku nikt ani myślał. Rozmaitymi, na pozór nieraz dziwacznymi lub dziecinnymi pytaniami umiał on tych prostych ludzi wyzywać na takie odpowiedzi, które do głębi duszy wzruszały słuchaczy i częstokroć rzucały bardzo jaskrawe światło na cały ten nieszczęsny bunt i jego pobudki. Największym tryumfem Władka było na razie to, że przewodniczący, który z początku sprzeciwiał się stawianiu takich pytań, na pozór wcale do rzeczy nie należących i ni do czego nie prowadzących, wreszcie uznać musiał ich ważność i doręczność. W swych pytaniami stawianych podsądnym i świadkom, zwrócił Władek szczególną i systematyczną uwagę na jedną osobliwą rzecz, pomijaną zwykle przez fachowych jurystów i prowadzącą ich do najfałszywszej nieraz oceny postępowania chłopów. Całym szeregiem zeznań podsądnych i świadków, które jako bardzo ważne prosił wnosić do pro-

tokolu, starał się on wyjaśnić przysięgłym prawne pojęcia samego ludu, które służyły motywem jego czynów, poglądy jego na pańszczyznę, na inwentarze, na terazniejsze prawa i instytucje. Sędziom zasiadającym w trybunale, starym zaśniedziałym prawnikom aż włosy stawały na łysinach, gdy słyszeli wygłaszane przez chłopów z miną najnaturalniejszą w świecie takie prawne zasady i poglądy, które nie wspólnego nie miały z ich uświęconymi kodeksami i paragrafami. Niektóre z tych zdań prawnego kodeksu ludowego budziły homeryczny śmiech w audytorium, inne natomiast naprowadzały na głęboką zadumę nawet panów prawników. A Władek nie ustawał coraz nowymi i niespodziewanymi pytaniami wyzywać nowe, a zawsze ciekawe odpowiedzi. Ludziom, którzy na pytania prokuratora i przewodniczącego stawali z wytrzeszczonymi oczyma i zaledwie słów parę powiedzieć umieli, na pytania Władkowe wyjaśniały się twarze i rozwiązywały języki.

Nie dziw więc, że Regina, która przez wszystkie dni z największą uwagą śledziła z galerii za tokiem rozprawy, a właściwie za tokiem Władkowej obrony, czym raz większego nabierała pojęcia o jego zdolnościach, o potędze jego umysłu i wiedzy, czym raz bardziej na jego osobie koncentrowała swe myśli i uczucia. Od pierwszego spotkania na owym pamiętnym balu, od tej rozmowy z hrabią Adolfem, której była świadkiem, Władek w jej myślach i marzeniach bardzo ważną odgrywał rolę. Zdziwiła się też i ucieszyła zarazem, gdy ciocia pewnego dnia zaprojektowała jej zasięgnąć porady Władka, jako młodego i zdolnego jurysty w sprawie jej ze Szneiderem o wygrany los. Władek oczywiście także nadzwyczaj ucieszył się odwiedzinami pań i przyrzekł rozglądać się w tej sprawie. Gdy w tydzień później przybyły do niego pani Drelichowa wraz z Reginą już na nowe pomieszkanie, Władek oświadczył, że rzecz można wytoczyć przed kratki sądowe, lecz zarazem przedłożył paniom pytanie, czy nie lepiej by było osobiście znieść się ze Szneiderem, i proponował swe usługi. Regina przyjęła jego propozycję z wdzięcznością, i Władek niezwłocznie pojechał do Drohobycza, by odszukać Szneidera. Ponieważ zaś i od swego adwokata miał w tych stronach kilka komisji wymagających licznych podróży po wsiach, a prócz tego Szneidera w Drohobyczu nie było, ale trzeba go było odszukiwać w Borysławiu, nie dziw więc, że Władek zabawił w tych stronach przeszło dwa tygodnie. Z jaką

tesknotą, z jakim upragnieniem oczekiwała go Regina. Nie dlatego tylko, że w jego rękę spoczywały teraz jej przyszłe finanse, spoczywała możność lub niemożność przyszłego niezawisłego życia i rychłego uwolnienia się od łaskawego chleba ciotki, który jej, dumnej i w sobie zamkniętej, od pierwszego prawie dnia stawał kością w gardle, — nie, nie dlatego tylko. Zastanawiając się nad sobą, Regina z wolna przychodziła do tego przeświadczenia, że kocha Władka, że bez niego żyć nie potrafi, że bez niego nie tylko owa połowa wygranej na los sumy, ale i wszystkie skarby świata nie mają dla niej żadnej wartości. Myśl o nim była jej jedyną rozrywką, jedyną pociechą w ciężkim zaiste jej życiu w domu ciotki, które osobliwie od czasu powrotu brata, wypędzonego z wiedeńskiej szkoły wojskowej i ze skończoną bezczelnością i cynizmem czepiającego się za jej poję, stało się zupełnie nieznośnym. Ciotka się krzywiła i po cichu narzekała na „darmozjadów”, chociaż z drugiej strony nie wiele zadawała sobie trudu, by wyjednać Reginie za pomocą protekcji hrabiego Adolfa obiecaną jej posadę przy poczcie lub telegrafii. Uwodziła ją, jak kotkę za żdźbłem, a tymczasem starała się razem z Milcią zapuszczać jej nieznacznie tysiące drobnych szpilek w żywe ciało. Chwilami Regina wybuchała gniewem i oburzeniem, przychodziło do sprzeczek i łez. W jedną z takich chwil pani Drelichowa postawiła Reginie ów fatalny warunek, dotyczący Naczka i znękana dziewczyna dla miłego spokoju spełniła jej wolę. Zresztą o Naczku nie myślała. Z egoizmem zakochanych myślała tylko o jednym, nie troszcząc się o cierpienia drugiego. Szło jej o posadę, gdyż znając chytrą i nieuczciwą Szneidera, wątpiła o wydobyciu od niego spornej sumy. Co prawda, rozmowa z Naczkiem bardzo ją upokorzyła i wzruszyła głęboko, ale upokorzenie zamyka i zatwardza serce, i odtąd starała się nie myśleć o Naczku. Gdy Władek za tydzień po owym epizodzie z Naczkiem powrócił, była Regina pierwszą klientką, która nawiedziła go w jego pomieszkaniu. Przyszła sama, bez ciotki i nawet bez jej wiadomości. Jej oczy, którym uczucie dodawało bystrości, śledziły pilnie za każdym słowem, za każdym wyrazem twarzy młodego adwokata. Na tej twarzy starała się wyczytać swój wyrok, starała się wynaleźć ślad wewnętrznego uczucia, i została w zupełności zadowolona. Władek przyjął ją z taką radością i z takim serdecznym, chociaż taktownie wstrzymywanym

cieplem, że Regina nie bez podstawy wywnioskowała, że i on podczas swej podróży nie raz o niej wspominał. Opowiadania jego o rezultacie podróży prawie nie słuchała, spodziewała się takiego rezultatu. Szneider zmięknął znacznie, widząc, że rzecz może wziąć niebezpieczny dla niego obrót i okazał się skłonny wejść w układy. Naciśnięty przez Władka przystał na wypłacenie spadkobiercom śp. Kisielewskiego połowy wygranej sumy, z potrąceniem dość znacznych długów, które rzekomo pozaciągał u niego nieboszczyk. Ani Władek, ani spadkobiercy o tych długach niczego nie wiedzieli, Szneider też kwitów ani żadnych papierów nie miał, ale ofiarował się dostarczyć świadków. Rzecz oczywiście przewlekła się, i ukończyć ją od razu nie było żadnej możliwości. Udał się więc Władek ze Sneiderem do notariusza, u którego ten ostatni deponował deklarację, że przyznaje spadkobiercom śp. Kisielewskiego taką a taką sumę i obiecuje ją wypłacić na ręce pełnomocnika tychże po załatwieniu wszelkich innych obrachunków, a do tego czasu ręczy całym swoim ruchomym i nieruchomym majątkiem za rzetelne w swym czasie uiszczenie wypłaty. Władek tryumfował, lecz zdziwił się bardzo, gdy Regina przyjęła opowieść jego bardzo melancholijnie i sceptycznie twierdząc, że to jest finta, że Szneider oczywiście już wynalazł jakąś nową podłość i stara się tylko wygrać na czasie. By ją uspokoić, Władek natychmiast napisał o jej obawach notariuszowi drohobyckiemu, prosząc go, by tej sprawy pilnował. Nawet przyjemnym mu był ten obrót sprawy, gdyż na tej podstawie mógł prosić Reginę, by się części dowiadywała do niego, jeżeli nie przyjdą jakie wieści z Drohobycza, które szybkiej będą wymagały decyzji.

I Regina nie omieszkała korzystać z tego uprzejmego zaproszenia. Przychodziła prawie co drugi dzień, zawsze na chwileczkę, po drodze na lekcje muzyki. Przerzucali się z Władkiem kilkoma słowami, spolrzeniami i uścisnąwszy sobie ręce jak starzy znajomi, rozstawali się, radzi, niby znaleźli skarb jaki. Władek, na którego z początku Regina nie tak silnie zrobiła wrażenie, i który był by pewnie wkrótce o niej zapomniał, teraz, siykając z nią tak często, słysząc jej głos i zaglądając w jej bezdenne oczy czuł się czym raz więcej pokonanym potęgą jej uroku, i nie przyznając się do tego sam przed sobą czym raz częściej w myślach nią się zajmował, a układając plany swego przyszłego

życia, zawsze jakoś mimo woli i wiedzy ją w bezpośredniej bliskości obok siebie spotykał. Jej uroczą główka z cudnymi oczyma i z krótkimi włosami stała się dla niego czymś w rodzaju tych świętych twarzy, które spoglądają na nas z medalionika noszonego od dzieciennych lat na piersi a zawieszzonego tam z modlitwą i błogostawieństwem rękami kochającej matki.

Nieraz też w ubiegłych trzech dniach, podczas gorących utarczek z prokuratorem, świadkami, trybunałem i własną niedomyślnością obwinionych Władek spozierał w górę, na galerię, i wzrok jego z lubością spoczywał na tej uroczej, niezmiennie ku niemu zwróconej twarzyczce, jak gdyby z jej ócz, płonących podziwem i serdecznym uczuciem, chciał czerpać siłę, spokój i wytrwałość.

Głuchy szmer przeleciał po sali. Pan prokurator ma głos. Prokurator podniósł się ze swego siedzenia i oparł się pięściami o blat pulpitu, całym korpusem wychylając się naprzód, jak strzelec, który wychyla się w kierunku puszczanego pocisku. Był to wysoki, chudy pan, o żółciowym wyrazie twarzy i ostrym, przenikliwym głosie. Charakterystycznym było to w jego istocie, że przed każdym przemówieniem składał swą długą chudą twarz do uśmiechu, ni to ironicznego ni to cierpko-słodkiego, który zupełnie nie harmoniował ze zwykłym jej wyrazem ani nie dostrajał się do sensu i tonu słów, co po nim nastąpić miały.

I teraz, uśmiechnąwszy się wedle zwyczaju, pan prokurator nagle, jak gdyby przypomniawszy sobie coś, zmarszczył czoło, wytrzeszczył oczy i w dół ściągnął końce ust, nadając twarzy swej takim sposobem dosyć komiczny wyraz bólu i przerażenia.

— Moi panowie przysięgli — rzekł przygłuszonym, grobowym głosem, potrząsając głową. — Stoimy na wulkanie! Tak, na wulkanie, gotowym w każdej chwili wybuchnąć i zagrzebać nas wszystkich pod swymi gruzami!

Zamilkł na chwilę, by dać wszystkim należycie poczuć całą grozę swej biblijnej przepowiedni. Niestety jednak, w oddziale widzów zarówno jak i na ławie przysięgłych spostrzegł przelotne uśmiechy na twarzach. Spostrzeżenie to było dla niego tym, czym ostroga dla dzikiego konia. Wyprostował się w całym majestacie, nawet prawą rękę wyprostował i wychylił pod kątem 45° ku poziomowi i zawołał głosem piorunującym.

— Widzę na waszych twarzach uśmiech niedowierzania, powątpiewania lub nawet lekceważenia! A przecież to, co rzekłem, jest prawdą, niestety, aż nadto groźną prawdą! Tu przed nami (wskazał na podsądnych) stoją pierwsze pociski tego wulkanu. W obecnej rozprawie słyszeliśmy pierwszy jego podziemne grzmoty i łoskoty. Spoglądacie na tych mizernych ludzi i myślicie: jak to może być? Przecież to ci sami chłopci, których co dzień widzimy na targach, którzy nam noszą nabiał, wożą drwa, sprzedają jarzyny, z którymi się targujemy, którym sprzedajemy, od których ściągamy podatki i należności. I oni mają być pociskiem wulkanu? Ich ustami ma przemawiać grom podziemny? A jednak, moi panowie, tak jest niestety! Tych chłopów są na nieszczęście miliony, a lawina, jak wiadomo, składa się z milionów niewinnych płatków śnieżnych i z niczego więcej!

Po tym patetycznym wstępie pan prokurator nagle zmienił ton i uśmiechnawszy się ironicznie przeskoczył w ton spokojnej, obiektywnej opowieści. Fakt buntu od pierwszych jego początków, z mnóstwem epizodów i scen stanął przed wyobraźnią słuchaczy w całej nagości i plastyce. Pan prokurator załaził w dusze oskarżonych, wygrzebywał w nich najskrytsze, najczarniejsze motywy i rzucał je jak ciemne plamy na tło obrazu. Zbrodnie każdego z oskarżonych przedstawił nasamprzód oddzielnie, by je potem zebrać, zesumować i zręcznym zwrotem retorycznym przedstawić całą rzecz jako jedno ogniwo wielkiej, po całym kraju rozszerzonej konspiracji przeciw prawowitemu porządkowi rzeczy.

Tu znowu nastąpił nowy i niespodziewany zwrot. Pan prokurator pochylił się, ścisnął ramiona, niby oczekując z góry okropnego jakiegoś ciosu; twarzy swej nadał wyraz trwogi,omalże nie rozpaczy,— i raptem zaczął tonem najwyższego tryumfu.

— Ale nie! Nie wasze zwycięstwo! Na nic się nie zdały zbrodnicze zamachy! Żyje jeszcze prawo, żyje sprawiedliwość w sercach obywateli! Jej ręka karząca dosięgnie was, zgruchoce wasze zamysły przewrotne! Bo i kimże wy jesteście? Cząsteczka ciemnej, wzgardzonej i pogardy godnej masy, nędzne wyrzutki społeczeństwa, gnój, który powinien uważać się za szczęśliwego, gdy na nim wyrasta pyszny kwiat cywilizacji. Konstytucja dała wam prawa, na któreście nie zasłużyli, ale ta sama konstytucja z całą surowo-

ścią karze tych, co z jej dobrodziejstw korzystać nie umieją. W imię tych zagrożonych dobrodziejstw, w imię wolności, ludzkości i świętego prawa własności, panowie przysięgli, proszę was o uznanie podsądnych winnymi!

Prokurator skończył i usiadł.

Po nim zabrał głos główny obrońca i, kołysząc się na swych krótkich nóżkach, żywo gestykulując i zwracając się to ku przysięgłym, to ku trybunałowi, to ku podsądnym, to ku prokuratorowi, wygłosił mowę, suchą wprawdzie, ściśle prawniczą i nieco ubogą w treść, ale ożywioną właśnie mimiką mowcy. Ze ścisłością starego praktyka wykazywał on sprzeczności w zeznaniach świadków, brak złego zamiaru w postępkach niektórych podsądnych, tysiączne łagodzące okoliczności w postępkach innych i oddawszy przy końcu ironicznie palmę pierwszeństwa w elokwencji panu prokuratorowi prosił przysięgłych o uniewinnienie jeżeli już nie wszystkich, to przynajmniej niektórych oskarżonych. Mowa ta znakomitego obrońcy dość przykre zrobiła wrażenie na słuchaczach i na przysięgłych. Nie tak umiał pan komornik przemawiać w innych razach! Widać było, że obecna sprawa nie jest bliską jego serca, że znalazł on się tutaj niejako nie na swoim miejscu.

Wstał wreszcie Władek dla wygłoszenia swej pierwszej mowy publicznej. Rozpoczął nieśmiało, równym, lecz nieco przerywanym głosem. Oświadczył na wstępie, że dla oceny znaczenia i doniosłości czynu podsądnych konieczne zbadać jego przyczyny — zewnętrzne i wewnętrzne, historyczne i psychologiczne. Prostymi słowy, nie siłąc się na retoryczne ozdoby, lecz jedynie podkreślając ważniejsze fakta, przedstawił w głównych zarysach historię zniesienia pańszczyzny w Galicji i wyłonioną z niej a wlekącą się długie lata historię wykupu serwitutów. Z dwóch punktów widzenia uważać należy historię tego wykupu i te liczne procesy, zamieszki i bunty chłopskie, jakie ona za sobą pociągnęła. Cesarskie patenty i ministerialne rozporządzenia, dotyczące sprawy serwitutowej wychodzą z tego, przez obecną historię dawno zbitego zapatrywania, że chłopci są kolonistami na gruntach pierwotnie pańskich; że za te grunta, które im dali panowie pod uprawę, chłopci zobowiązani byli odrabiać pańszczyznę. Równocześnie z gruntami pod uprawę panowie dla utrzymania chłopów musieli im też dać pastwiska dla bydła i pozwolić wrąb w swych, a więc pierwotnie pańskich lasach. Te prawa i te obowiąz-

zki zobopólne stały się podstawą porządku patrymonialnego, który trwał do r. 1848. Ze zmianą i upadkiem tego porządku ten, kto tracił prawa, musiał otrzymać za nie wynagrodzenie i kto się pozbywał obowiązku — musiał za to zapłacić. Panowie za prawo do robocizny otrzymali indemnizacje; chłopci, tracąc prawo do używania pańskich pastwisk i korzystania z pańskich lasów, mieli otrzymać wynagrodzenie bądź pieniężne, bądź w tzw. ekwiwalentach tj. wydzielonych im przez specjalne komisje kawałkach lasów i pastwisk. To jest zapatrywanie prawa publicznego. Z tego zapatrywania wychodząc — podsądni są winni, bo sprzeciwiali się wyraźnym przepisom prawa i rozporządzeniom władz.

Lecz dlaczego to czynili? Czy z ślepej nienawiści do panów, czy z równie ślepej żądz cudzej własności? To właśnie jest kwestia kardynalna, tu leży właściwa skala do oceny ich postępowania. I zestawiając zeznania oskarżonych i świadków, mówca jasno i plastycznie wykazał motywację ich działalności i ich kierujące poglądy. Zapatrywania chłopskie na kwestię pańszczyzny są wręcz przeciwne od zapatrywań klas rządzących. Wedle pojęć chłopskich nie panowie, tylko chłopci, gminy są pierwotnymi właścicielami ziemi, lasów i wypasów; nie chłopci, tylko panowie są przybyszami i kolonistami. Prawo pańszczyzny ich zdaniem — prawo przemocy ludzi zbrojnych i zorganizowanych nad bezbronnymi i rozdrobnionymi. Prawo serwitutów, to tylko niedostateczny surogat wydartej pierwotnej własności gminnej. Mówię „pierwotnej”, lecz mam na myśli wcale nie tak dawne czasy. Zwróćcie panowie pilną uwagę na to ciągle powoływanie się tych ludzi na józefińskie inwentarze. Co to znaczy i dlaczego każda wzmianka o tych inwentarzach tak do głębi ich porusza? Ocenicie to, gdy zwrócicie uwagę na następujące dwie rzeczy: patent o zniesieniu pańszczyzny, jak wiadomo, daruje chłopom te ziemie, które znajdują się w ich posiadaniu i są zapisane jako grunta rustykalne w inwentarzach z roku 1820. Dawniejsze stosunki posiadania nasze prawo publiczne uznaje za nieważne. Dlaczegoż ci ludzie nigdy nie powołują się na te inwentarze, tylko z taką upartością sięgają dalej w przeszłość? Odpowiedź na to dają nam słowa patentów i wykazy tabuli krajowej. Patenty józefińskie wyraźnie mówią o lasach gminnych — inwentarze z roku 1820 nic o nich nie wiedzą. W inwentarzach józefińskich znaczne przestrzenie lasów



i pastwisk zaliczone są do gruntów rustykalnych; w roku 1820 są to już własności pańskie. Dla przykładu podaje mowca porównawczy wyciąg z inwentarzy z roku 1763 i z 1820, odnoszący się do tej wsi, z której pochodzą podsądni; pokazują się, że pamięć ludowa dokładnie zachowała granice i objętości pierwotnej własności gminnej i że właśnie o tę własność powstał cały długoletni spór.

— Nie zapominajcie, panowie — mówił Władek coraz cieplejszym i pewniejszym tonem — że, jakeśmy to słyszeli z ust podsądnych i świadków, zwyczajowe prawo ludowe w sprawach gruntowych i w sprawach gminnych nie zna przedawnienia. Dla oceny postępowania tych ludzi wspomnijcie, że na dwudziestoletni przeszło proces z dworem o te, ich zdaniem do gminy należące grunta, oni wydali około dziesięciu tysięcy reńskich, to jest niemal dwa razy tyle, ile sporne grunta są w ogóle warte. A więc rzecz pewna, że nie żądza cudzej własności, nie żądza z bogacenia się kosztem pana skłoniła ich do tego. Człowiek poządlivy nie wydaje dwóch guldenów za jeden. Wspomnijcie panowie, cośmy tu również wiele razy słyszeli z ust mnogich ludzi, że ziemia w ich pojmowaniu jest czemś daleko większym i świętszym, niż zwykła prywatna własność, osobistą pracą nabyta, jest pierwszym warunkiem bytu gromady, bytu przyszłych pokoleń, narodu. Dla niej więc te trudy, te ofiary, za nią nawet krew swą oddać i krew przeciwników przelać byli gotowi. Nie skłonność do procesów, o której tyle u nas mówią, była przyczyną, że tak głucho ciągnęli sprawę. Nie, moi panowie! Kto wie, ile przykrości, trudów, trwogi i unień przynosi naszemu chłopu, ciemnemu i nieśmiałemu każda najmniejsza styczność z „panami”, a tym bardziej każdy proces, ten przyzna, że o jakąś szczególną skłonność do procesów chłopu tego posądzać było by wprost śmiesznym. A jeżeli mimo to ci ludzie tak długą i zaciętą toczyli walkę, nie wahali się rujnować się dla niej i iść na bagnety żołnierzy, to czy możecie powiedzieć na sumienie, panowie, że parły ich do tego niskie, podłe, zwierzęce, karygodne pobudki? Moje sumienie inaczej mówi. Moim zdaniem ci ludzie, ciemni i pogardzani, szukali prawdy i sprawiedliwości, która dawno, dawno, jak mucha w pajęczynie, ugrzęzła w sieci niezliczonych patentów i rozporządzeń. Gdy mimo dwudziestoletnich trudów wywikłać jej nie mogli, chwycili się ostatniej drogi, tej samej drogi, której nieraz imali się wielcy bohaterowie i oświeceni

daleko społeczeństwa — apelowali do siły, i siłą też zostali pokonani. Cokolwiek bądź nasz rozum może sądzić o tym postępowaniu, nasze uczucie, nasze sumienie, panowie, nie może odmówić mu uznania i sympatii. W naszym czasie, pogrążonym w egoizmie i materializmie, widzieć ludzi z zaparciem się swych wygód i interesów poszukujących zaginionej prawdy i sprawiedliwości — to podnosi, moi panowie, to oświeża i uszlachetnia, chociaż by ci ludzie byli w płótniakach lub nawet w lachmanach.

Teraz głos Władka, czysty i pełny, jak głos dzwonu, panował w sali. Ani śladu niepewności, ani cienia frazeologii lub pogoni za efektem, ani krzty czułościowości lub ironii: w każdym słowie czuć było szczere przekonanie, czystą jak kryształ prawdę. Wielu kobietom łzy mimowoli płynęły z ocz, a jedna z oskarżonych, podniosłszy w górę ręce, rzekła głośno, słowami przerywanymi łkaniem:

— Boże cię błogosław, ty boże dziecię, że tak za nami biednymi przemawiasz! Boże cię błogosław!

Lecz głos Władka nie doszedł jeszcze do kulminacyjnego punktu swej skali. Im bliżej ku końcowi przemówienia, tym on rósł i potężniał, tym więcej wzbierał uczuciem. Nawiązując do słów prokuratora o rozszerzonej po całym kraju szkodliwej i niebezpiecznej konspiracji, on wskazał ją nie pod wiejskimi strzechami, ale w bogatych pałacach, w salach parlamentarnych, w kancelariach, gdzie się wypracowują ustawy, popierające interesa jednej, nielicznej klasy, jednej kasty uprzywilejowanej w uszczerb dla dobra mas, dla dobra ogółu. Nie reprezentanci, ale ofiary tej milczącej, a potężnej swą organizacją, oświatą i wpływami konspiracji stoją przed sądem. Nie na te ofiary powinien spadać cały ciężar odpowiedzialności za smutne i pożałowania godne fakty. Fakty te, które naruszyły spokój społeczeństwa, zniszczyły te ofiary materialnie. To, co dla nas było tylko przykrą nowiną, dla nich było ruiną. Za swe czyny ponieśli oni już aż nadto dotkliwą karę. Mówca kończy wyrażając nadzieję, że jest jeszcze sprawiedliwość w sercach obywateli naszego kraju, że ludzie szukający sprawiedliwości z ofiarą własnych majątków i narażeniem własnego życia nie będą policzeni między zbrodniarzy. Mówca nie prosi o uniewinnienie podsądnych, ale jest przekonany, że innego wyroku prócz uniewinniającego sędziowie przysięgli wydać nie mogą.

To śmiałe zakończenie wywołało ruchy nieukontentowania w trybunale. Śród ciszy, jaka zaległa w sali po przemówieniu Władka, słychać było wyraźnie, jak jeden z sędziów, nieco głuchy, szepnął do drugiego myśląc, że nikt go nie słyszy.

— To, panie dobrodzieju, nie obrońca, das ist ein Wühler!<sup>1</sup>

Natomiast na twarzach sędziów przysięgłych zasiała poważna zaduma. Władek poruszył rzecz całkiem z nowego końca, z jakiego jej dotychczas nie poruszano, i uderzył w struny bliskie i pokrewne mieszczanom i innym członkom ławy przysięgłych. Również i na publiczność, osobliwie na galerii mowa jego zrobiła potężne wrażenie, a chociaż hrabia Hiacynt z hrabią Alfonsem uśmiechali się pogardliwie, widać było jednak, że mowa Władkowa dotknęła ich w wielu punktach bardzo niemile i że woleliby byli, by ten młokos przemawiał gdzie w stajni do koni, niż tu do sędziów przysięgłych.

Jeszcze raz wstał prokurator i ironicznym zwrotem zbył wszystkie Władkowe wywody o jakimś urojonym prawie zwyczajowym, a zatem usiadł obstając w zupełności przy swym oskarżeniu. obrońcy milczeli, a więc przewodniczący, zwracając się do przysięgłych, przedstawił im obszernie resume całej rozprawy. W głosie jego od samego początku słychać było niezupełnie przygłuszoną notę niechęci ku obrońcom. Resume czym dalej, tym więcej przemieniało się w oskarżenie. Przewodniczący skrzętnie wyszukiwał i podnosił wszystko, co przemawiało na niekorzyść obwinionych, polemizował z wywodami komornika, z wysoka traktując, a przeważnie ignorując obronę Władkową, jako ćwiczenie stylistyczne wcale do rzeczy nie należące. Im dłużej mówił, tym więcej sam siebie przekonywał o winie podsądnych, tym więcej głos jego nabierał pewności, że przysięgli wyniosą wyrok zasądający. A gdy przy samym końcu tłumaczył i wyjaśniał im ustawy, żądające ukarania podsądnych, głos jego brzmiał surowo i prawie rozkazująco, jak gdyby z naciskiem upominał przysięgłych, że ich obywatelskim obowiązkiem jest na każde z postawionych im 50 pytań odpowiedzieć jednogłośnie „winien.” Przeczytał im więc długą listę tych pytań i puścił na ustęp do bocznej sali. Niestety jednak pan przewodniczący, licząc na efekt swego

<sup>1</sup> To podżegacz.

ostatniego słowa, przeliczył się nieco. Resume jego, chociaż z niezaprzeczoną talentem i wielką dobitnością wypowiedziane, miało jeden wielki błąd — było za długie, gdyż trwało prawie całe dwie godziny. Słuchając jego wywodów, powtarzających w niezupełnie bezstronny sposób to, co wszyscy sami widzieli i słyszeli, przysięgli mieli czas do gruntu przekląć jego prokuratorską gorliwość, tym bardziej, że już dawno minęła pierwsza godzina i wszyscy chcieli jaknajprędzej iść na obiad.

Po wyjściu sędziów przysięgłych fizjognomia sali sądowej od razu się zmieniła. Uleciał panujący w niej dotychczas duch wymuszonej powagi i ceremonialności. Członkowie trybunału powstawali ciężko wzdychając, niby po spełnionej ciężkiej pracy, i gęsiorem udali się do sąsiedniego pokoju na cygarko. Prokurator zbliżył się do Władka i z ironicznym uśmiechem gratulował mu jego pierwszej, świetnej przemowy. To samo czynili i sprawozdawcy dziennikarscy, z których jeden natychmiast poprosił go o dosłowny tekst tak znakomitej mowy dla jego dziennika, i bardzo żałował dowiedziawszy się, że Władek prócz wytycznych punktów nie ma niczego pisanego i że cała mowa była improwizacją.

Obok niego też znaleźli się liczni znajomi prawnicy, którzy go po skończonej rozprawie zaprosili na wspólny obiad, który ustalonym w sądzie zwyczajem oni dają na cześć pierwszego debiutu każdego nowego towarzysza — rozumie się, za jego pieniądze. Lecz najwięcej zdziwiła Władka gratulacja dwóch panów, którzy znajdowali się podczas rozprawy w oddziale dla publiczności — hrabiego Hiacynta i hrabiego Alfonsa, obywatela zbuntowanej wsi.

— Gratuluję, gratuluję! — mówił uśmiechając się hrabia Alfons, ściskając rękę Władkową. — Świetnieś pan bronił tych drabów. Pojmuję, pojmuję, pański obowiązek, rzemiosło! Tak być musiało. Ale wierz mi pan, oni tego nie warci.

— Wiesz pan co? — rzekł rubasznie hrabia Hiacynt. — Gdybym był sędzią przysięgłym — uwolniłbym tych buntowników po pańskiej obronie, ale gdybym był królem, to kazałbym pana powiesić na własną odpowiedzialność.

I hrabia śmiejąc się poklepał Władka po ramieniu. — Dziękuję hrabiemu za komplement! — odrzekł kłaniając się Władek.

Regina siedziała niema i głucha na wszystko, co dokoła niej gadano; wzrok i słuch jej ześrodkowany był tylko w jednym punkcie — około Władka. Jego tryumf zdawał się jej własnym tryumfem. Rada by była podziękować tym wszystkim panom, którzy gratulowali Władkowi. Jakże chętnie była by i sama wmięszczała się w tę gromadkę, jak ciepło była by uściśnęła rękę Władkową! Ale oto on podniósł ku niej oczy — ona mimo woli, mimo wiedzy nawet uśmiechnęła się, i on odpowiedział jej ukłonem. Czowała się szczęśliwa i zamknęła oczy, chcąc utrwalić w pamięci na zawsze tę piękną, szczęśliwą chwilę.

— A, Reginko, gratuluję, gratuluję! — szeptała jej do ucha Milcia. — Zrobiłaś Eroberung! Widzisz, jak ci się Kalinowicz kłania!

— Daj mi spokój! — odrzekła Regina, oblewając się rumieńcem.

— E, co ja widzę! — rzekła niezrażona Milcia. — On i na ciebie zrobił niepoślednie wrażenie! Cóż, daj Boże szczęście. A przyznaj się, może się i on już oświadczył o twą rękę?

— Boże mój, czego ty chcesz ode mnie! — krzyknęła Regina, rozdrażniona tym lekkomyślnem nicowaniem jej najtajniejszych uczuć i myśli.

— Nie bój się, ja nikomu nie powiem! — nalegała Milcia. — No przyznaj się! Ty myślisz, że ja nie wiem, co się między wami dzieje?

— No, co wiesz, co? — podchwyciła Regina i aż podrzuciła się na miejscu.

— Aha, widzisz! Uderz o stół, nożyce się odezwą. Już co wiem, to wiem, ale nikomu nie powiem.

— Nie, powiedz, powiedz! — nalegała Regina. Ich żywe szeptanie nie zwracało na siebie niczyjej uwagi, bo galeria była całkiem pusta, gdyż wszystkie damy powychodziły na korytarz by się ochłodzić, a w sali panował gwar i szum.

— Nie bardzo się tak staw! — odrzekła Milcia, i w jej pięknych, niebieskich oczach błysnęła taka zawiść i nienawiść, o jakiej by nikt z góry nie mógł być posądzić tak nadobną i niewinną istotę. — Nie bardzo się staw! — powtórzyła. — Bo jeżeli tylko chcesz, to wszystko opowiem, ale — mamie!

— Gadaj, gadaj! — odrzekła z pozorną obojętnością Regina. — Ciekawam, co ty możesz o mnie takiego powiedzieć, do czego bym się i sama przyznać wstydziła?

— Czy tak? O święta! O niepokalaną! I do schadzek sam na sam z panem Kalinowiczem w jego kawalerskim pomieszkaniu także się przyznasz? Niby to na lekcję idzie, a ona sobie fajt w lewo! I myśli, że nikt o tym nie wie.

— Rzeczywiście — odpowiedziała Regina z wymuszonym spokojem — nie wiedziałam, żeby kto miał interes i chęć me kroki szpiegować i do tego tak po głupiemu szpiegować!

— Aha, po głupiemu! — odparła Milcia. — A mamie mogę powiedzieć o tym głupstwie?

— Gadaj, gadaj, kiedy cię język świerzbi.

— A pewnie, że mię świerzbi. Tu, serdeczko, nie o mój język idzie, ale o honor naszego domu!

— Co? — krzyknęła na głos, nie posiadając się z oburzenia Regina. — Ty... ty... śmiesz...

Głosu jej nie stało, by dokończyć zdanie, ale Milcia, przerywając ją tryumfującym głosem, szeptała:

— No, nie krzycz tak! Jesteśmy w sali sądowej. Zaczekaj trochę, wrócimy do domu, i tam się rozmówimy przy mamie!

Regina umilkła i odwróciła się od niej. Piekące łzy wstydu, oburzenia i rozpacz zalewały jej oczy, nie pierwsze już łzy, wylane pod gościnnym dachem cioci. Nie dbała o to, co powie ciocia na nędzne odkrycie Milci — czuła się czystą i niewinną. Oburzało ją tylko to, że Milcia śmiała ją podejrywać o jakieś czynności, naruszające honor ich domu, i że ta sama Drelichowa, o której prowadzeniu jeszcze w dzieciństwie słyszała od babki urywane opowiadania, może się narzucić na sędziego jej moralności. Przez łzy, wylewane cicho i ze ściśniętymi ustami i nie przynoszące jej ulgi, spojrzała na Władka. On stał na środku sali i po cichu rozmawiał coś z oskarżonymi, obłany promieniami słońca, w całej okazałości swej sympatycznej męskiej postaci — i dopiero jego widok przyniósł jej pociechę. O, gdyby on wiedział, co ona cierpi w tej chwili, on by ją pocieszył, on by jednym słowem, jednym wejrzeniem rozbił wniwecz te nędzne intrygi, którymi ją tutaj obsnuto pod pozorem gościnności i rodzicielskiej opieki! On by jej nie dał krzywdzić, dopomógł by jej wydobyć się na wolny świat, do nowego szczęśliwszego bytu, którego biedna dziewczyna, prawdę powiedziawszy, i nie zaznała w swym życiu.

Lecz oto gwar w sali ucichł — weszli przysięgli. Galeria znowu się zapełniła. Rozległ się dzwonek przewodniczącego i wszyscy zajęli swe miejsca. Przysięgli usiedli także prócz ich zwierzchnika, otyłego jegomości z szeroką, ogoloną twarzą o wybitnie żydowskim typie. Był to jeden ze znaczniejszych bankierów lwowskich, człowiek wykształcony, znany z liberalnych zasad, który też przy naradach sędziów przysięgłych znacznie wpływał na ich rezultat. Stał on wyprostowany, z półarkuszem papieru w ręku — tym samym półarkuszem, na którym spisane były pytania, przedłożone przysięgłym przez trybunał. Uzbroiwszy lewe oko oprawnym w złoto monoklem zaczął on odczytywać tekst pytań tonem, w którym oczywiście starał się naśladować ton kancelaryjnego gryzpiórka. Dopiero po przeczytaniu pytania odrzucając energicznym ruchem ręki monokl zawieszony na jedwabnym sznurku dodawał całkiem odmiennym, ostrym i donośnym głosem: dziesięciu głosami nie, dwoma głosami tak! wszystkimi głosami — nie, i t. d.

Przewaga niewinniających głosów przy każdym pytaniu była wielka. Przewodniczący trybunału był nieco skonsternowany. Prokurator wstał i wychylił się naprzód, niby gotując się do oporu przeciw takiemu niesłychanemu werdyktowi. Nawet pan komornik jakoś niby się wstydził i opuścił w dół swe oczki, bojąc się spotkać pełen zarzutu wzrok hrabiego Hiacynta.

Lecz nagle zmieniła się scena: przewodniczący trybunału wypogodził czoło, prokurator usiadł, komornik podniósł oczy. Jednego z podsądnych siedmioma głosami przeciw pięciu przysięgli uznali winnym czynnego oporu władzom. Był to niejako kozioł ofiarny, którego też trybunał zaklął po kilkaminutowej naradzie, zasądzając go na pół roku więzienia, a uwalniając wszystkich innych podsądnych. Taki wynik był głównie dziełem zwierzchnika przysięgłych, który ze zwykłą wszystkim finansistom przenikliwością osądził, że uwolnienie wszystkich oskarżonych będzie miało dla nich daleko gorsze następstwa, gdyż prokurator bez wątpienia zgłosi zażalenie nieważności, a trybunał uchwali zatrzymać wszystkich podsądnych aż do decyzji najwyższego trybunału w areszcie śledczym, co pewnie potrwa co najmniej pół roku. Za jego poradą uznali więc przysięgli za rzecz najdopowiedniejszą poświęcić jednego, najwięcej poszlakowanego podsądnego, by uzyskać natychmiastowe uwolnienie innych.

I rzeczywiście ta nadzieja sprawdziła się i prokurator zażalenia nie zgłosił, a przewodniczący nakazał natychmiastowe wypuszczenie na wolność uwięzionych chłopów.

Daremny byłoby chcieć opisać radość podsądnych z powodu tego wyroku. Sciskali się i płakali w sali. Nawet zasądzony uśmiechał się skrót łzy. Nawet publika, która podczas rozprawy nie bardzo z nimi sympatyzowała, rozczuliła się i wyjawiała radość. Nawet hrabia Alfons, który przedtem i spojrzeć na nich nie raczył, teraz zbliżył się ku nim z protekcyjnym uśmiechem, a gdy niektórzy zbliżyli się i ucałowali jego ręce, rzekł im po rusińsku, grożąc palcem:

— No, tym razem macie szczęście!

Władek tymczasem, umówiwszy się ze swymi znajomymi prawnikami co do restauracji, w której miał się odbyć obiad, pobiegł do kerkermajstra, by wyjednać natychmiastowe załatwienie wszelkich formalności i wypuszczenie podsądnych na wolność, zostawiając zarazem dla zasądzonego dziesięć guldenów na jego potrzeby. I rzeczywiście nie minął kwadrans, gdy Regina milczkiem powracając z Milcią do domu, ujrzała Władka, otoczonego całą grupą uwolnionych chłopów i idącego w ich gronie do restauracji na obiad. W tej chwili pierwszego a tak kompletnego tryumfu widok jej był mu oczywiście bardzo przyjemny: uklonił się jej, i wszyscy chłopci, wiedzeni instynktownym przecuciem, uczynili to samo.

Była już siódma godzina po południu, kiedy Władek, zmęczony bogatymi-wrażeniami dzisiejszego dnia, lecz zarazem wesoły i czujący w sobie zdwojone siły do dalszej pracy, powracał do domu. Ugościwszy kolegów i chłopów, on odprowadził tych ostatnich na kolej, dawszy każdemu ukradkiem pieniędzy na drogę, zaszedł do kancelarii swego mecenasa i wypracował jeden ważny i pilny referat, a postyszawszy od kogoś w kancelarii jakieś niedobre wieści o Naczku i jego „Gońcu”, długo chodził po mieście, to do drukarni, to do redakcji, to do dawnego pomieszkania, szukając brata, a nie znalazłszy go nigdzie, wrócił do domu. Jak że się zdziwił, gdy w przedpokoju zastał Reginę, zwróconą twarzą w kąt i gorzko płaczącą.

— Mój Boże! — zawołał Władek. — Pani tutaj! I we łzach! Co się stało? Co z panią?

I podawszy jej rękę, poprowadził bladą, łkającą i na próżno usiłującą odzyskać spokój, do saloniku.



Lecz oto gwar w sali ucichł — weszli przysięgli. Galeria znowu się zapełniła. Rozległ się dzwonek przewodniczącego i wszyscy zajęli swe miejsca. Przysięgli usiedli także prócz ich zwierzchnika, otyłego jegomości z szeroką, ogoloną twarzą o wybitnie żydowskim typie. Był to jeden ze znaczniejszych bankierów lwowskich, człowiek wykształcony, znany z liberalnych zasad, który też przy naradach sędziów przysięgłych znacznie wpływał na ich rezultat. Stał on wyprostowany, z półarkuszem papieru w ręku — tym samym półarkuszem, na którym spisane były pytania, przedłożone przysięgłym przez trybunał. Uzbroiwszy lewe oko oprawnym w złoto monoklem zaczął on odczytywać tekst pytań tonem, w którym oczywiście starał się naśladować ton kancelaryjnego gryzpiórka. Dopiero po przeczytaniu pytania odrzucając energicznym ruchem ręki monokl zawieszony na jedwabnym sznurku dodawał całkiem odmiennym, ostrym i donośnym głosem: dziesięciu głosami nie, dwoma głosami tak! wszystkimi głosami — nie, i t. d.

Przewaga uniewinniających głosów przy każdym pytaniu była wielka. Przewodniczący trybunału był nieco skonsternowany. Prokurator wstał i wychylił się naprzód, niby gotując się do oporu przeciw takiemu niesłychanemu werdyktowi. Nawet pan komornik jakoś niby się wstydził i opuścił w dół swe oczki, bojąc się spotkać pełen zarzutu wzrok hrabiego Hiacynta.

Lecz nagle zmieniła się scena: przewodniczący trybunału wypogodził czoło, prokurator usiadł, komornik podniósł oczy. Jednego z podsądnych siedmioma głosami przeciw pięciu przysięgli uznali winnym czynnego oporu władzom. Był to niejako kozioł ofiarny, którego też trybunał zaknął po kilkaminutowej naradzie, zasądzając go na pół roku więzienia, a uwalniając wszystkich innych podsądnych. Taki wynik był głównie dziełem zwierzchnika przysięgłych, który ze zwykłą wszystkim finansistom przenikliwością osądził, że uwolnienie wszystkich oskarżonych będzie miało dla nich daleko gorsze następstwa, gdyż prokurator bez wątpienia zgłosi zażalenie nieważności, a trybunał uchwali zatrzymać wszystkich podsądnych aż do decyzji najwyższego trybunału w areszcie śledczym, co pewnie potrwa co najmniej pół roku. Za jego poradą uznali więc przysięgli za rzecz najdopowiedniejszą poświęcić jednego, najwięcej poszlakowanego podsądnego, by uzyskać natychmiastowe uwolnienie innych.

I rzeczywiście ta nadzieja sprawdziła się i prokurator zażalenia nie zgłosił, a przewodniczący nakazał natychmiastowe wypuszczenie na wolność uwięzionych chłopów.

Daremny byłoby chcieć opisać radość podsądnych z powodu tego wyroku. Ściskali się i płakali w sali. Nawet zasądzony uśmiechał się skrót łzy. Nawet publika, która podczas rozprawy nie bardzo z nimi sympatyzowała, rozczuliła się i wyjawiała radość. Nawet hrabia Alfons, który przedtem i spojrzeć na nich nie raczył, teraz zbliżył się ku nim z protekcyjnym uśmiechem, a gdy niektórzy zbliżyli się i ucałowali jego ręce, rzekł im po rusińsku, grożąc palcem:

— No, tym razem macie szczęście!

Władek tymczasem, umówiwszy się ze swymi znajomymi prawnikami co do restauracji, w której miał się odbyć obiad, pobiegł do kerkermajstra, by wyjednać natychmiastowe załatwienie wszelkich formalności i wypuszczenie podsądnych na wolność, zostawiając zarazem dla zasądzonego dziesięć guilderów na jego potrzeby. I rzeczywiście nie minął kwadrans, gdy Regina milczkiem powracając z Milcią do domu, ujrzała Władka, otoczonego całą grupą uwolnionych chłopów i idącego w ich gronie do restauracji na obiad. W tej chwili pierwszego a tak kompletnego tryumfu widok jej był mu oczywiście bardzo przyjemny: ukłonił się jej, i wszyscy chłopci, wiedzeni instynktownym przecuciem, uczynili to samo.

Była już siódma godzina po południu, kiedy Władek, zmęczony bogatymi-wrażeniami dzisiejszego dnia, lecz zarazem wesoły i czujący w sobie zdwojone siły do dalszej pracy, powracał do domu. Ugościwszy kolegów i chłopów, on odprowadził tych ostatnich na kolej, dawszy każdemu ukradkiem pieniędzy na drogę, zaszedł do kancelarii swego mecenasa i wypracował jeden ważny i pilny referat, a posłyszawszy od kogoś w kancelarii jakieś niedobre wieści o Naczku i jego „Gońcu”, długo chodził po mieście, to do drukarni, to do redakcji, to do dawnego pomieszkania, szukając brata, a nie znalazłszy go nigdzie, wrócił do domu. Jak że się zdziwił, gdy w przedpokoju zastał Reginę, zwróconą twarzą w kąt i gorzko płaczącą.

— Mój Boże! — zawołał Władek. — Pani tutaj! I we łzach! Co się stało? Co z panią?

I podawszy jej rękę, poprowadził bladą, łkającą i na próżno usiłującą odzyskać spokój, do saloniku.

— Niech pani siadał! Niech się pani uspokoił! — mówił Władek ze szczerą starannością sadowiając ją na krześle. — Mój boże, pani może już od dawna czekała na mnie?

— Tak, panie — odrzekła Regina, z wolna odzyskując spokój. — Czekałam już przeszło godzinę, i ta godzina wydała mi się wiecznością.

— Ale cóż się stało? Czego pani płakała?

Zamiast odpowiedzi Regina znowu zalała się łzami i zakryła twarz chustką.

— Dla boga, panno Regino! Uspokój się pani! — zawołał Władek i wziął ją za rękę, którą mu ona puściła bez sprzeciwienia. — Jeżeli tylko mogę pani co poradzić, to proszę mi powiedzieć. Przecież pani wie — dodał cichszym, z głębi serca pochodzącym głosem — że dla pani wszystko, wszystko gotów jestem uczynić.

Regina odkryła zapłakaną twarz i swymi dużymi, mokrymi oczyma spojrzała na Władka z wyrazem takiej wdzięczności, tak gorącego i głębokiego uczucia, że aż jemu samemu łzy zaczęły się cisnąć do oczu.

— O, dziękuję panu, dziękuję! — rzekła Regina. — Na pana jedyna moja nadzieja. Ale proszę pana, zostaw mię pan na chwileczkę! Niech się uspokoję, myśli ułożę! Boże mój, wszystko to spadło na mię tak niespodzianie, raniło mię tak boleśnie!...

Władek nie mówiać ani słowa odszedł do swego gabinetu, usiadł na krześle, nadaremnie starając się odgadnąć, co mogło sprowadzić do niego Reginę o tak niezwyklej porze i w tak niezwykłym stanie. Wtem wzrok jego zwrócił się na kupkę dzisiejszych listów, od rana jeszcze leżących na stole. Wziął je, porozcinał i zabrał się do czytania. Nagle po przeczytaniu pierwszego listu zerwał się jak oparzony i zaczął szybko chodzić po pokoju. List był od notariusza z Drohobycza.

— Szanowny panie doktorze — pisał notariusz. — Pierwszy raz w mej praktyce zdarza mi się, żeby mię tak oszukano i w pole wywiedziono, jak się to stało obecnie, i to, niestety, prawdopodobnie na szkodę pańskiej klientki, panny Reginy Kisielewskiej. Ów łotr Szneider ręczył za los swym majątkiem, który miał tylko na papierze, i nadto postawił mi jako współrzeczyteli dwóch znanych mi osobieście borysławskich szachrajów, chociaż wcale bogatych. Jako takich znałem ich, lecz nie wiedziałem, że właśnie tego samego dnia, na godzinę przed podpisaniem poręczy-

cielstwa, obaj zgłosili w sądzie upadłość. Siedzą teraz wprawdzie w kryminale, ale panu z tego nie przyjdzie niczego. Sneider zaś z pieniędzmi ulotnił się niewiadomo dokąd. Jest podejrzenie, że uciekł do Ameryki, ale że jeszcze przedwczoraj tu go widziano, więc nie musiał dotychczas daleko zjechać. Ma on brata w górskim miasteczku Lutowiskach, ponoć aptekarzem. Kto wie, czy na razie tam się nie ukrył. Ja ze swej strony uczyniłem, co jest moim obowiązkiem: dałem znać o całej sprawie do sądu, który też niezwłocznie na wszystkie strony rozesał listy gończe i telegramy. Myślę atoli, że mimo to byłoby pożądanym, byś pan sam osobiście udał się do Lutowisk; może się tam panu uda wyśledzić i złapać tego płaszka. Być może, że ma on zamiar przez tamtejsze góry ścieżkami przebrać się do Węgier; byłoby to dla nas fatalnym, gdyż jego wytropienie we Węgrzech byłoby nadzwyczaj trudne, a może nawet niemożliwe. Dlatego radzę przede wszystkim nie tracić czasu. Z uszanowaniem i t.d.

Chwilę pomiarkowawszy nad listem, Władek udał się prosto do Reginy.

— Myślę, że znalazłem powód smutku pani — rzekł. — Zapewne pani dostała wiadomość z Drohobycza?

— Z Drohobycza?

— Tak, od notariusza.

— Chyba pan masz co od niego?

— Tak, jest. Donosi mi fatalną wiadomość: Sneider uciekł z pieniędzmi.

— Czy tak? — rzekła Regina głosem dość obojętnym.

— Więc pani już wiesz o tym?

— Nie, panie.

— Jak to? Chyba nie to było powodem smutku pani?

— Nie, paniel — krótko odrzekła Regina. — Znając od dawna tego Sneidera, spodziewałam się z góry, że on urządzi nam jakąś niespodziankę. Ale dla mnie teraz wszystko jedno.

— Wszystko jedno? Dla pani? Bój się pani Bogal! Przecież to ogromna suma, dwieście tysięcy! Notariusz pisze mi, żebym natychmiast puścił się za nim w pogoń, w góry, do Lutowisk. I myślę, że jest w tym racja.

— I myślisz pan jechać?

— Tak, pani.

— Dobrze! — rzekła uradowana Regina. — Pojedziemy razem!

— Co? Razem? — rzekł zdziwiony Władek.

— Tak, panie, spodziewam się, że pan weźmiesz mię ze sobą.

— Ależ ciocia... Czy ona pozwoli pani jechać w taką podróż?

— Nie mów mi pan o cioci! — z gniewem zawołała Regina. — Ciocia znać mię nie chce! Ciocia mię wypędziła z domu, wyrzuciła na trotuar! O mój Boże, mój Boże! Co ja pocznę nieszczęśliwa!

I biedna dziewczyna znowu załata się łzami. Władek stał przed nią, oniemiały ze zdziwienia.

— Ale cóż takiego zaszło? Z jakiej przyczyny?

— Nie pytaj pan o przyczynę! — odrzekła Regina. — Kiedyś może panu powiem. A teraz chodźmy, jedźmy stąd! Nie chcę widzieć więcej tego nienawistnego Lwowa.

Władek stał zmięszany i zdziwiony, nie wiedząc, co mówić, co począć w tak niezwykłym położeniu. Naraz Regina energicznym ruchem ręki otarła łzy z oczu, wstała i zbliżywszy się do Władka, wzięła go za obie ręce.

— Panie — rzekła — powiedz mi pan prawdę! Jesteś pan uczciwym człowiekiem?

Władek dużymi oczyma wpatrzył się w nią.

— Staram się nim być — odrzekł.

— A kochasz mię pan, choć troszeczkę, choć dziesiątą część tego, jak ja pana kocham?

Zamiast odpowiedzi Władek z całym żarem młodości przycisnął Regine do swej piersi i złożył pierwszy, długi pocałunek na jej ustach.

— Regino! Droga! — wyszeptał i nie mógł dokończyć od nadmiaru wezbranych uczuć.

— A więc nie pomyliłam się, nie zawiodłam się na pana! — wołała ucieszona Regina. — A więc pan nie odmówisz mi swej pomocy?

— Życie moje! Wszystko, wszystko zrobię dla ciebie!

— Dobrze. Dziękuję ci. Masz mię więc całą, jak jestem. Jestem twoją. Od ciebie zależy teraz moje życie lub moja śmierć. Pozwól mi jechać z tobą! Nie odtrącaj mię, bo inaczej jedna tylko pozostaje mi droga — do Pełczyńskiego stawu.

Władek nie dał jej dokończyć tych słów. Gorącym pocałunkiem zatkał jej usta.

— Nie, nie, nie! — szeptał, przyciskając ją ku sobie. — Nie myśl o tym! Zapomnij o wszystkim złym i dręczącym.

Tyś moja, i dopóki ja żyję, nikomu krzywdzić cię nie pozwolę. Chodź, pojedziemy w pogoń za tym oszustem, a co dalej czynić, to już uradzimy po drodze.

I dopóki Regina się zbierała, Władek napisał parę słów do swego szefa, prosząc go o kilkodniowy urlop dla ważnej sprawy, dalej napisał bilecik do Naczka, zawiadamiając go krótko, że wyjeżdża, i zakopertowawszy oba listy, włożył je do kieszeni paltotu.

Regina była już gotową. Władek pozamykał pokoje, odprawił służącego, i podawszy rękę Reginie wyszedł z nią na ulicę. Rzucił listy do skrzynki pocztowej i zawołał fiakra. Właśnie biła ósma; za pół godziny odchodził pociąg do Przemyśla; tam trzeba będzie przeczekać do rana na pociąg idący do Chyrowa i Zadworza, tym pociągiem dojechać do Ustrzyk, a stamtąd furą trzy mile w góry do Lutowsk.

— Na Główny dworzec! — krzyknął Władek do fiakra, gdy oboje usiedli w wygodnej karetki. Fiaker zaciął konie, i z łoskotem potoczył się wehikuł po bruku, uwożąc szczęśliwą parę.

## IX

Ernest, założywszy ręce na grzbiet, szerokimi krokami chodził po komnacie ekspedycyjnej „Gońca”. Od kiedy obrażona przez niego panna ekspedytorka, ze łzami w oczach podziękowała za służbę, sam on objął ekspedycję. Co prawda, za dwa tygodnie swego urzędowania u okienka ekspedycyjnego z każdym dniem miał on mniej roboty. Z każdym dniem mniej odbiorców miejscowych zgłaszało się po numery. Minęły te ranki, kiedy od ósmej godziny u zamkniętych jeszcze drzwi tłumy mieszczan, kucharek i służących oczekiwały, rychło li otworzą się drzwi, rychło li na wózku z drukarni przywiozą pierwszą pakę numerów gazety, którą rozchwytywano wśród krzyków, potraçań, śmiechów i żartów. Od kiedy w kierunku „Gońca” zaszedł zwrot fatalny, popularność jego raptem upadła i rozwiłała się, jak przywidzenie. Z dwóch tysięcy odbiorców codziennych, jakich miał on jeszcze przed miesiącem, pozostało zaledwie pięćset. Osobliwie od tygodnia, kiedy Naczek na naczelnym miejscu zaczął drukować „Myśli retrospektywne”, w których z niesłychaną dotychczas w galicyjskim dzienni-

karstwie goryczą i bezwzględnością, potępiał wszystko to, co niedawno jeszcze stanowiło jego świętości, walił w proch to, co niedawno ubóstwiał. Jeden ogromny krzyk oburzenia rozległ się między publicznością, gdy zaczęły się w ulubionym dotychczas „Gońcu” pojawiać się te artykuły, a czym dalej ciągnęło się pasmo „Myśli” Naczkowych, tem więcej oburzenie przemieniało się w pogardę. Na dziennik, który równocześnie z fatalnym zwrotem w artykułach wstępnych, po przerwaniu piorunującego artykułu o kastowej polityce szlachty, przestał też umieszczać tyle ciekawe i zwykłe z wielkim talentem pisane korespondencje z prowincji, po prostu machnięto ręką. Ciekawa rzecz, że inne dzienniki, które do niedawna ujadaly na „Gońca” za jego skrajny i chłopomański kierunek, teraz jeszcze gwałtowniej uderzyły, niemiłosiernie szydziły z niego za sprzeniewierzenie się własnym zasadom, za wdeptanie w błoto własnego sztandaru. Ludzie, którym niedawno publicznie dowiedziono sprzedawanie swych przekonań za pieniądze, ze szpalt lokajskich pism sypali ogniste protesty przeciw takiemu ponizeniu charakteru dziennikarskiego, przeciw takiej niesłychanej apostazji.

Ernest chodził po komnacie ekspedycyjnej, w której od kilku tygodni był samowładnym panem, i uśmiechał się. Dureń ten Naczek! Jednego dnia kazał go za drzwi wyprowadzić, a parę dni później sam go wyszukał i wprowadził na powrót! Chciał udawać wielkiego Kątona, a pokazał się takim prostym, takim nędznym robakiem, którego on, Ernest, tak łatwo potrafił zdusić!

Przyszło kilku odbiorców za numerami. Jeden z nich, jakiś stary, poważny człowiek, zapłaciwszy 10 centów za numer, stanął u okienka, a przeczytawszy parę ustępów wstępnego artykułu, posiniał cały ze złości, podał numer na kawałeczki i zwracając się do Ernesta, spokojnie spoglądającego na tę manipulację, zapytał groźnie:

— Czy pan jesteś redaktorem tego „Gońca”?

— Nie, panie — odparł Ernest.

— A jest pan redaktor w kancelarii?

— Nie ma, panie.

— A kiedy przyjdzie?

— Nie wiem, panie.

— No, to powiedz mu pan ode mnie, że jest kompletnym osłem, wariatem i oszustem w dodatku, bo każe sobie jeszcze płacić za takie szaleństwa.

— Dobrze, paniel — rzekł z niewzruszonym spokojem Ernest, i jegomość klnąc na głos oddalił się, trzasnąwszy drzwiami.

Takie sceny powtarzały się w ekspedycji niemal co dzień. Takie i tym podobne grzeczności kupami nadchodziły z prowincji czarno na białem. Prenumeratorowie żądali na powrót pieniędzy — i Naczek wysyłał je punktualnie. Korespondenci, niedawni sojusznicy jedni w oburzeniu hańbili zdrając, inni z politowaniem radzili mu, by się kazał odwieść na Kulparków dla obserwacji lekarskiej. Naczek sumiennie czytał to wszystko, załatwiał wszelkie prośby i milczał jak zakłęty.

Była już dziesiąta godzina, a jednak pokój redakcyjny był jeszcze próżny. Od czasu, kiedy się pojawił pierwszy ustęp „Myśli retrospektywnych”, cały dawny personel redakcyjny wystąpił z redakcji „Gońca”, oświadczywszy o tym publicznie w dziennikach. Naczek musiał naprędce zbierać najrozmaitsze zbankrutowane osobistości, rozpitych ekszurnalistów, powykluczanych gimnazjalistów lub też łaknących chleba studentów uniwersyteckich, gotowych dla miłego grosza pracować gdziekolwiek bądź, i z takich sił składać nową redakcję. Nie dziw więc, że taki personel trudno było przyzwyczać do porządnej, regularnej pracy, tym więcej, że trzy czwarte części nakładu pozostawały na składzie i nikt nie miał chęci natężyć się przy takiej bezowocnej pracy.

Lecz oto przyszedł Naczek. Boże, jak on się zmienił za ten krótki czas! Co stało się z tego młodzieńca, niedawno tak pełnego sił, zdrowia i nadziei! Szedł zgarbiony, ze spuszczoną w dół twarzą, jak gdyby się wstydział spojrzeć śmiało na świat boży. Twarz jego, niedawno jeszcze kwitnąca świeżym rumieńcem, była żółta, zmizerniała, policzki pozapadały się, na czole zaległy dwie głębokie bruzdy, a oczy były mętne, bez blasku, bez śladu tego wewnętrznego życia, które niedawno jeszcze biło z nich tak pełną falą.

Pochylony i ponury przeszedł on komnatę ekspedycyjną i pokój redakcyjny, nie rzekłszy ani słowa do Ernesta, nie spojrzawszy ani razu dokoła siebie. Szedł z wolna, równym krokiem jak lunatyk po gzymsie muru, a wszedłszy do swego gabinetu, zatrzymał się, niby zdziwiony, że już nie ma gdzie dalej iść, podniósł z wolna głowę, rozglądął się dokoła i zaczął wreszcie zdejmować palto, które niedbale



rzucił na sofę. Potem jeszcze parę razy tym samym krokiem lunatyka przeszedł się po gabinecie, a wreszcie zasiadł koło biurka, na którym piętrzył się cały stos listów. Machinalnie, nie przyglądając się im bliżej, Naczek otwierał jeden za drugim i czytał, czytał pilnie i wytrwale.

„Zdrajco idei demokratycznej! Najpodlejszy wyrzutku społeczeństwa! Nędzna kreaturo!” — to były epiteta, którymi go teraz obdarzano. Jeden korespondent radził mu po zwinięciu „Gońca” nająć się u jakiego pana za lokaja, inny posyłał mu przekazem pocztowym guldena na sznurek, na którym radził mu jak najprędzej powiesić się, jeszcze inny groził mu szubienicą, i td. Naczek cierpliwie czytał te wszystkie wybuchy podrażnionej namiętności i zawiedzionych nadziei uczciwych, ale ograniczonych ludzi. Błada twarz jego i szczelnie ściśnięte zęby i usta nie wyjawiały ani setnej części tego bólu, który szarpał jego wnętrze, jak rak nieuleczony toczył jego duszę. Lecz wreszcie jeden list, odmienny od innych pod względem tonu i intencji, dopełnił miary.

„Naczkule, bracie drogi,— pisał do niego jeden z jego najszczerzych kolegów i najlepszych korespondentów.— Na Boga świętego, co się z tobą stało? Czytam ostatnie numery twego „Gońca” z wytężeniem całej uwagi i ze współczuciem, jakiego się może nie spodziewasz, i dochodzę do jednego jedyne go wniosku, że musiało cię spotkać jakieś okropne nieszczęście, które jednym rzutem zachwiało wszystkie fundamenty twego życia. Słyszę dokoła i po całym kraju jeden jedyny ryk oburzenia, jedną jedyną burzę złorzeczeń i przekleństw na twą apostazję, i czytając to, co piszesz w „Gońcu”, nie mogę ust otworzyć w twej obronie. A przecież sumienie szepce mi, że tyś więcej nieszczęśliwy, niż nieuczciwy. Że te bluźnierstwa, którymi wszystkich uzbrajasz przeciw sobie, są tylko rozpaczliwym krzykiem twej zbolale j duszy, twego rozdartego serca. Co ci jest bracie mój? Zwierz się mnie, który cię znam od tak długich lat, który w tobie nauczył się cenić i szanować jedną z ozdób człowieczeństwa, człowieka duszą i ciałem oddanego idei dobra i sprawiedliwości. Nie, nie, nie uwierzę za nic w świecie, żeby te cyniczne wyrazy o złudności tej idei były twym przekonaniem, a nie zgrzytem człowieka, czującego, jak serce jego gryzie robak, którego stamtąd nie jest w stanie wydobyć i którego nikomu nie śmie pokazać. Łamię sobie głowę nad domysłami, a wreszcie postanowiłem

przybyć do ciebie i osobiście przekonać się o twym stanie. Jutro wyjeżdżam na parę dni do Lwowa, a więc do widzenia!"

Przeczytawszy ten list, Naczek siedział chwile jak osłupiały, lecz naraz krwawe łzy trysnęły mu z oczu; skłonił głowę na pulpit i zapłakał, zaszlochał jak dziecko.

— Boże mój! Boże mój! Za cożes mię opuścić — wyjęczał nieszczęśliwy. — Dlaczegożes mi nie oszczędził choć jednego bólu, choć jednego możliwego upokorzenia? Wszystko, wszystko — nieprzyjaźń, intrygę, podłe plotki i szlachetne oburzenie, złośliwą radość przeciwników i serdeczne współczucie najlepszych przyjaciół splatasz w ognistą różgę, którą mię smagasz, smagasz do krwi i kości, o Boże! A to ostatnie najbardziej boli, bo w całej okropności przedstawia mi przepaść, w którą samochcąc upadłem, i skarby sympatii ludzkiej, które samochcąc na zawsze utraciłem!

Łkania przerywały mu mowę, a łzy, dawno nie widziane, polały się strumieniem. Długo płakał, nie znajdując ulżenia, lecz wreszcie źródło się wyczerpało i niestrawiony jeszcze zapas młodej energii zaczął znowu brać przewagę nad rozpaczą.

— Na zawsze utraciłem? — zapytał sam siebie podnosząc głowę. — Nie, i tysiąc razy nie! Jeżeli dotychczas o tym wątpił, to właśnie ten list prawdziwego przyjaciela daje mi dowód, że jeszcze nie wszystko stracone. Padłem, to prawda! Upodliłem się — nie przeczę. Lecz uczyniłem to z własnej woli, chociaż wbrew własnemu przekonaniu. Uczyniłem nie dla siebie, ale dla niej, dla tej, którą kocham — niestety, czuję, że zanadto kocham, że kocham nad własną życie, nad własny honor. Ale zbrodnia, popełniona dla miłości, chociaż i nie przestaje być zbrodnią, mimo to jednak daje możność odkupienia i powrotu na dobrą drogę. Och, bylebym tylko osiągnął jej miłość, jej rękę — wszystko, wszystko uczynię, by napowrót odzyskać utracone dobre imię. I odzyskam je, czuję w sobie wielką pewność, z nią razem pracować będę. Ona mi pomoże zdobyć napowrót to, co dla niej obecnie poświęciłem.

I on jeszcze raz — po raz setny, tysięczny może — wspominał każdy szczegół tej okropnej, fatalnej ofiary ze samego siebie na ołtarzu miłości. Po owej pamiętnej rozmowie z Reginą dwa dni chodził jak struty, walcząc sam ze sobą i nie wiedząc co czynić. Widział jasno nici intrygi, którymi słano się go uwikłać, lecz cała dusza jego wzdrygała się przed

łym, co mu stawiano za warunek. Lecz z drugiej strony lzy Reginy wznieciły w jego sercu jeszcze straszniejszy, nieugaszony pożar: czuł, że bez niej żyć nie może i że się nie oprze fatalnym pokusom. Postanowił więc spróbować szczęścia inną drogą.

Przed rokiem, gdy obaj bracia wydobyli w pobliżu Towstego skarb Semka Tumana, podzielili go na dwie równe części i dali sobie słowo — nie używać z tego skarbu ani grosza na swe własne, osobiste potrzeby, ale obrócić go w całości na osiągnięcie dwoma drogami jednego celu — obrony uciesnionego i krzywdzonego roboczego ludu i zdobywanie dla niego czym raz większych praw i czym raz większej oświaty. Administrując tym kapitałem, mieli oni żyć i utrzymywać się jedynie z własnego zarobku, i nie żenić się dopóty, dopóki każdy z nich pracą własnych rąk nie będzie mógł utrzymać żony i rodziny. Prawda, zaraz z początku musieli bracia zrobić wyjątek z tej reguły i użyć znacznej sumy na urządzenie swego pomieszkania, ale urządzenie to było zresztą rzeczą konieczną nawet z punktu widzenia tej sprawy, której chcieli służyć, bo to nadawało im więcej powagi i znaczenia wobec ludzi, z którymi z natury rzeczy przede wszystkim musieli mieć do czynienia.

Teraz atoli Naczek, pod naciskiem sprzecznych a męczących uczuć zdecydował się zupełnie zapomnieć o swym przyrzeczeniu. Napisał on Reginie na drugi dzień list, w którym przedstawiwszy jej swój stosunek majątkowy jeszcze raz prosił o jej rękę, przyrzekając z góry zapisać i wręczyć jej znaczną sumę, która by jej umożliwiła bez starania się o jakąkolwiek bądź posadę zabezpieczyć los brata w taki sposób, jaki by jej wydał się najodpowiedniejszym. Na list ten jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Dęczoney rozmaitymi myślami, niezdolny do pracy, chodził biedny chłopak jak ćma po ulicy, pilnując, kiedy wyjdzie Regina: chciał jeszcze raz ustnie z nią pomówić. Lecz Regina już się nie pokazywała. Poszedł więc do pomieszkania pani Drelichowej — tam go nie przyjęto. Wtedy dopiero zdecydował się wyszukać brata Reginy, wyproszonego za drzwi Ernesta. Po całodziennym szukaniu wynalazł go w jakimś szynku, na pół pijanego.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Ernest na jego widok, wyciągając ku niemu brudną rękę. — Sero venis, sed venis, czy jak to tam nas kiedyś uczyli. A więc przyszedłeś, kochany redaktorze! No, ładnie, ładnie! Siadaj koło mnie, każ dać piwa — wypijemy na nowe przymierze! Ale dalipan, dobry

miałeś wdech, żeś tu przyszedł! Byłem w kłopotcie, czym zaplącąc za to, com wypił. Teraz jestem spokojny. Ty płacisz, prawda?

Naczek z obrzydzeniem spoglądał na tego młodego, lecz już tak nisko upadłego człowieka. Siąść koło niego, pić z nim razem w tym publicznym lokalu wcale podejrzanego rodzaju nie byłby się odważył. Przystąpiwszy więc do niego, rzekł krótko i stanowczo:

— Wstań pan i chodź do mnie! Tam wypijemy i pogadamy.

— A wiesz, dalibóg, masz rację! — krzyknął Ernest i wstawszy z brudnej ławki, obiema rękami uwiesił mu się u szyi. — Warteś, żeby cię ucałować! Ja to zawsze wiedziałem, że my jeszcze będziemy dobrymi przyjaciółmi, chociaż tyś ze mną przedwczoraj bardzo po świńsku postąpił, słowo ci daję!

— No, no, nie rób głupstw! — rzekł Naczek, otrząsając się od objęć Ernesta — Potem o tym wszystkim, a teraz chodźmy!

— Płacić! — zaryczał z całej siły Ernest, tłukąc szklanką o stół, tak że aż ucho jej odleciało. — Na masz! — dodał, podnosząc oderwane ucho. — Widzisz, dobry znak! U szklanki się ucho stłukło, to znaczy, że nasza przyjaźń nigdy się nie rozbije! Ha, ha, ha! A ja o tym z góry byłem przekonany, że do tego przyjdzie, i że ty sam przyjdiesz mię szukać! Ho, ho, bracie! Nie takim ja głupi, jak obdarty, wiem ci ja, gdzie raki zimują!

— Ile ten pan płaci? — zwrócił się Naczek do kelnera.

— Czekaj, bracie, czekaj! — krzyczał Ernest włączając między niego i kelnera. — Niech ja sobie sam przypomnę, com pił, bo ten kelner, to straszny szachraj. On jeden z tych, co to Mojżesza chcieli za złotego cielca zamieniać, czy jak tam o tym w biblii stoi, — słowo honoru ci daję! A więc jak to było? Wypiłem trzy, nie, cztery, nie pięć, tak jest, pięć szklanek piwa, dwie wódki, no, i . . . i co jeszcze? Aha, jadłem coś, dalibóg, żem jadł. Jakiegoś diabła tysegom zjadł — jeszcze go czuję w żołądku, ale co to było — niech mię jasny piorun, że nie wiem.

— Śledź i dwie bułeczki — przypomniał mu usłużny kelner.

— Aha, aha! — krzyknął Ernest. — Zgniły śledź — po czemu u was zgniłe śledzie?

— Żartuj pan zdrow! — rzekł kelner. — U nas wszystko świeże.

— Czy tak? — rzekł zdziwiony Ernest. — To też jam się dziwił, że ten śledź się tak ruszał na talerzu — a on był świeży, jeszcze żywy. No, więc ileż za żywego śledzia?

Cała ta obrzydliwa i głupia scena klinem wbiła się w pamięć Naczkową i zawsze, kiedy próbował zdać sobie sprawę z dziejów swej metamorfozy w ostatnich tygodniach, właśnie ona stawała przed nim żywcem, ze wszystkimi szczegółami, w całej swej przerażającej plastyczności. I nie dziw, bo od tej sceny rozpoczął się stanowczy, nieszczęśliwy zwrot w jego życiu!

Gdy wyszli z szynku, Ernest całym ciężarem swego ciała uwiesił się na Naczkowem ramieniu i zaczął paplać bez przerwy, jak woda pluskająca o koła młyńskie.

— Ty, bracie, nie myśl, że ja taki pijany, dalibóg, nie! To ja tylko naumyślnie wyprawilem taką awanturę w szynku. A wiesz dlaczego? Ażeby ciebie pozłościć i skonfundować! Niech mię piorun trzaśnie, jeżeli ci nie mówię prawdy. Gdym tylko zobaczył twą postną minę — okropnie nie lubię postnych min — zarazem sobie pomyślał: do stu kaduków, trzeba go wyzłościć dobrze! No, ale spodziewam się, że ty się na żartach rozumiesz, a? że się gniewasz? No, powiedz!

Naczek ciągnął pijanego Ernesta co siły za sobą i przyspieszał kroku, klnąc go w duchu, ale nic nie odpowiadał na jego pytanie. A Ernest wciąż paplał, dopóki nie doszli do Naczkowego pomieszkania. Przechodząc obok kamienicy ciotki, Ernest nie mógł się wstrzymać, by nie sypnąć garści przekleństw i nie bardzo estetycznych komplementów na głowę tej ciotki, która go traktuje jak psa, nie daje mu jeść jak sztabakowi.

— A przecież ona sama winna temu, że poszedł na taką drogę, na jakiej teraz jestem! — dodał z nieudanym już gniewem. — Wzięła mię niby na wychowanie, a po roku jej się już sprzykrzyło dawać mię do szkoły. A no, jak by się tu pozbyć lamparta? Prosta rzecz, dać go wojskowej szkole, niech psiej skóry słucha! Ilem się ja napłakał, ilem się naprosił, u nóg jej leżałem, by mię nie odbierała z gimnazjum! Obiecywałem słuchać jej, więdźmy, we wszystkim, uczyć się pilnie! Gdzie tam, nie usłuchała, odtrąciła mię jak szczenię, a teraz załamuje ręce w świętym oburzeniu nad mym zepsuciem! Ech, ty! ...

I Ernest kulakiem pogroził do oświetlonego okna na pierwszym piętrze i dodał jeszcze epitet, którego w druku oddać niepodobna.

Nowe od tego wieczora rozpoczęło się życie w cichym dotychczas pomieszkaniu Naczkowym. Ernest zapełnił te pokoje swym paplaniem, zanieczyscił popiołem z cygar, który zostawiał na stołach, na sofkach i na krzesłach, zabłocił swymi butami, którymi chodził po dywanach i włąził na sofy. By go nie puszczać do szynków, Naczek musiał mu pozwalać zapijać się w pokoju, co więcej, musiał i sam z nim pić do kompanii. Stara Mikołajowa, za kilka dni doprowadzona do rozpaczu tą zmianą, podziękowała za służbę.

Naczek przyjął to obojętnie i postanowił nie przyjmować więcej służącej, ale chodzić na obiad do traktorni. Dawszy Ernestowi zarazem miejsce w ekspedycji „Gońca”, Naczek wkrótce przekonał się, że i tu Ernest wnosi swego niespokojnego, awanturniczego ducha, że i tu sieje za każdym krokiem nieporządek i rozstrój. Panna ekspedytorka uszła po kilku dniach, administrator miał z Ernestem prawdziwe skaramanie boskie i unikał go jak cholery, korektor podczas jakiejś nadto żywej sprzeczki rzucił się na niego z pięściami i natłukł go porządnie — ale robota i porządny bieg machiny redakcyjnej na tym cierpiały. Wszystko to jednak niczym było dla Naczka. Cieszył się na samą myśl że ulżył los Reginy, zdejmując z jej barków taki ciężar i biorąc na siebie wszystkie kłopoty z Ernestem. Lecz to był tylko początek. Ernest parę dni paplał piąte przez dziesiąte o swych wiedeńskich przygodach, o sylfidach, z którymi wodził znajomość, o burdach nocnych lub też o swych wariackich planach na przyszłość, lecz widząc, że Naczka to wszystko mało zajmuje, jednego dnia zaczął paplać z innej beczki.

— A wiesz, Naczku, podobałeś mi się! — rzekł pewnego rana, niby przypomniawszy sobie coś, co już dawno miał na języku. — Chociażes ze mną po świńsku postąpił wówczas, ale z moją nadobną siostrzyczką postąpiłeś bardzo a bardzo szlachetnie. Niech cię diabli wezmą — skąd ty się takiej szlachetności nauczyłeś? Ja nigdy do niej nie byłem zdolny. Wiesz, bracie, co mi się zdaje? Ty musisz tę moją siostrę bardzo kochać, chociaż dotychczas jakoś nic o niej nie wspominasz. No, przyznaj się, przecieżem ja jej brat!

Naczek pobladł przy tych cynicznych słowach, które tak bez ceremonii dotykały się jego świętości, i rzekł po chwilowem milczeniu:

— Wiesz co, Erneście, dajmy temu pokój!  
To była oliwa dolana do ognia.

— Jak to dajmy pokój? — krzyknął Ernest. — Z jakiej racji dajmy pokój? Żebym ja nie mógł uznać i pochwalić twego szlachetnego postępku z moją siostrą? Nie, bracie, na to myśmy kontraktu nie robili! I wiesz, co mi się w twej propozycji najlepiej spodobało? To, że chcesz dać Reginie takie szalone pieniądze w tym celu, by mogła zabezpieczyć swego kochanego braciszka. Nie, powiem ci, że mię ta szlachetność do łez wzruszyła, bo płakać nie umiem, ale uśmiełem się nad nią serdecznie. Tylko wiesz bracie, wszystkiego tego za mało.

— Czego za mało? — zapytał Naczek cały blady i osłupiały na samą myśl, że Regina i tym jego listem mogła podzielić się z ciotką i bratem.

— Tych twoich propozycyji względem pieniędzy. To swoja drogą, rozumie się, ale tego za mało, tego nie dość.

— Czegoż jeszcze trzeba? — wyjąknął Naczek.

— Trzeba, bracie, wypełnić ten warunek, o którym ci siostra pisała.

— Ten warunek? Nie, nigdy!

— No, to mi bardzo żal mojej biednej siostry — rzekł Ernest.

— Siostry? — powtórzył Naczek machinalnie.

— Tak, siostry, Reginy, o którą się waszmość dobijasz, a której wartości waszmość nie znasz i nie podejrzewasz. Przede wszystkim pozwolę sobie waszmości jedno powiedzieć, że siostra moja waszmości kocha — ale jak kocha! Bez pamięci, szalenie! O niczym więcej ani myśleć ani mówić nie chce.

Naczek uśmiechał się niedowierzająco, chociaż głęboko w sercu drgnęły mu te słowa.

— Nie wierzysz? — krzyknął nagle Ernest zmienionym głosem. — Dobrze, to nie wierz! Widać, jak ją kochasz. Widać, żeś nie wart takiej miłości i takiej kobiety, jak moja siostra. Uśmiechasz się ironicznie! Śmieję się, ja przecież wiem, co ty myślisz. Myślisz, jakie ja mam prawo, ja, zepsuty człowiek, oceniać taką kobietę? Wiem to, że nie mnie by ją oceniać, ale na tyle już nie jestem zepsutym, żebym nie miał być dumnym z takiej siostry. O piękności jej nic nie mówię. Co piękność? Dym marny. Ale ja znam jej duszę, znam jej charakter, i mówię ci, bracie, że to złoto, szczerze złoto. Drugiej takiej nie łatwo znajdziesz. Trzeba ci było widzieć ją wtenczas, gdyśmy byli w nędzy, po śmierci ojca — z jaką

wytrwałością, z jakim zaparciem się siebie samej ona znosiła wszystko, urywała sobie od ust, by nie dać nam z mamą poczuć niedostatku! Z jaką niewyczerpaną cierpliwością i energią ona dodawała nam odwagi, i do szkoły chodziła, i poza szkołą pracowała, by powiększyć szczupłe źródki matczyne! Nie, Naczku, nieboże! Taka kobieta kogo pokocha, tego potrafi zrobić szczęśliwym. Miłość takiej kobiety warta i największej ofiary.

Naczek ze zdziwieniem spoglądał na Ernesta, którego twarz, obrzękła i wyniszczona, aż wyszlachetniała i rozjaśniła się, gdy mówił o Reginie. Widać było, że mówił szczerze, i w ogóle Naczek czym dłużej słuchał jego gadanie, tym więcej tonął w powodzi słów i wyobrażeń, tym więcej tracił poczucie, gdzie Ernest mówi prawdę, a gdzie kłamie. A w obecnym razie jego własne uczucia i pragnienia spotykały się na jednej drodze z tym, co mówił Ernest. On gotów był dać połowę swego życia za krztę miłości ku sobie Reginy, a tu nagle dowiadywał się, że Regina go kocha — silniej i goręcej, niż sam on o tym śmiał marzyć.

— Ale jeżeli to prawda, co ty mówisz — rzekł z wolna Naczek — jeżeli ona mię kocha, to dlaczegoż nie usłucha mej prośby, nie odda mi swą rękę?

— Otoż to widzisz, bracie, w tym sęk — rzekł Ernest. — Chętnie by ona to uczyniła, nawet już do kłótni dochodziło między nią a ciotką z tego powodu. Ale nie może.

— Dlaczego nie może?

— Bo to była ostatnia wola naszej biednej mamy, żeby żadna z siostr nie wychodziła za mąż bez woli ciotki — skłamał Ernest.

— I Regina nie może pójść przeciw tej woli?

— Chciałaby pójść, ale widzisz, bracie, ona jeszcze nie pełnoletnia, ciotka jest jej opiekunką, a ciotka pod żadnym warunkiem nie chce zezwolić na jej związek z tobą, dopóki nie zmienisz kierunku swego „Gońca”.

— Ależ to szaleństwo! — krzyknął Naczek. — Jeżeli Regina mię kocha, niech po prostu porzuci ciotkę i wyjdzie za mąż wbrew jej woli i bez jej błogosławieństwa!

— Tego, bracie mój, Regina także uczynić nie może. Ty wiesz, jakie ciocia ma wpływy. A zerwać z nią, znaczyłoby to pobudzić jej gniew przeciw całej naszej rodzinie. A musisz wiedzieć, że mamy jeszcze jedną siostrę, zamężną za drobnym urzędnikiem na prowincji. U nich kilkoro dzieci, więc się starają za pomocą ciotki uzyskać protekcję u hra-



biego Adolfa, by ich przeniesiono do Lwowa na lepszą posiadłość. Gdyby Regina wyszła za ciebie wbrew woli ciotki, to ta z zemsty gotowa zniszczyć naszą biedną siostrę z mężem i dziećmi. Ty, bracie, nie wiesz, co to za kobieta, ta nasza ciocia!

— W takim razie ja lepiej na jakiś czas przestanę wydawać „Gońca” — rzekł Naczek po chwili ciężkiej walki wewnętrznej. — Byleby tylko dostać Reginę, a tam znowu zacząć wydawnictwo na nowo.

— I ja myślałem, bracie, że tak by było najlepiej — rzekł Ernest — ale zdaje się, że i to na nic ci się nie przyda. Nie o „Gońca” tu idzie, ale o twoje własne poglądy. „Za człowieka, który takie ma poglądy, nigdy nie pozwolę wyjść mej siostrzenicy, dopóki on swych poglądów nie zmieni i wyraźnie wszystkich swoich bluźnierstw nie odwoła!” — to są własne słowa ciocci.

— No, to niech ją sobie trzyma! — zawołał Naczek wstając. — Zmienić kierunek gazety, to znaczy podciąć sobie samemu nogi! Coż do diabła, tu jakaś inkwizycja, żebym miał odwoływać to, co całym sercem i sumieniem uważam za słuszne i sprawiedliwe! Nie, nic z tego nie będzie!

— Biedna Regina! Biedna moja siostrzyczka! — mówił niby sam do siebie Ernest. — Czy to pańskie ostatnie słowo? Mam ją o tym zawiadomić?

— Sam ją zawiadomię — rzekł Naczek.

— Nie, panie, tylko tego pan nie rób! — krzyknął Ernest niby przełknięty.

— A to dlaczego?

— Gdybyś pan wiedział, ile przykrości robi jej każdy list od pana otrzymany! Ale to jeszcze nic. Ona teraz już żadnego pańskiego listu nie otrzyma. Ciocia wyraźnie nakazała listonoszom, żeby wszystkie listy były jej do rąk oddawane, a pańskich listów ona pewnie Reginie nie doręczy. Tylko pan niepotrzebnie pogorszysz jej położenie w ciocinym domu.

— Boże mój! — zawołał Naczek chwytając się za głowę. — Więc żadnego, żadnego nie ma dla mnie wyjścia, tylko spódnica, podeptanie własnego sztandaru, lub śmierć?

— No, no, bracie Naczku — rzekł Ernest klepiąc go po ramieniu. — Tylko nie bierz tej rzeczy tak tragicznie. Czy raz to człowiek w gazecie palnie głupstwo? Wielka ci rzecz napisać parę artykułów dwuznacznych lub niewyraźnych i zamknąć na parę miesięcy wrota korespondentom? Można ich

nawet uprzedzić listami, że na taki a taki czas zmieniamy pozornie kierunek pisma, wykonujemy manewr dyplomatyczny, a później powrócimy na dawną drogę?

— Nie, nie, nie! — krzyknął Naczek. — To była by podwójna podłość, to fakszywa, maskowana podłość. Już jak mam robić podłość, to zrobię ją otwarcie, biorąc na siebie za nią całą odpowiedzialność.

— A co do porozumienia z Regimą, to, bracie mój, nie pozostaje ci żaden inny sposób prócz mego pośrednictwa. Wprawdzie ciocia wypowiedziała mi dom, ale zawsze mogę tam choć raz na tydzień bywać u siostry i powiedzieć jej od ciebie, co mi skążesz. Możesz zresztą napisać nawet dla lepszej pewności, bo ja często zapominam, co mi kto nagadał.

Naczek słowo w słowo przypomniał sobie tę rozmowę, która po raz pierwszy podkopała jego silne postanowienie — nie poddać się intrydze i wytrwać na stanowisku. Mimo to jednak zwycięstwo Ernesta nie było jeszcze ani prędkie, ani łatwe. Naczek opierał się krok za krokiem, szturmował Regimą listami, posyłanymi przez Ernesta, na które zwykle otrzymywał tylko ustne i zawsze niepomyślne odpowiedzi. A Ernest tymczasem, zmiarkowawszy, gdzie leżała słaba strona Naczkowa, jak kleszcz wgrzyzał się w nią czymraz głębiej, tłukł zawsze to samo: to wychwalając przymioty Reginy, to malując jej ciężkie położenie w domu i na łasce ciotki, u której jest i swoja córka na wydaniu, którą Regina pod każdym względem przyćmiewa. *To nieustanne gadanie Ernesta dowodziło Naczka czasem do pasji, lecz czasem i do łez* — i zwrot w kierunku „Gońca” dokonywał się nieznacznie, niejako sam przez się. Wykluczono wszystkie drażliwe korespondencje i przemilczano systematycznie o wielu ważnych, lecz dla sfer szlacheckich nieprzyjemnych faktach, nie mówiąc już o przerwaniu wstępnego artykułu Naczkowego, który w swoim czasie tak wielkie robił wrażenie. Lecz Ernest z upartością i monotonością idioty pchał go coraz dalej, niemilosiernie soląc rany jego duszy, dopóki wreszcie Naczek, doprowadzony do rozpacz, nie napisał swych „Myśli retrospektywnych”. Ernest pochwalił je i dał mu słowo honoru, że teraz, po nadrukowaniu tego świetnego artykułu, ciocia pewnie nie będzie mieć nic przeciw jego ożenieniu z Regimą. I Naczek dał artykuł do druku.

Lecz popełniwszy tę wielką zbrodnię przeciw duchowi postępu i sprawiedliwości, Naczek posmutniał i nagle jakos spadł na siłach i na duchu. Stał się apatycznym i w sobie

zamkniętym; nawet Ernestowe opowiadania o Reginie nie mogły już wprawić krwi jego w żywszy ruch. Nie widział Reginy od owego dnia jeszcze, kiedy kazał za drzwi wyprowadzić jej brata. Jakiś czas Ernest mówił mu, że jest niezdrowa, potem, że gdzieś wyjechała na parę dni z ciotką, to znowu była ślota i ona nie wychodziła. Na nieszczęście i brata jego już od trzech tygodni nie było we Lwowie: w sam dzień głośniejszej rozprawy wyjechał, zostawiwszy Naczekowi tylko krótki bilecik, że odjeżdża na parę dni w ważnym interesie i że wkrótce mu napisze obszerniej. Dziwna rzecz— trzy tygodnie minęło, Władek nie wracał i niczego nie pisał. Naczek nie wiedział nawet, gdzie on się obraca; kancelaria adwokata miała od niego wiadomość z Ustrzyk, ale jeszcze przed dwudziestu dniami. Był więc Naczek sam ze swymi uczuciami i myślami, ze swym bólem i upokorzeniem.

Całymi godzinami siadywał nieraz u okna swego pomieszkania, wpatrując się w przeciwległy ślepy mur. Zbrzydła mu praca, zbrzydło drukowane słowo. Myśli nie płynęły jasno i zwięźle jak dawniej, ale rwały i biły się na miejscu, jak czarne ptaki podczas burzy. Czuł się złamanym, i tylko chwilami przebłyskiwała dawna energia. O Reginie rzadko myślał; czasami nawet mu się zdawało, że wszystkie blaski jej piękności, wszystkie zalety jej charakteru opadają z jej postaci, jak listki ze zwiędłej róży, pozostawiając tylko kolce i ciernie.

Jeden tylko Ernest nie porzucił go: był on pełnym gospodarzem w ich wspólnym mieszkaniu. Naczek ulegał mu teraz, jak dziecko, pił z nim wieczorami, nieraz do późnej nocy, słuchał jego paplania i starał się zapomnieć o tych mólach, co go gryzły. Trunek, którego przedtem nie używał i który pod naciskiem Ernesta z początku przyjmował z obrzydzeniem, teraz stał się dla niego niezbędnym środkiem uspokojenia, lekarstwem na bezsenność w nocy i na podniecenie energii życiowej we dnie. A Ernest ze szczerością i starannością godną lepszej sprawy prowadził, prawie ciągnął go za rękę po tej pochyłej drodze.

Takie to myśli zajmowały Naczka, gdy siedział przy swym redakcyjnym biurku, skłoniwszy głowę w dłoń, po przeczytaniu listu przyjaciela z prowincji. Odpisywać mu nie było potrzeby: jutro lub pojutrze sam on tutaj będzie, ale cóż mu Naczek powie? Biedny przyjaciel odejdzie od niego rozzarowany i może nawet oburzony, gdy zobaczy, że Naczek na jego szczerść nie chce odpowiedzieć szczerością. Lepiej by było, gdyby nie przyjeżdżał.

Siedzący w zamyśleniu Naczek nie słyszał nawet, gdy drzwi jego gabinetu po cichu się otworzyły i wszedł Ernest, z tym samym, co i poprzednio wyrazem drwiącego uśmiechu na twarzy. Stał w drzwiach i chwilę jakąś stał, przypatrując się Naczekowi.

— Panie redaktorze — rzekł wreszcie.

— Ha! — odrzekł Naczek, zerwawszy się przełknięty. — To ty, Erneście?

— Ja, panie redaktorze — odrzekł Ernest. — Przychodzę z małą prośbą.

— Z jaką prośbą?

— Trafia mi się tu na Zielonym mała realność, domek z ogrodem, chciałbym je kupić.

— Co, co, co? — krzyknął Naczek, przecierając oczy. — Ty chcesz realność kupować? A to za jakie pieniądze?

— O toż to właśnie — rzekł Ernest wciąż ze swym drwiącym uśmiechem skrobiąc się w głowę — chciałem pana redaktora prosić o małe *à conto*.

— Małe *à conto* — na kupienie realności! A ileż byś ty chciał pieniędzy?

— Ta tak, dziesięć tysięcy.

— Ha, ha, ha! Ekspedytor, który pobiera miesięcznie trzydzieście guldenów, chce dziesięć tysięcy *à conto*! Idź, Erneście, nie dowcipkuj tak, bo mi się nie chce śmiać!

— Ja też nie dowcipkuję — odparł serio Ernest — i nie *à conto* mego ekspedytorstwa żądam tej sumy. Ja mam inne konto na myśli. Niech sobie pan redaktor przypomni, co pan pisał mojej siostrze o zabezpieczeniu mej przyszłości. Więc myślę, że to będzie najlepszy sposób? Ja mam wielki pociąg do gospodarstwa. Kupię realność i będę sobie porządnym lwowskim burgerem, a pan może sobie z Reginą żyć, jak się panu podoba, ja wam pewnie w niczym nie przeszkodzę.

I znowu ironiczny uśmiech przemknął po jego twarzy.

— Czyś ty oszalał, Erneście? — rzekł ponuro Naczek. — Nigdy i nigdzie nie obiecywałem dać jakąkolwiek sumę tobie do rąk, i nigdy tego nie uczynię.

— Co, miało by to być prawdą? — krzyknął obrażony Ernest. — To taka wdzięczność za moje usługi, za moje dobre serce? Dobrze, więc ja ani chwili dłużej nie chcę tu być! Dziękuję panu redaktorowi za służbę!

— Nie pleć, Erneście, głupstw! — rzekł Naczek. — Pewnieś z rana beze mnie wypił więcej, niż było potrzeba, i teraz ci się w głowie przewraca.

— Czy tak myślisz, panie redaktorze? — zawołał Ernest, podchodząc ku niemu bliżej. — Mylisz się, bracie! Nicem nie pił, ale prawdę ci powiem. Sprzykrzyło mi się to głupie życie z tobą i ta komedia, jaką z tobą gram. Bywaj zdrów i miej się dobrze!

Naczek wypatrzył się na Ernesta zdziwionymi oczyma.

— Jakąże ty komedię grasz ze mną? — zapytał.

— E, dużo by o tym gadać, a mało słuchać — odparł Ernest. — Jedno ci tylko mogę powiedzieć, żeś dureń, podwójny dureń, boś się dał takiemu durniowi jak ja w pole wyprowadzić. Bywaj zdrów! A ten list dopowie ci resztę!

To mówiąc, ukłonił się Naczkowi i położył przed nim rozpieczętowany list: na jego kopercie stał adres Naczka, napisany ręką Władkową.

— Jedno ci jeszcze powiem, braciszku — rzekł Ernest, zatrzymując się we drzwiach. — Twój list do Reginy, ten, w którymś jej obiecał pieniądze, przejęła ciocia. Regina go nie widziała i z twoją głupią zmianą kierunku nie ma nic wspólnego. To moje i cioci dzieło, za to, żeś mię kazał za drzwi wyrzucić. Tyle miałem powiedzieć dla sprostowania faktów. Żegnam pana redaktora!

I Ernest gwizdząc wesoła arię jakiejś szynkowej piosenki i włożywszy ręce do kieszeń wyszedł z redakcji „Gońca”. Naczek zaś długo stał na miejscu jak ośupiwały, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, ani wyjaśnić sobie całej doniosłości ostatnich słów Ernesta. Wreszcie splunął i rzekł:

— Pijana bestia i nic więcej!

Lecz w tej chwili wpadł mu w oczy list Władka. Spojrzał na datę — list był pisany z Lutowisk, przed dwoma jeszcze tygodniami. Oczywiście przyniesiono go do pomieszczenia w jego niebytności, a Ernest otworzył go, przeczytał i zatrzymał u siebie. Ale po co zatrzymywał? I dlaczego właśnie teraz przypomniał go sobie i oddał Naczkowi? I jaki ma związek ten list z komedią, którą niby to grał z nim Ernest? Wszystkie te pytania zaroily się w głowie Naczka, gdy wyjmował list z zaszarganej koperty. List był krótki.

„Kochany bracie! — pisał mu Wladek. — Z tobą pierwszym i jedynym dzieję się mym szczęściem. Dziś właśnie, w tym dalekim górskim ustroniu stanąłem na ślubnym kobiercu, przysięgłem dozgonną miłość i wierność kobiecie, którą nad życie kocham i która też godna jest miłości i

szacunku — pannie Reginie Kisielewskiej. Znając cię jak dobrego i szczerego brata, myślę, że nie odmówisz mi swego braterskiego pozdrowienia, a mej ukochanej żonie szacunku i braterskiej miłości. Zabawimy tu jeszcze z tydzień w pobliskiej wiosce Stuposian, a potem powrócimy do Lwowa, w twoje objęcia. Wówczas dowiesz się też, co nas oboje tak nagle i niespodzianie zbliżyło i do Lutowisk zaprowadziło.

P. S. Przed moim odjazdem słyszałem jakieś gadanie, że z twym „Gońcem” coś niedobrze idzie. Szukałem cię, ale nie mogłem nigdzie znaleźć, więc też i nie wiem dotychczas, co się tam z tobą dzieje. Tutaj gazet żadnych nie czytam — zanadto jestem szczęśliwy. Może to i grzech, ale spodziewam się, że mi pan Bóg odpuści. Napisz mi więc, co tam u ciebie słychać. Moja Reginka każe cię serdecznie pozdrowić. Ściskam i całuję cię z całego serca. Twój brat Władek”.

— Boże! — krzyknął Naczek po przeczytaniu tego listu i upadł omdlały na sofę.

Gdy go ocuciono, był błąd jak trup. Chwiały się, na nogach, na zadawane pytania odpowiadał mechanicznie „tak” lub „nie”, bez żadnego zrozumienia zadanego pytania. Był jak ten gołąb, któremu wycięto połowę mózgu: żyje jeszcze, ale ma wszystkie główne nerwy sparaliżowane. Cały personal redakcyjny stał dokoło niego w przestrachu i zdumieniu, lecz on po długim namyśle machnął ręką, prosząc ich by szli do roboty. Potem znowu posiedziawszy nieruchomo z kwadrans, wziął pióro i napisał na ćwiartce papieru adres Władka, a pod nim słowa: „Przyjeżdżaj jak najprędzej, jestem bardzo chory”. Zadzwoił i dał jednemu z członków redakcji tę ćwiartkę, prosząc go by zaniósł ją na telegraf. I znowu popadł w odrętwienie, w którym o niczym nie myślał, niczego nie czuł. Jakaś ogromna, czarna cisza zaległa w jego wnętrzu; siedząc tak nieruchomo czuł, że z wolna, lekko tonie gdzieś w nieskończoną, ciemną i cichą głębię, z której nie ma już wyjścia ni powrotu. Bole, obawy, trwogi, nadzieje i rozczarowania, które przed godziną jeszcze szarpały jego wnętrze, teraz migwały tylko, jak odblaski jakichś dalekich krwawych gwiazdek na dalekim, dalekim firmamencie. Co jemu do nich? Co im do niego?..

— Proszę pana redaktora, będzie jaki skrypt od pana redaktora do jutrzejszego numeru? — zapytał jeden ze współpracowników, otwierając drzwi.

— Nie — odrzekł nieprzytomnie Naczek, lecz wtem niby ocknął się ze snu i zapytał:

— A jest chłopiec z drukarni?

— Jest, panie redaktorze.

— Dobrze, niech zaczeka chwilkę, zaraz będzie skrypt.

I z oczyma nieruchomo utkwionymi w jeden punkt począł dumać, dumać, a wreszcie z wolna, dużymi literami napisał na ćwiartce papieru te słowa: „Wszystkim tym, którzy w świętym gniewie i oburzeniu od miesiąca łaskawi byli pluć nam w oczy i obrzucać nas błotem, oświadczamy, że mieli zupełną słuszość i że postąpienie nasze w istocie było bezcelowym, głupim i podłym. Zawieszając więc skompromitowane przez nas samowolnie wydawnictwo „Gońca” to tylko jedno wyznajemy dla spełnienia obowiązku sumienia i prosimy naszych przyjaciół o przebaczenie. Niech nasz odstrasżający przykład będzie dla innych nauką wytrwałości, stałości w raz powziętym zbawiennym kierunku”.

Skrypt ten, jedyny w swoim rodzaju, wpadł jak bomba do biura redakcyjnego, siejąc popłoch i trwogę. Współpracownicy siedzieli z wydłużonymi twarzami i spoglądali po sobie, jak gdyby im kto wszystkim naraz dał w twarz. Wtem otworzyły się drzwi gabinetu, i z wolna, chwiejnym krokiem, z głową na dół pochyloną, wszedł Naczek, a oparłszy się obiema rękoma o stół i nie podnosząc oczy, rzekł głuchym, rozbitym głosem:

— Dziękuję panom za dotychczasową pomoc! Proszę panów, niech każdy napisze sobie rachunek aż do końca miesiąca — pan administrator wypłaci. Panie administratorze!

Administrator wyszedł ze swej klatki, gdzie siedział pochylony nad książkami rachunkowymi, obok dużej ogni-otrwałej kasy.

— Czego pan redaktor sobie życzy?

— Dziś, panie, kończymy naszą robotę. Powypłacaj pan tym panom do końca miesiąca! Zrób pan także swój rachunek do końca kwartału i wypłać pan sobie. Wszystkim służącym tak samo. Wpisz pan to do ksiąg, a potem złóż pan książki do kasy, zamknij ją i oddasz mi klucz!

Wszystko to wypowiedziane było powoli, chociaż słabym, ale równym i stanowczym głosem, nie dopuszczającym żadnej dyskusji, żadnego sprzeciwienia. Równo z uderzeniem dwunastej godziny wszystkie rozkazy były spełnione, personal redakcyjny, pożegnawszy Naczka wyszedł, oddalił się

też administrator, rozeszła się i służba. Naczek pozostał sam. Nie myślał, co robi i co z nim dalej będzie. Był automatem, który żyje tylko terażniejszością. Przeszłość zapadła za nim w bezdeń, spaloną została piorunem, znikła bez śladu; przyszłości nie było żadnej. Wstał z krzesła, na którym siedział, i z pewną satysfakcją rozglądnął się dokoła. Tu pióro jednego ze współpracowników tak i pozostało wetknięte w kałamarzu, wyjął je, otarł o bibułę i położył na należnym miejscu. Tam jedno okno pozostało otwarte: przystawił sobie krzesło, wylazł na framugę, zamknął okno i pozaszczerpnął należycie wszystkie haczki i rygliki. Tak! Teraz wszystko w porządku. Wrócił do swego gabinetu i wdział palto. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi gabinetu i włożył klucz do kieszeni; dalej zamknął drzwi biura redakcyjnego i również włożył klucz do kieszeni; wreszcie tak samo zamknął wychodzące na ulicę podwójne drzwi od ekspedycji i oba klucze włożył do kieszeni. Po czym spokojny podążył do domu.

Ożywiony ruch, który panował o tej porze na ulicach lwowskich, dziwił i przerażał go, jak coś nigdy nie widzianego i zagadkowego. Dokąd dążą ci ludzie? Nad czym myślą? O czym rozmawiają? Zaczął zaglądać w twarze przechodniom, niby chciał w nich wyczytać odpowiedź na jakieś bardzo zawile, trudne pytanie. Oto chłopcy rojem wysypali ze szkoły — krzyczą, skaczą, biegną, potrącają się, śmiech ich rozlega się daleko. Co to wszystko znaczy? — pytał sam siebie Naczek. Do czego to wszystko? Jaki to ma związek z moim obecnym stanem? Kwestia tego czy jakiegoś innego tajemniczego i niezbadanego związku zaczęła jak uparta mucha kręcić się i brzęczeć w jego mózgu. Co ja winienem tej kwiecieńce, że podnosi do mnie swe gasnące oczy, swą zwiędłą, wygłodniałą twarz z takim krwawym, śmiertelnym zarzutem? A ta panienska, co tak szybko idzie naprzeciw mnie, uśmiechając się i wywijając ognem jedwabnej sukni — przecież to rzecz oczywista, że ona chce mi pokazać swe lekceważenie, swą pogardę. Ale za co, za co? Co ja jej złego uczyniłem? Czy może ja już rzeczywiście taki napiętnowany zbrodniarz, że każdy od razu musi poznać, jakie grzechy ciążyą na mej duszy? No, ale w takim razie niech mi to powiedzą jasno, wyraźnie — gotów jestem znieść karę, nawet najsroższą. Sam ją na siebie nałożę i zniosę cierpliwie. Tylko niech mię nie męczą swym milczeniem, swą pogardą, swą ironią!



Martwa cisza, która niedawno jeszcze panowała w duszy Naczkowej, przechodziła w okropną, niszczącą burzę. Szedł po ulicy z takim uczuciem, jak gdyby stał pod pręgierzem, a wszystkie oczy były zwrócone na niego, ze wszystkich ust w najbliższej chwili miały się na niego posypać złorzeczenia i przekleństwa. Chciał uciekać spośród tego okrutnego tłumu, ale osłabienie ciała niby przykuwało go do miejsca, hamowało jego kroki. „Boże! — wołał z głębi duszy — skróć tę drogę krzyżową lub odbierz mi czucie bólu, bym nie cierpiał nad miarę możliwości ludzkiej!” Ale czucie jego nie tylko nie tępiało od bólu, lecz przeciwnie, co chwila stawało się delikatniejszym, wrażliwszym. Kurz uliczny, podjęty tumanem przez przejeżdżającego fiakra, bił go w twarz jak grad kamieni. Jakiś przechodzień potrącił go łokciem, i Naczkowi zdało się, że jakiś wenecjański brawo wbił mu w bok ostrze sztyletu. Własna odzież ciążyła mu na ciele, jak cetnarowe sztaby, a balsamiczne powietrze wiosenne sprawiało mu duszność i wyciskało chłodny pot z jego czoła.

Przyszedł wreszcie do domu i odprawiwszy co prędzej służbę, zamknął drzwi z wewnątrz, a następnie zaczął skwapliwie, z całym wysiłkiem zrzucać z siebie wierzchnie ubranie, jak gdyby oddzierał od ciała palącą koszulę Dejaniry. Zostawszy tylko w spodniach i kamizelce, odetchnął nieco swobodniej i zaczął chodzić po pokojach. Znowu ta przekłeta zagadka zabrzęczała mu w głowie. Co to jest, co jak gwóźdź wbity w ciemność wlało mu do mózgu i wycisnia stamtąd cały świat wrażeń, wspomnień i myśli? Jaki jest związek między światem, „Gońcem”, jego bratem, Reginą a tym gwóździem? Wyteża wszystkie siły, by sobie wyjaśnić to pytanie, ale w miarę napięcia wszystko jeszcze gorzej się płące, myśl się rwie, a w mózgu odzywa się jakiś okropny, nieznośny ból.

— Aha! — zawołał wreszcie Naczek i spieszenie podbiegłszy, jak gdyby chciał kogo uprzedzić, usiadł na krześle przed pisemnym stolikiem. Z jego szuflady wydobyl liścik — jedyny pisany do niego liścik Reginy. Długo wpatrywał się w każdą jego literę i czuł, że na widok tych liter — w słowa je nie składał, słów ani ich związku nie rozumiał wcale! — na widok samych liter, ich delikatnych linii i pełnych gracji zgięć jakiś spokój słodki przejmując jego duszę, jakieś łaskotanie, jakaś cicha a łagodna melodia kołysze go do snu w miękkim łożu. Podniósł do ust ten

kawałek papieru, zapisany lubą rączką, i w tej chwili, gdy go się dotykał ustami, gorące łyży polały się z jego oczu i zmoczyły list, popsuły cichą harmonię liter.

— Tobie ostatni pocałunek, tobie ostatnie łyży mojej — rzekł Naczek, i położywszy mokry list przed siebie, wydobyl z drugiej szufladki arkusz papieru i kopertę, napisał na kopercie imię Władka bez żadnego bliższego oznaczenia adresu, a potem zabrał się pisać list do niego.

„Drogi mój bracie. Odchodzę do matki. Żadnych pytań! Żadnych żalów! Żadnych zarzutów! Inaczej nie mogę. Przypominam sobie w tej chwili ostatnie słowa matczyne: „Bóg wam zawsze szczęście będzie, dopóki się razem trzymać będziecie”. W tych słowach mieści się dla mnie przekleństwo. Bo nie tylko rozszedłem się z tobą, ale nawet ze sobą samym, ze swą duszą, ze swym przekonaniem. Jak się to stało — nie pytaj! Niech ta okropna historia idzie ze mną w mogiłę. Ty możesz jasno i światło spoglądać na świat, boś nie zboczył ze swej prostej i jasnej drogi. Idź więc nią i dalej! Bądź szczęśliwy, bracie drogi, razem z tą, którą ...e, nie, późno już! Niech ją Bóg błogosławi! Czy przypominasz sobie, Władku, jakieśmy malcami jeszcze czytali razem „Lillę Wenedę” Słowackiego i jakieśmy się przy końcu obaj rozplakali? Pamiętasz, jakieśmy się posprzeczczeni, kto z nas jest Lelum, a kto Polelum, i jakieśmy uradzili ciągnąć losy, i mój los padł na Lelum? Możeś to wszystko zapomniał, bo to przecież takie drobnostki. Ale ja w tej chwili mógłbym narysować z pamięci tę scenę, a w duszy mej ciągle brzmi wiersz:

Gdy Lelum umrze, żyć będzie Polelum.

To, bracie, i o nas tak snadź wróżka mówiła, i nam los taki z góry napisany. Żyj więc, mój bracie, mój drogi Polelum! To, co się po mnie zostaje, jest twoje i jej... twojej...»

Ręka mu zdrząła — nie mógł dokończyć zdania. Wstał i znowu zaczął chodzić po pokoju, nad słuchując, czy kto do drzwi nie stuka, czy nie słychać czyich kroków. Głucho, cicho! Po długim namyśle Naczek otworzył okno i wyjrzał nim aż na dół, na podwórze. I tam było pusto. Zamknął okno, pospuszczał firanki od galerii, i zamykając za sobą jedne za drugimi drzwi od kuchni, od saloniku, pozostał wreszcie w swym gabinecie, trzema zamkami oddzielony od reszty świata. Usiadł na krześle i głowę na dłonie pochylł. Ocknął się i nadstawił uszu. Czy ktoś stuka do zamkniętych

drzwi kuchennych? Zadrzał cały, zerwał się, przyłożył ucho do zamkniętych drzwi gabinetu — nie, cicho i głucho, nikt nie stukał

Teraz uspokoił się ostatecznie, a wzrok jego zwrócił się w jeden punkt, w jeden kąt gabinetu, gdzie stało jedno łóżko. Nad łóżkiem na ścianie wisiał maleńki sześciostrzałowy rewolwer, i na tym przedmiocie skoncentrowała się teraz uwaga Naczkowa. Wzrok jego rozjaśnił się, z twarzy ustąpił ten trwożliwy, tępy wyraz, niby u człowieka, który coś nadzwyczaj ważnego zapomniał i przypomnieć sobie nie może. Z wolna, spokojnie zbliżył się do łóżka, pewną ręką zdjął z gwoźdźca rewolwer, a usiadłszy następnie na krześle przed stolikiem pisemnym naprzeciw okna, spokojnie opatrzył zamek broni, powkładał nowe patrony i następnie przyłożył lufę do skroni i lekko pociągnął cyngiel.

## X

Był cudny dzień wiosenny. Niebo śmiało się swym czystym, głębokim błękitem; powietrze było ciepłe i ciche. Wysokie góry Karpackie miały jeszcze białe zimowe kołpaki na łysinach, ale niżej, w borach, i jeszcze niżej, po dolinach zaczynało już budzić się nowe życie wiosniane. San dawno już połamał i poniósł do morza krę zimową; wody jego były jeszcze obfite i mętne w dzień od topniejącego po debrach i zworach śniegu, ale oczyszczały się w nocy, kiedy śnieg przy obniżonej temperaturze tając przestawał. Wywijając potężnego węża, toczył San swe bystre wody przez małą, ubogą górską wioszczynę Stuposian, ukrytą kompletnie wśród stromych gór i borów, odbitą od wszelkiego ludniejszego traktu lub gościńca, iście pustelniczą osadę.

Późna wiosna w górach. Prawdę powiedziawszy, to, co na dołach jest porą fiołków i konwali, jest w górach porą błota i przymrozków. To też i Stuposian dniem tonął w błocie, a nocą trząsał się od mrozu w swych nędznych, źle okrytych chałupach, pod owczymi kozuchami. O rozpoczynaniu jakichkolwiek robót wiosennych przed połową maja nie było ani mowy. Wymłóciwszy swe mizerne „zboże”, pod którym w tych stronach rozumie się wyłącznie owies, wyprządziwszy wełnę i lniane przedziwo, lud stuposiański teraz nie miał właściwie co robić: mężczyźni i kobiety jak na pół senne włóczyły się po wsi, tu to tam zachodząc do chat na całogodzinne pogadanki. Starsze chłopaki wyruszali z owcami

na pole w pobliżu domów, dziatwa, bosa i prawie naga, brodząc po kostki w zimnym błocie, spieszyła nad rzekę, gdzie rozsiadłszy się na suchych, gładkich i ciepłych płytach, grzała się na słońcu i zabawiała się łowieniem drobnych rybek na haczki, w domu zrobione z prostego drutu i zaostrzone za pomocą pocierania o miękki kamień-piaskowiec.

W ogóle rzeka stanowi główny punkt, przyciągający ku sobie wszystkich mieszkańców wioski, główną jej i wiecznie bijącą arterię. Koło niej całymi dniami przesiadują wiejskie kobiety, piorąc na gładkich płytach swą grubą bieliznę, w niej gospodarze w najcieplejszą porę dnia, wlaższy po kolana w zimną wodę, myją swe woły i owieczki, by je oświeżyć po całozimowej stojance w nieczystych i ciasnych chlewach. Koło niej krążą rybacy z wędkami i „użmykami”, do niej też parę razy co dnia biegnie wszystkie bydło wiejskie, by gasić swe pragnienie. I dla miłośnika przyrody głównie nad nią gromadzą się piękności stuposiańskiej okolicy.

O jakie ćwierć mili od wioski góry z dwóch stron nasuwają się ku samej rzece, ścieśniając jej łozysko i utrudniając jej bieg poprzecznymi ławami kamiennymi. Stare bory świerkowe pokrywają te góry i nawisają nad same koryto Sanu, pozostawiając tylko wąziutki pas murawy nad samą wodą. Jest to bez wątpienia najpiękniejsze miejsce w całej okolicy. San ścięsniony kamiennymi bryłami olbrzymich rozmiarów, wysterczającymi po obu stronach z brzegów, z rykiem i szumem rzuca się na kamienne ławy, szarpiąc i gryząc je setkami lat, wyrывая w nich ogromne szczyrby i z wyrwanych potężnych płyt nowe sobie tworząc zapory. Między tymi ławami, skałami i płytami kręci się woda i pieni, pryska i pędzi w rozmaitych kierunkach. A ponieważ ławy sterczą ukośnie, więc uderzająca o nie woda powypłukiwała między nimi wszystek żwir i piasek, powygryzała nawet miększe części piaskowca, tworząc nieskończone, w głąb sięgające szpary, załomy i jamy — pożądane schroniska dla mnóstwa pstrągów i kleni, które nigdzie nie cieszą się takim bezpieczeństwem, nigdzie do tak kolosalnych nie dorastają rozmiarów.

Poniżej tego ogłuszającego szumu i klekotu wzburzonych fal, gdzie można przejść przez rzekę suchą nogą, stąpając lub skacząc z jednego wysterczającego kamienia na drugi, lecz gdzie ustać się we wodzie bodaj po kolana głębokiej dla niewprawnego jest rzeczą niepodobną bez skaleczenia nóg o ostre kamienie, — rzeka się uspokaja i tworzy jeden ogromny

i głęboki wir. Zwolna opisuje tam spieniona jeszcze fala szerokie kręgi, dopóki się zupełnie nie uciszy. Głębokość wody wynosi tu do dwóch sążni, co na górską rzekę o tak kamienistym dnie, jak San, jest już dużo. Dno wiru zawalone ogromnymi płytami i złomami skał jako też kłodami drzewa, które powódź powbiła z ogromną siłą w skalne rozpadliny. Najrybniejsze to miejsce na całą okolicę: moc kleni, węgorzy i pstrągów, cel wycieczek licznych rybaków i dyletantów.

W tym to miejscu, na wąskim kamienistym wybrzeżu nad wirum spotykamy naszych znajomych — Władka i Reginę. Przypadek rzucił ich w to romantyczne ustronie, górską przyrodę przynęciła ich, wstrzymała w przelocie. Stuposiańska kotlina, u góry biała od śniegu, pośrodku okolona czarno-zieloną wstęgą odwiecznych borów, a na dnie przenużana srebrną wstęgą Sanu — stała się dla nich prawdziwym gniazdem miłości. Dzień za dniem upływał im tutaj szybko, niespostrzeżenie, w ciągłym ruchu, a tak cicho, że nieraz zdawało im się obojgu, iż są zaczarowani, zaklęci w tę dolinę, że każdy dzień tutaj przeżyty — to stulecie, i że tam w dali, za tymi górami, wszystko już się dawno zmieniło i o nich wszyscy dawno zapomnieli. Czuli się szczęśliwymi — i to im wystarczało, nie pragnęli niczego więcej. Sami sobie wystarczali — reszty dopełniała wspinała górską przyrodę.

W pogoni za oszustem Szneiderem przyjechali do Lutowsk najętą w Ustrzykach furą. Zatrzymali się w zajezdnym domu, nie wiedząc, co dalej robić i dokąd się zwrócić. Władek przypomniał sobie, że miał jakiegoś dawnego znajomego w tutejszym sądzie i już chciał rozpytać o niego szynkarza, gdy wtem drzwi szynkowni się otworzyły i wszedł siwy jak gołąb staruszek, w baranich futrze i baranij czapce, z długą brodą i długimi włosami. Władek w pierwszej chwili poznał jegomości.

— Czy nie pan Stuposiański? — rzekł przystępując do niego z ukłonem.

Staruszek z wolna zrzucił ze siebie ciężkie futro na podłogę, dając znak szynkarzowi, by je podniósł, a następnie wzięwszy Władka za guzik od surduta, obrócił go twarzą do światła i długo wpatrywał się w niego. Wreszcie rzekł:

— Tak jest, łaskawco, jestem Stuposiański. Ale kto ty jesteś, nie mogę odgadnąć. Zdaje się, że cię gdzieś widziałem, ale gdzie i kiedy — nie mogę już wspomnieć.

— I nie dziw, łaskawy panie — odrzekł Władek. — Lat już temu będzie ze dwanaście, kiedy byłem domowym instruktorem pańskiego syna i miałem honor widywać się też z panem dobrodziejem we Lwowie.

Na wzmiankę o synie dolna warga staruszka zaczęła trząść się i kurczyć jak u dzieci, którym się zbiera na płacz. Ten syn, jedyna jego nadzieja, jedyna osłoda jego starych lat, umarł wkrótce po złożeniu egzaminu maturalnego.

— Czekaj, czekaj — rzekł staruszek — jak to się nazywał instruktor mego syna? Słabą mam pamięć, łaskawco, ale wszystko, co dotyczy mego biednego syna, pamiętam dokładnie. Zdaje się, że Kalinowicz, Władek Kalinowicz.

— Tak, panie — rzekł Władek — a oto moja żona, — dodał przedstawiając Reginę, której cała twarz żywym oblała się rumieńcem.

— Żona? — powtórzył Stuposiański z osobliwym przy-ciskiem i podał Reginie zgrzybiałą, trzęsącą się rękę. — Witajcie państwo w naszych górach! Ale dokąd ze pan Bóg prowadzi? Tylko przepraszam, możebyśmy lepiej poszli gdzie do osobnego pokoiku? Panie Abramku! — rzekł zwracając się do żyda. — Tam i pogawędzić lepiej, i gardło trochę odwilżyć nie zawadzi.

Abramko usłużny już niósł futro i czapkę Stuposiańskiego, i prosił państwo iść za nim; jego syn niósł piwo, zakąskę i cygara.

— Nie wyjeżdżaj od razu ze Szneiderem! — szepnęła mu Regina, gdy wychodzili z pokoju. — Trzeba ostrożnie.

Władek zamiast odpowiedzi tylko rękę jej uściśnął, wyrażając tym swe uznanie dla jej dyplomatycznych zdolności.

— Mam tu w okolicy niektóre interesa — rzekł Władek, gdy w osobnym pokoiku pozasiadali i pozapalali cygara — a przy tej okazji chcieliśmy oboje znaleźć gdzie w górach ciche, ustronne miejsce i przebyć parę tygodni na świeżym powietrzu.

— Aha, miodowy miesiąc, miodowy miesiąc! — rzekł uśmiechając się Stuposiański. — No, cóż, to bardzo ładnie, chociaż na właściwe przyjemności górskie jeszcze za wcześnie.

— Cóż robić, panie łaskawy — odrzekł Władek. — Jestem w służbie, w kancelarii adwokackiej. Urlopu tam nie zawsze dostać można, a kiedy się dostanie, to trzeba brać nie prze-bierając.

— Racja, racja — rzekł staruszek. — Tylko nie wiem, gdzie tu państwo będziecie mogli wynaleść takie miejsce.

Odludne u nas strony. Zaprosiłbym was do siebie, nawet by mi samotnemu dziadowi bardzo było przyjemnie. Wioska moja choć bliska Lutowisk, ale w takim leży ustroniu, jak u Boga w kieszeni. Lasów mam całe morze dokoła, z grubym i drobnym zwierzem. Sam wije się po pod sam dom, ryb mnóstwo. No i pod względem jadła, napoju i tam dalej takżebym państwu krzywdy nie zrobił. Żal tylko, że już mam jednego gościa.

— To szkoda! — z prawdziwym żalem zawołał Władek, któremu od razu uśmiechnęła się perspektywa przeżycia kilku tygodni z Reginą w takim cudownem ustroniu.

— A cóż to za gość? — zapytała Regina. — Może i my się obok niego zmieścimy?

— Albo ja wiem! — rzekł staruszek. — Przywiózł mi go przed trzema dniami tutejszy aptekarz i prosił go przetrzymać parę tygodni. Mruk jakiś, ni z nim mowy ni rozmowy, i nawet mi się wydał jakimś podejrzanym człowiekiem. Nie wiem, kto on i skąd — przedstawił mi się jako przemysłowiec Schneider.

— Schneider! — radośnie krzyknęła Regina. — Toż to nasz dobry znajomy! Z tym my się pogodzimy!

— Tak? — ze zdziwieniem i nieco niby rozczarowany rzekł Stuposiański. — Państwo znacie pana Schneidera? No to mi bardzo przyjemnie, że mogę was zaprosić do siebie.

— Będziemy panu bardzo a bardzo wdzięczni — rzekł Władek ściskając obie ręce staruszka. — Robisz nam pan bardzo wielką przysługę.

Późnym wieczorem przybyli do Stuposianu. Jakże się zdziwił i przeląkł nieszczęśliwy Schneider, gdy właśnie zjadłszy wieszakę i zapijając ją herbatą, ujrzał wchodzących do pokoju Władka i Reginę! Gdyby był w tej chwili wszedł do pokoju jego rodzony, przed trzydziestu laty zmarły ojciec, pewnie by nie był doznał większego wzruszenia. Władek na jego widok udał zdziwienie; w oczach Reginy błysnęła radość. Powitali się z oniemiałym zbiegiem, jak gdyby o niczym nie wiedzieli i wspólnie z gospodarzem domu zasiedli do ciepłej kolacji. Gawędka toczyła się wesola i swobodna, i Schneider miał czas powoli przyjść do siebie. Wszystko utwierdzało go w tym mniemaniu, że ani Władek ani Regina o niczym nie wiedzą, tym więcej, że z toku rozmowy dowiedział się, iż oboje przybyli na „świeże powietrze” z okoliczności swego ślubu. To go ośmieliło do tego

stopnia, że i sam zaczął się mięszać do rozmowy i pogratulował nowożeńcom.

Lecz nie długą była jego radość. Gdy szli na nocleg, szepnął mu Władek do ucha:

— Panie Schneider, jesteś pan oszust! Wiem o wszystkim i cieszę się, że pana dopędziłem. Sąd także poszukuje pana. Dobranoc panu! Jutro pogadamy dokładniej, i myślę, że pan zechcesz szczerzej gadać, niż w Drohobyczul

Lecz na drugi dzień Schneider znikł, tylko okno swej sypialni zostawił otwarte. Władek, zrobiwszy to odkrycie, natychmiast udał się do Stuposiańskiego i wyjaśnił mu charakter swej znajomości ze Schneiderem, donosząc równocześnie o jego ucieczce. Staruszek zaśmiał się dobrodusznie.

— No, no, łaskawco — rzekł. — Nie turbuj się jego ucieczką. Daleko on zabiec nie potrafi. Od samego początku podejrzewałem, że ma coś na sumieniu, osobliwie z tego powodu, że tak usilnie dobijał się o przewodników za węgierską granicę. Dałem też moim ludziom instrukcje — nie bój się, nie ucieknie! Chyba by chciał prosto leść w paszczę niedźwiedziom.

I rzeczywiście, nie zdołała jeszcze gospodyni podać na stół kawę, gdy wysłani przez Stuposiańskiego śludzy przyprowadzili Schneidera, mokrego, zabłoconego i zziębniętego: znaleźli go o pół mili za wsią, chodzącego wzdłuż Sanu, przez który nie miał sposobu przeprowić się, by się udać ścieżkami i górami do granicznej wsi Wołosate, gdzie mógłby być znaleźć przewodnika do Węgier. Przyjęto go obojętnie, tylko stary Stuposiański rzekł jowialnie:

— No, no, panie Schneider, siadaj pan do śniadania! I tak nam pan kazałeś długo czekać. A potem pogadamy.

Nie długie też było gadanie potem. Władek jasno i zwięźle wyjaśnił Schneiderowi sytuację i żądał od niego natychmiastowej upłaty należnej sumy. Schneider zaklinał się, że w całym swym majątku sumy takiej nie posiada, że go żydzi borysławscy oszwabili, niemal obrabowali.

— W takim razie będę zmuszony natychmiast oddać pana sądowi — rzekł Władek. — W przeciwnym razie dopomożemy panu ująć na Węgry z pańską połową pieniędzy.

Ten ostatni argument silnie podziałał na Schneidera, który bardzo się bał wejść w tak nadto bliskie stosunki z sądem i skosztować więziennej sałamachy. Zaczęły się targi, które zakończyła Regina, przystając na połowę tego, co się jej należało, tj. na ćwierć losu, chociaż i to stanowiło wcale



znaczłą sumę kilkudziesięciu tysięcy. Po wypłaceniu tej sumy kazał St uposański osiodłać dwa konie i wysłał Schneidera ze swym starym sługą ku granicy węgierskiej.

A Władek z Reginą, szczęśliwi spełnieniem swego zamiaru, upojeni miłością, pozostali w gościnnym dworku w Stuposianie. Czuli się tu jak w domu; wkrótce też wyznali gospodarzowi swój stosunek i za jego staraniem i wpływem wzięli ślub w ubogiej stuposiańskiej cerkiewce. Gdy nastały całkiem już ciepłe, wiosenne dni, stary Stuposiański nie dawał im siedzieć w domu, ale wysyłał na wolne powietrze, nad rzekę, wskazywał piękne miejscowości.

— Idźcie, dzieci — mawiał on im po ojcowski — nie zważajcie na mię starego. Ja sobie posiedzę w domu, bo jużem swoje wychodził. A wy idźcie, bawcie się, korzystajcie z czasu i młodości. Kto wie, czy dużo wam takich pięknych dni los przeznaczył, więc chwytajcie to, co wam daje!

I korzystała też młoda para z owych precudnych dni. Od rana do wieczora na wolnym powietrzu, ręka w rękę, w lubych, cichych rozmowach odbywali zrazu bliższe, a z czasem coraz dalsze spacer-y. Włóścianie widywali ich na szczytach gór, otaczających Stuposian, w zachwyceniu podziwiających wspaniałą okolicę; to na ciepłych, do słońca zwróconych ścieżkach leśnych, pełnych aromatu żywicy, co bursztynowymi łzami płynęła z odwiecznych świerków; to nad obrywami jarów, gdzie Władek przypatrywał się nawarstwieniu skał, a Regina zbierała zawsze zielone widłaki i spletała je w fantastyczne wieńce. Lecz najczęściej widywali ich po nad Sanem, ręka w rękę, ze śmiechem przeskakujących z kamienia na kamień, lub też całymi godzinami z lubością przypatrujących się zabawom i zajęciom dzieci wiejskich. Od tego pobytu na wolnym powietrzu, od nieustannego ruchu i od wewnętrznego szczęścia Regina za tych kilka tygodni rozkwitła jak róża: twarzyczka jej zarumieniła się, oczy nabrały wyrazu głębszej, jasnej słodyczy, ruchy jeszcze większej lekkości i gracji, niż przedtem.

A Władek podczas tych wędrówek opowiadał jej śmieszne i smutne sceny ze swego dzieciństwa i szkolnych czasów, mówił o swych planach niesienia pomocy ludowi, nie wspominając jednakowoż o skarbie Tumanowym. Regina słuchała go z zapalem, widziała w nim omalże nie proroka i bohatera i chyba gorącym uściskiem ręki dawała mu poznać swe współczucie tym szczytnym myślom. Ze swej strony opowiadała Władkowi o smutnych i szczęśliwych chwilach

swojego dzieciństwa, opisywała urocze okolice Truskawca i ciężkie swe życie we Lwowie. Dziwna rzecz, w swych opowiadaniach oboje niby wskutek jakiegoś milczącego porozumienia nie wspominali o Naczku: Regina może dlatego, że wspomnienie o nim było jej przykre i z cicha szeptało jej, że postąpiła z nim nie zupełnie uczciwie. Władek zaś cały potonął w swym nowym i niespodzianym szczęściu, oddał mu się całą duszą i przynajmniej teraz rad był nie myśleć o niczym postronnym. A nadto przed odjazdem słyszał on, że w redakcji „Gońca” zachodzą jakieś zmiany, ale nie widując „Gońca” od swego wyjazdu ze Lwowa, nie wiedział, co to za zmiany i nie przydawał im żadnej osobliwszej wagi. Dopiero po swym ślubie z Regimą napisał list do Naczka i uspokoił się ostatecznie, czekając na odpowiedź, w tym przekonaniu, że w razie jakiegoś nadzwyczajnego wypadku Naczek niewątpliwie napisze do niego. Ale mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a Naczek nie pisał niczego, oczywiście, nie było co pisać, i Władek z egoizmem szczęśliwego człowieka przestał o nim myśleć i nawet wobec Reginy rzadko, krótkimi słowy o nim wspominał.

W tych swoich wędrówkach wzdłuż brzegów Sanu zasłi oboje raz aż do owych skał i do wiru. Dzika, nieźrównana piękność tej miejscowości oczarowała ich. Usiedli na skale, co zwieszała się nad samą wodą, i długo spoglądali to na precudne wiosenne niebo, to na lasy, piętrzące się tuż przed nimi amfiteatralnie w górę, to na skały sterczące z wody i jeżące się na przeciwnym brzegu, pogruchotane i powygryzane przez San w różne fantastyczne kształty, to wreszcie na spienione, szumiące i czyste jak szkło fale.

— Patrz, Władziu! — zawołała Regina, jak dziecko klaszcząc w dłonie z radości. — Jakie tu śliczne ryby pływają! A jakie duże! A jaka ich masa!

I rzeczywiście, tuż pod nimi w przezroczystej toni całymi stadami pływały z wolna duże klenie, połyskując do słońca swą srebrną łuską i lekko poruszając czerwonymi jak krew płetwami. Czują się tu bezpieczne, więc ani myślały się chować od ludzkiego oka, ale używały również wiosennego dnia w miejscu ogrzanym od słońca, opisując podłużną kręgi i od czasu do czasu podnosząc swe duże głowy do góry i wystawiając na samą powierzchnię wody swe bezzębne pyszczki.

— Jakie to śliczne! — wołała Regina. — Ale że się nas nie boją!

— Czego się mają bać — rzekł Władek, obejmując jej kibić i z lekka przyciskając ją do swej piersi. — Przecież wiedzą, że im niczego zrobić nie możemy.

— Oho! — zawołała Regina, zawsze skłonna do opozycji. — A kto wie, może jeszcze jutro będziemy którego z nich jeść na obiad.

— Cóż, to może być. I rzeczywiście, warto by poprosić rybaków, żeby nam nałowili tych ryb. Jeszcześmy ich tu nie jedli.

Lecz rybacy wiejscy usłyszawszy o białych rybach z czernymi płetwami, tylko głowami pokiwali.

— To, panie, mądra ryba. Teraz ją nie złapie. Trzeba czekać, aż będzie mętna woda.

Lecz San już przestał być mętny, trzeba więc było czekać na stotę i powódź, a tego ani Władek ani Regina bynajmniej sobie nie życzyli. Chodzili więc ciągle ku wirówi i całymi godzinami lubowali się, patrząc na te śliczne stworzenia, chociaż Regina bardzo często spoglądała na nie nie samym tylko poetycznym okiem, ale także okiem gosposi, dla której ryba wtedy dopiero jest ładną, kiedy się znajduje w kuchni.

— Będziemy je mieć! — zawołał radośnie Władek. Rzucił on był między gromadkę kleni parę kromek chleba, i klenie chciwie je pchwały i parę razy obróciwszy w pyszczkach, zjadły. Duże klenie chwyciły tylko duże kromki, zostawiając drobne płccicom i brzanom, których tysiące uwijały się koło każdego kamienia, niby latem komary w powietrzu. — Toż to ja głupi, że dotychczas nie wpadł na ten pomysł! Na wędkę je wszystkie wyłapiemy!

Na drugi dzień przyszli oboje z wędkami, ale jakież było ich rozczarowanie, gdy klenie, tak samo jak wczoraj chwytające luźne kromki chleba, nie chciały nawet patrzeć się na te same kromki, zawieszane na haczkach wędek. Trącały je pyszczkami lub ogonami, ten i ów próbował nawet brać je do pyszczka, ale w tej że chwili odskakiwał, jak gdyby przypomniał sobie coś, i starał się jak najdalej odpłynąć od zdradzieckiej wędki.

— Mądry zwierz! — rzekł uśmiechając się Władek. — Wiadac, że i ryby znają się na farbowanych lisach. No, dajmy im spokój!

— Szkoda! — rzekła Regina, wyjmując swą wędkę z wody i zdjawszy z haczka uczepioną na nim kromkę chleba, rzuciła ją do wody. W tej chwili podpłynął z głębi ogromny, prawie łokciowy kleń i chwycił tę zdobycz.

— Patrz, Władziu, patrz, jaki ogromny! Takiegośmy jeszcze nie widzieli! Nie dalibóg, to wstyd żebyśmy z nich ani jednego nie złapali!

— No, cóż im zrobisz — rzekł Władek — kiedy bestie takie mądre! Luźny chleb biorą, a uwieszono go na haczkach ani ruszą.

— A ja ci mówię, że będziemy je mieć, jeszcze jutro! — krzyknęła naraz Regina, obejmując szyję Władkową. — Co mi dasz, jeżeli znajdę na nie sposób?

— Co ci dam? — zapytał w zadumie Władek. — Co ci mam dać, kiedy wszystko co mam, jest już twoje, i sam ja twój? I gorącym pocałunkiem zatulił jej różowe usta.

— Dobrze, spróbuję więc wynaleść na nie sposób! — rzekła Regina, i posiedziawszy jeszcze chwilę, poszli z wolna do domu.

Dziś właśnie Regina miała zaprodukować swój wynalazek. I rzeczywiście, przed południem długo coś przygotowywała w kuchni, parę razy przybiegała do Władka, zajętego rozmową ze Stuposiańskim, usiadła obok niego, posłuchała rozmowy, pocałuje męża i znowu biegnie do kuchni, skąd dolatuje do niej głos starej kucharki.

— Pannunciu! A chodźcie no, czy dobrze tak będzie?

Władek parę razy pytał się jej, co to właściwie ma być, ale odpowiedzi nie otrzymał.

I oto oboje w dzieciennym uroczystym oczekiwaniu usiedli na skale nad wirem i ciekawie spojrzeli do wody. Klenie pływały sobie spokojnie, podnosząc czasem ku nim pyski, niby na przywitanie. Drżącą ze wzruszenia ręką Regina wzięła z polewanego garnuszka, który przyniosła ze sobą, kawałek białej, tęgiej masy i rzuciła do wody. Najbliższy klen rzucił się na nią, połknął i popłynął dalej spokojnie.

— To mój! — krzyknęła radośnie Regina. — Pilnuj go, Władku, żeby nam nie uciekł! — dodała śmiejąc się serdecznie. — Ja już tam w kuchni zamówiła masło, na którym on ma być dziś wieczór usmażony.

— No, no, nie sprzedawaj futra, dopóki wilka nie zastrzelił! — rzekł Władek, ale Regina była pewną swego i rzuciła nowy, bardzo wielki kasek do wody. Klenie przelękły się pluskotu i rozskoczyły się na wszystkie strony, lecz gdy kasek, kręcąc się we wodzie, był już w połowie jej głębiny, znowu wypłynął z jakiejś ukrytej pieczary wczorajszy łociowy klen, chwycił ten kasek, zjadł go z wolna i przepłynąwszy parę razy po wodzie skrył się gdzieś na dnie.

— No, jeżeli tego złapiesz — rzekł uśmiechając się Władek — to jego jednego będziesz miała co nieść. Tylko jak ty go tam na dnie złapiesz, tego ja dotychczas nie mogę zmiarkować.

— Nie bój się, przyjdzie on sam do moich rąk! — radośnie mówiła Regina, rzucając dalej kleniom zradziecki pokarm. Ale radość jej nie trwała długo. Klenie niby pomiarkowały coś: jeszcze kilka zjadło rzucane kaski, ale przeważna masa jeść ich nie chciała; niektóre nawet chwyciwszy i spróbowały smaku, wyrzuciły je z pyszczków na powrót.

— Oho! — rzekł Władek, — widzisz je, już podejrzewają zdradę. Już po twoim zwycięstwie!

— Nie bój się — odrzekła Regina, chowając garnuszek — dosyć z nas będzie na pierwszy raz i tych, co pochwytały.

— No, powiedz że mi teraz, co ty im za czary dajesz? — pytał Władek.

— Na, powąchaj! — rzekła Regina i podała mu garnuszek. Silna woń okowity uderzyła go w nos.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Władek. — No, Reginko, nie myślałem, żeś taka zepsuta, że zechcesz demoralizować nawet niewinne stworzenia wodne i kusić je do strasznego grzechu — pijaństwa! Tylko biedna ty moja. Zdaje mi się, że za wcześnie tryumfujesz. Spirytus rozpuszcza się w wodzie i traci swą siłę i klenie się nim nie upijają.

— Poczekaj, zobaczysz — odrzekła Regina, której również nasunęła się ta wątpliwość.

Siedzieli obok siebie, cicho, nieruchomie, wpatrując się w wodę, gdzie po dawnemu spokojnie pływały klenie.

— Wiesz, Reginko — rzekł miękko głosem Władek, tuląc swą głowę do jej piersi i obejmując ją w pasie — coś mi dziś tak jakoś marotno, tak jakoś smutno na duszy!

— Co ci jest, mój drogi? — z serdecznym współczuciem zapytała Regina, pieszcząc rękami jego czarne, błyszczące włosy.

— Zaczynam być zabobonnym. Zaczynam się lękać własnych snów — rzekł Władek, prostując się i zaglądając jej głęboko w oczy.

— Cóż ci się takiego śniło? — zapytała Regina, obejmując jego szyję.

— Śnił mi się brat Naczek — rzekł z jakimś żalem w głosie Władek — i taki czarny, taki czarny, jak ziemia. Stał przede mną niemy, z zaciśniętymi ustami, ze szklanymi

w szept oczyma — okropny. A w tych jego oczach zastygł wyraz takiego bólu, takiej żałoby, takiego niewystowionego zarzutu, że mię aż dreszczem przejął całego. I co najdziwniejsze, sen ten prześladowuje mię od samego rana; okropna postać brata ciągle jak upiór staje przede mną.

— Bóg z tobą, Władziu! — krzyknęła Regina. — Jakie ty straszne rzeczy gadasz! Co prawda, w swym szczęściu zapomnieliśmy o twym bracie, i nie dziw, że on musi mieć żal do nas. Ale nie bój się, wkrótce już wrócimy do Lwowa, i ja dam ci słowo, że dołożę wszelkich starań, by zatrzeć ten żal w jego pamięci. O, ja będę dla niego wzorową bratową!

— Tak, tak, Reginko — rzekł Władek, odgartując jej z czoła nawisłe włosy i całując to pogodne, błyszczące jak słońcowa kość czoło. — Bądź dla niego dobrą bratową. Złoty to chłopak, i pewnie go pokochasz, gdy go poznasz bliżej.

Przy tych słowach Regina, sama nie wiedząc dlaczego, żywszym spłonęła rumieńcem i odwróciła się. A wtem wskoczyła na równe nogi i krzyknęła klaszcząc w dłonie:

— Mam! mam! mam go! Mam klenia! Zobacz Władziu, zobacz, jak tańczy po wodzie, jak głową kiwa, jak powietrze łyka! Pijany, dalibóg pijany!

— Rzeczywiście, zwyciężyłaś! — rzekł Władek nachylając się nad wodę, gdzie w szalonych podrygach rzucał się po powierzchni kleń, opisując błędne koła, czym raz węższe, lecz za to czym ras prędzej, tonąc na dno, to znowu wypływając na powierzchnię. — Upoiłaś biedne zwierzę, ale co ci z tego przyjdzie? jak je złapiesz?

— E, to już nie sztuka! Szukaj tylko długiej tyki laskowej i dobrze widłatej. Napniemy na nią moją siatkową chustkę — i ryba będzie nasza.

— Ależ szkoda chustki.

— Idź po tykę, nie pytaj! — rzekła energicznie Regina. — Chustka nie twoja, ale moja, a zresztą stara, a prócz tego nic jej się nie stanie.

I rzeczywiście, po chwili zaimprovizowana siatka była gotowa, i położywszy się pierśią na skale, Władek spuścił tykę z siecią do wody. Po kilku bezowocnych próbach spójmania szalejącego klenia udało mu się to nareszcie: otumanione zwierzę strzałą wleciało w siatkę i podniesione w tejże chwili nad poziom wody, leżało nieruchome, niby martwe. Dopiero na brzegu, w ręku Reginy zaczęło trzepać się roz-

paczliwie, machając swymi płotwami i żywo chlipając pyszczkiem.

— Aha, mam cię! mam cię! — wołała ucieszona Regina, chwytając zimną, drgającą rybę do rąk. — A widzisz, żeśmy cię przecież obeszl!

Głaskała go ręką i pteścila słowami: mój śliczny, mój złoty, no cisio, cisio! Umierającemu kleniowi zapewne bardzo przyjemnymi były te pieszczoty!... Lecz zanim jeszcze ten skonał, w wirze rozległ się potężny plusk. Władek i Regina razem spojrzeli na dół i oniemieli z radości. Po powierzchni wody, kiwając poważnie głową, hulał w obłędzie wódczanym ogromny, łokciowy kleń, z szerokim, jak chłopska dłoń ogonem, którym od czasu do czasu w szalonych podrygach biał o wodę.

— Bój się boga, Władziu, łapaj go! Tego mi musisz złapać! — krzyczała Regina.

— A jeżeli go nie złapię? — spokojnie odpowiedział Władek, znowu kładąc się piersią na skałę i spuszczać swą sieć do wody.

— Nie, nie, nie! — szeptała Regina przerywanym ze wzruszenia głosem. — Nic nie gadaj, tylko łap! A jak nie, to ja sama spróbuję. Chwytaj, chwytaj, widzisz, teraz blisko!

— Jest! — rzekł spokojnie Władek i zręcznym ruchem siatki podchwycił potężnego klenia.

— Był! — krzyknęła z trwogą Regina, gdy kleń, poczuwszy dotknięcie obcego ciała, trzepnął się i wyskoczył z siatki. Zatonął w głąb. Trwożliwym wzrokiem śledzili oboje, jak on kręcił się po dnie, wlaził pod kłody i kamienie i z nowu wylaził, jak gdyby czegoś szukał. Wreszcie wypłynął na powierzchnię, widocznie już osłabiony, i znowu zaczął z wolna krążyć, kiwając głową i uderzając ogonem. Tym razem Władek podchwycił go zręcznie i wyciągnął na brzeg. Ucieszona Regina z radości rzuciła mu się na szyję.

— Dzielnys, Władziu, dzielnyś! Warto się pocałować za to, żeś tego patriarchę wydobył! Ależ to olbrzym! — krzyknęła, oburącz chwytając potężną rybę i nie mogąc jej objąć swymi drobnymi rączkami. — Trzymaj, Władziu, trzymaj, bo uskacze znowu do wody!

Władek jednym uderzeniem tyką po głowie położył kres rzucaniom się i cierpienion biednego patriarchy, którego zwłoki położono na murawie obok zwłok jego mniejszego towarzysza i nakryto liśćmi podbiału. Usiedli znowu na swym stanowisku, lecz więcej kleni już się nie pojawiało.

Czy uniosła je fala, czy pozapychały się gdzie w pieczary aż do wytrzeźwienia, czy też może nie zjadły chleba zatrutego spirytusem — dość, że więcej pijanych nie było. Regina jednak nie chciała ruszać z miejsca.

— Ach, patrz, Władziu! — zawołała, zwracając oczy w górę — jak cudnie wyglądają te lasy, te śnieżne połoniny, ozłoczone zachodzącym słońcem! Jak cudnie wije się ta rzeka! I jaka ja szczęśliwa z tobą, Władeczku!

— Regino, życie moje!

I dusze obojga zlały się w jeden ognisty pocałunek.

— Wiesz, Władeczku — mówiła Regina, schylając głowę — bywają takie chwile, że sama nie mogę uwierzyć w swe szczęście, albo nawet zaczynam się go lękać, jak ów przyjaciel Polikratesa. Nie, myślę sobie, nie może to być, żeby po tak ciężkich latach mogło razem nastąpić tak czyste i trwałe szczęście. I w takich chwilach staram się sama sobie wymyślać jakieś kłopoty, jakieś zgryzoły, wrzucam dobrowolnie ziarko gorczycy do tego puharu słodczy, by przebłagać los zawistny. Widzisz — dodała uśmiechając się i podnosząc ku niemu oczy — staję się zabobonna z nadmiaru szczęścia.

Słońce chyliło się już nad zachód i krwawym blaskiem oblewało śnieżne połoniny. W ich różowym odbłasku zarumieniły się kryształowe nurty Sanu. W tym blasku różowym cudnie wyglądała rozpromieniona szczęściem twarz Reginy. Władek patrzył na nią z zachwyceniem. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak piękną, tak powabną, jak w tej chwili. Nigdy on nie czuł się tak nieskończenie szczęśliwym.

— Regino moja — szeptał Władek, tuląc jej twarz do swego czoła — wierz w szczęście i nie bój się losu. Co jest los? Los nasz, to nasze własne ja, nasze uczucia i namiętności, a te czyż nie są na zawsze połączone miłością? Jesteśmy szczęśliwsi od milionów tym, że nie potrzebujemy turbować się o chleb codzienny, a szczęście nasze rósć będzie w miarę tego, jak będziemy dokładać trudu dla wspomaganiania nieszczęśliwszych od nas. Nie przeczę, że teraz jeszcze szczęście nasze jest darem łaskawego losu, ale gdy to szczęście będzie wpływem wspólnej naszej pracy, wspólnych myśli, dążeń i pragnień, — o, wtenczas nikt nie potrafi nam go wydrzeć ani zamącić. Wtenczas będzie ono domem budowanym na kamieniu. Lecz co ja mówię: wtenczas? I teraz już czuję się pewnym przyszłości, czuję się silnym, zdrowym, kochającym i kochanym, i nigdzie



nie widzę chmurki, któraby mogła temu szczęściu zagrozić piorunem. Co mi los? W twoich oczach gwiazdy mego losu, a te gwiazdy — o tym nie wątpię — zawsze będą mi świeciły tak jasno, tak cudnie, jak teraz. Droga moja, aniele mój! Śmierć w tej chwili... Ha! — krzyknął naraz zmienionym, przesywającym głosem, odepchnął Reginę, chwycił się oburącz za głowę i nawznak padł na kamień.

— Boże mój! Władziu! — krzyknęła przełęczniona Regina i rzuciła się do niego. Wladek leżał niemy, zsiniały, z zagryzionymi do krwi wargami i z wyrazem okropnego bólu na twarzy.

— Władziu! Władziu! — w najwyższej trwodze wołała Regina, przypadając koło niego i oblewając twarz jego łzami. — Wstań, ocuć się! Powiedz mi, co ci jest! Co ci się stało?

Wreszcie Wladek przy jej pomocy podniósł się z wolna, dzwoniąc zębami niby od wielkiego zimna i zblakany oczyma szukając czegoś około siebie. Ręce jego były zimne, a twarz okropnej, prawie trupiej bledości. Regina tylko ręce załamała na ten widok.

— Czyś chory, miły mój? — szczebiotała koło niego, przykładając mu rękę do pulsów, które szły bardzo pomalu, ledwie znacznie.

— Nie... to nic... — wyszeptał Wladek z wolna przychodząc do siebie i niby pierwszy raz zobaczywszy Reginę.

— Ależ to okropnie! — wołała biedna kobieta, nie mogąc jeszcze uspokoić się od nagłego przest్రachu. — Czy takie ataki trafiały się u ciebie dawniej?

— Ataki? — nieprzytomnie powtórzył Wladek. — Ach, tak, to był atak, taki sam, jak wówczas, kiedy Naczek dostał był zapalenia płuc, ale tym razem okropny, okropny! Boże! — krzyknął naraz, zrywając się na równe nogi, z wyrazem śmiertelnego przest్రachu, — Regino, chodźmy, spieszmy! Tam musiało się stać coś okropnego! Czuję to niezawodnie. Chodźmy!

— Dokąd? Gdzie się stało coś okropnego? — pytała Regina, trzymając go za rękę i myśląc, że on jeszcze nie zupełnie przyszedł do siebie. — Na Boga, Władeczku, uspokój się! Jesteś chory! Nie rwij się! Czekaj, ja ci namoczę skroń zimną wodą, to cię orzeźwi. Boże, Boże! Natchnij mię, jak mu pomóc!

— Nie, nie, nie! — z wyrazem najwyższej niecierpliwości wołał Wladek, starając się wyrwać swą rękę z jej

drżących dłoni. — Puść mię, puść mi! Muszę spieszyć! Tam coś okropnego... okropnego!...

I wyrwał się, i nie oglądając się nawet na zrozpaczoną Reginę, nie zważając na to, że już szarzało i okolica była zupełnie samotną i dziką, poleciał ku wsi.

— Boże, ratuj go! Ratuj nas obój! — jęknęła Regina.— Zgrzeszyliśmy przez nasze szczęście, czuję to, ale odpuść nam ten grzech! Nie gub nas za to!

I drżącymi rękami, spiesznie pobierawszy swe rzeczy wraz z utowionymi rybami, Regina zdyszana i trwożna pospieszyła ku wsi w ślady za Władkiem, który był już o jakieś sto kroków przed nią i na żadne jej wołania nawet się nie odzywał, jak gdyby był głuchy. Spieszył, niby pędzony jakąś zewnętrzną, nieprzepartą siłą. W głowie i w sercu u niego było zupełnie pusto. Wszystko zamarło, niby piorunem rażone. Wszystko to, co przed chwilą jeszcze stanowiło jego szczęście, nadzieję i dumę — teraz jak gdyby istnieć nawet przestało dla niego. Jedna błyskawica okropnej, niewyjaśnionej boleści, która przeszła jego duszę i wstrząsnęła jego mózgiem, i wszystkie te świetne zamki powietrzne parą się rozwiały. Regina była mu obcą, nie zajmowała żadnego miejsca w jego myślach, bo i myśli żadnych nie było — tylko ciemność i jakaś niewyjaśniona trwoga, która poruszała nim jak automatem i pędziła go naprzód, naprzód, naprzód, z niewiadomego powodu i do niewiadomego celu.

Nagle zatrzymał się i stanął jak osłupiały. Oczy jego, z największym wytężeniem wpatrujące się w pustą przestrzeń przed nim, spoczęły naraz na żywym, poruszającym się przedmiocie, i zdało się Władkowi, że znalazł, czego szukał. Ten żywy przedmiot, to była postać ludzka, spiesząca ze wsi naprzeciw niemu. Skąd wiedział Władek, że to postać nie od Stuposiańskiego i że niesie dla niego telegram? Nie wiedział tego, chyba że poznał postać po chodzie. Czuł jeno, że siła, pędząca go przemocą naprzód, nagle się ucisza, że pęd słabnie — stanął więc. Teraz dopiero spostrzegł, że był cały zlany potem i zadyszany. Teraz dopiero obejrzał się za Reginę, która dawno już przestała wołać go po imieniu, ale wytężając wszystkie siły, spieszyła za nim, skakała z kamienia na kamień, obijała sobie nogi, ocierała z czoła pot rześisty, ale ani na moment nie myśląc o sobie, pędziła za ukochanym mężem, lękając się, by mu się znowu co nie stało i pragnąc na wszelki wypadek być jak najprędzej przy nim z pomocą.

Ale Władek, ujrawszy ją odwrócił się ku posłańcowi. Myśl jego była bezsilna, rozbita i niezdolna do pojmowania tego, co wychodziło poza zakres jedyne go przedmiotu, który stanowił przedmiot jego trwogi. Posłaniec tymczasem, zobaczywszy Władka, również zwolnił kroku; oczywiście zmęczył się, szukając go, a teraz, kiedy był pewnym, że za chwilę telegram doręczy, chciał odetchnąć nieco. Tylko Regina nie zwalniała kroku. Widząc, że Władek się zatrzymał, przełękała się jeszcze gorzej, myśląc, że atak powtórzy się znowu, i krzyknawszy z trwogi, pobiegła co sił starczyło ku Władkowi.

— Władziu! Boże mój! — wołała przypadając ku niemu. — Może ci znowu źle?

I, sama omdlewająca z trwogi i zmęczenia, starała się go podtrzymać.

— Nie, nie, nie! — odrzekł niby nieprzytomny Władek, z lekka odsuwając ją ręką na bok. — Czekaj, czekaj! Tam, widzisz?

— Co widzisz? Co jest tam? — pytała Regina, spoglądając naprzód, ale Władek nie odpowiadał, tylko stał na miejscu nieruchomy. Regina zaś nie mogąc ustać dłużej, usiadła obok na kamieniu, nie spuszczać oczu z jego twarzy, gotowa w każdej chwili wskoczyć i nieść mu pomoc w razie ponownego ataku, którego się co chwili obawiała.

— Majut pan taligra! — wołał z dala posłaniec, machając złożoną we czworo i zapieczętowaną ćwiartką papieru. Władek automatycznie wyciągnął rękę ku papierowi.

— Nie, Władeczku, nie! — krzyknęła Regina zrywając się z kamienia i obejmując go. — Proszę cię, zaklinam cię! Jeżeli mię kochasz — nie czytaj teraz tego telegramu! Przeczytasz go w domu, za chwileczkę. Tylko teraz nie czytaj! Daj go mnie, ja go nie otworzę, ja go ci oddam, skoro tylko staniemy w domu. Tylko teraz nie czytaj!

Władek spojrział na nią ze zdziwieniem, jak gdyby wcale nie rozumiał jej słów i nie pojmował czego ona chce od niego, a odsunawszy ją łagodnym lecz silnym ruchem ręki na bok, wziął telegram, otworzył go całkiem spokojnie, przeczytał i — odetchnął nieco swobodniej.

— Bardzo chory — mruknął sam do siebie. — No, to bardzo dobrze. Bardzo chory! No i cóż, pojedziemy.

— Kto bardzo chory? — zapytała Regina.

— Kto? — powtórzył jej pytanie Władek, jak by się dziwił, że można stawiać takie pytanie. — On, Naczek.

— Ach, twój brat! Biedny! I cóż mu jest?

# Lelum i Polelum

Legenda wygotowana Juana Franka

Przeważnie wygotowana

## I

- Władka! Skarżka! gdzie was tutaj wozą?
- Lerie, jastan z drugimi, jak Lelum i Polelum!
- Swiniaki! Nubry, z o niar usrej bity, na wiezion,
- a tu już przedko drugiego bity bity!
- Dac im w kark po rarn, wiać na woz, towa
- dotrzymać!
- Sporniewierac im front!
- Zakłóbrac ich po pod nureble!
- Zajechać im wiodry wki, iczy im ai woflek
- zakłórować!

Takie wytkniętki i delikatne propozycje stypendi  
było z wielkiej, katuszowej promady dzień wbiemych  
na jednej z odłudnych ulic Krowia pierwszego piśk.  
nego pierwszego dnia 1859 roku. Dzień umiędzy się  
wrobi tego dnia po obiednie wstąpiła wyprawa  
do na potwornie "giry" - na tarki, pieczarki,  
stogi, przy okazji też na kartofle, marchwie i  
bruski, które można było "namendrac" z  
przyjętych zasadami pol. w lesku wolek.  
Kim można rozgalić ości, więc kartofle i  
guryby, wogóle całe popołudnie, wstrzone  
na wstobole, próbów bogatej przyrody, miało  
wiele słow aranciera stotka, niedawno nasadzo  
nego zwanata terminu stolarckiego, być  
przyjaniem, jak uto djablow.

Dzień rozmowy nie już odgryng, ale nie wyprawy  
konimo należał nieślonych był niecierpliwych.  
Stotka, djabrak już prawie pod wasem, ziewają  
przyjętego na to, co to gromaska, po prostu na  
mocy wiać przeważnie wity kurynej, wstrzymując się  
o drugie bity bity z acim w twarz z powrotem ich po bity  
bity w twarz im wiodry ony, iczy im ai karkie zament  
skarżka.

## Яндруси.<sup>1)</sup>

- Владку, Начку, куди вас чорти несуть?
- Лізе один в другим, як дельом-подельом.
- Свинтухи! Кажуть, що о першій будуть на місяці, а отсе вже швидко другого бити-муть.<sup>2)</sup>
- Дати їм у карк по разу, нехай учать ся додержувати слова.
- Споневіряти їм фронт.<sup>3)</sup>
- Закобзати їх по під щєблі.<sup>4)</sup>
- Заїхати їм між линки, щоб їм аж Войтко закапував!<sup>5)</sup>

Такі окрики і делікатні вказівки чути було з великої, галасливої громади вуличних дітей на одній із малолюдних вулиць Львова з полудня одного гарного осіннього дня. Діти прирадили власне цього дня зробити собі спільний прохід на *Нагірнеські «гори»* — на тернівки, печериці, шогорі ягоди, при нагоді також на картоплі, моркву, бруков, якої можна було *«намухрати»*<sup>6)</sup>

<sup>1)</sup> В жаргоні львівських вуличників хлопці.

<sup>2)</sup> Звич. буде бити друга година.

<sup>3)</sup> Набити по шиці.

<sup>4)</sup> Пштуркати по під ребра.

<sup>5)</sup> Ударяти їх між очі, щоб їм аж місяць засьвітив.

<sup>6)</sup> Накрастк.

Перша сторінка оповідання «Яндруси» у збірці «На лоні природи і інші оповідання» (Львів, 1905).

— Bardzo chory. Co mu ma być? Ale żywy, to grunt. Chodź, pojedziemy do Lwowa.

— Kiedy?

— Natychmiast, do nocnego pociągu. Nie bój się, w sam czas do Ustrzyk przyjedziemy, a jutro o czwartej po południu będziemy przy nim.

Wiadomość, że Naczek jest "bardzo chory" zamiast przynębić i zasmucić Władka, podniosła nieco jego ducha, wionęła na niego orzeźwiający wiatrem. Ożył nieco, rozmawiał po drodze z Reginą, chociaż tonem zupełnie zimnym i obojętnym, przeważnie o tym, jak co pakować do drogi, jak prędko potrafią przejechać przez miłowy las na Ostrej Górze najhaniańbniejszą górską drogą. Ani śladu niedawnego ciepła, zapachu i szczęścia, tryskającego w każdym jego słowie, w każdym ruchu — nie pozostało. Był jak człowiek wypuszczony na wolną stopę z więzienia: chociaż nie widzi dookoła siebie więziennych murów, czuje jednakowoż duszą, że one nie przestały być dla niego groźnymi.

Ze szczerym żalem zegnał swych lubych gości stary Stuposiański, wyrażając nadzieję, że wkrótce, po wyzdrowieniu drogiego brata, wszyscy troje zawitają do niego na dłużej i w piękniejszy, letni czas. Władek był małomowny i obojętny. Zdawało się, że myśli jego wcale czym innym zajęte. Przez całą drogę mało mówił z Reginą, tylko ciągle zapalał siarniki i spoglądał na zegarek, czy nie zapóźnił się do pociągu, i pomimo zapewnień woznicy, że przyjadą na sam czas, naglił tegoż bezustannie do pospiechu.

Do Ustrzyk rzeczywiście przyjechali na sam czas: po krótkim czekaniu przyszedł pociąg z Zagórza. W wagonie Regina, zmęczona różnorodnymi wrażeniami tego dnia i kilkogodzinną drogą kołową, usnęła. Władek zaś siedział ciągle wpatrzony w przestrzeń, od czasu do czasu pomrukując jakieś słowa bez związku i znaczenia. Raz tylko spojrzął na Reginę, leżącą naprzeciw niego na ławce wagonowej, wpatrywał się w nią długo-długo, jak gdyby starał się przypomnieć sobie coś dawno minionego, a wreszcie zapłakał. Czego zapłakał? Tego zapewne sam on nie był w stanie wyjaśnić. Był to jakiś chwilowy, nieświadomy odruch psychiczny, po którym umysł jego znowu popadł w stan automatyzmu.

Rano zbudziła się Regina, lecz na darmo prosiła Władka, by także zasnął — on ani myślał się kłaść. Również niepodobna go było nakłonić do śniadania, gdy stanęli w

Przemysłu. Ani próśby, ani lzy Reginy nie skutkowały; tych ostatnich Włodek nie zauważał nawet. Z obojętną, spokojną twarzą siedział on w poczekalni. Dopiero dzwonek sygnałowy, zwiastujący nadejście lwowskiego pociągu, podziałał na niego, jak prąd elektryczny. Zerwał się i nie dbając na żadne pakunki pospieszył na peron: dopiero odzwierny wstrzymał go oświadczając, że to tylko pierwsze dzwonięcie i że jeszcze wagony nie gotowe, a do wsiadania jeszcze kwadrans czasu. Wystuchawszy tej racji, Włodek z dawną obojętnością usiadł na krześle i przesiedział bez słowa, w formalnym osłupieniu aż do drugiego dzwonięcia. Wtedy rzucił się do pierwszego lepszego wagonu, jak żołnierz do szturmu; zaledwie zdołała dobiec za nim Regina.

Ze wzrastającą obawą śledziła Regina za każdym jego krokiem, każdym ruchem, słowem, wyrazem twarzy. Serce jej drżało na samą myśl, że ciężka choroba Naczka mogła by odezwać się i na organizmie brata. A przecież było to już teraz rzeczą pewną. Regina słyszała w szkole o takich bliźniakach, co choć oddzielne stanowią osobniki, jednakże połączone są ze sobą niewidzialnymi węzłami, wspólnie czują, kochają i nienawidzą, wspólnie cierpią i jeden bez drugiego żyć nie może. Miał ze by Włodek należeć do takich dziwnych organizmów? Ze wszystkiego, co dotychczas Regina wiedziała o życiu obu braci, z nieubłaganą logiką wysnuwał się wniosek, że rzeczywiście tak było, — i Regina pierwszy raz zadrżała o zdrowie i o życie Naczka, od którego kto wie czy nie zależało zdrowie i życie jej ukochanego Władka.

Lecz w takim razie co znaczył wczorajszy atak, którego doznał Włodek tak nagle i z taką okropną siłą? Miałże by on być odgłosem jakiego nagłego wypadku, który wydarzył się Naczkowi? Telegram mówi, że Naczek bardzo chory. Ale telegram przyszedł prawie w tej chwili, kiedy miał miejsce atak, a więc nadany być musiał znacznie wcześniej, jeszcze przed południem. A więc już przed południem Naczek musiał być bardzo chory, podczas gdy Włodek znajdował się w najlepszym zdrowiu i w przepysznym humorze! Miał że by Naczek po południu umrzeć? Ale Władkowi po otrzymaniu telegramy zrobiło się nieco lepiej. To znaczy, że jeżeli ich organizmy łączy tajemnicza jedność, to i Naczkowi musiało zrobić się lepiej.

Tak miarkowała Regina, gubiąc się w domysłach i przypuszczeniach i nie spuszczać z oczu Władka.

Dziwna rzecz! W miarę jak się zbliżali ku Lwowu, twarz Władka zaczęła się rozjaśniać, ożywiać, oczy nalewały się łagodnym blaskiem. Począł rozmawiać z Reginą, spokojnie, ale nie tak ozięble jak dotychczas. Uśmiechnął się nawet parę razy. O Naczku jednak ani o jego słabości nie było ani najmniejszej wzmianki.

Stanęli we Lwowie, i w tej chwili, kiedy się pociąg zatrzymał, Władek pobladł śmiertelnie, ścisnął usta i rzucił się ku drzwiom. Na twarzy jego pojawił się znowu ten wyraz trwogi i jakiegoś nieświadomego i niepowstrzymanego rozpędu, z jakim wczoraj biegł naprzeciw posłańca z telegramem. Z trudem tylko wstrzymywała go Regina, żeby nie wpadł pod koła wagonu; z trudem i trwogą w sercu, nie wypuszczając jego ręki ze swej, przeprowadziła go przez ścisk panujący na peronie i usadowiła w fiakrze. Władek nic nie mówił i swe szklane, szeroko rozwarte oczy nieruchomo wpał w pustą przestrzeń, tylko od czasu do czasu dzwonił zębami, niby w febrze.

— Na ulicę Panską! — krzyknęła Regina do fiakra. Słowa te podrażniły Władka, jak ukłucie igłą: podniósł głowę i zmienionym, głuchym głosem wyrzekł:

— Prędzej! Prędzej!

Stanęli u celu. Władek zerwał się w siedzenia. Regina wstała też, chcąc mu towarzyszyć.

— Zostań! — rzekł jej krótko Władek, mierząc ją trwożliwym wzrokiem.

— Władeczku, pozwól mi pójść z tobą!

— Zostań! — krzyknął gniewnie Władek i odwróciwszy się wszedł do sieni kamienicy. Regina usiadła na powrót, by oczekiwać jego powrotu.

A Władek przebiegłszy sieni co tchu i wbiegłszy schodami na pierwsze piętro, szedł dalej z wolna, oglądając się, nadśluchując. Kamienica była mało zaludniona. Całe pierwsze piętro od frontu zajmował jakiś wysoki urzędnik, kawaler, który żył tylko z jednym lokajem i starą, głuchą kucharką. Jedną oficynę tego piętra zajmował Naczek, druga zaś stała próżną od miesiąca. W parterze też nie wiele było mieszkańców, i oficyna pod mieszkaniem Naczkowym również stała próżną. Kamienica była z pańska urządzoną; rzemieślników ani roboczego ludu na mieszkanie nie przyjmowano, odmawiano nawet lokatorom, u których były drobne dzieci. Nie dziw więc, że Władek szedł po galerii pierwszego piętra, niby wzdłuż jakiejś katakomby: nigdzie ani głosu, ani twarzy ludzkiej.



Wychodzące na galerię okna w pomieszkaniu Naczkowyń zasłonięte były zielonymi firankami, drzwi zamknięte. Władek zatrzymał się przed nimi w zdziwieniu. Lecz po chwili wyraz zdziwienia ustąpił z jego twarzy, dając miejsce poprzedniemu wyrazowi ślepego parcia naprzód. Nic nie myśląc, niczego nie wspominając, wydobyl z kieszeni paltola pęk kluczy, między którymi były też dublety kluczy od wszystkich pokoi ich wspólnego niegdyś mieszkania. Odemknął jedne i drugie drzwi i wszedł do kuchni. Pusto. Odemknął dalsze drzwi i wszedł do saloniku. Pusto. Wszystko w porządku. Zawahał się: czy iść na prawo do biblioteki, czy na lewo, do ich wspólnej niegdyś sypialni; lecz i to wahanie było krótkie, nieświadome prawie. Z wolna odemknął drzwi sypialni i wszedł.

— Al — wyrzekł z cicha z wyrazem ni to zdziwienia, ni to jakiejś ulgi wewnętrznej. W pobliżu okna, profilem ku niemu zwrócony a bokiem o stół oparty siedział Naczek na krześle poręczowym. Lewa ręka oparta była łokciem na stole, prawa zaś zwisa pionowo na dół. Obie dłonie były kurczowo ściśnięte, ale pistolet wypadł z prawej i leżał na podłodze. Twarz Naczka była czarna jak ziemia; w prawej skroni widać było niewielki otwór, wypełniony czarną, skrzepłą krwią, której nieprzerwane pasmo ciągnęło się wzdłuż twarzy, zaschło na surducie i doszło aż do podłogi, gdzie utworzyło niewielką czarną kałużę. Chociaż usta mocno były ściśnięte, to jednak wargi zsiniały i mocno już nabrzękły. Zapach trupi z wolna zaczynał napępniać szczelnie zamknięty pokój.

Władek chwilę stał u drzwi, nie spuszczać oczu z brata, przypatrując mu się z ogromną ciekawością. Potem zaczął z wolna, na palcach zbliżać się ku niemu, jak gdyby lękał się zbudzić śpiącego. U stołu stało drugie krzesło z poręczami — jego krzesło. Usiadł na nim i siadając rzucił okiem na ostatni list Naczka, do niego adresowany. Lecz nie czytał go. *Wpadły mu tylko w oko grubymi literami napisane słowa wiersza Słowackiego i jak gwóźdź utkwily w jego głowie.*

— Gdy Lelum umrze — wyszeptał w zapomnieniu i zwróciwszy się twarzą do brata usiadł w tej samej co i on pozycji.

— Gdy Lelum umrze... umrze... umrze — szeptał *czym raz ciszej, czym raz pomalej wpatrując się w czarną, stygmatem śmierci naznaczoną twarz brata...*

Dość długo czekała Regina na ulicy na powrót Władka, wreszcie nie mogła dłużej wytrzymać. Mimo przykrego wra-

żenia, jakie wywarł na nią ostry ton ostatniego Władkowego słowa, wstała i weszła do kamienicy. Wiedziała z opisów Władkowych, gdzie leżało ich wspólne niegdyś pomieszkanie, szła więc wprost i nie potrzebowała pytać nikogo. Dziwna cisza w całej kamienicy niemile ją uderzyła, a przy wchodzie do kuchni Naczkowej nawet dreszcz ją przejął. Jeszcze bardziej uderzyła ją grobowa cisza, panująca w tym pomieszkaniu, gdzie musiał leżeć chory i gdzie niedawno wszedł Władek. Okropne przeczucie błysnęło w jej głowie. Wpadła do sypialni i naraz stanęła osłupiała, załamawszy ręce nad głową. Jeden głośny, rozdzierający okrzyk — i Regina padła zemdlona u nóg Władkowego trupa.

Krzyku jej nikt nie usłyszał. Po chwili dopiero zniecierpliwiony czekaniem fiaker przyszedł do pokoju i zobaczywszy okropny widok, zwołał ludzi z ulicy, którzy ocucili Reginę i odwieźli ją do Władkowego pomieszkania.

Braci pochowano razem. Regina została dziedziczką ich majątku i ich myśli. W skromnym ustroniu górskiej wioszczyzny żyje oddana pracy gospodarskiej i wychowaniu jedynego syna-pogrobowca, który kiedyś ma na nowo rozpocząć i dalej prowadzić pracę, rozpoczętą przez jego ojca i stryja i tak nagle w samym początku przerwana. Cała wioska zna tę wysmukłą jeszcze, bladą i smętną postać, zawsze chodzącą w żałobie i zawsze gotową pomagać każdemu choremu, cierpiącemu lub potrzebującemu. Z jej skromnego domu płyną dobrodziejstwa, płynie oświata na całą okolicę. Tu jest i szkółka i czytelnia ludowa, tu apteczka z najpotrzebniejszymi lekami dla chorych; tu włościanki zasięgają porady w sprawie robót ręcznych, dostają nasion jarzyny i przypatrują się ulepszonym narzędziom gospodarczym; tu i gospodarze bardzo często przychodzą za poradą w sprawach gminnych a nawet prawnych. Pani Regina chętnie sama poradzi, w książkach poszuka lub nawet do miasteczka pojedzie, u znajomych pa-nów się rozpyta i sprawę chłopską poprze.

I synek jej, wierny obraz ojca i jedyna pociecha, jedyna miłość jej życia ten sam duch wyssał z mlekiem, w tych samych rośnię ideach. Wiejska strzecha jest dla niego rodzinną strzechą, wiejskie dzieci — towarzysze jego zabaw dzieciennych, jego pierwszej nauki, pierwszej pracy fizycznej. Na mogiłach smutnej przeszłości wykwita pyszne i wonne kwiecie przyszłości. Szczęść Boże ci, wonne kwiecie! Szczęść Boże twej cichej a błogostawionej pracy, Regino!

## BOHATER MIMO WOLI

Grzegorz Kalinowicz był kancelistą przy lwowskiej buchalterii państwowej, jeszcze za pańszczyzny. Dwadzieścia lat liczył on państwowe dochody, dwadzieścia najpiękniejszych lat życia spędził w jednej ciemnej kancelarii, na jednym drewnianym krześle, nad księgami rachunkowymi żyjąc z dnia na dzień, regularnie i punktualnie, jak dobrze nakręcony zegarek, nie marząc o żadnych zmianach i innym życiu. Trzeba było dopiero wypadków 1848 roku, żeby wzburzyć do dna i jego ciche, samotne życie. Co prawda, w politykę Kalinowicz się nie mieszał, do gazet nie pisał, w ulicznych zbiegowiskach, agitacjach i kocich muzykach udziału nie brał; podczas wszystkich burzliwych scen od marca aż do listopada siedział punktualnie na swym miejscu, w ciemnej i brudnej kancelarii w ratuszu, i liczył, liczył, jak gdyby cały patrymonialny stosunek stał niewzruszony, a nie rozlatywał się w strzępy. Aż nagle dnia pierwszego listopada, biedny kancelista pomimo wszelkiej usilności i wyłożonej uwagi, jakiej wymagała jego praca, spostrzegł dokoła siebie ruch niezwykły. Prawda, do krzyków, biegania, tłumnych zbiegowisk, grzmiących wiewatów i hałaśliwych narad przywykł on już tego roku doskonale, ale tym razem oczywiście było w toku coś nadzwyczajnego. Krzyków wielkich nie było, ale za to słychać było krótkie, donośnym głosem wydawane rozkazy; nie biegano tłumnie i bez celu, ale co chwila przebiegali to członkowie rady miejskiej, to policjanci, gwardziści, członkowie Rady narodowej do sali posiedzeń wydziału miejskiego i na powrót. Naraz nastąpiła kompletna, martwa cisza, jak przed burzą. Kalinowicz opuścił pióro z ręki i podniósł głowę. Zdało mu się, że jest w kamiennym, zamurowanym grobie, i poczuł nagie, jak mróz przechodzi mu poza plecyma.

— Cóż to może być takiego? — pomyślał i wstawszy z wolna ze swego krzesła ruszył ku drzwiom, by u przebiegających po sieni gwardzistów dowiedzieć się, co tam słychać na świecie. Nagle zabrzęczały okna, zadrżały grube ściany budynku i potężny huk wystrzału działowego wstrząsnął powietrzem. Pociski zastukały o bruk i ściany ratusza.

— Boże, a to co? — krzyknął biedny kancelista i nie oglądając się, bez czapki, kaloszy i paltota wybiegł z kancelarii, której już nigdy w życiu nie miał zobaczyć. W korytarzu było pusto, gwar głosów ludzkich i stuk kroków dolatywał go z dala, zdaje się, gdzieś z pierwszego piętra. Stał chwilę u drzwi i słuchał, w tym podskoczył jak ukąszony; drugi wystrzał rozległ się nad miastem. Jak spłoszony koń, zakąsiwszy wędzidła, tak Kąlinowicz, wystraszony, z gwałtownie bijącym sercem, biegł wzdłuż korytarza ku bramie. Biegł bez pamięci, na oślep, dopóki się nie natknął na zbitą masę mieszczan, żydów i gwardzistów, co zalegali bramę ratusza.

— Nie wolno wychodzić! — wrzasnął do niego jeden z gwardzistów.

— O dla boga, a cóż tam takiego? — jęknął jeszcze bardziej przestraszony Kąlinowicz.

— Chyba pan nie słyszysz? Miasto bombardują!

— Miasto bombardują? Jak to, za co bombardują? — pytał zdziwiony kancelista. — Kiedy miasto bombardują, to znaczy, że i mnie bombardują. Przecież strzelają kulami, prawda? I na oślep, prawda? No, a przecież taka kula mnie pierwszego może trafić.

Homeryczny śmiech był odpowiedzią na te żałobne wywody kancelaryjnego mola.

— Śmieście się — rzekł ten — ale to przecież fakt oczywisty. Wyjdę na rynek, a tu bęc, i już po mnie! I za co? Co ja komu złego zrobiłem?

Znowu wybuch śmiechu, tym razem z towarzyszeniem trzeciej gwałtownej salwy armatniej i nowego grądu pocisków.

Kąlinowicz nie był bohaterem. Nie był nawet zwykłym śmiałkiem. Nie widział w tym wielkiego honoru, by znajdować się w budynku, na który skierowane są pociski armatne, a nadto znajdować się w nim pośród ludzi w znacznej części uzbrojonych i oczywiście więcej skłonnych do buntowniczej walki, niż do pokornej lojalności. Nie czuł też w sobie pociągu do męczeństwa za sprawę, której nie

rozumiał i która go nie obchodziła. Myślał, że byłoby najlepiej, gdyby teraz był w domu, w swym cichym domku, na ulicy Gołębiej, pod ochroną cytadeli. Tam pewnie buntu nie ma, a więc i pociski armatne nie lecą. Wydostać się z ratusza było więc teraz jego największym pragnieniem, tym więcej, że na domiar trwogi przed bombardowaniem trapiła go jeszcze inna obawa; a nuż dowiedzą się, że on w tak ważnej chwili znajdował się wśród buntowników i pozbawią go posady! O tym, że tam na dworze latają kule, z których każda może kres położyć jego życiu i nadziejom, on teraz nie myślał. Byle tylko na wolny, biały świat!

Ale jak się stąd wydobyć, kiedy wszystkie wyjścia obsadzone tą przekłętą gwardią narodową? Jak Marek po piekle tłukł się biedny kancelista po nieskończonych, ciemnych korytarzach ratuszowych, od bramy do bramy, wypatrując, czy którędy nie można wydobyć się na wolność.

— Proszę mię puścić, przecież już nie bombardują! — błagał Kalinowicz u jednych drzwi.

— Nie można! Jeszcze deputacja nie wróciła. W każdej chwili mogą znowu zacząć! — brzmiała odpowiedź!

Klnąc w duszy wszystkie na świecie rewolucje, Kalinowicz machinalnie prawie poszedł do innej bramy. O radość! Brama była wolną! Jak kamień z procy, wyrwał się Kalinowicz z ratusza, by biedz do domu. Ale nie było to rzeczą tak łatwą, jak mu się zdawało. Rynek zalegały wielotyśięczne gwarne i burzliwe tłumy. Po rogach słychać było krzyki, nawoływania, trzask łamanych mebli, rozpaczliwy brzęk fortepianu wyrzucanego przez okno z pierwszego piętra, płacz i hałas właścicieli zabieranych przedmiotów — jednym słowem, tam wrzało całe piekło głosów, dźwięków i ruchów szybkich, gorączkowych prawie — tam budowano barykady. Gwardziści w swych malowniczych mundurach, czeladź rzemieślnicza w płóciennych kurtkach i fartuchach, z zakasаныmi rękawami — stali w szeregach, z bronią w ręku. Między szeregami i obok wznoszonych barykad kręciły się całe roje pauprów ulicznych, wrzeszcząc, klnąc, nucąc pieśni, zbierając obłomki granatów lub też w spółce po kilku wrywając z bruku trembowelskie płyty.

Kalinowicz osłupiał na ten widok. A więc rzeczywiście rewolucja taka sama, o jakich w tym roku tyle się napisały gazety w doniesieniach z Paryża, Berlina, Wiednia!...

Barykady we Lwowie! i on, najwierniejszy poddany, który nigdy nie myślał o żadnej konstytucji, zamknięty w tym gnieź-

dzie szerszeni, skazany na łaskę i niełaskę tej rewolucyjnej zgra! Czuł, że się nogi pod nim chwieją, jak podkoszone, że mu się w głowie mącić zaczyna. Ale nie, to nie może być! Trzeba się spieszyć, dopóki spokój. Barykady jeszcze nie wykończone. Możeby się zamieszać między tych, co je budują, wdrapać się na górę i zeskoczyć na drugą stronę! Myśl ta wydała mu się nadzwyczaj szczęśliwą, pobiegł więc co tchu ku krakowskiej bramie. Od krakowskiego barykada sięgała już okien pierwszego piętra — skakać z niej, to znaczyło narazić się na kalectwo lub śmierć. Ale uliczka ku Jezuitom była wolna, tędy więc skierował swe kroki. Za ledwie atoli skręcił z rynku w tę uliczkę, z trudem przeciskając się przez tłum, zajęty budowaniem i utwierdzaniem barykady, gdy w tym rozległ się krzyk z ratusza — donośny, rozpaczliwy, a zarazem posypała się cała salwa wystrzałów karabinowych od strony gubernium. Rozstawieni tam żołnierze, nie dbając na żadne układy i pertraktacje, wzięli sobie za cel gwardzystów, stojących dla obserwacji na galerii wieży ratuszowej i zaczęli jednego po drugim zmiatać celnymi wystrzałami. Cały rynek zaryczał okropnym krzykiem oburzenia.

— Na barykady! — na barykady! Bronić się do upadłego! — wrzeszczały tłumy. — Do bronii! Do bronii!

Kalinowicz skamieniał na miejscu, nie wiedział co robić. Posypały się salwy karabinowe z placu Halickiego, z placu Mariackiego, od głównego odwachu i z placu Krakowskiego; cały rynek z przyległymi ulicami opasany był żelaznym pierścieniem wojska cesarskiego. O wydobyciu się z tego pierścienia nie było ani mowy, tym bardziej, że właśnie koło kościoła Jezuitów, na ustawionej tam, lecz nie wykończonej jeszcze barykadzie najgorętsza wszczęła się walka. Tu, za osłoną całej kupy piernatów, ławek i jednego fortepianu, stało kilkunastu gwardzystów i kilku starszych ludzi w poszarpanej odzieży, z ogniem zapału czy obłąkania w oczach i z karabinami w rękę.

— Bierz go na cell Tego, co się skrada po pod mur!

— Wal kamieniem, wali!

— Pilnuj się, bo dają ognia!

— Jeszcze Polska nie zginęła! — wystrzela z pomiędzy tego piekielnego zgiełku czysty, dziecięcy głos chłopaka, wcale porządnie ubranego, który z błogim uśmiechem na twarzy, podbiega ku walczącym na barykadzie i podaje im swą czapkę, pełną kul karabinowych, nazbieranych na ulicy.

— Bóg zapłać ci, kolego — mówi mu węsaty jegomość, wysypując część kul do swej torby, a resztę rozdając po garści towarzyszom. A chłopak znowu biegnie z prózną czapką iz tymże błogim uśmiechem zbiera kule, jak gdyby zbierał poziołki w lesie.

Kalinowicz stał pośród tego chaosu jak nieżywy, dając się popychać przyptywającym i odpływającym falom ludzi, widząc i słysząc, lecz nie rozumiejąc niczego, co się koło niego działo. Kilkakrotnie kule tuż obok niego padały, on nie zwracał na to uwagi. Ze szczytu Wysokiego Zamku znowu zagrzmiwały armaty, ratusz i teatr obsypano bombami, które wkrótce wznieciły wielki pożar, — on stał na swym niedogodnym miejscu, jak słup milowy. Od rynku naparł na niego tłum, wypłoszony kartaczami, którymi Hamerstein starał się „oczyścić” ulicę Halicką. On stanął pod murem, w drzwiach jakiegoś szczelnie zamkniętego sklepu. Oczy jego mimo woli spoczęły na barykadzie Jezuickiego kościoła, i nagle zapłonęło coś w tych siwych, nieco już przytępionych pracą biurową oczach, niby iskra elektryczna. Z całego tłumu żywych obrazów i postaci, co mrowiły się przed nim, jedna grupa zwróciła na siebie jego uwagę.

Na wierzchu barykady, pod samym kościołem, stał wysoki mężczyzna w koszuli i kamizelce, bez czapki i surduta. Piersią i twarzą przyłgnął do muru kościelnego, nogi rozstawił szeroko, by mieć silną oporę na niemocnej barykadzie, lewą ręką trzymał się gzymsu, a w prawej miał potężny sztuciec z odwiedzionym kurkiem. Wychylił pół głowy zza węgła muru, w jednej sekundzie wymierzył i wypalił, i znowu ukryje głowę za mur. Nie opuszczając stanowiska schyla prawą rękę ze sztuccem na dół i oddaje go siedzącej u jego stóp, skulonej postaci. Co to za postać? Nie widać jej, tylko widać ciemną materiałną chustkę, nakrywającą jej głowę. Lecz oto wychyliła się z pod chustki biała delikatna drobna rączka — dalibóg, rączka kobieca! Wzięła wystrzelony sztuciec, a podała strzelającemu drugi, nabity i do wystrzału przygotowany, znowu mężczyzna wychyla głowę, celuje i strzela, a skulona postać pod materiałną chustką coś tam żywo manipuluje w swej kryjówce, za osłoną belek, ławek, poduszek i rozmaitego rupiecia, z którego zbudowano barykadę.

Lecz oto po piątym czy szóstym wystrzale, postać pod chustką wychyliła się nieco w górę i krzyknęła tak donośnie, że aż Kalinowicz mógł postyszeć:

— Tatku, kule jeszcze są, ale prochu już nie ma!

— Szkoda! Dobra pozycja! — odrzekł jej mężczyzna równie donośnym głosem i opuścił swe stanowisko. Cóż to? Głos jego wydał się Kalinowiczowi bardzo a bardzo znajomym! Mężczyzna obrócił się twarzą do ulicy — boże! Wszak to Zakrzycki, jego najbliższy towarzysz biurowy! Że to strzelec zawołany, o tym Kalinowicz wiedział od dawna, gdyż obaj już piętnaście lat siedzieli obok siebie w jednej kancelarii. Ale nie wiedział Kalinowicz dwóch rzeczy: że ten zawołany strzelec może z równą pasją strzelać do ludzi, a nadto do austriackich żołnierzy, jak i do kaczek, a po drugie, że ten stary, ponury dziad, z ogromnymi, siwymi wąsami i z czerwonymi szramami na twarzy może mieć młodą córkę. Że ta córka młoda, to Kalinowicz poznał z jej wysmukłej postaci, a nade wszystko z czystego, srebrnego głosu, który jakieś dziwne echa wzbudził w jego sercu, — jak gdyby stary mól kancelaryjny (45 lat, czyż to nie poważny wiek!) naraz zrzucił ze siebie lat dwadzieścia i znalazł się wśród zielonych pól pełnych kwiatów i woni i śpiewu ptasząt, pełen zdrowia, siły w ciele i nadziei w duszy. Stał jak zaczarowany tym głosem. Mogły sobie kule świstać mimo jego uszu, mogli jęczeć ranni, wydawać szalone okrzyki i chwilowi zwycięzcy, trzeszczeć prażone kartaczami barykady, grzmieć w oddali bębny i sygnały bojowe i huczyć działa nad miastem zagłuszając huk podwójnego pożaru. W pobliżu dla Kalinowicza wszystko to nie istniało. Jego oczy, uszy i dusza cała zatopione były w jednym punkcie, w owianej dymem wystrzałów grupie ojca i córki na barykadzie.

— Kapitanie, prochu nam potrzeba! — wrzasnął Zakrzycki do jakiegoś weterana z zawieszonym wąsem i w wysokiej rogatej czapce, który stał u podnóża barykady z paczkami amunicji.

— Bierz, bracie, a praż! — rzekł kapitan. — Trzymajmy się do wieczora, to nasza będzie wygrana. Przedmieścia powstaną, wyparujemy wojsko z miasta, a tymczasem i na prowincji, da bóg, ruszą się narody.

— To już wasza rzecz liczyć co tam będzie, a moja rzecz prażyć — rzekł Zakrzycki — już mam pięciu, a da bóg, że jeszcze — o Jezul

W tej chwili Zakrzycki, obrócony bokiem do odwachu, a twarzą do kapitana, od którego dostał proch, zachwiał się i chwyciwszy się oboma rękami za bok, z głośnym jękiem jak długi runął z barykady na dół, głową prosto pod



nogi kapitana. Kula przeszła mu prawy bok i ugrzęzła w lewym, przeszedłszy przez samo serce. Proch, przyniesiony przez kapitana, pozostał bez użytku.

— Mój ojczel! Mój ojczel! — rozległ się rozdzierający krzyk dziewczyny, która w jednej chwili zerwała się z kryjówki, zeskoczyła z barykady i przykucnęła obok trupa. Lecz w tejże chwili zagrzmiała okropna salwa, zatrzeszczała barykada i runęła, rozsypując się w gruzy i pokrywając swymi zwaliskami ojca i córkę. Pierzchli jej obrońcy w szalonym popłochu, zagrzmiały bębny, na placu przed Jezuitami mignęły wysokie bermyce żołnierzy, po nad które jeżyły się ostrza bagnatów, ale Kalinowicz nie czuł, nie widział niczego.

— Ależ ona tam zginie pod gruzami! — oto była jego jedyna myśl. Ją roztratają, a może nawet odgrzebią i rozstrzelą!

Na tę myśl krew mu się lodem ścięła w żyłach. A rzecz to możliwa, gdy przy niej znajdują kule i sztuciec. I nie namyślając się, nie wiedząc co robi, Kalinowicz rzucił się ku barykadzie. Z nadludzką siłą jął odrzucać na bok ułamki desek, skryń, szaf i innych gratów, dopóki nie odgrzebał dziewczyny. Leżała skrwawiona, sztywna, może nawet martwa na trupie ojca. Kalinowicz chciał ją podnieść, ale zeszywniałe ręce kureczowo ścisnęły szyję ojca. Szarpnął co siły i chwyciwszy drogi ciężar na ramiona, począł z nim uciekać co siły, jak złodziej ze skradzionym skarbem. Żołnierze właśnie włązili na barykadę, byli zaledwie o parę kroków od niego oddaleni, lecz nie spodziewając się już oporu, nie byli przygotowani do strzałów. Parę sekund, nim pierwsi zdolali podnieść karabiny i wycelować do niego — zbawiły Kalinowicza. Jak goniony żbik skoczył on za róg domu, gdzie był bodaj trochę zasłonięty przed strzałami, i popędził uliczką na rynek. Wpadł w tłum, instynktownie czując się tu bezpieczniejszym.

— Brawo, stary, brawo! — ozwały się kilku świadków jego mimowolnego bohaterstwa. — Wyrwałeś ją z samego ognia, wybawiłeś od niechybnej śmierci!

Te okrzyki pochwały otrzeźwiły go nieco. Boże, co on narobił! Wszak ta dziewczyna, którą on trzymał w ręku, dla której narażał swe życie, była przestępczyni, walczyła na barykadzie, zasłużyła na śmierć. Co powiedzą, gdy się dowiedzą, że on, najlojalniejszy z lojalnych, najpokorniejszy z pokornych, wyrwał ją z rąk sprawiedliwości?

Rzecz oczywista, że surowa kara i jego nie minie. I cała jego chwilowa odwaga, pochodząca raczej z przytępienia świadomości, niż z poczucia siły, znikła bez śladu. Kolana zadygotały pod nim, w oczach się ćmiło na samą myśl o tym, co on zrobił i co go czeka, i drżącym, prawie płaszliwym głosem zaczął błagać:

— Mój boże! zlitujcie się państwow! Pomóżcie mi ukryć tę biedną sierotę. Ojca straciła przed chwilą! Jak ją znajdą, to i ją i mnie czeka śmierć. Na boga, zlitujcie się!

Ale krzyk jego przebrzmiał bez echa. Kto miał się nad nim litować, kiedy każdy drżał o własną skórę. Barykady padły, żołnierze szturmem wdzierali się na rynek. Dokoła płonącego jak olbrzymia świeca ratusza odgrywały się sceny piekielnego zamięszania i popłochu. Wszystko leciało, krzyczało, kłęto, kryło się niewiedomo dokąd. Drzwi były pozamykane, okna pozastawiane, tu i ówdzie wylęknione tłumy z wyęzieniem ostatnich sił dobijały się do zamkniętych bram, wrzeszcząc i błagając o litość — nie wiedzieć kogo. W tym chaosie nieszczęsny Kalinowicz ze skrwawioną, wciąż jeszcze nieprzytomną dziewczyną na ramionach przedstawiał obraz bezwładnej trwogi i zupełnej bezradności.

— No, czego tu stoisz, stary durniu? — ozwał się naraz do niego gruby głos. — Czekasz aż bermyce przyjdą i naszpikują was obojga, jak zajęcy. Chodź, a prędko!

I jakaś twarda potężna ręka chwyciła go za plecy, obróciła w półobrót i popchnęła gwałtownie ku najbliższej, zamkniętej bramie. Chciał stanąć, opamiętać się, ale ręka trzymała go za kołnierz i pchała ku drzwiom. Uderzył się o nie — i ... o dziwo — drzwi się otworzyły, i Kalinowicz ze swym ciężarem znalazł się w ciemnej ciasnej sieni sklepowej. I tuż za nim zapadły żelazne wrzeciędzie, zgrzytnął zamek, i prawie w tej samej sekundzie na rogu rynku odezwała się ostatnia salwa karabinowa, znak, że żołnierze przełamali wszelki opór i wstępują na rynek. Chwila opóźnienia, a Kalinowicz i dziewczyna byłiby bezpowrotnie zgubieni.

— Dalej, dalej! Nie ma tu czego stać! — odezwał się za nim ten sam gruby głos, ale już daleko łagodniej. — Mogą tu przyjść, mogą zarządzić otwarcia bramy, mogą pana znaleźć. I tak jeszcze łaska boża, żeśmy się wyrwali.

I obaj pobiegli co tchu wzdłuż sieni ku podwórzu.

— Stój pan tutaj, w tej ciemnej framudze, by pana z nią w podwórzu nikt nie widział — rzekł gruby głos, — a ja

pójdę po klucze od piwnicy. Ja pana schowam, nie bój się pan, będziecie bezpieczni.

I z wolna, niby od jakiego zajęcia, właściciel grubego głosu poszedł na podwórze, pomachując miotłą, którą wziął gdzieś z kąta. Był to stróż kamieniczny, który w tej okropnej chwili zlitował się nad Kalinowiczem i wypatrzywszy stosowny moment, wybiegł i wciągnął go do kamienicy. Po chwili wrócił z kluczem od piwnicy za pasem.

— Chodź pan za mną! — rzekł z cicha stróż. — A cóż pańska dziewczyna żywa?

— Żywa, czuję jak jej serce bije, ale zemdląta i ciągle jeszcze nie może przyjść do siebie.

— No, bogu dzięki, że żywa, my już ją jakoś ocucimy. Daj mi pan ją, ja silniejszy, to ją poniosę. Tu schody strome, uważaj pan, byś pan nie upadł.

I wzięwszy ciągle jeszcze sztywną i nieruchomą dziewczynę na jedną rękę, jak dziecko, stróż poszedł naprzód, drugą ręką opierając się o ścianę. Wchód do piwnicy był stromy i całkiem ciemny.

— Trzymaj się pan mnie, żebyś się nie zgubił, bo tu między beczkami bez światła zabłądzić można — rzekł stróż.

Kalinowicz chwycił go za ramię, i tak szli dość długo tym ciemnym podziemiem, w którym gdzieś tylko, jak szare plamki, migąły małe, zakratowane okienka.

— Jesteśmy u celu! — rzekł stróż, zatrzymując się w najdalszym i jak się zdawało najciemniejszym kącie. — Tu pan będzie bezpiecznym. Proszę się tylko dobrze schylić i za mną!

I schyliwszy się we dwoje stróż wlaźł w jakąś niby norę, niby framugę wybitą w ścianie. Od strony piwnicy zamykała tę norę ściana ogromnej dębowej beczki, spoczywającej na dwóch sporych belkach. Beczka ta sama zajmowała cały jeden oddział piwnicy, lecz obecnie także była próżna, zasłaniając sobą jedno okienko. Lecz właśnie w stronie od okienka w jej ogromnym dnie wybita była jedna deska z dołu, a jedna z góry, tak, że z tej strony, dostępnej jedynie przez wyżej wymienioną framugę, można się było dostać do wnętrza beczki, mało co mniej obszernego, jak maleńki, ciemny pokój. Do tej to kryjówki wprowadził stróż Kalinowicza i uratowaną przezeń dziewczynę.

— Tutaj możecie państwo być bezpieczni choćby i tydzień, dopóki się wszystko nie uspokoi — rzekł stróż, układając dziewczynę w kącie beczki. — Ja wam tu zaraz przyniosę parę poduszek, wody i jeszcze tam czego, co będzie

pod ręką, to ją ocucimy, a i do zjedzenia może się co znaleźć.

— Panie — rzekł odetchnąwszy nieco po tylu gwałtownych i niezwykłych wstrząśnieniach drżącym głosem Kalinowicz i obiema rękami szczerze uścisnął rękę litościwego stróża — panie, pan Bóg man pana zesał w chwili najstraszniejszego niebezpieczeństwa, w chwili rozpacz. Czym ja się panu odwdzięczę za tyle dobroci?

— E, co tam gadać — rzekł stróż. Teraz taka pora, że człowiek musi człowiekowi pomagać. Przecieżem ja przez okienko nad bramą widział i słyszał, jak pana chwalili za to, żeś pan tę dziewczynę z najstraszniejszego ognia wyrwał. I myślę sobie: a cóż ja mam być gorszy od pana?

I rzekłszy to uczciwy człowiek czym prędzej oddalił się pozostawiając Kalinowicza sam na sam z uratowaną przezeń dziewczyną. Przez wybitą z dna beczki u góry deskę padały z okienka piwnicznego słabe odblaski słonecznego światła do wnętrza beczki. Przy tym bladawym blasku mógł Kalinowicz pierwszy raz nieco uważniej przypatrzeć się dziewczynie, która leżała wciąż jeszcze nieruchoma, blada z twarzą obryzganą krwią ojca, i jak się zdawało Kalinowiczowi, z niewielką ranką na czole, z której kroplami sączyła krew. Była to dziewczyna lat może 18, lecz wątłej budowy i nieszczególnej piękności, o podługowatej twarzy, wysokim, wypukłym czole, dużych ustach i nieco za ostrej brodzie. Kurczowo ściśnięte pięście złożone były na piersi, duży, kruczony warkocz we dwa sploty obwinięty był dokoła głowy, nakrytej grubą, czarną, materiałną chustką, która popod pachy zawiązana była węzłem na grzbiecie. Stanik i spodniczka z grubego perkalu, dobrze już ponoszone, nie wspólnego nie miały z panującą modą i oczywiście były własnego kroju; na nogach, nieco za dużych dla jej drobnej postaci, miała buciki sznurowane, letnie, również dobrze już ponoszone. Wszystko na tej postaci świadczyło o nadzwyczaj skromnym jej trybie życia, o nadzwyczaj szczupłych środkach, o codziennej nieustannej pracy, o nieszczerólnie dobrym odżywianiu wśród nieosobliwszych warunków higienicznych.

Gdyby Kalinowicz w zwykłym czasie spotkał taką postać na ulicy, nie zwróciłby na nią żadnej uwagi, jak na tysiące podobnych postaci, co dzień spotykanych. Gdyby ktoś powiedział, że postać ta zdolna jest w swym życiu do czego innego prócz szycia, prania i gotowania, że w jej duszy mogą się roić jakieś wyższe, idealne, ba nawet patriotyczne marze-

nia — wyśmiałyby takiego człowieka jak chorego romantyka, on który mimo ukończonej szkoły niemieckiej i mimo 45 lat życia nie znał żadnego innego patriotyzmu prócz biurowej punktualności. A przecież był to fakt niezbity, niewątpliwy, że ta sama mizerna osóbką bez śladu bojaźni siedziała na barykadzie pod gradem kul; że te same niepiękne, spracowane ręce równie zwinnie nabijały sztuce, jak może dziś rano jeszcze zwinnie zamiatały podłogę i gotowały śniadanie. Jej głos, jej słowa wyrzeczone na barykadzie do ojca dotychczas żywo brzmiały w duszy Kalinowicza, budząc jakieś tajemnicze, słodkie echa w najtajniejszych zakątkach tej samotnie wędrującej duszy.

Dziwna jakaś opanowała go zaduma. Odwrócił się od leżącej dziewczyny i począł się wpatrywać w jasną szparę okienka, jak gdyby chciał przy pomocy tej niewielkiej, jasnej szpary dojść do zupełnej świadomości swego położenia, wyjaśnić sobie dokładnie wszystkie przygody dzisiejszego dnia. Dokoła panowała głęboka cisza; rynek, niedawno jeszcze kipiący życiem i tysiącnymi głosami, obecnie, zdawało się, zamarł zupełnie, tylko gdzieś w oddali tętniły miarowe, ciężkie kroki przejeżdżającej po ulicach patroli konnej. Ale mimo tej ciszy myśli Kalinowicza plątały się, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka wkiłała je naumyślnie. Wten posłyszał szelest za sobą, odwrócił się i o mało nie krzyknął z podziwu, radości i przerażenia. Dziewczyna siedziała i na pół nieprzytomnie wpatrywała się w niego swymi dużymi, czarnymi oczyma.

Co to były za oczy! Kalinowiczowi zdało się, że w tej chwili pogląda na niego całkiem inną twarz, niż ta, którą widział przed chwilą. Te oczy nadawały jej tyle wyrazu, tyle ognia i życia, że Kalinowicz aż się zmieszał i zawstydział, sam nie wiedząc czego. Po długiej chwili męczącego milczenia przemówiła wreszcie dziewczyna dźwięcznym, energicznym głosem:

— Gdzie jest mój ojciec?

Kalinowicz zmieszał się jeszcze bardziej. On już układał sobie w myśli cały plan, jak to on delikatnie i dyplomatycznie przygotuje tę biedną sierotę na okropną wiadomość o tym, co się z nią i z jej ojcem stało, ale to proste pytanie od razu popsło mu wszystkie szyki.

— Pro... pro... szę... pa... pa... nienki — wyjął on i urwał.

— Gdzie mój ojciec? — powtórzyło dziewczę spokojnie,

nie spuszczać z Kalinowicza szych płonących oczu.— Powiedz mi pan od razu i bez ogródek. Przecież ja wiem, że ojciec został ugodzony kulą w bok na barykadzie. Czy umarł?

— Umarł na miejscu.

— To dobrze — rzekło dziewczę spokojnie.— To lepiej, bo się nie dostanie w ich ręce, będą go męczyć. A gdzie jest jego trup?

— Pozostał pod barykadą. Nie można go było uratować.

— Dlaczego? Chyba barykadę zdobyto?

— Oczywiście. Skoro panienka z niej zeskoczyła ku ojcu, to i barykada runęła i przywalila was oboje.

— A pan mię wyratował, a? Dzięki panu, choć może lepiej by było dla mnie, gdybym była razem z ojcem zginęła.

— Co też panienka mówi! — krzyknął z prawdziwym przestachem Kalinowicz.— Niech bóg bron! Pan bóg oczywiście chciał mieć panienkę żywą, bo chronił ją w największych niebezpieczeństwach. Raz, gdym ją wydobyl sod gruzów barykady i wydarł prawie szred nosa szturmujących żołnierzy, a drugi raz, gdym stał z nią na rynku, wśród zgiełku, trwogi i zamieszania, i tylko litosciwe serce stróża tej kamienicy uratowało nas oboje od niechybnego rozstrzelania przez nadchodzące wojsko.

— Dzielnieś się pan spisał — rzekła dziewczyna, mierząc oczyma chudą, nieco przygarbioną postać Kalinowicza.— Ale kimże pan właściwie jesteś i co pana skłoniło do narażania swego życia dla uratowania nieznajomej dziewczyny?

— Może i nie całkiem tak nieznajomej — rzekł Kalinowicz nieco zmieszany.— Prawda, pani samej nie miałem przyjemności znać, i nawet się dziwię, jak się to stało. Bo przecież z ojcem pani piętnaście lat pracowaliśmy w jednym biurze.

— Czy tak? A jak się pan nazywasz?

— Kalinowicz.

— Aha, wiem, wiem! Ojciec nieraz opowiadał mi o panu, chwalił pańską uczciwość, ale przeklinał pańską uległość. "Dobry człowiek, ale taki czarno-żółty, że aż obrzydzenie bierze.. Niech się pan nie gniewa, ale mówię co prawda. I dlatego ojciec z niczego się przed panem nie zwierzał, jak on kochał Polskę, naród, wolność! I mnie tak uczył! Szczy-

śliwy ojciec! Umarł za to, co tak gorąco kochał! Boże, a ja!  
Co ze mną będzie!

I chwyciwszy się rękami za głowę, dziewczyna zalała się łzami, zanosząc się od płaczu. Ten nagły wybuch dziecięcego i patriotycznego uczucia jeszcze bardziej zmieszał Kalinowicza, niż poprzednie słowa. On przykląkł obok płaczącej, starał się ją pocieszyć, powtarzając rozmaite frazesy o wolności i miłości ojczyzny, jakie niejednokrotnie słyszał w ciągu tego roku, które dotychczas zawsze obijały się o jego duszę, jak groch o ścianę.

— Milcz pan! — krzyknęło nagle dziewczę. — Co pan gadasz o rzeczach, których pan nie rozumiesz i nie czujesz! Daj mi się pan wyplakać!

Do reszty zmieszany i zawstydzony Kalinowicz usiadł w ciemnym kącie beczki i tylko ruch, każde wejrzenie poruszały do żywego całą duszę.

Przyszeli stróż i ucieszył się szczerze, że panienska przyszła do siebie. Przyniósł konewkę wody, w której na dnie znajdowała się flaszka z winem. Omyto ranę dziewczyny, która okazała się całkiem lekką; wino pokrzepiło ją zarówno jak i Kalinowicza. Po chwili stróż przyniósł też w blaszanej szali rosół i dwa kawałki mięsa. Dopóki niezwykli goście jedli, stróż usiadłszy obok nich opowiadał, co się dzieje na świecie.

— Niech bóg broni, co tam za okropności! Zakazano wszystkim pokazywać się na ulicy. Wojskowe furgony wożą trupy z barykad i z rynku do trupiarni. Być może, że Hammerstein zechce robić rewizję po wszystkich domach, szukać broni i schowanych powstańców. Na wszelki sposób państwo możecie w tej beczce być bezpieczni, znaleźć was tu żadna rewizja nie może, ale też wychodzić stąd na świat zupełnie nie można, dopóki się wszystko nie uspokoi. Ratusz, teatr i uniwersytet palą się ciągle; żołnierze stoją koło pożaru i nie pozwalają nikomu ratować.

— No, to już i do naszego mieszkania nie ma po co wracać rzekła ze smutkiem dziewczyna. — Gdyśmy dziś rano wychodzili z ojcem z naszego pokoiku na poddaszu w teatralnym budynku, to ojciec mi mówił: Haniu, zdaje mi się, że ostatni raz widzę te ściany! I miał słusność. Biedny ojciec!

I znowu zalała się rześistymi łzami.

Krótki był romans starego kancelisty i biednej sieroty bez dachu. Gdy się wszystko uspokoiło, oboje opuścili swą

kryjówkę, serdeczne złożywszy dzięki litościwemu stróżowi. Kalinowicz zaproponował Hani zamieszkać u niego, a właściwie u tej gospodyni, u której on wynajmował jeden schludny pokój w małym parterowym domku na ulicy Gołęziej. Hania przystała na tę propozycję, bo zostawszy bez ojca, bez krewnych i znajomych, nie wiedziała dokąd się obrócić w tych burzliwych czasach. Kalinowicz stał się jej drugim ojcem, a po kilku miesiącach i mężem.



## ЯНДРУСИ<sup>1</sup>

— Владку, Начку, куди вас чорти носять?

— Лізе один з другим, як лельом-полельом.

— Свинтухи! Кажуть, що о першій будуть на місці, а отсе вже швидко другу битимуть<sup>2</sup>.

— Дати їм у карк по разу, нехай учаться додержувати слова.

— Споневіряти їм фронт<sup>3</sup>.

— Закобзати їх по під щєблі<sup>4</sup>.

— Заїхати їм між липки, щоб їм аж Войтко закапував!<sup>5</sup>

Такі окрики і делікатні вказівки чути було з великої, галасливої громади вуличних дітей на одній із малолюдних вулиць Львова з полудня одного гарного осіннього дня. Діти прирадили власне сього дня зробити собі спільний прохід на Пелчинські «гори» — на тернівки, печериці, глогові ягоди, при нагоді також на картоплі, морков, бруков, якої можна було «намухрати»<sup>6</sup> з сусідніх засаджених піль. У волецькім ліску мали розложити огонь, пекти картоплю та гриби. Загалом увесь пополудень, проведений на свободі, серед багатой осінньої природи, по словам головного ватажка Стефка, недавно прогнаного з варстату столярського термінатора, мав бути «приемний, як сто чортів».

Діти походилилися вже годину тому назад, але не вирушали, невважаючи на налягання деяких надто нетерпливих. Стефко, хлопчак уже майже під вусом, що держав

<sup>1</sup> В жаргоні львівських вуличників — хлопці.

<sup>2</sup> Знач[ить]: буде бити друга година.

<sup>3</sup> Набити по лиці.

<sup>4</sup> Поштурхати попід ребра.

<sup>5</sup> Ударити їх між очі, щоб їм аж місяць засвітив.

<sup>6</sup> Накрасти.

провід над усею сею громадою виключно на основі своєї переможної фізичної сили, зупиняв галасливу «голоту», допоки не зберуться всі учасники задуманої прогулки. Особливо були йому потрібні Владко і Начко, два брати-близнюки, підрутки в віці по десять літ, відомі задля своєї зручності та швидкості в ногах. Ніхто з усеї компанії не вмів ліпше від них упоратися в городі чи серед овочевих дерев, не здужав зручніше втікати перед погонею, користати з найнезначніших і зовсім несподіваних кривок і вертати з багатшою добичею. Тим-то й не диво, що в очах Стефка, який на весь сей похід дивився чисто з практичного погляду, Владко і Начко були неминуче потрібні учасники і що він солів цілу годину видержати на місці свою нетерпливу «галайстру», ніж вирушати в поле без них.

Нарешті дожидані показалися на закруті вулиці, і їх привітано градом погроз, докорів та жартів.

— Де ж ви, бахурня, так довго сиділи у дідька? — запитав їх Стефко, коли вони порівнялися з компанією.

— Мусили ждати на обід. Войцехова рано була десь там на хрестинах, вернула аж о одинадцятій і то вже під доброю датою<sup>1</sup>. То насамперед поки нас обох набила, потім поки висварилася з чоловіком, потім поки розпалила огонь і зварила бульби до борщу, то й перша минула.

— А за що ж вас била?

— Або я знаю! — відповів байдужно Владко. — Се вже у неї щоденна встанова. Каже, що без її бухняків і різок ми не росли б зовсім.

— А сьогодні, — докинув Начко, лише блискучими оченятами зраджуючи свій внутрішній сміх, — то вже, бігме, не знаю, за що ми дістали різкою, чи за котя, чи за молоко.

Вся компанія вибухла голосним сміхом.

— Як то, чи, може, котя виїло молоко?

— Е, де там! — спокійно відповів Владко. — Котятище захорувало на живіт, мабуть, від тих гнилих огірків,<sup>2</sup> що ми ними нагодували його вчора. Радимось сьогодні рано оба: чим би йому допомогти, бо шкода, якби холера здохла. Каже Начко: «Тут нічого не допоможе, хіба тепла мінеральна купіль». «Ба, а де ж йому у дідька взяти того мінералу?» — кажу я. А Начко каже: «А молоко хіба не мінерал?» А я кажу: «Та вже мінерал, чи не мінерал, але то певне, що воно помагає на живіт, особливо коли тепле. Сама

<sup>1</sup> Підохочена, напідпитку.

Войцехова не раз говорила». А наша Войцехова, знаєте, має грайзлерню<sup>1</sup>, то й молока щодень купує грубий гладущик, спарить і продає по півкватирці. І сьогодні так само. Спарила те молоко, відставила набік, а сама зібралася і пішла на хрестини, а свого глухого Войтка посадила в склепику, нехай продає. А нам тільки того й треба було. Зараз ми хоре котя з печі, поспотрили йому живчик,— овва, кепсько! Неодмінно треба лічити. Ану, взяв Начко за хвостик, я за голову,— котяти ще вам лише лапки розставило і тихо. Питаю я Начка: «А що, Начку, чи помалу занурювати, чи відразу?» А Начко каже: «Хто знає, може, се наврочено, то треба відразу, щоб перелякалося, то й уроки перелякаються і втечуть». Думаю собі: «Має рацію». Як вам шубовснемо легесенько котя до молока, як котя відразу не м'явкне, мов скажене, як не вхопить мене пазурами за руку, я як не перелякаюся і не стріпну рукою, а моє котятко все й затонуло в молоці, лише Начко держав за хвостик. Подержав хвилечку, поки бульки йшли, витягає, а котярва вам зовсім гола, як бубон, і напухла, як бочка, лише пара з неї бухтить. Розуміється, що нежива, бо молоко, пся кість, було ще майже кипуче, так що вся шерсть із нього облізла і лишилася в горшку. «На, маеш! — кажу до Начка.— Отсе ж ми й видохторували котятище!» — «Е,— каже Начко,— байка котятище, але що буде з молоком?» — «З молоком,— кажу я.— Іди, дурний, що має бути з молоком? Молоко стара процідить і продасть по півкватирці, але котярви шкода». Почали ми сваритися, чого більше шкода, чи молока, чи котяти, й пішли на суд до глухого Войцеха. Але поки ми йому витолкували, в чім діло, аж ось прийшла й Войцехова й побачила, що ми нарobili.

Се Владкове оповідання, виголошене зовсім невинно і навіть подекуди патетично, від початку до кінця викликало ненастанні вибухи сміху в усій компанії. Стефко аж за боки хапався. Навіть Начко, стоячи збоку, всміхався добродушно, не стільки з самого оповідання, скільки з радості задля успіху брата, який серед усіх вуличників мав славу дуже забавного оповідача.

— Ну, і що ж,— запитав Стефко, насміявшись досита,— розсудила Войцехова вашу суперечку?

— Та ні,— відповів Владко майже з плачем.— Набити нас, щоправда, набила порядно, але на Начкове за-

<sup>1</sup> Склепик з віктуалами і всякими речами для щоденного вжитку.

питання, за що властиво нас б'є, за котя чи за молоко, дала йому по гамалику та й на тім кінець. Але я все гадаю, що їй більше шкода котятища, бо молоко стара чарівниця справді процідила, певно, ще сьогодні продаватиме.

— Ото стара чарівниця! — залунали довкола окрики дівтори. — Адже се хвороба, не молоко.

— Овва, не бійтеся! — відповів, уговкуючи їх, Владко. — Знає вона, що робити. Молоко ще раз переварить, змішає з чистим пів на пів, і ніхто й не пізнає, що в нім хоре котяще варилося.

Всю компанію безмірно забавило се оповідання. Серед голосних сміхів і жартів рушили всі під проводом Стефка до цитаделі, повторюючи між собою різними способами і з різними додатками Владкову повість про «котярву» та її оригінальне лічення. Тільки автори того веселого оповідання, Владко й Начко, не приймали участі в загальній веселості. Вони йшли на чолі товариства, по обох боках Стефка, пильно вислухуючи план кампанії, який він уложив на сьогодні і в яким на них припадали важні ролі.

— Знаєш що, Владку, — мовив Стефко, нахилиючися направо, — ти підеш отам на картофлі. А ти, Начку, — тут Стефко нахилився наліво, — підеш на бруков.

— Ні, — відповіли оба одним голосом, — ми підемо оба разом.

— Але в такім разі лишимося без брукви! — скрикнув Стефко.

— Чорт бери бруков! Картофля старша від брукви. А коли тобі так хочеться брукви, то йди сам або пішли кого.

— Кого тут післати, коли все се такий дріб'язок, а до того такі нездари! Найліпше було б, якби так один із вас...

— Ні, про се нема що говорити, — рішучо заявив Владко, — я без Начка нікуди не піду.

— І я без Владка сам не рушуся.

Стефко знав не від сьогодні про сю дивну дружність обох близнюків, які, бачилось, тільки оба враз творили одну цілу особу, одного зручного, догадливого та веселого хлопця, а розлучені хоч на хвилю, тратили свою веселість, робилися якимись неспокойними, розсіяними й недогадливими. Він іще раз пробував намовити їх, аби розлучилися сього разу, бо йому дуже хотілося брукви, а сам був занадто великий боягуз, щоб відважитися в білий день на крадіж.

— Правдяві з вас Лельом і Полельом, — мовив Стефко, плещучи їх обома руками по плечах. — Ніяким світом вас не розлучиш.

— І не треба, бо ми один без другого ні на що не здалі.

— Про мене, йдіть оба разом, — мовив Стефко, не знаходячи на се ніякої відповіді. — А з бруквою то вже ми якось дамо собі раду.

З шумом і галасом перебігла громадка обдертої, босої та замурзаної дівчорі через греблю Пелчинського ставу і розсипалася по корчах, що де-не-де покривали суміжні горбики.

Ожили сугорби від частих криків, вигуків та проклять, що дуже неприродно звучали в дитячих іноді устах. Але що ж, львівська вулиця — се також свого роду школа, де тон і словар для всіх однаковий і обов'язковий.

— Владку! Начку! — гукав Стефко, видряпавшись вже на верх горбика, з якого міг вигідно оглянути сусідні поля.

Владко і Начко були вже біля нього.

— Ну що, знаєте вже, куди маєте йти?

— Знаємо, знаємо.

— А уважайте гаразд! Там є й кукурудза.

— І кукурудзи наламаємо.

— Тільки треба кляво шпанувати<sup>1</sup>, бо в кукурудзі може кимати жолоб<sup>2</sup>, то щоб вас не заскочив.

— Не бійся, ніщо нам не станеться! — скрикнули брати і, побравшись за руки, пустилися чвалом по спохові горбика в напрямі до поля.

— А знаєте, куди йти потім? — кричав за ними Стефко.

— Знаємо, знаємо! До Волецького ліска! — скрикнули у відповідь йому хлопці і швидко сховалися в грядках, засаджених високою кукурудзою. Немов у воду, канули в гущавину сутої, шелестячої зелені.

Стефко довго придивлявся з гори, чи не побачить хоч якого сліду їх, але даремно. А, проте, поле, засаджене кукурудзою, зовсім не було таке широке, бо обіймало ледве десять грядок. А далі за кукурудзою йшла ширша смуга картоплі.

— Де ті відміни могли подітися? — муркотів сам до себе Стефко, даремно силкуючися своїми мішанськими, під-

<sup>1</sup> Добре глядіти.

<sup>2</sup> Може лежати клоп.

сліпуватими очима здалека проникнути в гущавину кукурудзи.

— І що там гуздраються так довго? Чому не копають картофель?

— Але в тій хвилі перервав пасмо своїх думок і аж у долоні плеснув з дива. На протилежнім кінці картопляної нивки з-посеред високих рядків і напіввисохлої натини мигнула йому чорна обстрижена голова одного з братів.

— Чи бачиш їх! Бухацькі<sup>1</sup> душі? — скрикнув Стефко, провнятий подивом.— Я думав, що вони ще в кукурудзі, а вони вже все картоплисько сплюндрували. Ну, не хотів би я слухати того, що зашіврає жолоб<sup>2</sup>, коли на своїй ниві побачить сліди їх роботи.

Та в тій хвилі пасмо Стефкових міркувань іще раз було перерване зовсім несподіваним робом. Із-посеред кукурудзи вихилилася кремезна, плечиста постава господаря і відрізала братам відворот. Запізно було ховатися, бо властитель почав гукати.

— Тримай! Лапай злодіїв!

— Тримай! Лапай! — почулося у відповідь на сей окрик із різних сторін, із сусідніх нив, де працювали господарі та господині, а також із багатолюдного тракту, що вів зі Львова на Вільку. Тікати туди — се значило бігти в пастку, де кожної хвилі могли їх зловити. Хлопці завагалися.

— А, тут ви мені, пташки! — заревів господар, наближаючися до братів з розпростертими навхрест руками, як хазяйка, що хоче зловити нараз дві курки.

Хлопці, виполошені зі своїх криївок, схопилися разом на рівні ноги і в першій хвилі немов задеревіли. Владко розігнався, щоб бігти до гостинця, але тут уже стояли люди, зваблені криком, творячи немов формальний кордон. Він зупинився і нараз, мов куля, кинувся до брата, що з поблідлим лицем і закушеними губами все ще стояв на місці, очима міряючи величину небезпеки. А господар звільна, з розхрещеними руками, червоний і грізний, наближався до них.

— Разом на нього, Начку! Сип йому головою в живіт, щоб на місці перевернувся! — крикнув Владко, і оба брати, немов два камінці, викинені з одної праці, кинулися до господаря.

<sup>1</sup> Злодійські.

<sup>2</sup> Говоритиме хлоп.

Але перечислилися. Замість утешити його головами в живіт, наскочили на міцні, жилисті руки, які відразу вхопили їх обох за обшивки.

— Ага, маю вас! — крикнув радісно господар і потрусив обома молодими злочинцями так міцно, що їм аж кості в карку затріщали і в очах замиготіло по сто свічок.

— Іще не маєш, песя твоя мати була! — запищав Владко, якому аж сльози станули в очах. — Начку, вали його головою в живіт, як то ти вмієш!

Начкові не треба було й говорити сього. Ледве став добре на землі по сильнім потрясенню, а вже, уставивши свою коротко обстрижену голову, як баран до бодення, з усеї сили вдарив господаря чолом під бік так напруго і несподівано, що сей аж зойкнув і лівою рукою вхопився за бік, випускаючи з неї Начкову обшивку. Але в тій же хвилі голосно крикнув з болю і підхопив праву руку до уст: рука обливалася кров'ю з довгої, хоч і неглибокої рани, яку заподіяв йому Владко ножем у долоню.

— А щоб вас чорти побрали, прокляті бахурі! — закляв неборак навздогін братам, що втікали з усеї сили, плюнуv і зі стоїцьким супокоем виняв із-за пазухи хустку та почав нею зав'язувати скалічену руку.

А хлопці тим часом, як вихор, ускочили в кукурудзу і тільки зашелестіли високим бадиллям.

— Тримай! Лапай злодіїв! — загукали сусіди, що якраз надбігли на поміч пошкодованому господареві.

— Е, дідька ви зловите, не їх, — мовив господар. — Навіть не трудіться. Нехай собі погуляють, уже я їм дам за своє.

І, говорячи се, він притримував зубами один кінець хустки, щоб міг здоровою рукою зав'язати вузол на скаліченій долоні.

— Та що воєи зробили вам?

— От бачите! Я вхопив їх обох за карки, думав собі: от діти. Був би потріпав їх троха та й пустив. А чорт їх знав, що се таке ще мале, а таке вже вправне в злодійськім ремеслі. О, з них, певно, ані один не згине своєю смертю!

— Ну, ну, і що ж вам зробили? — допитувалися сусіди, більше з цікавості на штучку хлопаків, ніж спочуваючи шкоді властителя.

— Та ось бачите що! Один із того чортівського накоренку як мене стусонув головою в бік, під саме серце, то я мало не зомлів. Здається, що там зломив мені пару ребер. А дру-

гий у тій самій хвилі вихопив якогось шматок гнипа та як фалатне мене по руці, адіть, як закровавив.

— А! — закричали в один голос сусіди та сусідки.— Отто діточки! Бодай не вирости більші! Бодай їм батько повісився! Щоб і слід їх загинув! Ну, дивіться, люди добрі, що то тепер за покоління виростає. Ісусе Назаренський, наверни їх десь на зломання карка, але не між народ християнський!

— А всьому винно те прокляте місто! — докинув один сусід.— То правдиве пекло, де чорти плодяться. Стягається туди всяка голота, як мурашки до гнізда, а потому розлазиться відтам і жити людям не дає! Чи городина, чи садовина, чи курка на оборі, чи що найменше, всього пильнууй, ніщо перед ними не певне!

Стара ненависть селян проти міста й міщан відізналася гучною луною серед усеї тої громади, і довго ще важкою хмарою над головами сеї громадки стояли прокляття та нарікання на місто.

А пошкодований господар стояв тим часом насеред своєї нивки, блідий, але спокійний, і водив очима по загонах, оцінюючи руїну, яку заподіяли йому зухвалі вуличники, особливо в картоплях та кукурудзі.

— Ну, і згляньтеся, людонькове, скільки ті шельми наробили мені шкоди! — бідкався господар, перериваючи безцільні падькання кумів і кумась.— На ринського б і не дивився. Ну, і скажіть, як тут чоловік має жити при таким розбою? Адже ж се розбій у білий день! Але ні, я їм того не подарую. Я їм покажу, куди стежка в горох. Вони думають, що я буду за ними бігати по дебрях, як шалений. Ні, нехай собі летять, я їх віднайду в самім гнізді. На щастя, знаю, де їх шукати,— се тої грубої грайзлерки на Гончарській, харцизяки — не знаю, чи синки, чи вихованки, але мені се все одно. Запакую я їх до кармелітів<sup>1</sup>, нехай там троха просидяться, а вже гунцвот не мое ім'я, коли не попрошу в поліції, аби їм перед тим порядно вигарбували шкіру.

Не так би був іще співав шановний волецький господар, якби був знав, що роблять хлоп'ята, вирвавшись з його рук. У граничнім рові, що відділював його кукурудзу від толоки, між лопущням лежала ціла купа наламаних кукурудзяних шульок, кілька великих бруквів і купа картоплі. До того складу шмигнули манівцями втікачі і, навантаживши свої

<sup>1</sup> Бувший монастир кармелітів, перемінений на в'язницю.



пазухи, кишені та шапки накраденою яриною, неважаючи на близькість господаря, виповзли ровом до поблизького яру, а ярмом погнали вгору до своїх товаришів.

Стефко з гори, захищений за терновим корчем, бачив усю ту історію, бачив, як брати попалися в руки господаря, як вирвалися від нього і зчезли серед кукурудзи. Відтоді минула добра хвиля, а хлопців не було видно. Вже Стефко думав, чи не перелякалися вони та не втекли додому, коли втім із дна яру, що роззявився тут же перед його ногами, почув легке псикання.

— Пст, пст!

— Хто там? — скрикнув Стефко, похилиючи голову в той бік, відкіль чулося псикання.

— Чи се ти, Стефку? — запитав притишений голос Владка.

— Я. А що там?

— Ходи сюди, поможи нам забрати. А швидше!

Не надумуючися довго, Стефко на лоб на шию кинувся вниз по стрімкій стіні яру. Потовкся порядно, подряпав собі лице об якесь колюче зілля, закривавив руки, якими силкувався задержатися, та зате в одній хвилі був на дні яру і, важко сапаючи, стояв біля обох братів.

— Не летить там хто за нами? — запитали брати в один голос.

— Ні, ніхто не летить? А ви що тут маєте?

— Як то що? Те, по що ходили. На, бери, поможи нам нести і ходімо швидко до лісу!

Стефко стояв остовпілий на вид здобичі, принесеної в такій великій силі, неважаючи на таку грізну небезпеку.

— Чорт у вас сидить! — скрикнув. — Адже ж жолоб мав вас у руках. І ви не боялися ще рвати?

— Бояти то ми боялися, бо якби хотів летіти за нами, то був би міг зловити нас. Але знов як ми нарвали, то гріх було лишити.

— Ну, а як же ви вирвалися від жолоба?

— Га, га, га! — зареготався Владко. — Попам'ятає він нас! Бачиш, отсим майхром<sup>1</sup> я розфалатав йому руку, як полядвицю.

— А я як кобзнув його маківкою<sup>2</sup> під щєблі, то, певно, зламав йому зо два!

<sup>1</sup> Ножем.

<sup>2</sup> Ударом по голові.

— А він, мабуть, поміркував собі, що забагато два гриби в борщ, і пустив нас на фрай.

— Га, га, га! — засміявся Стефко. — Козаки з вас, нема що казати. Го, буде троєння<sup>1</sup>, аж усі чорти розвеселяться. Ану, голота, до лісу!

Се мовлячи, Стефко свиснув на свою компанію і, ховаючися тут по ярах, тут виринаючи, мов кертиці, з-під землі, а там знов шниряючи, мов миші, з нори до нори, всі поспішали до волецького ліска.

Не минуло й півгодини, а вже в віддаленім закутку лісу, в ярку, біля коріння крислатого дуба палахкотів огник із сухих гілляк і листя, а в жару пеклися картоплі й обтерблені з листя шульки кукурудзи, а Стефко, сидючи на грубім корені, як який король, видавав накази і обділював розсаджену довкола дівтору рівно покрайними шматочками брукви.

Начка і Владка знов нема в компанії. Разом із двома іншими хлопчачами вони пішли на губи; ніхто так добре, як вони, не знає в сьому лісі полянок і корчів, де завсігди, не вважаючи на численних аматорів грибозбору, можна знайти кільканадцять гарних голубінок, сиріжок інших губ, придатних до печення. Заким вони вернуть, компанія перегризає по шматку брукви, але найліпші, найсоковитіші шматки лежать набоці, на зеленім лопусі, заховані для тих, що збирають губи. Картоплі, ані кукурудзи перед їх приходом ніхто не сміє їсти: упечені шматки відкладають набік, у гарячий попіл.

Боже, як чудово довкола! Тиша, сонечко гріє лагідно, хилячися вже до заходу. Старі дуби стоять, простягаючи вгору свої могутні рамена, і гріються до сонця. Лише задумана береза над яром посумніла і, мов золоті сльози, без вітру ронить додолу свої пожовклі листочки: кап, кап, кап! Жовна застукала в конарі. Капають від часу до часу напівдостиглі жолуді з дубів, і лише десь-колись ледве чутно долетить до сього відлюдного сховища голос бляшаного дзвінка на шиї у корови, що пасеться десь за битюю дорогою, в зубрянському зрубі. Діти, самі того не спостерігши, затихли, слухають легесенького хрускуту огнища, озираються довкола широко витріщеними оченятами, в яких із-під грубої кори міського зіпсуття, передчасного сирітства, нужди і занедбання проблискує

<sup>1</sup> Ідіння, бал.

щира радість, те хвилеве, але чисте щастя, яким надихає людську душу гарна природа. Ось маленька жовтава лісова мишка вибігла зі своєї нірки, приваблена теплом і лісовою — тишею, сіла на пні під густим корчем ліщини і нараз немов закам'яніла, вперши оченята в невиданий досі кривавий блиск горючого огнища. Потім піднесла до мордочки свої дрібні оксамитові лапки, немовби хотіла ближче придивитися дивному явищу, та нарешті, живо рухаючи білими вусиками, скочила на лісковий корч, ухопила навислий на гіллячці горіх і моментально сховалася зі здобиччю в своїй норці. Діти з німим подивом гляділи на прегарного звірика, але ніхто не поважився крикнути, тим менше кидати за ним патиками або сплюштити його. Пощо полошити? Адже воно не робить нікому нічого злого, та й діти також у тій хвилі не хотіли робити нікому нічого злого. Се вже не згряя львівських вуличників і шанталавців, аспірантів до криміналу та шпиталів, подення суспільності, — се купка добрих, тихих дітей, що бажають пестощів і любові, здібні до всього, що добре й великодушне, тулилася в яру коло коріння могутнього, старого дуба, біля огнища. На жаль, се огнище швидко загасне, чудовий день добіжить докінця, мине хвилина уноєння тишею та красою природи, а суспільність як була, так і лишиться байдужна на долю того подення, як була, так і буде вдєсятеро прудкіша до пімсти і кари, ніж до любові, пробачення та материнської дбайливості.

— Гурра! — почувлися голосні окрики з другого кінця яру, і з зеленої гущавини, немов щупаки з очерету, виринули почервонілі з розчіхраним волоссям, убрані в павутину та сухе листя, але веселі голови хлопчаків. Шапки несли в руках, а в кожній шапці повно грибів.

— Гурра! — привітала їх уся компанія.

— Отсе раз кляві яндруси! Шпануйте, що грибів намух-  
рали!<sup>1</sup>

— А щоб вас качка кòпнула! А де ж ви такі кляві голу-  
бінки наскочили?

— Ні, я все своє кажу, що ті бестіони мають до всього  
щастя. Княв їх із поду, то вони, певно, як кіт, упадуть на  
ноги.

— Вибери їм очі, то вони, як багач, будуть плечима  
бачити.

---

<sup>1</sup> Славні хлопці! Глядіть, скільки грибів назбирали!

Серед таких радісних окриків уся компанія обступила щасливих хлопчаків. Особливо Владко і Начко були в гонорах, до них були звернені всі вищі делікатні промови, вони були, так сказати, героями дня. Від них забрали губи, які під Стефковим доглядом почали чистити і пекти, відламуючи від кожної корінець і щедро посипаючи те місце сіллю. Губ було стільки, що на кожного з товариства випадало по три штуки, а надто лишалося ще по одній для Стефка, Владка і Начка. Розділу губ, як і всіх інших речей, докочувано гуртом, серед сварні та гармидеру, але якнайсумлінніше і з узглядненням усіх можливих вимогів справедливості. Тільки Владко і Начко, почувавши свої заслуги, не мішалися до тих суперечок, але сиділи біля огнища під дубом, смачно заїдаючи полишені їм шматки брукви і радісно оповідаючи про свою мандрівку по лісі за губами; пильно слухала їх з витріщеними оченятами і з отвореними устами купка наймолодших у компанії хлопчиків, шести та семилітніх лобузів, що заздро і з подивом гляділи на кожний крок братів, хапали кожне їх слово і, певне, всю ніч, лежачи десь по брудних, вонючих кутках своїх нужденних помешкань, будуть мріяти про ті чудеса природи, про пригоди серед лісової зелені, про ті приємності та розчарування грибозбору, які в тій хвилі так проречисто, доповнюючи один одного, розмальовують перед ними Владко і Начко.

— Кукурудза готова! Гей, до кукурудзи, бахурня! — кличе Стефко, і всі просто кидаються до нього. За кукурудзою йдуть печені картоплі з губами — «панська страва», як висловився хтось із товариства. Все се споживають серед голосних сміхів, жартів і добродушних дотинків. Сей згадує свій «дім», своїх «старих», родичів чи опікунів, той клине майстра, що нагнав його з терміну, інший висміває школу або столярську робітню, — одним словом, конверсація йде загальна, оживлена, суто переплітана пластичними дотепами у вуличнім жаргоні. Діти, що ще перед хвилию були лише дітьми, сотворіннями в ряді інших творів природи, тепер незначно, але цілковито перемінилися на репрезентантів певної суспільної верстви, певного людського типу і виразно виявили всі особливі прикмети того типу.

Сонце зайшло вже, коли весела гутірлива громадка по пам'ятній прогулці вертала до Львова. Громадка розбилася на купки, по двоє, по троє, що йшли собі свobodно, не слухаючи вже ніякої команди, тим більше, що Стефко, обпакো-

ваний досить значними рештками неспожитих картонель (придадуться на голодне завтра!), йшов із самого заду. Дивна річ, що Владко й Начко йшли самі і пригноблені, немов нараз упали з тої висоти, на якій стояли ще перед хвилию. Ніхто якось ними не займався, ніхто не поспішався притягти їх до своєї групи, і вони йшли окремо, один біля другого, і мовчали. Якись недобрі прочуття мучили їх; чим ближче до Львова, тим більше змагалось в них почуття якогось неспокою, якоїсь тривоги, щось немов чорна хмара, вагітна громами та градом, яка самим своїм наближенням насичує повітря електричністю і викликає незвичайне напруження та тремтіння в нервах людей і звірів. Ні один із братів не силкувався в'яснити собі причину сього незвичайного і неприємного стану, на дні діточих душ клубилося темне почуття вини, але свідомість не осмілювалася зірвати з неї остатню заслону.

— Владку,— сказав Начко, коли вже наближалися до Гончарської вулиці стежкою від цитадельної гори,— як думаєш, дуже нас буде цілувати Войцехова, коли нас побачить по таким довгим гулянням?

Тон і слова мали, очевидно, намір напровадити на Владка ліпший гумор, але хибили цілі вже хоч би тому, що слова були сказані якось холодно, очевидно, по довгим і зусильним надумуванню, та й тон відповідно до того був силуваний і неприродний.

— Ет, що там про се говорити! — відповів поважно Владко.— Що буде, побачимо.

Але і його думка зовсім не була така стоїчна, як його слова, навпаки, вона працювала сильно, творячи фантастичні плани, як би то і де би то сховатися так, щоб ніхто на світі не міг побачити ані його, ані Начка, щоб нависле над ними лихо — яке, від кого і за що, про се він силкувався не думати — минуло, а вони зі своєї безпечної схованки заграли б йому на носах. І пішли сцени за сценами, як то вони живуть собі, ні для кого не зримі, а самі бачачи все і всюди маючи доступ, і беруть, що їм подобається, мають усе, ні за що не платять, роблять, що хочуть, і сміються з усякої біди. А тим часом ноги хоча з кожною хвилиною робляться немов якісь важкіші, несвідомо і ніби против їх бажання несуть їх наперед, усе наперед, щораз ближче до цілі, до помешкання їх опікунки Войцехової. Вже вийшли на перевал цитадельної гори, вихилилися з-за її гребеня, і пониже їх стіп розсипався весь Львів півмісяцем на дні

ІВАН ФРАНКО.

# НА ЛОНІ ПРИРОДИ

І ИНШІ ОПОВІДАННЯ.



У ЛЬВОВІ, 1905.

З друкарні Наукового Тов. імени Шевченка  
сід зарядом К. Беднарського.

---

Титульна сторінка збірки «На лоні природи і інші оповідання» (1905).



I.

**Н**о, Панталаха, — мовив з чеська по польськи, на половину плаксивим а на половину насмішливим голосом директор в'язниці, — чи я ти не повідаль, щоб ти се не пориваль утікати. Відш, що ти з того прішло! Досталєс патдесат кїїв перед целим криміналом, достанеш кайданки і цели месец казенки, тай годї. А там-того панїче, що ти му помугль утікнут, ми вго еще зловіме, не бой се! І того самого за-коштує, що і ти!

— Ей, бачу, того не буде! — мовив спокійно і рішучо Панталаха.

— Не буде! — запищав директор присвакуючи до нього. — Як ти мі сміш так гадат? Откуд ти то віш, же не буде? А я ти повідам, же буде. Чекай ано! Ще тебе з казенки кажу в железах випровадїт на гоф, абис

долини. Левик на міській ратуші блискотить і горить у останньому промінні заходового сонця, бернардинський годинник видзвонює сьому годину, мулярі б'ють у дошки на «фаерант» десь коло св. Миколая, напівпрозорий блакитнуватий туман стелеться над містом і зливається в віддаленню з темною зеленню ліска на Високім замку...

Але що се за народ стоїть купою на Гончарській, саме перед грайзлернею Войцехової? Мужчини і баби, дроворізи з пилками і сокирами, муляр з кельнею, служниця з двома коновками води, бойко зі сливами та виноградом у двох кошиках, ганделес із перевішеною через плечі парою старих штанів — усе те обступило когось, слухає чогось, киває головами, жестикулює. З-поміж чорних халатів, зрібних сорочок та перкалевих фартухів і спідниць миготить жовта мосяжова бляха поліціяна. Іншим разом подібний вид був би для хлопців принадніший від медяника, і вони щодуху побігли би, щоб своїми фігурками побільшити вуличне збіговище, але тепер раптом видалося їм, що було б далеко ліпше, якби перед грайзлернею Войцехової не було ані живої душі. Щобільше, придивившись з гори трохи ближче тій вуличній групі, оба брати почули нараз, що вони підійшли до неї занадто близько і, немов на команду, завернули назад і пустилися навтеки. І не без причини. В середині групи обік поліціяна вирисовувалася на рожевому тлі вечорового неба кремезна постать господаря з Вільки, якому вони сьогодні, крім шкоди на ниві, зробили також шкоду на тілі.

— Лапай! Держи їх! — залунали голосні окрики з групи перед грайзлернею, і раптом видалося братам, що небо покритося густими хмарами, що дерева, які отінюють вулицю, нахилиють свої гілляки аж до землі і спиняють не лише їх кроки, але навіть спирають їм дух у грудях, і що вулична курява під їх ногами переминається на липку смолу, що чіпляється їх босих ніг, тягнеться за ними і зупиняє їх кроки.

— Ага, тут ви, пташки! — чути грубий голос над їх головами, і якісь тяжкі руки, мов молоти, спадають на їх плечі і валять їх обох разом на землю.

— Мамцю! Мамочко! Рятуй нас! — зойкнув Начко, заносячися конвульсійним хлипанням, коли тим часом Владко, закусивши губи аж до крові, бив руками і ногами, силкуючися вирватися від переслідовника. Та даремно. Швидко майже вся вулична юрба зібралася довкола них.



Поліціян узяв їх обох за карки і попхнув наперед себе; обік нього, кленучи та лаючи поганих лобузів, ішов пошкодований господар, а за ним цікава, галаслива вулична юрба.

— До поліції з ними! До арештів! Іще сьогодні протокол зложу! — повторяв господар.

Хлопці йшли машинально, майже не бачачи та не чуючи, що діялося довкола них. Начко все ще хлипав судорожно, а Владко гриз уста. А довкола них літала груба лайка і прокляття побожних кумась, крепкі дотинки робучого люду і вереск вуличної дівтори.

— Мій боже, таке то ще мале, а таке вже зопсоване, — зітхала якась бабуся, милосердно киваючи головою.

— А щоб їх і повішали, то не було би шкоди, моя кумочко! — викрикнув пискливий голос Войцехової насеред вулиці. — Бо ви не знаєте, скільки я з тими бахурами день у день нагризуся, намучуся, скільки їх натовчу та навпоминаю! Але де там! Видно, що вже одно з другим уродилося під такою злодійською зіркою. Богу дякувати, що вже їх тепер беруть, принаймні клопоту позбудуся.

Владко, йдучи поперед поліціаном, поруч із своїм братом, чув отсі слова. Голос Войцехової був йому аж надто добре знайомий.

Навпаки своїому звичаєві сим разом хлопець нічого не відповів їй, але, порівнявшись з нею і бачачи, що вона дивиться на нього, показав їй язик.

— О, бачите, злодійське насіння! — заверещала Войцехова. — Ведуть його на кару, а воно ще не покидається своїх чортівських штук. Чекай, чекай, ти, урвителью, будеш ти тепер знати, кому показувати язик! Пізнаєш ти, до чого ведуть твої збитки!

— Але той другий видається якийсь тихіший, потульніший, — мовила якась добродушна молодичка.

— Куди тобі! — закричала Войцехова. — Один, як і другий, росте для шибениці! То тиха вода, що береги лупає, мовчок, але ані на волос не ліпший від тамтого. Де один, там і другий. Ні, кумо, я все своє кажу: що під злодійською зіркою вродилося, се лише шибениця направить!

Брати не чули вже того острого засуду: в супроводі поліціяна, пошкодованого господаря і юрби цікавих вони пошкандибали до поліції.

## ПАНТАЛАХА

### I

— Но, Панталаха,— мовив зчеська по-польськи, наполовину плаксивим, а наполовину насмішливим голосом директор в'язниці,— чи я ти не повідаць, щоб ти се не пориваль утікати. Відіш, що ти з того прішло! Досталес патдесат кіїв перед целим криміналом, достанеш кайданки і цели месец казенки та й годі. А тамтого паніце, що ти му помугль утікнут, ми его еще зловіме, не бойсе! І того самого закоштує, що і ти!

— Ёй, бачу, того не буде! — мовив спокійно і рішуче Панталаха.

— Не буде! — запищав директор, прискакуючи до нього.— Як ти мі сміш так гадат? Откуд ти то віш, же не буде? А я ті повідам, же буде. Чекай ано! Ще тебе з казенки кажу в железах випровадіт на гоф, аби-с се подіваль, як го буду сольдаті прат кіяма. Не бойсе! Ми се не престрашиме, же он політицки вазен, же он вельки пан і вельки поляк! Ми му покажеме, же у нас є констітуце і равноправност: що Панталаха дусталь, то і Земеховски дустане. Як буг над нама, дустане!

Панталаха не відповідав нічого,— стояв спокійно біля дверей тюремної канцелярії, з лицем, похиленим до долівки, і з незапримітним іронічним усміхом, що грав довкола його уст.

Се був мужчина середнього росту, підсадкуватий, але дуже сильно збудований і мускулистий, одягнений у звичайний арештантський мундур, себто в куртку з грубого сивого сукна, в такі ж шаровари і з такою ж шапкою в руці. На ногах мав арештантські, великі та безугарні деревляники. Лице було обголене і зеленкувато-жовте «від тюремних мурів», волосся на голові коротко обстрижене. Була се

звичайна «зłodійська, кримінальська» фігура. Лише в невеликих чорних очах горіли іскорки великої, невичерпаної енергії, впертості та невтомимої, вічно рухливої, хоч до низьких, злочинних речей оберненої думки, а довкола тонких і гарно викроєних уст грав напівіронічний, напівжартливий, гумористичний усміх, якого не міг прогнати навіть біль одержаних перед хвилию на тюремнім подвір'ї п'ятдесятьох кнїв.

Пан директор на хвилию перестав говорити проповідь і пильно, уважно оглянув постать злодюги, що стояв перед ним. Були давні знайомі. Панталаха в коротких відступах часу відсиджував уже, як сам висловлювався, «третю капітуляцію» по вісім літ за крадіжі, dokonувані не раз з казочною зручністю, але звичайно також майже з дитинячою легкомисністю і з повним недбальством на замазання слідів злочину, так що по кождім таким учинку жандарми просто, як у дим, ішли до Панталахи, а сей звичайно й не думав відпиратися, лише хвалився «штукою», з якою вчинок був виконаний.

Про ті його штуки-дива говорено по всьому Поділлю, що було ареною його діяльності. Красти для самого зиску він уважав нечесно для своєї професії. Шукав перешкод, трудностей, які мусили б були відстрашити звичайного злодія. Конокрадством, що так поплачує на Поділлі задля близькості російської границі, він ніколи не бавився,— ніколи не крав коней зі стайні або з пасовиська. Натомість сам хвалився, що раз тільки в своїм житті «споганив пальці кінським стервом», укравши одному панові четверню з-перед самого носа, з карети насеред дороги. Угледів він свою жертву коло коршми на попасі, а бачачи, що ззаду до карети прив'язаний ремінним поясом тяжкий куфер, перерізав пояс ножиком і пішов наперед тою дорогою, куди мала їхати карета. І справді, карета швидко над'їхала: пан усередині, а на козлі фірман і льокай. Коли вже карета мала порівнятися з Панталахою, вдарило нараз задне колесо о камінь на дорозі, пудло карети підскочило напруго, ремінь, що держав куфер, тріснув до решти, і куфер упав на дорогу.

— Пане, пане! — крикнув Панталаха, коли повіз минав його, а ті, що їхали в ньому, не завважили згуби куфера.— Ви щось загубили.

Повіз зупинився. Льокай зіскочив і побачив, що се впав куфер, досить великий і важкий.

— Що за чорт! — крикнув фірман. — Як він міг упасти? Адже ж я сам прив'язав його, як бог приказав.

І зліз також, щоб оглянути ремені. Пан тим часом почав гніватись, сердитись і приневолювати до поспіху.

— Швидше, тумани, швидше! — кричав. — Не зав'язав один з другим ременя як слід і тепер розв'язався.

— Ні, прошу ясного пана, мовив фірман, надіймаючи капелюха, — то ремінь тріс. Я мовив ясному панові, що треба нового ременя. Тріс, як би його хто перерізав.

— Ну, то що ж тепер буде? — мовив пан.

— Мушу зішити. Маю при собі всьо, чого треба. Йди, Фільку, принеси куфер, я заразівсьню буду готов.

— А ти, — крикнув пан до Панталахи, — потримай коні! Чого стоїш, як туман! Бачиш, що коні муха тне, не хочуть стояти спокійно.

— Служу ясному пану! — скрикнув Панталаха і скочив до коней. — Мій боже, але ж бо ви, небожата, заплутались! Пррр! Стій, кося!

І за одним махом зробив порядок: повідпинав нашийники від дншля, а потім, обійшовши довкола, одною рукою вхопив за поводи, а другою так само швидко повідпинав орчики від штельваги, закинув їх одному задньому коневі на хребет, сам сів на другого і крикнув:

— Ну, пане, я вже готов! Бувайте здорові!

І заким пан та його слуги здужали зрозуміти, що се має значити, заким здужали відповідно крикнути з подиву й переполоху, вже Панталаха з четвернею був далеко. І заким слуги добігли до коршми та випросили в когось пару лихих шкап, щоб бігти в погоню за злодієм, уже злодія з кіньми й слід застиг. Лише пробігши якої півмилі, знайшли в рові коло дороги покинену упряж, крім поводів та кантариків. І неважаючи на найстаранніші пошукування, не віднайдено ані злодія, ані коней. Аж пізніше, при судовій розправі в цілком іншій ділі, той сам пан, що засідав між присяжними судьями, пізнав Панталаху, а сей добродушно признався до своєї штуки.

Та найбільше виробляв Панталаха з жидами. Не було в околиці багатого коршмаря, купця ані торговця, щоби колись не впав жертвою його промислу. Викрасти з контори прищрібовану вертгаймівську касу, витягти заспаному властителеві з-під подушки пачку банкнотів — такі й тим подібні штуки були Панталасі зовсім недивовижу. Ніякий замок не міг остоятись перед його руками. Як фаховий і не-

звичайно здібний слюсар-самоук, він попросту мав пасію до відчинювання замків, дороблювання ключів, витрихів і тому подібних знарядів. Досі розповідають у Скалаті забавну історію, як тамошні жиди по виході Панталаха з в'язниці за порадою рабина вислали до нього депутацію і взялися платити йому місячну пенсію по 30 ринських, аби лише жив собі спокійно й не робив їм шкоди. Панталаха прийняв сю пропозицію і жив спокійно щось зо три місяці. Нарешті остогидло йому порядне життя, і раз перед торговим днем як забрався вночі на ринок, то повідмикав усі склепи і всі брами, повиймав із ляд усі дрібні гроші, мідяки та срібняки, та посіяв по ривку. Можна уявити собі, з яким криком і лементом повітали жиди той торговий день.

Всі ті історії знав добре директор в'язниці, і годі заперечити, що вони робили його подекуди навіть симпатичним сього калогового «майстра злодія», який зрештою в цілій тюрмі тишився незвичайною популярністю. При тім директор не міг жалуватися на Панталашине поведження в тюремних мурах: ані в казні, ані в «лаборнї» Панталаха ніколи не робив «субернації»; навпаки, навіть між іншими арештантами вмів удержувати спокій, а до всякої роботи, що потребувала зручності та дотепності, був незрівнянний. Одно лише було нещастя: від часу до часу любив зробити збитка властям, а головню — від часу до часу нападав на нього гедз, і тоді ніщо не могло зупинити його перед раз у раз поновлюваними пробами втеки. Сидить, сидить спокійно три, чотири роки, і нараз якийсь біс приступить до нього, ні про що не думає, як тільки про втеку. Чи просити його, чи напоминати, чи карати, чи замикати до казенки<sup>1</sup> — ніщо не помагає. Раз утік із польової роботи, до якої доохресні державці наймають літом арештантів, — і відтоді вже не пускали його на роботу. Та незабаром утік другий раз, вмішавшись непізнаний між тих, що йшли на роботу. Кілька разів пробував перелізти через мур, що з одного боку замикав тюремне подвір'я, раз спустився по огневім мурі з даху на вулицю, а остатнім разом до спілки з якимсь Земеховським, політичним в'язнем і властителем дібр, утік, перебраний за поліціянта, просто брамою. Зловлено його по двох місяцях аж на румунській границі, а Земеховський

---

<sup>1</sup> Казенкою в львівських тюрмах називають окрему камеру, кудь саджають за кару злочинців, що провинуватяться против домашньої дисципліни в тюрмі.

пропав, як камінь у воду. З признань Панталахи виходило, що Замаховський давно вже за границею, десь у Франції або Швейцарії. Сього вже було забагато для прокураторії, і, крім звичайних дисциплінарних кар, Панталасі присуджено тепер дати в присутності всіх в'язнів 50 київ, які він власне одержав. Пригадуючи всі ті клопоти, які причинювала йому Панталашина втікацька манія, директор розжалолюбився і напівплаксивим голосом приговорював:

— Буйсе бога, Панталяха, що ти себе мислиш? Коли ти даси покуй temu утіканню? Вже ж ти одинаст рази утікаль, і що ті з того пришло? Не ліпше то одседет, що ті присудено, і вийти собі спокоєне? Маш еште того пульроку — просім те, не роб віце того гльоупстві!

Блиснули очі в Панталахи при тих словах, випростувалася його скулена постать.

— Пане директоре, — мовив спокійно. — Ваша річ мене пильнувати, а моя річ утікати. Щоб я мав сидіти лиш один день, а сьогодні мені б трапилась нагода втекти, то втечу. Така вже моя натура.

Директор аж руки заломав.

— Но, слішіте, що тен млюві! — обернувся він до стоячих довкола стражників та ключників. — *І такому чоловікові я мам дават моральні науки!* Я ему свое, а він мі свое! Слюхай, Панталяха, що я ті еште повім. Ми тут маме наказ від пана надпрокуратора: як еште раз будеш утікаль, а побачимо тебе, то маме право стрілят до тебе, як до пса. Розуміш?

— Знаю се віддавна, — мовив спокійно Панталаха.

— Но, але я мислім, же ті се юж в тим пульроку не трафі оказія до утікані. Ід же тепер до казні та відпочинь по тіх дісейших кіях, а зейтра дустанеш кайданкі і бідеш мусіль переспацероватсе до казенкі.

Панталаха вклонився і вийшов, міцно зціпивши зуби при думці про казенку. За ним вийшов ключник.

## II

Хвилю йшли мовчки довгим темним коридором, нарешті ключник, порівнявшись з Панталахою, мовив:

— Слухай, Панталаха, а чуєшся дуже слабим?

— Я? Від чого? — знехотя перепитав Панталаха.

— Від чого! Багателя! П'ятдесят буків дістав і ще питає від чого?

— Буків! — з презирством процідив Панталаха. — Що мені то значить! Не стільки я їх не раз діставав, та й не таких ваших цісарсько-королівських буків! Якби-то пан знав, що не один із нашої бранжі дістане, коли впаде в руки такої хлопської комісії, то тоді би пан знав, що значить «витримати». А се що? Ніби мене п'ятдесят блох укусило.

— Ей, Панталаха, Панталаха! — з щирим жалем мовив ключник. — Чи ти не боїшся бога отак марнувати свій вік та свої сили? Дав тобі бог здоровле, дав тобі талант у руках, що, що очима побачиш, те руками зробиш, а ти пустився на крадіж, замість спокійно на хліб робити та бога хвалити!

Панталаха довгим, допитливим зором зміряв ключника від ніг до голови. Се був одинокий тюремний ключник, у яким отся «собача служба» не вигасила до решти людського чуття. Острий у сповнюванні своїх обов'язків, поза їх обсягом був людяний, м'який і лагідний, як дитина, вмів бачити в арештанті чоловіка, рівного з ним, не раз зіпсованого, але частіше нещасливого. Арештанти не любили його за те, бо для них не був поблажливий, бо його не можна було підкупити, аби глядів крізь пальці на їх нічні пиятики та гри в карти, уряджувані в казнях. Коли мав нічну інспекцію, мусили всі спати в порядку; ані горівки в пухирі не приніс і крізь візитирку при допомозі тростинової рурки не вілляв, ані картяної гри при свічці за заслоненою візитиркою не стерпів. Та зате, коли інші ключники та стражники, може для замаскування своєї потаємної поблажливості, за яку арештанти мусили їм добре оплачуватися, прилюдно при властях поводитися з арештантами, як із собаками, били їх у лице і не озивалися до них інакше, як «ти, псе, злодюго!», то ключник Спориш поводився завсігди лагідно й людяно, а коли на якого арештанта найшла туга за свободою, він і потішив його, і лист додому написав, і відомість від свояків приніс, коли директор не допустив їх самих бачитися з в'язнем. «Спориш у службі собака, а поза службою чоловік» — такий був загальний суд арештантів про сього ключника. Тим-то й не диво, що більша часть їх не любила Спориша, бо мали аж надто багато нагоди входити з ним у колізії в часі службових годин, а натомість його людяні прикмети мало кому були доступні й потрібні. Та проте всі знали, що Споришеві можна довіритись, що в разі чого він найгарячіше обстане за арештантом чи то перед директором, чи й перед прокуратором й найлагідніше су-

дять усякі дрібні проступки против острого домашнього порядку тюрми, хоч супроти арештантів сам його остро пильнує. І Панталаха знав наскрізь Спориша, тим-то щирі ключникові слова не обурили, ані не розсердили його. Він промовив лише, знов уперши очі в землю, і з деяким відтінком смутку в голосі:

— Пане Спориш! Знаю, що ви добрий чоловік і говорите мені се з доброго серця. Але прошу вас, дайте сьому спокій. Знаєте, як то у нас кажуть: ніхто не знає, де другого чобіт глodge, і що з воза впало, то пропало. Найліпше перестаньмо про се говорити.

— Як хочеш! — мовив Спориш. — Але я думав, що сьогodні, в такий тяжкий день, схочеш подумати про себе.

— Нібито я не думаю щодень і щогодини! Нібито мені в отсих проклятих мурах такий рай, що треба аж п'ятдесятюх буквів, щоб я подумав про себе! Ей, пане Спориш, нібито ви розумний чоловік, а того не знаєте, що чоловік не втікає від колача, а від меча.

— Знаю се, знаю, — мовив Спориш, — але власне я хотів би, щоб ти не потребував більше втікати від того меча.

— Га, се вже як бог дасть! — відмовив Панталаха і замовк.

Перейшли коридор і вийшли на подвір'я. Треба було перейти півперек того подвір'я і увійти в супротилежний, великий та понурий будинок, де містилися казні арештантів. Здалека чути було в тім будинку приглушений шум і гомін півтори тисячі людей, що пробували в його мурах. Та ані ключник, ані Панталаха не вважали на той гомін, їх вуха давно привикли до нього. Але, вийшовши з темного коридора на ясне, сонячним світлом залите подвір'я, ключник нараз ухопився за кишеню, немов пригадав собі щось.

— Слухай, Панталаха, — мовив він, — добре, що я пригадав собі, що я тобі мав сказати.

— Що таке? — запитав Панталаха, живо звертаючи до нього очі, в яких заблисли іскри радісного дождання, але зараз і щезли, загашені силою волі.

— Знаєш, що ціла твоя втека описана в газетах?

— Так? — мовив Панталаха, ніби розчарований.

— А так. Геть там народи про тебе читають, по всіх трактиєрнях та пиварнях раз у раз лише чути: Панталаха, Панталаха.



— А нехай собі балакають! — мовив сей і махнув рукою. — Що мене се обходить! Ніхто мені й цента за се не дасть.

— Отже, власне помиляєшся! — відповів, усміхаючись, ключник. — Власне вчора вечером сиджу в Нафтули, а там якісь три пани їдять вечерю і читають наголос твою історію. Кажу тобі, описали тебе, як бог зна якого Картуша. Прочитали і почали говорити про тебе, яка-то шкода такого чоловіка. Ну, втрутив і я своє слово, почав оповідати, що знаю тебе, як ти поводишся у в'язниці і там далі. Слово по слову, дійшло до того, що завтра — нібито сьогодні — маєш дістати буки. Глигнули вони по собі, далі один виймає срібного ринського і мовить до мене: «Прошу вас, пане, будьте такі добрі і дайте йому отсього ринського на пам'ятку від мене». Хвилю я вагувався, а далі думаю собі: «Що ж, добра душа якась сей панисько, нехай і так буде». Він тим часом завинув того ринського в папірець і дав мені його для тебе. На, маєш той подарунок.

Були власне у вході тюремного коридора. Ключник добув із кишені паперовий звиточок і, розвинувши його, подав Панталасі велику срібну монету.

— Паперу тобі не дам, — мовив усміхаючися Спориш, — бо паперу в'язням не вільно мати.

— Най йому бог дасть здоровля, тому пану, за такий подарунок, — мовив радісно Панталаха, хапаючи з незвичайною захланністю срібну, трохи забруднену монету і ховаючи її за пазуху. — І вам дай боже здоровле, пане ключнику, що ви були такі ласкаві і віддали мені сей подарунок. Інший, певно, був би сховав сього ринського собі, а про бідного арештанта був би й не подумав.

— Ну, се вже було би негарно, — мовив Спориш з відтінком гордості. — А при тім, сказавши правду, я також скористав на тім, бо ті пани вчора зафундували мені за се аж дві гальби пива, ще й закуску. А кривдити тебе в такий тяжкий день, ні, се було би зовсім не по-людськи.

— Біг заплать вам, біг заплать! — дякував Панталаха, що, одержавши того ринського, нараз немов зовсім перемінився, ожив, як коли би сам над собою не міг запанувати. Невважаючи на ціле своє співчуття, Спориш, бачачи сю зміну з такої мізерної причини, не міг обігнатися від думок, зовсім негідних для Панталахи.

«От, зараз видно злочинську жилку! — думав чесний ключник. — Скоро лише сей нещасливий гріш доторкнеться

до його руки, зараз немовби чорт вступив у нього. Ну, тут даремні всякі упімнення. Кривого вже не напростує ніщо, хіба рискаль та лопата. А шкода чоловіка!»

Панталаха тим часом не то йшов, не то біг коридором о цілі два кроки перед ключником, — очевидно, сквапно йому було до своєї казні.

— А що, може, принести тобі якого їдження за ті гроші? — запитав Спориш, відмикаючи колодку при дверях казні.

— Е, ні, — мовив Панталаха, — треба лишити на пізніше, на казенку.

— І то рація, — мовив ключник, впускаючи його до казні та замикаючи за ним двері.

— Чорта з'їси, заким мене побачиш у тій проклятій казенці! — буркнув Панталаха, чуючи кроки відходячого ключника.

### III

Хвилю стояв недвижний при дверях, блідий, з затисненими устами, вдивляючися десь у неозначений простір, з виразом якогось великого напруження на лиці. Нарая, мов божевільний, почав скакати по казні на одній нозі, крутитися довкола, потирати долоні і передражнювати то директора, то ключника, то себе самого. Потім з виразом комічної лютої прискочив до зачудуваного товариша своєї казні, одинокого, що міг тут поміститися з ним разом, і, вхопивши його за плечі, струснув ним напруго і крикнув:

— Хлопче, з'їм тебе!

— Такі-сте голодні? — з невинним видом запитав товариш.

— Не голоден, але тішуся! — відповів Панталаха.

— Тішитесь? А то чим?

— Тим, що в тебе осячі вуха.

— А може, на вас буває шальга напала, нагашку? — запитав парубчак. Се було його звичайне питання, коли чогось не розумів.

— От дурень! — засміявся Панталаха. — Кожного по собі судить.

— Ну, то чого ж так тішитесь?

— А ти цікавий знати?

— Цікавий чи не цікавий, але вже коли маєте мене з'їсти, бо бодай хочу знати, за що та й через що?

— Чи бачиш його! Не досить поросятині, що її ріжуть, ще й питає, чи завтра великдень.

Товзряки витріщив на Панталаху свої великі, придуркуваті очі і сидів мовчки, немов роздумував над тим, до кого властиво були вимірені ті остатні слова.

Був се двадцятилітній парубчак, але, судячи по його поставі, можна було дати йому ледве п'ятнадцять літ — така миршава та мало розвита була вся його постать, таке дитяче лице і такий мало інтелігентний, вічно зачудований був увесь його вираз. Цілком відповідно до зверхньої постави розвитий був і його ум. Був се напівідіот, нездібний ні до якої праці, що вимагала якої-будь напруженої та витривалої духової діяльності, та натомість похіпливий до сильних вибухів дикої пристрасті або до вчинків цілком бездумної та безпричинної жорстокості. Власне такий учинок завів його до тюрми на цілих двадцять літ: полишений сам дома зі своїм молодшим братом, він розрубав йому сонному голову сокирою. Від того часу минули вже чотири роки, які «дурний Прокіп» провів у отсій тісній казні, не виявляючи ані туги за родиною, ані охоти до праці, але раз у раз зайнятий якимись дитячими забавками. Навіть на прохід на подвір'я треба було випихати його силою — сам він ніколи не почував потреби вихилитися зі своєї напівтемної нори.

Казня, в якій сидів Прокіп, недаром звалася «пеклом». Була вона найгірша, найтісніша та найневигідніша в цілім закладі. Положена в сутерені, в темнім куті величезної будівлі, якраз обік тюремної кухні, вона вліті була душна, як правдиве пекло, а взимі одна стіна звичайно була гаряча, а дві інші мокрі. Освітлювало її лиш одне мале віконце, що виходило на північ, а затінене було з заходу муром офіцини, так що від часу збудування сеї офіцини сонячний промінь ніколи не заглядав до сеї нори. Давніше ся казня служила за склад кухонної посуду, але, коли побільшено «штанд» арештантів у закладі, випорожнено й сю щопку і впаковано в неї Прокопа на постійне замешкання, «поки, бестія, не здохне». Правда, досі ся надія не справджувалася; Прокіп жив і був здоровісінський, хоча, здавалось, ані не ріс тілом, ані не робився розумнішим. Окрім Прокопа, давано сюди, звичайно на короткий час, такого арештанта, що вже за кілька місяців мав виходити на волю, в разі, коли в його давній казні заняв його місце якийсь новий «щувакс» з високим декретом; таке переселення дозорці на-

зивали гумористично: «дати на відхіднім покуштувати пекла». Та тепер дано сюди Панталаху з тої причини, що ся казня лежала в самім осередку тюрми і подавала найменше змоги до втеки. Грубі на два лікті мури, грубими штабами оковані двері, вузьке віконце з подвійною kratюю, що виходило на подвір'я, зі всіх боків замкнене мурами будинків, склеплена стеля, за дверима коридор, по яким, крім ключника, всю ніч ходив військовий патруль, а всередині ніякісіньких меблів, крім двох тапчанів і залізної круглої печі, оперезаної грубими залізними штабами в місці, де прилягали до себе окремі часті, з яких була зложена піч, — оце й усе оточення, що й справді дуже мало могло заохотити до втеки.

Панталаха вкінці вспокоївся і, буркнувши щось сам до себе, сів на своїм тапчані, видобув хліб і сіль і почав їсти з таким апетитом, неначе виконавши не знати яку важку працю або неначе хотів насититися на кілька день наперед. Потім видобув із кишені того срібного ринського і почав пильно обзирати його на всі боки. Його очі заіскрилися живою радістю, і хоча зовсім не мав сентиментальної вдачі, то проте в пориві гарячого чуття притулив монету до уст і поцілував її кілька разів дуже сердечно.

Блиск срібла принадив Прокопа. Піднявся зі свого кута і наблизився до Панталахи, ступаючи помаленьку, тихесенько, мов кіт на чатах. Очі витріщив іще більше, ніж звичайно.

— Що се маєте, нанашку? — запитав, вишкіривши до Панталахи свої великі пожовклі зуби. Кождий старший чоловік був для нього нанашком, себто хресним батьком.

— Гроші, — відповів Панталаха.

— А хто вам то дав?

— Святий Миколай.

— Святий Миколай? Гі, гі, гі! А за що?

— Як то, то ти не знаєш, що мене сьогодні пани били? То святий Миколай прийшов і повідає: «Ну, ну, Панталахо, не плач, небоже, і не бійся нічого! На, маєш отсей гріш, він тебе виведе з сеї в'язниці на вільність».

— Ой, ой, так вам сказав?

— А ти думав, що як?

Прокіп стояв з роззявленим ротом обік сидячого Панталахи і не зводив очей із срібного гульдена, що його Панталаха уважно на всі боки обертав у руці, придивляючись йому, очевидно, з великим зацікавленням.

— Знаєте що, нанашку? — промовив нарешті несміло Прокіп.

— А що таке?

— Дайте мені той гріш.

— А тобі, дурню, пощо?

— То таке гарне, буду ним бавитися.

— От дурень! Хіба ж ти не чув, що се не для забави, але на те, щоб із в'язниці дістатися на волю?

— Та-а-ак? — з виразом розчарування процидив Прокіп.

— А може й ти хочеш вийти відси на волю?

— На волю? Що се значить: на волю?

— Ну, додому, дурню, до твого тата, чи хто там є у тебе.

— Додому? — скрикнув Прокіп з виразом перестрахи. — Ні, не хочу додому. Там мене будуть бити.

— Ну, не хочеш, то не хоти, то й сиди собі тут каменем! — мовив Панталаха і почав помаленьку довбати шилом у гульдені. І не довго довбав. Бо по хвилині срібна монета під натиском шила розколюлася на дві половини, як коробочка, а в її виструганому нутрі показалася звинена в кружечок тонесенька, як волос, англійська пилочка до різання заліза.

— Ой господи! — скрикнув Прокіп, що пильно придивлявся тій маніпуляції. — А се що таке?

— Тихо будь! — остро мовив до нього Панталаха. — Хіба ти не чув, що се дар від святого Миколая?

— Ага! — стиха прошептав зовсім переконаний Прокіп. — А се що в нім усередині?

— То таке зілля, — ключове зілля називається. Ти чув коли про таке зілля?

— Чув. А що ж се за зілля?

— Кажу тобі, що ключове. Коли ним доторкнутися до замка, то не треба й ключа, кождий замок отвориться. Можна ним розкроїти залізо, так, як ножем хліб краємо.

— Йой! — скрикнув зачудований Прокіп, а потім усміхаючися мовив: — Ану, нанашку, розкрійте отсю піч!

— А ти думаєш, що не розкрою? Чекай лише, нехай піч западе.

— Гі, гі, гі! То буде цікава річ! — радувався Прокіп. — Я ще не бачив, як піч крають.

Тим часом Панталаха виняв пилку з тої оригінальної слованки і, відвернувши чимось Прокопову увагу в інший бік, моментально увіпхнув її в іділочку свого тапчана.

— Добряга Замеховський, — шепнув він. — Таки не забув мене. Нехай йому бог дасть здоровле! Рад би я знати лише, що то були за панове, що так хитро вивели в поле отого тамуватого Спориша.

— Що ви там муркочете, нанашку? — запитав Прокіп, знов обертаючися до нього.

— Говорю «отче наш» до святого Миколая за той великий дарунок. Слухай, Прокопе, — мовив по хвилі Панталаха, граючись у долонях обома половинками впорожненого гульдена, — хочеш мати отсе?

— Хочу! — радісно скрикнув Прокіп.

— А зробиш те, що тобі скажу?

— Зроблю.

— Отже, слухай. Поперед усього мусиш про все, що тут бачиш, мовчати, як пень. Розумієш?

— Розумію. Мовчати.

— Се значить — нікому ані слова не мовити: ані кухареві, ані Споришеві, ані нікому. Знаєш?

— Знаю.

— А вночі маєш спати, хоч би тут у казні й не знати що діялося.

— Добре! Буду спати.

— А якби ти збудився і чув щось або бачив, то не кажи нікому нічого і нічого. Скажи: я не знаю, я спав, я нічого не бачив. Розумієш?

— Розумію. Не бачив.

— Пам'ятай же собі. А якби ти хоч словечко сказав, то я прийду, витягну тебе з постелі і заташу просто до твого дому.

— Ні, не хочу додому! — скрикнув Прокіп. — Там мене будуть бити. Волю тут сидіти і мовчати.

— Добре, гарно! — мовив Панталаха і погладив його по розчіхраній голові. — Сиди і мовчи, хоч би тебе не знати про що розпитували. Все кажи: не знаю, не бачив нічого, не чув нічого. А як будеш отак справуватися, то дістанеш отсе!

І Панталаха мигнув перед Прокоповими зачудуваними очима срібною поверхнею внутрішнього вижолоблення обох половинок гульдена.

— Дайте, дайте! — благав мало що не зо слізьми на очах Прокіп, простягаючи обі руки до блискальця.

— Е, ти би хотів зараз! — мовив Панталаха. — Та бо ти ще не заслужив. Справуйся добре сеї ночі, спи твердо, а

завтра рано, скоро встанеш, зазирни під подушку, то там знайдеш отсей дарунок. Розумієш?

— Розумію. Ай-яй-яй! Завтра! Тож-то буде гарно! — скрикнув Прокіп, плещучи в долоні.

Тим часом Панталаха встав, наблизився до стіни, підскочив і вхопивсь обома руками віконних крат, а потім на руках піддвигнувся вгору, поки не доторкнувся лицем до крати. Хотів бачити, чи швидко буде вечір. Тінь від суміжної офіцини закрила вже ціле подвір'я; очевидно, вечір був уже близько, хоча сумерки не запали ще. А що се діялось десь у початку осені, то Панталаха в одній хвилі догадався, що мусить бути не дальше, як сьома година.

— За годину будуть замикати, — мовив сам до себе, — значиться, маю ще годину часу. Сього, може, й встане.

Потім зіскочив на поміст і пішов до дверей. Притулив насамперед очі, а потім вуха до отвореної візитирки — на коридорі тихо, лише десь далеко, на кінці коридора, чути голос ключника, що балакає щось із вартовим жовнярем.

— Ага, сидять оба на паці, — муркнув Панталаха. — Се добре. Сьогодні, на моє щастя, нічну службу має Спориш, а він як набалакається звечора, то потім дріматиме всю ніч. Та й до того в ногах німічний: хоч би й найтихше ступав, то я почую його. Ну, ну, балакайте собі, — додав їдко, — я вже знаю, про що ви там балакаєте, собаки! Моїми буками зуби собі полощете! Але чекайте ви! Засніть лише в лиху годину, то вже я покажу вам, що вміє Панталаха! От би варто бути тут завтра рано і побачити ті їх пики, коли прийдуть до казні та й глип-глип: дурень є, а розумного чорти вхопили!

Засміявся коротким, безголосим, грудним сміхом, а потім, відійшовши від дверей, поліз просто під тапчан і давай там за чимось нишпорити та шпортати по помості, по кобильніцях, на яких лежали тапчанові дошки, та по щілинах у самій стіні, де штукатурка потріскала і повідставала від цегол.

— А ви чого там шукаєте, нанашку? — не виходячи з дива, запитав Прокіп.

— Того, чого ти не загубив, — відповів, закусуючи губи, Панталаха.

— Скажіть, скажіть! — уперто жебонів Прокіп.

— А ти вже забув, що я говорив тобі перед хвилиєю? — мовив Панталаха.

— Що таке? — чудуючись, запитав Прокіп.

— А те, що маєш мовчати, коли хочеш дістати отсеї

— Ага! — похопився Прокіп, ударивши себе долонею по устах. — Мовчу вже, мовчу!

І, не зводячи очей із Панталахи, бідний ідіот усів, скулившись, на своїм тапчані, мучачись, з одного боку, цікавістю, а з другого, бажанням — одержати блискальце.

Від хвилі, коли його зловлено і всаджено до отсеї казні, Панталаха вже зачав думати про втеку і, не вдоволяючися самим думанням, почав збирати і ховати в своїй новій казні все, що яким-будь способом могло пригодитись йому до виконання тої думки. Арештанти знали його вдачу і тямили також, чим йому найліпше можна прислужитися. Тож, коли хто з тих, що ходили «на світ» на роботу, знайшов який шматок заліза, дроту або бляхи і міг неспостережено сховати се при собі, ніс усе Панталасі. З таких шматочків він виробляв для цілого криміналу шила, ножі та ножики, а що йому видавалося придатним, те ховав для себе. В хованню був майстер, і, не вважаючи на часті ревізії в його казні, майже ніколи не можна було знайти в ній нічого.

Тим-то й не диво, що протягом його двотижневого побуту в тій казні в звісних лиш йому самому схованках назбиралося вже не мало шматочків усякого залізя, яке він тепер повидовбував і, розложивши на тапчані, почав переглядати оком досвідного майстра, міркуючи, що може йому придатися для сфабрикування відповідної оправи до пилки. Вибрав нарешті досить грубу і міцну залізну штабку, а встромивши її між залізну піч і штабу, якою піч була оперезана, та напруживши всю свою силу, здужав сильно зігнути її в половині, так що утворила невеличкий лук. Тятивою того лука мала бути пилка, яку при допомозі тоненьких, а міцних мосяжних дротиків прикріпив до обох кінців штабки. По цілогодичній напруженій праці пилка була готова, і Панталаха глянув на своє діло з виразом неописаної гордості й радості. Отсеї маленький, нашвидку склемежений, безформний предметець мав статися для нього ключем до свободи. О, коли б лише сим разом іще видобутися звідси! Тепер уже ні за що в світі його не зловлять! Тепер він має запевнені такі дороги та схованки, що все піде добре. Коби тільки на волю!

Скоро пилка була готова, кинув оком по казні, міркуючи, куди б то сховати її. Ану ж ключник вечором перед замкненням дверей захоче зробити в казні ревізію, як се траплялося досить часто! Всміхнувся, побачивши на при-



мурку під вікном півбохонця хліба, власність Прокопа. Блаженний той дурень, що не здужає за день з'їсти навіть бохонка хліба! І він узяв хліб із примурка і почав уважно з усіх боків обзирати його.

— Се мій хліб! — несміло запищав Прокіп.

— Мовчи, осле! Адже ж не з'їм тобі хліба! — мовив остро Панталаха, розкrojв хліб півперек через м'якушку, не краючи шкірки, увіткнув у розкroj свою пилку, а потім стиснув хліб так, що, двлячись здалека, ніхто не був би доглянув, що хліб був надкrojений таким робом.

— Бачиш, що я чиню? — запитав Панталаха Прокопа, що пожирав очима кожний його рух.

— Бачу, — шепнув той.

— А знаєш, що ти маєш робити?

— Не знаю.

— Скільки разів маю повторяти тобі се? — гаркнув притишено, але сердито Панталаха. — Маєш мовчати, чуєш?

— Чую! Буду мовчати!

По кількох хвилях увійшов ключник з лампою в одній, а зв'язкою ключів у другій руці, оглянув довкола піч, тапчани, місце попід тапчанами, примурок під вікном, заглянув угору до вікна, на стелю, ще раз окинув очима поміст і, побажавши арештантам доброї ночі, почав коло дверей бряжчати ключами та скрегінцати замками й колодками, замикаючи їх на два спусти. А Панталаха по його відході всміхнувся радісно, потер руки і скочив до примурка, щоб переконатися, чи досить іще лишилось йому від учора масла, доконче потрібного для смавання пилки, щоб тим способом менше чутиим учинити її скрегіт та писк. Спасибі богу, масла було аж занадто! Все складається корисно.

— А тепер, Прокопе, підемо спати! — мовив по хвилі Панталаха. — І пам'ятай собі, що я тобі наказував. Маєш мені всю ніч спати, як забитий. Аби тут ясні громи били, то ти не повинен чути нічогосінько. Чи, може, будеш іще що їсти?

— А можу їсти?

— Можеш.

— А... а... адже ж там у моїм хлібі ваше ключове зілля. Ану ж з'їм його й трісну? — мовив Прокіп з виразом невдаваної тривоги на своїм дитячім лиці.

— Тьфу! — скрикнув Панталаха. — Адже ж ти не з заліза. То лише залізо тріскає від того зілля. Чекай, я зараз вийму. На, тепер можеш їсти спокійно.

Поки Прокіп їв, помалу гризучи хліб і жвучи його немічними вилицями, Панталаха, не роздягаючися, кинувся на свій тапчан, щоб проспатися пару годин і набрати сил до праці, яка дожидала його. Швидко потім, наївшись, заснув і Прокіп твердим сном.

#### IV

Тільки що вибила одинадцята. Ключник Спориш, набалакавшись досита з вартовим жовнярем, пройшовся здовж коридора, послухав, чи спокійно сплять арештанти в казнях, а переконавшись, що все в порядку, знов засів на самім кінці коридора на великій паці і почав дрімати.

На тій самій паці сидів також у глибокій задумі, більше подібній до дрімоти, ніж до філософічного заглиблення, опертий на карабіні вояк. Патроль у тюремнім коридорі належала до найвигідніших родів військової служби. Заведено її нещодавно, перед кількома роками, з нагоди тюремного бунту. Та тепер про бунт у тюремних мурах не було й помишління, тим-то й не диво, що фірери, коменданти патролі, дозволяли воякам, утомленим вартою на інших стійках, дрімати в коридорі, і що патруль у коридорі вважалася упривілейованим постом або, як казали вояки, «ласкавим хлібом». Вояк, поставлений сюди на варту, мав обов'язок пройтися по коридору пару разів, а потім міг сісти на великій паці під вікном і дрімати в тій позиції, тільки не лягаючи та не випускаючи з рук карабіна.

Чи довго, чи коротко дрімав ключник Спориш, — сього не був свідім. Йому здавалося, що се не тривало й п'ятьох мінут, хоча на ділі минули добрі дві години. Нараз він прокинувся і зірвався на рівні ноги, стукнувши при тім голосно чобітьми о поміст, і протер очі. Що се було? Чи то вісні, чи наяві він чув якийсь незвичайний шелест, щось немов легкий, ритмічний хрипливий посвист, ніби журчання тоненького зубатого колісця якоїсь машини або хропіння якоїсь сонної, але не людської істоти? Грр, грр, грр! Спориш не знав, відки й як долітав до нього той згук, що міг значити, як довго тривав перед його пробудженням. Почував лише якусь неясну тривогу в своєму нутрі. Ось він став, напруживши слух і перехилившись наперед горішньою половиною тіла — слухав. Нічого не чути, ніякого шелесту, ніякого руху.

— Сон мара, бог віра! — шепнув Спориш і перехрестився, а потім якомога найобережніше, ступаючи на пальцях та силкуючись не робити ніякого стуку своїми важкими чобітьми, подався здовж коридору. Зупинявся біля дверей кожної казні, нахилив вухо і слухав. Нічого не чути, крім важкого рівномірного сапання сонних арештантів. Десь-не-десь сей або той хропе,— але сей звук зовсім відмінний від того, що доходив до його слуху ві сні. Зупинився в половині коридору і стояв довго, з десять мінут, недвижно, мовчки, запираючи в собі дух і дожидаючи, чи не повториться таємничий шелест. Але ні, шелест не повторився, лише з кута, в якому ключник дрімав перед хвилею, почувлося нараз голосне, з присвистом хропіння. Се так патрулював вояк. Держачи обіруч притиснений до себе карабін, він закинув голову взад, опер її о стіну і, сплячи твердо, з широко отвореним та до стелі зверненим ротом, хріп, мов підрізаний.

— А, так! — промовив Спориш, почувачи в душі значне успокоєння, коли до його слуху долетіло отсе хропіння,— так ось відки долітав до мене той шелест! А я, дурень, подумав уже, що се бог зна що таке. Тьфу на тебе!

І Спориш повагом, голосно стукаючи чобітьми, вернув на своє місце, обернув сонного вояка набік, так, щоб не хріп йому над вухом, а потім, чуючи, що його морить сон, сів знов на паку, похилився також головою до стіни і, шелчучи щось — чи то молитву, чи лайку тому, хто так не впо-ру збудив і наполохав його,— заснув по кількох мінутах.

І знов минула добра година. Спориш спав твердо, але неспокійно, кидав у сні то руками, то ногами, рушав вусами, як заспаний пес, якому не дають спокою налазливі мухи, булькотав навіть крізь сон якісь незрозумілі слова, сопів, важко дихав, немов щось душило його, але не будився. Нарешті, з очевидною натугою, весь облитий потом, прокинувся і сів на паці.

— Грр, грр, грр! — то був перший звук, що долетів до його слуху.

Оглянувся на вояка, та сей усе ще спав на боці — ні, вояк не хропе! Протер очі, вщипнув себе в лице, аж йому сльози станули в очах... ✦

— Грр, грр, грр! — чути раз у раз виразнісінько з темної безодні коридору. Се вже не хропіння сонного, ні! Се зовсім інший гомін, більше металевий, більше дражливий для слуху. Що се може бути? Тихесенько спустився на поміст, станув без стуку,— гарчання все чути та й чути. По-

ступив крок, другий — ще чути. Розлягається виразно, пискливо, в прискоренім темпі, лише не знати, з котрої казні. Ще один крок зробив з найбільшою обережністю — а се що? Гарчання затихло. Тихо, як тїнь, посунувся ключник здовж коридора від казні до казні, від дверей до дверей, що кілька кроків поставкуючи, надслухуючи, запираючи в собі дух,— тихо і мертво, не чути ані найменшого руху, крім рівномірного віддиху сонних арештантів.

Нїби безтілесний дух, з виразом найбільшого напруження на лиці, перейшов ключник увесь коридор від кінця до кінця,— ніде нічого не чути, всюди сон, усюди супокій.

— Га, то хїба якась нечиста сила кпить собі з мене! — пробуркотїв ключник. — Во ім'я отця, і сина, і святого духа, амінь! Згинь, пропадь, проклятий душе!

— Грр, грр, грр! — залунало нараз із глибини коридори так досадно та виразно, що ключник мало що не впав на місці, зомлілий із перелолоху. Зблід увесь, як труп, але, коли по хвилині отямився і звернувся в той бік, гарчання вже затихло і найглибша тиша знов панувала в темних челястях коридора.

— Втім, щось мусить бути! — промовив півголосом ключник і ще раз розпочав свій обхід від дверей до дверей, надслухуючи, ловлячи ухом та розрізняючи кожний найменший шемріт. О розпуко! Знов не міг почути анічогісінько підозреного. Та проте не тратив надії, йшов чимраз дальше, а дійшовши до кінця коридори, вернув назад, зупинився біля одної з середніх келій і довго так стояв недвижний, напружений, чи не почувється знов загадкове гарчання. Та ні, не чути нічого!

Про дальший сон не було вже ані думки — навпаки, ключник робив собі гіркі докори, що за першим разом дав себе ошукати тій нібито тишині і хто зна, чи не прогавив яку відповідну хвилю. Ану ж там готується знов який бунт? Ану ж там, у якій келії, один із тих страшних злочинців, замкнених тут, душить, ріже, мордує другого, а нещасна жертва вряди-годи захарчить під його руками? Ні, харчала та й перестала, а тепер уже запізно!

Та проте ключник чекав, надслухував дальше. Кілька разів йому здавалося, що знов чує те саме гарчання. Він увесь тремтів від якоїсь невиясної тривоги, але потім переконувався, що се була омана його слуху, надмірно роздраженого довгим напруженням. В такім стані кожний найменший шелест, хропіння сонного арештанта, рух миші,

що перебігала півперек коридора, випадковий стук деревляника, зіпхненого ногою сонного арештанта з тапчана на поміст, — кожний із тих звичайних шелестів та згуків тюрми, в якій мурах спить півтори тисячі людей і до яких він віддавна мав нагоду привикнути, тепер видавався йому якимсь громовим гуркотом, у кождім чулись йому то кроки страшних убійників, що закрадаються тікати з в'язниці, то притишена праця коло виломлювання крат або барикадування тюремних келій.

Були хвилі, в яких бідний ключник майже напевно дожидав, що в найближчій секунді ціла в'язниця рикне страшенним вереском, залунає ломіт та лускіт валених мурів, гук вистрілів, град проклять і лайок, і все те, ціле пекло страховищ, упаде на його бідну голову, на його відвічальність. Але минала хвиля за хвилею, в'язниця дрімала спокійно в обіймах нічної темноти, лише лампи серед навислих сутінок коридору моргали полохливо, а на супротивному кінці, на паці, чути було здорове, правильне сапання вояка, що спав у сидючій поставі, опертий плечима о мур, а руками о карабін, на якого люфі опер також своє підборіддя.

— Чи ж мало б усе те мені причутися? Мав би то бути сон? — запитував сам себе ключник по довгій, даремній дожданці і вже хотів своєю звичайною важкою ходю рушити до паки, коли втім, мов грім із ясного неба, ось тут за його плечима, в одній із центральних келій, розлягся справді страшенний, оглушливий гуркіт, немовби на залізний поміст падав град величезного каміння. Ключник застиг на місці, задеревів і не міг ворухнутися. Хвилю було тихо, мов у могилі, а потім залунав другий стук, немовби великим залізним кітлом ударено о дерево і при тім брязкотано кайданами.

— Дух святий зі мною! — скрикнув ключник і перехрестився. Сим разом се вже не був сон, не був привид, бо й вояк на паці прокинувся і вже стояв випростуваний, з карабіном на «презентірт», хоча не тямлячи, що з ним діється, і з зажмуреними очима, які кілька хвиль надармо силкувався відчинити. Щодуху обернувся ключник, щоб дійти, відки походять ті дивовижні гуркоти, і в тій самій хвилині все йому вияснилося.

— Се Панталаха! — скрикнув і вдарив себе долонею по чолі. — Се той проклятий злодюга знов якусь штуку придумав.

І, не дожидуючи вже нічого більше, ключник кинувся до казні, в якій був замкнений Панталаха. По дорозі вхопив одну з тих ліхтарень, що висіли на кілочках здовж стін коридору і, мов миші, моргали в п'ятмі підсліпуватими очима. З лускотом відімкнув двері і влетів до казні. Незвичайний вид явивсь його очам. Насеред казні лежав перевернений догори сподом верхняк залізної печі, заокруглений, мов великий казан. Обік нього клячав дурний Прокіп, держачи в кожній руці по кусневі залізного обруча, яким піч була окована в сугавах. Долішня половина печі була відкрита і позівала темною, отвертою пащекою. Панталахи не було в казні. Ключник остовпів.

— А ти, драбе, що тут робиш? — ревноу він до Прокопа.

— Я... я... я,— пробулькотав Прокіп, вибалушивши на нього свої великі, здивовані очі, широко роззявивши рота, немовби хотів щось сказати. Та в тій хвилі пригадав собі остру заборону Панталахи і сказав коротко:

— Я не знаю.

— Як то не знаєш? А звідки ж узялось отсе? — Ключник ногою показав на залізні предмети, розкинені по помості.

— Я не знаю,— відповів Прокіп.

— А де Панталаха?

— Я не знаю,— була все однакова відповідь.

— Брешеш, драбе! — гримнув ключник. — Ти мусив бачити, де він подівся.

— Ні, я не бачив. Я спав.

— Спав? А що ж робиш ось тут насеред казні?

— Я... я хочу спати, — відповів Прокіп і, вставши ліниво, ляг на своїм тапчані й зажмуриу очі.

Ключник був близький одуру. Мало хибло, а був би кинувся на Прокопа і дав би йому в повній горячості покуштувати сили його п'ястуків та твердості ключів, яких цілий жмут держав у руці. Але по хвилі охолов. Що говорити з дурнем? І що він може знати? Адже ж Панталаха, збираючись утікати, чей же не говорив йому, куди й як думає виломлюватись. А притім, що тут було довго міркувати? Розрізана і розбита піч виразно показувала одну однуку дорогу, якою міг утекти Панталаха. Дверці від печі виходили на коридор і були зацеплені знадвору. Очевидне діло, значить, туди він не міг видобутися на волю. З печі мусив улізти до комина, а комином видряпатися на дах. Певна річ, із

даху двоповерхового будинка злізти вниз, а до того ще на вулицю, була не легка штука, але такий шалено відважний, зручний і багатий на всякі вигадки злодій, як Панталаха, чого тільки не докаже! То й ключник відразу догадався, що йому робити. Заким вискочив із казні, глипнув іще на постіль Панталахи — простирала не було. Зирнув і на Прокопову постіль — простирала також і місце застило.

— О, то хитрий пташок! — буркнув ключник. — Треба поспішати, щоб нам не вилетів доразу.

І ключник духом вискочив із казні, замкнув її на колодку, а потім полетів до вояцької вартівні, що була зараз при вході тюремного будинку в партері направо. Крім дежурного капрала, всі вояки спали преспокійно на причах.

— Патроль! Арештант утік! — закричав ключник, стаючи в отворених дверях.

На той крик усі вояки посхапувались і похапали за оружжя.

— Куди втік? — спокійно запитав капрал.

— Комином на дах.

— А давно?

— Ні, недавно, може, перед десятима мінутами.

— Ну, то се нічого, буде наш, — мовив капрал і, обертаючись до вояків, крикнув остро:

— Wache, habt acht!<sup>1</sup>

Вояки вже стояли воружені в двох рядах.

— Половина піде сходами на дах за паном ключником, а я з другою половиною на подвір'я. Коли ще не втік із даху або коли не полетів, як ворона, то тепер певно не втече. Vorwärts, marsch!<sup>2</sup>

## V

Ключник міркував зовсім вірно. Панталаха, порозрізувавши штаби, що оперізували піч, у найбільшій ти́хості здійняв верхню половину печі та поклав її на помості, потім уліз до печі, з печі до коми́на, а коми́ном без особливої нату́ги видряпався на сам верх. Та тут наско́чив на несподівану пере́шкodu. Коми́н був прикритий зверху мурованим дашком, опертим на чотирьох сторчаком поставлених цеглах. Щоб вилізти на дах, треба було доконче виняти одну

<sup>1</sup> Варта, увага! (нім.). — Ред.

<sup>2</sup> Вперед, руші! (нім.). — Ред.

таку цеглу. Панталаха зробив се якнайобережніше, пильнуючи, щоб ані шматочок тинку не впав комином униз. Здавалося, що дашок може якийсь час стояти й на трьох цеглах. Узисканим отвором Панталаха виліз із комина, та се була штука дуже нелегка. Вхопившись обома руками за ріг комина, він помаленьку витягав ноги зсередини. Вже був майже готов, коли втім зненацька зачепив п'ятою о одну з трьох цегол, що ще підпирали дашок. Поручена цегла випала, і коминовий дашок з глухим лускотом упав униз, до середини комина. Се був той пекельний гуркіт, що так переполошив ключника. Та він збудив у казні й Прокопа. Сей схопився відразу на рівні ноги, безтямно кинувся на середину казні й, спотикнувшись на поставлений там залізний верхняк печі, перевернув його й сам упав на нього, а при тім, ухопившись руками Панталашиного тапчана, зіпхнув із нього поскладені там шматки залізної штаби, що нею була оперезана піч і яку Панталаха, перепилувавши в трьох чи чотирьох місцях, обережненько поскладав тут у гарнім порядку. Се й наробило того брязкоту, що зрадив ключникові місце, відки йшли всі ті нічні згуки та гримоти.

— Пропав я! — мовив Панталаха, стоячи біля комина і слухаючи гуркоту вниз звалених цегол. У його голосі була лише глуха резигнація — нічого більше, ані жалю, ані тривоги. Навпаки! Зараз у найближчій хвилі в його душі блисла нова думка. Коло комина він у досвітнім сутінку побачив коминарську мітлу на довгім тростиновім держаку, звиненім у колесо.

«Се може мені придатися!» — блиснуло в його голові, і, не думаючи довше, він кинув мітлу з даху на вулицю. Його невтомима уява вже малювала йому, як він, весь обмазаний сажею, з коминарською мітлою почерез плечі буде сміло в півсумерку чимчикувати вулицею, ніби коминар до роботи, і так безпечно зайде до першої звісної йому кривки. І вже підбадьорений сею думкою, він не стояв на місці. Зрадливий лускіт не зламав його енергії, не спаралізував сили волі, не змінив наміру.

— Тепер або ніколи! — скрикнув з дикою рішучістю і кинувся бігцем здовж даху аж до того місця, де офіцина сліпим «огневим муром» виходила на одну з бічних, глухих вуличок. Се була одинока дорога до свободи, хоча, ніде правди діти, дорога дуже стрімка та небезпечна. Та проте Панталаха не завагавсь ані на хвилю. По легкім спохові бляшаного даху збіг на сам краєчок, щоб побачити, де при-



бита труба, що веде вниз від ринви. Знайшовши її, він у тім місці приляг плазом на дасі лицем униз і зміряв очима, як далеко йшла та труба від муру, що в тім місці опоясував тюремне подвір'я та замикав його від вільного світу. Прокляття! Ринва була віддалена від муру майже на два сажні! Але Панталаха знав, що трохи пониже вікон першого поверху здовж усього будинку йшов широкий гзимс. Тим гзимсом можна буде від ринви перейти на мур, а з муру вже якось видобутися на вулицю. Щоб не мусив скакати з нього, Панталаха захопив із казні два простирала, на яких можна буде вигідно спуститися вниз із високого муру. І, не вагаючися довго, не тратячи ані хвилі часу, Панталаха перехрестився і, обернувшись лицем до даху, вихилив ноги над роззявленою двоповерховою безоднею і почав помалу, обережно зсуватися з неї, зависаючи цілим тілом у повітрі. Ані тіні непевності не було в жаднім його русі, ані разу він не затремтів; здавалося, що се лунатик, який ані крихти не почуває величезної небезпеки свого положення.

Та нараз він зупинивсь, опертий ліктями о ринву, а обома руками, мов кліщами, держачись вузеньких берегів цинкової бляхи там, де одня її аркуш був злучений з другим. Нижня часть його тіла свобідно висіла вже в повітрі. Що се таке було? Чи йому причулося, чи він і справді почув ось-ось під собою, на горищі, стук численних кроків і помішані грубі людські голоси? Мала ж би се бути погоня? Панталаха задеревів на хвилю, але швидко віднайшов свою рішучість. Заким знайдуть драбину, заким влізуть у віконце і видряпаються на дах, то його вже не буде. Чорта з'їдять, заким побачать його! А значить, якомога швидше вниз! Коби лише дістатися на ринву! Там уже все якось піде. Та в тій самій хвилі йому видалось, немов хтось здоровим ударом палкою в голову відбирає йому всю силу й притомність. В ухах йому зашуміло, перед очима забігали темні плями. Там унизу, на подвір'ї, чути було стукіт не менше численних кроків, шум голосів, швидку біганину та гомін. Нарешті саме під собою він почув зловіщий, радісний крик вояка:

— Ось він! Ось він! Бачите, он там, з даху звівся, хоче спускатися по ринві!

— Ось він, ось він, ось він! — кликало чимраз більше голосів унизу.

— Стій там, ані не рушся! — крикнув грімким голосом до Панталахи капрал.

— Думаєш, — відповів йому так само Панталаха, — що мені тут так легко стояти, як тобі там на землі, дурню один!

Значить, усе пропало! Тепер уже ані думати про втеку, коли ті там унизу похопились та побачили його. Аж тепер затремтів Панталаха, не зо страху перед тим, що його жде за втеку, але з жалю за знівеченим зусиллям, що так гарно почалось, а так по-дурному кінчиться. Якась сліпа лють почала клубитися в його душі; перший раз почув утому в сугавах, почув, що руки його трясуться, що ось-ось висмикнуться йому з пальців та слаба підпора, якої вони держаться, і що його тіло, звішене в повітрі, гримне звиз на подвір'я, на кам'яний поміст. Щось немов кліщами стисло його за серце, але й сим разом він не стратив притомності. Добуваючи останніх сил, опираючись ліктями о ринву, він почав звільна підтягати вгору звішене з даху тіло, поки не станув у ривні колінами. Тепер уже був безпечний, упасти не міг так легко. Та власне в тій хвилі відчинилося неподалік вікно від торемного піддашшя, з нього блиснуло світло ліхтарень, а в тім світлі замиготіли люфи карабінів і показалася насамперед вусата голова ключника Спориша. Він в тій хвилі побачив Панталаху, що сидів напочіпки на краечку даху. Панталасі видалось навіть, що чує шепіт молитви, якою та «гінча собака» дякує богу за те, що їй таки вдалось винюхати та догонити арештанта.

— Пес, пес! — шептав сам до себе Панталаха, і сліпа злість іще сильніше почала приливати та клубитися в його грудях.

— Панталахо! — крикнув майже благальним голосом ключник, вилазячи віконцем на дах і простягаючи руки до Панталахи. — Бійся бога, чоловіче, що ти робиш? Чи не можеш уже спокійно відсідіти тої решти декрету?

— Авжеж не можу, коли тікаю! — відбуркнув понуро Панталаха.

— І що ти собі думаєш з тим утіканням? Одинадцять раз уже ти пробував щастя сею дорогою, і все тобі не вдається. Час би мати вже розум.

— Слухай, пане ключнику, — мовив Панталаха, все ще на краечку даху, але підвівшися на коліна. — Бачив ти коли, як хлопці на сильце зловлять жовтогрудку, принесуть її до хати й пустять? Що вона робить? Летить що має сили до вікна і — грим грудьми до шибки. Що вона тому винна, що шибка твердша від її грудей? Упаде майже без духу, поле-

жить, відпочине, але скоро лише прийде троха до себе, зараз зривається наново, облетить довкола хату та й знов — грим до вікна. І так раз за разом, поки або сама не згине, або шибки не виб'є. Знаєш що, пане ключнику! Піді лише та скажи тій жовтогрудці своє премудре слово: час би вже раз мати розум!

— Але ж змилуйся ти наді мною, чоловіче, — скрикнув майже до болю зворушений ключник. — Хіба ж я се від себе? Чи ж я би не рад, аби кожному було добре на світі? Але що я пораджу? Служба не свій брат. Коли чоловік раз запрягся, то мусить тягти.

— Скажи краще: коли раз нанявся за пса, то мушу бути псом від ніг до голови. Йди, йди, знаю я тебе! Я думав, що ти хоч у песій службі, а таки не перестав бути чоловіком. Але тепер бачу, що на тобі не лише песя ліберія, але що в тобі також песє серце!

Тим часом з вікна слідом за ключником вилізло ще п'ять вояків із карабінами. Не маючи між собою ніякого коменданта, крім ключника, вони стояли на дасі мовчки й побоюючись, щоб у своїх тяжких чоботях не поховзнутися по гладкім, споховастім бляшанім дасі.

— Ну, Панталахо, — мовив ключник, незважаючи на його балакання, — що там нам перечитися, ходімо відси!

— Йдїть собі, про мене, хоч і до чорта всі враз! — сердито крикнув Панталаха. — Мені й тут добре.

— Що? Адже ж не думаєш хіба, що ще здужаєш утекти?

— Що я думаю, се вже моя річ, але се тобі кажу, що відси не рушуся. Тут мені добре.

— Чи ти здурів, чоловіче, чи що тобі таке? — крикнув ключник, виведений із терпцю сим безглуздим і безцільним упором. — Але що ж ти тут будеш робити на дасі?

— Вже я знаю, що буду робити, — відповів Панталаха.

— Ну, ну, не роби дурниць! — обізвався поважно, спокійно й рішуче ключник. — Ходи сюди, підемо до казні! Вже я вставляюся за тобою перед директором, щоб тебе за се не карали надто остро.

Сей аргумент, що мав заохотити Панталаху до піддання та уступлення з небезпечного становища на краєчку даху, вплинув на нього якраз противно. Згадка про кару, яка — без огляду на те, чи мала, чи велика — неминуче ждала на нього за вчинок сеї ночі, разом з думкою про таку соромну невдачу була для Панталахи тим, чим острога для сполошеного коня.

— Чорта з'їси, старий псе! — крикнув, попадаючи в злість. — Чорта з'їси, заким мене побачиш у своїй проклятій казні.

— Але ж, Панталахо, бійся бога, що ти говориш! Отям-ся, успокійся! Ходи до нас!

— Ні, ходи ти до мене! — кричав Панталаха, встаючи на ноги і випростовуючись, так що вояки, розставлені внизу, аж очі позажмурювали зо страху, думаючи, що сей божевільний ось-ось утратить рівновагу і впаде вниз коміть головою. — Хочеш мене мати, то ходи сюди! На, бери мене! Стрібуй!

І Панталаха простягнув руки до ключника, не роблячи ані кроку наперед.

— Ну, і що ж, — мовив простодушно ключник, — коли сього хочеш доконче, то добре, піду до тебе. Не думай, що злякаюся.

І ключник справді з цілим супокоем і рішучістю поступив пару кроків наперед по дасі в напрямі до Панталахи. Та в тій хвилі вояки зупинили його.

— Ні, пане, — мовив один із них. — Чи не бачите, що се чистий безум? Пощо вам нещастя? Позвольте лише нам, ми його зараз зловимо, як пса, на зашморг.

— Ага, прецінь ти злякався, стара собако! — кричав Панталаха до ключника, бачачи, що сей не йде до нього. Слів вояка, вимовлених пошепки, він не міг зрозуміти.

— Панталахо, — мовив ключник, — іще раз тебе прошу, богом святим закликаю, не роби дурниць! Ходи!

— Піду, як мене відси поведете або понесете, — з диким завзяттям говорив Панталаха.

— Ну, що там за торги такі! — кричав знизу капрал. — Чому не берете його?

— Коли не хоче датися добровільно! — крикнув один вояк.

— Але ми зараз будемо мати його в руках, — додав другий.

— Дідька лисого, не мене! — відкрикнув Панталаха.

Тим часом один із вояків, звинний, як білиця гуцул, вернув по драбині на піддашся і приніс відтам довгий і міцний шнур, на яким розвішувано до сушення випране арештантське шмаття. Сей шнур вояки зложили в зашморг, подібний до того, яким ловлять коней у полонині, і по короткій нараді почали розходитися по дасі, з різних боків півколесом здалека обступаючи Панталаху. Вчинили се

головно в тій цілі, щоб розірвати його увагу, щоб не міг знати, відки впаде на нього фатальний зашморг. А сам шнур передано одному найсильнішому й найзручнішому воякові, який ішов по дасі, держачи його напоготові, але так скрито, що навіть соколинне око Панталахи в сутіні не могло добачити засідки. Він знав лише, що щось воно йому грозить і що той маневр вояків має метою обскочити та захопити його особу. Хоча на своїм небезпечнім становищі він чув себе нетикальним, то все-таки се маневрування вояків іде дужче розлютило його.

— Ну, що ж ти, старий псе! — кричав він до ключника. — Не йдеш сам до мене, але думаєш зловити мене якимось підступом? Богом тобі присягаюся, що пуста твоя робота. Краще дайте мені спокій і йдіть собі геть відси, коли не хочете дійти зо мною до якого нещастя.

— Але ж, Панталахо, — вговорював його ключник, — адже ж ти розумний чоловік, не дитина, і знаєш, що се не може так бути, що ми не можемо вернути без тебе. Краще піддайся добровільно.

— А коли мені не хочеться! Коли підете відси геть і тамтим унизу велите віддалитися, то я, може, ще надумаюся й верну, а як ні, то ні.

— Чи ти збожеволів, Панталахо! — скрикнув ключник, не на жарт обурений тою безличністю арештанта, що сам завинив і ще сміє ставити якісь умови. Та в тій хвилі вояк, уоружений зашморгом, наблизившись до Панталахи на кілька кроків, станув і блискавичним рухом закинув на нього шнур.

— Га! — ревно Панталаха, та більше не міг крикнути нічого. Зашморг ухопив його за шию, і вояк другим прудким рухом затягнув вузол і стиснув йому горло так, що Панталасі відразу сперло дух у груді.

— Пустити! — хрипів він до вояка, хапаючи обома руками за шнур і силкуючися звільнити поперед усього зашморг на шиї.

— До мене! До мене! Держіть! — кричав вояк, широко розставивши ноги і ховзаючись по дасі.

Та заким вояки здужали прискочити і вхопити свого товариша, вже Панталаха щосили торгнув за шнур, вояк стратив рівновагу і покотився по спохові даху. Рівночасно стратив рівновагу й Панталаха, і оба супірники з одним проразливим окриком злетіли з даху і гримнули на подвір'я. Панталаха впав лицем до помосту і, розтріскавши собі

голову, відразу став небіжчиком. Натомість вояк, упавши боком на його тіло, крім вивихнення лівої руки та значного перестрашу, не поніс ніякого ушкодження.

— Во ім'я отця, і сина, і святого духа, — булькотів він, устаючи та стогнучи, — а то злодюга!

Хоч і як не до сміху було воякам, уставленим рядом на подвір'ї, свідкам тої сцени на високім дасі та в повітрі, то все-таки деякі нехотя зареготалися з нервового передраження, почувши ті слова свого товариша, майже чудом урятованого від смерті. А коли переконалися, що йому майже зовсім нічого не сталося, запанувала в їх крузі велика радість, а капрал обіцяв урятованому неминучу похвалу за такий смілий учинок. На трупа Панталахи ніхто не звертав уваги. Що значив якийсь там злодюга? І так їх забагато на світі. Туди йому й дорога! Лиш урятований вояк, не можучи ще отямитися зо страху, прискочив до скривавленого трупа і, копаючи його раз по раз люто чобітьми в бік, у груди, то в плечі, кричав за кожним разом:

— А, ти, злодюго! А, ти, розбійнику! На, маєш! маєш! маєш! Щоб знав, як утікати другий раз!

Тим часом увесь кримінал був заалармований звісткою про втеку Панталахи і про страшний випадок на дасі. Довкола трупа Панталахи зібралися стражники, вояки, навіть немале число арештантів із тих, що мали привілей свobodно ходити по подвір'ю. Прийшов нарешті й директор, киваючи головою та розводячи руками.

— Но, Панталаха, — мовив він, зупинившись над окривавленим, теплим іще трупом, — відіш, чого-с се доробилъ! Я ті повідаль: сед тихо! Я то пророковаль, же се з тебою зле скончі. А ти заедно своє! Маш тепер, я ті тему не вінен!

Прийшов накінці, злізши з даху, також ключник Сприш, блідий, холодний і безтямний, і довго-довго вдивлявся в кроваве, до непізнання розторошене лице Панталахи. На тому лиці лиш очі, обдерті з повік, величезні й непорушні, бачилось, гляділи на нього з виразом безмежного страху і якогось страшеного, кривавого докору. В його вухах раз у раз іще гучали сердиті слова Панталахи: «Я думав, що ти хоч у песій службі, та таки не перестав бути чоловіком. Але тепер бачу, що на тобі не лише песя ліберія, але в тобі також песе серце!» І бідний ключник затремтів усім тілом. Кілька разів силкувався відвернути очі від страшеного виду того лица, але не міг. Щось немов приковувало його до того трупа, до тих страшних очей. Аж коли на

розказ директора два арештанти взяли труп на носилки і понесли до тюремної трупарні, минулася й змора, що душила Спориша, і він, зітхнувши глибоко та перехрестившись, пішов до своєї служби.

## VI

Першим завданням тої служби було: вислідити, яким способом доконав Панталаха тої своєї остатньої втеки. Директор послішив до трупарні, щоб бути присутнім при роздяганні трупа, а ключника післав зробити ревізію в казні.

Був імлістий і понурий ранок, у казні було ще майже зовсім темно. Та проте Прокіп по відході ключника не лягав уже спати, але, сівши насеред казні, бавився, дзвонячи порізаними кусниками штаби о верхняк печі, що лежав перед ним, сбернений догори крисами. Нараз пригадав собі щось, кинув шматки штаби і, схопившись з помосту, плеснув у долоні та кинувся до своєї постелі, застромив руку під тверду солом'яну подушку, подібну до грубої, чотиригранної паляниці, і почав пильно нишпорити під нею. Як же врадувався, коли під подушкою справді знайшов обі половинки розрізаного і випороженого срібного ринського, що їх положив там для нього Панталаха! Аж підскочив з радості, а його вибалушені очі заіскрились, як у kota. Сів на тапчані і почав дзвонити тими блискучими цяцьками одною о другу, пускав їх, щоб катулялися по помості, і, як дитина, плескав у долоні, коли срібні плитки описували по дошці гарні слимакуваті закрути та колісця.

Бавився так досить довго, та нарешті його занудила одностайність тої забави, а жолудок почав допоминатися свого права. Була вже восьма; арештантам по інших казнях роздавали снідання — рідку горохову зупу. Покинувши оба срібні кружечки на тапчані, Прокіп притулив лице до візитирки і надслухував, чи швидко кухарі наближаться до нього. Знав, бідолаха, що йому його порцію дають звичайно на самім остатку, коли зупи в кітлі вже давно не стало і кухарі другий раз уже піділляли теплою водою гущу з недоварених горошин та лушпини, що була на дні, і розбовтали се при допомозі великого мідяного черпака. Правда, поки в казні жив Панталаха, подавали сюди снідання та обід насамперед; арештанти дбали про свого майстра, догоджували йому, то вже розуміється, що й дур-

ний Прокіп при сьому мався добре. Але бідний ідіот мав коротку пам'ять, забув, що Панталахи вже нема в казні, не знав і не цікавий був знати, що сталося з ним; почував лише голод та нетерплячку, чому се не приносять снідання?

Хвилю стояв тихо, притулений до дверей, і слухав; далі почав хрупотіти зубами і гарчати, як пес, чуючи, що арештанти, розносячи снідання, не квапляться до нього і розмовляють щось голосно на коридорі. Нарешті щосили почав гримати п'ястуками й ногами о двері. Якийсь час ніхто не озивався і не приходив, от тим-то Прокіп не переставав гримати до дверей чимраз сильніше. Та нараз забряжчала колодка, заскреготав замок, застукали залізні ретязі при дверях казні, і Прокіп мов опечений відскочив від дверей. Вони відчинилися, і увійшов ключник Спориш у товаристві ще одного дозорця.

— Чого гримаєш? — суворо запитав Прокопа Спориш.

— Я... я... ні, — відповів Прокіп кулячися, ніби для одержання ударів.— Я... я.. сплю.

— Спиш? А хто ж так до дверей гуркоче?

— Та-бо я... я хочу їсти.

— А наївся б ти смоли гарячої, тумане! — крикнув другий дозорець.— Повісити тебе варто, а не їсти тобі дати. А не міг ти вночі отак загримати до дверей, заким той злодій штаби на печі поперерізував?

Спориш тим часом кинув оком по казні і в першій хвилі побачив два срібні кружечки, покинені на Прокоповім тапчані. Вхопив їх, оглянув і весь задеревів: відразу пізнав половинки того самого срібного ринського, який він учора дав Панталасі, відразу догадався зв'язку сього ринського з утекою Панталахи.

— А се що? — запитав Прокопа, показуючи йому кружечки.

— Се моє! — крикнув плаксиво Прокіп і простягнув руки до блискучих цяцьок.— Віддайте мені, се моє!

— Твоє! А відки ти маєш се? Хто тобі се дав?

Прокіп станув, широко роззявивши рота, не знав, що відповісти на се питання. Пригадав собі острый наказ Панталахи і тремтів при самій думці про те, що сей «нанашко» може виконати свою страшну погрозу, значить, може якимось чудом винести його з отсих мурів і занести до дому родичів, де його били, поштуркували та морили гблodom і де йому було далеко гірше, ніж тут, у криміналі.

— Говори, хто тобі се дав? — крикнув йому над самим



вухом дозорець і скрипив своє питання сильним бухняком, виміреним у Прокопові плечі.

— Йой-йой-йой! — запищав Прокіп, скулився, як уперед, і закрив лице руками.

— Ну скажи, скажи, хто тобі се дав,— мовив лагідно Спориш, знаючи, що строгістю від сього ідіота нічого не діб'ється.— Скажи, не бійся, нічого тобі за се не буде.

— Ага, не буде? — хлипаючи, промовив Прокіп.

— Я ж тобі говорю, що тебе навіть пальцем не торкнуся.

— Е, ви, я вас не боюся,— мовив ідіот, осмілившись ласкавістю Спориша.

— Ну, а кого ж ти боїшся?

— Панталахи.

— Панталахи? А що ж він може зробити тобі?

— Візьме мене звідси і занесе до тата.

Оба дозорці розсміялися на такий доказ.

— Га, га, га! Чи бачив хто, чого сей дурень боїться! — мовив дозорець.— То інший утікає звідси, щоб дістатися додому, а сей боїться, щоб його хто не викрав із криміналу та не заніс додому.

Але Спориш промовив поважно:

— Ну, ну, не бійся, дурний, Панталаха вже тобі не зробить нічого.

— Ага, не зробить? А ви почім знаєте, що не зробить? — мовив Прокіп, обтираючи сльози рукавом.

— Бо його вже нема на світі.

— А де ж він?

— У трупарні.

— А він там що робить?

— Що має робити, лежить. Хіба не знаєш, що впав із даху і забився на смерть?

— Е, а може, він іще й з трупарні втече?

Знов засміялися дозорці над дурнотою Прокопа, але Спориш знав, що з ідіотом треба говорити його мовою, і мовив далі поважно:

— Не бійся, звідтам уже не втече. Ще сьогодні придуть докторі, відріжуть йому голову, руки, ноги, ну, а без них то як же він втече?

Прокіп витріщив очі на ключника, мов не міг зразу йняти йому віри, а нарешті захихотався голосно.

— Гі, гі, гі! Будуть різати Панталаху, як кабана! І живіт йому розпорють?

— І живіт розпорють.

— Гі, гі, гі! А мене пустять подивитися?

— Авжеж, авжеж! Я сам тебе поведу. Лише скажи мені, хто тобі дав отсе?

Прокіп, немов засоромлений, похилив лице до землі і закрив очі рукавом.

— Я... я не знаю.

— Говори до дурня! — скрикнув дозорець, виведений із терпцю тим глупим упором. — Чому ж не скажеш відразу, що Панталаха?

— Ну, скажи, скажи! — мовив Спориш. — Панталаха дав, правда?

— Панталаха.

— Ну, так, то добре. А за що він дав тобі се?

— За що? За нізащо. За те, щоб я спав уночі.

— Ага! А не казав тобі, щоб ти нікому нічого не говорив?

— Казав.

— А не казав тобі, відки він дістав сю забавку?

— Казав.

— А відки? — запитав цікаво ключник. Він тремтів при самій думці, що Панталаха міг сказати отському дурневі, що дістав того ринського від Спориша. — Ну, відки він дістав її?

— Від святого Миколая.

— Що? Від святого Миколая?

— Ну, так, — мовив осмілений Прокіп. — Святий Миколай прийшов до нього і мовить: «Не плач, Панталахо! Били тебе пани за те, що ти втікав. Маєш ось тут ключове зілля, воно тобі всі замки відчинить, і ти знов утечеш». А Панталаха прийшов до казні дуже веселий. Насамперед хотів мене з'їсти, а потім розколов се на дві половинки і видобув відтам ключове зілля.

— Яке ж то було зілля?

— О, гарне! Таке синеньке, а тоненьке, а довге-довге. Тут у тім лежало скручене. А потім Панталаха мовить до мене: «Дам тобі се, але щоб ти вночі спав; нехай тут і громи б'ють, не смієш пробудитися. І щоб ти не знати що чув або бачив, то не смієш чути, ані бачити нічого і ніяк».

Спориш відітхнув свобідніше. Очевидне діло, Панталаха не зрадив його перед Прокопом. Дурень нічого не знав про те, що се він дав злодієві того ринського, значить, можна буде вийти чистим із сеї поганої історії. Бідний ключник аж дебелив, скільки разів подумав, що якби не обачність

Панталахи та не тумануватість Прокопа, то історія з тим ринським могла б була навести на нього велику біду, втрату служби, а може, навіть і кримінал. З облегшеним серцем випитував, отже, Прокопа далі, що робив Панталаха вчором, що робив уночі, як утікав. Та швидко показалося, що Прокіп дуже мало знав про се все.

— Вечором нанашко Панталаха скакав на одній нозі, потім поліз під тапчан і знайшов там щось, потім лазив на вікно, потім майстрував щось, потім краяв мій хліб, але не їв, а потім... потім я заснув і не чув уже нічого більше.

— Ну, а не мовив тобі Панталаха, — запитав Прокопа другий дозорець, — який то святий Миколай дав йому те ключове зілля?

— Який святий Миколай? — повторив дивуючись Прокіп і витріщив очі. — Святий Миколай, то що в церкві на образі намальований.

— Ну, а відки він узявся тут?

— Сього не знаю. Прийшов.

— А коли ж то він дав се Панталасі?

— Як його вибили, тоді йому дав.

— А не мовив тобі Панталаха, як виглядав той святий Миколай?

— Не мовив нічого.

Ясне діло: від Прокопа годі було дізнатися щось більше. Почали дозорці ревізувати казню, перетрясати сінники, заглядати до кожної шпарки, до кожної щілинки, і справді їм удалось повіднаходити багато всяких металевих предметів: бляшок, дротиків, штабок, шматочків міді і т. і. Але нічого такого, що могло б навести на який дальший слід. Усі віддавна знали, що Панталаха не лише працює в слюсарській «лабораторії», але також у казні виробляє різні предмети, то й ніколи не забираю у нього при ревізіях дрібних та нешкідливих предметів, так що й тепер дозорці не здивувалися, познаходивши їх стільки в його схованках.

Утомившись безплідною шуканиною, вже забиралися до виходу, коли втім Прокіп, що під час усеї ревізії скулений і недвижний сидів на своїм тапчані, нараз ісхопився й заступив дорогу Спорішеві, простягаючи до нього обі руки.

— А ти чого хочеш? — запитав його ключник.

— Віддайте мені те... мое! — мовив Прокіп.

— Що тобі маю віддати?

— А тото... таке гарне, що мені дав Панталаха.

— Иди, безуме! — сердито буркнув Спориш. — Адже ж мушу показати се директорові.

— А він мені віддасть?

— Або я знаю?

— А... а... але ви прецінь обіцяли мені віддати, — відповів Прокіп.

— Ну, що ж із того, що обіцяв, коли не можу.

— Але я вам за те оповів, що мені сказав Панталаха! — мовив Прокіп, підносячи голос.

— Се ти добре зробив, — мовив Спориш, — але я не можу тобі віддати отсього. Бо бачиш, коли се Панталасі дав святий Миколай — розумієш? — то треба се показати попові, щоб він пізнав, чи се на правду від святого Миколая, чи, може, Панталаха так брехав.

— Коли ж бо я не хочу показувати попові! — закричав Прокіп. — Не хочу попові! Піп мені не віддасть, ще й язик уріже. Не хочу попові. Віддайте мені! Се моє!

— Иди геть! — крикнув виведений із терпцю дозорець і, вхопивши Прокопа за плечі, штовхнув його так сильно до середини казні, що бідний ідіот, спотикнувшись о залізний обруч, усе ще розкинений на помості, впав з розхрещеними руками на лице і розквасив собі ніс до помоста. Заверещав, як дитина, та поки встав, уже двері казні були замкнені.

Він прискочив до візитирки, верещачи з болю й лютої:

— Віддайте мені! Віддайте мені! То моє!

І товк кулаками до дверей.

— А не будеш ти там тихо? Хочеш, щоб я прийшов до тебе з тріпачкою? — крикнув у відповідь йому дозорець із коридору.

Прокіп затих, обтираючи рукавом кров, що капала з носа. Тюремна тріпачка була йому надто добре знайома, і він не хотів куштувати її солодоців. Заціпив зуби, щоб не плакати, а в його голові почали миготіти безумні плани помсти.

— Ага, одурив мене! — гарчав Прокіп, грозючи п'ястуками до дверей. — Чекай, я тобі покажу!

Аж зубами заскреготав і босими ногами о поміст зату- пав з лютої.

— Що я йому зроблю? — воркотів сам до себе, сюди й туди нипаючи по казні. — Візьму сокиру і розрубав йому голову. Так, нехай попам'ятає Прокопа! Або ще ліпше: як будуть варити в кухні кашу в тім великім кітлі, а він

буде стояти обік, набираючи огню до люльки, а я тихенько-тихенько зайду ззаду, вхоплю його за ноги та й бух до котла. Ха, ха, ха! Нехай вариться! А яка буде каша смачна, заправлена Споришем! Або ні, візьму його, як буде спати, зв'яжу за ноги та й повішу стрімголов на банти. Нехай у димі копиться, як свиняче сало. Або розпечу в кухні гачок, а скоро він прийде, а я розпеченим гачком штурк йому в очі!

Його вбога фантазія гуляла по різних нетрях та люби-валася тими жорстокостями, не дбаючи про те, що вони в його положенні були всі неможливі. Ті думки були йому розривкою; за ними він забув дійсність, забув те, що перед хвилиною так боліло та дратувало його. Ще сльози тремтіли на його віях, а на носі не обсохла розмазана кров, а душа його вже заспокоїлась і перейшла бог зна до яких посторонніх предметів. Та якась лиха доля не дала зовсім загої-тись та заструпитись його душевній рані.

Не минула й година, коли казня знов відчинилася і в дверях показався Спориш. Його образ відразу відновив у Прокоповій душі весь біль і всю ненависть. Він німо, але з виразом дикої злоби спідлоба глядів на ключника.

— Ану, вставай і забирайся відси! — крикнув Спориш.

— Куди? — буркнув Прокіп.

— Марш до кухні. Тут мусять майстри направити піч.

Ану, живо!

В кухні порались чотири кухарі, декретові арештанти, народ веселий і жартливий. Вони почали розпитувати Прокопа про пригоди минулої ночі, а його глупуваті оповіда-ня ввели їх у добрий гумор. Бачачи сліди крові на Прокоповім лиці, один кухар запитав його, що се в нього таке, і Прокіп сердито розповів про свою пригоду зі Споришем, про те, як ключник обдурив його, забрав йому таке ладне бляскальце, дарунок Панталахи, і ще й пхнув його так, що він розбив собі ніс.

— Бійтеся бога! — скрикнув з гумористичним жахом один кухар. — І він мав бога в серці, щоб отак скривдити тебе!

— І не хотів тобі віддати того, що твоє? — допитував другий.

— Не хотів! — крізь сльози мовив Прокіп.

— Іди до директора та поскаржся на нього! — радив третій.

— А може, ліпше до самого прокуратора! — поправив четвертий. — Прокуратор старший від директора.

— Не хочу до директора! — плаксиво відповів Прокіп. — Директор недобрий! Директор до казенки посадить.

— Так, синку, так! — піддержував його один кухар. — Плюй на директора! До прокуратора вдайся! Той тобі догодить.

— Не хочу до креператора! — скрикнув Прокіп, у якого слово «креператор» в'язалося зі словом «креперувати» і значило щось нечувано страшне та грізне.

— І я так кажу! — мовив другий кухар. — Сам собі справу зроби! Або то ти не потрафиш? Ще б ти собі з таким ключником не дав ради?

— Морду йому набий!

— Очі йому видри! — піддав другий.

— Візьми його за одну ногу, другу приступи і розідри його надвое, як жабу, — підправив третій.

Прокіп слухав з роззявленим ротом і дивувався, як се йому нічого подібного перед тим не прийшло до голови. Наївшись, він почав ходити по просторій напівтемній кухні, цікаво зазираючи в кожний кут, випитуючи про значіння кожної, найзвичайнішої речі і одержуючи на кожне питання від жартливих кухарів найдивоглядніші відповіді.

— Ай-яй-яй! — закричав нараз Прокіп, сплеснувши в долоні, побачивши на лавочці дві свіжо зарізані гуски, з яких одна мала бути спечена для пана директора, а друга зварена на росіл для хорих у тюремнім шпиталі. — А се що таке?

— Хіба не бачиш, що бузьки? — мовив один кухар.

— Бузьки? А вони що тут роблять?

— Прилетіли до нас у гостину.

— Ей, неправда! — мовив усміхаючись Прокіп. — Адже я знаю, що се гуси.

— Так? Знаєш? А в такім разі мусиш знати, що їм належиться.

— Що... що... їм належиться? А що ж їм належиться?

— Маєш зараз тут сісти і скубти.

— Добре! — радісно мовив Прокіп. — Я люблю скубти. Але пір'я буде мое.

— А пощо тобі пір'я, роззяво?

— Буду бавитися.

— Чи ти стікся? А хто ж пір'ям бавиться?

— Ну, то я не хочу скубти.

— Але скуби, скуби! Дістанеш пір'я, скільки захочеш, можемо тобі навіть із пір'я борщ ізварити.

— Ні, не хочу з пір'я борщу, — рішучо відповів Прокіп, скубучи гуску. — Але пірце собі візьму. Я так гарно вмю пірцем бавитися! Воно так ладно грає!.. Мене нанашко Панталаха навчив. Ай, то буде чудово!

Аж над вечором піч була окована і Прокіп, обскувши гусей та проспавшись в кухні, вернув до своєї казні.

## VII

У своїм самотнім покоїку на другім поверсі одної старої каменниці, положеної біля вузької та брудної вулиці недалеко Бригідок<sup>1</sup>, ключник Споріш кинувся на своє старе крісло і, похиливши голову на груди, сидів так довго в німій задумі. Сумерки вже западали, а в його вузькій, голій кімнатці, що виходила вікном на тісне та глибоке, як криниця, подвір'я, було вже напівтемне. Від самого полудня, коли на цілу добу став вільним від служби і покинув мури в'язниці, чув себе якимсь не своїм, а чим ближче до вечора, тим дужче зростав його неспокій.

Розуміється само собою, що страшна пригода минулої ночі зробила на нього дуже сильне вражіння, тим сильніше, що був собі чоловік наскрізь чесний, у яким служба й військова карність не здужали заглушити чисто людського чуття, а надто склонний до задуми й меланхолії, вразливий більше, ніж се годилося чоловікові, що мусив заробляти на хліб насущний сповнюванням «песьої служби».

Ах, та тюремна служба! Те вічне дозорування людей, як череди, вічне лаження по кишенях та пазухах, вічне ревізування, нишпорення, надслухування та ходження на пальцях! Вічне підглядання тих здичілих, споганених зіпсуттям, пристрастями або духовою хворобою лиць, підслухування розмов, цинічних або роздираючих своєю страшеною простотою! Вічне віддихання важкою, затроєною атмосферою тюрми, затухлих стін, темних коридорів і вонючих, перелюднених казень! Вічне слухання обопільних оскаржень, дрібних та тим нікчемніших доносів, лайок та проклять! Вічний вид повзання перед властю, сцен брутальної самоволі, топтання людської гідності там, де тої гід-

---

<sup>1</sup> Так називається львівська тюрма при Казимирівській вул., колишній монастир монахинь ордена св. Бригіди.

ності не раз лишилась лиш маленька іскорка, яку б одначе лагідним подувом можна ще було роздути на живе, гарне полум'я! Ах, та проклята тюремна служба!

Спориш чув себе глибоко нещасливим майже від першої хвилі свого вступлення в сю службу, чув себе й сам в'язнем, засудженим без вини на досмертну в'язницю, і з тим самим важким та болючим почуттям отсе вже двадцять літ двигав своє ярмо. Бо й що ж мав робити на тім божім світі? Взятий до війська від ріллі, вислужив при лінії одним тягом дванадцять літ, не маючи ніяких звісток із дому. Коли вернув у своє село, не застав уже родичів при житті і довідався, що батько перед смертю наслідком якоїсь лихої пригоди був змушений продати половину ґрунту. Другу половину засів молодший брат Споришів; вона обіймала всього-навсього шість моргів немудрої підгірської землі. Що з тим робити? Брат у розмові зі Споришем натякнув про поділ, але Спориш знав добре, що сей натяк був зроблений майже зі слізьми на очах: не уста братові, але судорожно перекивлені обриси лиця, тремтячий голос і слізьми затемнені очі говорили виразно:

— Оба будемо жебраками!

Спориш зрозумів ту мову без слів і, обіймаючи брата, мовив:

— Бідний брате, знаю я, що в тебе на душі! Не потребуєш говорити мені більше. Бачу й сам, як тяжко ти бідуєш і на тих шістьох моргах, а що ж то ще було би на трьох! Але що ж ти собі думаєш про мене? Чи ж мав би я сумління обдирати тебе й твоїх дітей? І нащо придався б мені твій ґрунт? За час дванадцятилітньої військової служби відвик я від праці на ріллі, а тепер бачу, що воно й добре так сталося, бо на чім же тут і робити? Знаєш що, лишайся сам на тій батьківщині, і нехай тобі бог помагає, а я піду, звідки прийшов, буду далі вік свій збувати в цісарській службі.

І, мовлячи се, втиснув брату в жменю всі гроші, які в часі своєї військової служби наскладав був на своє нове господарство, цілих чотириста ринських, а сам спакував свої вбогі манатки, пішов знов до військової коменди і замельдувався, що хоче служити другу капітуляцію, себто других дванадцять літ. А що був у службі пильний і точний, чесний і загально люблений, що мав особливий дар власне до вничування свіжо набраних рекрутів військової муштри без звичайного в тих часах мордування та катування, то прийнято його радо, авансовано на фірера, а потім навіть на



фельдфебля. Так вислужив Спориш других дванадцять літ.

Тим часом його брат, не викараскавшись з нужди, вмер, дрібні діти розійшлися по світі, батьківщину розшарпали чужі люди, — що було чинити старому, вислуженому воякові? До ніякої фахової праці не був здібний, до женячки не мав ані охоти, ані літ уже, ані відповідних засобів, — трафилась йому урядова служба, служба тюремного дозорця, ось він і прийняв її, хоч і нерадо — прийняв, бо не було в чім вибирати.

Від тої пори минуло двадцять літ. Спориш постарівся, посумнів. Виходячи з тюремних мурів, зі служби, оминав людей, пересиджуючи цілими днями в своїй самотній кімнатці на другім поверсі або, коли дозволяла погода, відбуваючи далекі марші за місто, в поле, в ліси. Тут лише віддихав вільніше, напоював зір і серце красою природи. А вечором ішов до Нафтули, сідав сам один у темнім закутку і мовчки випивав кухоль пива. Хазяйка, у якої жив і яка варила йому їсти, не докучала йому своїм товариством, от і мав Спориш досить часу віддаватися своїм думкам, а ті думки чим далі, тим більше робилися сумні й понурі. Згадував свою молодість, уже майже забуту, — тепер вона видавалась йому щасливою, хоча на ділі була зовсім не блискуча. Згадував довгі літа військової служби, важкі труди, мізерні пригоди, переважно не варті спомину, дрібні секатури старшини, дрібні радощі і великі смутки та турботи з дрібних причин. Згадував нарешті довгі літа своєї тюремної служби: ніби непереривна сіра та холодна хмара, перелітали понад ним усі ті літа.

— Страчене життя! Песе життя! — зітхав ключник і почував чимраз більше обридження до того життя й до себе самого.

Та сьогодні особливо ті прикрі почуття змоглися до високого ступеня. Криваве, розторощене до непізнання лице Панталахи ненастанно стояло перед його очима, сверлюючи його нутро якимся страшеним докором, бунтувало кров у його жилах, відбирало йому спокій, апетит, пообідній сон. Хоча був голоден, то проте, засівши вполудне до стола, не міг їсти нічого, а сам вид м'яса доводив його мало що не до земління.

Та найтяжчим, найбільше кривавим докором шуміли в його вухах остатні слова Панталахи: «Я думав, що на тобі лише песь ліберія, а тепер бачу, що в тобі також песь сер-

це». В першій хвилі ті слова не дуже зворушили Спориша, радше заболіли його, як несправедливий закид. Та коли Панталаха впав із даху, коли з його розторощеного лица смерть заглянула в очі Споришеві своїм небрежливим грізним зором, тоді ті слова збудили в його душі зовсім інший, далеко глибший відгомін. А сей відгомін протягом цілого пополудня не втихав, а гудів на тисячі тонів, міцнів, як віщун недалекої бурі.

Бо й справді, за що ж погиб такою страшною смертю Панталаха? За те, що рвався до втеки. Та хіба ж се така велика провина? Закон не вважає її ніяким злочином, але хіба якимсь дрібним переступом, а навіть варварський «домашній порядок», що панує в тюрмі, хоч карає його остро, то проте не карає смертю. І що ж би було сталося, якби Панталаха був утік? Чи потерпів би хто через се яку шкоду? Ні! Бо коли би Панталаха захотів був лишитися в Галичині, то, певно, швидко його знов би зловлено і посаджено в тюрмі. А коли б йому було вдалося втекти за границю, розпочати життя серед іншої обстанови, то хто знає, чи не був би ще з нього виробився чесний і пожиточний чоловік. А коли й ні, то був би собі згинув без нього, був би прояв безвісті. Чи ж мусив доконче він, Спориш, так або інакше на старі літа вмочити руки в людській крові, взяти на свою душу людське життя?

О, так! Не було ніякісінького сумніву — він і ніхто інший, лише він був винен смерті Панталахи. Адже ж се він у своїй засліпленій глупоті дав йому в руки знаряд, який у руках Панталахи сам немов напрошувався, щоб його ужити на виконання нового плану втеки. Погроза «казенки» прискорила те виконання. І зовсім не полегшало на сумлінні в Спориша, коли якийсь голос шепнув йому, що прецінь же він не знав того, що в тім нещаснім срібнім ринськім була схована пилка. Та й не в тім його головна вина, що показався занадто добродушним, але в тім, що безпосередньо потім показався так глупо та безцільно жорстоким. О, бо ж він пригадує собі, що думка про можливу пробу втеки Панталахи мигнула в його голові зараз у першій хвилі, коли крізь сон почув тоненьке гарчання пилки, що перерізувала залізні штаби. Треба було в тій хвилі роздумати сю справу по-людськи, сказати собі самому: «Ну, що ж, пробуй, бо твоє положення справді важке, я не буду тобі ставати наперешкоді». Міг заснути спокійно, твердо і не чути нічого так само, як не чув вояк. Навіть той стук

у комні та брязкіт у казні Панталахи міг витолкувати го-  
якові як щось зовсім звичайне й невинне — і Панталаха  
мав би досить часу для втеки. А коли б рано була викрилася  
його втека, то ключникові та вартовому воякові, крім дріб-  
них неприємностей, протоколів та упімнень, не було би ні-  
чого сталосся. А зате Споріш не був би мав на сумлінню  
смерті чоловіка!

Та й ще якого чоловіка! «Злодій, злодій!» — говорять  
усі, здвигаючи плечима. Спорішеві не лишилася навіть  
така вимівка. Занадто глибоко зазирнув він у душу того  
чоловіка, щоб не пересвідчитися, що під грубою корою  
зопсуття крилися в його душі багаті золоті жили чесних  
і людських почувань, сильної волі й енергії. Чим довше роз-  
думував Споріш, тим більшу пошану для Панталахи збуд-  
жувало в ньому поперед усього власне оце хоробливе, ек-  
зальтоване бажання свободи, той дивний одур, що попихав  
сього чоловіка на очевидну загибель, до найрозпучливі-  
ших кроків. Адже ж із таких людей при інших обставинах  
виробляються славні воеводи, генерали та герої, винахід-  
ники нових стежок, що ведуть цілі народи до побід і  
слави!

— А все-таки я сповнив лише свій обов'язок, алярмую-  
чи сторожу та гонячи втікача, — шептав у ньому якийсь  
голос.

О горе! Сей шепіт не то що не успокоїв його, але, нав-  
паки, відригнувся в душі як безконечна гіркість. Він по-  
чув сором за своє людське ество, що дало себе знизити  
в ярмо власне такого обов'язку.

— Пес, пес! Так, Панталаха мав рацію! — зітхнув Спо-  
ріш і, не дожидаючи вечері, пішов до Нафтули. Та й тут він  
не запопав ніякої пільги. Засівши в своїм звичайнім ку-  
точку, він підзорливим оком озирався довкола, чи люди не  
показують на нього пальцями; прислухувався розмовам,  
чи не згадують про нього. Панталаха справді й сьогодні  
був темою всіх розговорів: його втека і смерть були описані  
в газетах, були великою новиною дня. Наперекір своїмому  
сподіванню, ключник почув голоси, симпатичні для помер-  
шого — здавалося, що всі забули про його крадіжжі, —  
в пам'яті лишилися лише його ненастанні шалені пориви до  
свободи, що нарешті були причиною його смерті, його смі-  
лість та геніальність у винаходженні способів до втеки.  
З другого боку, ніхто не осуджував сторожі ані ключни-  
ка — сповнили свій обов'язок. При одним столі зроблено

навіть складку для вояка, що разом із Панталахою впав із даху, та лишився живий.

Все те зацікавлювало і потроху навіть успокоювало Спориша. Та коли потім вернув додому, чув, що не засне вночі, і лякався своєї власної постелі: йому здавалося, що в нічній пітьмі знайде обік себе холодного, кровавого Панталаху з розторощеним лицем і з величезними, обдертими з повік очима. Наважився не лягати спати і цілу ніч просидіти в кріслі, а тільки над раном лягти на сон, коли ясне сонце порозгонює криваві мари.

Але і в кріслі, дрімаючи, він не міг знайти супокою. Пручався, кричав; раз його кидало в холодну дрож, то знов обливався потом. Найменший шелест переминювався в його сонній уяві на острє, свистюче гарчання, і при тім відголосі він за кожним разом зривався, мов опарений.

## VIII

Спориш мав нічну службу. Замикаючи на ніч тюремні казні, він зайшов і до Прокопової щюпи, тої самої, відки перед добою втік Панталаха. Прокіп лежав на своїм тапчані, лицем обернений до стіни, і якось сердито загарчав, побачивши Спориша. І коли ключник, стоячи насеред казні, підняв угору лампу, оглядаючи стіни, а потім схилився і заглядав по кутках попід тапчани, як се було його обов'язком, Прокіп неспокійно кидався на своїм місці, то знов кулився, як кіт, що готується до скоку. В очах ідіота меркотіла скажена ненависть. Але Спориш не звернув на се уваги. Що значив для нього німий гнів ідіота супроти тих невідступних думок та гризот, що клубилися в його нутрі та підгризали його супокій?

Позамикавши казні, Спориш відітхнув свободніше і, попрощавшись с другим ключником, що досі від учора мав дижур, лишився сам у коридорі. З вартівні власне заводжено сюди нічну сторожу, і Спориш пройшовся по коридору, поки капрал на місці дав воякові півголосом відповідну інструкцію.

З тривогою й неспокоєм дожидав Спориш сеї ночі. Якесь темне прочуття говорило йому, що вона не буде спокійна, що тут, на тім місці, де ще перед добою жив і з такою силою волі напинався Панталаха, мусять бути найсильніші й найсвіжіші згадки про нього та сліди його зусилля. Спориш, старий вояк, не вірив у духів та в привиди і не з того боку

боявся якихось прикростей. Він боявся власного нутра, власної душі, розстроєної вчорашніми вражіннями та рефлексіями. Боявся сну і постановив собі не спати всю ніч, ходити по коридору, балакати з вартовим вояком і взагалі робити що можна, щоб не допускати собі до голови ніяких зайвих, важких думок.

Та ба, ся постанова не зовсім удалась йому. Вояк, поставлений на варті, був простий селянин, новобранець, отяжілий, мовчазливий і трохи тупий та неговіркий. Утруджений цілоденною муштрою, він уночі хотів спати і тому ледве півгодини додержував компанії Споришеві, терпеливо слухаючи, що сей оповідав йому про свою військову службу, та лише десь-колись втручуючи від себе одне-друге слівце. Нарешті він попросту попросив Спориша, щоб дозволив йому передітися півгодиночки, бо його сон ломить. Бідному ключникові ніщо було й діяти. От він засів на паці, як тої пам'ятної ночі, коли тікав Пацталаха, і мовчки вдивлявся в чорне гирло коридора, завидливо зиркаючи часом на вояка, що тут же обік нього, опертий на карабіні, заснув майже в одній хвилині.

Так минуло, може, з десять мінут мертвої, сонної тиші, коли втім нараз Спориш затремтів, підняв голову і напружив слух, широко витріщив очі і навіть відчинив уста. Що се було? Чи злуда уяви, чи... чи...? Спориш не важився доснувати до кінця сеї думки і слухав, заперши в собі дух.

— Грр! грр! грр! — розлягався найвиразніше в світі по цілім коридору тонкий, свистючий скрегіт англійської пилки, що ріже залізо. Кілька мінут сидів Спориш, мов закамелений, не рушаючися з місця, ловлячи вухом, і устами, й усею своєю істотою ті фатальні згуки. Нічого не думав, нічого не відчував у тій хвилі, ані страху, ані тривоги; можна бй навіть сказати, що був спокійний, хоча був се спокій радше колоди, ніж свідомого чоловіка.

Аж по кількох мінутах того мертвого супокою настала реакція. Жива сила прокинулася в Спориші. Напруго кинувся на своїм місці, зірвався на ноги, хотів крикнути, хотів за щось ухопитися руками, бігти кудись, кликати підмоги і почув, що все його тіло обілляне холодним потом. Але й се розворушення тривало лише недовгу хвилю. Отямився, не скрякнув, але, зирнувши на вояка, що спав преспокійно, вспокоївся й сам потроху і почав збирати розпорошені думки.

Що се могло бути? Прислухався ще раз, уважно, пильно — таки так, нема ніякого сумніву! І сим разом се не що інше, як те, що було позавчора. Хтось англійською пилкою ріже залізну штабу! Хто се може бути? Очевидно, що знов якийсь арештант, якому заманулося поспробувати податися слідом Панталахи. Чи подуріли ті люди? Спориш запитав сам себе, що йому робити в отьому випадку? Чи розбудити вояка? Але що pomoже йому вояк? Ліпше піти й переко-нати, де се, в котрій казні хтось працює так завзято? Хвилево навіть у ключниковій голові мигнула думка дати спокій і лишити втікачеві-арештантові волю, нехай собі тікає, куди знає! Але службова привычка таки взяла верх. Ступаючи на пальцях, він пішов здовж коридору, вухом слідачи та міркуючи, відки се міг видобуватися той підозрений скрегіт? Ідучи, він навіть усміхався. Видно, що не Панталаха працює, але якийсь партачина! Невправне вухо, невинна рука! Панталаха вмів ловити вухом кожний найдрібніший шелест на коридорі і зараз переставав — видно, що, роблячи своє діло, вповні панував над усіми силами свого ума, не почував ані тривоги, ані зворушення, ані неспокою. А сей увесь затопився в своїм занятті і вже ні на що більше не зважає, нічого не чує. Цікава річ, чи почує бодай, як буду відмикати колодку! О, се вже певне, з такою обережністю він далеко не забіжить!

Так міркуючи, ключник звільна посувався коридором. Але чим далі йшов, тим більше щезав його хвилевий спокій, тим сильніше морщилося його чоло і затискались уста. Що ж се? Скрегіт, бачилось, уходив перед ним чимраз далі в глиб коридору. Ключник розміркував собі був зараз із першого разу, в яких казнях сидять такі пташки, по яких можна би надіятися проби втеки, але тепер переконовувався, що його міркування було хибне і ві всіх тих підозрених казнях було тихо, мов маком засіяв. А гарчання чути було раз у раз, виразне, прискорене, монотонне, мов металічне цвіркотання сверцька в шпарці під прилічком.

Помаленьку, мов привид, наближався Спориш до казні, з якої позавчора перший раз почув був таке саме зловіще цвіркотання. Зближався, неважаючи на якийсь внутрішній опір; потер рукою чоло, немовби хотів відігнати якусь налазливу і безглузду думку. Але ж се не може бути! Але ж се нісенітниця, щоб і тепер той дзоркіт міг походити з тої самої казні! Адже ж у ній нема нікого, крім Прокопа, а сей ідіот ані пилки не має, ані поводитися з нею не вміє,

ані не має охоти, ні потреби пилувати штаби! А проте голос виразнісінько показує власне на сю казню. Спориш наблизився до самих дверей, приложив вухо до стіни — так, не було сумніву, з отсеї казні видобувалося зловіще гарчання, розходилося виразно, ніби хто острими остями шпигав Спориша в груди. У ключника волосся з'їжалося на голові, дух захопило в грудях.

— Боже! Се Панталаха! — без волі й відома простогнав він півголосом — і в тій хвилині таємничий скрегіт затих.

Не тямлячи сам, що й пощо чинить, Спориш з гуркотом і стуком влетів до казні. Казня була пуста, все в ній було в порядку, лише безмісні, вибалушені очі Прокопові поглядали на ключника з кута, з тапчана.

— А ти що тут робиш? — крикнув на нього Спориш, не того, щоб чогось дізнатись, але попросту того, щоб почути людський голос.

— Я... я... сплю, — мовив, загикуючися, Прокіп.

— А ти не чув нічого?

— Нічого, нічого.

Спориш стояв блідий, як труп. Світло ліхтарні, яку держав у руці, падало скісно на його лице та надавало йому страшенний, мертвецький вираз. Не знаючи, що почати далі, Спориш кинувсь уважно оглядати штаби на печі, крати та окупи при вікнах і дверях — ніде ані сліду пиловання. А прецінь же те гарчання тривало так довго, було таке виразне, що оманом не могло бути ніяким світом. З тяжким серцем, згорблений і похилений, ніби під якоюсь великою тяготою, вийшов ключник із казні, замкнув її і повільним кроком віддалився, шохвиля стаючи й надслухуючи. Та гарчання вже не було чути. Вся решта ночі проминула спокійно.

Спокійно! Те, що сеї ночі діялося в душі Спориша, було подібне скорше до бурі, що валить усякі забори і вириває дерева з корінням, ніж до спокою. В пам'яті старого вояка, під впливом внутрішньої грижі та невиясненої події, віджили всі вірування та бог зна коли чувані оповідання про духів та привидів, якими кормила його молодість, пережита під сільською стріхою, яких і потім у війську наслухався немало. Те, що до недавня відскакувало від його здорового розуму, здорової вдачі та чистого сумління, мов від сталевого щита, тепер штурмом здобувало становище і не знаходило відпору. Спориш не смів уже сумніватися, що чув над-

земний голос, що се Панталашина рука виконувала те гарчання, що се дух Панталахи покутує на місці своєї передчасної смерті і мститься на своєму вбійці. Стоячи на кінці коридори, Спориш уперше зі смертельною тривогою зирнув у його бездонно глибоке, темне гирло, немов лякаючись, що на тлі тої темноти в найближчій хвилиночці побачить якийсь страховинний привид, що всю кров у його жилах відразу зітне на щирий лід. За кожним шелестом дрож його пробирала, а все-таки сто разів страшнішою від усякого шелесту була для нього та мертва, глуха тиша, що залягала в'язнищу. Навіть вояк, сплячи біля нього на паці, не хрпів, але віддихав так тихо й нечутно, що переляканий Спориш наблизив вухо аж до його лица, бо в одній хвилі йому в душі мигнула думка, ану ж той вояк, почувши те зловіще гарчання, тут-таки вмер із переполоху! Та коли по кількох годинах вояк пробудився і Спориш запитав його, чи він не чув чого, вояк преспокійно відповів:

— Ні, богу дякувати, не чув нічого.

— Бійся бога, Споришу, чоловіче, а ти як виглядаєш?— крикнув другого дня рано один дозорець, приходячи до служби.

— Що? Я! А як же маю виглядати? — мовив Спориш зміненим, розбитим голосом.

— Як з хреста знятий! — мовив дозорець і аж руки заламав.— Згорбився, лице твоє пожовкло, очі запали глибоко в голову. Що тобі сталося?

— Але ж нічого, нічого! — мовив Спориш, махаючи рукою.— Так тобі здається. Мені нічого не хибує.

Дозорець здвигнув плечима і покивав головою.

— Але ж ти хорий, ледво на ногах держишся! Трусишся, як у лихорадці, в тебе гарячка! — говорив дозорець, старий військовий товариш Спориша.

— Ну, бог з тобою! Що тобі сниться! Пек-запек! — відмовлявся Спориш, силкуючись усміхатися.— Ще на правду ввіпреш у мене, що я хорий. Ні, кажу тобі, що я здоров. То... так лише, я не спав уночі. Просплюся по обіді, і буде мені зовсім добре.

І поспішною ходою він віддалився, немов стараючись уйти від допитливих очей старого товариша. Розуміється, що про свою нічну пригоду він нікому не згадував ані словом. Боявся, щоб його не висміяли. Зрештою чекав, що скаже другий ключник, який по ньому держатиме слідуючої ночі дижур у тім коридорі.



— Слухай-но, братику,— питав якось несміло і з якимось заклопотанням Спориш слідуючого дня другого ключника, що власне закінчив свій 24-годинний джур у тім коридорі і передавав йому ключі,— слухай-но... чи ти сеї ночі... тее-то... буває... не чув нічого?

— Де?

— Ну, тут, у казнях?

— У казнях? А хіба що я мав чути в казнях?

— Ну, не знаю... Але власне про те я й питаю тебе, чи не чув... що-будь?

— Не чув нічогосінько. Або що? Ти, може, чув щось?

— Я? Але ж нічого!

І Спориш сквапно віддалився, уникаючи дальших запитань. Але видно було по нім, що якась тривога присіла його і не давала йому спокою. Хитався на вогах, ходив як сам не свій, обминав людей, а коли не міг обминути їх, то або мовчав, або відзивався уриваними зворотами, збував запити півслівцями або ні з сього ні з того починав говорити щось не до речі, немовби його дух був зайнятий чимось зовсім постороннім і далеким.

Се було таки правдою. В душі у Спориша панував один образ — могутній, що пожирав усі інші,— Панталаха. Ославлений злодій не вмер, він жив у душі в Спориша і там вів далі своє ремесло — помалу, але ненастанно цитував та перепиловав одну за одною ті живі нитки, що в'язали Спориша з життям.

Немов хробак, підгризав він корінці його духової істоти. Тепер, коли його годі було замкнути в казні, запроторити до казенки або засадити до праці в «лаборнї», коли він зробився незримим та невловимим, його сила побільшала безмірно, і всякий опір супроти неї був даремний.

Та проте слова другого ключника митнули Споришеві, мов слабкий промінчик надії. Ага, сеї уночі не чув нічого! Може, й я не почую! Може, те вчорашнє було таки оманю, походило з гарячки, з безсонниці! Але в душі щось шептало йому, що ся надія зрадлива, що страшний гість знов уночі навідається до нього, знов дасть йому почувтись. Коли Панталаха лиш його взяв собі на зуб, то що має давати почувти себе комусь іншому?

В часі вечірнього обходу по казнях Спориш якось несподівано кинув оком на Прокопа і аж затрусився зо страху.

Лице ідіота було страшенне, мало такий дикий, напівкровожадний, а напівпереляканий вираз, що ключникові аж мороз пробіг по тілі. Пригадав собі людське вірування, що діти й звірі бачать не раз духів тоді, коли дорослі люди не бачать нічого. Чи ж мав би й Прокіп?.. Алі ні, ні, то не може бути! Та проте ключник не мав смілості ані словечка промовити до Прокопа, лише вилетів із казні, мов облятий окропом, і ледве міг тремтучими руками позамикати колючки та ретязі.

Скінчивши обхід по казнях, ходив якийсь час по коридору, силкуючися до руху, дожидаючи, що буде далі. Не було нічого. Та ледве зупинився на кінці коридори, супротивлежнім від того, в якому стояв вояк, коли нараз почувся новий зловіщий гаркіт:

— Гррр, гррр, гррр!

Прошиблений неописаною тривогою, ключник видав із грудей глухий окрик і пустився щодуху бігти в супротивлежній кінець коридори, до вояка, що щось там нишпорив у своїй торністрі. По його окрику гарчання зараз утихло.

— Чу... чули? — питав майже без духу Споріш вояка.

— Що таке? — відізвася байдужно вояк, обертаючись до нього лицем.

— Як-то що таке? Хіба ж ви не чули?

— Що я мав чути? Не чув нічого.

— А... а... те... знаєте, таке... гарчання?

— Гарчання?

Вояк витріщеними очима видивився на Споріша, як на чоловіка, у якого не всі дома.

— Але ж тільки що... перед хвилиною... от так: гррр, гррр, гррр! — ледве дух переводячи, толкував Споріш.

— Добре, добре, буду вважати! — мовив вояк, щоб як-будь закінчити розмову, очевидно дійшовши до висновку, що ключник десь трохи надміру закропився.

Сеї ночі, одначе, гарчання вже не повторилося, і вояк, що не спав усю ніч, не міг дочутися нічогісінько. От і не диво, що в душі проклинав Споріша на чім світ стоїть, а рано в рапорті досолив йому, твердячи, що був п'яний, що безпідставно алярмував сторожу і балакав щось таке, чого годі було й зрозуміти. Бідний Споріш, покликаний до тюремного директора, щоб витолкувався, та не хотючи признатися до своєї тривоги перед духом Панталахи, звинявся тим, щоб був невиспаний, що в нього гарячка, в якій йому

часом причувається всяка всячина, і просив, щоб на пару днів увільнено його від служби, поки не поздоровшає. Тюремний лікар справді потвердив ненормальний стан Спориша, велів йому держати дієту і часто заживати хініну, а директор дав йому відпустку на три дні, бо, по думці лікаря, слабкість зовсім не була грізна і в короткім часі повинна була минутися.

З заціпленими зубами і з темною злобою в душі вийшов ключник із тюремного будинку і, зім'явши в долоні лікарів рецепт, кинув його до рову.

— Дурень! — пробуркотів він. — Має пульс, прислухається до грудей і плечей і думає, що пізнав хворобу. А що діється в душі чоловіка, про се ані не питає!

По трьох днях Спориш вернув до служби — на вид упокоєний, але на самім ділі лиш ослаблений та вичерпаний ненастанною тривоною, ненастанним неспокоєм, невідступними привидами. Освоївся з ними, чув, що вже ніщо не вирве його з рук Панталахи, і піддався своїй долі. Знав напевне, що найближчої ночі знов почує з тюремної келії той проразливий скрегіт, а проте щось тягло його до тої келії, бажав якнайшвидше почути те, що недавно проймало його такою тривоною; був, як той стратенець, що зі смертельною тривоною та при тім і з нетерплячкою дожидає відчитання засаду.

І не помилився в своїх прочуваннях. Найближчої ночі Панталаха знов дав себе чути своїм звичайним способом, хоча за весь час Споришевої неприсутності ніхто нічого не чув у коридорі. В тім часі перестали вже ставити військову варту в коридорі, то й ключник був сам серед голих стін. Хвилю слухав страшного гарчання, мов окаменілий, але нараз смертельний переляк обхопив його, він кинувся до виходу і впав до військової стражниці з безпам'ятним криком:

— Панталаха! Панталаха!

В одній хвилі всі вояки посхапувались і обскочили ключника, що хитався на ногах і був блідий, мов труп.

— Що сталося? Що там таке? — допитували його гуртом, але Спориш не міг вимовити ані слова. Блудними очима водив довкола, заломлював руки і порушував устами, але голосу з них не міг видобути ніякого.

Військова сторожа рушила на коридор — у казнях панувала цілковита тиша. Ключник, якого два вояки вели попід руки, киванням голови показував на казню, з якої

втік Панталаха; його дрож при наближенні до неї свідчила, що власне та казнь була причиною його переляку. Взяли від нього ключі, відчинили казню, капрал і ще три вояки ввійшли досередни, перешукали все, зревизували до голого тіла переляканого Прокопа, але нічогосінько підозреного знайти не здужали.

Полишено на коридорі військовий пост, а ключника заведено до стражниці і положено на голих дошках тапчана. Лежав німий, з очима встовп і раз у раз порушував устами, неначе з кимось незримим провадив якусь нечутну для людського вуха розмову. Над раном заснув, але сон його був неспокійний, гарячковий. Щохвиля Спориш кидався, скреготав зубами, бив руками по дошках. Недавно блідість замінили гарячкові рум'яні, голова і все тіло його були мов у огні.

Дали знати директорові про ключникову хворобу. Директор прибіг до стражниці, приступив до безтямного ключника і доторкнувся його рукою, немов хотів його збудити. Та в тій хвилі Спориш кинувся щосили на тапчані і з виразом найбільшої тривоги, завертаючи кров'ю набіглими очима, знов закричав:

— Панталаха! Панталаха!

І знов утих. Більше не можна було з нього видобути нічого. Покликаний із тюремного шпиталю лікар сконстатував запалення мозку і велів зараз перенести Спориша до шпиталю, висловлюючи при тім сумнів, чи вдасться йому пацієнта в такім поважнім віці привернути до здоровля.

В шпиталі Спориш, під впливом зимних компресів, на пару хвиль прийшов до пам'яті і уриваними словами розповів директорові про гарчання, яке чув у казні. Се була остатня його ясна хвиля. Швидко знов узяла перевагу гарячка та нетяма, і коло півночі Спориш закінчив життя в шпиталі.

## Х

Директор з ніг валився від втоми. В супроводі ключника і ще двох дозорців цілого півдня робив ревізії по всіх казнях того коридора, в якому ключником був Спориш. Забрано багато ножів, шил, цвяхів, шахів, роблених із хліба, карт, роблених із бібули, оловців і тим подібних заборонених речей, але нічогосінько такого, що могло б

оправдати підозріння, що хтось із в'язнів міг пилювати штаби або крати. Переслухано всіх в'язнів, чи не чули підозреного гарчання, але тут директор сам наперед був певний, що всі ті переслухи зовсім даремні і що жоден в'язень не скаже правди, хоч би й мере чув щось таке, бо інакше товариші признають його «капусем» (донощиком) і будуть збиткувати його та докучати йому на кожному кроці. І справді, всі в'язні клялися й присягалися, що ніякого гарчання ніхто з них не чував ніколи.

Чи ж мала би се бути омана, вплив роздражненої уяви самого Спориша? Але з оповідання небіжчика директор зрозумів, що, коли Спориш уперве почув те гарчання, був іще здоров і зовсім не надіявся нічого подібного. Можливе було припущення, що Спориш помилився в казні; можна було догадуватися, що, почувши про те, що сталося, винуватий в'язень міг подати небезпечний знаряд до іншої казні, і для того директор наказав зробити ревізію у всіх казнях і у всіх арештантів за покотом. Ревізія не виявила нічого, а поперед усього важне було те, що найстаранніші оглядини всіх крат і штаб не виявили ніде ані найменшого сліду пилювання.

— Там до старого дяса! — воркотів раз по разу директор, сильовуючи з нетерплячки. Та був се старий недовірок: в духи не вірив, а заким успокоїтись на думці, що все те «причулося» Споришеві, хотів випробувати все, що могло довести до виявлення правди. Ось він і наважився ще раз якнайстаранніше перешукати Прокопову казню. Та й сим разом перешукування не довело ні до чого. Директор кляв по-чеськи і тулав ногою, нарешті впав на якусь думку і велів дозорцям вийти з казні. Він лишився сам на сам із Прокопом.

— Слюхай, Прокопа, — мовив до нього директор, — ти вночі спав?

— Спав.

— А слухав цо?

— Не чув нічого.

— Неправда! Я вім, що ти чуль.

Прокіп видивився на директора вибалушеними очима, нарешті, всміхаючися дурнувато, запитав:

— А ви відки знаєте, що я щось чув?

— Відки знаю? — підхопив директор. — Я ті то повім потома, а тепер ти мі повіж, цо ти чуль?

— Я... я... не чув нічого.

— До сто дясов! — крикнув директор, тупнувши ногою. — Слюхай, Прокопа, що я ті повім. Пріехалъ ту твій батько і питальсе за тебою, муві: «А где мій Прокопа, хочю го взат додома. Дост ту юж у панів пановаль».

Директор знав, чим налякати Прокопа. За кожним разом, коли батько приїжджав відвідувати його, Прокіп виявляв такий перестрах, що не було гіршої погрози для нього понад ту, що його з тюрми відшлють додому. І тепер Прокіп поблід і почав дилькотіти на ногах.

— Н... ні... ні! — булькотів він. — Я не хочю додому.

— А повіш, що ти чуль?

— Повім, повім.

— Ну, говори.

— А... а... не будете бити?

— Бити? А то за що? — зачудувався директор. — За то, що ти чуль?

— Бо я то сам зробив.

— Що ти зробив?

— А те... таке гарне, що так мовило: гrrr, гrrr, гrrr.

Директор аж на місці підскочив.

— Ти то зробіль? А ти як то зробіль?

— Як? А ось як!

І Прокіп видобув із свого густого, розчіхраного волосся шматок із шпульки гусячого пера, застромив один кінчик за штабу при дверях, а другий кінчик пару разів порушив пальцем. І справді, перо, диркаючи та вдаряючи о дубові, бляхою заковані двері видавало гарчання, подібне до скреготу пилки при різанні заліза. Директор аж у долоні плеснув.

— І пощо ж ти то зробіль? — питав Прокопа.

— Пощо? — видивився на нього Прокіп. — Ніпощо, так собі.

— А чому ж ніхто інший не чуль се, крім Спориша?

— Спориша? А то що за Спориш?

— Не віш? Тен пан ключник, що вчора вмер?

— Ключник умер? Спориш умер? — крикнув радісно Прокіп. — Ага, то той, що мені відібрав те моє, таке гарне,

що мені дав Панталаха.

І, неважаючи на присутність директора, ідіот почав скакати по казні і плескати в долоні, приговорюючи:

— А так! А так! Так йому треба! Нехай би був не відбирав мені того, що моє! А я зате йому заграв, так, як грав нанашко Панталаха тої ночі, як мав утікати. А я ніби спав,

але чув усе добре. А ключник ускочив до мене вночі до казні, шукав чогось, та не знайшов нічого. А потім уже до казні не вскакував, лише стояв під дверима, і слухав, і кричав. А я йому грав так гарно! Га, га, га! А він узяв та й умер. Так йому треба!

— Бестія собача! — буркнув директор, бачачи ту звірячу радість дурнуватою і зрозумівши весь зв'язок його слів.— Ну, що з ним уделаш? Чи біть го, чи повісіть го? Кеди он гльоупи, як бут! Нех те гром біє!

І, сплюнувши, вийшов із казні.

Львів, у січні 1888 р.

# ДОДАТКИ





## ЛЕЛЬ І ПОЛЕЛЬ

СУЧАСНИЙ РОМАН

### I

— Владку! Начку! де вас дідько носить?

— Лізуть собі, як той лелюм-полелюм.

— Поросюки! Сказали, що придуть сюди о першій, а вже скоро другу будуть бити!<sup>1</sup>

— Дати їм у карк по разові, хай вчаться дотримувати слова!

— Попсувати їм фронт!<sup>2</sup>

— Закобзити попід шаблі!<sup>3</sup>

— Заїхати обом межі липки, щоб їм войтик закапував!<sup>4</sup>

Такі вигуки й делікатні пропозиції чулися посеред великої галасливої юрби вуличних дітей на одній із малолюдних вулиць якогось гарного осіннього дня 1859 року. Діти на той день домовилися влаштувати спільну прогулянку на Пелчинські «гори» — пошукати терну, печериць і глоду, а при нагоді ще й картоплі, моркви та брукви, яких можна було «намухрати»<sup>5</sup> на недалеких польових горах. У волецькому ліску діти збиралися розкласти вогнище, пекти картоплю й гриби — увесь післяобідній час, проведений там, на волі, за словами аранжера Стефка, недавнього учня, вигнаного з майстерні столяра, мав бути «приємним, як сто чортів».

Діти зібралися ще годину тому, але не вирушали за місто, хоча чулись наполягання декого з найбільш нетерплячих. Стефко, хлопчисько, в якого вже сіяєся вус і який

---

<sup>1</sup> Битимуть другу годину.

<sup>2</sup> Дати їм по пиці.

<sup>3</sup> Поштурхати попід ребра.

<sup>4</sup> Ударити їх межі очі, щоб їм аж місяць засвітив.

<sup>5</sup> Нахрасти.

виключно перевагою своєї фізичної сили завоював провід над цією ватагою, тримав на місці всю галасливу юрбу до-ти, доки не зберуться всі учасники задуманої прогулянки. Йому особливо потрібні були Владко й Начко, два брати-близнюки, підлітки років дев'яти, відомі своєю вправністю й швидкістю: ніхто з усієї компанії не вмів краще, ніж вони, упоратися в городі чи садку, не міг так спритно уникати погоні, використовувати найменші схованки й повертатися з багатшою здобиччю. Тож і не дивно, що в очах Стефка, який на весь цей замиський похід дивився з суто практичного боку, Владко й Начко були вкрай необхідними учасниками, і що він волів цілу годину притримувати на місці свою нетерпеливу «галайстру», ніж вирушати в поле без них.

Нарешті очікувані з'явилися на повороті вулиці — і юрба привітала їх градом погроз, докорів та жартів.

— Де це ви, дідько б вас узяв, так довго сиділи? — запитав їх Стефко, коли вони порівнялися з компанією.

— Ми мусили чекати на обід. Войцехова зрання була десь там на хрестинах, повернулася аж під одинадцятую і то вже під мухою. Отож, поки нас обох набила, поки посварилася з чоловіком, поки розпалила в печі та зварила картоплі до борщу, то вже й перша година минула.

— А за що вона вас била?

— Хіба я знаю, — відповів Владко. — Чи то за котеня, чи то за молоко, бігме, не знаю.

Вся компанія вибухнула голосним сміхом.

— Як це? Що — котеня вихлептало молоко?

— Е, де там! — байдужо відповів Владко. — В котеняти заболів животик, мабуть, від тих гнилих огірків, якими ми нагодували його вчора. От сьогодні вранці ми й радимося обидва: чим би це допомогти котеняті, бо шкода-таки, коли воно здохне. От Начко й каже: а знаєш що, давай скупаємо його в молоці! Гарзд — молоко ж допомагає, особливо тепле. А наша стара, ви ж знаєте, має крамничку, то й молока щодня купує великий глечик, спряжить і продає по склянці. І сьогодні так само. Спряжила те молоко, поставила собі збоку, зібралася й пішла на хрестини, а свого глухого Войцеха залишила в крамничці, нехай продає. Ну, а нам цього тільки й треба було. Зараз ми те котеня — з печі, помацали пульс — овва, кепсько! Треба обов'язково лікувати. Отож, Начко взяв за хвостик, а я за голову — котеня тільки лапки розставило й ні мур-мур. От я й питаю

Начка: а що, Начку, занурювати повільно чи відразу? А Начко каже: хто його знає, а може, його хтось наврочив, то треба відразу, щоб воно перелякалося, то й уроки перелякаються і втечуть. Я й думаю собі: він має рацію. І ото як легенько не шубовснемо те котеня в молоко, а котеня як не зам'являє мов навіжене, як не вхопить мене пазурами, а я як не злякаюся й не стріпну рукою — і мое котеня потонуло в молоці, тільки Начко тримає хвостик. Потримав яку часину, витягає — а те котисько все, мов бубон, голе й опухле, мов бочка, тільки пара парує. І, звичайно, неживе, бо ж молоко, хай йому біс, було ще дуже гаряче, так що з котеняти вся шерсть відразу злізла й залишилася в посудині.

— От тобі й маєш, — кажу я Начкові.

— Е, — відповідає Начко, — котеня — це ще так собі, а що буде з молоком.

— З молоком? — веду я далі. — Не журися, дурненький, що йому станеться! Молоко стара перецідить і продасть по склянці, а котенятка шкода!

І почали ми сваритися, чого більше шкода: молока чи котенятка, і пішли ми до глухого Войцеха, щоб він нас розсудив. Але поки ми йому витлумачили, про що йде мова, вже прийшла і Войцехова та й побачила, що ми наробили...

Це Владкове оповідання, розказане зовсім невинно й навіть трохи патетично, від початку до кінця викликало вибухи сміху всієї компанії. Стефко аж за боки хапався. Навіть Начко, стоячи збоку, добродушно сміявся й не стільки з самої оповіді, як від радості, що його брат, відомий серед вуличних дітей як веселий оповідач, має сьогодні такий успіх.

— Ну й що, — насміявшись досхочу, запитав Стефко, — розсудила вашу суперечку Войцехова?

— Ні! — відказав Владко й мало не схлипнув. — Набила нас Войцехова, щоправда, добряче, але на моє запитання, за що вона нас, власне, карає: за котеня чи за молоко? — дала мені по лобі, та й на тому все скінчилося. Але я все собі гадаю, що їй більше таки шкода котеняти, бо молоко стара відьма зараз же перецідила й, певне, ще сьогодні його продасть.

— Справді-таки стара відьма! — залунали навколо голоси дітей. — Та ж то вже буде хвороба, а не молоко!

— Овва, не бійтеся! — відповів, заспокоюючи їх, Владко. — Вона знає, що зробити. Молоко ще раз переки-

п'ятить, наполовину змішає його з чистим, і ніхто вже й не дізнається, що в ньому зварилося хворе котеня.

Це оповідання дуже розвеселило всю компанію. Голосно сміючись і жартуючи, всі на чолі з Стефком пішли до цитаделі, повторюючи поміж собою з різними додатками й варіаціями Владкову оповідь про оригінальне лікування котеняти. Тільки автори того веселого оповідання, Владко й Начко, не брали участі в загальних веселошах. Вони йшли на чолі товариства, по обидва боки Стефка, й пильно слухали виклад плану сьогоднішньої акції, який склав той же Стефко і в якому братам випадало виконувати важливі ролі.

— Знаєш що, Владку,— нахилиючися праворуч, сказав Стефко,— ти підеш он туди, на картоплю. А ти, Начку,— тут Стефко нахилився ліворуч,— підеш на брукву.

— Ні,— відповіли обидва хлопці разом,— ми підемо тільки вдвох.

— Але тоді ми залишимося без брукви,— крикнув Стефко.

— Дідько з нею, з тою бруквою! Картопля старша за брукву. А якщо тобі так хочеться брукви, то йди собі сам або пошли когось іншого.

— Кого тут пошлеш, коли все така дрібнота й такі нездари! Найкраще було б, аби один із вас...

— Ні, про це не може бути й мови! — рішуче заявив Владко.— Ми ходимо тільки разом!

Стефко вже не від сьогодні знав про цю дивну єдність братів, але, всупереч цьому спробував ще раз намовити їх, щоб вони цього разу розділилися. Одначе всі намови не дали жодних наслідків. Хлопці, здавалося, навіть уявити собі не могли, щоб кудись іти один без одного. Зате обидва разом ішли вони, як в дим, навіть на найнебезпечніші акції і звично виходили з них переможцями.

— Ви — справжні Лель і Полель,— сказав Стефко, поплескавши їх обох по плечах.— Ніяким способом вас не розлучиш!

— А хіба ти не знаєш,— зненацька жваво озвався Начко, який до цього часу здебільшого мовчав,— що наша мама так нам обом наказала, коли умирала?

— Як вам наказала? — зацікавлено спитав Стефко.

— Я добре пам'ятаю, щоб вона казала нам перед смертю. Наказала, щоб ми, боронь боже, один із одним не розлучалися... «Запам'ятайте мені,— говорила, — всюди

і завжди тримайтеся разом! Бог вас разом покликав на світ, бог вам і щаститиме доти, поки ви будете триматися разом!» Ну, а якщо це так, то ти сам бачиш, що йти окремо нам не випадає.

— Про мене, йдїть собі обидва разом, — сказав Стефко, не знаючи, що відповідати на такий аргумент. — Що ж до брукви, то ми вже якось зарадимо собі.

З шумом і галасом громадка обдертої, босої й замурзаної дїтвори перебігла по греблі Пелчинського ставу й розсипалася між кущами, що покривали суміжні пагорби. Рясні крики, вигуки й прокльони, що дуже вже неприродно звучали з юних, інколи зовсім дитячих уст, оживили горби. Але що ж, вулиця — це також своєрідна школа, де тон і лексика для всіх однакові й обов'язкові.

— Владку! Начку! — гукав Стефко, вже видряпавшись на вершину пагорба, з якого міг вільно оглянути сусідні поля. Владко й Начко вже були біля нього. — Ну, що — вже знаєте, куди маєте йти?

— Знаємо, знаємо!

— А пригляньтесь добре! Там є й кукурудза.

— І кукурудзи наламаємо.

— Тільки треба добре шпанувати, бо в кукурудзі може жлоб кимати<sup>1</sup>. То щоб вас не заскочив.

— Не бійся, нічого з нами не станеться! — скрикнули брати і, взявшись за руки, погналися з горба на поле.

— А знаєте, куди йти потім? — гукав услід за ними Стефко.

— Знаємо, знаємо! До волецького ліска! — відповіли йому хлопці й швидко заховалися в грядках, засаджених високою кукурудзою. Вони, начебто у воду, впали в гушавину пишної шелесткої зелені. Стефко довго придивлявся згори, чи не побачить, бува, якого їхнього слїду, але дарма, хоча поле не було вже таке й широке, бо займало всього тільки десять грядок, лише за кукурудзою тяглася ширша смуга картоплі.

— Де це ті обмінчата могли подїтися? — бурмотів сам до себе Стефко, даремно намагаючись здалеку проникнути своїм поглядом у гушавину кукурудзи. — І що вони там так довго роблять? Чому не шпортають картоплі?

Але в ту ж мить він обірвав пасмо своїх питань і аж в долоні сплеснув од здивування. В кінці картопляної смуги

<sup>1</sup> Треба добре пильнувати, бо в кукурудзі може хлоп лежати.

з-посеред високих рядків напівпосохлого бадилля майнула чорна, коротко обстрижена голова одного з братів.

— Чи ви бачили їх, бухацькі душі! — вигукнув здивований Стефко. — Я думав, що вони ще в кукурудзі, а вони вже все картоплисько сплюндрували! Ну, не хотів би я слухати те, що жлоб<sup>1</sup> буде казати, коли на своїй нивці побачить сліди їхньої роботи.

Але в цю хвилию пасмо Стефкових роздумів ще раз було обірване зовсім несподіваним способом. Із кукурудзи вихилилася міцна, плечиста постать господаря й відрізала братам відступ. Нінащо здався й запізнілий крик Стефка, який хотів застерегти їх з гори. Господар уже помітив обох юних злодіїв і водночас гукнув до людей, що працювали віддалік:

— Тримай! Лови злодіїв!

— Тримай! Лови! — нараз розляглося з різних боків.

— А, попалися, голубчики! — заgrimів, наближаючись, господар і розставив руки так, як це робить господиня, коли хоче спіймати дві курки водночас.

Хлопці, зірвавшись зі своїх схованок, підвелися на рівні ноги й першу хвилию стояли немовби одерев'янілі. Владко розігнався бігти до струмка, але за струмком вже виднілася погоня. Він зупинився і враз, мов куля, кинувся до брата, який, побліднувши й закусивши губи, все ще стояв на місці, поглядом визначаючи величину небезпеки. А почервонілий і грізний господар, розставивши руки, повільно наближався до них.

— Разом на нього, Начку! Бий головою в живіт, щоб аж перевернувся! — крикнув Владко. Й обидва брати, немов камінці, випущені з однієї праці, кинулися на господаря. Але — прорахувалися. Замість того, щоб ударити господаря в живіт, вони наткнулися на його міцні жилаві руки, які відразу ж їх обох схопили за коміри.

— Ага, попалися! — радісно вигукнув господар і так сильно струсонув обома юними злочинцями, що їм аж кості в карку затріщали і в очах блиснуло сто свічок.

— Ще не попалися, суча твоя мама! — запищав Владко, якому аж сльози з'явилися в очах. — Начку, бий у живіт, як ти вмієш!

Начкові не треба було цього й говорити. Як тільки-но після отого сильного струсу він міцно став ногами на зем-

---

<sup>1</sup> Хлоп.

лю, то відразу ж, наче той баран, нахилив свою коротко обстрижену голову вперед, та й щосили і так вправно та несподівано буцнув під бік господаря, що той аж зойкнув і схопився правою рукою за бік, випускаючи з неї Начків комір. Але в ту ж мить господар, голосно скрикнувши від болю, підніс до рота й ліву руку: по руці стікала кров із хоч і неглибокої, але чималої рани, яку наніс йому Владко ударом ножа в долоню.

— А чорти б вас узяли, прокляті байстрюки! — закликав неборак вслід за братами, що втікали геть, сплюнув, і, зі стоїчним спокоєм витягнувши з-за пазухи хустинку, почав перев'язувати нею скалічену руку.

А хлопці тим часом, як той вихор, ускочили в кукурудзу й тільки бадиллям зашелестіли.

— Тримай! Лови злодіїв! — загукали сусіди, які саме надбігли на допомогу потерпілому господареві.

— Е, дідька ви їх зловите, — сказав господар. — Не трудіться навіть. Нехай собі погуляють. Я їм уже віддячу за своє.

І, сказавши це, він притримав зубами кінець хустинки, щоб однією рукою зав'язати вузол на скаліченій долоні.

— Що вони таке зробили вам?

— Та от дивіться, я схопив їх обох за карки і подумав собі: це ж — діти! Був би трохи потріпав їх та й відпустив би. Та дідько його знав, що таке мале, а вже таке от вправне в злодійському ремеслі. Видно, жоден із них не помре своєю смертю!

— Ну й ну, і що ж вони вам зробили? — допитувалися сусіди, більше із цікавості дізнатися про злодійський вибрик, аніж із співчуття до потерпілого.

— Та от — бачите що! Один із того диявольського кодила як буцнув мене в бік, під самісіньке серце, то я мало не зомлів. Здається, нібито він мені зо двоє ребер зламав. А другий у ту ж мить вихопив ніж і розпанахав мені руку аж до кістки.

— А! — в один голос закричали сусіди. — Оце дітки! Бодай вони не вирости більшими! Бодай їхній батько повісився! Щоб і слід загинув! Ну, подивіться-но, люди добрі, що це за покоління сьогодні підрастає! Ісусе Назаренський, наверни їх, щоб вони собі шию зламали, і відверни їх від люду християнського!

Такі більш-менш побожні зичення лунали в гурті людей, що обступили потерпілого господаря. А той стояв

серед них, блідий і спокійний, та й поводив очима по своїй ниві, оцінюючи шкоду, яку заподіяли йому на картопляську вуличні хлопчачки.

— Погляньте-но, люди, скільки шкоди наробили мені ті шельми! — промовив він, коли вже стихли марні нарікання кумів та кумась. — На гульдена б не подивився! Ну й скажіть мені, як тут жити серед такої зграї! Я їм покажу, де стежка в горох! Вони думають, що я буду бігати за ними по хащах, як божевільний! Ні, нехай собі летять, я їх знайду в самому гнізді. На щастя, я знаю, де їх шукати. Це харцызяки тієї грайзлерки на Гончарській — не відаю тільки, чи синочки, чи вихованці, але для мене то байдуже. Запакую я їх до кармелітів, нехай там трохи відсидяться, і вже я не гунцвотом буду, якщо їм не вичинять шкуру так, що попам'ятають руський місяць.

Не так ще був би виспівував господар, якби знав, що роблять хлопці, вирвавшись із його рук. У межовому рову, що відділяв господареву кукурудзу від толоки, поміж допухами лежала ціла купа наламаних качанів кукурудзи, кілька великих брукв та ще й купа картоплі. Саме до цього складу попрямували втікачі й, навантажившись краденою городиною та не звертаючи уваги на близькість потерпілого, поповзли ровом до прилеглого яру, а яром погналися вгору, до своїх товаришів.

Стефко, схований, за кущем терну стояв на горі й бачив усю цю історію, бачив, як брати попалися до рук господаря, як вирвалися від нього та як зeszли поміж кукурудзою. Відтоді минуло вже чимало часу, а хлопців не було. Стефко вже був подумав, чи вони, бува, не злякалися й не втекли додому, як тут із dna яру, що простягався біля самих його ніг, почувся тихе цсикання:

— Це! Це-с!

— Хто там? — нахилиючись туди, звідки долітало оте цсикання, скрикнув Стефко.

— Це ти, Стефку? — почув він притишений голос Владка.

— Я. А що там?

— Іди сюди, допоможеш нам забрати. Тільки швидко!

Не думаючи довго, Стефко стрімголов кинувся донизу по крутій стіні яру. Добре таки потовкся, подряпав собі обличчя об якесь гілляччя, подряпав руки, якими силкувався утриматися, але зате за яку хвилину був уже на дні яру й, важко сапаючи, підбіг до братів.



— Не летять за нами? — в один голос запитали брати.

— Ні, ніхто не летить. А ви — що маєте?

— Як це — що? Те, за чим ходили. На, бери, допоможи нам нести й поспішаймо до лісу.

Стефко аж остовпів, глянувши на таку багату здобич, винесену незважаючи на грізну небезпеку.

— Чорти у вас сидять! — вигукнув він. — Адже ж вас обох той жлоб уже тримав у руках! І ви не боялися все це брати?

— Боятися, то ми боялися, бо коли б він схотів був летіти за нами, то впіймав би нас. Але бачиш, якщо ми вже нарвали, то гріх було залишати.

— Ну, а як ви вирвалися з рук жлоба?

— Га, га, га! — засміявся Владко. — Попам'ятає він нас! Бачиш, оцим майхрем я розпанахав йому руку, як полядвцю.

— А я як кобзнув його маківкою під шаблі, то, певне, зламав йому зо два!

— А він, мабуть, подумав, що для борщу забагато два гриби, та й відпустив нас на волю.

— Га, га, га! — засміявся Стефко. — Молодці ви, нема що й казати! Тепер у нас буде труення<sup>1</sup>, аж усі чорти розвеселяться. Ану, голото, до лісу!

Сказавши це, Стефко свиснув на свою компанію — і всі, він та обидва брати, навантажившись городиною, то пригинаючись, то ховаючись у ярах, побігли до недалекого ліска.

Не минуло й півгодини, як у віддаленому кутку лісу, в яру, біля кореневища крислатого дуба вже горіло вогнище із сухих гілляк та листя, в жару пеклася картопля й обібрані з листків качани кукурудзи, а Стефко, присівши на товстому корені, немовбито якийсь король, видавав накази й роздавав дітворі, що сиділа навколо вогнища, рівно покраїні шматочки брукви.

Начка і Владка знову немає в компанії. Вони разом із двома іншими хлопцями пішли збирати гриби, ніхто ж бо так добре, як вони, не знає в цьому лісі усіх галявин та кущів, де завжди, незважаючи на численних любителів збирання грибів, можна знайти кільканадцять синюхів,

---

<sup>1</sup> Іжа.

сироїжок та інших губ, придатних для печення. Поки хлопці повернуться, компанія згризає по шматкові брукви, однак найкращі, найсоковитіші шматки лежать збоку, на зеленому лопусі, відкладені для тих, хто збирає гриби. Картоплю й качани кукурудзи до їхнього повернення ніхто не сміє їсти, щб спечеться, відразу ж одкладають убік, в гарячий попіл.

Боже, як тут гарно навколо! Тиша, сонечко лагідно пригріває, схиляючися вже до заходу. Старі дуби стоять собі, підіймаючи вгору могутнірамена та гріючись на сонці. Тільки задумана береза над яром посмутніла, немов золоті сльози, навіть без вітру ронить додолу пожовтіле листя. Дятел постукує об гілку. Час від часу з дубів скапують напівдозрілі жолуді, й лише інколи долітає до цієї відлюдної місцини голос бляшаного дзвіночка, прив'язаного на шії корови, яка пасеться десь там, за битим шляхом у зубрянському зрубі. Діти мимоволі замовкли, прислухаючися до легенького потріскування вогнища й розглядаючись довкола широко розплющеними очима, в яких з-під товстої кори міського зіпсуття, передчасного сирітства, злиднів і занедбання зблискує щира радість, те хвилиanne, але чисте щастя, котре вливає в людську душу краса природи. Ось маленька жовтава мишка, приваблена теплом і лісовою тишею, вибігла зі своєї нірки, сіла на пеньку під густим кущем ліщини й ніби закам'яніла, вп'явши свої оченята в ніколи не бачений ще кривавий відблиск палаючого вогнища; навіть піднесла до мордочки свої маленькі оксамитні лапки, мовби хотіла краще придивитися до того дивного явища; нарешті, жваво поворухавши білими вусиками, стрибнула на кущ ліщини, схопила горішок, що висів на гілочці, й миттю зникла зі здобиччю в своїй нірці. Діти з німим подивом дивилися на гарносіньке звірятко, але ніхто не наважився крикнути, тим більше кинути на нього патином, щоб не сполохати його. Бо нащо полохати? Аджеж воно не робить нікому нічого злого, і діти в ту хвилину теж не бажали нікому нічого злого. Це вже не згряя львівських вуличних хлопчаків і обірванців, кандидатів до тюрем і лікарень, покидьків суспільства — це громадка добрих тихих дітей, що прагнули ласки й любові, здатних до всього, що добре й шляхетне, сиділа в яру біля вогнища й тулилася до коренів старого дуба. На жаль, це вогнище незабаром погасне, пречудовий день добіжить до кінця, хвилица захоплення тишею й красою природи мине, а суспільство як було, так

і буде байдужим до долі своїх покидьків, як було, так і буде в десятки разів схильніше до помсти й кари, ніж до любові, пробачення й материнської дбайливості.

— Гур-р-ра! — залунав гучний вигук у другому кінці яру — і з зеленої гущавини, мов ті шупаки з очерету, виширнули розчервонілі, обшарпані, розкуйовджені, але веселі постаті хлопців. Шапчини несли в руках, а в кожній повно грибів.

— Гур-р-ра! — привітала їх уся компанія.

— Оце-то кляві яндруси! Шпануйте, скільки губ намухрало!

— А бий вас коцюба! Де ж це ви натрапили на такі гарні синюхи?

— Ні, я завжди кажу, що ці бестії мають у всьому щастя! Кинь їх із даху, то вони, певне, мов кіт, завжди упадуть на ноги!

— Виколи їм очі, то вони, як той багач, будуть плечима бачити!

Радісно викрикуючи, вся компанія обступила щасливих хлопців. Особливою шанною були оточені Владко й Начко, для них були призначені всі оті вище наведені делікатні промови, вони були, так би мовити, героями дня. Від хлопців забрано принесені гриби, під наглядом Стефка усі ті синюхи й сиріожки та все інше почали чистити й пекти, перед цим відламавши від кожного ніжку й щедро посипавши те місце сіллю. Грибів було стільки, що на кожного з товариства припадало по три штуки і, крім того, залишалося ще по одному для Стефка, Владка й Начка. Розподіл грибів, як і всього іншого, проводився гуртом, в суперечках і галасі, але якнайсумлінніше і зважаючи на всі можливі вимоги справедливості. Тільки Владко й Начко, знаючи свої заслуги, не втручалися і, сидячи під дубом та смачно з'їдаючи залишені їм шматки брукви, радісно оповідали про свою мандрівку в ліс за грибами; широко розплющивши очі й розтуливши роти, їх уважно слухала купка наймолодших у компанії хлопчиків, шести- та семирічних лобуряк, які заздрісно й з подивом стежили за кожним кроком братів, ловили кожне їхнє слово й, навпевне, всю ніч, лежачи десь по брудних, смердючих і вогких кутках своїх нужденних помешкань, будуть марити про ті дива природи та пригоди серед лісової зелені, про ті приємності й розчарування грибозбору, які в цю хвилю, один одного доповнюючи, так яскраво змальовують їм Владко й Начко.

— Кукурудза готова! Гей, до кукурудзи, байстрята! — гукає Стефко, і всі кидаються до нього. За кукурудзою йде печена картопля з грибами — панська страва, як висловився хтось із товариства. Все це присутні з'їдають у супроводі голосного сміху, жартів і добросердих дотепів. Цей згадує свій «дім», своїх «старих» — батьків чи опікунів, той кляне майстра, який його прогнав від ремісницького навчання, інший висміює школу або столярську майстерню — одним словом, ця загальна розмова точиться жваво, переплітається пластичними дотепами на лексиці вуличного жаргону. Діти, які тільки що були лише дітьми, звичайними створіннями в ряду інших створінь природи, тепер хоч і неспітливо, однак цілковито перетворилися в репрезентантів певного суспільного класу, певного людського типу й виразно виявили всі особливі прикмети того типу.

Сонце вже зайшло, коли після цієї пам'ятної прогулянки весела, гомінлива громадка дітей поверталася до Львова. Юрба розбилася на групки, і всі вони йшли собі вільно, не слухаючи жодної команди, тим більше що Стефко, навантажений значним залишком картоплі (знадобиться на завтрашній голодний день) ішов аж позаду. Самітними й пригніченими йшли і Владко та Начко, немовбито вони зненацька поспалили з тієї висоти, на якій тільки-но були. Ніхто чомусь ними не цікавився, ніхто не намагався втягти їх до своєї групки; йшли вони окремо, один поруч з одним і мовчали. Чим ближче підходили вони до Львова, тим сильніше наростало в них почуття якогось неспокою, якоїсь тривоги, щось, що подібно до чорної, повної блискавок хмари, уже самим своїм наближенням насичує повітря електрикою та викликає незвичне напруження й нервову тремтіння в людей і тварин. Жоден із братів не пробував з'ясувати причину цього незвичного й неприємного стану; на дні дитячих душ клубочилося темне почуття провини, однак свідомість побоювалася зірвати з неї останню заслону.

— Владку, — заговорив Начко, коли вони наближалися до Гончарської вулиці, — як ти думаєш, чи міцно буде нас цілувати Войцехова, коли побачить обох після такої довгої розлуки?

Цей тон і ці слова повинні були, очевидно, піднести Владків настрій, але мети своєї не досягли, й це сталося хоча б тому, що слова були сказані якось холодно й, напевне, після довгого важкого обдумування.

— Ет, що там про це говорити! — поважно відказав Владко. — Що буде, те побачимо.

Але і його думка зовсім не була така вже стоїчна, як його слова; навпаки, вона посилено працювала, творячи фантастичні плани, як би це і де б сховатися так, щоб ніхто-ніхто не міг побачити ані його, ані Начка, щоб загрожує їм лихо (яке, від кого і за що, про це він намагався не думати) обминуло їх, а вони, безпечні у своїй схованці, показали б йому язик. І пішли-пішли сцена за сценою про те, як то вони живуть собі так, що їх ніхто не бачить, а самі вони бачать усе і до всього мають доступ; беруть все, що їм подобається, все мають, ні за що не платять, роблять, що хочуть, і насміхаються над всякими лихами.

А тим часом їхні ноги, щохвилі важчаючи й важчаючи, невідомо й нібито проти їхньої волі несуть їх уперед, все вперед, щоразу ближче до мети, до помешкання опікунки Войцехової. Ось хлопці вже й вийшли на вершину гори — і внизу, під їхніми ногами увесь Львів півмісяцем розсипався по долині; невеликий левик на міській ратуші блищить і палає в останніх променях заходячого сонця; бернардинський годинник видзвонює сьому; десь біля св. Миколая муляри, б'ючи у дошку, оповіщають фаерабэнд; напівпрозорий блакитнуватий туман стелеться понад містом і зливається вдалині з темною зеленню густого ліска на Високому замку. Але що це за юрба стоїть на Гончарській вулиці, саме перед крамничкою Войцехової? Чоловіки й баби, лісоруби з пилками та сокирами в руках, муляр з кельмою, наймичка з двома коновками води, бойко зі сливами в кошику, лахмітник із перевішеними через плечі порваними штанами — і все це когось обступило, щось там слухає, похитує головами, жестикулює. З-поміж чорних халатів, полотняних сорочок та перкалевих спідниць поблискує жовтава мідна бляха поліцейського. В інший час подібна картина для хлопців була б принаднішою, як пряник, і вони щодуху побігли б туди, щоб своїми фігурками збільшити вуличне збіговисько, але тепер раптом здалося їм, що було б значно ліпше, якби перед крамничкою Войцехової зараз не було ані душі. Більше того, обидва брати, пильніше придивившись згори до тієї вуличної юрби, зненацька відчули, що підійшли до неї вже занадто близько, і, мов по команді, завернули назад та й пустилися навтікача. І не без причини. В центрі юрби, поруч з поліцейським, стояла міцна постать господаря з Вільки, якому вони

сьогодні завдали шкоди — і не тільки на ниві, а й на тілі.

— Лови їх! Лови! — залунали голосні вигуки перед крамничкою, й раптом братам здалося, що небо покритлося густими хмарами, що дерева, які затінили вулицю, нахляють свої гілки аж до землі й не тільки затримують їхні ноги, а й тамують їхній віддих і що вулична пилюка під їхніми ногами перетворюється в липку смолу, котра чіпляється до їхніх підшов, сповільнює їхній біг.

— Ага, попалися, голубчики! — почувся над головами братів грубий голос, і чийсь важкі руки, наче ті молоти, спадають на їхні плечі й валять їх обох разом на землю.

— Мамцю! Мамочко! Рятуй нас! — зойкнув Начко й зайшовся конвульсійним плачем, а Владко тим часом, аж до крові закусивши губи, почав відбиватися руками й ногами, вириватися із рук переслідувача. Але даремно. Незабаром навколо них зібралася майже вся вулична юрба, поліцейський узяв їх обох за карки й пхнув поперед себе; побіч нього, клянучи халамидників, ішов потерпілий господар, а за ним уся цікава й галаслива юрба.

— В поліцію їх та арешт! Я ще сьогодні хочу скласти протокол, — наглив господар. Хлопці йшли машинально, майже не бачачи й не чуючи, що діялося довкола них. Начко все ще схлипував, Владко гриз губи. А навколо них лунали ганьблення та прокльони побожних кумась, грубі дотепи робочого люду й вереск вуличної дівтори.

— Боже мій, таке ще мале, а вже таке зіпсоване! — зітхала якась бабуся, милосердо похитуючи головою.

— А нехай би їх і повісили, то не було б шкода, кумшо! — викрикував якийсь гучний голос посеред вулиці. — Бо ви не знаєте, скільки я з ними за день нагризуся й намучуся, скільки їх наб'ю та напоумлю, але де там! Видно, вони вже народилися під такою злодійською зіркою! Слава богу, що їх забирають — я принаймні позбудуся клопоту.

Владко, йдучи разом із своїм братом попереду поліцейського, чув ті слова. Голос був йому аж занадто знайомий — то була Войцехова. Всупереч своїй звичці на цей раз хлопець не відповів Войцеховій нічого, але, порівнявшись з нею і бачачи, що вона на нього дивиться, показав їй язик.

— О, бачите, яке воно злодійське насіння! — заверещала Войцехова. — Ведуть його на кару, а воно ще не забуває своїх чортячих вихваток! Почекай-но, почекай, урви-

голово, будеш ти тепер знати, що це таке — язик показувати! Дізнаєшся, до чого ведуть твої вибрики!

— Але той, другий, здається, якийсь тихіший, спокійніший,— промовила якась добродушна молодичка.

— Де там! — закричала Войцехова.— І той, і той підрастає для шибениці. Це — та тиха вода, що береги лупає, він і на волосину не ліпший тамтого! Де один, там і другий. Ні, кумо, я все своє кажу: що народилося під злодійською зіркою, те вже хіба шибениця виправить!

Брати вже не чули того суворого вироку: в супроводі поліцейського, потерпілого господаря й кількох свідків вони пішли до поліції.

## II

... дані накази; ніхто безладно, без певної мети вже не бігав, тільки в напрямі зали засідань міського відділу й назад раз у раз пробігали то члени міської ради, то поліцейські, гвардійці та члени Національної ради. Раптом, начебто перед бурею, запанувала цілковита мертва тиша. Калинович випустив з пальців перо й підвів голову. Ця тиша цілком пригнобила його; він один тільки був у канцелярії, бо жодний із його колеґ сьогодні не з'явився на роботу. Йому здалося, немовбито він опинився в кам'яній замурованій гробниці, й зненацька відчув, як по його спині пробігає мороз...

— Що це таке сталося? — подумав Калинович і, повільно підвівшись зі свого крісла, попрямував до дверей, щоб довідатись у гвардійців, які пробігали коридором, що там чути на світі. Нежданно задзеленчали вікна, здригнулися товсті мури будинку, й могутній гарматний залп струсонув повітря. Снаряди застукали об брук і стіни ратуші.

— Боже мій, а це що таке? — закричав бідний канцелярист і, не оглядаючись, з непокритою головою, без калош і пальта вибіг із канцелярії, яку йому вже ніколи в житті не судилося більше побачити. Коридор був порожній, шум людських голосів і тупотіння кроків долітали до нього здалека, здається, звідкілясь із другого поверху. Калинович, якусь хвилинку прислухаючись, постояв біля дверей, а потім зненацька підстрибнув, неначебто його щось укусило: над містом пролунав другий залп. Серце Калиновича шалено закалатало в грудях, і наляканий канцелярист, немоеби сполоханий загнuzданий кінь, помчав уздовж коридору до

виходу. По близькому гуркоті снарядів, по бренькоту розбитих вікон він здогадувався, що постріли спрямовані на ратушу, й його охопила смертельна тривога. Біг нестямно й наосліп аж доти, поки не наткнувся на тісно збиту юрбу жителів міста, євреїв і гвардійців, які облягли браму ратуші.

— Виходити — заборонено! — гримнув на нього один із гвардійців.

### III

— Владислав Калинович! Гнат Калинович! Ану, збирайтеся сакомпак!<sup>1</sup> Підете до суду!

Так наступного дня після арешту наших героїв командував ключник поліційної камери. Брати, які цілу ніч так і не змогли заплющити очей в цій брудній, набитій різним людом поліційній камері і які, поштовхувані й поштурхувані п'яними арештантами, голодні й залякані, добре-таки намерзлися на голому дощаному тапчані, підхопилися на цей голос, як на звістку про визволення. Сьогодні вранці їм дали по бляшанці теплої води з кількома зернинками круп, яку тут називають дубовою (ячмінною) юшкою, та по буханцеві чорного й дуже кислого хліба. Після такої жахливої ночі хлопці їли з апетитом, а тепер, прихопивши з собою рештки хліба й не оглядаючись, виїшли з проклятої камери. На подвір'ї вже стояла досить велика юрба заарештованих, котрих також відібрано, щоб під наглядом двох наглядачів з відставників, озброєних карабінами з «примкнутими гострими багнетами», відвести до суду. Допит обох братів, як і потерпілого господаря, комісар поліції провів ще вчора, а сьогодні він вже надіслав до поліційного арешту повідомлення, що папери Калиновичів будуть передані кримінальному судові й що самих братів теж потрібно негайно перевести туди ж.

— Ану, панове злодії! Ставайте парами! Марш! — командував старший «дід», тобто старший конвоїр. Арештанти мовчки виконали його наказ, і похід крізь хвіртку «фурдигарні» вирушив на вулицю. Хоча на вулиці після сильного нічного дощу було болото, заарештовані, бредучи по кісточки в холодній багнюці, йшли не по тротуару, а згідно тюремних правил, краєм вулиці, по якому їздять вози. Що

<sup>1</sup> Перекручений німецький вираз „Mit Sack und Pack" (Із торбою й речами.— Ред.).



наші герої були без чобіт, про це, здається, й нагадувати не треба.

Перед будинком поліції похід на хвилину зупинився. Один із «дітів» зайшов до інспекторської, щоб забрати звідти папери заарештованих, що хапали дрижаки надворі. Мрячив дрібний, але густий і холодний дощ; від учорашнього гарного теплого дня не залишилося й сліду. Накрижі парасольками перехожі йшли, кожний поспішаючи у свій бік, і лише побіжно позиркували на групку обдертих і занедбаних постатей, що з німою заздрістю дивилися вслід кожному перехожому, не то благаючи його якимось допомогти чи хоча б втішити, не то проклинаючи в міру того, як той байдуже віддалявся.

— Владку, ти не змерз? — Начко, в очах якого були сльози, запитав брата, що так само, як і він, посинів і трусився з холоду, однак із фанфаронадою справжнього вуличного хлопчиська пробував посвистувати.

— Ні, — відповів Владко. — А що — тобі холодно?

— Авжеж холодно, — промовив Начко й закашлявся.

— Ну, що ж, викрешуй із колін вогонь та й загревайся! — сказав Владко, намагаючись очевидячки спонукати до сміху понуру й промерзлу компанію. Але помітивши, що його дотеп не сприйнятий, нахилився до Начка й шепнув йому стиха:

— Дурню, не реви на людях! Ти думаєш, що я маю на плечах кожух, а на ногах теплі ведмедячі берлячі? А якщо ти вже так змерз, то маєш під пахвою хліб, — бери й гризи: стане тепліше.

І дійсно. Начко, забувши про розпач, послухав братової ради і взявся відгризати великі шматки від хлібини, яку тримав під пахвою.

Нарешті, після півгодинного очікування з'явився дід із паперами, й компанія, вголос лаючи «прокляті дідівські порядки», пішла далі, до кримінального суду, або, як висловлюються злодії на своєму жаргоні, пішли «під крука». Там їх спочатку загнали «у клітку», тобто до темної й тісної комірочки під східцями, саме навпроти входу з коридору; той закуток був розташований так, що люди, сидячи в ньому, перебували в точці, де перехрещувалися два протяги холодного повітря. Брати змогли до нитки, але тут, замість того, щоб хоч трохи обігрітися під дахом, почали ще сильніше трястися й дзвонити зубами. Владко давно вже перестав посвистувати й зігнувся вдвоє, а Начко, обгризши всю

верхню шкуринку своєї хлібини, сидів у кутку й плакав, похуюючи в руки. З клітки заарештованих викликали одного за одним і відводили до протокольного відділку, де вже на них чекав стражник із паперами; там до спеціальної книги записувано їхні імена й прізвища з додачею особистого опису й потім випикувано «Ауфтраг»<sup>1</sup> для начальника тюрми, по-німецькому керкермайстра, щоб він дані особи поселив у слідчих камерах. Начка і Владка викликали разом. Сивий лисий протоколіст із довгими вусами й великими окулярами на носі зміряв їх суворим поглядом і сплюнув.

— Така малеча, тільки-но відлучена від маминих грудей, а вже вдалась до крадіжок і розбою! Тьху, що це за світ!

І потім він взявся повільно писати гусячим скрипливим пером, буркочучи собі під ніс усе те, що писав:

— Вла-ди-слав і Гнат Ка-ли-но-вичі, брати-близнюки, літ 9. Вла-ди-слав — брюнет, Гнат — блондин, обличчя кругляве, ніс зви-чай-ний, очі в обох чорні, віст не-ве-ли-кий, о-соб-ли-вих прик-мет не-ма нія-ких. Ну, рушайте до дідька!

Стражник водночас узяв обох братів за плечі й виштовхнув за двері.

— Черговий конвоір! — викрикнув він і, віддаючи папери конвоїрові, що стояв біля дверей, сказав: — Відведіть цих халамидників, нехай трохи погріються, бо скоро весь дух спустять!

Стражник був старим суворим службистом, але також мав малих дітей і не раз подумував, що то з ними буде, коли його на світі не стане? Вигляд цих бідних хлоп'ят із буханцями арештантського хліба під пахвами, посинілих від холоду, мокрих і напівголих, розбудив у його серці жаль або швидше страшну думку: хто знає, може, й моїм маленцям отака доля вгорі писана?

Тим часом брати в супроводі стражника пішли довгим напівтемним коридором, із якого був вихід на якийсь вузький ганок, затиснутий з одного боку муром судового будинку, а з другого боку — високим, понад два сажні, дерев'яним парканом. Так само вузька, чисто злодійська хвіртка вела з цього ганку на тюремне подвір'я, гладеньке й порожнє, посипане щебенем, а де-не-де й забруковане кам'яними

<sup>1</sup> Доручення (нім.).— Ред.

плитами, з усіх боків оточене то мурами будинків, то високими дерев'яними парканами. Навпроти йдучих стояв довгий триповерховий тюремний будинок із брудно-жовтими стінами, вузькими загратованими вікнами, які в підвальному приміщенні були закриті дерев'яними переплетеннями, що зовсім заслоняли від надвір і тільки згори пропускали трохи денного світла. Перед вікнами по вузькій брукованій стежці ходив мовчазний вартовий із карабіном на плечі, в промоклому плащі, ходив туди й назад, німо, розміреними кроками, начебто машина. Зрештою, подвір'я було цілком порожнім, тільки в дверях протилежного будинку стояли ще два солдати та один ключник; коли-не-коли, поспішаючи то до майстерні, то до канцелярії, перебігав подвір'ям то один, то другий в'язень у сивій сукняній куртці й таких же самих штанях та шапочці. Солдати, стоячи у дверях, розмовляли з ключником, який, дзвінко побренькуючи ключами, чогось сміявся. Побачивши братів, що підходили до нього, ключник засміявся ще голосніше:

— Гей, гей, цувакси! Цувакси!<sup>1</sup> А, гостоньки, вітаємо вас. Заходьте! Тільки звідкіля це ви, до дідька, витрусили таких новобранців?

— Ну, ну, — сказав стражник, який вів в'язнів і який, ідучи вслід за ними, встиг по складах вичитати з паперів усе, що там було написано про їхню провину, — ви не дуже з ними панькайтеся! Малі вони, то малі, але пташки неабиякі! Бачите: за крадіжку й покалічення! Це вам не жарти!

І він показав веселому ключникові папери.

— Ф'ю, ф'ю! — скрикнув той, роблячи раптом поважну міну. — Таких панів треба зустріти неабияк! Почекайте трохи, мої панове, я зараз здйму з вас мірку, щоб знати, яку вам шибеницю робити?

І, кажучи це, він витяг із кишені дерев'яний складаний аршин, розтяг його й наблизився до Начка, начебто й справді хотів зняти з нього мірку. Переляканий хлопець затремтів і притулився до брата. Він хотів закричати, але голос завмер йому десь у грудях.

— Іди сюди! — зверескнув ключник, від якого тхнуло міцним запахом горілки. — Вмів один з одним на шибеницю заробити, то вмій же спокійно дати й мірку зняти.

<sup>1</sup> Німецьке слово „Zuwachs", приріст; так називали кожного новоприбулого арештанта.

Присутні тут солдати й стражник, що привів хлопців, стояли собі мовчки, захлинаючися від сміху над оригінальним жартом ключника. Та братам було не до жарту. Холод, слабкість, понуре оточення — все це пригнітило їхній розум; в огидному жарті вони вбачали страшну дійсність і відступали назад від ключника, що напивав на них. Владко, поглянувши довкола, побачив розсмішені обличчя і зрозумів, до чого все це йдеться. Але замість повеселішати, він обурився жартом, який щойно так паляквав їх обох. Його чорні очі спалахнули, мов дві вуглини, кулаки стиснулися — і коли ключник все ще з грізним виглядом підійшов до нього зовсім близько й нахилився, щоб прикласти аршин, Владко із затисненими кулаками кинувся на нього, почав щосили бити його в обличчя, в підборіддя й груди та викрикувати переривчастим приглушеним голосом:

— Собако! П'янчуго! Ось тобі! Ось тобі!.. Щоб ти знав, як жартувати!..

Ключник відстрибнув убік, наче його ужалила змія.

— Браво, малий, браво! Добрим будеш рекрутом! — загукали солдати — ті двоє, що тут стояли, і ті троє, що вийшли з кімнати вартових, аби подивитися на втішну сцену.

Ці вигуки долили олії до вогню. Обличчя ключника надлилося кров'ю, зуби заскреготали. Ключник затиснув кулак і розмахнувся, підступаючи до Владка.

— Ах ти, сміття! — заверещав він. — То ти так оце до мене!.. Мало того, що накоїв на світі, то ще й тут починаєш?.. На ось тобі, щоб знав, як тут поводитися!

І ключник підняв кулак, щоб з усієї сили вдарити Владка в голову, — але піднесену руку стримав у повітрі капрал.

— Ні, пане, — суворо промовив капрал. — Ви тут самі завинили і не маєте права його бити!

— Що?! — заверещав ключник, намагаючися вирвати руку. — Яке ви маєте право втручатися до нашого внутрішнього розпорядку?<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Австрійські закони про кримінальне слідство мають незвично ліберальні правила щодо становища в'язнів у слідчій тюрмі, але з таким додатком: «наскільки вони не порушують правил внутрішнього розпорядку даної тюрми». Однак, на жаль, внаслідок того, що в кожній тюрмі є свій власний внутрішній розпорядок, який походить ще з часів темного абсолютизму і, в основному, суперечить теперішнім законам, то згадані ліберальні правила залишаються тільки на папері і в тюремній практиці зовсім не застосовуються.

— Пробачте, — спокійно відповів капрал, — тут розташована служба варти, й тому тут я дотримуюся нашого власного розпорядку. А там, у себе, ви можете робити, що забажаєте, — я до того не буду втручатися.

— Ну-ну, я там це щеня уб'ю! — крикнув ключник.

— Гаразд, — не без ущипливості сказав капрал, — я буду за свідка.

Під час цієї несподіваної сварки брати, притулившись один од одного, стояли в кутку під стіною поблідлі, тремтячі й налякані. Їхні дитячі серця стискалися від тривоги уже тут, на перших кроках у цей новий і такий відмінний жахливий світ, який проковтнув їх, як вони думали, безповоротно, немовби якась страшна ненаситна потвора ковтає свою жертву.

— Пане Трапішевський, — раптом залунав голос із глибини коридору, — що це з вами? Чого це ви так ото кричите на всю в'язницю?

Одночасно з сутінку, що панував у тій глибині тюремного коридору, виринула маленька кругла, мов гарбуз, постать пана керкермайстра, начальника в'язниці — людини з великою круглою головою на короткій шиї, з гладко виголеним обличчям і з добродушним усміхом на широких червоних і товстих губах. Згідно з тодішніми законами ця постать була одягнута в напіввійськовий мундир із офіцерськими еполетами та шпагою при боці, що все разом надавало їй комічного вигляду. Але саме цей комічний, усвідомлюваний і самим керкермайстром вигляд, цей добродушний усміх, дзвінкий і ласкавий голос, швидка дріботлива хода — все це було в разючій дисгармонії із загальною фізіономією тюремного закладу і тому в очах в'язнів перетворювало керкермайстра в якусь постать із іншого світу, свіжу й симпатичну. Та, незважаючи на позірну добродушність, це була людина дуже сувора до будь-яких провин своїх підлеглих — в'язнів чи стражників — і незвично пунктуальна й сумлінна у виконанні обов'язків своєї важкої служби. Особливо остерігалися його стражники. Тому й не дивно, що, почувши начальницький голос, воєвничий стражник раптом похнюпив ніс і так зігнувся, що годі було його й впізнати. Виструнчившись по-військовому й обернувшись обличчям до керкермайстра, він, замість конкретної відповіді на його запитання, офіційним тоном промовив:

— Це два цувакси, пане керкермайстре!

І потім подав керкермайстрові папери з протокольного відділку.

— Що це ви, хлопці, — сказав керкермайстер, зиркнувши на аркуш і звертаючися до братів, — за крадіжку й покалічення? Бійтеся бога, діти, що це ви нароби́ли?

Брати, все ще тремтячи всім тілом в німому здивуванні дивилися на нього широко розплющеними очима, не кажучи й слова.

— Боже мій! — крикнув керкермайстер, наближаючись і приглядаючись до них. — Та ж вони, бідні, босі й напівголі, мокрі й холодні! Ну, й серця ж у тих людей, що притягли їх в таку холоднечу з поліції та ще й тримали в клітці! Швидше, пане Трапішевський, швидше! Ворушіться! Принесіть їм сорочки, штани, полотняні кітлі й шапочки! Все, що треба! Ідіть, хлопці, до моєї канцелярії, обігрійтеся трохи, зараз ми вас переодягнемо! Боже мій, навіть над худобою гріх було б так знущатися, а це ж люди, та ще й діти! Що воно там знає про крадіжки! Певне, десь у сад залізли, кілька яблук зірвали чи щось подібне — і вже їх тягають по тюрмах!

Так розмовляючи сам з собою, сумлінний керкермайстер відімкнув канцелярію і впустив туди хлопців. У канцелярії було не дуже світло, однак, тепло. Змерзлі хлопці стали біля грубки, щоб зігрітися. Гикавка стискала їм горлянки. На різні запитання керкермайстра брати нічого не відповідали, тільки, начебто зловлені в лісі вовченята, спідлоба позиркували на свого нового володаря.

— Дике воно, залякане, занедбане, прибите злиднями — і це має суддя судити? — походжаючи по канцелярії та час від часу поглядаючи на хлопців, керкермайстер продовжував розмовляти сам із собою. — Не їх би я судив, а їхніх батьків, які їх пустили на такий шлях...

— У нас немає батьків! — зненацька обізвався Владко напівзухвалим, напівжалібним тоном.

— А, тепер уже все ясно! — вигукнув керкермайстер, немов радіючи, що врешті з'ясував одну із загадок. — Сироти, без батька й матері, хто про них дбатиме. Ну, але досить вам уже стояти біля грубки, ще схопите нежить! Ідіть сюди, скидайте те своє мокре дрантя, тут ось є вже сухе, перевдягайтеся!

Поки хлопці в одному з кутків канцелярії переодягалися, керкермайстер сів на свій службовий стілець і, записавши,

що було потрібне, на сторінках своєї книги, звернувся до ключника:

— А що, пане Трапішевський, скільки там сьогодні прибуло «цуваксів»?

— П'ятнадцять, пане керкермайстер.

— О, це багато-таки, багато! А чи немає у вас якогось місця, де б можна було поселити цю малечу?

— Хіба я знаю, пане керкермайстре? Може, одного — в сорок п'яту?

— Але ж там уже є п'ятнадцять!

— Одного можна було б у п'ятнадцяту.

— Але ж там теж уже є десять, хоча та камера тільки на вісьмох, так що двоє уже сплять на підлозі.

— Ну, тоді я одного...

В цю хвилину Владко, ще тільки в сорочці та в штанах, що, пошиті на дорослого, волоклися за ним по землі, підійшов ближче й перебив мову ключника.

— Прошу, пане керкермайстре, — сказав він благальним голосом, — якщо можна, поселіть нас разом.

— Обох разом? — заговорив, здивований такою зухвалістю ключник. — Погляньте на нього! Ось чого він хоче! В обох — одна справа, й обом їм давай одне місце! Щоб змовлялися, як викручуватися на допиті!

— Це заборонено, мій хлопче, — промовив керкермайстер.

— Але ж ми не будемо викручуватися! — сказав, пожвавішавши, Владко. — Ми вже про все зізналися ще в поліції і не маємо з чого викручуватися, але ми не можемо бути один без одного.

— Чому не можете? — спитав зацікавлений керкермайстер.

— Бо не можемо, — поважно відповів Владко. — Відколи ми живемо, то ще ніколи не розлучалися. Прошу вас, пане, не відокремлювати нас! Ми будемо чемні!

— Як ви нас розлучите, то я помру, голову розіб'ю об мур! — сказав із кутка Начко спокійним, але до комічного рішучим голосом.

— Чи ти там не замовкнеш, шмаркаче! — закричав ключник. — Не слухайте їх, пане керкермайстре! Вони влодії!

— Облиште, пане Трапішевський, — відказав керкермайстер. — Це вже моя справа, що з ними робити. Поселите їх обох разом, але куди?

— Якщо обох разом, то, може, найкраще буде в 44?

— Куди? В сорок четверту — до Семка Тумана?

— Так точно, пане керкермайстере.

— Але ж — він божевільний. Він може котрогось із них скалічити або й убити.

— Де там, пане керкермайстре! Він їх тільки навчить послуху й покори. Той, якого він учора ударив «парашею» в лоб, не хотів слухатися та ще й насміхався з нього. А для хлопців це буде найкраще, бо старий їх не зіпсує.

Керкермайстер хвильку подумав і врешті сказав:

— Нехай буде й так! Веди їх у сорок четверту. Правда, в тій камері є тільки два ліжка, але малюки можуть спати вдвох на одному ліжку. А що вони будуть разом із Семком Туманом, то це ще може на дещо знадобитися.

— Ну, гультаї! — сказав ключник до братів, коли вони вже вийшли з канцелярії і, плутаючися в широкому тиремному вбранні, йшли східцями на третій поверх. — Почекайте-но, я вам тепер покажу, як до мене ставитися! Тут вам не пан керкермайстер, а я — пан! Ти-и, шибенику! — загорлав він на Владка, б'ючи його ключами в лоб. — Ти ще мені в очі кидаєшся! Ах, ти чортове поріддя! Але нічого — ви ще там наберетеся, не бійтеся! Ще дізнаєтеся, що таке Семко Туман! А я, звісно, не буду таким дурним, щоб вас переселяти в іншу камеру. Ого! Нехай він вас і побиває! Я, як тільки почую ваш писк і вереск, то в інший коридор втечу, щоб нічого не чути. Я вам не пан керкермайстер, що над кожним волоцюгою побивається, начебто рідний брат! Ану, беріть собі солом'яник, подушку, ковдру й простирadlo — тут, із цієї купи!

У коридорі третього поверху лежали купи реквізитів: соломою напхані арештантські матраци, такі ж самі подушки, вібито чисті простирadла й сиві вовняні ковдри. Хлопці взяли подушку, ковдру й простирadlo, але солом'яник, незважаючи на всі зусилля, не змогли підійняти.

— Оце мені злодії! Навіть солом'яника не можуть собі занести! — гнівно викрикнув ключник і досить сильно вдарив одного й другого ключами по плечах. — Ну, марш до камери!

І він пішов наперед по коридору, зник у темній заглибині муру, в якій були зовсім чорні дубові двері, оббиті навколо й навхрест товстими залізними штабами з малим віконечком посередині, котре було забите рідко подірявленою, подібною до друшляка бляхою, ще й замкнене і ззовні залізними дверцятами; потім ключник брязнув



масивним залізним замком, відімкнув ще один замок у дверях і, відчиняючи їх, одного за одним впустив братів у камеру, вигукнувши перед цим до когось усередині:

— Цуваксі! І ще цуваксі!

І при цьому не забув одного й другого знову вдарити по плечах в'язкою ключів і то так сильно, що в очах хлопців аж сльози з'явилися. Вслід за арештантами, залишивши за собою двері відхиленими, в камеру зайшов і ключник.

Камера 44 була однією з кращих у всьому цьому закладі. Вже те одне, що вона розташована на третьому поверсі, було добре: камера була нижчою, вікно мала більше й доступніше, отож, у ній було світліше й більше було видно двір, ніж із камери на другому і особливо на першому поверхах. Була це, зрештою, камера зовсім малих розмірів — щось шість кроків у довжину і чотири в ширину. Попід стінами, з обох боків вікна стояли два тапчани, один застелений, другий ще світив голими дошками. По обидва боки дверей у протилежних кутках стояли: в одному кутку — залізна піч, що на стиках, немовбито якийсь надзвичайно страшний злочинець, була окована залізними обручами (насправді це було зроблено для того, щоб арештанти не могли підняти її верхню частину і видобути вогонь для цигарки чи підготуватися до втечі); у другому ж кутку виднілося дерев'яне начиння, відоме в тюремному жаргоні під назвою «зоська», або «параша», і заміняло вбиральню. Оце й було все умеблювання камери.

На застеленому тапчані, обернувшись обличчям до вікна, сидів чоловік величезного зросту з довгим білим, як молоко, волоссям, що спадало на могутні плечі, і в звичайному арештантському вбранні. На колінах він тримав ліру, на якій, здається, тільки-но пригравав собі, бо його права рука ще лежала на корбі, а ліва спочивала на дерев'яних клавішах. Але коли крізь відчинені двері ввійшли хлопці, в камері панувала глуха тиша; потім до братів повільно обернулося обличчя того чоловіка — жовте, мовби мертве, оточене білим волоссям і такою ж самою бородою, що спадала аж на груди. Зморщене чоло, бліді, без крові губи, а особливо білі, зачервонілі сліпі очі надавали цьому обличчю якогось жахливого виразу, так що хлопці, тільки побачивши цю постать, закам'яніли на місці.

— Я, Семку, привів до вас двох цуваксів, — заговорив до діда ключник. — Опецьки ще, дев'ятирічні, але вже прийшли сюди за крадіжку й розбій.

— Неправда! — відрубав Владко. — Не за розбій, а тільки за скалічення. Коли нас ловили, то ж ми мусили боронитися.

— Замовкни, вилупку! — крикнув ключник і знову почастував Владка ключами. — Бачите, яке зухвале! Будьте над ними добрим хазяїном! Якщо вони не будуть вас слухати, то бийте, скільки влізе. Я дозволяю.

І, вже виходячи, він обернувся до братів і сказав:

— Ну, дивіться мені! І не забувайте, що дід Семко в одну ніч убив п'ятьох людей і що він сліпий, отож, як б'є, то не бачить, куди б'є. Сподіваюся, що він і вам догодить!

Сказавши це, ключник вийшов і замкнув двері — спочатку на засув, а потім ще й на замок, що висів на масивній клямці.

Остання ключникова рекомендація докраю перелякала хлопців, відібрала в них мову. Отже, ще перед вироком обох їх уже кинуто в товариство такого жахливого чоловіка, п'ятикратного вбивці й віддано їх частки під його владу. Бідні брати стояли, цілком приголомшені, не наважуючись поворухнутися, не наважуючись зиркнути один на одного, й, немов закляті, не спускали очей із широкого непоручного, в них втупленого сліпими очима обличчя страшного діда.

— Йдіть сюди, діти! — промовив дід глибоким, немовбито могильним голосом.

Хлопці не сміли й думати про опір дідові й підійшли до нього. Раптом дід простягнув довгу кістляву руку, схопив нею Владка за голову й притяг до себе. Владко з переляку аж губи закусив, щоб не закричати, гадаючи, нібито дід уже зараз, одразу бог знає що хоче з ним зробити. Але дід, притягнувши його ближче, лівою рукою відіклав ліру вбік, а потім почав обома руками обмацувати Владкове волосся, лоб, обличчя, плечі так незвично старанно й сумлінно, як добрий купець обмацує худобину, яку має намір купити. Потім він нахилився й обнюхав голову хлопця, втягуючи носом запах його волосся, немов собака, що нюхом відшукує слід звірини.

— Як тебе звати? — запитав дід.

— Владко Калинович.

— Владко... Владко... Владко Калинович, — повільно повторював дід, неначе вивчаючи ці слова напам'ять.

— А скільки тобі років?

— Дев'ять.

— А яке в тебе волосся?

— Чорне.

— Чорне! Я так і думав. І в мене колись було чорне волосся. Це гарно. А чи це не ти, бува, відповідав ключникові?

— Я.

— Це — добре, — повільно повторив дід. — Ну, а де ж другий?

І знову довга рука простяглася в порожній простір, аж поки не намацала Начка.

— Це мій брат Начко, — сказав уже відпущений і трохи осмілілий Владко. Дід тим часом робив з Начком ті ж маніпуляції, що й з ним.

— Начко... Начко... Начко Калинович, так?

— Так, — стиха й несміливо сказав Начко.

— А скільки тобі років?

— Теж дев'ять. Ми — близнюки.

— А в тебе яке волосся?

— Біляве.

— Ти ж бач! Біляве! І це гарно. Моя жінка мала біляве волосся — гарна вона була. А за що вас сюди привели?

— Ми ходили красти картоплю, — відважно промовив Владко, — аж тут ззаду підбіг господар і схопив нас обох.

— Обох! — жваво вигукнув дід. — А це як?

— Ми не мали куди тікати — отож, обидва кинулися на нього. Думали, що як разом ударимо його, то, може, повалимо його на землю.

— Ти гля! Що за хитруни! І хто б сподівався! — вигукував, як видно, задоволений дід, і його сліпе обличчя оживилося, зайсніло внутрішнім світлом життя. Хлопці почували себе вже значно вільнішими й менш пригніченими дідовою присутністю, хоча все ще, спираючися на свій голий тапчан, стояли нерухомо навпроти нього.

— Ага, — сказав Владко, — а господар, юха, видно, знав це, бо присів, розставив руки, ми й не згледілись, як схопив нас обох за коміри.

— Овва! — вигукнув дід із щирим співчуттям.

— Схопив нас, — продовжував Владко, — й як струсував нами обома, то я думав, що мені голова з карка злетить, як те яблуко з гілляки. А, гадаю собі, щоб ти здох! І кричу Начкові: бий його! І тільки Начко головою вдарив його у бік — він ухопився лівою рукою за ребра, а Начко — навтікача. А я тим часом ніж із кишені — і як чикну його в праву руку, він мусив і мене пустити. І так ото ми втекли,

ще й накрадену кукурудзу захопили з собою, бо він уже не мав охоти гнатися за нами. І аж тільки ввечері на вулиці нас забрав поліцай.

— Не хлопці, а зухи! — сказав дід. — Відважні хлопці. І я колись був таким і досі таких люблю. Не бійтеся, вам тут буде добре. Я тільки недотеп і плаксіїв не люблю. Б'ю їх усім, що під руку потрапить. А ви не бійтеся. І за все, що вам цей п'янчуга ключник говорив, плюньте йому в очі. Він бреше, мов пес. Нікого я не вбивав. Правда, деякі пани підозрівають мене, нібито я цілу шляхетську сім'ю замордував, і за це вже десять років мене мучать. Десять років ведуть слідство, але нічого не можуть вислідити. По всіх судах волочать мене, сотні свідків приводять і нічого не можуть мені довести. Я вже осліп під час слідства, посивів під час слідства і відчуваю, що під час цього слідства й помру, але вони не докажуть мені, що я винний.

Все це він сказав спокійним голосом, без будь-якого зворушення чи обурення, вперши свої більмами й кров'ю заплали очі в порожній простір, немовби читав з якоїсь книжки-невидимки суху нотатку про якусь давню й зовсім байдужу для нього подію. Але тим сильніше враження це коротке оповідання справило на хлопців. Вони стояли, не дихаючи і вдивляючися в діда уже з цілком іншим почуттям, із відкритим співчуттям і жалістю до нього.

— Ну, хлопці, досить вам стояти, — промовив згодом дід. — Мені здається, що скоро вже й вечір надійде. Отож, готуйте собі постіль, бо як стемніє, то тут нічого не буде видно, а світла нам ніколи не дають.

— Але в нас ще нема солом'яника, — сказав Владко.

— Справді? Ну, то, напевне, вам зараз його принесуть.

І дійсно, забряжчав замок, двері відчинилися — і в них з'явився ключник, а за ним два арештанти, що несли солом'яник.

— Ось вам, злодії, матрац, — сказав ключник, — хоча варто було б зробити вам так, щоб ви спали на голих дошках.

Арештант поклав солом'яник на тапчан і мимохідь щось шепнув дідові, на що той тільки хитнув головою. Арештанти вийшли, двері зачинилися, а хлопці почали стелити ліжко. Солом'яник був великий, так що й для двох на ньому місця було досить. Вистачало на двох й однієї ковдри, тому Владко, пошептавшись із Начком, звернувся до діда:

— Може, вам потрібна ще ковдра? Для нас вистачає однієї.

— А якщо ви змерзнете? Тут іще не палять, аж від дня всіх святих починають, а вночі холодно.

— Ми маємо два простирадла. А ви, певне, мерзнете вночі, то вам ковдра знадобиться.

— Воно й правда, що я мерзну, — сказав дід, беручи ковдру. — Хай вам бог заплатить, діти!

Сутінки ставали все густішими. В камері залягла тиша. Ще раз із брязкотом і грюкотом відчинилися двері, ввійшов ключник, а вслід за ним з лампою в руці ще один ключник, який чергував уночі, порахували в'язнів і, побажавши їм доброї ночі, вийшли, замикаючи двері на засув і на замок, що висів на клямці та ще на один, яким замикали велику залізну штабу, котру ключник закладав на ніч ще й впоперек дверей.

Дід все ще сидів на своєму місці, навіть і не думаючи кластися спати. На колінах у нього знову лежала ліра.

— Йдіть спати, діти, — сказав він. — Не дивіться на мене: я старий і не можу спати. А ви, надійсь, змучені.

Хлопці й справді були дуже стомлені й ослаблені після попередньої безсонної ночі та холоду. Отож, роздяглися й лягли обое разом на своєму тапчані. Однак заснути не могли. Обличчя їхні все ще були обернені до діда, голова якого в сутінках блищала, наче якийсь білий, невиразної форми туман. Після хвилиної мовчанки дід зітхнув кілька разів, схилив голову й повільно крутнув корбу ліри. Струни інструмента видали протяглий жалісний звук, подібний до тихого стогону. Під пальцями діда клацнули клавіші — струни видали ще жалібніший акорд. Цей акорд полинув у нескінченну далину, то трохи змінюючися, то знову повертаючись до первісного тону. Під цю музику дід заспівав тихим, але чистим і виразним голосом сумовиту арештантську пісеньку:

Людам світить місяць — я й сонця не маю;  
Моему нещастю нема кінця-краю.  
Сиджу у в'язниці, мучуся в неволі,  
Плачу й нарікаю на нещасну долю.

Хлопці мимохіть міцніше притиснулися один до одного, слухали ту музику й ту пісню, співану повільно, на дуже просту мелодію, яка, однак, зворушувала до глибини душі кожного, особливо ж того, хто перебуває в такому станови-

щі, про котре розповідає пісня. Начко, притиснувшись обличчям до Владкової шиї, почав стиха плакати; його теплі сльозини капали на шию брата. Владко спочатку хотів посваритися на нього, але не міг; обернувся тільки до брата, поцілував його в мокре око й пошепки сказав:

— Ну, ну, тихо, якось воно буде!

А дід співав далі про долю арештанта:

Вже й до суду кличуть, зізнання складаю,  
А мій злісний радник усе мене лає:  
Лає, вимагає всю правду сказати:  
«А як правду скажеш — не будуть кувати!»

— Слухай, Владку, слухай! — шепнув Начко, підводячи голову й прислухаючись.

У стіну з їхнього боку стукало, очевидно, шматком деревини. Спочатку стукнуло один раз. Дід зараз же перестав грати й співати, відклав ліру, встав, не мацаючи, підійшов до стіни, туди, де закінчувався їхній тапчан, і дерев'яним клавішем ліри також стукнув об стіну. З тамтого боку стіни зараз же почувся рясний стукіт, з певними, то довшими, то коротшими інтервалами. Після кожного інтервалу дід стукав один раз, немовби даючи знати, що зрозумів. Згодом телеграфіст із сусідньої камери скінчив, а дід тим же способом почав передавати йому свої новини. Хлопці чули про цей спосіб спілкування. Хтось із старших хлопців навіть навчав їх тієї злодійської азбуки, але вони її не запам'ятали і тому тепер не могли нічого зрозуміти в тій розмові, яка велася через стіну. Нарешті дід скінчив і знову розпочав сусід, але на цей раз коротко. Замість відповіді дід тричі стукнув і відійшов од стіни й, зупинившись під вікном, між тапчанами, ще раз тричі стукнув об підлогу закаблуком. За хвилину знизу почувся теж трикратний стукіт. Дід виврався на підвіконня, притулив голову щільно до ґратів, висунув руку назовні, і відразу ж втягнувши її назад, відв'язав від довгої, тоненької, із прутів зв'язаної жердини лист, поданий йому з сусідньої камери через вікно. Потім він зліз із вікна, підсунувся під тапчан, на якому лежали хлопці, й десь там, в замаскованій шпарині намацав шнурок. До його кінця прив'язав лист і крізь вікно опустив нижче, до камери, яка була розташована якраз під ним і в'язні якої той лист зараз же відв'язали. Коли дід звивав шнурок, знизу знову почулося три удари — знак, що лист отримано. Дід відповів також трикратним стуком закаб-

лука об підлогу, потім своїм клавішем ліри тричі стукнув об стіну й тільки тоді, коли почув таку ж відповідь, повернувся на своє місце, сів і знову взяв у руки ліру. Вечірня пошта закінчила роботу.

Хлопці з подивом поглядали з-під своєї ковдри на всю ту роботу. Їм здалося, що з настанням ночі дід змінився, що темрява влила в що величезну постать нове життя. Рухи його стали впевненими й швидкими, голос був чистим, дзвінким і не таким могильним, як тоді, коли з ними говорив; а оте його жваве спілкування з арештантами по всіх кутках камери придала йому в їх очах чару якоїсь таємничої сили. В уяві хлопців снувалися картини з материних оповідей про старих чарівників, що сиділи в темному лісі, в кам'яній печері,— і ті чарівники тепер прибирали цілком виразні риси Семка Тумана.

А дід знову спокійно й непорушно сидів на своєму тапчані. Спати він не збирався. Настроївши ліру, він загравав ті ж самі, що й перед цим, сумовиті акорди й докінчив перервану арештантську пісню:

Я сказав їм правду — вирок вже читають,  
Ввійшли мама й батько, сумно так вітають:  
«Будь здоровий, силу, в кайдани закутий —  
В дерев'яні капці, неслухнянцю, взутий!»

Голос на хвилину затих, тільки ліра брентить. Чи то дід зітхає? Чи струна сковзає по дерев'яному кілку? Та от дід знову заспівав, ще тихіше, ще жалібніше:

Маєш добрі капці, стрижене волосся,  
Ти — в тюрмі, а в полі — сиплеться колосся...  
Маєш добрі капці й свитку сірувату —  
Соромно нам, синку, коло тебе стати...»

Пісня скінчилася. Ліра забриніла сильніше, жвавіше, немовбито вбогі сумні тони затремтіли на її струнах в передсмертних конвульсіях. У напівсонній уяві хлопців поплинув далекий широкий потік темряви. Дощ ллє і плюскопить у калюжах. Осінній вітер мчить пустим полем і свище десь далеко-далеко між крутими берегами. А крізь ту темряву, сльоту й вітер іде бідний, увесь мокрий і змучений холодом арештант і плаче. Його важкі гарячі сльози падають дзвінко, ніби на скляну підлогу, й розбиваються на тисячі крапельин — кап! кап! кап! Чи це скляна підлога так роз-

бринілася під спадаючими на неї сльозинами? Чи, може, зачепило її те жовтаве світло, що спадає косим стовпом з глибини темряви? Ні, це не підлога бринить! Це в тому світлі грає рій золотих мушок і видає тихий, ледь-ледь чутний, але безмежно любий звук невидимих діамантових крилець — нь-нь-нь, нь-нь-нь! Звук той наближається, стає сильнішим, виразнішим! Ньньнь! Здіймається вгору, вгору, ще вище, ще тихіше й нарешті зовсім розпливається в просторі.

Хлопці заснули.

#### IV

Уже минув тиждень з часу, коли брати переступили поріг в'язниці, однак їх ще й досі не викликали до суду. Життя їхнє плинуло одноманітно, як за годинником. Вранці о восьмій їм давали хліб, в полудень о дванадцятій — обід, після полудня — вони виходили на годинну прогулянку, ведучи попід руки діда Семка, — оце все, що вони робили. Та незважаючи на те, вони не нудилися: дід їм грав на лірі, вчив їх пісень, оповідав билиці й пригоди свого життя, щоразу, однак, вибираючи такі, в яких він грав роль свідка і з яких про його власне життя й подвиги якнайменше можна було довідатися.

Ключник Трапішевський, котрий привів хлопців у цю камеру, сподіваючися, що дід не зживеться з ними й ставитиметься до них так, як до попередніх товаришів по неволі, був дуже розчарований і засмучений тим, що помилився в своїх розрахунках, і, наскільки було можливо, намагався сам набридати мешканцям камери 44. Всупереч давнішій звичці він кілька разів з шумом вривався до камери й забороняв дідові співати й грати, викрикуючи:

— Тут — дім плачу! Тут заборонено співати! Ти, спорохнявілий діду, краще зробив би, якби плакав над своїми гріхами й молився богу, а не вибренькував свої коломийки!

На таку напасть дід нічого не відповідав, тільки наче той віл у ярмі, похитував головою й часом прикушував безкровні губи. Хлопці ж, знаючи з вечірніх спостережень про його вправність і здогадуючися з дідового зросту про його силу, тремтіли зо страху, щоб він, бува, не спалахнув і не наробив якогось лиха. Але дід зберігав непорушний спокій, а коли роззброєний цим спокоєм ключник, а до того ще й відчуваючи, що він чіпляється до діда незаконно (бо



грати на лірі йому дозволив сам голова суду), нарешті сердито виходив із камери, тоді дід казав хлопцям:

— Що тут робити! Така воля божа! Треба згинатися й коритися перед кожним катогою! Еге ж, якби це так із десять років тому, коли я був вільний і мав ясні очі, такий от катюга насмілювався б сказати мені щось подібне, то був би знав, що значить чіплятися до Семка Тумана! Але зараз!.. Зараз моє в'яне, а його квітне...

Нарешті одного дня прийшов черговий конвоїр із папірцем у руці й викликав Семка Тумана до суду. Затремтів старий, поблід ще більше, як звично (майже рік уже не викликали його до судді!) і, попрощавшись, пішов, підтримуваний черговим конвоїром. Вперше за час свого арешту брати залишалися самі. Якусь хвилину вони мовчали, нібито збираючись із думками й поглядаючи один на одного.

— Цікаво,— почав нарешті Начко,— про що там допитуватимуть нашого старого?

— А ти як думаєш? — запитався Владко.

— Думаю, там буде щось страшне, коли він попрощається з нами.

Їхню розмову нараз обірвав прихід керкермайстра. Хлопці не бачили його ще від того дня, коли грілися в канцелярії, й, побачивши тепер, вельми здивувались і навіть налякалися. Але пан керкермайстер усміхався так добродушно, був очевидячки такий добрий і лагідний, що самий його вигляд прогнав їхню боязнь. Ключникові, який з покорою на обличчі стояв у відчинених дверях, пан керкермайстер дав знак іти геть, примкнув двері, а потім, звертаючись до хлопців, промовив:

— Ну, що ж, хлопці, як вам ведеться?

— Добре, пане керкермайстре,— відповів Владко.

— Вже викликали вас до суду?

— Ще ні.

— Як ви живете з дідом? Не робите ніяких фіглів — міглів?

— Ні,— відповіли хлопці.

— А він вас не б'є?

— Ні, боже борони.

— Це — добре. Такого я й сподівався від вас. Ну, а що ви робите тут увесь день?

— А що нам робити? Сидимо. Часом дід співає або розказує щось, то ми слухаємо чи вчимося від нього пісень.

— А гарні пісні знає дід?

— О, дуже гарні! — захоплено вигукнув Начко. — Я б не знати, що дав, якби я знав їх усі напам'ять!

І, сказавши це, Начко сховав обличчя за плече брата, немовби соромлячись свого запалу.

— Ну, а що ж вам дід розповідає таке гарне?

— Всякі такі речі, — відповів Владко.

— Дід знає такі гарні казки, особливо про розбійників, — знову вихопився Начко. — Часом як почне ввечері розповідати, то ми аж тремтимо зо страху або плачемо з жалю чи схоплюємося з ліжка, доки нарешті не заснемо.

— А що саме він розповідає про тих розбійників? — із щораз більшою зацікавленістю допитувався керкермайстер.

— Та так, — сказав Владко, — як розбійники зустріли в лісі дівчину, яку мачуха звеліла вигнати, щоб її вовки з'їли; або ще, як гарний королевич, полюючи, забрів до розбійників; або, як розбійники рахували гроші під дубом, а дурень сидів собі на дубі з ступою — таке смішне!

— Он що! — з певним розчаруванням в голосі промовив керкермайстер. — Це про такі речі розповідає вам дід. І ви ні про що інше не говорите?

— Чому, — добродушно сказав Начко, захочений тим, що керкермайстер узяв його за руку, притягнув до себе й погладив його кучеряве темно-русяве волосся, — розповідає й про інші речі — що сам бачив або що йому інші про своє життя розповідали. Теж усе таке цікаве!

— Справді? А що таке цікаве розповідав дід про себе?

— А розповідав, яким-то він був заможним і шанованим господарем, яку мав гарну жінку і якого сінка, — плакав, згадуючи про них. А потім багато розказував нам про панщину і про те, який там, у їхньому селі був лютий пан, як він знущався над людьми, як його сина взяв до двору за козачка, як плакала мама і як той пан через кілька днів за якусь там провину звелів дати тому хлопцеві сто нагаїв, так що бідний хлопець тієї ж самої ночі помер.

— Дійсно, це цікаве! — сказав керкермайстер. — Ну, а що ще?

— Ще оповідав дід, як він із своєю жінкою утікав від того пана, як їх гайдуки доганяли, як вони кинулися вночі в ріку, щоб переплисти її: він переплив, а його жінка втонула.

— А чи не розказував, чому вони втікали від пана?

— Ні, про це не розказував,— заговорив Владко.— Але це само собою зрозуміло, що як пан був такий лихий, то від нього й утікали.

— Ага, він вам так говорив?

— Воно ж і так ясно.

— Ну, а що далі?

— Далі... далі ні про що таке вже не казав.

— Е, ні, Владку,— знову вихопився Начко,— хіба ти забув, що дід оповідав про те, як він зробився калікою, пристав до жебраків і почав грати на лірі.

— Так, так, про жебраків розказував багато: які-то в них звичаї, які школи, яка їхня компанія, як вони всі знаються, як разом збираються й раду радять.

— Цікаві речі! Цікаві речі! Дійсно, варто послухати, Треба буде запросити колись старого, щоб і мені розповів. Ну, а що він ще розказував про своє життя?

— Більше нічого.

— Нічого? Ану, пригадайте собі добре. До свого давнього пана він, жебраком, не повертався?

— Ні, дід про це нічого не казав.

— А Хаїма Рібенгольца не згадував?

— Ні, не згадував.

— Ну, а про закопані скарби він нічого вам не розповідав?

— О, розповідав і не раз! — крикнули обидва хлопці.

— Справді? А що він про них розповідав?

— А те, що кожний скарб щороку горить голубим вогнем, і хто це побачить, повинен перехрестити те місце і щось там покласти: стебельце, капелюх чи що під руку потрапить — тоді й викопає скарб. Розповідав дід і про такі скарби, які стережуть змії в печерах, і про скарби, зачаровані так, що їх і доторкнутися не можна.

— А більше нічого не говорив?

— Говорив, що в горах є скарби якогось розбійника Довбуша, заховані в якійсь підземній печері. Привезли той скарб на двадцяти чотирьох возах, а вхід прикрили каменем, на ньому для прикмети вирубали розбійницький хрест. Але Довбуш прийшов уночі і той камінь, що лежав хрестом догори, обернув хрестом донизу, так що з того часу ніхто не може знайти ані того каменя, ані тієї печери.

— А що, може, й дід той скарб шукав? — запитав, усміхаючися, керкермайстер.

Діти здивовано зиркнули йому в очі, Начко нарешті сказав:

— Ми не знаємо. Дід про це нічого не говорив. Але коли ми виростемо, то, може, й ми підемо шукати. Якби тільки дізнатися, на якій це горі. А дід якось, власне, казав, що про це навіть трудно дізнатися, бо в кожній околиці люди показують іншу гору.

— Ну, а про свій власний скарб дід нічого вам не говорив? — погладжуючи хлопців по голові, ще з солодшим усміхом запитав керкермайстер.

— Про свій власний? — в один голос промовили хлопці, знову вдвляючися в обличчя керкермайстра, немовби хотіли випитати, чи він жартує, чи правду каже, — хіба дід Семко теж закопав скарб?

— Я не знаю, діти! — щиро сміючися, сказав керкермайстер. — Але якщо він стільки казок вам розповів про інших, то міг і про себе якусь казку розповісти.

— Ні, — поважно відповів Владко, — дід про себе розкаже тільки правду. Це видно по ньому.

— Ну, ну, я нічого про це не кажу, — промовив керкермайстер і, задавши хлопцям ще кілька якихось звичайних питань, вийшов із камери. Після його виходу брати довгий час мовчали й поглядали один на одного.

— Як ти думаєш, Начку, — озвався нарешті Владко, — керкермайстер добра людина?

— Видно, добра, — сказав Начко.

— Ти кажеш, добра? А чого він від нас хотів?

— Від нас? А чого він хотів би від нас? Нічого.

— Ти так думаєш? А я думаю, що він не дарма до нас приходив і так пильно випитував, про що з нами говорить дід.

— Недарма? — скрикнув Начко, начебто тільки тепер йому відкрилися очі. — Це, виходить, що він хотів довідатися від нас про діда Семка, — ти так думаєш?

— Атож, саме так! Хто знає, може, з дурного розуму, ми й наговорили щось зайве?

— Бійся бога, Владку, не говори такого! Щоб ми самі зашкодили дідові? Це було б свинство! Ні, як тільки приїде дід, ми йому повинні про все розповісти, тоді й побачимо, чи ми не набазікали чогось злого. А втім, я думаю, якби він хотів був нам щось таке розповісти, що йому могло зашкодити, то наказав би нікому про те не розказувати.

— Може, й так, — сказав Владко, — все ж ми натворили дурниць, розказуючи стільки всього тому дияволі.

— Вдруге будемо обережнішими. Дідька з'їсть, поки щось дізнається від мене! — крикнув Начко, стиснувши свій дитячий кулак і погрожуючи ним у бік дверей, якими вийшов керкермайстер. — Ну, але хто ж би сподівався по ньому, що така добра й ласкава людина схоче робити з нас капусів?<sup>1</sup>

— Ні, Начку, — поважно промовив Владко, — не так зробимо. Коли він питатиме про діда ще раз, то ми будемо йому верзти всякі нісенітниці, які тільки слина принесе на язик, нехай собі потім дошукується в них правди, якщо він хоче її знайти.

— Гаразд, — погодився Начко. — Я вже буду йому такі теревені правити, що аж вуха розвісить. Якби-то тільки ми сьогодні чогось такого не наплели!

— А не відповісти керкермайстрові не можна, — повчав далі Владко, — ти ж знаєш, що він тут хазяїн і може нам так насолити, що й молочного киселю відхочеться.

— Аби лиш сьогодні ми не зашкодили дідові, — все ще повторював засмучений Начко. — Як прийде, ми йому все розповімо.

— А коли керкермайстер буде нас питатися, чи ми розказували дідові про відвідини, то скажемо, що не розказували, ясно?

— Атож, це ж зрозуміло, — серйозно промовив Начко.

Невдовзі дід повернувся з суду, блідий, тремтячий, немовби зламаний. Руки його тряслися, сліпі очі неспокійно бігали в різні боки, неначе шукали точки, на якій могли б спочити. Губи його раз-у-раз ворушилися, вишептуючи якісь нечутні вислови. Все його обличчя виражало глибоке пригнічення й хвилювання. Дід сів на своєму тапчані й довго-довго сидів, непорушний, мовчазний і понурий, не в змозі прийти до себе. І поки він був у такому стані, діти не сміли озватися до нього й тривожно тулилися одне до одного на своєму тапчані, не відвертаючи очей від цієї дивної постаті, не наважуючись ані розмовляти між собою, ані навіть шептатися. Нарешті після годинної, може, важкої мовчанки дід трохи заспокоївся, чоло його випогодилося, руки перестали тремтіти: очевидячки, його розум,

---

<sup>1</sup> Допощик.

бодай уявно, переміг ту темну грізну мару, яка з вражаючою силою постала була перед ним у суді.

— Ви тут, діти? — запитав дід зміненним, м'якішим, як звично, голосом.

— Тут, — відповіли хлопці.

— Чи хтось був у вас, коли мене не було?

— Був керкермайстер.

— Про що він вас випитував?

— Випитував, про що ви з нами говорите.

— Давня історія, — буркнув дід. — Уже десять років повторюють зі мною одне й те саме, і ще їм не сприялося. Ну, й що ви йому відповідали?

— Відповідали йому все, — простодушно промовив Владко. — Ви ж нам не казали, що можна говорити, а що ні. Ми оповідали йому, як ви нам розказували про розбійників, про панщину, про те, як пан вашого сина убив, як ви і ваша жінка втікали і як жінка втопилася і як ви з жебраками ходили.

— Ну й що він?

— Нічого. Але нас випитував, чи ви не розказуєте нам щось про скарби. А коли я йому говорив, що ви оповідаєте нам про скарби Довбуша, то він усміхнувся й запитав, чи ви нам не згадували й про свій власний скарб?

— Справді так? Про мій власний скарб? А звідки він знає про мій скарб?

— Ми питали його про це, але він сказав, що не знає нічого, тільки думає, що ви нам таку казку могли розповісти.

— Ага. Ну, а ще про щось питався?

— Ні, — відповів Владко.

— Питався ще про одну річ, — озвався Начко. — Чи ви не згадували перед нами про якогось Хаїма Рібенгольца? Але ми сказали, що ні.

— Дурень! — гнівно буркнув дід, одначе хлопці помітили, що при згадці про це наймення його обличчя поблідло, а губи мимохіть здригнулися. — Дурень! — повторив він ще раз і звів голову на груди, впавши в глибоку задуму.

— А, може, ми вам зашкодили тим, що сказали керкермайстрові? — несміливо сказав Владко, підходячи до діда. — Опісля ми й самі додумалися, що не треба було йому розповідати, але ви нас повинні були застеретти. Коли ви нам щось говорите, але хочете, аби про те ніхто не знав, то

скажіть це. Ми нікому й нічого не скажемо, хоч би він нас і різав.

— Гарні ви хлопці! — сумовито промовив дід, обома руками гладячи їхні голови. — Не бійтеся: все, що ви говорите, не зашкодить мені, бо й що ж ви таке знаєте про мене?

А за хвилину він додав із легкою посмішкою.

— Ну, а я й не знав, що ви такі зухи і вмієте мовчати.

— Якби нас і на муки брали, то, коли чогось не можна казати, ми не скажемо, — патетично вигукнув Владко.

— Добре! Добре! Цього й тримайтеся! Це вам завжди в житті може пригодиться. Ніколи, небожата, не носіть серця на язиці. То вже така воля божа, що серце повинно бути схованим, а значить і те, що в серці, теж мусить бути схованим. Якби господь-бог хотів був зробити інакше, то він міг би нам дати серце на лобі, аби кожний відразу міг бачити, що в ньому діється. А секретів у мене для вас немає. Що чуєте від мене, те можете переказувати будь-кому. Тільки скажу вам ще одне: не вірте керкермайстрові, хоча він і видається таким добрим і ласкавим. Тепер я вже знаю, чому він такий і чому вас поселив коло мене. Отож, послухайте, що я вам скажу. Жив на Поділлі, біля самого російського кордону, дуже багатий єврей Хаїм Рібенгольц. Мешкав він у мурованій корчмі в самому центрі села Т., однак так, що та корчма стояла, начебто на толоці, а хати були досить віддалені й відділені від неї тинами, садами та городами. Треба було добре крикнути, аби було чути коло хат. Отож, якогось ранку, коли люди прийшли до корчми, то знайшли єврея з усією сім'єю — вісім душ — убитих, скрині й валізи порозбивані, гроші забрані. Отож, на мене впала підозра за це вбивство, мене заарештували й от уже десять років тримають під слідством, але так і не можуть мені нічого довести. На своє нещастя я взяв собі вельми дурних свідків, які, замість того, щоб зробити мене чистим, приплутали мене ще до двох інших паскудних справ, і я так ото, небожата, заліз у це все, що вже й осліп у тюрмі і, здається мені, що тут і життя доконаю.

— А які то дві інші справи? — запитали хлопці.

— Бачите, одна справа з отим паном, що забив мені сина і втопив жінку. Пан той звався Голейовський, і за рік після моєї втечі його страшним способом було вбито у власній кімнаті. Як і чому приплели мене до цього вбивства, я й сам не знаю. А друга справа про якогось російсь-

кого генерала, котрого також замордовано в корчмі, в містечку Сатанові. Нехай там спочиває з богом той небіжчик генерал, але за нього мене аж два роки тримали в російських тюрмах, аж поки не переконалися, що я ні в чому не винний, і не передали мене знову тутешнім судам. Отож, бачите, хлопці, що означають оті керкермайстрові випитування. Вся братія тутешнього суду переконала, що я дійсно вчинив ті вбивства, і вже давно мене повісила б, якби не закон, який за підозру вішати не дозволяє, а вимагає доказів. А тих доказів, дасть бог, не знайдуть, хоч би й сто літ шукали. Ну, а керкермайстер — хитрий лис. Він собі думає: а що, може, старий звіриться дітям, а діти й викажуть. Дурень, бачте, й не знає, що якби ви навіть щось і виспівали, то ваше свідчення не мало б вартості. Але йому не так йдеться про те, аби мене повісили — він добра людина! — скільки про те, або знайти ті гроші, які забрано в Рібенгольца, Голейовського і російського генерала. Гроші його кортять! І, певне, не тому, щоб віддати їх потерпілим, а щоб самому ними вдавитися і свою сім'ю забезпечити. Отже, тепер ви знаєте, чого він з вами такий добрий?

— Знаємо! — вигукнули хлопці. — Але він з'їсть чорта з рогами, поки від нас щось довідається.

Не всю, однак, правду говорив дід перед хлопцями і не зовсім так ото спокійно думав про їхні оповіді керкермайстрові, як перед ними удавав. У що ж ніч він довго телеграфував на різні боки, доручаючи своїм знайомим арештантам пильно стежити й підслухувати, чи керкермайстер не довідався про нього з оповідей хлопців чогось такого, чого б не повинен був знати. Доручив також пильно стежити за хлопцями, коли їх поведуть до суду: чи керкермайстер закликає їх по дорозі до себе, і, якщо вдасться, підслухати, про що він з ними буде говорити. А що канцелярія керкермайстра була розташована в нижній частині будинку, де містилися й камери для засуджених на малі строки ув'язнення (до року), а також майстерні, пральні і т. ін.; і так як засуджені на малі строки, зайняті на різних роботах і не зайняті, в нижніх частинах будинку мали значно більшу свободу руху, ніж арештанти із слідчих, увесь день замкнених камер, то й не дивно, що вони як опалювачі, які цілі години сидять біля печей і грубок, як замітальники, водноноси і т. п., мали цілковиту можливість вишпиговувати й повідомляти своїм товаришам все, що діється в канцелярії начальника тюрми, керкермайстра.



І, як виявилось, дід саме впору провів «телеграфну» розмову з партером. На другий день уранці викликали до суду насамперед Владка. Він ішов і чув, як сильно стукотить його серце, хоча й знав, що суд буде коротким. Справа була звичайна, а, крім того, підготовлений в поліції протокол майже не вимагав ніяких уточнень. Владко не збирався й відпиратися від вини. Але зовсім інша справа чекала його після повернення з суду. Керкермайстер зустрів у коридорі чергового конвоїра, який уже вів Владка до камери і мав відвести до суду ще й Начка. Відіславши конвоїра за Начком, керкермайстер звелів Владкові йти за ним, до його канцелярії.

Керкермайстер був сьогодні в надзвичайно доброму настрої. Його круглясте повне обличчя було подібне до пишної розпвілої півонії. На губах виравав добродушний усміх. Замкнувши за собою двері, керкермайстер зручно розсівся в кріслі з поруччям і підкликав до себе Владка.

— Ну як, хлопчику, — промовив він, міряючи його ясними усміхненими очима, — що ти нового мені розкажеш?

— Не знаю, що б я міг таке розказати вам, пане керкермайстре? — відповів Владко.

— Бачиш, небоже, така от справа. Я поселив вас у одній камері з дідом, бо знаю, що він любить дітей і що перед дітьми людина може багато вибовкати й такого, чого перед дорослими не скаже. А треба тобі знати, що цей дід, хитрий, як чорт. Ми всі знаємо, що він багато людей повбивав, грошей награвив, але, бестія, так вміло все позаплутував, що нічого не можна йому довести. Отож, може б ти мені ще раз усе детально розповів, що він вам розказує; може, з того суд довідався б про щось нове, знайшов би якусь підказку.

— А ви, пане керкермайстре, теж належите до суду? — запитав Владко зненацька, немовби вирвався зі схованки.

Керкермайстер почервонів ще більше й нарешті сказав:

— Ну бачиш, сину, я — не суддя, але до моїх обов'язків належить доповісти судові, якщо дізнаюся щось таке...

— Але ж ви, пане керкермайстре, мене просто допитуєте, як суддя. А я нічого не знаю. А якби щось знав, то звернувся б до пана судді і йому розказав би.

— Ти дивись, який мудрий! — крикнув керкермайстер не то жартом, не то гнівно. — Якби щось знав... А хто знає, може, те, що тобі здається нічим, для судді було б дуже

важливим? Ну, от, наприклад, учора, після повернення з суду, яким був дід: сумним, веселим чи яким?

— А яким він мав бути? Був таким, як завжди. Він ніколи не буває веселим.

— Ну, а з вами дід говорив?

— Говорив.

— Про що?

— Про різні справи. Нарікав, що його так довго тримають під слідством, а він нічого не винний, що його возили в Росію і теж даремно мучили.

— Ну, а ще що?

— Більше нічого такого не розказував.

— А питав він, чи хтось був у вас в камері?

— Ні.

— Ні? Кажіть правду!

— А чому я повинен брехати,— зашарівшись, сказав Владко,— якщо він не питав?

— Брешеш! — раптом крикнув керкермайстер і, підхопившись з крісла, дав Владкові сильний ляпас.— Це тобі за брехню! А тепер кажіть правду! Питав дід, чи був хтось у вас в камері?

— Ні,— відрубав Владко.

— Ти хочеш іще одного ляпаса з'їсти? — крикнув керкермайстер.— Я ж бо знаю, що він питав?

— Якщо ви знаєте, що питав, то нащо ж мене випитуєте? Я не знаю.

— Ах ти, голодранцю! Ах ти, гультіпако! — крикнув керкермайстер, хапаючися за міцний плетений із ременів канчук, що висів на стіні.— Це ти так мені відповідаєш? Зараз же говори мені правду, бо як вріжу тебе ось цим, то рідна мама привидиться!

Владко мовчав.

— Говори! — крикнув керкермайстер, стоячи над ним із канчуком.— Питав вас дід, чи хтось був без нього в камері? Я знаю, що він мусив питати, і хочу тільки знати, чи ти правду кажеш.

Владко мовчав.

— Чому мовчиш? — запитався керкермайстер, підносячи канчук.

— Бийте мене,— спокійно сказав Владко,— бо я не знаю, а хоч би щось і знав, то вам, пане керкермайстре, нічого не скажу.

— Чому?

— А так.

— Ну говори, чому?

— Бийте, прошу.

— Ні, скажи, чому ти мені нічого не хочеш сказати?

— Бо ви хочете ошукати мене: спочатку ви хотіли мене ошукати добротою, а тепер хочете ошукати мене гнівом. Прощу, бийте!

Керкермайстер аж затремтів і посинів від цих слів, але піднесену руку з канчуком опустив донизу.

— Це тебе той проклятий дід так навчив говорити? — фукнув.

— Ніхто мене не вчив, — спокійно відповів Владко. — Я сам бачу.

Керкермайстер мовчав. У цю хвилину в коридорі почулися кроки. То конвоїр вів із суду Начка. Кинувши канчук на стіл, керкермайстер схопив Владка за плече й штовхнув його до дверей, відчинив їх і гукнув до конвоїра.

— Пане Прокші! Візьміть цього в камеру, а того залишіть мені!

— Нічого не розказуй, Начку! — відходячи з конвоїром, промовив Владко до брата так голосно, що не тільки брат, а й керкермайстер почув ці слова.

— Негідник! — буркнув крізь зуби керкермайстер, замикаючися з Начком у канцелярії. Якусь хвилину він ходив у задумі, не знаючи, як поступити з Начком, та згодом, кинувши оком на скромну й нібито боязливу постать хлопця, подумав, що погрозами тут можна більше добитися, ніж від зухвалого й загартованого Владка. Підійшов до столу, сів на крісло й, тримаючи в руці канчук, підкликав Начка ближче:

— Бачиш оце? — проговорив суворо, показуючи Начкові канчук.

— Бачу, — стиха сказав Начко.

— А знаєш, навіщо воно?

— Знаю, — відповів Начко.

— Ну, то запам'ятай це собі! А тепер кажи мені чисту правду про все, що я буду тебе питати. Хочу переконатися у твоїй щирості. Я вже знаю все, тільки хочу знати, чи ви обидва з братом говорите однаково. Коли вчора дід повернувся з суду, то в якому він був настрої?

— Був, як завжди. Довго мовчав собі, сидячи на тапчані, а ми його ніколи й не питаємо, що з ним.

— Ну, а потім? Щось говорив до вас?

— Говорив щось там, жалівся, що його так довго тут тримають, а він невинний...

— Досить, досить! — перебив керкермайстер. — Стара злодійська пісенька. А питав він вас, чи хтось був у камері, коли його не було?

— Питав.

— А що ви йому сказали?

— Ми сказали йому, що не було нікого, крім ключника.

— Що? Ви йому справді так сказали? — закричав керкермайстер грізно.

— Справді так, — сказав Начко, хитро усміхаючись.

— А це чому?

— Бо ми, пане керкермайстер, дуже боїмося діда, — брехав Начко, схиляючи голову. — Пан ключник говорив нам, що він убив п'ятеро людей, то що для нього значило б ще й нас на додаток повбивати? А якби ми були сказали, що були ви й випитували про нього, то він міг би бог знає що запідозрити, міг би подумати, що ми бог знає що на нього наговорили, і тоді ми мали б від нього!...

— Погляньте на нього! Який він хитрий! — вигукнув керкермайстер, випогоджуючи обличчя. — Ну й що, він вам повірив?

— А чому б він мав не повірити? Сам же нам казав остерігатися вас.

— Справді?

— Авжеж. Дід казав, що ви стараєтеся вивідати якісь його секрети і щоб ми нічого вам не говорили.

— Так? Отож, він очевидячки, має такі якісь секрети, якщо чогось боїться!

— Хіба я знаю, — сказав Начко. — Він нам ніяких секретів не розкривав.

— Ну, а якби він розкрив, то ти сказав би мені? — добродушно запитав керкермайстер.

— З найбільшою охотою! — відповів Начко.

— Прекрасно, прекрасно, мій хлопчику. Це ви розумно зробили, що вчора нічого не говорили йому про мене. Він іще не підозріває вас і, може, колись скаже вам щось таке, що може знадобитися для суду. І ти сам старайся час від часу випитувати в нього: про того пана, від якого він утік, про євреїв, про Росію, а як тільки щось довідаєшся, то вранці шепни ключникові, що хочеш піти до пана керкермайстра, то він тебе відразу ж і приведе до мене.

— Добре, пане керкермайстре, — сказав Начко.

— Ну, а скажи-но мені ще одне, чому твій брат про це все нічого не хотів говорити?

Керкермайстер, сказавши це, підвівся з місця й іронічно усміхався, немовби цим відкриттям хотів нанести йому нещадний удар. Але Начко, скулившись, стояв собі спокійно й навіть не здригнувся на це запитання.

— Ми так домовилися з Владком, — сказав Начко, — що коли нас пан керкермайстер буде про щось розпитувати, то тільки я буду говорити, а він буде відпиратися й казати, що не знає нічого.

— А нащо це так? — запитався здивований керкермайстер.

— Він повинен був навіть ставитися до вас так, щоб розгнівати вас і щоб ви його побили.

— Що? Що? Що? Це ви так один з одним домовилися?

— Так.

— Коли?

— Вчора вночі, як дід заснув.

— Але заради чого?

— Це, бачите, пане, така справа, — знову хитро розпочав Начко, і його оченята заграли живим вогнем, як завжди, коли якась щаслива думка з'являлася в його голові. — Дід Владкові чомусь не довіряє. То ми подумали собі, що коли б ви Владка добре відлупцювали і він повернувся в камеру з плачем, то дід був би тоді певний, що він нічого вам не сказав, і, може, став би з нами більш відвертим.

Керкермайстер зацікавлено дивився на геніального хлопця й мало не обняв його з радістю.

— Нехай тебе їрім уб'є, хлопче! — крикнув він, шпурляючи канчук на стіл. — Ніколи в такому малому кордуплі, як ти, не сподівався стільки хитрощів! Фу, брате! Тебе, певне, чекає або шибениця, або міністерське крісло! Та ти вже й тепер обведеш навколо пальця будь-якого адвоката! А, може, ти набрехав і мені?

— Ви, пане, добре знаєте, що я не набрехав, — покірливо відказав Начко. — Адже ж ви самі мені казали, що знаєте усе й тільки хочете перевірити, чи я щиро й правдиво відповідаю.

Цей удар влучив у саму точку, керкермайстер замовк і, ще раз напоумивши його, як найкраще шпигувати за дідом, відіслав Начка з ключником у камеру.

Гей, скільки втіхи, скільки жартів та сміху було в камері за номером 44, коли Начко слово в слово розповів про

свою гостину в керкермайстра! Дід Семко, хоч сліпий і старий та ще й більш, як будь-коли, нахмурений, аж рота роззявив, аж на місці спокійно всидіти не міг, слухаючи те плетиво хитрої брехні, що так вільно плинула з Начкових уст.

— Ти якась чортова рідня, хлопче! — вигукнув. — Так говориш, начебто скінчав усю злодійську академію. І де ти навчився таких штук?

— О, діду, якби ви були хоч місяць пожили в нашої Войцехової, то теж такого б навчилися, — сказав Начко. — Там не було вибору: або хльоста, або брешти, що на язик спаде. Владко завжди волів мовчати або дражнити кляту бабу — й одержував хльосту, а я завжди старався відбратися й за який рік собаку з'їв на цьому.

Само собою зрозуміло, що вночі відбувалося довге телеграфування на висоту всіх тюремних поверхів — аж до діда, і що повідомлення арештантів повністю підтвердили те, що розповідали Владко й Начко.

І все ж дід Семко з кожним днем ставав усе сумніший, блідіший і мовчазніший. Він уже не грав на лірі й не розповідав хлопцям казок, їв трохи і мало не всі ночі просиджував без сну на своєму тапчані, важко зітхаючи й прислухаючися до спокійного дихання дітей, що спали поряд. Хлопці часто запитували його, що йому є, чи, бува, не покликати до нього лікаря, але він вперто відмовлявся, кажучи, що це нічого й що він радше волів би бачити біля себе чорта лисого, ніж тюремного лікаря.

Хлопці бачили, що дід день за днем слабшає й спадає на силах, що навіть на півгодинну прогулянку насилу виходить, але дід заборонив їм повідомляти ключникові про це, не з'їдені страви виливав у «парашу», а хліб під час прогулянок віддавав арештантам із сусідньої камери. Нарешті якогось дня дід, повернувшись з прогулянки, відразу ж ліг на тапчан й, очевидячки, тільки ціною великих зусиль стримував себе, щоб не стогнати. І лише тоді, коли ключник обійшов і позамикав усі камери на ніч, дід відчув себе трохи вільнішим, роздягнувся й ліг на перестелену хлопцями постіль. Мовчав він довго, й хлопці, думаючи, що йому полегшало й він заснув, також роздяглися й лягли спати.

Але десь близько коло півночі дід розбудив їх.

— Слухайте, мої хлопчики, — сказав він незвично зміненим, тремтячим і м'яким голосом. — Здається мені, що

вже наближається моя смерть. Довго я обдумував, як я маю вмирати, і вирішив відкрити вам один секрет. Чи ви чуєте мене, не дрімаєте?

За кілька останніх днів хлопці вже звикли до того, що дід, відчувши себе міцнішим, ніж звично, будив їх вночі. Тому незабаром вони зовсім вибилися зі сну й почали натирати водою дідові ноги й груди.

— Спасибі вам, мої добрі хлопчики, — промовив дід, — але тепер мені вже не треба вашої допомоги. Досить того! Слухайте, що я вам скажу.

Хлопці слухали, однак не залишали розтирання, що старому, очевидно, полегшувало біль.

— Як я жив, що робив, — сказав дід, перериваючи свою мову важким стогоном, — про це я не буду вам розповідати. Цей рахунок я вже склав перед богом. Він знає, що я завинив, він знає також, що я витерпів до того й після того — він, отож, мене й судитиме. Не хочу бруднити ваших юних душ навіть оповіддю про ті страшні речі... Зрештою, мені б і сил не вистачило...

Біль, очевидно, наростав, бо дід майже до крові прикушував губи, щоб не стогнати на всю в'язницю й не накликати цим чергового ключника.

— Слухайте тільки уважно, щоб я вам скажу! — мовив дід, узявши за руки обох хлопців і конвульсійно притискаючи їх до вихудлих грудей. — Той лис не дарма на вас натискав. Я закопав-таки скарб, багато грошей. Бог мені не дозволив скористатися ними, можливо, за те, що я здобув їх неправдою... Ох!.. Хоча я й не знаю, за ким було більше неправди: за мною чи за тими, хто ті гроші наскладав! На те воля божа!

Він замовк на хвилину, а потім знову заговорив:

— За Тернополем, на Поділлі, є, може, ви чули, містечко Товсте. За яких тисячу кроків від того містечка стоїть у полі велика могила. Ви її легко знайдете, коли вийдете на схід від містечка. Від тієї могили недалеко йти й до ліска, що тягнеться туди з Медобірських гір. Ідіть точно п'ятсот кроків від могили на північ, ввійдете в ліс, а в тому лісі дійдете до старого дуба. Ви його легко впізнаєте, бо на ньому видніється великий вирізаний на корі хрест, а два могутні корені дуба, наче вила, звернені на схід. Отож, між тими вилами, відступивши два кроки від стовбура, починайте копати. Викопавши яму глибиною на лікоть, ви знайдете таку велику кам'яну плиту, що тільки двоє

може підняти її руками, а якщо яма буде досить широка, то можна підважити її дрюком. Під нею лежать гроші, золоті й срібні. Запам'ятайте знаки, про які я вам розказав!

Хлопці слухали, широко розплющивши в темноті очі. Дід, хвилинку помовчавши, вів далі так:

— Але не думайте, що я залишаю цей скарб для вас, на вашу власність! Я вже вам казав, що той скарб здобутий неправдою. Якою — це вже не ваша справа. Але неправда нікого не зігріє, і вам би вона не вийшла на добро. Тому дайте мені святе слово, що ви зробите саме те, що я вам зараз скажу. Клянетьесь?

— Клянёмось! — в один голос промовили хлопці, прийняті якимсь дивним жахом.

— І нехай вас бог тяжко покарає, якщо ви це слово зламаєте!

— Нехай нас покарає!

— Амінь! Отже, слухайте! Той скарб ви можете видобути із землі щойно тоді, коли матимете повних двадцять і чотири роки. Розумієте?

— Розуміємо!

— До того часу ви повинні закінчити школу. Розумієте?

— Розуміємо!

— Бог вам дав здібності — це видно по вас. Гріх би вам був, якби ви їх змарнували. Ідіть до шкіл, учіться, пильнуйтеся, а коли скінчите науки, то нехай кожний із вас обере таку професію, яка дасть вам можливість якнайбільше допомагати бідним людям. Розумієте?

— Розуміємо!

— Я — темний і неписьменний дід, тому не можу вам вказати ані шляху, ані способу. У свій час ви це самі краще побачите. Але одного тільки остерігайтеся! Не йдіть на такі посади й місця, де ви змушені були б мучити й висискувати! А якщо вас зла доля все-таки заведе на такі посади, то в цьому разі — руки геть від мого скарбу! Тоді нехай він буде проклятим на віки-вічні і нехай кожен, хто доторкнеться до нього, теж буде проклятим! Обіцяйте мені це!

— Обіцяємо!

— Скажу вам ще тільки одне і думаю, що це буде найважливіше, — сказав дід після досить довгого й болісного мовчання. — Ви чули від мене, як мене панщина вигнала з рідного гнізда і як із порядного господаря зробила жиб-



раком, арештантом. Панщина, правда, вже скасована, але таких як я, викинутих нею зі своєї колії, залишилося тисячі. Я бував у різних місцевостях краю, бачив їх. А ще більше залишилося таких людей і цілих громад, у яких уже після скасування панщини пани повідбирали ліси й пасовиська. За десять років мого перебування в тюрмі я бачив сотні людей, заарештованих і засуджених за бунти з цієї причини. Бунтуються люди в кожному селі, витрачають гроші, посилають делегації до намісника й до цісаря, але що їм це допоможе? Пани собі думають: пропала сокира, то треба хоч топорнице зберегти, а пани завжди швидше доступляться до намісника й до цісаря, ніж бідний селянин. Немає кому заступитися за бідного селянина, і наші громади втрачають свої права, свої ґрунти, свої ліси і втрачатимуть їх до останнього, якщо ніхто їм не подасть руки, щоб допомогти. Отож я й подумав собі: а що якби ви отак взяли та й вивчилися на добрих адвокатів, а тоді за допомогою грошей, які я здобув, стали б сильними, мали б усюди доступ і вагу й тоді уже могли б успішно й уміло боронити всіх покривджених. Чи ви хочете це зробити? Якби я був упевнений, що ті мої криваві гроші підуть на допомогу бідним, на захист тих, із кого їх здерто, то я помер би спокійно, переконаний, що господь-бог відпустить мені велику частину моїх гріхів. Обіцяйте мені, що зробите все, що будете могли, ради цієї мети?

— Обіцяємо! — в один голос гукнули хлопці й залилися сльозами, притискаючись обличчями до сильних, але вихудлих, мов тріски, рук старого розбійника.

— Нехай вам у цьому бог милосердний допоможе! — сказав Семко. — Не плачте, мої хлопчики! Краще станьте навколішки й помоліться, аби дав мені бог швидку смерть.

Хлопці, залиті сльозами, стали навколішки на підлозі й почали молитися. За яку чверть години дід сказав їм:

— Досить хлопці, досить! Я почуваю, що бог вислухав вашу молитву. Мені вже легше, значно легше. Я вже засну. Встаньте й ви та й лягайте спати.

Хлопці послухали його і, вмовившись на своєму тапчані, майже в ту ж хвилину поснули. Вже настав ясний день, коли хлопців розбудив гуркіт відмикуваних замків і відсовуваних засувів біля дверей — знак, що вже йшов ключник з арештантами, які мали виносити бачок. Напівсонні хлопці підхопилися з постелі, взяли бачок за залізни

ручки й винесли його в коридор. Ключник стояв віддалека й у камеру не заглядав. Повернувшись у камеру, хлопці знову вклялися на постіль і знову міцно заснули. Але на цей раз спали не довше, ніж годину. Їх знову розбудив повторний грюкіт біля дверей: принесли випорожнені бачки і якісь арештанти з мішками, перевішеними через плечі, під наглядом ключника роздали в'язням хліб, кожному по буханцеві на день.

Узявши хлібини і внісши у камеру бачок та коновку з водою, брати, як і щодня, почали вмиватися й застеляти тапчан. Щойно тепер вони пригадали собі нічну сцену, котра в першу хвилину видалась їм якимсь фантастичним сном. Порядкуючи, обидва раптом затрималися з роботою й мовчки зиркнули один на одного, а потім, ніби на поданий знак, наблизилися до діда. Їх здивувало те, що дід спав так міцно й спокійно, не ойкав, не кашляв і навіть не ворухився. Один дотик до його холодного й задубілого тіла переконав їх, що дід Семко Туман, не діждавшись кінця слідства, пішов до своїх предків.

Хлопці не відчували особливого страху, побачивши труп. Дід, накритий двома ковдрами й обернений до них плечима, лежав так, що його обличчя зовсім не було видно. Отож хлопці вмилися, прибрали в камері, поснідали хлібом з водою і аж тоді постукали в маленьке «вічко» дверей, викликаючи ключника. Ключник, однак, з'явився не швидко і до того ж у товаристві з конвоїром.

— Чого ви стукаєте? — грізно крикнув ключник, відмикаючи двері.

— Дід помер, — пролунала коротка відповідь.

— Що? — протяжно запитав ключник, входячи у камеру. І, не звертаючи уваги на хлопців, він підійшов до діда, взяв його за ногу, але відразу ж відсмикнув руку і сплюнув.

— До ста чортів! — сказав. — Справді помер! Коли він помер?

— Мабуть, вночі, помер, — відповіли хлопці. — Вчора після обіду дід дуже захворів, стогнав і ойкав.

— Чому ж ви, шалапути, не покликали?

— Він нічого нам не казав, а ми не думали, що з ним так погано, — сказав Владко.

— А ви не знаєте точніше, коли саме він помер?

— Ні, ми спали й щойно тепер хотіли розбудити його, а він уже неживий.

— Владислав Калинович і Гнат Калинович! До суду! — зненацька сказав конвоїр, що стояв у дверях.

І знову на цей виклик брати здригнулися, схопили свої шапочки, озулись у великі безформні арештантські черевики й пішли з конвоїром. Вони трохи здивувалися, заставши потерпілого від них господаря з Вільки в канцелярії слідчого судді — господаря, якому вони наробили шкоди. Суддя підвівся з крісла й підійшов до братів:

— Ну, що ж, шибеники, ваша справа закінчена. Подякуйте судові, який, зважаючи на ваш дитячий вік, ухвалив не тримати вас довше. Подякуйте також цьому добродієві, котрий з уваги на те, що ви визнали свою вину, просив змилосердитися над вами! Поклоніться йому до ніг і поцілуйте його в руку!

Хлопці розплакалися й зробили те, що їм звелів суддя.

— Суд зважив також на пам'ять про вашого батька, якого всі тут знали, і тому ухвалив випустити вас на волю, але перед цим дати вам маленьке попередження, як пам'ятку про те, щоб ви не приставали до гультяїв і вели порядне життя.

— Якщо світлий суд забере нас із опіки Войцехової, то ми виправимося, — сміливо сказав Владко, вклоняючись судді.

— А якщо будемо у Войцехової, то ми мусимо зійти на ще гірший шлях, — додав Начко.

— А це чому? — запитав суддя.

— Вона не дає нам їсти, б'є, виганяє з хати, наші гроші забирає, а до школи нас не хоче посилати й не привчає нас до якоїсь іншої праці — то що нам робити? — сказав рішуче Владко. — Ми мусимо йти на чужу картоплю.

— А ви хочете ходити до школи? — запитав суддя.

— Атож, — відказали хлопці.

— А про які це гроші вони говорять? — запитався вілецький господар.

— Їх батько працював старшим канцеляристом, то після його смерті аж до їхнього повноліття йде для них третина його платні.

— А вони вже ходили до школи? — допитувався знову той же господар.

— Уже вчилися в третьому класі, — сказав суддя. — У мене тут, у документах, є їхні свідоцтва, видно, здібні хлопці. Поки жила їхня мати, то пильнувала їх, а коли вона рік тому померла, хлопці зійшли на псів.

— Тоді я прошу найсвітлішого суду, — сказав, уклоняючись, господар, — якщо найсвітліший суд не має нічого проти, то я взяв би їх під свою опіку. Я заможний, маю одного сінка, їх ровесника, що вже ходить у третій клас, то нехай би собі вчилися разом. Ліжка мені не перележать і хліба не переїдять; а що прийде для них із каси, то все те буде для них: для себе я нічого не потребую, бо в мене, дяка богові, є й свого доволі. Якщо вони такі здібні, як ви, пане суддя, кажете, то це піде й моему хлопчику на користь. Я вже ручаюся за те, що не дозволю їм гультяювати! Про це я вже сам подумаю!

— От бачите, лобуряки! — сказав суддя, зворушений добротою селянина. — Це той самий чоловік, якого ви обікрали й скалічили! А він он що хоче учинити з вами! Зараз же подякуйте йому й перепросіть його за те, що ви перед цим наробили! А щодо опікуинства над цими малюками, — сказав суддя, звертаючись до господаря, — то потрібно буде вам звернутися до опікунського суду й там написати заяву. А ми звідси повідомимо, щоб відібрати права опіки від тієї крамарки, яка спровадила дітей на такий злий шлях. А тепер, мої любі, коли ця справа так гарно закінчена, вам ще доведеться отримати визначене судом попередження й до того ж у присутності потерпілого. Конвоїре!

— Слухаю, пане суддя! — з'явившись у дверях, сказав конвоїр.

— Покличте сюди тих, із клітки!

Хлопці, позиркуючи то один на одного, то на суддю, стояли звичені й трохи збентежені; аж раптом двері відчинились — і ввійшло трое здорованів в арештантському одязі, один з яких тримав у руці вже відомий їм канчук із канцелярії начальника тюрми.

— Беріть спершу цього, — сказав суддя, показуючи на Начка, — і всипте йому десять!

І поки бідний Начко встиг опам'ятатися, то вже лежав на лаві витягнутий мов струна; один здоровань тримав його за голову, другий — за ноги, а третій уже й розпочинав операцію. Закричав з болю Начко, але йому нічого не допомогло.

— Не кричи! — сказав йому Владко. — Хіба ти не знаєш, що це канцелярія?

Це зауваження розсмішило всіх, але не звільнило ні Начка, ні самого Владка від болючої операції; Владко,

правда, витримав судом визначені удари, мов поліно, навіть не писнувши з болю.

— Оце-то хлопець-молодець! — промовив їх новий спікун, коли Владко, одержавши кару, підвівся з лави.— Із цього буде дужий чоловік!

Уклонившись судді, хлопці вийшли. Конвоїр ще раз завів їх у камеру, щоб здали державі речі. Діда в камері вже не було: під час відсутності хлопців його перенесли до моргу. Керкермайстер, сердитий і понурий, звелів познімати з них арештантський одяг і видати їм їхнє лахміття, але що це значило для них тепер, коли їх майбутнє бо-дай хоч як-небудь було вже запевнене! В іншому настрої, цілком відмінному від того, з яким вони кілька тижнів тому ввійшли сюди, покинули брати цей «дім плачу» й крізь вузьку хвіртку попрямували на Галицьку вулицю, де їх уже очікував новий опікун. Бачачи нужденний стан їхнього вбрання та їхні босі ноги (керкермайстер, бач, злий на те, що не міг ще хоча б на день затримати їх у себе й випитати в них про останні хвилини діда, випустив їх у тому ж, у чому вони прийшли), добрий чоловік пішов із ними прямо на базар і купив їм дешеве взуття та одяг, а потім, написавши в опікунському суді належну заяву, подався зі своїми новими вихованцями до Вільки.

## V

Було це восени 1874 року. Брати Калиновичі займали гарну квартиру на вулиці Панській, у флігелі; квартира була розташована на другому поверсі й складалась із двох кімнат, невеликого салону й кухні. В одній кімнаті містилася спальня обох братів, у другій — досить багата бібліотека й кабінет, а салон водночас служив ще й за їдальню. Незважаючи на те, що це парубоцька квартира, все ж вона була обставлена з незвичайним смаком і практично, далеко від усякого фальшивого блиску й пишноти; зате порядок в ній всюди був зразковий, чистота бездоганна. Брати Калиновичі, хоча й були ще молодими парубками, вели своє життя так правильно й помірковано, що їм міг позаздрити не один сімейний чоловік. Правда, це не було життя книжкових щурів і кабінетних буркутунів — навпаки, брати охоче бували в товаристві: то в багатьох приватних домах, то в казино чи клубах, брали

участь у товариських забавах і розвагах; одначе в усьому й скрізь вони знали міру, до всього вносили якийсь відтінок поважної, глибшої думки, а це надавало їм особливого такту в поведінці, оточувало їх певним чаром, який виділяв їх на фоні освіченої молоді столиці.

Брати Калиновичі всього рік тому скінчили університет: Владислав — юридичний, а Гнат — філософський факультети, і якийсь місяць тому обидва склали *summa cum laude*<sup>1</sup> докторські экзамени. Владислав уже відбув судову практику, і його прийнято на службу в канцелярію одного з кращих львівських адвокатів як адвоката-практиканта. Гнат же обрав собі зовсім іншу професію: він не думав про педагогічну кар'єру, бо, здавна закоханий в історію й публіцистику, ґрунтовно ознайомився з політичним, економічним та інтелектуальним станом краю, мав намір у новому році заснувати суспільно-політичну щоденну газету, присвячену захисту справ усього краю, особливо захисту справ сільського люду, і самому стати на чолі редакції тієї газети як керівник, редактор і головний співпрацівник. Обидва брати були молодими, здоровими й здібними та, крім того, заможними й незалежними, отож і не дивно, що життя стелилося перед ними, немов брукований битий шлях. Калиновичів запрошували до всіх кращих домів не тільки вищої інтелігенції, професорів університету, вчителів та урядовців, а й до домів багатих інтелігентних городян, і всюди їх зустрічали з радістю й багато в чому виділяли з-поміж інших. У прекрасної статі брати теж мали щастя, і не одна мати тихцем благала бога, щоб могла котрогось із них назвати зятем. Брати ж скрізь і з усіма вели себе з гідністю й тактом, не забуваючи, звичайно, що були вони молодими й мали гарячу кров і серце, яке так само, як і в інших, бажало розкошів життя. Інколи зав'язувалися й певні любовні стосунки, що прискорювали біг юнацької крові, народжували безліч світлих мрій, але з часом непомітно розпливалися, немов рожеві хмарини в літній день.

Щоправда, нікому з «вищого товариства» не було таємницею, що брати Калиновичі походили з простого роду, що вони були синами убогого канцеляриста (а той, в свою чергу, був сином убогого українського священника), що, рано залишившись сиротами без батька й матері, якийсь час вели життя львівських вуличних хлопців і одного разу на-

<sup>1</sup> З найвищою похвалою (лат.). — Ред.

віть зайшли в конфлікт із властями й ближче познайомилися з внутрішнім обладнанням тюрми. Все це здавна було відоме від шкільних товаришів Калиновичів, і деякий час окремі з гоноровитих дам навіть пробували шпигати в «товаристві» братів натяками на їхнє не найкраще минуле, але брати сприймали те підшпигування з такою добродушною байдужістю, так далеко були від того, щоб ображатися чи будь-як дратуватися з цього приводу, й виявляли таку готовність оповідати *soget publico*<sup>1</sup> епізоди зі свого тодішнього життя, яке називали своєю першою й найтяжчою школою, що незабаром у всіх відпала охота шпигати їх, а дитячі літа братів перестали бути тією похмурою хмариною, яка б могла кидати тінь на сучасність, навпаки — стали якоюсь невиразною, навіть дещо романтичною імлою, на темному фоні якої ще вигідніше вирізнялися симпатичні постаті братів Калиновичів.

Було відомо також і те, що пізніше Калиновичі перебували на утриманні в простого селянина з Вільки, якому вони ще й тепер відплачували своєю вдячністю, обдаровували майже синівською любов'ю, — але й це не шкодило їм в очах «товариства». Хоча брати вславилися як хлопомани, однак в їхніх постанях, поведінці та словах так мало було селянського, і вони так обачно й делікатно вміли поводитися, коли заходила мова про переконання й погляди, що завжди визначали свою точку зору, своє становище з усією рішучістю, але й з усією поміркованістю, ніколи не доходючи до фанатизму й партійного засліплення, ніколи не висловлюючи своїх поглядів зухвало, не кидаючи своїми переконаннями нікому в очі. Слухано їхні аргументи з усмішкою, але не без приємності, тим більше що в подібні дискусії вони вступали неохоче, нібито знехочу. Як видно, братам не йшлося про пропаганду, про швидку зміну чужих переконань, швидше про виразне відмежування власних. Були це, отож, як висловлювалися дами з «товариства», «хлопомани *sogette il faut*»<sup>2</sup> або, як говорили чоловіки, більш обізнані в політичних справах і здатні оцінити вагу аргументів, були це демократи, з якими «можна розмовляти».

Безсумнівно, що найбільша частина чару, який оточував цих демократів, особливо в очах громадян, старших віком,

---

<sup>1</sup> Публічно, прилюдно (*лат.*). — *Ред.*

<sup>2</sup> Доброго тону (*франц.*). — *Ред.*

містилася в тій свідомості, що брати Калиновичі — люди заможні, ба, навіть дуже заможні. Як здобули своє багатство вихованці простого селянина з Вільки, від якого нічого, крім утримання, не одержали та якому, навпаки, в пізніші роки не раз ще й самі допомагали? Ніхто про це не знав як слід. На протязі всього свого шкільного життя брати багато заробляли приватними лекціями і вже тоді здобули собі в багатьох впливових родинах популярність, а то й приязнь чи готовність протегувати. Одягалися вони завжди зі смаком, навіть елегантно, ні в їхньому вигляді, ні у виразі облич, ні в словах ніщо не вказувало на важку боротьбу за хліб насущний. Так чи інакше вони були спокійні й певні себе, як хлопці, виховані в найліпших умовах. Коли ж вони вступили до університету, їхні умови ще більше поліпшилися: обидва отримали крайові стипендії, які разом із приватними лекціями, створили їм умови для самостійного, уже в самому Львові, утримання й для створення добірної цінної бібліотеки, потрібної для поглиблення знань зі своїх фахів, які вони вирішили здобути. Уже тоді нікому з університетських товаришів не спадало на думку випитувати їх про майновий стан: всі знали, що Калиновичі живуть у достатках, що охоче допомагають бідним товаришам і що всі засоби на життя були плодами їхньої настійливої й різноманітної праці.

Та після скінчення університету обставини дещо змінилися. Брати одержали з Росії від якогось невідомого адвоката повідомлення, що дядько їхньої матері помер, не написавши заповіту, і залишив значну спадщину як готівкою, так і земельними добрими. Адвокат, якому уряд доручив нагляд за спадщиною, за допомогою довгої юридичної процедури довідався про існування братів і просив їх, щоб вони, взявши з собою документи, котрі стверджують їхнє право на спадщину, якнайшвидше прибули в Росію. Той лист бачило кілька їхніх товаришів, хоча ніхто з них не зміг його прочитати, бо лист був писаний російською мовою. І дійсно, брати незабаром вибралися в дорогу. Пробувши в Росії несповна місяць, вони повернулися, як звично, спокійні, не виявляючи ніяких ознак ні радості, ні смутку. Коли ж товариші почали їх випитувати про спадщину, обидва відповідали коротко й неохоче, не бажаючи описувати російську процедуру, але призналися, що їхня подорож увінчалася добрим успіхом. Із уривчастих згадок, підхоплених під час розмови, колеги впевнилися лише в тому, що, крім



Калиновичів, був ще якийсь претендент до спадщини і що брати погодилися на полюбівний розподіл: претендент узяв собі земельні добра, а вони — готовий капітал. Чому дорівнював той капітал, про це ніхто ніколи детально не довідався: дехто говорив про безліч тисяч, а інші, скептики, — всього про кілька тисяч. Самі ж брати, коли подібні чутки впадали в їхні вуха, посміхалися й занизували плечима, немовби вважали, що такі речі не варті детальнішого з'ясування. А якщо часом якісь нескромні устоньки занадто вперто наполягали на них, аби вони цей темний пункт з'ясували-таки, то брати завжди вміли вислизнути за допомогою якогось зручного вислову, такого, наприклад, як загальник, що «на наше життя вистачить» або що «не гроші надають людині вартості, а людина — грошам» і що «всякий капітал тоді тільки має вартість для людства, коли його використовують на корисні для людства речі, а коли — ні, то він стає тільки Молохом, котрий зжирає тисячі жертв, але не творить нічого живого». Прекрасні це були думки, однак, звісно, не нові й не такі, що могли стати відповіддю на запитання. І щойно тоді, коли розійшлася поголоска, що один із Калиновичів має намір видавати щоденну газету, коли підраховано, скільки потрібно коштів тільки для відкриття такого підприємства (сама грошова застава 6000 злотих, плата за приміщення, друкарня, співпрацівники, адміністрація, розносники газет та бог його знає, що там іще), коли обговорено й те, що Гнат Калинович занадто розважлива людина, аби не вкладати всього свого капіталу в таке діло, і що Владислав Калинович повинен мати щонайменше стільки ж, скільки й Гнат, — то запальний розум і жвава уява різних приятелів та приятельок із повною математичною точністю визначили розмір капіталу обох братів — одні як 100, інші як 200, а дехто навіть як 500 тисяч злотих. Не дивно, отож, що в салонах інтелігентного товариства Калиновичі стали юнаками, якими всі цікавилися найбільше. Найвища «сметанка», магнатське, аристократичне товариство, як завжди, трималося цілком відокремлено, в своєму тісному замкненому колі, брати, однак, і не старалися, й не бажали проникати в той окремішній і зовсім не привабливий для них світ.

На бернардинській вежі саме вибило шосту годину; надворі запали повні сутінки. У салоні та в кімнатах братів Калиновичів горіло кілька ламп і свічок, крутилася стара куховарка, яка була в братів воднораз і господинею, і

служницею: крім старої Миколайової, крутився також офіціант, найнятий у ресторані, та ще один, теж тільки на цей вечір найнятий слуга; вони ставили столи й крісла, підвішували у відповідних місцях лампи, переносили крісла й дивани. Кухарка позастеляла столи й потім пішла взяти з комода серветки, а офіціант тим часом розставляв на буфеті принесені з ресторану тарілки, полумиски, ножі, ложки й виделки. У той же час брати робили в своїй спальні все, що було потрібне, аби її перетворити на тимчасову елегантну кімнату для куріння, приготувляли там усе, що радувало б серце пристрасного курця.

— Скільки приборів, панове, я, властиво, повинна приготувати? — з сусідньої кімнати запитала Миколайова з відтінком знеохочення й роздратування в голосі.

— Двадцять, Миколайова, двадцять, — лагідно промовив Владко. — Але на всякий випадок не зашкодить, якщо в запасі буде ще яких п'ять накрить й порцій страв. Двадцяттеро обіцяли прийти, але, можливо, збереться більше.

Миколайова пішла далі, щось муркочучи собі під ніс та пильно й з підозрою поглядаючи на чужих слуг, що звалилися, мов білки, й позиркували по-зłodійському, мов сороки.

— І нащо це мої господарі збирають до себе стільки голоти? — бурчала стара куховарка, перебираючи в комоді білизну. — Давай усім їм і їсти, й пити, і ще всякі вигоди! Нароблять тут крику, сміття, безладдя, диму й пліток, я, їй-богу, не втямлю собі, нащо все це здалося? Адже ж мої господарі, дякуючи богу, не такі вже, аби потребували дбати про ласку цієї голоти. Вони ж мають, певне, стільки, що могли б їх усіх з душею й тілом купити. Та що ж, молодість ніколи не здатна додуматися, що, може, все це заважке для старих кісток! «Мусимо, Миколайова, показати себе! У нас же будуть гості!» — і маеш, бабо, свято! Показуй себе, Миколайова! Старайся, щоб усього було вдосталь: і їди, і пива, і вина, і сигар, і накрить, і крісел, і тарілок, і кухонного начиння, і сам бог не знає, чого ще! І все це на мою голову, бо ж самі панове не будуть цим займатися: в них свій клопіт! Ет, що ж маю робити, хай уже й так буде! Ми ще побачимо, чи стара Миколайова не вистарчить за дві молоді вертихвістки сьогоднішніх часів!

Не встигли ще все приготувати до зустрічі, як вже почали сходитися гості, запрошені братами на товариську вечірку. Вечірка ця була не перша, з тих, що вони влаштову-

вали, але перша, на котру було запрошено таке численне й різноманітне товариство. Були тут адвокати й урядовці, помічник адвокатів і ад'юнкти і навіть один радник крайового суду. Було ще кілька журналістів та письменників і кілька депутатів сейму, а між ними два українські священники. Переважна частина цих людей була знайома між собою; декотрі приходили групками й, сидячи в салоні або проходжуючися по сусідніх кімнатах, продовжували розпочаті на вулиці розмови. Брати сердечно вітали гостей і уважним оком стежили за групками розмовляючих, як і за тими особами, що сиділи мовчки. То один, то другий з них старався якимось влучним висловом підтримувати розмову, знайомити між собою людей, що прибули сюди вперше, і вводити свіжі елементи в загальну розмову.

— Слухай, Владку, що це сьогодні у вас за збіговисько таке?— тихо запитав Владка один помічник адвоката, на кілька років старший від Владка, якому залишилося ще тільки чотири роки практики до відкриття власної адвокатської контори.

— Що ж, брате,— сказав Владко.— Ми вступаємо в нове життя, в якому нам доведеться стикатися з різними елементами. Ми хотіли б відзначити цей вступ таким пам'ятним бенкетом, який в мініатюрі відтворив би нам картину тсього життя й тих елементів.

— А дідько б вас взяв! — крикнув помічник адвоката й голосно засміявся.— Так це ми всі маємо бути для вас немовби ілюстрацією в гумористичній книжці! Кланяюся низенько!

— Ну, що ж, брате,— спокійно відказав Владко, стискаючи йому руку,— якщо дивитися на це з такої точки зору, то всі ми водночас є ілюстраціями для інших і глядачами — самі для себе. Подивися ось на цей альбом ілюстрацій, який розгорнуто перед тобою, можливо, й ти щось знайдеш корисного для себе.

— Щодо мене, то ти не маєш чого боятися! — сказав помічник адвоката.— У мене своя мета на оці. Хочу здобути зичливість пана радника, а за його посередництвом уже вдертися до серденька його доньки. А донечка в нього, да-лебі, гарна! І з посагом, звісно. Не жаль труду й заходів для того, щоб цю справу успішно зreferувати. А може, й ти мені допоможеш?

— З великою охотою,— сказав Владко,— хоча й не знаю ще, яким способом я можу це зробити. З радником я

знайомий, але не настільки близько, щоб міг мати вплив на його сімейні справи. А втім, все це залежить від обставин.

— Прошу тебе, не забудь про це! — сказав помічник адвоката й, міцно стиснувши Владкову руку, пішов до іншої групи.

— А, вітаю вас, вітаю! — говорив до Начка сивий розкуйовджений редактор, весело потрясаючи руку юнака. — Я вважаю за честь для нашого цеху те, що такі молоді й здібні люди жертвують йому свою кар'єру, свій час і капітал.

— Що ж, пане редакторе, — відповів Начко, — кожен шукає шлях, який був би найкращим для здійснення поставленої мети. Називати те жертвою — це, по-моєму, надживати великим словом.

— Ей ви, молоді, молоді! — сказав, похитуючи головою, редактор. — Вам здається, що коли оберете собі шлях, який вам зараз подобається, то він буде найкращим. А наш шлях, ласкавий пане, не вистелений трояндами!

— А хіба я цього прагну? — вкинув Начко.

— Тепер-то ви ще, може, й не прагнете, — понуро сказав редактор. — Тепер ви ще молоді, в повному розквіті сил і надії. Але що ви скажете тоді, коли, як от я, розтратите в цьому ремеслі тридцять років? Зігнеться хребет під тягарем дріб'язкової праці, що не залишає за собою жодного більш-менш глибокого сліду. Передчасно посивіє волосся від журби, турботи й гризоти з приводу справ, про котрі людина іншого стану ніколи б і не подумала, які з його власними інтересами не мають найменшого зв'язку. А що в цьому найсумніше, мій любий добродію, так це те, що коли пройдеш цей довгий тернистий шлях, станеш, оглянешся в думці назад і — що ж ти там побачиш? Вийшли з бездумності, протоптували стежку по тій бездумності й доходимо майже до того ж самого місця, з якого вийшли.

— Ні, пане редакторе, — поважно відказав Начко, — це не можна стверджувати так категорично. Адже ж, ступаючи на будь-який шлях, тим більше на такий *par excellence*<sup>1</sup> громадський шлях, як публіцистичний, кожна мисляча людина повинна мати ясно сформульовану програму, мету своєї діяльності, ясно визначені напрямки, вироблені погляди, міцні симпатії!

---

<sup>1</sup> Найвищою мірою (лат.). — Ред.

— Те-те-те! — сказав старий редактор, махнувши рукою. — Буває й так, що беручися за газетярську справу, не один із нас, дійсно, приносить із собою якусь програму та якісь ідеали. Але надовго цього не вистачає. Рветься людина, важко трудиться, доводить, аргументує, повчає і, нарешті, опускає руки, переконавшись, що цих його, кров'ю й первами писаних статей майже ніхто не прочитає, а якщо хтось і прочитає, то, мабуть, не обдумає, не візьме їх до серця й не знайде в них стимулу до дії.

Начко з недовірою схилив голову на ліве плече й усміхнувся.

— Ну, пане редакторе, якщо це дійсно так, то, зізнайтеся, не варто бути журналістом. Краще шити чоботи або товкти каміння.

— Як кому, мій любий пане, як кому! Я, наприклад, так уже втягнувся в це ярмо, що скинути його для мене, либонь, означало б перестати жити.

— Але ж, здається, можна збожеволіти, день у день роблячи роботу, про яку знаєш наперед, що вона ні на що не придасться.

— Пардон, ласкавий пане, я цього не казав! — жваво вигукнув редактор. — Двоєко можна розуміти суть журналістики. Одні вважають журналістику вчителем і просвітителем суспільства, в простоті духу уявляючи собі, що можуть впливати на те суспільство, виробляти його смак і переконання, вести його до мети, котра в непорочному теоретичному сяйві виблискує перед їхньою уявою. Інші вважають журналістику річчю значно скромнішою. Не пнучись на трибуну, бо не відчувають до того потягу, вони працюють, як слуги свого суспільства, виконують певну громадську функцію, заспокоюючи цікавість, задовольняючи смаки й уподобання тієї маси, з якої живуть. Їхнім гаслом є те, що сказав безсмертний Діккенс: «Давайте цим дітям факти, тільки факти, якнайбільше фактів!» Можливо, ви назвете це деградацією людської гідності, бо є й такі, котрі щось подібне вбачають у тому, другому розумінні журналістської служби. Але я не бачу в цьому нічого поганого. Не можемо бути вчителями й законодавцями — будьмо репортерами!

Товариство поділилося на групи, зайняті жвагими розмовами. Група юристів, особливо молодших, помалу зосередилася біля судового радника, який оповідав про новий аграрний бунт в Т-ському повіті, де баби з кошобами

В руках довгий час чинили опір двом ротам війська, котрі прибули до села з метою екзекуції за вчинене громадою насильство над дідичем після того, як громада остаточно програла багатолітній і дорогий сервітутовий судовий процес. Незважаючи на опір бабів, солдати захопили село й на протязі чотиритижневого перебування цілковито знищили його; тридцять же осіб обох статей заарештовано й замкнено в місцевій тюрмі; їх обвинувачують у злочині порушення громадського спокою й громадського порядку та в активному опорі властям.

— Одне тільки мене дивує, — сказав радник Владкові, — з яких міркувань ваш адвокат узяв на себе їх захист.

— А чому це? — запитав Владко з цілком наївною міною.

— Я, само собою зрозуміло, поважаю талант вашого мецената, — сказав радник, — але, наскільки мені відомо, це перша селянська справа, яку він взявся захищати з власного бажання. За цим, напевне, ховається щось занадто складне, тим більше що, як я вже казав, село економічно майже зовсім зруйноване, й, отже, про гонорар, який звик брати ваш меценат, тут і мови не може бути.

— Складність усього цього ховається хіба що в тому, — спокійно відказав Владко, — що сітка інтриг та зловживань, котрі похнули люд до бунту, дійсно обурює. А щодо гонорару, то я маю переконання в тому, що мій меценат анічогісінько не програє на цій справі. Щодо цього усе село виявило дивну однотайність і солідарність. «Якби нам довелося всім запродатися євреям у неволю, то ми запродамося, але своїх вирятуємо з тюрми!» Я сам на власні вуха чув ці слова.

В іншій групі виговорювався український піп і водночас депутат сейму, а минулої сесії сейму крайового.

— Я — русин, пане добродію, і не соромлюся цього, — пишно промовляв цей вельмишановний пастир і представник народу. — Наш святий греко-католицький обряд для мене дорожче всього. Але я, пане добродію, не можу зрозуміти того, що діється в нашому краї і сеймі. Ці вічні сварки й суперечки про народність, про мову! Господи боже, нібито ми не всі в одного бога віримо? Нібито господь бог створив нас — одних поляками, а других українцями — лише для того, аби ми з цієї причини один одному лоби розбивали? А мені все здається, що причина цієї колотнечі

одна — конституція. Нащо вона нам? Чи ж ми не жили без неї спокійно, хвалячи бога й слухаючи владу? Чого нам втручатися до державного керування, коли нас цього не вчили в школах і коли ми, правду кажучи, про такі справи не маємо й уявлення. Нехай правлять ті, кого бог поставив біля керма, а ми слухаймо їх і виконуймо свої власні обов'язки. Поки ми не мали цієї нещасної конституції, то не мали й національних сварок, була згода й братерська любов. А тепер, повірте мені, панове, щораз до гіршого йде. Ось у минулому році профорсували ухвалу про відкриття української гімназії. Для чого їм це? Я, їй-богу, ніколи не міг цього зрозуміти. Нащо селянам гімназії? А добрих священників можуть випускати і німецькі та польські заклади. І кому та де на світі може знадобитися українська мова? Ні, це тільки полякам на злість! Ну, пане добродію, моя совість не дозволила мені голосувати за таку згубну ухвалу! Отож я й вийшов собі із зали і горджуся цим. А наш добрий і ласкавий цісар думає собі: ви домагалися, то ж і нате вам ту гімназію! Отож і санкціонував цю ухвалу. Але мене ніхто не спокусить, щоб я посилав своїх дітей до цього закладу. Я, пане добродію, хочу, щоб мої діти могли дати собі раду в світі, і посылаю їх до німецької гімназії. З німецькою мовою, пане добродію, сьогодні увесь світ можна пройти, а з українською куди ти дійдеш. Ні, я думаю, що до конституції ми ще не дозріли? Може, вона десь там в Англії чи Швейцарії добра, але для нас — це заміцний напій. І згоди народів у нас не буде, поки в усі школи, починаючи від початкових, та в усі установи не буде знову повернена німецька мова. Тоді ні полякам, ні українцям не буде кривди, вони не матимуть чого одні одним заздрити. Селяни в селах, у своїх школах можуть мати свою мужицьку мову — русинську й мазурську; не володіючи німецькою, вони не зможуть вступити до вищих шкіл, не будуть пнутися на ту драбину, на яку пнутися не повинні, — і всі ми будемо мати якнайкращий порядок і суспільну гармонію.

Цю промову присутні вислухали мовчки, однак із виразом якоїсь тривоги, якогось неспокою на обличчях, немовби зненацька помітили, що, замість на зручних плетених кріслах, сидять на мурашнику. Мовчанку порушив український журналіст, ще молодий високий і худий чоловік, що досі сидів тихо, тільки нервовим тремтінням губ, насуплюванням брів та нетерпеливими порухами рук

виявляючи почуття, що кипіли в ньому. Він одразу ж озвався сильно й пристрасно, і в міру того, як говорив, його чорні очі загорялися понурим блиском, як у маніяка-фанатика.

— Згода, згода! Гаразд, нехай буде згода! Але що це таке — згода? Згода — це міст. А де будують мости? Там, де є береги та безодня, яка розділяє їх? Всі ми в одного бога віримо — це правда. Але ж і німець вірить у того ж бога. А чому це саме він повинен брати нас за чуб, а не ми його? А якщо я не маю що з'їсти, то ви мені, отче, свого шматка не дасте, хоча в того самого бога вірите, що й я. Що говорити про мир, коли війна не закінчена? Конституція — це можливість чесної відкритої боротьби. Цісар нам її дав, цісар хотів, щоб ми боролися. Пробуйте свої сили! Хто з вас сильніший, той більше дістане, бо сам собі візьме більше. А про згоду нема жодного параграфа. Це — пуста балаканина. А я все повторюю: ніякої згоди, доки поляки не становитимуть один берег, а українці — другий, і між нами — безодня. Інакше згода буде звичним заболочуванням. Тоді, коли ми станемо отак навпроти себе, кожна сторона в усій повноті своїх прав і сил, і коли виникне потреба збудувати міст, то ми й міст збудуємо!

Шум і гамір іскристою хвилею злітав над товариством. Хоча для куріння було окреме приміщення, все ж обидві кімнати й салон тонули в клубах диму. Всі запрошені вже зібралися, отож господарі перервали дальшу дискусію й запросили гостей до уже готової вечері. Одна за однією тиснулися групи до столу й, не розходячись, займали місця вільно, де кому подобалося. Брати тільки судового радника та обох депутатів попросили зайняти найвищі місця, що, зрештою, їм належало й за віком. Вечеря була багата й добре приготовлена. Не бракувало тут ані горілки, ані вина, і, зважаючи на цілковиту свободу, яка панувала в товаристві, розпочаті перед цим розмови продовжувалися й за столом, хоча й з необхідності точилися у ще менших групах найближчих сусідів. Шум ставав усе жвавішим; з різних боків сипалися жарти й дотепи, якими, мов би м'ячами, кидалися з одного краю стола на другий, із уст в уста.

Один тільки пан радник мовчав, поринувши в глибоку задуму. Нарешті, коли зі стола забрано останні тарілки й келишки наповнено вином, він дзенькнув ножем об свій келишок і підвівся з крісла.



Пст!.. Пст!.. Silentium<sup>1</sup>! — почувлося з різних боків, і в салоні на хвилину залягла тиша. Пан радник обіперся обома руками на стіл і, пару разів кивнувши головою, почав суворим тоном:

— Ім'ям його цісарсько-королівської величності...

Усе зібране товариство пирснуло зо сміху, не змігши втриматися. Наляканий суддя витріщив очі на присутніх і тільки тоді пригадав собі, що він не в залі суду і не має читати вирок.

— А, пардон! — гукнув він, знітившись.— Вельмишановні збори! Чи то — пробачте! — мої панове!

Маленький пустотливий чортик, якого називають Сміянчиком, ніби набридлива муха, літав від крісла до крісла, й там, де він тільки з'являвся, руки підносилися до ротів і голови нахилилися над склянками, щоб стримати чи силою приховати регіт, що виривався з грудей.

— Мої панове,— повторив пан радник, підносячи голос і обводячи все товариство суворим, майже гнівним поглядом.— Я не розумію, що тут такого смішного... І я думаю, що моє становище, мій вік, мої...мої... Ну, та менше про це. Що ж це я хотів сказати? Га?

І пан радник оглянувся навколо себе й дуже уважно зиркнув позад себе, немовби саме там сховалося те, що він хотів сказати.

— Ага,— сказав пан радник, знову випростовуючись.— Я хотів вивісти всі наші, як це називається, тее... І закінчити словами: хай живуть наші любі господарі, панове доктори Калиновичі!

І він підніс свій келишок, і вслід за ним зробили це всі, душачись від сміху. Тост випили, і пан радник ніби оживлений почав виголошувати середню частину промови, початок і кінець якої він так вдало зв'язав в один вузол.

— Бо я, панове, не промовець, але так мені здається... (Ледве стримуваній сміх серед товариства). Власне, я шукаю причину нашого сьогоднішнього зібрання, але мені здається, що нам її найкраще з'ясують самі наші славні господарі. (Вибух голосного сміху, покритий кількома окликами: браво! браво!). Я не можу лише стриматися в одній справі. Повинен тут заявити перед усіма і перед кожним зокрема, що таких талановитих, таких гідних, із такими великими надіями молодих людей, як наші господарі, я ще

---

<sup>1</sup> Мовчання (лат.).— Ред.

не зустрічав. Думаю, мої панове, що ви не вважатимете за перебільшення, коли я назву їх цвітом нашої молоді, надією нашої надії!

— Браво, браво! Бравіссімо! — з усіх боків залунали гучні вигуки, які ледве-ледве заглушували ще гучніший сміх. Майже всі гості юрбою оточили пана радника, дзенькаючи келишками об його келишок і вітаючи його з чудовою і дійсно неможливою для наслідування промовою. Зрештою, пан радник був відомий своєю слабкістю виголошувати тости і ще більшою слабкістю стилізування тих тостів, але сьогодні (таким був загальний голос громадської думки) він сам себе перевершив.

— Шановні й любі гості! — коли товариство знову сіло й келишки наповнено. — Ми дозволили собі запросити вас сьогодні в ці скромні пороги з нагоди нашого вступу на арену публічної діяльності. Прийміть сердечну подяку за те, що ви не погордували запросинами молодих, невідомих і ще нічим не заслужених. Наше бажання було б, звісно, завеликим, якби ми хотіли турбувати вас лише заради тієї єдиної мети, щоб ви своєю присутністю могли відзначити факт, який тільки для нас обох має суто особисте значення. Ні, шановні панове, ми не такі честолюбні. Запрошуючи вас сьогодні сюди, ми мали на думці дещо важливішу мету. Саме цю мету я, шановні панове, хотів би винести на ваше обговорення.

— Слухаємо, слухаємо! — озвалося кілька голосів, у той час як більша частина товариства сиділа мовчки з похиленими головами, або ж, ліплячи кульки з хліба, дещо нетерпеливо поглядала на промовця, неначе кажучи йому своїм поглядом: тільки, бійся бога, не тягни!

— Ми ще молоді, — говорив Начко, — і життєвої практики маємо замало, але зате, можливо, більше й живіше відчуваємо це життя. В усякому разі його негативні боки зачіпають нас гостріше. А найбільше негативним боком нашого галицького життя ми вважаємо апатію, байдужість до громадських справ, знеохоченість до критики й аналізу тих справ і якусь фатальну покірність долі — незважаючи на те, чи ми ту долю уявляємо собі в образі уряду, граду чи повені або ж староства, жандармів і поліції. Тільки б не ми, тільки б хтось інший за нас зробив, хтось інший про нас дбав, мав над нами опіку! Нехай цей інший позбавляє нас прав, визискує нас, якби він тільки й нам дав можливість сьак-так дихати, то ми вже й раді. Панове, цей духовний

стан нашого суспільства історично можна з'ясувати, як можна з'ясувати родовід будь-якої хвороби й ненормальності. Але виправдати його не можна. Залишити цей стан без спроб виправити, без спроб протидіяти йому — було б гріхом перед сучасністю й майбутнім.

— А гарно, бестія, говорить! — шептав своєму сусідові уже напів'яний помічник адвоката, посміхаючись і штовхаючи сусіда ліктем.

— Das hat, пане добродію, Fuss und Kopf<sup>1</sup>, — усе що він говорить, — нахилиючись до радника, сказав лів-депутат, запеклий противник конституції.

— Ет, перевертні! — погірдливо шепнув український журналіст своєму мовчазному сусідові, теж очевидно українцеві.

— Ну, але як же цьому зарадити? — з протилежного краю стола залунав сильний голос старого редактора.

— Саме про це і йдеться, — відказав Начко. — Які є ліки проти апатії? Енергійно й систематично займатися громадськими справами. А оскільки не можна наказати енергійно займатися цими справами нікому, крім собі самому, і оскільки в інших це заняття треба повільно пробуджувати й підтримувати згідно з усіма правилами педагогіки, то, мої панове, накажемо це робити насамперед самі собі! Отож, усі ми, всі наявні тут представники різних верств крайової інтелігенції й різних народностей, даймо тут святе слово, що від сьогодні ми всі свої приватні справи підпорядкуємо справі громадській, що всі ми кожний у своєму колі словом і прикладом будемо пробуджувати зацікавленість цими справами, будемо детально інформувати один одного та інших про їх перебіг, висвітлювати їхнє значення та відкрито й на весь голос виступати проти всякого надуживання ними й використання їх для приватної користі. Створімо сьогодні, панове, не товариство, а братерський союз проти апатії, яка панує в нас!

Цю гаряче й переконливо виголошену промову присутні зустріли загальною мовчанкою. Воно було чимось незвичним і несподіваним, хоча від цих хлопоманів можна було завжди сподіватися чогось подібного. Деяких гостей цей проект формально поставив у клопітливе становище. Пан радник раптом почервонів увесь, в думці почав шкодувати, що завітав на цю вечерю, і, нарешті, не встаючи з місця

---

<sup>1</sup> Це розумне й дохідливе (нім.). — *Ред.*

і вперши суворий погляд у Начка, сказав силуваним жар-тівливим тоном:

— Ей, пане Гнател! Щось мені цей союз пахне таємним товариством, а ви ж знаєте, що така річ суворо заборонена?

— Пробачте, пане раднику,— спокійно відповів Владко, виручаючи брата,— адже поняття таємне товариство має якісь певні ознаки. А тут ні про що подібне й мови немає. Йдеться просто про те, щоб кожний із нас перед власним сумлінням дав слово по змозі докладати зусиль до по-жвавлення й увиразнення громадської думки нашого краю. Ані мета, ані засоби, які ми пропонуємо, не мають в собі нічого лихого.

— Я згоден із вами!— крикнув старий редактор із протилежного кінця стола й простягнув до братів правицю.— Такий моральний союз представників нашої інтелігенції може стати тим шматочком дріжджів, який заквасить усе тісто. Згода, юні друзі, щастя вам! У моїй допомозі й прихильності до вашої мети ви можете не сумніватися, бо ж це уже тридцять років є моїм постійним ремеслом.

— І ми теж готові подати руки за цей союз,— сказав український редактор, показуючи на себе та на свого мовчазного товариша,— але з однією умовою, що на підставі цієї нашої згоди нас ніхто не потягне до ніякої іншої згоди з поляками. Для нас найважливішою громадською справою є пробуджування почуття самостійності Русі — однієї, великої й могутньої Русі від Тиси до Амуру!

— Пробачте, від Тиси до Есмані!— зненацька озвався мовчазний товариш дражливим тоном, перебиваючи редактора, який зиркнув на того товариша із подивом й обуренням, немовби в цю мить впізнав у ньому найзапеклішого ворога.

— Пробачте,— викрикнув гучним голосом піп-депутат,— як австрієць і греко-католик я радив би вам, панове, говорити тільки про нашу святу Галицьку Русь!

— І я пробачаюсь, щиро пробачаюсь! — крикнув пан радник крізь шум та сміх, викликаний тими поправками, підвівся з крісла й зіперся обома руками на стіл.— Заявляю наперед, що до такого союзу я не можу належати й ні про що чути не хочу. Я, панове, цісарсько-королівський службовець, і ніщо інше. Єдина громадська й приватна справа, яка мене повинна цікавити в моєму житті, є справа канцелярська, і, крім неї, я абсолютно ні про що не бажаю знати.

— Але ж, пане суддя, лас... ласкавий па... пане! — пере-хилиючися через стіл і трохи вже заплітаючи язиком, сказав напівп'яний помічник адвоката. — Ви, па... пане суддя, не ду... дуже хвилюйтеся. Все це — фантазія, жарт цих порядних хлоп... хлопчаків. Ха-ха-ха! Йди — до мене, Начку, нехай-но я обійму тебе! Ти жартуєш, далєбі, як сто чортів!

Ця увага, висловлена голосно й цілком щиро, в одній частині товариства викликала збентеженість і заклопотаність, в іншій — пустий сміх. Гості почали вставати з місць, з грюком відсувати крісла, посипалися зауваження, дотепи й жарти, знявся шум, в якому нелегко було почути, що хто говорив. Очевидно, більшість справді вважала проєкт Начка за звичний епізод, за вияв доброго настрою — епізод, якому не варто приписувати важливого значення. Господарі теж навіть самі перед собою не могли заперечити, що Начкова промова трохи зіпсувала веселий настрій товариства й особливо судового радника, який втратив охоту жартувати й, незважаючи на наполегливе прохання, попросився з товариством та господарями й вийшов, можна сказати, насуплений. Групка українців теж, недовірливо позиркуючи один на одного, розбіглася в різні кутки салону, щоб тільки не зустрічатися один з одним. Але всі ці сумні ознаки волевиявлення не могли стримати братів від виконання того, що задумали. Отож коли товариство знову групами розішлося в салоні навколо заставлених усім потрібним столів і коли всі знову поналивали вина, Владко попросив слова. Старші члени товариства з деяким занепокоєнням подивилися один на одного, коли він почав говорити.

— Панове мої, — сказав Владко. — Я бачу, що наш проєкт, викладений моїм братом, не знайшов серед вас палких прихильників. Мене засмутило б те, якби я міг припустити, що це сталося саме з причин тієї ж таки байдужості до життєво необхідних справ, проти якої наш проєкт закликає вас. Проте я думаю, що це не так. Думаю, єдиною причиною цього є те, що мій брат сказав ще не все, що мав на думці.

— От тобі, бабо, й празник! Нам і цього забагато, а він ще більше хоче! — вигукнув помічник адвоката, але його відразу ж втихомирили.

— Щоб вилікувати хворобу, треба виявити її причину, усунувши причину, усунемо й саму хворобу. А запитаймо

свою совість, панове, яка причина того, що нашу інтелігенцію огорнула апатія до громадських справ? Звідки походить ота наша замкнутість, ота вузькість і застарілість поглядів, на яку слушно нарікають усі сторонні люди, що стикаються з нами? На мою думку, джерело цієї хвороби лише одне — глибока прірва, яка існує між нашою інтелігенцією й простим, працюючим людом. Традиції шляхетської виключності, мої панове, які вважали у нас за пережиток ще найсвітліші голови XVIII сторіччя, у нашому закутку під щасливим скіпетром Габсбургів збереглися живцем аж до цього часу й глибоко вкорінилися в серце та розум усіх інтелігентних людей.

Ми живемо в солодкій омані, що інтелігенція — це не тільки цвіт народу, але що вона сама собі увесь народ, сама собі мета, а той простий селянин, робітник — це хіба що підстилка, гній, на якому той цвіт має розцвісти. І, замість того, щоб бачити в селянинові брата, людину з людськими почуттями, людськими прагненнями й рівними правами, ми попихаємо ним, мов рабом. За що? За те, що він темний. Але хто ж у цьому винен, що він темний, як не інтелігенція, яка його не просвітила? Повірте мені, мої панове, те, що в нас величають інтелігенцією, так довго буде диким деревом, а не цвітом народу, поки не пізнає і всією своєю істотою не відчує, що цвіт повинен перетворюватися в плід, що кому більше дано, від того й більше вимагають, а той, хто за кошти суспільства, за кошти трудящого люду одержав більшу освіту, повинен також більше працювати на користь суспільства, щоб з лихвою повернути людові те, що людина витратив на його освіту. Союз, який ми проектуємо, мої панове, повинен мати своє джерело не в філантропічному сентименталізмі. Те, що ми вимагаємо від вас, — не милостиня, це повинне бути виявом глибокого й щирого почуття обов'язку.

— Та він же, панове, соціаліст! — крикнув старий редактор.

— Отже, ми повинні бути слугами мужиків і шевців? — з різних боків почувлися сердиті голоси.

— Так, мої панове! — рішуче сказав Владко. — Тоді тільки ми виконаємо свій святий обов'язок, коли віддамо всю свою силу, все своє життя на службу інтересам народних мас. І повірте мені, панове, поки у нас не переможе розуміння громадських справ як справ народних, доти ми будемо мати конституцію для армії, для міністрів і парла-

ментів, й автономію для крайової управи та для повітових рад, а не для народу, — так довго буде панувати у нас апатія, вузькість поглядів, гнилизна й корупція. А служити все життя, всією силою мужикам і шевцям, як хтось тут із вас висловився, — це не сором, панове мої, бо це і тільки це значить служити своїй батьківщині!

— Ну, це вже занадто, — сказав старий редактор. — У моєму житті таких крайніх поглядів мені ще не доводилось чути.

— Пане Владиславе, — з гірким докором промовив піп-депутат, вперши суворий погляд в обличчя Владка. — Ви тут мудро говорили нам, однак забули сказати про одну найважливішу річ. Першим і найважливішим обов'язком кожної людини, кожного християнина є обов'язок служити богові й церкві. Шукайте насамперед царства божого, а все інше ви одержите в додаток.

— Ні, ця прилекція, їй-богу, дійсно варта лаврового вінка... вінка, — сказав помічник адвоката, ледве-ледве тримаючи голову на плечах. — Па... пане докторе, па... пане Владиславе! Чорт мене бе-бери, ви пере... переконали мене ціл... цілком! Ось вам мо... моя рука! Але з у... умовою, що ви на ко... кожному за... засіданні бу... будете ви... виголошувати таку промову!

І він, насилу підвівшись з крісла, пішов до Владка, простягаючи йому руку.

— Ні, любий колего, — усміхаючися, відказав Владко. — Вашу руку я потисну аж завтра, тільки з умовою, що ви детально пригадаєте собі, про що тут сьогодні йшла мова.

— Чорт забори! — сказав адвокатський помічник. — Я й не знав, що, крім красномовства, ви маєте ще... ще й... крихту до... дотепу. Трішечки, трішечки, але маєте... Ві... вітаю!

Один тільки мовчазний українець, той, що встановлював кордони Русі від Тиси до Есмані, під час загального гамору підійшов до Начка й сказав йому стиха:

— По суті я симпатизую вам обом. Я — народовець і тому бажаю бачити свій народ щасливим, самостійним. Але, признатися, все те, що ваш брат говорив про службу народові, здається мені трохи парадоксальним. Виходить, що, замість розвивати науку, рухати вперед освіту й прогрес, ми всі повинні запрягтися в ярмо й тягнути оці мільйонні темні маси?

— Саме так, пане, — коротко відповів Начко.

— А чи не буде це поверненням цивілізації назад?

— Пробачте, пане, — відповів Начко, — а яку це науку ви рухаєте вперед?

Тихий народовець трохи знітився.

— Ну, прошу вас, пане, — відказав він, заїкаючися, — ви, замість простої і ясної відповіді, переносите питання на особистий ґрунт.

— Даруйте, пане, — заперечив Начко. — Я переносу його саме на той ґрунт, на якому воно, власне, повинне стояти. Людина, яка рухає науку вперед, працює над великими й корисними винаходами і вже цим самим працює для суспільства, для цивілізації й для народу. Але скільки в нас таких людей? А ховатися під плащик науки й цивілізації, щоб ним прикривати власну нікчемність та брак почуття обов'язку перед народом, це, пане, просто несумлінність. Отож не вважаймо себе чимось надто великим і добрим, щоб нас, всупереч нашому переконанню, не осудила історія.

Тихий народовець, знітившись ще більше, відійшов і до кінця вечора сидів самотньо у кутку й мовчав немовби заклятий.

Настрій товариства був украй зіпсований. Гості сиділи, допивали вино, розмовляли, але були збайдужілі, скислі, мовби ті діти, яким, замість ласощів, показали різку. Де-хто силкувався підтримати дискусію на тему, яку порушили брати Калиновичі, але дискусія не йшла.

— Чи ви й свою газету думаєте видавати в такому дусі? — запитав Начка старий редактор.

— Розуміється, — відповів той.

— Якщо так, то не знаю, як вам поведеться, — сказав ветеран, знизуючи плечима. — Трудний це й небезпечний шлях.

— Щодо цього, то я не маю жодних ілюзій, — мовив Начко. — А втім, від вас, ласкавий пане, — додав він посміхаючись, — я маю запевнення, що будете мені допомагати.

— Від мене? — з острахом крикнув вельмишановний ветеран. — Ні, добродію! Щодо боротьби проти громадської байдужості — згоден! Але ця червона хлопоманія вашого брата, це служіння простому людові, який моєї газети й не знає, й не читає, то... даруйте!



— Але ж зрозумійте, шановний пане, таким способом — як би це сказати? — ви хапаєте хвіст, та не хочете брати голову. Апатія, байдужість — це тільки один із виявів цього відособлення інтелігенції від народу. Засипмо джерело зла, то й болота навколо нього не буде.

— Що ж, засипайте, панове, засипайте, — сказав старий, похитуючи головою, — але я вже застарий, щоб міг робити це спільно з вами. Признаюся, що навіть логіки вашої не розумію.

Була вже пізня ніч, і хоча іншим часом подібні товариства в цьому теплому і зі смаком обставленому салоніку засиджувалися значно довше, то все ж сьогодні раптом, начебто змовившись, всі поглянули на годинники й вирішили, що треба збиратися додому. Попрощавшись із господарями, гості в супроводі слуг, що несли в руках свічки, вийшли за поріг.

— Е, що там, мови-перемови, веселі розмови! — чув Владко голос захмелілого помічника адвоката на сходах. — Ану, панове, хто йде зі мною до Добровольського — на три чарки коньяку?

— Я, я, я! — обізвалося кілька голосів якраз тих гостей, яким тільки-но, якнайшвидше потрібно було йти додому. З гіркою усмішкою на вустах Владко повернувся до кімнати.

— Ну що, Начку, як ти міркуєш — кепський початок нашої громадської діяльності? — з гіркотою в голосі запитав Владко.

— Що ж із того, що кепський, — спокійно відказав Начко, — але все ж не гірший, ніж ми сподівалися бачити.

— Пишна сцена з галицької «Людської комедії», — все ще іронізував Владко. — Кожний із них так пластично відбивався разом зі своїм характером, своїми поглядами та своїм сумлінням, що й справді краще не треба. Але це для нас — слабка втіха.

— Ти перебільшуєш, брате, — сказав Начко. — Завжди треба припускати, що в кожній людині під товстим шаром життєвого бруду, егоїстичних мозолів та поганих звичок тліє непогасна іскра божого вогню і що не раз, цілком несподівано найменший подув може оживити її, роздмухати з неї чудотворне полум'я. Я певний, що, незважаючи на удаваний холод і навіть жарти, сьогодні не одному з гостей на дно душі упало якесь одне зеренце нової думки, принаймні згодом пробудиться в тій душі якийсь сумнів, бодай

один порив до нового, справедливішого життя; а все це піде на користь справі, бо жоден із таких рухів не зникне даремно, а сума малих рухів творить бурю.

— Ти поетизуєш, брате, — перечив Владко, який дивився на життя практичніше. — Такі малі пориви не багаті нам знадобляться, а я тим часом побоююся, щоб сьогоднішній виступ від самого початку не додав нам ворогів. Ось, побачиш, чи редактор-ветеран зі шпальт своєї газети в найближчі дні не кине громи й блискавиці на наші ідеї та на твою, ще не народжену газету.

— Що ж, і це може бути, хоча так робити було б негоже з боку редактора. Але це не стримає мене й небагато мені зашкодить. Боюся тільки, щоб обурений радник не зашкодив справі селян, яких ти захищаєш. Адже він веде слідство.

— Хай тебе це не хвилює! Слідство вже майже закінчене в Станіславі, так що панові раднику зробити залишається небагато. Думаю, що ця справа піде добре і що мені не доведеться за тим шкодувати, що із Станіслава я перетяг її до Львова, довівши, що головний обвинувачуваний належить до львівської судової округи. Щоправда, я змушений буду заплатити за захист 500 ринських моему меценатові, бо громада ледве змогла зібрати 50 ринських.

— Що ж діяти, — сказав Начко, — робімо, що можна! За сьогоднішнім кроком я абсолютно не шкодую. На початок безсумнівно потрібно було звернутися до інтелігенції, пошукати межі нею союзників. Це нічого не значить, що сьогодні нам не вдалося. Треба шукати й далі, терпеливо й старанно, не обминаючи жодного щирого бажання. Дивно було б, якби ми понесли б цілковиту поразку. Не забувай також, що це тільки початок нашої роботи і що давній поет сказав дуже розумно, хоча й односторонньо:

*Flectere si nequeo superos, Acheronta movebo*<sup>1</sup>.

— Так, то так, — задумливо сказав Владко, — але з тим Ахеронтом, брате, тяжка справа.

— Не така трудна, як тобі здається! — гаряче вигукнув Начко. — Треба лише скинути з себе рештки шляхетських упереджень і з щирим серцем, з сильною волею взятися за діло. І в тому Ахеронті вже пробуджується новий дух, дух світла й прогресу. Треба тільки щасливого поду-

---

<sup>1</sup> Якщо я не зможу домовитися з олімпійцями, то підійму Ахеронт (лат.). — Ред.

ву, щоб і там, у темряві, запалав вогонь. А якщо він там запалає — значить ми виграємо. Тоді нам не потрібно буде користуватись водогоном, бо ми станемо біля джерела. Не занепадай духом, брате, якось воно буде!

І брати, обмінявшись щирим поцілунком, пішли спочивати.

## VI

Велика зала Народного дому палала безліччю газових пламенів, які золотистим піском віддзеркалювались у свіжонавоскованому паркеті. На галереї військові музики настроювали інструменти, а з кімнат, що прилягали до головного входу й були тепер переобладнані на гардероб та буфет, долітав протяжний гомін і шум, поскрипування лакованих черевиків і шелест важкого едвабу чи легкої тарлятани. Звідти ж, із головного входу, з теплого гардеробу плинув і плинув безупинний потік пишних убрань, оголених бюстів, вишуканих зачісок і злегка зарум'янених облич та личок, змішаний із не менш багатим потоком чорних фраків, глянтованих рукавичок та вусатих, бородатих або гладко виголених чоловічих фізіономій. Незабаром мав розпочатися один із тих величних «академічних» балів, що пишались своєю славою по всій Галичині й були в ті часи, здається, єдиним свідченням того, що «іще не вимерла наша завзята й багатообіцяюча молодь».

Уздовж усіх чотирьох стін просторої зали щільно, одне біля одного стояли крісла. Розпорядники, найставіші юнаки, у фраках, із білочервоними кокардами на грудях, снувалися, мов ті оси, вигинаючи руки дугою і відводячи новоприбулих дам із гардеробу до зали; групи не зайнятої молоді стояли з обох боків входу, під галереєю, кидали задрісні погляди на розпорядників, немовби на щасливих власників таких численних скарбів краси та грації й критичним оком зустрічали кожну красуню, що входила. Легкий шепіт визнання, пересипуваний більш-менш гумористичними зауваженнями, нібито напівпрозорий туман, підіймався над цією громадою молоді, сповненої сил і запалу до надходячої праці, схильної до мрій та жартів і готової до білого дня віддатися вирові забави, забувши на сьогодні все, крім класичного: *Care diem*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Лови мить (лат.).— Ред.

Буфет ще стоїть самотній, мов сирота. Старше й найстарше покоління поки що обминає його; примостивши дам у залі й віддавши їх під опіку когось із молодих знайомих, чоловіки й батьки поспішають до кімнат для куріння, з повним комфортом влаштованих у двох невеликих залах позаду буфету. До цього комфорту, крім безпосередньої близькості буфету й спеціально, тільки для цих залок найнятих двох офіціантів, належить довгий ряд зелених столиків із потрібним для них реквізитом: картами та коробочками жетонів для преферанса, тарока й інших дозволених ігор.

Тут також найвчасніше розпочиналося звичне бальне життя тих чоловіків, котрі в справжньому балі не брали участі чи обмежувалися хіба тим, що протягом всієї ночі один-два рази поглядали крізь двері буфету, як там, у залі, гасає молодь, і потім чимшвидше поверталися до свого улюбленого гнізда, душного й темного від диму, але з найсильнішим для них магнітом — зеленим столиком, навколо якого сиділа компанія більш-менш шановних лисин. Музика на галереї ще настроювала свої інструменти, а в останній з кімнат для куріння вже проходжувалися численні групи панів і не менша кількість гостей вже позаймала місця за зеленими столиками, палячи сигари, розмовляючи й очікуючи комплекту, потрібного для того, щоб розпочати гру. Були це переважно статечні постаті, деякі обтяжені роками й масивними золотими ланцюжками годинників; більшість із них на пухких пальцях мали персні з печаткою й виділялася менше чи більше обвислими нижніми губами — фізіономічна риса, що характеризує більшу частину галицької шляхти, чи не краще від гербів, вирізьблених на перснях.

— А, покірний слуга пана графа, добродія! — гукав якийсь маленький кругленький і незвично рухливий чоловічок, зриваючись із крісла й дрібними кроками поспішаючи назустріч новоприбулому велетню з одутлим, подзьобаним віспою обличчям, червоним носом і великими сивими очима, що якомось мутно й байдуже позиркували з-під навислих кущуватих брів.

— Вітаю, вітаю вас, пане комірнику! — звільна й трохи через ніс сказав граф і подав малому комірникові-адвокатові свою величезну руку, яку той обома своїми ручками обняв і потиснув, комічно вклоняючися, причому вузькі поли його фракка розвівалися на обидва боки, немов вилопідбний хвіст ластівки.

виникло ще одне, паралельне слідство проти його власних управителів у справі багаторічних здирств і шахрайств на шкоду селянам,— отож цей пан Альфонс завітав до графа, що мав мало грошей, але багато впливових знайомств і протекторів у різних високих сферах Львова, та й в заміну за досить значну суму «родичанської» позички впросив графа поїхати до Львова і вжити всіх можливих засобів, щоб затушувати неприємну й небезпечну справу.

— Та що ви, пане графе! — відповів комірник, затремтівши ногами й руками.— Бог мені свідок, що я в цій справі нічого не винен! Аджеж ви, пане графе, знаєте, що наш статут наказує нам ставати на захист будь-якої справи, якщо ми переконані, що вона справедлива. А щодо особи пана Альфонса — повна пошана до його правоти й шляхетного характеру, повна пошана! Але тут мова йде не про його особу, а про зловживання його управителів, за які, однак, він не може відповідати.

— Гм, гм, комірнику, викручуєшся за допомогою статуту. А чому ж це аж досі той статут не змушував тебе захищати мужицькі справи?

— Бо мужики ніколи не зверталися до мене.

— Дивно, що тепер звернулися саме до вас! — сказав граф, прикріплюючи до носа оправлене в золото пенсне та вдивляючись у протилежний кут приміщення, де в клубах тютюнового диму тонули якісь постаті, зайняті тихою розмовою. Зненацька, знявши з носа пенсне і звертаючись до комірника, з усміхом додав: — А скажіть-но мені, комірнику, тільки так, із рукою на серці, скільки-то мужики заплатили вам за ведення цієї справи?

— Ви, графе, ставите мене в клопітливе становище,— раптом споважнівши, відповів комірник.— Питання гонорару — це суто внутрішня справа контори, і я зробив би...

— Ну, ну, — жваво перебив його граф з відтінком досади в голосі,— не роби нічого такого, комірнику, не роби! Я зовсім не збирався спокусити тебе розголошувати таємниці.

— Ви, пане графе, не зовсім вірно зрозуміли мене,— з покорюю в голосі сказав комірник, бо, своєю чергою, для вирішення однієї справи йому теж був потрібен граф, отож він і дбав про те, щоб настроїти його на злагоду.— Через це я не припускаю недискреції. Просто я думав, що для вас ця річ байдужа...

— Цілком байдужа! — бовкнув граф, запалюючи нову сигару й випускаючи клуби диму в протилежний від комірника бік, — б-байдужісінька!...

— Як на мужиків платять досить добре, — продовжував комірник, намагаючись анулювати свою недавню відмову. — П'ятсот ринських наперед.

— Не може бути! — всупереч своєму звичаю майже вигукнув граф, зненацька обертаючися до комірника й дмухаючи йому просто в обличчя густим клубом пахучого диму.

— Так, пане графе, самі були в мене й заплатили. Але признаюся вам, пане графе, що все це ще було б не прихилило мене до цієї справи, хоча п'ятсот ринських за кримінальну справу, як на наші стосунки, досить гарна сума. Прихилив мене до цього в основному мій практикант, д-р Калинович, який половину відповідальності за ведення цієї справи взяв на себе особисто.

— Д-р Калинович! — іще з більшим здивуванням вигукнув граф. — Чи не той це, що видає отого демагогічного «Гінця»?

— Ні, пане графе, то його брат. Надзвичайно, надзвичайно здібна людина. Він цю справу розшукав, ну, і знаєте, пане графе, сам ще молодий, тільки що одержав право ставати перед судом як захисник у кримінальних справах, отож і шукає нагоди, щоб відзначитися. Я не міг відмовити йому взятися за цю справу. Признатися, пане графе, — ще більше знижуючи голос сказав комірник, — я вже трохи шкодую за цим. Не знаю, яким способом ця, ще не закінчена справа набрала такого розголосу серед селянства, так що тепер мало не щодень сунуть до мене делегації від різних громад із задавненими й заплутаними сервітутовими справами. Не можу від них одігнатися!

Комірник зітхнув, немовби під тягарем того клопоту, який він день у день має з селянами, хоча його оповідь була значною мірою перебільшенням, бо в останній час до його канцелярії надійшло всього лише три сервітутові справи і всі три після детального вивчення виявилися такими, що підлягали розглядові в цивільному процесі, отож після прийняття були передані д-рові Владиславу Калиновичу. Але на графа ця оповідь справила незвичайне враження.

— У, комірнику, — сказав він, знову викидаючи лише до половини випалену сигару, — ти, як я бачу, небезпечна людина. Якби я не знав тебе так давно, то звинуватив би

тебе у комуністичних і демагогічних прагненнях. Чи ж це можливо, чи ж це по-громадянському — для догоди своєму практикантові братися до справ, котрі є нічим іншим як тільки ятренням давніх і незагоєних суспільних ран!

— Я, графе, — сказав адвокат, випростовуючись і раптом поважніючи, — власне, думаю, що це і є дійсно громадянський обов'язок — допомагати загоювати ті рани, аніж допускати, щоб вони весь час ятрилися.

В цих простих словах, які ще ні про що не говорили, граф, однак, почув повів якогось нового духу, зовсім відмінного від того, яким до цього часу дихав давно йому знайомий комірник. І дійсно, це був той найсильніший аргумент, що ним Владко спонукав комірника взяти дразливу справу. Комірник довго опирався тому аргументові, але пізніше з апломбом повторював його, відповідаючи на всякі закулісні закиди.

Розмова перервалася. Із зали у вуха присутніх ударили могутні акорди зворушливої прелюдії Тимольського до однієї з його чарівних коломийок. Був це звичай, перейнятий від українців, своєрідна поступка українській землі — розпочинати бал українським національним танцем. У залі почався рух, пари виступили вперед і утворили велике барвисте коло, порожнє всередині. Хвилину очікування, напружуються нерви, в такт звукам жвавої коломийки стискаються м'язи. І ось із нерухомого кола виривається одна пара: чоловік, легко підстрибуючи, вилітає, мов сарна на галяву з густого лісу; дама пливе легко, повільно, перехилиючи голову набік і підтримуючи руками краї сукні. Обоє випливають аж на середину кола — чоловік, підстрибуючи щоразу швидше й швидше, забігає то з цього, то з того боку. Танцюрист наближається — дама відвертає обличчя й, граціозно дрібочучи ніжками, відступає назад; він, нахилиючи голову донизу, віддаляється — дама повертається до нього, лине вперед, немовби її тягне якась магнетична сила. Якусь хвилину обоє ритмічно рухаються, однак залишаються на одному місці, наче вагаючись. Та ось чоловік із новою силою розпочинає атаку: взявшись у боки, підстрибує догори, відривається від землі, підіймається в повітря, летить, ледь торкаючися паркету блискавично швидкими рухами. Дама, мовби зачарована цим доказом сили та спритності, майже стоїть на одному місці, тільки злегка похитуючись в такт музики. А чоловік все літає перед нею навприсюди, виробляє своїми ногами найнеправдоподіб-

ніші штуки, то викидає їх подібно до вимахуючих крил на обидва боки, то знову вдаряє ними перед собою, то ніби припадає до ніг своєї гідної володарки та все рветься і рветься в політ, не шукаючи опори на землі, тільки все відпихаючи її від себе, та все плине, пурхає, летить, наближається до своєї дами. А дама вже не відвертається. З нахиленим до нього обличчям, сяючими очима вона все ще похитується на місці й непомітно наближається. Нараз партнер, певний свого тріумфу, поривається вперед, випростовується, простягає руки і вже тримає свою обраницю в обіймах, грудьми припадає до її грудей і мчить із нею у вир життя крізь грім оплесків. Після закінчення цього майстерного соло здається, що буря ентузіазму кидається всім у ноги, в руки, в усі члени. Гарне коло, мовби за помахом чарівної палички, розпадається на безліч самостійних групок, які нахмляються, підстрибують, зміщуються, всі такі стройні й повні грації. Вся зала кипить і клекотить, немов розбурхана поверхня озера, що піниться тисяччю хвиль, бризків і вирів. Зненацька лунає голос аранжера: «Голубець!» — і пари з'єднуються та йдуть у коловий танець, а після трикратного повторення цього танцю музика обривається — й залу наповнює одне могутнє зітхання, нібито зітхання жалю за тим, що цей чарівний сон тривав так коротко й проминув безповоротно. Коломийка скінчилася.

Кавалери проводять своїх дам до крісел, вклоняються низько, розпочинають розмови, на які під час самого танцю не було ні місця, ні часу. Дехто приносить своїм дамам з буфету охолоджуючі напої, лимонад. Численні пари панянок, побравшись за руки, ходять по залі, розмовляють то поміж собою, то із своїми, поряд ідучими кавалерами в фраках, із капелюхами-шапокляками під пахвою.

Усе гроно розпорядників підходить до Владка, який прогулюється попід руки з якимсь колегою по конторі.

— Пане докторе, — говорить один із юнаків, стискаючи Владкову руку, — ми прийшли подякувати вам від імені комітету за чудове соло, яке ви станцювали. Ми справді нічого подібного досі не бачили. Одне це соло на довгі роки збереже славу нашого балу.

— Забагато честі для мене, панове товариші, — жартівливо відказав Владко. — Я не претендую на прославлення вашого балу. Щось зовсім інше приносить йому честь і славу.

І Владко, кажучи це, повів очима по залі й особливо по кріслах, на яких сиділа прекрасна стаття. Раптом його



погляд уперся в одну точку, затримався там на якусь хвилю, полетів далі й знову повернувся туди ж. Розпорядники відійшли, а Владко, взявши попід руку свого товариша, попрямував до тієї точки, яка хвилину тому так живо зацікавила його.

— Чи ти не знаєш, що то за панночка? — сказав Владко, вказуючи очима на згаданий пункт.

— Котра?

— Он та, шатенка з коротким волоссям, у темній сукні.

Владків товариш прикріпив на ніс пенсне, уважно подивився у той бік, куди Владко вказував очима, й, оглянувши шатенку з коротким волоссям, байдуже промовив:

— Не знаю. Це якась не тутешня.

— Цікаве явище! — сказав Владко, не зводячи з неї очей.

— Не розумію, що ти там в ній бачиш цікавого? — проговорив товариш. — Дуже бліда, худа... Більше нервів, аніж тіла.

— Більше нервів — отже більше душі, більше характеру, — сказав Владко.

— Іди ти зі своєю душею! Тільки-но глянув і вже про душу розмірковуєш! Поки ти в ній до тієї душі докопаєшся, то її істеричні нерви все життя тобі отруять!

— Ну бог з тобою, — сказав Владко, — як ти стріляєш! Вже й до істерики долетів!

— Це ж зрозуміло — заперечив той байдуже. — Все це дуже близьке одне до одного. А я щось не можу зрозуміти твого смаку, оцього твого шукання душі й характеру там, де простий мужицький розум бачить тільки анемію й шкіру з кістками. А втім, *sit tibi!*<sup>1</sup> Про смаки не варто сперечатись.

І обидва товариші потонули у барвистому вирі бальних постатей.

Владко після того коломийкового соло справді таки став своерідною знаменитістю балу. Його наймення передавали з уст в уста, сотні очей зверталися до нього, стежили за ним.

— Калинович, Калинович! — говорила худа, мов тріска, графиня до товстої, мов гарбуз, пані комірничкової. — Чи це той самий Калинович, що видає отого страшного «Гінця»?

<sup>1</sup> Нехай буде по-твоему (лат.). — Ред.

— Ні, це його брат,— відповіда пані комірникова.— Цей працює в конторі мого чоловіка. Доктор права.

— Ну, це щось інше! — сказала переконана пані графиня.— Ах, дорога пані, ви не можете собі уявити, як граф Адольф обурений цією новою газетою! Ми вчора були в нього — і уявіть собі, пані, він не міг ні про що інше говорити, крім як про отого бридкого «Гінця». Що за тон, що за тенденція, що за цинізм у висвітленні найнебезпечніших справ! Я не розумію, як може влада, як може поліція терпіти щось таке подібне!

Начко, спершись об колону, стояв поблизу цих шановних дам і чув усю їхню розмову. Іншим разом він, можливо, й звернув би на неї увагу, можливо, в його жилах кров прискорила б свій біг від почутої звістки про те, як чудово ударив він своїм виступом в ядро крайових справ і як глибоко розворушив бодай деякі зацікавлені ними сфери,— але в що хвилину всі його думки, вся увага, вся душа його була де-інде. Від першої миті, коли під час коломийки його погляд випадково упав на бліде обличчя шатенки з коротким волоссям, коли у вихорі танцю пройшов близько неї й випадково заглянув у її великі темні очі, глибокі й прикриті якоюсь нібито сумовитою млою, яка так дивно гармонувала з її темною сукнею й повільними рухами,— від тієї миті в глибині його душі почало прокидатися почуття, що він зупинився над якимсь рубіконом життя, що ця мить віщує йому щось надзвичайно важливе, якийсь рішучий поворот, якусь зміну всього, що він до цього часу вважав основами свого життя.

*Вир танцю відніс із-перед очей бліде личко, обрамлене згори коротким волоссям, розчесаним на обидва боки над самою серединою чола і скріпленим вгорі вузькою червоною стрічкою.* Начко відітхнув, немовби розбуджений зі сну. Скінчивши тур і провівши свою даму на місце, він почав шукати очима оте дивне явище, але в навколишній завірюсі нелегко було когось знайти. Зненацька побіч себе він відчув щось ніби удар електричного струму. Це була вона. Проведена своїм партнером до першого-ліпшого крісла, шатенка присіла, але коли той відійшов, вона встала, щоб перейти на другий бік зали, де сиділа її тітка зі своєю донькою, в товаристві яких вона прибула на сьогоднішній бал. Проходячи побіч Начка, обернена обличчям в інший бік, злегка торкнула його ліктем, так що Начко, оглянувшись, уже міг бачити її тільки ззаду. Хода її була легка, рівна,

повна грації, і Начко зацікавлено дивився, куди вона піде.

— Регіно, сідай ось тут, біля мене! — сказала поважна матрона, відома Начкові мешканка Львова, пані Дреліхова.

— Ні, тітонько, я сяду біля Мільці, — відказала шатенка й сіла поряд з донькою пані Дреліхової, стрункою блондинкою з слідами віспи на довгастому рум'яному й досить гарному личку. Мільця зараз же почала жваво шептати їй щось на вухо, на що Регіна злегка посміхалася, час від часу відповідаючи кількома короткими словами.

— Отже, це племінниця пані Дреліхової, — подумав собі Начко. — Її ім'я — Регіна. Регіна, — повторив він ще раз, а у вухах йому все ще звучав її голос, чистий, грудний, мовби в самій душі народжуваний. І, півколом обійшовши те місце, де сиділа пані Дреліхова з донькою й племінницею (щоб не проходити їм перед очима), Начко протиснувся до колони й став поблизу них на місце, звідки він, не бачений ними, міг добре спостерігати всі рухи, ловити всі слова Регіни. Отож і не дивно, що, заглиблений у це спостереження, Начко пускав мимо вух усі розмови й шепоти, які будь-звідки долітали до його слуху. А долітало їх чимало, й були вони, напевне, вельми цікаві, бо прізвище його перелітало з уст в уста. Багато говорили про Владка, але не менше й про нього самого та про перший квартал його газети, ґрунтовне й обережне редагування якої довело до розпачу прокурора, що прагнув конфіскації її номерів, а гостра нещадна критика — з другого боку — доводила до люті ті верстви й сфери, проти котрих вона була спрямована. «Гонець» Начка, незважаючи на конфіскації та інтриги, відразу ж, у першому кварталі року, міцно став на ноги, здобув собі чимале коло читачів, особливо споміж середніх верств провінції, і взагалі розвивався несподівано добре. Але все це, хоча й долітало до його вух, не могло тепер дійти до Начкової свідомості, сконцентрованої на скромній постаті шатенки, котра, як зауважив Начко, майже зовсім не посміхалася, ні в який бік не звертала особливої уваги й, здавалося, була заглиблена в собі самій. Чи була вона гарна, Начко не міг сказати, бо навіть не пробував порівняти її з іншими жінками. А втім, у першу хвилю його вразила не так її краса, а те неокреслене щось у виразі Регіних очей, те, що дуже рідко в житті відкривається людині, мовби не бачені досі літери вироку долі. Але тепер, трохи

охолонувши від першого враження, на яке здатні тільки такі вразливі, чисті й незаймані натури, як Начкова, він придивлявся до неї уважніше, оком естетика й критика. Овал її обличчя був бездоганний, великий, трохи випуклий лоб був напівприкритий коротким волоссям, ніс дещо завеликий, але дуже характерний, уста невеликі й чудово викроєні — навіть з точки зору критика Начко змушений був визнати, що Регіна красуня. Трохи дивувався він, що молодь не роїлася біля дівчини, що, крім одного огрядного й неграбного пана, який запросив її на вальс, ніхто не підходив до неї. Те, що була вона незнайома в місті, не могло бути причиною. Адже ж навколо було стільки панночок із провінції, на думку Начка, бридких, претензійно й без смаку одягнених, однак молодь снувалася біля них роями. А може, самому підійти до неї, запросити її на кадрили і під час танцю завести розмову, познайомитися? Думка ця була така проста й природна, і все ж тільки від цієї думки серце сильно забилося в Начкових грудях. Начко зробив крок уперед і раптом зупинився. До неї підійшов якийсь добродій і, чемпо уклонившись, щось сказав їй, очевидно, домовився з нею про танець. Хто це? Начко поблід, впізнавши в тому добродієві свого брата Владка. Ніби якась холодна рука стиснула його за серце. Але це тривало тільки секунду. Опам'ятався й, повільно протискаючися крізь натовп, що вже готувався до вальсу, Начко підійшов до Регіни. Він стояв і відчував, що під ним тремтять ноги, що обличчя його починає шаріти, був злий сам на себе, що так от навіть над собою не міг запанувати.

— Чи можу я вас, пані, запросити на першу кадрили?

— Пробачте, я вже запрошена на всі три кадрили, — почувся перед ним голос, що долинав не то з якоїсь незглибленої глибини, не то з його власної душі. Перед Начковими очима миготіли якісь два рожеві вогники — зрештою він нічого не бачив. Начко почував себе знищеним першими ж її словами, однак з великим зусиллям ще зумів видобути рештки голосу зі своїх грудей.

— То, може, дозволите мені, пані, запросити вас на мазурку?

— Будьте ласкаві, — коротко відповіла Регіна, з справді королівською (як здавалося Начкові) величністю кивнувши головою. І подала йому свій порядок танців, щоб він на ньому, навпроти відповідного танцю вписав своє прізвище. Тремтячою рукою Начко взяв ту карточку й похапливо

зиркнув, хто це запросив її на всі три кадрили? Владко! Що ж це, невже Регіна й на нього справила так самі сильні й незрозуміле враження? Начко виразно пригадав собі багато фактів із їх життя, які свідчили про дивну узгодженість їхніх смаків, уподобань і пристрастей і про якийсь могутній зв'язок, котрий невидимими кільцями з'єднував їхні фізичні й психічні організми. Досі в цій узгодженості брати знаходили значну частину сили й витривалості для переборювання незліченних перешкод, поки з самого суспільного дна важкою працею вибилися так високо, на сонячні вершини життя й суспільства. Але на цей раз справа була іншою. Начко відчув у своєму серці ще сильніший холод, коли подумав, що Владко може тут стати його суперником, навіть гірше — щасливим суперником. Ця думка відразу ж стала перед ним темною, страшною, немов привид смерті. Напівпритомною рукою Начко вписав своє ім'я та прізвище на карточці, віддав її Регіні й, уклонившись паням, відійшов. Регіна ж, яку трохи розсмішила постать цього, немовби непритомного пана, кинувши оком на його підпис, дуже здивувалася.

— Що це — і цей Калинович? — шепнула вона Мільці.— Це, певне, його брат?

— Так,— жваво відказала Мільця.— Я вже давно хотіла його показати тобі, але не могла його побачити. Цей — редактор, а той — адвокат. Я їх давно знаю, бо часто бачу. Живуть вони близько біля нас, на Панській, і щодня по кілька разів проходять попід наші вікна. До того ж їх служниця часто приходить до нашої, то що вже за цікаві речі про них розповідає!

— Справді?— запитала Регіна.— А ти не розкажеш і мені дещо?

— Атож! — сказала Мільця.— Адже ж тепер, коли ти перебралася до нас на постійне мешкання, то повинна знати все. Ну, але ось уже й вальс розпочинається...

І дійсно, з галереї загримів один з найбільш нестримних творів віденського маестро Штрауса, і в залі розбурхався той вихор, той хаос кружляючих пар, те уособлене запаморочення голови, яке називається вальсом. Тільки дикуни або мавпи могли придумати такий танець; тільки з вогнища чуттєвої розпущеності, культу тіла без духу й життя, без думки могла виплинути музика, так от відповідна танцеві.

Тим часом буфет заповнювався: під час танців — старшим, переважно чоловічим поколінням, а під час перерв —

дамами. В першій кімнаті для куріння культ Бахуса й Помони також здобув перемогу над картами, витиснувши їх в останню кімнату для курців. За столи сіли панове, їдять котлети й біфштекси, попивають вино або пляшкове пиво. Близько одинадцятої годни на бал прибув і граф Адольф, високий сановник та володар багатьох маєтків, і, відвівши графиню з доньками в залу, сів саме в цьому приміщенні, яке внаслідок того стало магнітом, що пригягав до себе чоловічий і жіночий світ, стало справжнім центром балу. Розвага розвагою, але бачити графа Адольфа, бути представленим графові Адольфу, говорити з графом Адольфом — це були речі для багатьох значно принадніші, важливіші й значніші. До графа тиснулись, вживаючи, однак, тисячі стратегічних хитрощів, щоб якимось приховати це тиснення й підлецування; слова його підхоплювалися на льоту й передавалися з уст в уста, немов дорогі історичні пам'ятки; не чуючи під собою землі, бігали розпорядники, що вважали себе за надмірно удостоєних честю, яку виявив граф Адольф усій університетській молоді, відвідавши разом з достойною сім'єю академічний бал. «Це вперше таке, як сьогодні, трапилося, вперше!» — шептали по кутках. — «Що б це могло значити?» — розмірковували догадливі, схильні вишукувати в кожній дрібниці, яку зроблять «великі» люди, якісь великі, таємничі й важливі наміри та плани.

Граф Адольф був то такий собі вже літній пан з коротким, сивиною припорошеним волоссям і з такою ж коротко обстриженою бородою, з добре розвиненими щелепами, широким обличчям і незвично високим лобом, високий на зріст, плечистий і костистий. Говорив він повільно, голосом проникливим й неприємним, трохи приправленим сталою терпкою іронією, яка поблискувала і в його сірих гострих очах. Видно було по ньому, що відчуває свою вищість над усім оточенням і що охоче удає з себе велику людину. Стояв граф, трохи перехилившись набік, опершись лівою рукою об стіл і вільно заклавши праву ногу на ліву, на яку опирався всім своїм тілом, — стояв, спиною обернений до публіки, а обличчям — в куток, де на дивані розсівся, щоб ліпше перетравлювалася їжа, граф Гіацинт — той самий, якого ми бачили в розмові з комірником. Граф Гіацинт, незважаючи на те, що стояв із графом Адольфом на одному щаблі шляхетського блиску, все ж аж занадто добре відчував незмірну вищість графа Адольфа як з погляду багатства, так і щодо політичної кар'єри та здобутих у ній почес-

тей і заслуг. Це трохи принизливе для нього почуття він намагався маскувати більшою, як потрібно, вільністю й недбалістю рухів, байдужим тоном розмови, яку він вів.

— Виявляється, як ви знаєте, ексцеленціє, — повільно цідив граф Гіацинт, запалюючи уже бог знає яку сигару, — що ці Калиновичі...

— Що? — перебив його граф Адольф. — Ти говориш про них у множині?

— Атож. Їх є два! І виявляється, як я кажу, що вони обидва діють, домовившись між собою.

— Домовившись? Як — діють?

— Один, як ви, ексцеленціє, знаєте, впливає на громадську думку за допомогою газети, а другий, як я довідався від комірника С-ського, це той самий, що всунув у руки цій шановній людині отой скандальний процес мужиків із графом Альфонсом.

— Справді та-а-ак? — промовив ексцеленція здивовано. — Ну, тоді це важлива річ. Це треба знати. Цьому треба запобігти.

— Але я думаю, — цідив далі граф Гіацинт, в душі безмежно радий, що йому хоч раз у житті пощастило розповісти щось важливе й звернути на себе увагу ексцеленції, і, намагаючися надати собі вигляд людини, яка знає ще важливіші справи, знижував тон, — я думаю, ексцеленціє, що все це не таке уже й важливе, що ви занадто гаряче сприймаєте ці речі.

— Справді та-а-ак? — промовив ексцеленція.

— *Така моя думка*, — поважно відповів граф Гіацинт. — Це — плебеї й пролетарі. Які в них сили, які їхні засоби? Один — адвокатський практикант, а другий — молокосос без заняття, перогриз. Від якогось родича одержав у спадок кілька тисяч і кинув їх в газету. *Н-ну, ми знаємо, що така газета може з'їсти*. Вистачить вам, ексцеленціє, сказати кілька слів прокуророві — і за півроку газета упаде. *А щодо адвоката...* *Н-ну, то з цим справа ще легша*.

— Переоцінюєш, графе, мій вплив на прокурора й недооцінюєш противника, — так само поважно сказав і ексцеленція. — З прокурором я говорив ще в час виходу першого номера того «Гінця», вказував йому на небезпеку, що загрожує суспільному ладові, він обіцяв зробити, що зможе, і що ж він зробив? Із шістдесяти номерів ледве сконфіскував десять, та й з них три конфіскації суд не затвердив. А такі статті, як критика торішньої ухвали про пропі-

націю, право торгувати спиртовими напоями, як критика шляхового закону, як справа про паї, про банківську лихву — все це пішло у світ і навіть у тисячах відбитків розповсюджується по селах і містечках.

— Н-ну, на мою думку, це невинні стилістичні вправи, які не можуть нам нічим зашкодити,— сказав граф Гіацинт.

— Справді? А чи ти, графе, хоч одну з тих невинних вправ читав?

— Зізнаюся, що не читав, вважаючи це дрібницею.

— Оце і є наше нещастя, що ми недооцінюємо кожного ворога, поки він не візьме нас за шию. Недооцінюємо єврея, поки нас не вижене з двору. Недооцінюємо мужика, поки він не підніме бунт або не підпалить нам тік. Недооцінюємо українців, поки вони не стануть сильними, а тепер недооцінюємо й це нове явище, котре, наскільки я знаю його з дотеперішніх дій, дуже легко може зосередити в собі всі незадоволені релігійні, національні й суспільні елементи й створити нам у краю такого ворога, що при першому ж заворушенні зітре нас на порох.

Граф Гіацинт знав графа Адольфа, знав і те, що той дуже часто любить виступати в ролі головного опікуна, заступника й оборонця інтересів всієї галицької шляхти, в ролі, можна сказати, дбайливого батька, що піклується про кожного члена сім'ї, про кожний найменший предмет родинного майна і про непорочну честь дому. Він знав, що власне ця дбайливість про загал не раз штовхає графа переборщувати, переодіювати справжні або й вигадані небезпеки, що загрожували шляхетському станові. Отож, сприймав висновки ексцеленції *sum grano salis*<sup>1</sup>, хоча й з поважним обличчям.

— Спробуй-но тільки, графе, перегорнути дотеперішнє видання Калиновича,— продовжував граф Адольф,— і ти сам переконаєшся, з якою диявольською вмілістю воно ведеться та які сильні пера має. Я сам часом захоплююся, читаючи їхні статті, й щойно пізніше, стлумивши в собі перше враження, помічаю всю їхню фальшивість. Ні, це не такий собі противник! Ти кажеш, що він ще молокосос? Тим гірше для нас. Побачив би ти тільки, яку фалангу кореспондентів він має в найрізноманітніших закутках краю! І яких кореспондентів! Дідько його знає, де він їх роздобув! Якби то наш «Час» на протязі всього року дав

<sup>1</sup> З іронією (лат.).— Ред.



хоча б десять таких кореспонденцій, які «Гонець» дає мало не щодня! А коли б ти, графе, знав, як там тебе і твого Альфонса розмальовано!

— Що?! — крикнув граф Гіацинт, зриваючись із дивана і вперше забуваючися протягнути голос. — Чи це можливо? Мене, мене описали? А хто це такий? І що він написав?

— Читай, графе, пильніше газети, — усміхаючися, сказав граф Адольф, радіий, що хоч таким уколом розворухав цього товстошкірого звіра. — Читай і стеж за кореспондентом, якщо це тобі справляє задоволення.

— Але чого він хоче від мене? Що я кому завинив? — кричав напівобурений, напівпереляканий граф.

— Гм, — відказав ексцеленція з почуттям своєї переваги. — Щось там, видно, було, коли прокуратура вже готова була розпочати проти тебе слідство. Пригадай собі якогось там мужика, здається, навіть радного, котрого ти звелів на повір'ї висікти різками так, що він аж зомлів.

*Граф Гіацинт увесь почервонів, і кілька секунд здавалося, що він щось розжовує зубами. Нарешті граф вибухнув.*

— А, так це про те? Той добродій, значить, втручається в мої домашні справи? Що ж це, невже мені вже не можна висікти мужика, якщо він провинився?

— Га, га, га, пишний ти, графе! — засміявся ексцеленція. — Забуваєш, що ми маємо конституцію й автономію та ще й інші добродійства!

— Ви, ексцеленціє, кажете, що прокуратура з цього приводу мала навіть розпочати проти мене слідство?

— І, ймовірно, розпочне навіть проти тебе, якщо ти не спонукаєш побитого, щоб він усе заперечив. Слідство проти тебе вже було б розпочате, якби я сам особисто своїм впливом не домігся відкладення справи. Але затушувати її не вдасться, бо цей Калинович розтрубив про неї по віденських і закордонних газетах.

— Боже мій! — вигукнув граф Гіацинт, хапаючися за голову. — І скрізь там стоїть мое прізвище?

— Ну ні, тільки початкові літери.

° Це трохи заспокоїло графа, хоча й не зовсім вгамувало його обурення.

— Але ж це страшна річ! І хто йому про це міг написати? Крім того, прошу, ексцеленціє, зважити на те, що їх е

двоє: один — журналіст, а другий — адвокат, і що обидва діють, домовившись між собою!

В залі наступила перерва, й потік гостей, що посунув звідти до буфету та сусідніх кімнат, перебив розмову двох ясновельможних. Графа Адольфа знову оточили гості; граф Гіацинт сидів у своєму кутку, палячи сигару й потонувши в глибокі, але, очевидно, не дуже веселі думки.

— А, ваш покірний слуга, пані добродійко! — раптом гукнув граф Адольф, із галантним поклоном наближаючись до пані Дреліхової, яка саме ввійшла з буфету до бічної кімнати в товаристві Мільці й Регіни. — Панні Мільці — мій комплімент, — сказав граф і затримав свій погляд на незнайомій йому постаті Регіни.

— Моя племінниця, ексцеленціє, Регіна Киселевська, донька моєї незабутньої Касі, — сказала пані Дреліхова, знайомлячи графа з Регіною, яка, спокійно глянувши на графа, вклонилася й похилила обличчя.

— Мені дуже приємно познайомитися з вами, панно, — сказав граф Адольф. — Я знав вашу матір, коли вона була ще дівчиною, і з щирою симпатією згадую її.

— Ми бажали б на хвилину присісти і чого-небудь випити, — промовила пані Дреліхова до графа, який зараз же повів пань до столу, за яким він недавно розмовляв. У тісноті з Регіниної руки випало віяло й порядок танців, і граф, як справжній кавалер, з швидкістю блискавиці нагнувся і підняв упущені предмети.

— Дякую, ексцеленціє, — сказала Регіна, беручи віяло з рук графа.

— О ні, цього мені замало! — промовив граф усміхаючись. — Я хотів би поглянути, які ви, панно, перемоги здобули цього вечора! Ви недавно у Львові?

— Так.

— І перший раз на балу?

— На такому великому балу — перший раз.

— Тим цікавіше, тим цікавіше знати, кому саме першого ж разу ви, панно, голову запаморочили, — жартував граф і зиркнув оком на порядок танців, щоб прочитати записані там прізвища кавалерів. І аж здригнувся.

— Що таке! — сказав він напівжартома й напівсерйозно. — Це фатум. Калинович і Калинович! Від самого нового року мене переслідує це ім'я! Чи ви, пані, знаєте цих добродіїв Калиновичів? — запитав граф Регіну.

Коли граф задав дівчині це запитання, то її обличчя, звичайно таке бліде, запалало рум'янцем.

— Ні, ексцеленціє.

— Я їх знаю, — заговорила пані Дреліхова, — правда, тільки з виду. Вони мешкають два номери далі за моїм домом. Надзвичайно здібні молоді люди.

— Значить, вони є тут? На жаль, я не знав про це. Пане розпорядник, — раптом звернувся граф до одного з комітетових, — будьте ласкаві, познайомте мене з паном Калиновичем!

— Служу ексцеленції! — сказав комітетовий і, низько вклонившись, поспішно відійшов.

Граф Адольф і пані Дреліхова були давно знайомі. Пані Дреліхова походила з старої шляхетської сім'ї. Маєток її батьків межував із однією з волостей графа, який ще молодим паничем не раз гостював у скромній шляхетській садибі. Його вабило туди не так тихе старосвітське життя, як вродлива донька господаря, з якою він невдовзі зав'язав глибший сердечний стосунок. Стосунок той тривав кілька років, допоки молодий граф не скінчив університету й не поїхав у Відень, а згодом і за кордон, роблячи дипломатичну кар'єру. Тим часом обставини в старій шляхетській садибі жахливо змінилися: 1846 рік блискавицею вдарив у той закуток. Пана і всю його чоловічу службу селянська ватага страшно замордувала, майно пограбувала, фільварок спалила й знищила доценту. Мати з двома доньками продала знищений маєток і з невеликим капіталом подалася до Львова, щоб там докінчити освіту молодшої, 16-річної доньки та допомогти старшій, 20-річній, причалити до подружнього порту. Ця старша, дівчина незвичайної краси й так само незвичайної спритності, виявилася несподівано здібною торувати собі шлях у життя. Не минуло ще й року, як вона вже стала біля вітара, подаючи руку старому, але багатому львівському купцеві Дреліхові. Це подружжя, так різко невідповідно підібране, свого часу було предметом багатьох розмов у львівських салонах, але ті розмови згодом перетворилися в шепоти, під час яких літні дами тривожно оглядалися, чи їх, бува, не чують молоді панянки, а панянки намагалися обговорювати відповідні звістки так, щоб їх не чули матусі й тітоньки. Молода пані Дреліхова від першого ж дня заміжжя відверто зневажала свого чоловіка, вела гучне й веселе життя в товаристві золотої молоді, зовсім не дбаючи про чоловіка, здоров'я якого під впливом

таких медових місяців щораз гіршало. Незабаром до Львова повернувся її давній знайомий — граф Адольф, також уже жонатий, з вельми високим службовим становищем, і між ними відновилися давні стосунки, але вже не в давній романтичній формі, збагачуючи львівську скандальну хроніку багатьма цікавими фактами.

Легко собі уявити, яке було життя й становище матері та молодшої сестри за такого поводження пані Дреліхової. На прохання її чоловіка мати й сестра перебралися до його кам'яниці на вулиці Панській, де мешкало подружжя Дреліхів. Новоприбулим виділили на третьому поверсі флігеля дві скромні кімнатки з кухонькою; пан Дреліх регулярно, щомісяця почав їм видавати певну суму на утримання, але за цю милостиню стара мати, звикла до тихого, скромного й патріархального життя, змушена була зблизька придивлятися, що робила її донька на другому поверсі, в бельетажі, слухати тисячі шепотів послужливих язиків і нарікань її нещасного чоловіка. Єдиним бажанням старої жінки було бажання вирватися із цього гнізда, а зробити це можна було лише тоді, коли її молодша донька вийде заміж.

Ще на початку їхнього життя у Львові познайомився з ними якийсь Киселевський, уже не першої молодості дрібний міщанин із Сяноцької округи. Була це надзвичайно цікава людина, справжній вісник близького вже нового часу. Хоча він мав невелику шкільну освіту, зате встиг здобути собі безліч різноманітних відомостей щирою старанністю й пильним читанням книжок найрізноманітнішого змісту. Все це було випадкове, неперероблене й некритично сприйняте, однак, незважаючи на те, жвавий і невтомний розум Киселевського вміло оперував цим строкатим матеріалом, творячи незлічені плани й комбінації. Перед його уявою роїлися найрізноманітніші галузі промислу — і вже занепаłego і ще зовсім нового в нас, він творив плани організації експортної торгівлі, експлуатації мінеральних багатств краю, створення виробничих спілок. Багатство, мільйони, скарби — ці слова не сходили з його уст, незважаючи на те, що сам він, продавши своє невеличке господарство в Сяночині, жив із мізерної зарплати канцеляриста та переписував дома різні документи для одного з адвокатів, щоб не зменшувати свого капіталу, котрий, на його думку, був призначений для великих справ і в слушну хвилину мав стати джерелом величезних багатств.

Отож цей Киселевський бував частим гостем у квартирі пані вдови й робив жінкам багато послуг на початку їхнього життя у Львові. Пізніше, коли старша донька одружилася, він продовжував навідуватися в помешкання її матері й сестри, приносячи в той тихий, скромний і сумний закуток цілі рої своїх прекрасних планів і фантазій. Обидві жінки, не звичні до таких речей, слухали його, дивувалися багатству його знань та гостроті спостережень; а певність, з якою він висловлювався, передавалась і їм, і вони не мали сумніву, що людину з такою сильною головою й залізною волею чекає велике майбутнє. Киселевський, зрештою, був наскрізь чесною людиною й ні на хвилину не залишав обох знайомих пань в незнанні справжнього стану своїх достатків. Він мав п'ять тисяч ринських в ощадній касі й відсотки від них теж щороку додавав до основного капіталу. Коли надійде слушна хвилина й трапиться відповідне підприємство, Киселевський збирався вирушити з цими грішми на здобуття фортуни.

Отож і не дивно, що обидві пані, мати й молодша сестра, з прямодушною щирістю співчували Киселевському й дуже зраділи, коли він одного разу повідомив, що слушна хвилина надійшла і що трапляється підприємство, здатне поліпшити його долю. Знайомий Киселевського, якийсь Шнайдер, відкрив джерела багатств у Трускавці: срібну руду й нафту, яку щойно тоді навчилися очищати й вживати для освітлення. Несподіване й швидке зростання бориславських копалень, про які говорив увесь край, робило правдоподібним наявність таких самих джерел і в недалекому Трускавці, де, до того ж, зважаючи на відсутність єврейської конкуренції, умови для копання були кращі. Але обидві пані здивувалися й зраділи ще більше, коли Киселевський запропонував їм поділити з ним романтичну подорож до золотодайної Колхиди, тобто, коли попросив у доньки руки. Життя обох жінок у домі пані Дреліхової вже стало просто нестерпним, отож обидві, мати й донька, вхопилися за подану їм соломинку, щоб вибратися із цієї трясовини. Мати, до речі, була заховала частину капіталу від продажу господарства як посаг для молодшої доньки, і таким чином початковий капітал подвійно ошчасливленого зятя враз сягнув суми, більшої десяти тисяч. Як на той час, це був уже капітал, досить значний, то ж, справивши скромне весілля, молодята разом із матір'ю на крилах надії полетіли на благословенне підгір'я, до Трускавця, де Кисе-

левський ще перед цим за кілька сотень гульденів закупив був невеликий ґрунт із малим будиночком.

Минуло кілька років. У малому будиночку в Трускавці багато що змінилося. Старенька бабуся померла, виколисавши трое онучат: хлопчика й дві дівчинки. Однак золоті надії Киселевського не здійснилися. Незважаючи на старанну розвідку й геологічні передбачення, ні нафти, ні срібла не було — увесь капітал пішов намарне «в землю». З'явилися борги, векселі, які треба було сплачувати; Киселевський змушений був продати малий будиночок і ґрунт. З виручених грошей залишилася лише мала частка. Потерпілі з сумом і плачем повернулися в Дрогобиц, де батько знову запрягся в ярмо канцеляриста, щоб прогодувати сім'ю й учити дітей. Його спілник Шнайдер, теж зруйнований, крутився в Бориславі. Але мрії про те, щоб знову виплисти догори, не покидали Киселевського. Опікшись на промислі, він звернув свої очі в інший бік — на лотереї. У спілці з Шнайдером купив кілька штук державної лотереї; вигравши на будь-який номер лотереї, спілники домовилися поділити гроші порівну. Але Киселевський вже не дждався тієї хвили, коли колесо долі мало щасливо обернутися для нього: він помер під тягарем праці й гризоти. Його жінка в нужді й нестатках заробляла на прожиття то шитвом, то лекціями крою, то брала на квартиру студентів, щоб тільки її діти могли вчитися. Про сестру, що падала під тягарем цієї праці, нарешті пригадала собі пані Дреліхова і взяла до Львова її найстаршого сина Ернеста, великого лобуря, вигнаного з Дрогобицької гімназії. Потримавши хлопця один рік біля себе, вона віддала його на державний кошт до військової школи у Відні. Тим часом старша панна Киселевська вийшла заміж за якогось дрібного чиновника, а молодша скінчила в Дрогобичі жіночу школу — і раптом бідним жінкам, виснаженим боротьбою зі злигоднями долі, посміхнулося щастя. На один із номерів лотереї, купленої їхнім батьком, випав великий виграш.

Але, на жаль, і цей усміх щастя виявився зрадливим. Лотерейні квитки були в руках Шнайдера, який і говорити не хотів про поділ. Бідні жінки не мали на руках жодного писаного контракту чи документа; треба було розшукувати свідків умови, розпочинати довготривалий нелегкий процес. Шнайдер сміявся із цього, знаючи, що без грошей не можна вести такий процес. Він давав Киселевським кілька сот ринських відступного, але не зламана злигоднями

жінка відкинула цю пропозицію й розпочала процес. Вона тяглася з останнього на оплату перших судових кроків, але довести всю справу до успішного завершення їй не вистачило сил. Жінка померла в злиднях, залишаючи своїй наймолодшій доньці Регіні, крім свого благословення, тільки жмут паперів, що мали служити підставою для дальших судових кроків проти нечесного спільника. Пані Дреліхова й на цей раз простягла руку допомоги й забрала Регіну до себе через півроку після смерті матері (тітці, звичайно, не було спішно).

Тим часом у домі пані Дреліхової також дещо змінилося. Старий Дреліх давно помер, залишивши своїй жінці все добро, а також двоє дітей: сина й доньку Мільцю. Пані Дреліхова несподівано зробилася поважною, тїм більше, що й граф Адольф під наполяганням сім'ї на довгі роки виїхав зі Львова і Галичини. Пані Дреліхова, отож, залишилася вдовою в повному значенні цього слова, а коли граф Адольф після більше десяти років знову повернувся, щоб зайняти у Львові високий урядовий пост, то давні близькі стосунки між ними уже не відновилися. Пані Дреліхова була занадто розважною жінкою й не збиралася повернутися до почуттям тихої дружби й теплої довіри, які їй виявляв граф. Інколи він бував у її домі, на її прохання готовий був протегувати її родичам, підтримував сина в політичній службі, а натомість мав в особі пані Дреліхової гарячу поклонницю й прихильницю, готову пропагувати його славу як політика й адміністратора в сферах багатого міщанства й вищих урядовців.

Бачачи, що граф зацікавлений Калиновичами, пані Дреліхова коротко розповіла йому те, що він і сам уже знав, але рантом, вибравши слушну мить, нахилилася ближче, до самого графового вуха, й шепнула йому щось, якихось кілька слів, на котрі граф відповів їй тільки промовистим поглядом.

— Маю честь представити вам, ексцеленціє, мого колегу, доктора Калиновича! — сказав розпорядник, наближаючись до столу під руку з Владком, який уклонився.

— Мені приємно познайомитись із вами, пане, — сказав граф, устаючи й подаючи руку Владкові й водночас пильно вивчаючи його обличчя й обличчя Регіни, яка знову облялася живим рум'янцем. — Прошу, сідайте біля нас. Пані, напевне, знають вас, пане докторе?

— О, так, я мав честь познайомитися з вами, — сказав Владко, кланяючись обом паням і сідаючи на стілець, на який показав йому навпроти себе граф.

— Чи це ви, пане, видаєте «Гінця»? — запитав граф, відразу ж приступаючи до діла.

— Ні, ексцеленціє, це мій брат.

— Так? Шкода. Я бажав поговорити саме з вашим братом.

— Можу представити його вам, ексцеленціє, — сказав Владко.

— Не трудіться, пане, — сказав граф. — Це не так уже й важливо. Зрештою, ви — брати, мешкаєте разом, погляди маєте однакові (ці слова граф вимовив з особливим, де-що іронічним притиском), то я думаю, що все, що скажу вам, буде так, нібито сказав вашому братові.

Владко замість відповіді тільки мовчки уклонився.

— Я мушу сказати вам, — промовив граф суворим тоном, — що мені дуже не подобається напрям «Гінця». Не можу зрозуміти вашого наміру, панове. Чого ви прагнете? Хочете відновити сцени 46 року? Бо ж очевидно, що та, як ви кажете, «критика», а насправді хрестовий похід проти шляхти ні до чого іншого не може привести. І так наш край не може дійти до спокою, а ви хочете викликати ще більше заворушення.

Владко сидів цілковито спокійний і анітрохи не збентежився під цим градом докорів.

— Даруйте, ексцеленціє, — відповів він, — але мені здається, що ви хибно зрозуміли наш виступ. Ми не наступаємо, не оголошуємо ніякого хрестового походу, ми лише захищаємо інтереси тієї верстви, яку, на нашу думку, всі кривдять і ніхто щиро не захищає.

— Говорила-балакала, пане докторе! — нетерпляче перебив граф. — Я знаю ці фрази, часто читав їх у «Гінцеві». Гарно це говорити: захищаємо. А як наслідок виходить так, що ви підкладаєте запалений шнур під бочку з порохом і кажете: за можливий вибух ми не відповідаємо. Відповідальність нехай спаде на тих, хто нагромадив цей порох. Це, панове, негарно, не по-громадянському! Цього не можна стерпіти!

— Що ж, ексцеленціє, — відповів Владко, — ми робимо те, що підказує нам совість і почуття обов'язку, стоїмо на ґрунті закону, виступаємо в ім'я найелементарніших засад людяності й справедливості. Я думаю,



що й ви, ексцеленціє, нічого іншого не можете від нас вимагати.

— Ви ще мододі, панове, замало знаєте й замало бачите, але забагато вірите тим своїм засадам. Повірте мені, що чим ви будете ставати старшими, тим більше досвід буде обмежувати й стискати обшир тих засад, доки їх цілком не поглине.

— Що ж, ексцеленціє, — постаріємо, то й будемо поступати так, як старі. Але поки ми молоді, дозвольте нам, ексцеленціє, поступати, як молодим.

— Дозволь вам! — майже крикнув ексцеленція. — А скільки за цей час ви зможете наробити шкоди, яку пожежу можете розпалити! Це вас ніскільки не обходить!

— Я, власне, не розумію, чого ви вимагаєте від нас, — сказав Владко.

— Я вимагаю, щоб ви дали спокій цьому вічному й шаленому атакуванню шляхти.

— З найбільшою приємністю, — відказав Владко. — Але тільки тоді, коли шляхта дасть спокій вічному кривдженню й приниженню сільського люду.

— Отже, ви, панове, конче хочете війни? — промовив ексцеленція, починаючи втрачати терпеливість.

— Навпаки, ексцеленціє, ми хочемо спокою, але спокою, корисного для обох сторін, а не тільки для однієї.

— Нудите мене, пане. Прощайте! — сказав граф Адольф, відвертаючись, і махнув рукою на знак, що аудієнція скінчилася. — Зухвалець! — процідив він крізь зуби, обернувшись до пані Дреліхової, одначе так, щоб Владко, відходячи, міг почути це слово.

— Боже мій, що це сьогодні за молодь, що за покоління! — нарікала пані Дреліхова. — І всьому цьому винна ота конституція. Попереверталосся молодикам у головах, і вони думають, що їм усе дозволено!

Граф Адольф майже не чув цих слів, тяжко віддихуючись і намагаючись заспокоїти роздратування, яке в ньому мимоволі викликали «зухвалі» слова того молодика. Але коли він за якусь хвилинну цілком опанував себе, спокійно зважив свій крок, то трохи пожалкував свого запалу. А хвилину пізніше знову поглянув на все, що сталося, вже з іншого боку. Ці молодики, звичайно, не з тих, яких можна залякати погрозами чи відтягти з раз обраного напрямку обіцянками або протекціями. З ними треба боротися, треба їх знищити, інакше вони не замовкнуть. А якщо це так, то

й краще, що ситуація прояснилася в перші ж хвилини. Це навіть чесніше, це дає йому повну свободу рухів. Війна так війна!

Зовсім інше почуття залишила ця розмова в серці Регіни. Владко від першого разу, коли вона побачила його в коломийці, справив на неї сильне враження, а все те, що вона чула в цей вечір про нього й від нього, підняло його дуже високо в її думках. Щоправда, навіть більше, ніж про Владка, говорили всі про його брата, але той брат в її уяві стояв, мов тінь, обіч ясної й симпатичної постаті Владка, віддаючи йому всі свої добрі риси й беручи на себе всі недоліки. Владко — жвавий, сміливий, рішучий, вродливий, а його брат — якийсь ніби наполоханий, заїкуватий, дивиться скоса, начебто вічно когось в чомусь підозріває, — ось як контрастно стояли в очах Регіни два брати; тому й не дивно, що її живу, вразливу й здорову натуру більше притягав до себе перший, а не другий. До того ж розмова з графом Адольфом, в якій Владко зайняв таке сміливе, незалежне й повне гідності становище і своїм спокоєм зумів вивести з рівноваги такого досвідченого дипломата й високого сановника, — поставила його в очах Регіни надзвичайно високо.

Начко тим часом, мовби та заблудла вівця, вештався по залу, шукаючи очима чарівної голівки з коротким волоссям, яку він згубив у вирі вальсу. Він пробував краще зрозуміти те, що його так тягне до неї, незнайомої, ніколи раніше не баченої. Він соромився самої думки, що це могла бути тільки фізична краса, котра, зрештою, як він міг переконатись із класифікації своїх товаришів, зовсім не була такою яскравою й не привернула до себе майже нічної уваги. Зблиск симпатичної, незвичайної душі, яку він помітив у її очах, міг, щоправда, бути тим магнітом, але міг бути й оманною, витвором його власної уяви, втіленням його ідеалу, що могло не мати нічого спільного з реальною, справжньою Регіною Киселевською. Та хоч якими заспокійливими були подібні аргументи, всі вони розтанули, мов лід на сонці, як тільки в дверях буфету, за міцною фігурою пані Дреліхової з'явилася гнучка, рівна, з надзвичайно граціозною походою фігурка Регіни. Навіть не бачачи її голови, Начко зміг би впізнати її по самій ході серед усього тут зібраного товариства.

Розпочалася мазурка, до якої Начко заангажував Регіну. Під час цього танцю він хотів втягти її в розмову,

переконатися, чи дійсно ці глибокі таємничі очі були вікном живої й прекрасної душі. Уживав найбільших зусиль, щоб почувати себе біля неї вільним, веселим і впевненим, але коли підійшов до неї, коли, уклонившись, торкнувся її руки й відчув її дотик, усі його намагання розвіялися димом. Регіна, зрештою, тепер йому здалася якоюсь незадоволеною, недоброзичливою; якась хмаринка висіла на її ясному чолі, очі ж блищали холодним, немовби сталевим блиском, який не дозволяв заглянути в глибину душі.

— Чи ви, пані, надовго прибули до Львова? — запитав, нарешті, Начко під час танцю.

— На постійне життя, — шепнула Регіна й відвернулася.

— І будете проживати в тітки?

— Так.

— А де ви проживали досі?

— Не будемо про це говорити, — шепнула Регіна, очевидно, незадоволена тим, що Начко, розмовляючи, зробив якийсь незграбний крок.

На цьому розмова обірвалася, однак Начко ще не втрачав надії. Коли скінчили тур, він відвів дівчину до її кірсила й, користуючись з нагоди, що ні Мільці, ні пані Дреліхової не було поблизу (пані Дреліхову граф Адольф, про щось з нею жваво розмовляючи, відвів до буфету), запитав:

— Дозвольте, пані, сісти біля вас?

— Прошу! — сказала Регіна, не дивлячись на нього.

Начко сів.

— Пробачте мені мою сміливість, — промовив він, збоку розглядаючи її профіль, — але я хотів би запитати вас, що поробляє ваш брат?

— Мій брат? Який брат?

— Ернест Киселевський, мій колишній учень.

Регіна раптом обернулася й подивилася великими очима на Начка, однак і на цей раз не було в них жодної іскри почуття, лише холодна цікавість.

— Значить, ви знаєте мого брата? — запитала вона. — Не можу собі уявити, звідки і як ви його знаєте.

— Він же протягом року ходив до гімназії у Львові, а потім, здається, пішов у військову школу.

— Він уже вийшов з неї, — коротко відтjala Регіна.

— А це чому — вийшов? — запитав Начко.

— Не будемо про це говорити! — відказала Регіна.

— І де він тепер? Я дуже хотів би відновити з ним знайомство. Хоча він мав вельми жвавий темперамент і був трохи занедбаний, все ж подавав великі надії.

— Перепрошую вас! — промовила Регіна, підводячися з місця і йдучи назустріч тітці, що вже поверталася, й навіть разу не зиркнувши на нещасного Начка. Начко ж сидів задерев'янілий і стежив за нею безсилим поглядом; був момент, коли ця гнучка постать видалася йому якоюсь потворою, чимось зловорожим і неприязним, коли він готовий був підхопитись із свого місця й розірвати її на шматки. Але це був лише порив розбурханого почуття, зойк розбитої надії. Коли ж Регіна зникла з його очей у натовпі, він зірвався, немов побоюючись себе самого, й почав протискуватися до протилежного кутка зали, якнайдалше від цієї зненавидженої істоти.

— Дурна гуска! — шептав він сам до себе. — Надута! Зухвала! Думає, що бог знає хто вона! Думає, що вона й справді королева, а хтось її підданий. А я, дурний, теж думав, що не знати який перл знайшов. Дурень! Дурень!

І Начко, сидючи в кріслі та вперши безтямний погляд у пари, що різнобарвною хвилею миготіли перед ним, обкидав Регіну найгіршими епітетами із такою насолодою, з якою поранений роздрялує в гарячці свої рани. Він почував себе нещасливим, тим нещасливішим, що був злий на себе й на ту, в якій хвилину тому бачив втілення свого ідеалу. Радість, з якою йшов сьогодні на бал, була до речки затруєна. Шелест шовків, ритмічний стукіт сотень кроків, грім музики на галереї, зблиски ламп, жіночих прикрас та сотень ювих очей — все це тепер було неприємним, непокоїло й мучило. Начко прагнув тиші, самотності й руху — шаленого й нескінченного руху, що спирав би подих і відбирав притомність, щоб можна було бодай на мить забути про себе й про все, що він пережив за ці кілька годин.

Він устав, щоб літи геть із цього ненависного балу, і враз застиг, мовби уражений громом. Охоплений якимось остовпінням, він не пам'ятав, як довго просидів у самотньому кутку, які в той час і якою чергою йшли танці й паузи. Тепер саме танцювали першу кадрили, і в цю мить повз нього пропливла Регіна в парі з Владком. Але яка вона була змінена, не подібна до тієї, котра танцювала з ним мазурку й котру він хвилину тому проклинав. Весела, погідна, усміхнена, з трохи зарум'янілим обличчям, із очима, що палали живою внутрішньою радістю, в жвавій розмові

зі своїм партнером, котру неохоче переривала при відповідній команді аранжера. Начко, побачивши таку картину, змушений був опертися об колону, щоб не впасти, і під час усього танцю не спускав очей з цієї пари. Владко поводився з нею вільно, без тіні надмірної закоханості, але з тією вишуканою чемністю й увагою, яка завжди була йому притаманна. Регіна ж, навпаки, сама досить помітно виділяла його з-поміж інших чоловіків, і коли химерні фігури кадрили змушували її подавати руку іншому танцюристові, то легка хмарка затьмарювала її чоло, а коли той танцюрист заговорював із нею, дівчина відповідала короткими фразами.

— Вередлива розпечена дитина! — зробив висновок Начко, але й ця думка не принесла йому спокою. Розум його відразу ж знайшов другий кінець цього кия: «Незипсована здорова натура, що не вміє маскувати ні своїх симпатій, ні антипатій». І бідний Начко почував себе сто разів нещасливішим, як був перед цим, він сто разів зривався з місця, щоб утекти від цієї картини, однак все ж залишався на місці, не можучи відірвати очей від неї.

Врешті танець закінчився. Владко відвів Регіну на її місце та якусь хвилиночку, схилившись перед нею й звичайно ж задивившись у ті чудові очі, миттєвий зблиск яких так очарував Начка, стояв, розмовляв і жартував. Обое сміялися, сміялася й Мільця, що сиділа поруч; один тільки Начко стояв віддалеки темний, мов чорна хмара, згораючи від ревності і злості, проклинаючи себе, брата, Регіну й увесь світ.

Нарешті Владко вклонився паням і відійшов. Немов яструб за своєю здобиччю, рвучко кинувся за ним Начко, розштовхуючи всіх, хто стояв на шляху. Наздогнав він його біля самих дверей буфету і, стиснувши рукою, мов кліщами, за плече, сказав різко, ледь стримуючись:

— Владку, ходімо звідси! Ходімо додому!

Своїм спокійним веселим і задоволеним поглядом зміряв Владко до глибини збентежену постать брата.

— Що тобі? — запитав він. — Чи ти, бува, не хворий?

— Ні. Але все ж ходімо звідси! — повторив Начко. — Ходімо додому!

— Ти що — здурів? — сказав Владко. — Ти, мабуть, занадто розігрівся в танці. Йди, випий коньяку й не марудь! Зараз знову почнеться кадрили. А я тут познайомився з однією панночкою — й кажу тобі, люкс дівчина! Знаєш,

тієї пані Дреліхової племінниця. Вона недавно приїхала сюди. В Дрогобичі скінчила гімназію. Хоче пошукати тут якоїсь служби. Я запросив її до всіх кадрилей, то ж не годиться залишати її, так би мовити, на льоду. Ходімо вип'ємо!

Але Начко вже не чув його, вихором полетів у гардероб, попросив подати своє пальто, капелюх та калози й кинувши гардеробниці гульден, побіг на східці, в коридор, на вулицю, поспішаючи так, нібито хтось його наздоганяв.

— Що це сталося з хлопцем? — буркнув сам до себе Владко, повертаючись у зал. — Сподіваюся, що він не хворий. Щось його, певне, дуже засмутило. Треба буде розпитати його, коли вернуся додому. Але залишати бал якраз посередині не годиться. — І, заспокоївшись, він пішов до Регіни, бо вже розпочиналася друга кадриль.

## VII

Начко прокинувся дуже рано. О пів на шосту він мав бути в друкарні, щоб встигнути перекласти нічні телеграми й остаточно відредагувати ранкове видання «Гінця». Цим важким обов'язком раннього вставання він ділився зі своїм головним співпрацівником, так що одного дня вранці вставав один, а другого дня — другий, крім, звичайно, неділі, в яку ранкове видання «Гінця» не виходило. В ті дні, коли він повинен був уставати рано, Начко прокидався, як звично, значно раніше, ніж було потрібно, інколи о третій або четвертій, і вже не засинав, аж поки стара Миколайова з пунктуальністю годинника не вставала рівно о п'ятій, чистила його речі й готувала йому воду для вмивання.

І сьогодні Начко прокинувся о четвертій ранку. Надворі ще була ніч — ясна, морозна, зимова. Повний щит місяця хилився до заходу, а його біле світло розіскривало замерзлий сніг, яким був обсипаний Львів. Молочна яснота цієї ночі біла в незаслонене вікно Начкової спальні так, що всі предмети в ній, хоча й знаходилися в півтіні, все ж виразно вимальовувалися перед його очима. Якимось машинально глянув Начко впротилежний кут кімнати й гукнув іще напівсонним голосом:

— Владку, ти спиш?

Але в ту ж мить він пригадав собі, що вже два тижні спить тут сам, що Владко перебрався в іншу квартиру —

й Начкове серце стиснулося від жалю й від якогось неясного болю.

Начко простягнув руку до нічного столика, що стояв біля узголів'я його ліжка, узяв там годинник та коробку сірників, засвітив і, переконавшись, що вставати ще рано, потику вилаявся, знаючи, що вже не засне, поклав годинник і сірники на місце й перевернувся на другий бік, даремно силкуючись заснути. Сон не приходив. Замість сну роїлися в його голові неспокійні думки, гули й бриніли, мов набридливі мухи.

Насамперед він задумався про Владка. Як сталося, що він розлучився з братом і переїхав на іншу квартиру? Коли скількись там днів тому Владко заявив Начкові про свій намір, то Начко аж остовпів від здивування, навіть незважаючи на ненайкращі й холодні стосунки, які запанували між ними від часу того балу. Правда, Владко довго й багато витлумачував братові, що як адвокат, який зобов'язаний приймати в себе багато різних людей, він повинен також мати й окреме приміщення, тим більше, що тут його клієнти заважають Начкові працювати. Але в цій Владковій аргументації Начко відчував нещирість, мовби рану, приховувану в лахмітті красномовства і навіть гумору. До цього ж часу Начко не мав причини скаржитися на перешкоди з боку Владкових клієнтів, тим більше, що він працював в окремому кабінеті, відділеному від Владка салоном, де була й приймальня для небагатьох знатних клієнтів. Селяни, якщо їх було багато, чекали в кухні або в коридорі. Крім того, на квартиру ці клієнти приходили зрідка, бо ж властиво Владкова служба проходила в канцелярії його адвоката. Отже, очевидячки, не ця обставина була головною причиною розлуки братів. Але що ж тоді нею було?

Начко добре відчував і не міг сам перед собою заперечити (хоча жоден з них на розставанні ні слівцем про це не згадав), що цією причиною були ті нещирі й холодні стосунки, котрі запанували між ними після балу. Відчував Начко й те, що найбільше винен у цьому був він сам, але не знаходив у собі сил, не знав способу виправити цю провину. Наступного дня, відразу ж після балу, Владко з дійсно братерською турботою почав розпитувати його про те, що з ним учора сталося, одначе він, сам не знаючи чому, відчув себе ображеним тією турботою і вперше в житті грубо буркнув братові, щоб той залишив його в спокої. Та груба

відповідь була ніби несподіваний зойк обірваної струни, і, дійсно, від тієї хвилини обірвалася між братами жива струна гармонії та щирої відвертості. Начко ходив понурий, на питання брата відповідав коротко й неохоче, ховав у собі свої думки та враження, неначе та черепашка, яка стискається й замикається щоразу більше, коли в м'які складки її тіла потрапить гострий камінчик, котрий все глибше й глибше вгризається в м'ясо. Немовби передчуваючи, що діється в серці брата, Владко взагалі значно щиріший і веселіший, намагався перед Начком навіть не згадувати про Регіну, хоча, правду кажучи, він і не підозрював, як глибоко й згубно вразила її постать Начка. Чи то загальна душна атмосфера, що запанувала в їхньому тихому закутку, чи побоювання, щоб своїми оповідями про приємні враження не зробити прикрасі Начкові, — одним словом, щось ніби формальне стримувало Владка від обговорення бальних вражень. Начко ж, знаючи, що Регіна для брата не пройшла непоміченою й що сама вона явно більше схилилася до Владка, ніж до нього, з заздрістю безсилого й скривдженого очікував на те, що розмову почне Владко, мучився тисяччю вигадок шалених ревнощів, вишукував і закидав тисячі підозр, котрі ще міцніше замикали його серце, заціплювали уста.

Ще тиждень не минув після балу, коли стався факт, на перший погляд цілком звичайний і природний, який, проте, згубно вплинув на взаємини між обома братами. Одного дня, повернувшись із редакції трохи раніше звичайного, Начко помітив, що з кабінету його брата виходить дві пані, яких Владко дуже чемно проводить і зичить їм щонайкращого. Начко відразу впізнав тих обох пань: це була пані Дреліхова й Регіна. За яку хвилину Начко, мов та буря, увірвався до Владкового кабінету і, як тоді на балу, в залі, хапаючи його обома руками за плече, заговорив поспішно, переривчастим від зворушення голосом:

— Що... що це за... дами тільки що були в тебе?

Владко кинув на брата довгий допитливий погляд, від якого Начко аж обличчя відвернув, і спокійно запитав:

— Що тобі, Начку? Увесь тремтиш як в лихоманці! Чи ти часом не хворий?

— Дурний ти зі своєю хворобою! — сердито відказав Начко. — Відповідай на мое запитання!



— Ті пані,— сказав здивований Владко,— що ті пані можуть тебе обходити? Це була наша близька сусідка пані Дреліхова з племінницею.

— І чого вони хотіли від тебе? — промовив Начко, різко викидаючи із себе слова.

— Ти, Начку, все більше й більше дивуєш мене,— промовив Владко, знизуючи плечима.— Я не можу зрозуміти, про що тобі йдеться. Чи ти, може, думаєш, що ті дами хотіли мене звести з шляху цнотливості? — додав він, іронічно посміхаючись.— Заспокойся, і хай це тебе більше не хвилює! Вони приходили до мене радитися з приводу однієї судової справи, справи про спадщину.

— Що це за справа? — продовжував питати Начко, намагаючись знайти якусь точку, за яку міг би зачепитися думкою.

— Е, це досить заплутана справа, — відказав Владко.— Справа цієї панни племінниці проти спільника її батька в Дрогобичі з приводу лотерейного виграшу. Здається, на основі цієї справи може водночас виникнути й кримінальний, і цивільний процес.

— Ну й що, ти взяв цю справу собі?

— Е, який ти швидкий! — гукнув Владко посміхаючись.— Тут іще не видно, чи справа взагалі буде розпочата, а ти вже питаєш, чи я її узяв. Знаю її тільки з бабських розповідей, а ти ж знаєш, що це ще зовсім не документи. Хто знає, може, все там зовсім по-іншому. Я сказав їм, щоб вони з усім цим пішли до мого мецената, щоб віднесли йому всі документи, то, можливо, щось-таки з цього вийде. Зрештою, ти ж знаєш, що такі справи до моєї компетенції не належать.

Начко з якимсь незвичним гарячковим запалом стиснув братові руку.

— Саме так, Владку! — жваво вигукнув він.— Це справа не твоя! Не бери її, відішли тих пань! Нащо тобі втручатися в їхні закляті стосунки! Перед нами —інший шлях. Бувай здоровий!

І ще раз гарячково стиснувши йому руку, Начко знову, мов вихор, вилетів із кабінету. Але ж увесь той запал, та гарячковість і те збудження змусили Владка замислитися й навіть незвично прикро кольнули його в саму глибину совісті, бо ж він у ці хвилини, сам ясно не знаючи чому, вперше в житті збрехав братові. Візит пані Дреліхової в товаристві Регіни наповнив його такою радістю, так його

приголомшив, що, вислухавши оповідь про справу лотерейного виграшу й майже цілком не зрозумівши її суті, він з незвичною готовністю й очевидною втіхою погодився зайнятися тією справою (звичайно, під фірмою свого адвоката), сховав документи для пізнішого детального ознайомлення й попросив обох пань, щоб вони за тиждень зайшли дізнатися про остаточне рішення; і в ту хвилину, коли він витлумачував Начкові, що з тієї справи ще, може, нічого не вийде і що сам він до неї не думає втручатися, Владко тремтів від думки, що *cogrus delicti*<sup>1</sup>, який свідчить про його безсоромну брехню, лежить тут же перед ним, в незамкненій шухляді столика, і що Начко одним рухом руки може вийняти його звідти й побачити всю правду.

Начко, звісно, нічого про це не знав і тому дуже здивувався, коли Владко на другий день під час обіду заявив йому, що знайшов собі нову квартиру й що за кілька днів хоче туди перебраться. Начко зустрів цю новину мовчки, як важкий, але заслужений удар, не питав брата про мотиви цього кроку, а коли Владко з власної ініціативи почав був їх пояснювати йому, махнув рукою й крадькома обтер сльозу, що набігла на око. Бо Начко відчув, що ця розлука є початком якогось нового повороту в житті, який, здається, може повести їх на різні шляхи і, хто знає, чи не вплине згубно навіть на розвиток тієї праці, котрій вони присягли віддати свої сили, своє життя. Однак він нічого не сказав про це Владкові, боячись образити його нагадуванням про справу, яка для них обох була такою звичною, такою природною й необхідною, як дихання. Лише стара Миколайова, довідавшись, що «старший» панич думає перебиратися, тихо схлипувала в кухні, теж не насмілюючись промовити й слова.

І ось уже минуло два тижні відтоді, як Владко оселився на новій квартирі. Здавалося, що цей розділ корисно вплинув на відносини між братами. Владко часто увечері приходив до своєї старої квартири, залишався пити чай, жартував з Миколайовою, розповідав Начкові про свою роботу й викликав його теж на розмову, що йому інколи й удавалося. Але Начко відчував, що все це удаване, що Владко говорить із ним, як з чужою людиною, яку хоче розважити в товаристві, що їхній розмові не вистачає тепла, не вистачає братерської ширості й безумовної відвертості. Він

---

<sup>1</sup> Склад злочину (лат.). — Ред.

відчував, що й сам від брата замикає в своєму серці багато важливих справ, котрі мали місце в останні дні, й підозрював, що й Владко щось приховує від нього. І чим нещасливішим ставав Начко, тим гострішими, тим сильнішими робилися його підозри. Навіщо Владко переїхав? Чому він нічого не згадує про Регіну та її справу про отой спадок? — ці два питання в його думках мимоволі комбінувалися й поєднувалися, наповнюючи його серце трунком гіркоти й отруюючи йому кожну хвилину дня.

Його думки перейшли на Регіну, хоча, правду кажучи, від того пам'ятного балу вони ніколи й не відступали від тієї стрункої постаті в темній суконці, від тієї голівки з коротким волоссям й з незглибленими й воднораз такими змінними очима. Скільки ж то разів бідний хлопець картав себе за свою слабкість, легковажність і відсутність почуття чоловічої гідності, старався вибити її собі з голови, забути, погордувати нею — і все надаремно. Годинами ходив він по вулиці, ховаючись поза виступами будинків, мов злодій, щоб тільки побачити її, коли вона виходила з дому чи поверталася додому. Скільки ж то разів, зустрічаючи її на вулиці, він хотів до неї заговорити, відкрити їй своє серце, висловити їй свої почуття, — але його завжди стримував спогад про оті неласкаві слова й холодні погляди, які дісталися йому від неї на балу. Нарешті одного дня він зважився на рішучий крок. Написав їй листа, короткого і скупого на слова, в якому запропонував їй руку й серце.

Віднісши цей лист на пошту, Начко трохи заспокоївся й підбадьорений взявся до праці над новою розвідкою про крайові відносини, в якій збирався в усій повноті, на багатьох фактах показати, як представники галицької шляхти в державній раді, в сеймі, в повітах і різноманітних товариствах, замість загальних інтересів, захищають інтереси свої, класові, а інколи навіть з можливою шкодою для самих себе підкопують, занедбують інтереси люду. Матеріал до цієї статті підготовлювано й збирано віддавна, цілість впорядкована й обома братами пункт за пунктом сумлінно продискутована. Ця розвідка, викладена Начком ясно й зрозуміло, зі спокоєм й безсторонністю історика, ясним і пластичним стилем, з'явившись на сторінках «Гінця», вже своїми першими розділами зробила сильне враження в краї, викликала різноманітні дискусії та всунула «хлопоманську» газету в руки багатьох людей, які досі навіть не читали її. Старий редактор-ветеран не міг надивуватися з успіху цієї

газети — газети, яку він задумав був знищити ще в колиці, друкуючи відразу ж після тієї вечірки в братів Калиновичів різке застереження проти її шкідливих тенденцій. Застереження, перекручування й доноси, які своєю силою могли б знищити дві інші газети, «Гінцеві» якимсь чудом приносили користь; він не полемізував, не захищався, тільки йшов собі власним шляхом.

Відіславши лист, Начко спокійно працював над своєю великою статтею. На швидку відповідь він не сподівався, бо сам просив у листі Регіну, щоб вона добре подумала, щоб узяла до уваги те, що цей крок тільки на перший погляд здається легковажним, а насправді він є виявом сильного й непохитного рішення, що він почуває, що без неї не може жити, й що, прбсячи її руки, ставить на карту свою долю: його життя чи смерть залежатиме від її рішення.

Аж ось на третій день після відправлення того листа Начко одержав відповідь. Була вона коротка й містила в собі такі слова (Начко їх пам'ятатиме до самісінької смерті, хоч не зміг знайти в собі сил, щоб прочитати їх більше як один раз): «Шановний пане! Моя племінниця Регіна Киселевська дякує вам за довір'я, але заявляє Вам через мене, що Вашою дружиною не буде. Покірنا Герміна Дреліхова».

Незважаючи на те, що цей лист потрапив у його руки два дні тому, Начко ще й тепер, згадуючи кожне його слово, кожную літеру того бридкого розгойданого письма, аж кидався на ліжку, немовби на терновій постелі. Прокляття! Аж до цього, значить, дійшло! Значить, вона ним аж так гордує, що навіть сама не відповіла на його кров'ю серця писані слова й передовірила відповідь нечистим рукам тієї... тієї... Мабуть, у перші хвили було страшним обурення Начка, якщо і тепер ще, коли час уже встиг набагато притишити біль, він тільки на саму згадку про той удар не зміг довше влєжати в ліжку, зірвався з нього, скрегогучучи зубами й заламуючи руки в німому розпачі й почав бігати по кімнаті мов шалений.

— Отже, нічого, нічого, нічого мені не залишилося! — шептав Начко, стискаючи руками голову, немов боявся, що вона йому трісне від болю.— Брат мене покинув, та мене відіпхнула ногою, наче пса. Все, що люди називають особистим щастям, я замкнув у глибокому льоху й ключ мушу кинути в море. Але ж без особистого щастя життя — не життя, людина — не людина. Якщо людина падає

під тягарем власного страждання, то як же вона може добре працювати для громадської справи? Ні, я відчуваю, що загинув! І за що? Чому?

І він знову бігав по кімнаті, то заломлюючи руки, то хапаючися за голову. І ось вибило півшостої. Начко затремтів і зупинився — й водночас здалося, що вся повінь його думок та почуттів теж зупинилася, замерзла й перетворилася у міцний лід. Біль у грудях залишився, глухий, глибокий, невилікований, — але думки, звиклі до професійної праці, мов ті коні до керата, повільно почали брати інший поворот. Начко машинально засвітив лампу, одягнувся і, знявши з цвяха великий ключ від брами, вийшов із кам'яниці. До друкарні, на вулицю Ягелонську, було досить далеко, отож, треба було поспішати. Швидкі Начкові кроки стукали по мерзлому, звільненому від снігу тротуару. Вулиці були ще зовсім порожні. Світив місяць, але на рогах вулиць та на поворотах горіли газові лампи, які, звично, палять тільки тоді, коли панує найбільша темрява. Де-не-де поспішали до своїх верстатів робітники або, туркочучи по льоду, що товстим шаром покривав брук, їхали бляшані буди з свіжим печивом для крамничок. Біля костьолю бернардинів стояли якісь дві скулені бабусі в лахмітті, очікуючи, коли відчинять костюл на ранкову відправу, і скорочували собі час чекання цілою літанією прокльонів та добірних епітетів, якими вони одна одну обкидали. Далі, з яскраво освітленої кав'ярні Міллера було чути уривки пісень, прокльонів і скарг, водночас виголошуваних кількома охриплими, п'яними голосами. Поспішно минаючи кав'ярню, Начко пригадав собі анекдот 1848 року, в якому розповідалося таке: перед генералом Гамерштайном, що бомбардував місто, зупинилася делегація найповажніших городян — поляків. Коли члени депутації відрекомендувалися йому поіменно, грубуватий генерал нібито вигукнув:

— *Der Teufel poch amal. Hild, Mild, Wild, Stieller, Piller, Müller! Das sind ja aber verflucht polnische Namen!*<sup>1</sup>.

І Начко посміхнувся, минаючи Галицьку площу. Порожні будки синеvodських бойків, мов оддерті від м'яса кості, довгою низкою стирчали вздовж тротуару. На другому боці площі стояло кілька саней-фіакрів; було чути,

<sup>1</sup> Чорт бери! Гільд, Мільд, Вільд, Штіллер, Піллер, Мюллер! Отсе-то справді прокляті польські наймення! (нім.).— *Ред.*

як перемерзлі коні повільно, розмірено хрупали обрік і як на санях, прикритих коцями, хропіли візники.

До друкарні Начко з'явився найпершим. Він змушений був перейти подвір'я навпростець, аж у кут, і постукати у вікно реквізитового складу, крізь яке тьмяним світлом поблискувала низько вкручена лампа. Там, поміж запасними або попсованими частинами машин, полаганими касами й регалами, на постелі з різнобарвних аркушів афішного паперу, належно зім'ятих, накритий рогізкою з лика, якою була опакowana якась привезена із заводу машина, спав сторож друкарні, ще молодий і міцний хлопець із смаглявою шкірою й одутлим обличчям. На стукіт він схопився мов ошпарений і стрімголов погнався, перевертаючи різноманітні речі, що зустрічалися на його шляху. Тільки в третій кімнаті він пригадав, що забув взяти з собою ключі й сірники. Отож повернувся назад, підкрутив лампу так, що в темному складі стало зовсім видно, взяв, що треба, і з лампою в руці поспішно пішов відімкнути Начкові двері канцелярії. Пізніше приніс кілька полін і почав розпалювати в грубці, бо в канцелярії панував чортячий холод.

Начко, скинувши важке зимове гальто, взявся до роботи. Телеграм ще не було, але біля брами була редакційна скринька для листів і статей, які потрапляли туди вже після виходу вечірнього видання газети або ж пізно вночі. Отож взявши ключик, Начко вийшов у коридор і за хвилину повернувся з цілою зв'язкою папірців, заклеєних конвертів і згорткові телеграм, що надійшли з провінції. Сів за стіл і з пером у руці взявся до читання тих речей та підготовки їх до друку. Дещо надійшло від його постійних, — уже випробуваних співпрацівників, скажімо, звіти із залу суду, із вечірньої театральної вистави та з якогось концерту. Цих речей не треба було й читати; написавши на кожному аркуші синім олівцем величезне «Мусить», Начко відклав їх набік. Потім він повідкривав телеграми з провінції. Тут повідомлялося про додаткові вибори депутата крайового сейму. Начко, прочитавши прізвище, нахмурих брови й буркнув: «Тумани тумана вибрали!» — а потім підготував телеграму до друку, написавши зверху місце висилки й дату та виправивши ідіотичний телеграфний правопис. У другій телеграмі якийсь кореспондент обіцяв велику й надзвичайно важливу кореспонденцію. «Ну, ну, не мукай, а дай молока!» — забурмотів Начко й кинув телеграму під стіл. Далі йшли речі, подібні до цього: якийсь шляхтич,

ображений кореспонденцією, погрожував судом, але критики не спростовував, — Начко кинув під стіл і цю телеграму, відіславши її туди з єдиною резолюцією: «В корзину!» Після цього йшов довжелезний лист про якийсь аматорський концерт у Великих Очах, в якому великооцьких аматорів, що виступали на концертній естраді, порівнювано з першорядними співаками і широко писано про те, як Великі Очі з приводу того концерту розділилися на два ворожі табори і як «партія перевороту» намагається підкопатися під незрівнянну славу великооцьких артистів та артисток і т. ін. «Ну, ну, ну! — сказав усміхаючись Начко. — Це вже, мій пане, ми читали, про це розповідається, хоча й іншими словами, в другій частині Дон-Кіхота — там, де йде мова про партії І-а-гачів і Ай-а-гачів!» — і енергійним розчерком пера він перекреслив всю працю великооцького Сервантеса, залишивши від неї один лише голий і дрібний факт про те, що «у Великих Очах в присутності численної місцевої публіки відбувся аматорський концерт з благодійною метою, який приніс цілих 25 ринських 50 крейцерів чистого прибутку». А збоку синім з'явилося: «Під шпіц!»

Рівно о шостій годині прийшли складальники, які за окрему оплату зобов'язані були працювати вранці. Сторож уже засвітив лампи біля тих місць, де кожен з них стояв. Складальники жваво здіймали з себе пальта й сурдути, одягали полутьяні блузи й такі ж хвартухи, мовчки брали рукописи в редактора, закріплювали їх на дерев'яних вилках і починали складати, розмірено похитуючися на ногах і безупинно постукуючи олов'яними літерами об верстатки. Хоча чотири лампи кидали з-під великих паперових абажурів широкі круги світла на стелажі, простора складальня була похмура й здавалася порожньою; кутки тонули в півтінях, тим більше що її вікна виходили на темне, мов кривнця, глибоке подвір'я чотириповерхового будинку. Складальники мовчали, зосередившись кожен над своєю роботою; тільки часом цей або інший вголос прочитає кілька слів з рукопису, що стирчить перед ним, чи коротко розповідь своєму товаришеві про якийсь факт, який стався після вчорашнього вечора. Коли-не-коли хтось кидає гумористичне зауваження, що стосується або рукопису, над яким працюють, або ж змальованого в ньому факту.

Та ось почувся поспішний стукіт у двері канцелярії: не кур'єр із телеграфу приніс телеграми. Всі складальники поглянули в той бік, пройняті побоюванням, щоб, бува, те-

леграма не була довга й щоб через це не запізнився вихід газети. Верстальник навіть покинув роботу й навшпиньки підійшов до Начка — подивитися телеграму. Ну, слава богу! Телеграма не довга, номер вийде вчасно! Жвавіше застукали олов'яні літери об верстатки, жвавіше почали похитуватися над своєю роботою складальники, піднявся їхній загальний настрій. Розмова поплинула безупинним струмком. До того ж, чим ближче було до сьомої, тим більше прибувало інших складальників, хлопців, робітників біля машин, бо ж о сьомій в друкарні вже починалася нормальна праця. Ось вже одна за однією поспішними дрібними й легкими кроками поприходили до своїх машин і панни, позакутували голови й обличчя в чорні сукняні хустки або в виплетені вручну шалі. Біля машин затихнув голосний сміх та грубі жарти хлопців: в присутності панночок не можна було дозволяти собі щось невідповідне. Зрештою, прихід дівчат був для хлопців початком важкої праці. На столі машиніста, на великому залізному бляті, вже лежав готовий перший бік аркуша, тобто перша й остання сторінки номера «Гінця». Ця частина газети залишилася без змін від вечірнього видання. Тільки на внутрішньому боці аркуша робили деякі зміни, як-от — викидали телеграми, котрі надійшли вчора вранці, а замість них вставляли ті, котрі надійшли сьогодні вранці. Викидали також звіти про позавчорашні театральні вистави і взагалі ту частину хроніки, що вже була в учорашньому ранковому номері, а потім ще й у вечірньому. Замість цього вставляли тільки-но складені звіти й «хроніки», котрі згодом будуть повторені у вечірньому виданні, а завтра вранці також випадуть.

— Рушай! — гукнув машиніст, установивши за допомогою двох хлопців блят із складеними сторінками на машині та все це добре закріпивши гвинтами. Панни зайняли свої місця: одна — біля цього, закріпленого на рухомих стелюгах блята, щоб під час його ритмічних рухів накладати на нього аркуші паперу, а друга — біля кінця машини, на високому стільчику, щоб забирати аркуші, які виходять із машини, й рівно складати їх на залізному бляті.

— Ну, рушаймо! — ще раз скомандував машиніст. Хлопці, розставивши ноги й стоячи біля колеса обличчям один навпроти одного, водночас ухопилися за корбу колеса й почали крутити. Повільно й легко зрушилося колесо на своїй одшліфованій і змащеній олією осі; стиха й повільно, мовби величезний поліп, зарухались і всі інші частини



машини, зубці чіплялися за зубці, блискучі залізні кругляки то висувалися вперед, то ховалися в глибину корпусу машини, неначе вогненні язики змії. Заскрипіла, нарешті, й стелюга, що тримала на собі плиту із складеними сторінками, засичали коркові вальці, намащені фарбою, зашелестів папір, просовуючись крізь горло машини, на протилежному боці зненацька заворушилися залізні грабельки, хапаючи віддрукований аркуш і півколистим рухом кладучи його на блят, — машина приведена в рух.

Цей рух, наданий їй руками «прислугуючих» найнятих хлопців і панночок, здавалося, сам повільно вливав життя в машину. Здавалося, що ці блискучі залізні колеса, бляти, шворні й вальці, мов оті казкові потвори, можуть жити життям, виссаним із інших живих істот. Тиха хвилину тому машина перетворилась у грізну, грюкаючу й брязкаючу істоту, що своїм безупинним пекеліним галасом наповнювала все приміщення, дзвонила шибками вікон і заглушувала всі інші навколишні голоси.

Начко тим часом вже давно закінчив переклад телеграм, які робітники, покраявши на малі смужки, складали в чотири руки. «Відбивайте!» — залунав голос верстальника, і хлопець-практикант із валиком, аркушем паперу і щіткою в руках кинувся робити відбиток складеного тексту для коректури.

Закінчивши коректуру того, що було складено сьогодні, пономерувавши окремі уступи, Начко одягнувся й виїшов із друкарні. Праця над речами, далекими й чужими його особистим інтересам, заспокоїла його, бодай на хвилю принесла йому забуття. Було вже пів на восьму; ранок видався ясным і холодним, по вулицях уже снувались юрби людей. Діти поспішали до школи; вуличні хлопчиська ковзалися по невеликих смугах льоду стічних рівчачків. У відчинених крамницях позіхали заспані крамарі, одягнені в теплий одяг. Крізь відчинені брами в сутінку подвір'їв ще де-не-де було видно освітлені вікна, за якими в тісних, брудних і вогких комірках від досвітку працювали дрібні ремісники: шевці, кравці, щіткарі й інші. Безупинний міський рух, мовби повів холодного вітру в пекучий літній полудень, благодійно вплинув на Начка. Він відчув себе живою діяльною часткою цієї рухливої працюючої юрби і з задоволенням згадав про вже закінчену порцію своєї денної праці. Хотілося їсти, і він, подвоївши крок, заспішив додому на сніданок.

До початку роботи в редакції ще залишалося півтори години часу, і Начко цей час, як звичайно, використовував на ведення приватної кореспонденції або на знаходження в бібліотеці тих книжок та паперів, які йому могли знадобитися для продовження його праці, котру він день у день писав у редакції. Сьогодні, однак, не було кому писати листа; отож, випивши каву, що подала йому Миколайова, Начко поспіхи підвівся з-за столу й кинувся до бібліотеки, чогось шукаючи там, перекладаючи книжки, навіть переносячи цілі купи їх із полиці на полицю. Він, очевидно, хотів зайнятися бодай якоюсь фізичною працею, щоб не допускати собі в голову настирливих думок і спогадів. Однак, коли він за якусь хвилину оглянувся, то побачив, що вже не сам у кімнаті. Біля порога стояла стара Миколайова.

— Чого вам треба, Миколайова? — запитав її Начко таким тоном, нібито він не мав часу й не бажав відриватися від якоїсь дуже пильної роботи.

— Нічого, — відповіла старенька, не рухаючися з місця.

— Ну, то чому ви тут стоїте? — допитувався далі Начко.

— От так собі. Я хотіла б трохи поговорити з вами. Увесь день сиджу дома сама, скоро й говорити по-людському забудуся. Давніше, ще як ви обидва були разом, то хоч коли-не-коли з старою Миколайовою говорили й жартували. А тепер вже неласкаві стали до старої.

— Але ж, моя Миколайова, — трохи нелюбов'язно промовив Начко. — Може, іншим разом поговоримо. Ви ж бачите, що я не маю часу.

— А що ж ви, паничу, робите? — з хитрим усміхом запиталася стара жінка.

— Що я роблю? — сказав Начко трохи збентежений. — Шукаю, бачите, одну річ...

— Бачити, то я бачу, — сказала стара, похитуючи головою, — що ви, паничу, шукаєте однієї речі, але, даруйте мені, тієї речі ви, паничу, тут не знайдете. Її треба шукати деінде. Ей, любий мій паничу, — промовила стара, підходячи ближче й сідаючи на кріслі, — маю і я очі та вуха й прожила вже, дякуючи богові, сімдесят років на світі, то хоч і неписьменна до книжок, але трохи вмю читати на людських обличчях і в людських очах. Знаю я, чого ви, паничу, шукаєте!

— Ет, балакаєте собі, Миколайова! Ну, чого ж я шукаю?

— Щастя шукаєте, паничу, от чого! — сказала стара.— Хіба я не знаю, чого молоді люди в такому віці шукають? Хіба я не чую, як ви, паничу, щоночі крізь сон кричите й благаєте когось, як схоплюєтеся й ходите по кімнаті? Хіба-то я не бачу, як ви, паничу, руки заламуєте й на вулиці на когось чатуєте й при зустрічі очі опускаєте, вклоняєтеся й утікаєте? Я вже стара, паничу мій коханий, і всі ці речі знаю добре!

Начко слухав, здивований і остовпілий. Отже, те, що він уважав тільки виключно своєю таємницею, відоме було цій старій, висіло на її балакучому язичі! Але що вона знає? Може, це лише здогадки, позбавлені фактичної підстави?

— Що там вам сниться, Миколайова? — промовив він голосом, мимохить значно м'якшим.— Наговорили мені тут всяких новин, про які я й сам нічого не знаю. Кого ж це я кличу крізь сон? На кого чатую на вулиці?

— Ей, паничу, паничу! — сказала стара, журливо похитуючи головою.— Як то ви, молоді люди, легко можете закинути нам брехню. Нібито ви не знаєте добре, що я кажу правду. Мовчала я довго, але тепер бачу, що гріх би я мала, якби хотіла мовчати довше.

— Ну, що ж ви маєте мені сказати?

— Одне я тільки вам скажу: забудьте ту панночку, що має волосся обстрижене, як у хлопця.

Начко поблід, почувши ці слова, а потім його обличчя обілляв живий рум'янець. Однак він все ще намагався за-таюватися.

— Про яку це ви панночку говорите, Миколайова? Я знаю кілька таких панночок.

— То ж то й нещастя, що ви, паничу, знаєте їх кілька, а думаете про одну, якої навіть не знаєте.

— Але ж звідки ви знаєте про неї?

— Звідки вже знаю, то знаю, але одне тільки можу вам порадити, як порадила б власному синові: забудьте про неї! Це — партія не для вас! Я кілька разів була в них у кухні: їхня кухарка, то моя кума. Вона розповіла мені дещо, зрештою, я й сама придивлялася зблизька до тої панночки і ще раз хочу вам сказати: це — партія не для вас!

— Але ж про кого ви говорите, Миколайова? — з тривогою й нетерпінням скрикнув Начко.

— Нібито ви й не знаєте,— промовила посміхаючись стара.— Про ту панну Регіну, яку ви щоночі кличете, руки якої ви просили. А бачите, паничу, що я знаю все. Але не

бійтеся: я вмю мовчати. Нікому не скажу й слова про це, навіть паничеві Владкові.

— Ну, й що ви знаєте про панну Регіну? — запитав Начко.

— Небагато знаю, не буду брехати. Ходить воно по кімнаті мовчазне, горде, немовби й справді яка королева. Або сяде собі коло вікна й сидить цілими годинами, як німа. А люта — то нехай бог боронить. Не люблять її там, ви можете мені вірити.

— Тужить за чимсь, почуває себе чужою в тому оточенні, занадто чиста, зрештою, для нього, — з невигойною софістикою закоханого збивав у думках Начко закиди Миколайової.

— Достатків у неї нема ніяких, — продовжувала Миколайова. — Що там після батьків залишилося, то брат-лобуряка все прогайнував, а той лотерейний виграш, то це, прошу вас, грушки на вербі. Грошки загарбав спільник. Судися з ним, якщо бажаєш. Тітка прийняла її з ласки, бо, скінчивши школу, не мала де подітися. Тепер вона шукає їй якесь місце на пошті чи телеграфі, але я думаю, що це не для порядної панночки місце.

— А що ж їй робити? — крикнув Начко. — Жити на тітчиному хлібі чи помирати з голоду?

— Ну, то чого б я так пишалася? — з чисто жіночою логікою відповіла Миколайова. — До того ж, і та її тітка, даруйте, зовсім мені не подобається. Коли вона довідалася, що я служу у вас, то-закликала мене в світлицю і як почала випитувати про вас обох, то мучила мене з півгодини. Кажі їй те, кажі їй інше: як паничі живуть, чи ввечері вчасно додому приходять, хто в них буває і в кого — вони, після кого паничі дістали спадщину й скільки? Одним словом — мов якийсь комісар. Я викручувалася, як могла, а що вас обох вихваляла, то в цьому ви можете не сумніватися.

— А та... Регіна була при цьому.

— Авжеж, була. Мене аж злість брала. Увесь час сиділа коло вікна, мов відлюдниця, обернена до мене спиною, навіть не оглянулася. Ні, даруйте, це партія не для вас. Мені там зовсім не сподобалося. Дала собі слово не ходити туди більше.

— І добре зробите, Миколайова! — сказав Начко, встав і, одягнувшись, пішов до редакції.

Він, правда, мав іще півгодини часу, але взяв і втік, буквально втік із дому, щоб уникнути бурчання старої

служниці та впорядкувати в голові думки, розбуджені її оповіданням. Все, що говорила Миколайова, щоб принизити її в його очах, підносило її вище, кидало яскравіше світло на її постать, робило її ще симпатичнішою для нього. Глибоко зворушило його її становище в домі тітки, становище підвладне, залежне й в основі своїй фальшиве. Він аж надто добре розумів, як у такому становищі й особливо в оточенні людей із таким моральним обличчям, як пані Дреліхова, повинен був терпіти її характер, повинні були зроджуватись те недовір'я, підозріливість, замкнута в собі гордість і злість. У всіх цих не ідеальних прикметах Начко бачив не вади, але позитивні риси сильного, незіпсованого характеру Регіни. І все це водночас гукало до нього дужим голосом, щоб він не переставав думати про неї. Все віщувало йому, що тільки велике кохання, готове на будь-яку самопожертву, терпеливе й незламне, його кохання зможе вирятувати її з того становища й очистити її душу від тієї жорсткої жужелиці, яка з'явилась у вогні тяжких проб і свідчить лише про чистоту й добротність металу її душі. Її знову невинна ідеалістка — надія ожила в його душі, затріпотіла райдужними крилами й злетіла в погідне небо майбутнього. Випрямлений, зміцнілий духом, увійшов Начко в редакцію.

Взявши в експедиції сьогоднішній номер «Гінця», який експедиторка саме роздавала місцевим передплатникам, що натовпом тиснулися до віконця, Начко пішов до свого столика, на якому вже застав пакет з газетами та купу листів. Переглянувши свіжий номер свого «Гінця» й потиху вилаявшись, коли помітив кілька невиправлених друкарських помилок, Начко насамперед взявся до листів. Це були кореспонденції з провінції та з закордону. Начко уважно перечитував їх одну за однією, червоним олівцем робив на беріжках сторінок позначки, відкреслення й зауваження, викреслював усе зайве й нарешті відкладав окремо речі, готові до друку, й окремо такі, які треба буде скоротити ще більше або яким варто було надати іншу, відповідну для газети форму.

Раптом Начко кинувся на кріслі, мовби від уколу. Маленький лист із монограмою Р. тремтів у його руці. Кільканадцять слів, написаних жіночою рукою великими, але гарними літерами викликали в його голові сильну бурю. В листі було написане таке:

«Шановний пане! Спішу загладити свою вину перед Вами! Я поступила нетактовно, даючи Вам відповідь на Вашу почесну для мене пропозицію за посередництвом тітки. Я поступила також нерозважливо, відкинувши цю пропозицію безоглядно. Беру назад і перше, й друге. Не питайте, пане, про причини, чому так сталося. Я бажала б, аби було краще. Але, пробачте, я мушу поставити одну умову. Вгамуйте, пане, тон своєї газети! Поведіть її в іншому, не такому дратуючому й революційному напрямку! І тоді може статися, що з часом наші шляхи зійдуться. Залишаюся з пошаною — Регіна Киселевська».

— Що це таке? — крикнув Начко, схоплюючись із крісла, і ще раз перебіг очима по кожному слову, по кожній літері листа. — Вона хоче загладити свою провину! Признається в нетактовності! Шляхетна! Добра! Однак — умова! Що це за умова! «Вгамуйте, пане, тон своєї газети! Поведіть її в іншому напрямку!» Це значить — зраджуй свої засади, працю свого життя, а тоді я, бачте, готова тебе покохати! Підла! Негідна!

Начко аж зубами заскреготав від гострого внутрішнього болю. Йому здавалося, що якась жорстока рука роздирає в його серці ще не загоєну рану й обертає в ній тупим заржавілим залізом. Він почав метатися по кімнаті, наче дикий звір по клітці. В його голові шуміло, думки плутались.

— Пане, редакторе, дайте рукопис! — сказав хлопець із друкарні, відчиняючи двері та просовуючи голову в кабінет.

— Ось, візьми! — промовив Начко, й, згорнувши докупи перед ним приготовлені рукописи, почав знову метатися по кабінеті, за своїм звичаєм заламуючи руки або ж стискаючи в долонях розпашіле чоло.

— Ні, ні, ні! — закричав він нарешті. — Цього не може бути! Це не вона. Це не Регінин дух віє з цих підлих, смердючих висловів! Вона не могла про це й подумати! Між початком листа та його кінцем така суперечність, як між чистотою й брудом, між чеснотою й злочином!

Двері кабінету знову відчинилися — ввійшов головний співпрацівник, і, привітавшись із Начком, показав йому повідкреслювані місця в газетах, щоб зреферувати їх для крайової та політичної хроніки.

— Гаразд, гаразд, — сказав напівсвідомо Начко. — Зробіть це, будьте ласкаві.

— А статтю, пане редакторе, дасте?

Начко на хвилю завагався. Вона вимагала зміни напрямку, вгамування тону, а саме його, найгостріше писані статті характеризують напрям газети. Та ні! Підло було б збачувати з обраного шляху, тим більше, що це не може бути її справжнім бажанням. А якщо й так, то це ще нічого не значить!

— Звичайно, дам! — рішуче сказав Начко. — Будьте ласкаві, прийміть усіх, хто буде приходити, щоб вони мені не заважали, а я за годину буду готовий!

Співпрацівник, забравши газети, вийшов, а Начко залишився сам. З хвилину він ще ходив по кабінету, але його думка, різким зусиллям волі скерована в інший бік, вже працювала над створенням нового розділу статті про класову політику галицької шляхти. Нарешті Начко сів — і перо з блискавичною швидкістю полетіло по паперу, швидко заповнюючи вузькі смужки рівним чистим письмом, без перекреслень і виправлень. Начко писав без перерв; тоді як писав перше речення, в голові укладалося й заокруглювалося друге й пливало під перо уже цілком готовим. Під впливом великого нервового напруження пам'ять, швидкість комбінацій та аналізу набрали сили яскровидіння. Безліч фактів, мов рої бджіл, пересувалися перед очима його душі, з'єднані поміж собою незлічними нитками, таємничі вузли й переплетення яких поставали перед ним у вражаючій виразності. Часом, коли рука втомлювалася, Начко на хвилю затримувався й на клаптику паперу, що лежав обіч, занотовував думки й словесні комбінації, які з'явилися в нього під час писання та які належало використати й розгорнути лише пізніше. Інколи ж переривав працю, щоб заглянути до давніших нотаток чи до принесених книжок. Ніколи він не шукав довго, всюди йшов впевнено, маючи в голові ясно уявлювану сторінку й навіть рядок, де була потрібна йому цитата. За годину ціла купка довгих і вузьких смужок була списана; розділ, запланований на сьогодні, був закінчений. Начко підвівся з крісла, похитуючись пішов до дивана, що стояв у протилежному кутку кімнати, і впав на нього в цілковитій знеможі. Холодний піт заросив його чоло, обличчя страшно поблідло, руки тремтіли, одні лише очі горіли дивним гарячковим блиском. Кожний розділ праці Начка коштував йому надзвичайно багато, до глибини збурював усю його істоту й вичерпував його сили, так що він змушений був з півго-

дини відпочивати майже в цілковитому одерев'явінні, аж поки знову потроху приходив до себе.

На цей раз, однак, йому було дано недовго відпочивати. Спочатку прийшов хлопець за рукописом, а невдовзі після його виходу в першій кімнаті почулися якісь розмови, щось ніби суперечка й переговорювання. Увійшов головний співпрацівник і заявив, що завітав якийсь громадянин і конче домагається зустрічі з самим редактором.

— Просить його сюди, — насилу підводячись із дивана, сказав Начко, все ще блідий і ослаблений.

Увійшов молодий панок, років двадцяти п'яти, з непевною й передчасно постарілою фізіономією, на якій було видно виразні сліди багатьох недоспаних ночей та надмірного вживання міцних напоїв.

— Чи я маю приємність розмовляти з редактором «Гінця»? — несміло запитав молодик.

— Так, — сказав Начко, наближаючись до нього.

— Чи саме ви — редактор?

— Так.

— А чи не могли б ви мені сказати, де я міг би знайти пана Гната Калиновича?

— Та це ж я! — сказав Начко трохи роздратованим тоном.

— Ви-и-и? — проговорив молодий чоловік із великим здивуванням.

— Чим можу служити? — запитав Начко.

— Про... пробачте, — сказав дорешти зніяковілий молодий чоловік, — я бачу, що помилився адресою.

— Як це?

— Бо... бо я хотів говорити з паном Гнатом Калиновичем.

— Та ж кажу вам, що це я! — вигукнув Начко.

Молодик пильно приглядався до нього своїми осовілими очима й нарешті промовив:

— Про... пробачте, може, я помилився особою. Мо... Може, ви не той Гнат Калинович, якого мені треба. Той... той був... значно молодший.

— Колись і я був молодший, — сказав Начко, здивовано розглядаючи незвичного гостя. — Коли ж це ви бачили його востаннє?

— Десять років тому, — відповів молодик.

— Ха, ха, ха! — засміявся Начко. — То ж не дивно, що він був молодший. Що ж це ви хотіли, щоб людина через



десять років залишилась незмінною? Ну, добре, даруйте, з ким я маю честь говорити?

— Я — Ернест Киселевський, може, пригадуєте собі?

— Ернест! — скрикнув Начко, подаючи руку юнакові з проспиртованою фізіономією. — Ну, як же, як же! Мій вихованець! Що ж ти поробляеш, Ернесте, як тобі ведеться? Але насамперед сідай, будь ласка, ось тут, на дивані, поговоримо. Я й так уже закінчив свою роботу!

— Не дуже добре мені ведеться, — сказав Ернест, сівши. — Був я у Відні, у військовій школі, — вигнали мене, і ось уже тиждень — тут.

— Ну, й де ти живеш, що поробляеш?

— Поробляти — нічого не поробляю, а живу так собі, в сестри...

— В сестри? — сказав здивований Начко. — А сестра — в кого?

— Сестра — у тітки, але сподівається, що скоро стане на якусь службу. Тітка вже знайшла їй протекцію у дуже високих тузів, у самого графа Адольфа, ви ж знаєте...

— Ну, й що ж, коли вона стане на службу?

— А тоді ми наймемо собі окрему квартиру й будем жити обоє разом.

— Це значить: ви хочете жити за її рахунок? — суворо промовив Начко.

— Про... пробачте, — відказав Ернест. — Лише тимчасово, поки я й собі знайду якесь місце.

— А яке місце ви могли б зайняти?

— Хіба я знаю? — промовив Ернест. — Зайняв би, яке трапилося б. Чи касира, чи диурниста... Будь-що...

— А ви маєте кваліфікацію касира?

— Ква... кваліфікацію? Хе, хе, хе! Якої мені там кваліфікації треба? Одержувати й видавати гроші — це, ласкавий пане, я зможу!

— Ага! Ну, на початок добре й це, — сказав Начко. — Ну, а чим же я вам можу прислужитися?

— Гм, пане Гнате, — промовив молодий чоловік, набундючуючись і протягуючи поперед себе ноги. — Ви можете мені прислужитися в кількох справах, і я сподіваюся, що ви мені не відмовите.

— Що ж, — сказав Начко, аж тепер тільки все ясніше починаючи розуміти невдоволення й нелюб'язність Регіни при згадці про брата, — кажіть! Якщо я зможу, то готовий вам допомогти!

— Я знаю про це, пане Гнате, знаю, — сказав Ернест з міною протезе й махнув рукою. — Отож насамперед я бажав би дістати місце в адміністрації вашої газети. Скільки ви могли б мені платити щомісяця?

— Гм, це ми побачимо, — сказав Начко, здивований такою різкою зміною в поведженні несмілого юнака. — А ще що?

— А ще, пане, прошу вас зараз же дати мені в рахунок моєї зарплатні п'ятдесят ринських, потрібних мені для того, щоб уладнати деякі невідкладні справи.

— Це все? — запитав Начко, і його обличчя почало обливатися рум'янцем гніву й обурення.

— Ні, пане, ще не все. Найважливішу справу я приховав на самий кінець. Будьте ласкаві в найближчий час змінити тон і напрямок своєї газети.

— Що, що? — скрикнув Начко, схоплюючись із дивана й стаючи навпроти Ернеста, який, витягнувши худі, мов тички, ноги, розсівся на дивані й поглядав йому просто в очі зі спокоем і впертістю ідіота.

— Так, пане. Для нас це дуже важлива справа, — сказав Ернест.

— Для кого це — «для нас»?

— Для мене і для моєї сестри.

— Сестри? А це ж яким чином?

— Бо це, бачите, граф Адольф обіцяв знайти посаду моїй сестрі, тільки при умові, якщо вона вплине на вас так, щоб ви змінили напрям своєї газети й не нападали на шляхту.

— Що, що, що, що? Божевільний, що ти плетеш? — скрикнув Начко, схопившись за голову. — Граф Адольф — сестра — вплинути — як? З якої расії?

— Е, пане Гнате, — відказав Ернест з цинічною усмішкою. — Не вдавайте дурника. Адже я знаю все. Краще говорімо, як розумні люди! Ви кохаєте мою сестру, навіть просите її руки. Сестра ставить вам умову, — змінити напрямок газети й знає, що в цьому ви їй не відмовите, а я...

У що мить Начко мов ішалений кинувся до дверей і, відчинивши їх, щосили гукнув:

— Феліксе!

Редакційний слуга, низький кремезний чоловічок, почувши цей крик, прибіг із експедиційної кімнати.

— Покажи цьому панові, — і Начко вказав на Ернеста, що сидів, — кудою від нас виходять?

— Що? — крикнув Ернест, підхоплюючись із дивана й звертаючись до Начка. — Ви посміли ображати мене, брата...

— Феліксе! — сказав Начко з притиском і відвернувся.

— Прошу, пане, — сказав Фелікс, — не раджу опиратися.

— Ага, ви так, так! — кричав розлючений Ернест. — Замість допомогти мені, ви мене виганяєте? Гаразд, я піду, але я вам ще прислужуся! Почекайте! Ви ще пожалкуєте за цим!

І, весь час нарікаючи та погрожуючи, Ернест вийшов із приміщення редакції в супроводі Фелікса.

А Начко тим часом метався по своєму кабінету, мов поранений звір. — Отже, це так! Отже, вона, та свята, чиста й добра Регіна, дозволила вжити себе, як знаряддя, в підлій інтризі тих сфер, які намагаються задушити його газету! Отже, це їхній дух віє з її слів! Отже, саме з цією метою одягнула вона маску доброти й жалю за зроблену нетактовність, щоб сподобатись їм! Боже! В яку безодню моральної брідоти дав йому можливість заглянути той кретин, та підгнула мумія! — І Начко не зміг довше витримати в кімнаті. Його стискали стіни, душило повітря, все на світі обридло йому! Одягнувшись, Начко вилетів із редакції, доручивши співробітникам опрацювати те, що принесуть репортери вуличної й судової хронік.

Він ішов вулицею, якийсь час ні про що не думаючи, поспішною ходою, з похиленою головою, немовби збирався розбивати нею мури. Різкий східний вітер, що бурхав від самого ранку, охолодив його гарячу кров, навів йому холодніші, спокійніші думки. Начко почав обдумувати становище Регіни. Воно було жахливе. Без всякого статку й засобів до життя, на ласці тітки, яка має доньку на виданні, а до того ще й з таким братом на шиї, як цей Ернест, — дійсно, збожеволіти можна.

То ж і не дивно, що бідна дівчина піддалася спокусі й дозволила вжити себе за знаряддя інтриги, далекосяжності якої й сама, напевно, не оцінює. Начкові стало дуже жаль її. Начко готовий був зробити для неї все, щоб полегшити її прикру долю, але змінювати напрям своєї газети означало б топтати ногами власні ідеали, убивати свою власну душу! Ні, ніколи і ще раз ніколи! Цього вона не може від нього вимагати! А якби навіть вимагала, якби такою тяжкою для нього зрадою він міг окупити всі розкоші

раю, — то ніколи й ще раз ніколи не зробив би цього! Був би підлим, низьким, не гідним і жити на світі, якби зробив щось подібне! І, йдучи, Начко вдарив ногою об замерзлий брук, неначе для того, щоб більш виразніше виявити свою незламну волю.

Зупинився й роздивився, де він. Дійшов він, як звично, до вулиці Панської й стояв навпроти квартири пані Дреліхової. Хоча до його квартири було й недалеко, він все ж не пішов туди, а, незважаючи на сильний мороз та вітер, почав ходити по тротуару перед будинком пані Дреліхової, щоразу відходячи туди й назад лише настільки, щоб не втрачати з очей головної брами кам'яниці. Начко знав, що близько дванадцятої Регіна звичайно виходить із дому на годину — на урок музики й хотів хоча б здалеку побачити її. Але коли в брамі кам'яниці нарешті з'явилася її постать в чорному зимовому пальті, в чорному капелюшку з такою ж самою оксамитною кокардою збоку, але без жодних прикрас, з чорною каракулевою муфтою на правій руці, Начко мимохіть здригнувся й стишив крок. Регіна йшла навпроти нього рівною швидкою ходою. Різкий вітер зарум'янив її щоки, очі вона опустила долі, оберігаючи їх від дрібних снігових крупинок. Смілива думка зблиснула в Начковій голові, й, довго не розмірковуючи, він вирішив здійснити її. Порівнявшись з Регіною, він зняв перед нею капелюх і, вклонившись, звернувся до неї.

— Пробачте, панно, — сказав переривчастим від хвилювання голосом.

Регіна поглянула на нього. Тінь невдоволення пробігла по її чолу, однак після недовгого вагання дівчина ледь чутним голосом запитала:

— Будьте ласкаві, чим можу служити?

— Я хотів би поговорити з вами про дуже важливу справу, — сказав осмілілий Начко. — Якщо ви дозволите, я можу провести вас.

— Не знаю, чи це відповідне місце, — промовила Регіна. — Я поспішаю.

— Постараюся висловити все коротко, — сказав Начко, й обоє пішли в парі. — Отже, відразу — до справи. Ви, панно, були такі ласкаві, що написали мені лист, який я сьогодні одержав. Я широко-широко вдячний вам, панно, за слово втіхи й надії. Все ж я хотів би знати, чи все, що написано в тому листі, належить вам.

— Як це розуміти? — запитала, трохи зніяковівши,

Регіна.— Адже ж увесь лист написаний однією рукою, моєю рукою.

— Не про це йдеться, — відповів Начко. — Чи думка, висловлена в другій половині того листа, й умова, яку ви мені ставите, — чи це справді вияв вашого переконання?

Регіна відвернулася й ледве чутно відповіла:

— Так, пане.

— І ви серйозно думаєте стояти на цьому?

— Так, пане, — прозвучала так само тиха відповідь.

Начко на хвилю умовк, змагаючись сам із собою й шукаючи слів для продовження розмови. Зненацька почуття, до цього часу стримуване силою волі, піднялося весняною водою, прорвало греблі. Він схопив її за руку й, стискаючи ту руку в своїй, пристрасно зашептав:

— Панно Регіно, єдина, найлюбіша за все на світі, скажіть мені, чи це дійсно так? Скажіть мені всю правду щиро й відверто! Не завдавайте мені муки, на яку я не заслужив своєю любов'ю до вас! Чи справді та жорстока умова є вашим витвором?

Груди Регіни високо здіймалися від хвилювання. Дівчина, вивільнивши свою руку з Начкової і, все ще відвернувшись, прошепотіла:

— Так, пане!

Щоб не вихопитися з надто гострим словом, Начко міцно стиснув уста й лише після хвилі важкого мовчання промовив:

— А якщо я вам скажу, що це не так? Що ви кажете неправду? Що не знати заради якої мети, ви самі себе виставляєте в моїх очах у такому огидному світлі?

— Пане! — озвалася Регіна напівсуворим, напівболісним голосом.

— Якщо вам скажу, — продовжував невблаганний Начко, — що я знаю все, знаю, яку інтригу затіяла проти мене ваша вельмишановна тітка зі своїм шановним графом Адольфом і як під тиском теперішніх обставин вас використано за знаряддя цієї інтриги? І якщо я вам зізнаюся, що про все це я довідався від компетентної особи, від вашого брата, котрий саме був у мене, щоб вже наперед есконтувати плоди тієї інтриги? І котрого, замість відповіді, я звелів викинути за двері? Якщо я вам, панно, скажу все це, чи ви й тоді зможете відповісти мені «так, пане!»?

Ці слова справили на Регіну жахливе враження. Регіна спрямувала на Начка свої великі чорні очі з виразом не-

вимовної тривоги й водночас із благальним поглядом жертви, яку ведуть на смерть, зупинилася, мовби остовпівши, на місці. А коли Начко скінчив, вона стояла, як німа, лише дві гарячі сльозини з'явилися в тих чудових очах, побігли по щоках і впали на брудний сніг тротуару. Але раптом дівчина отямилась. Обличчя запалало рум'янцем гніву й обурення, і Регіна, обтерши муфтою сліди сліз, промовила тоном, повним гіркого докору:

— Ви мучите мене, пане! Ви не маєте серця! Прощайте!

І, відвернувшись, вона зникла в коридорі дому, перед яким вони обоє зупинилися, залишаючи Начка в німому остовпінні, здивуванні й розпачі. Начко нічого не бачив, не чув, не відчував, тільки ті її сльозини, великі й чисті, мов перлини. Ніякі слова, ніякі докори й любовні присягання не були в силі зворушити його так сильно й глибоко, як ті сльози коханої жінки. Він готовий був кинути на землю й цілувати місце, де вони впали. Відчував, що ті сльози печуть його, тяжать йому на серці, мовби два найважчі смертельні гріхи. Яким диким варваром він виявив себе перед нею! Скільки внутрішнього болю й приниження, напевне, коштували ті важкі сльози цій гордій жінці! І заради чого він витиснув їх із очей Регіни? Чи тільки для того, щоб переконати її, що вона одурує, що вона нещира? Який нікчемний привід, яка гідна погорди мета! Хіба ж він і досі не знав того, що знає тепер: що тільки лютий натиск, тільки розпачливе й нестерпне становище змусило її до такого поводження? Чи ж то не обов'язок коханого хлопця пощадити її в такому тяжкому становищі, мовчки подати їй руку допомоги, замість того, щоб ятрити її рану? І що тепер, що ж далі? Тепер вона справді має причину, щоб гордувати ним, ненавидіти його! Боже, боже, що ж він наробив!

Ні, ні! — шепотів йому інший голос — Адже ж усе це промовляло з мене кохання, чисте справжнє безмежне кохання. Кожна жінка його голос відгадає серцем, відчує інстинктом — і її не обдурить у цьому відчутті хоч би й найжорстокіший тон.

Але — що ж робити, що робити? — сам себе питав Начко, повільно йдучи до своєї квартири. В тяжкій задумі він схилив голову. В його серці відбувалася страшна боротьба, але у вирішальну хвилину в його уяві знову зблиснули дві великі сльозини в Регініних очах, і Начко розпачливо махнув рукою.

— Мені байдуже! — прошептав він. — Позбудуся життя, загублю душу, але здобуду тебе, матиму тебе Регіно!..

### VIII

Залу суду почала повільно заповнювати публіка, Був останній день процесу проти селян із Т-ського повіту, що збунтувалися, захищаючи ліси й пасовиська. Триденне судове слідство вже скінчилося — на сьогодні ще залишилися тільки виступи прокурора й захисників, резюме президента суду й вирок присяжних суддів.

Був початок квітня 1875 року. Заходило вже на весну. Сніг розтанув, теплий вітер повівав із півдня. Возний, судовий посланець Цідило перед початком процесу повідчиняв вікна зали, щоб освіжити повітря, й понаповнював графини свіжою водою, бо знав, що незабаром тут буде душно. Крізь великі, з аршинними кришталевими шибамися вікна саме падали навскісні теплі сонячні промені й опиралися ясними стовпами об гладкий паркет зали. Мов дзеркало блищала полірована під'явір лава присяжних суддів. Стіл голови суду, накритий зеленим сукном, був завалений паперами; на одному його краї, в самому потоці сонячних променів, лежали *сogroa delikti*<sup>1</sup>: окривавлені ціпи, стара, мотузками перев'язана рушниця-дубельтівка, загорнена в ганчірки пачка сірників та довгі снопові вила, гладенькі блискучі дерев'яні зуби яких висувалися мало не на середину зали. З протилежного боку лави присяжних, в самому кутку, в сутінках, стояла висока трибуна прокурора, а нижче — лава захисників та журналістів. Посередині зали, ближче до столу голови суду, була лава підсудних; ще дві таких лави виднілися й з боків — одна нижче лави присяжних, друга нижче лави захисників. Далі, поділивши залу на дві нерівні частини, стояла балюстрада, що відділяла публіку від акторів судової драми. Перед балюстрадою тяглася довга лава свідків. А в половині висоти зали була галерея для дам із розташованими амфітеатром сидіннями.

Вибило дев'яту. Цідило, невтомний цербер цього місця, позачиняв вікна. За балюстрадою й на галереї було вже чимало публіки. На саму балюстраду галереї опиралися ліктями Мільця й Регіна, зацікавлено ждучи словесного турніру, що незабаром повинен був розпочатися в цій залі.

<sup>1</sup> Речові докази (лат.). — Ред.

Мільця шептала, сміялася, штовхала Регіну, роблячи свої зауваження на адресу того чи іншого із присяжних суддів, котрі вже входили до зали; але Регіна, блідіша, ніж звичайно, мовчала й не спускала очей із дверей, куди мали вводити підсудних і куди повинні були ввійти захисники, адвокати.

Присяжні судді зайняли всі свої місця; прокурор сів у своєму кутку, на підвищенні, мов шуліка на обручі. Збираються й члени трибуналу — змучені й змучені ще перед початком засідання й, звичайно, зайняті чимсь зовсім іншим, аніж доля підсудних селян, яка незабаром повинна була тут вирішитися. Журналісти теж уже розсілися на своїй лаві й щось занотовують, схилившись над аркушиками паперу. Цідило, ставши в дверях бокової зали й поблискуючи своєю лисиною, забороняє входити якимсь нужденним, бородатим та пейсатим постатям, які, самі не знаючи чого, тиснуть ся сюди; це свідки, сільські євреї, що, вже три дні пробувши у Львові, раді б не пропустити й останньої, найцікавішої, сцени драми, щоб згодом можна було про все якнай докладніше розповісти своїм, менше щасливим, однак не менше цікавим одновітцям.

Увійшов президент — голова трибуналу зі зв'язкою паперу під пахвою, а за ним — обидва адвокати. Голова подзвонив — і до зали ввели підсудних. Вони ввійшли довгою низкою, в довгих полотняних убраннях, вихудлі, зжовклі, змучені довгим, майже дев'ятимісячним попереднім тюремним слідством, і сіли на лавах — дванадцять чоловіків та три жінки. Вигляд цих сумних, позгорблених і мізерних постатей не справив на публіку ніякого враження, бо ж це навіть для міських жителів щоденне явище, а до того ж усі підсудні були людьми статечного віку, з обстриженими вусами, декотрі з білим, мовби молоко, волоссям. Жінки теж були старі — наводити лорнети на їхні жовті зморщені обличчя — це річ, яка зовсім не окупиться, а вичитувати розповід тих зморщок — кому це приємно?

Отож не на підсудних, а на лаву захисників звернулися й очі Регіни. Захист вів уже відомий нам маленький округлий коморник зі своїм помічником Владиславом Калиновичем. Коморник сидів, сапаючи й обтираючи з чола піт, і по ньому було видно, що цей процес не дуже припадає йому до смаку. Під час слухання підсудних і свідків він був надто стриманим, запитань майже зовсім не задавав, а тільки допильнював формального боку процедури. І все ж,



незважаючи на це, почував себе якось не на своєму місці як захисник «збунтованих хлопів» і намагався не звертати очей на публіку за балюстрадою, звідки з недвозначним докором і жалем позиркували на нього граф Гіацинт і граф Адольф.

Зате Владко був, можна сказати, справжнім левом нинішнього захисту. Перший його дебют на цьому полі уже тепер, перед вирішальною хвилиною, можна було вважати блискучим, і, якщо не десь-інде, то на галереї Владко безсумнівно здобув собі повну симпатію. Більше того, і загалу публіки, і присяжним він зумів прищепити таку симпатію до підсудних, про яку спочатку ніхто й не думав. Різноманітними, на перший погляд, не раз дивними або й дитячими запитаннями від цих простих людей зумів видобути такі відповіді, які до глибини душі зворушували слухачів і часто кидали дуже яскраве світло на увесь той нещасний бунт та його причини. Найбільшим тріумфом Владка було поки що те, що голова суду, який спочатку протестував проти таких запитань, що, здавалося, зовсім не стосувалися справи й ні до чого не вели, нарешті змушений був визнати, що вони важливі й доречні. В своїх запитаннях, заданих підсудним і свідкам, Владко особливу й постійну увагу звернув зокрема на одну справу, яку звично обминали професійні юристи та яка часто вела їх до найфатальнішої оцінки поведінки селян. Цілою низкою зізнань підсудних і свідків (зізнання ті, як дуже важливі, він просив занотувати в протокол) він намагався з'ясувати перед присяжними правові поняття самого люду, які служать умотивуванням його дій, погляди люду на панщину, на інвентарні описи, на сучасні закони й інституції. Суддям, що засідали в трибуналі, старим зашкарубілим законникам, аж волосся ставало сторч на лисинах, коли вони чули виголошувані селянами з найприроднішим у світі виразом облич такі правові засади й погляди, які нічого спільного не мали з їхніми офіційними кодексами й параграфами. Деякі з тих формулювань народного цивільного кодексу викликали гомеричний сміх в аудиторії, інші ж натомість спрямовували до глибоких роздумів навіть панів юристів. А Владко не переставав усе новими й несподіваними питаннями викликати нові й завжди цікаві відповіді. Людям, що на питання прокурора й голови суду тільки очі витріщали й ледве-ледве могли зв'язати кілька слів, під час Владкових випитувань світліли обличчя й розв'язувалися язики.

Отож і не дивно, що Регіна, яка всі ці дні з найбільшою увагою стежила з галереї за ходом процесу або, точніше, за ходом Владкового захисту підсудних, щораз більше переконувалася в здібностях Владка, в силі його розуму й знання, щораз більше зосереджувала на його особі свої думки й почуття. Від першої зустрічі на тому пам'ятному балу, від тієї розмови з графом Адольфом, свідком якої вона була, Владко в її думках і мріях відігравав дуже важливу роль. Вона здивувалася і водночас втішилася, коли тітка якогось дня запропонувала їй звернутися до Владка як до молодого й здібного юриста за порадою з приводу її справи із Шнайдером про лотерейний виграш. Владко, як видно, теж надзвичайно зрадів візитові пань і пообіцяв зацікавитися цією справою. Коли ж через тиждень уже в нову квартиру з'явилася до нього нані Дреліхова разом з Регіною, то він заявив, що справу можна винести на судову залу, але водночас запитав пань, чи не краще було б особисто сконтактуватись із Шнайдером, і запропонував свої послуги. Регіна прийняла його пропозицію з вдячністю, і Владко негайно виїхав до Дрогобича, аби знайти там Шнайдера. А що він і від свого начальника мав у тих околицях кілька доручень, які вимагали численних подорожей по селах, а крім того, й Шнайдера в Дрогобичі не було й треба було шукати його в Бориславі,— отож і не дивно, що Владко пробув у тій стороні аж два тижні. З якою тугою, з яким нетерпінням чекала його Регіна! І не тільки тому, що в його руках тепер були її майбутні достатки, можливість або неможливість майбутнього незалежного життя й швидкого звільнення від ласкавого хліба тітки, який їй, гордій і замкненій у собі, майже від першого дня ставав кісткою в горлі,— ні, не тільки тому! Роздумуючи над собою, Регіна звільна переконувалася в тому, що вона кохає Владка, що без нього не зможе жити, що без нього не тільки ота половина суми лотерейного виграшу, але й усі скарби світу не мають для неї жодної вартості. Думка про нього була її єдиною розвагою, єдиною втіхою в її справді тяжкому житті в тітчиному домі, яке особливо тепер, після повернення брата, якого вигнали з віденської військової школи й який з безмежним нахабством і цинізмом чіплявся їй за полу, стало зовсім нестерпним. Тітка кривилася й тихцем нарікала на «дармоїдів», хоча, з другого боку, небагато завдавала собі труда, щоб за допомогою протекції графа Адольфа здобути їй обіцяну посаду на пошті чи телеграфі. Водила її, мов кішку

за соломинкою, а тим часом разом з Мільцею старалася непомітно штрикати їй в живе тіло тисяччку дрібних шпильок, Траплялися хвилини, коли Регіна спалахувала гнівом й обуренням, доходило до суперечок і сліз. В одну з таких хвилин пані Дреліхова й поставила перед Регіною оту фатальну умову, що стосувалася Начка, і змучена дівчина заради родинного спокою сповнила тітчину волю. Зрештою, Регіна про Начка не думала. З егоїзмом закоханих думала тільки про одного, не дбаючи про страждання другого. Йшлося їй про посаду, бо ж вона, знаючи хитрість і нечесність Шнайдера, сумнівалася, чи вдасться вирвати у нього спірну суму. Правда, розмова з Начком вельми принизила й зворушила її глибоко, однак приниження замикає й робить затверділим серце, отож відтоді Регіна старалася не думати про Начка. Коли Владко за тиждень після того епізоду з Начком повернувся, вона була першою клієнткою, яка відвідала його в його квартирі. Прийшла сама, без тітки й навіть без її відома. Її очі, яким почуття додавало проникливості, пильно стежили за кожним словом, за кожним виразом обличчя молодого адвоката. На тому обличчі дівчина старалася вичитати свій вирок, старалася знайти слід внутрішнього почуття й залишилася цілком задоволеною. Владко прийняв її з такою радістю і з таким сердечним, хоча й тактовно стримуваним теплом, що Регіна не без підстав зробила висновок, що й він під час своєї подорожі не раз про неї згадував. Розповідь про наслідки подорожі вона майже не слухала, сподівалася саме таких наслідків. Шнайдер значно зм'як, бачачи, що справа може взяти небезпечний для нього оборот, і став схильним до переговорів. Під Владковим натиском він згодився виплатити спадкоємцям блаженної пам'яті Киселевського половину виграної суми, вирахувавши з неї досить значні борги, які нібито поробив у нього небіжчик. Ані Владко, ані спадкоємці про ті борги нічого не знали. Шнайдер теж не мав ані розписок, ані інших паперів, але поклявся привести свідків. Справа, очевидно, затягувалася, й закінчити її відразу не було ніякої змоги. Тому Владко разом зі Шнайдером пішов до нотаріуса, в якого цей останній залишив заяву, що визнає право спадкоємців бл[аженої] п[ам'яті] Киселевського на таку й таку суму й обіцяє виплатити її на руки їх повновласника після проведення всіх інших обрахунків, а до того часу він ручається усім своїм рухомим і нерухомим майном за ретельне й своєчасне здійснення виплати. Владко

тріумфував і тому дуже здивувався, коли Регіна сприйняла його оповідь вельми меланхолійно й скептично, твердячи, що це підступ, що Шнайдер, звичайно, вже винайшов якусь нову підлоту й тільки намагається виграти час. Щоб заспокоїти Регіну, Владко зараз же написав про її побоювання дрогобицькому нотаріусові, прохаючи його, щоб він пильнував цю справу.

Такий поворот справи був для нього навіть приємним, бо ж на цій підставі він міг просити Регіну, аби вона частіше навідувалася до нього, чи, бува, не прийдуть якісь звістки з Дрогобича, що вимагатимуть швидкого вирішення.

І Регіна негайно скористалася з цього ввічливого запрошення. Вона приходила мало не що другий день, завжди на хвилинку, по дорозі на лекції музики. Обмінювалися з Владком кількома словами й поглядами, та й, стиснувши одне одному руки, мов давні знайомі, обоє розставалися раді, неначе знайшли якийсь скарб. Владко, на якого Регіна справила не таке вже сильне враження і який незабаром, напевне, забув би про неї, тепер, зустрічаючись із нею так часто, чуючи її голос та заглядаючи в її бездонні очі, почував себе щораз більше залежним від сили її чару й, не признаючись у цьому сам собі, чимраз частіше займався нею в своїх думках, а коли складав плани свого майбутнього життя, завжди якимось мимо своєї волі й свідомості зустрічав її в безпосередній близькості біля себе. Її чарівна голівка з чудовими очима й коротким волоссям стала для нього чимось подібним до тих святих облич, що дивляться на нас із медальйончика, який ми від дитячих років носимо на грудях, де його повішено з молитвою й благословінням руками люблячої матері.

На протязі минулих трьох днів, під час гарячих сутичок із прокурором, свідками, трибуналом і власною недогадливістю обвинувачених Владко не раз поглядав угору, на галерею, і його погляд із насолодою спочивав на тому чарівному, незмінно до нього зверненому личку, мовби з його очей, що палали подивом і сердечним почуттям, він бажав черпати силу, спокій і витривалість.

Глухий гомін пролетів по залі. Панові прокуророві надається слово. Прокурор підвівся зі свого місця й оперся кулаками об дошку пульта, всім тілом нахилиючись уперед, ніби стрілець в напрямку пострілу. Це був високий худий пан, із жовчним виразом обличчя й різким пронизливим голосом. Характерним у його істоті було те, що перед

кожним виступом на його продовгуватому худому обличчі з'являлась усмішка — не то іронічна, не то терпко-солодка, яка зовсім не гармонувала із його звичайним виразом, не пасувала до сенсу й тону слів, що після неї повинні були прозвучати.

І тепер пан прокурор, своїм звичаєм усміхнувшись, раптом, немовби щось собі пригадав, зморщив чоло, витріщив очі й опустив донизу кінці стягнутих губ, таким чином надаючи своєму обличчю досить комічний вираз болю й переляку.

— Панове присяжні, — струсонувши головою, заговорив він приглушеним могильним голосом. — Ми стоїмо на вулкані! Так, на вулкані, готовому кожну мить вибухнути й поховати нас усіх під своєю лавою!

І він на хвилю замовк, щоб усім присутнім дати можливість належно відчутти увесь жах свого біблійного віщування. Але, на жаль, як на боці глядачів, так і на лаві присяжних помітив окремі посмішки, що перелітали з обличчя на обличчя. Це спостереження було для нього тим же, що й острога для дикого коня. Прокурор випростався в усій своїй величності, навіть праву руку простяг, спрямувавши її під кутом 45° до рівня зали, й гукнув громовим голосом:

— Я бачу на ваших обличчях усміх недовір'я, сумніву або навіть і легковажності! Але те, що я сказав, правда, на жаль, занадто грізна правда! Ось тут, перед нами (він показав на підсудних), ви бачите перші брили, викинуті тим вулканом! Під час цього процесу ми чули його перші підземні поштовхи й гудіння. Ви поглядаєте на цих мізерних людей і думаєте: як це може бути? Адже ж це ті самі хлопці, яких ми щодня бачимо на базарах, які носять нам молоко, сир і масло, возять дрова, продають городину, з якими всі ми торгуємося, яким продаємо, від яких збираємо податки й повинності. І це вони мають бути лавою вулкану? Це їхніми вустами має промовляти підземний грім? На жаль, мої панове, це саме так! Цих хлопців, на нещастя, мільйони, а лавина, як відомо, складається з мільйонів невинних снігових пластівців і з нічого більше!

Після цього патетичного вступу пан прокурор зненацька змінив тон й, іронічно посміхнувшись, перестрибнув на тон спокійної об'єктивної розповіді. Факт бунту від його перших виявів, із безліччю епізодів та сцен постав перед уявою слухачів у всій наготі й пластиці. Пан прокурор залізав у душі обвинувачуваних, вигрібав із них найпотаємніші,

найчорніші мотиви й кидав їх, мов темні плями, на тло картини. Злочини кожного з обвинувачуваних він показав насамперед, окремо, щоб потім їх зібрати, зсумувати й хитрим риторичним зворотом змалювати всю справу, як одне кільце великої, по всьому краю поширеної конспірації проти законного ладу.

І тут знову настав новий і несподіваний поворот. Пан прокурор пригнувся, зіщулювався, мовби очікуючи згори якогось жахливого удару; своєму обличчю він надав вираз тривоги, мало не розпачу — й раптом заговорив тоном найвищого триумфу:

— Але ж ні! Не ваша перемога! Нінащо здалися злочинні замаху! Ще живе закон, живе справедливість у серцях громадян! Її караюча рука досягне вас, розгромить ваші підступні задуми! Хто ж бо ви є? Часточка темної, погорджуваної й погорди вартої маси, злиденне дно суспільства, гній, що повинен вважати себе щасливим, коли на ньому виростає буйний цвіт цивілізації. Конституція дала вам права, яких ви не заслужили, але та сама конституція з усією суворістю карає тих, які не вміють користуватися її благами. В ім'я захисту цих благ, в ім'я свободи людськості й священних законів власності, панове присяжні, прошу вас визнати підсудних винними!

Прокурор скінчив і сів.

Після нього взяв слово головний захисник, і похитуючись на своїх коротких ніжках, жваво жестикулюючи й звертаючись то до присяжних, то до трибуналу, то до підсудних, то до прокурора, виголосив промову, правда, суху, суто юридичну й трохи убогу змістом, але оживлену власною мімікою промовця. З детальністю старого практика він відзначав протиріччя у зізнаннях свідків, відсутність злого наміру в учинках деяких підсудних, тисячі пом'якшуючих обставин в діях інших і наприкінці, не без іронії віддавши пальму першості в красномовстві панові прокуророві, просив присяжних виправдати якщо вже не всіх, то принаймні деяких обвинувачуваних. Ця промова знаменитого адвоката справила досить прикре враження на слухачів і на присяжних. Не так умів говорити пан коморник в інших випадках! Було видно, що нинішня справа не припала йому до серця, що він сидить тут певним чином не на своєму місці.

Підвівся нарешті Владко, щоб виголосити свою першу публічну промову. Розпочав він несміло рівним, однак

трохи переривчастим голосом. Насамперед заявив, що для того, щоб оцінити значення й вагу вчинку підсудних, конче потрібно вивчити його причини — зовнішні й внутрішні, історичні й психологічні. Простими словами, не силкуючись на риторичні окраси й тільки підкреслюючи найважливіші факти, змалював у головних рисах історію скасування панщини в Галичині й історію викупу сервітутів, що з того скасування панщини виникла й тягнулася довгі роки. З двох точок зору потрібно розглядати історію того викупу й тих численних селянських процесів, розрухів та бунтів, які вона привела за собою. Цісарські грамоти-патенти й міністерські розпорядження, котрі стосуються сервітутної справи, виходять з того, давно вже відкинутого сучасною історією погляду, що селяни — це колоністи первісно панських земель і що за ті землі, які їм пани дали в користування, селяни зобов'язані були відробляти панщину. Одночасно з дозволом користуватися орною землею пани змушені були дати їм на утримання ще й пасовиська для худоби й дозволити їм рубати дерево в своїх, тобто первісно панських лісах. Ці права й ці двосторонні обов'язки стали підставою патримонального ладу, що тривав до 1848 року. Зі зміною й занепадом цього ладу той, хто втрачав права, повинен був одержати за них винагороду, а хто позбувався обов'язку, повинен був за це заплатити. Пани за право на панщину одержали індемнізацію; селяни, втрачаючи право користуватися панськими пасовиськами й панськими лісами, повинні були отримати винагороду — чи то грошову, чи то так звану еквівалентну, тобто наділені їм спеціальними комісіями площі лісів чи пасовиськ. Так це визначає теперішнє право. Виходячи з цього визначення, підсудні є винними, бо протидіяли проти чітких параграфів закону й розпоряджень властей.

Але чому вони це робили? Чи з сліпої ненависті до панів, чи з так само сліпої жадоби до чужої власності? Ось воно кардинальне питання, тут лежить справжня шкала оцінки їхньої поведінки. І, зіставляючи зізнання обвинувачених та свідків, промовець яскраво й пластично визначив мотиви їхніх дій і погляди, які штовхнули їх до цього. Селянські погляди на справу панщини цілком протилежні поглядам правлячих класів. Згідно з селянськими поняттями не пани, а селяни, громади є первісними власниками землі, лісів і пасовиськ; не селяни, а пани є зайдами й колоністами. Право панщини, на їхню думку, це право насильства

озброєних і організованих людей над людьми безборонними й роздрібленими. Право сервітуту — це тільки недостатній сурогат відібраної в громади первісної власності. Я кажу «первісної», але маю на думці не такі вже давні часи. Зверніть, панове, пильну увагу на те постійне посилення цих людей на юзефинські інвентарі. Що це значить, і чому кожна згадка про ці інвентарі так глибоко їх порушує? Ви оцініть це, якщо звернете увагу на такі дві справи: патент на скасування панщини, як відомо, дарує селянам ті землі, котрі перебувають у їхньому користуванні й записані як рустикальні землі в інвентарях 1820 року. Давнішні співвідношення володіння наше громадське право визнає недійсними. Чому ж ці люди ніколи не посилаються на ці інвентарі, але з такою впертістю сягають далі в минуле? Відповідь на це нам дають слова патентів і реєстри крайової табули. Патенти цісаря Йозефа виразно говорять про громадські ліси — інвентарі 1820 року про них нічого не знають. В юзефинських інвентарях значні простори лісів і пасовиськ зараховані до рустикальних земель, а в 1820 році — це вже панська власність. Як приклад промовець наводить порівняльний витяг з інвентарів 1763 і 1820 років, який стосується до того села, з якого походять підсудні; виявляється, що народна пам'ять детально заховала межі й обсяг первісної громадської власності й що саме з приводу цієї власності виник багаторічний спір.

— Не забувайте панове, — говорив Владко щораз теплішим і певнішим голосом, — що, як ми вже чули з уст підсудних і свідків, звичаєве народне право в громадських справах не знає за давнення. Щоб оцінити поведінку цих людей, пригадайте, що на більш як двадцятирічний судовий процес із панським двором за ці землі, які, на їхню думку, належать громаді, вони витратили близько десяти тисяч ринських, тобто мало не вдвічі більше від того, скільки взагалі коштують ті спірні землі. Отож можна бути певним, що не жаждоба до чужої власності, не жаждоба збагачення коштом пана спонукала їх до цього. Користолюбна людина не віддає двох гульденів за один. Пригадайте собі, панове, що ми тут також багато разів чули з уст численних людей, що земля в їхньому розумінні — це щось значно більше й святіше, ніж звична приватна власність, набута особистою працею, це перша умова існування громади, існування прийдешніх поколінь, народу. Саме для неї — вся праця, всі жертви, за неї вони готові були навіть свою



кров віддати й чужу кров пролити. Не схильність до судових процесів, про яку стільки у нас говорять, була причиною, що так довго тяглася ця справа. Ні, мої панове! Хто знає, скільки прикrostі, труду, тривоги й принижень приносить нашому селянинові, темному й несміливому, всяке найменше зіткнення з «панамі», а тим більше кожний процес, той ствердить, що осуджувати цього селянина в якійсь особливій схильності до процесів було б просто смішно. А якщо, незважаючи на те, ці люди так довго й запекло боролися, не вагалися руйнувати себе заради цієї боротьби і йти на солдатські багнети, то чи ви, панове, можете сказати по совісті, що на це їх штовхали низькі, підлі, звірячі, кари гідні мотиви? Моя совість говорить інше. На мою думку, ці люди, темні й погорджувані, шукали правди й справедливості, котра давно-давно, мовби муха в павутинні, застрягла в сіті незлічених патентів й розпоряджень. Коли ж, незважаючи на двадцятирічні труди, вони не змогли її вивільнити, то стали на останній шлях, той самий шлях, на який не раз ставали великі герої і значно більш освічені суспільства, — апелювали до сили, і сила їх теж перемогла. Що б там не говорив наш розум про цю поведінку, наші почуття, наша совість, панове, не може відмовити їй визнання й симпатії. У наш час, що тоне в егоїзмі й матеріалізмі, бачити людей, котрі, зрікаючись своїх вигод та інтересів, шукають загубленої правди й справедливості, — це, панове, підносить нас, це освіжає й облагороджує, хай ці люди навіть в полотняних вбраннях чи в лахмітті.

Тепер голос Владка, чистий і повний, мов голос дзвону, панував у залі. Ані сліду невпевненості, ані тіні фразеології чи погоні за ефектом, ані крихти розчулення або іронії: в кожному слові було чути щире переконання, чисту, мов кришталь, правду. Багатьом жінкам із очей плинули сльози, а одна з обвинувачених, знявши руки догори, промовила голосно, словами, які переривало схлипування:

— Благослови тебе господь! Ти — божа дитина, що так нас, бідних, захищаєш! Благослови тебе господь!

Однак голос Владка ще не дійшов до кульмінаційної точки своєї шкали. Чим ближче до кінця промови, тим більше він ріс і могутнів, тим більше наповнювався почуттям. Згадуючи слова прокурора про поширену по всьому краю шкідливу й небезпечну конспірацію, він порадив її шукати не під стріхами, а в багатих палацах, в парламентарних залах, що підтримують інтереси одного нечисленного класу,

однієї привілейованої касті на шкоду для добра мас, для добра загалу. Не представники, а жертви цієї мовчазної, але могутньої своєю організацією, освітою й впливами конспірації стоять перед судом. Не на ці жертви повинен падати весь тягар відповідальності за сумні й гідні жалю факти. Ці факти, які порушили спокій суспільства, знищили ті жертви матеріально. Те, що для нас було тільки прикрою новиною, для них стало руїною. За свої вчинки вони понесли вже аж надто дошкульну кару. Закінчуючи, промовець висловлює надію, що є ще справедливість у сернях громадян нашого краю, що люди, які шукають справедливості, жертвуючи власним добром й наражаючи власне життя, не будуть зараховані до злочинців. Промовець не просить помилування для підсудних, він переконаний, що іншого вироку, крім вироку виправдувального, присяжні судді не можуть винести.

Це сміливе закінчення викликало рухи незадоволення в трибуналі. У тиші, яка залягла в залі після промови Владка, було виразно чути, як один із суддів, трохи глухуватий, шепнув до іншого, думаючи, що ніхто не чує:

— Це, пане добродію, не захисник, *das ist ein Wühler!*<sup>1</sup>

Натомість на обличчях присяжних суддів запанувала поважна задума. Владко порушив справу зовсім з іншого боку, з якого її до сих пір не порушувано, і доторкнувся струн; близьких і споріднених з життям міщан та інших членів лави присяжних. Так само й на публіку, особливо на галереї, промова Владка зробила сильне враження, й хоча граф Гіацинт із графом Альфонсом посміхалися погірдливо, все ж було видно, що його промова в багатьох точках зачепила їх дуже непрjemно й що вони воліли б, щоб оцей молокосос промовляв десь у стайні до коней, а не тут до присяжних суддів.

Ще раз встав прокурор й іронічним зворотом відвів усі Владкові висновки про якесь вигадане звичаєве право, після чого сів, залишаючись цілковито при своєму обвинуваченні. Захисники мовчали, тому голова суду, звертаючись до присяжних, зробив для них чимале резюме всього процесу. В його тоні від самого початку виступу було чути не зовсім приглушену нотку недоброзичливості до захисників. Резюме чим далі, тим більше перетворювалося в обвинувачення. Голова пильно вишукував і підносив те, що

---

<sup>1</sup> Це бунтівник.

промовляло на шкоду обвинувачуваних, полемізував із висновками коморника, звисока трактуючи й часто ігноруючи Владковий захист як стилістичну вправу, що зовсім до справи не належить. Чим довше він говорив, тим більше сам себе переконував у вині підсудних, тим більше його голос набрав певності, що присяжні винесуть засуджувальний вирок. А коли витлумачував і роз'яснював їм закони, що вимагали покарати підсудних, голос його звучав суворо й майже наказуюче, немовби голова з притиском нагадував присяжним, що їхнім громадянським обов'язком повинне бути те, щоб вони на кожне з п'ятдесяти поставлених їм запитань одноголосно відповіли: «Винен». Отож, він прочитав їм довгий список тих запитань і відпустив їх у напрямі до бічної зали. Однак голова суду, розраховуючи на ефект свого останнього слова, трохи прорахувався. Його резюме, хоча було виголошене з незаперечним талантом і дуже виразно, мало одну значну помилку — було задовге, бо тривало майже цілих дві години. Слухаючи його висновки, в яких він, не завжди зберігаючи безсторонність, повторював те, що вже всі самі знали й чули, присяжні мали час дощенту проклясти його прокурорську сумлінність, тим більше що вже давно минула перша година й всі бажали якнайшвидше йти на обід.

Після виходу присяжних суддів фізіономія залу відразу ж змінилася. Відлетів дух вимушеної поваги й церемоніальності, що панував у ній досі. Члени трибуналу підвелися з місць, важко зітхаючи, ніби закінчили важку працю, й один за одним пішли до сусідньої кімнати випалити по сигарі. Прокурор підійшов до Владка й з іронічною усмішкою привітав його з першою блискучою промовою. Це ж зробили й газетні кореспонденти, один з яких відразу ж попросив Владка дати йому повний текст такої знаменитої промови для його газети й дуже жалкував, дізнавшись, що Владко, крім тез, не має нічого написаного й що вся промова була імпровізацією.

Поруч із Владком з'явилися й знайомі юристи, які запросили його на спільний обід, котрий за прийнятим у суді звичаєм після закінчення процесу вони дають на честь першого дебюту кожного нового товариша, само собою зрозуміло, за його кошт. Але найбільше здивувало Владка поздоровлення двох панів, які під час процесу сиділи на боці публіки — графа Гіацинта й графа Альфонса, володаря збунтованого села:

— Гратулюю, гратулюю! — промовив усміхаючися граф Гацинт і потиснув Владкові руку.— Ви блискуче захищали цих баламутів. Розумію вас, розумію: ваш обов'язок, ремесло! Так повинно було бути. Але повірте мені, пане, вони цього не варті.

— Знаєте що? — грубувато сказав граф Альфонс.— Якби я був присяжним суддею — звільнив би цих бунтівників після вашого захисту, але якби я був королем, то звелів би повісити вас на власну відповідальність.

І граф сміючись поплескав Владка по плечі.

— Дякую вас, графе, за комплімент! — відповів кланяючись Владко.

Регіна сиділа, німа й глуха до всього, що говорилося навколо неї; її зір і слух були сконцентровані лише на одній точці — на Владкові. Його тріумф видався їй власним тріумфом. Вона рада була б подякувати усім тим добродіям, що поздоровляли Владка. З якою б радістю вона й сама забралася б у ту громадку та як тепло стиснула б Владкову руку! А ось він сам підвів на неї очі — вона мимохіть, навіть несвідомо посміхнулася, й він відповів їй уклонюм. Вона відчула себе щасливою й заплющила очі, бажаючи назавжди зафіксувати в пам'яті цю гарну щасливу мить.

— А, Регінко, поздоровляю, поздоровляю! — шепотіла їй у вухо Мільця.— Ти зробила Egoberung!<sup>1</sup> Бачиш, як кланяється тобі Калинович!

— Дай мені спокій! — відповіла Регіна, обливаючись рум'янцем.

— Е, що я бачу! — сказала, не здаючись, Мільця.— Він і на тебе зробив неабияке враження! Що ж, дай боже щастя! А признайся, може, він уже просив твоєї руки?

— Боже мій, що ти хочеш від мене! — крикнула Регіна, роздратована цим легковажним копірсьанням в її найтаємніших почуттях і думках.

— Не бійсь, я нікому не скажу! — наполягала Мільця.— Ну, признайся ж! Ти думаєш, я не знаю, що діється межі вами?

— Ну, що ж ти знаєш, що? — підхопила Регіна й аж підкинулася на місці.

— Ага, бачиш! Удар об стіл, а ножиці озвуться. Що я знаю, то вже знаю, та нікому не розповідаю.

— Ні, ти скажи-но, скажи! — наполягала Регіна.

---

<sup>1</sup> Завоювання (нім.).— Ред.

Їхне жваве шепотіння не привертало до себе нічної уваги, оскільки галерея була зовсім порожня, бо всі дами повиходили в коридор, щоб охолонути, а в залі панував гоміт і шум.

— Не дуже так задавайся! — відказала Мільця, і в її гарних блакитних очах зблиснула така заздрість і неприємність, яких ніхто не міг би навіть запідозрити в душі такої елегантної й невинної істоти. — Не дуже задавайся! — повторила вона. — Бо якщо ти тільки хочеш, то я все розповім, але розповім — мамі.

— Говори, говори! — відповіла удавано байдуже Регіна. — Цікаво, що ти можеш таке розповісти, про що я сама соромилась би зізнатись?

— Невже так? О свята! О непорочна! І про побачення один на один з паном Калиновичем у його кавалерській квартирі зізнаєшся? Нібито йде на лекції, а вона собі — шасть і вліво! І думає, що ніхто про це не знає.

— Дійсно, — відповіла вимушено спокійно Регіна, — я не знала, щоб хтось був зацікавлений і мав охоту шпигувати за моїми кроками і до того ж отак по-дурному шпигувати!

— Ага, по-дурному! — відказала Мільця. — А мамі я можу розповісти про цю дурницю?

— Розповідай, розповідай, якщо тобі язик свербить.

— Атож, свербить. Тут, серденько, йдеться не про мій язик, а про честь нашого дому!

— Що? — голосно скрикнула Регіна, не пам'ятаючи себе з обурення. — Ти... ти... смієш...

Голос її урвався, вона не докінчила речення, але Мільця, перебиваючи її тріумфальним тоном, зашепотіла:

— Ну, ну, не кричи так! Ми ж у залі суду. Почекай-но трохи, повернемося додому й там поговоримо при мамі!

Регіна замовкла й відвернулась од неї. Пекучі сльози сорому, обурення й розпачу заливали їй очі, вже не перші сльози, вилиті під гостинним дахом тітки. Регіна не думала про те, що скаже тітка на це мізерне відкриття Мільці, бо почувала себе чистою й невинною. Її обурило тільки те, що Мільця сміла підозрівати її в якихось вчинках, які плямували б честь їхнього дому, і що та сама Дреліхова, про поведінку якої вона ще в дитинстві чула від бабусі уривчасті оповіді, може перетворитися в суддю її моральності. Крізь сльози, які вона лила тихо й зі стиснутими губами і які не приносили їй полегшення, Регіна глянула на Владка.

Він стояв на середині зали й щось тихо розмовляв з обвинувачуваними, облитий промінням сонця, в усьому блиску своєї симпатичної чоловічої постаті — і його вигляд приніс їй утіху. О, якби він знав, як їй боляче в цю хвилину, то він би втішив її, він би одним словом, одним поглядом вщент розбив би ці жалюгідні інтриги, котрими тут її обплутано під виглядом гостинності й родинної опіки! Він не дозволив би їй кривдити, допоміг би їй видобутись у вільний світ, до нового щасливішого життя, якого бідна дівчина, правду кажучи, ще й не зазнала на своєму віку.

Та ось гомін у залі затих — ввійшли присяжні. Галерея знову заповнилася. Залунав дзвінок голови, і всі зайняли свої місця. Присяжні також сіли, крім їхнього голови, огрядного панка з широким голеним обличчям виразно єврейського типу. Це був один із найзначніших львівських банкірів, людина освічена й відома своїми ліберальними поглядами, людина, котра під час наради присяжних суддів значно впливала на її наслідки. Він стояв випроставшись, із піваркушем паперу в руці — тим самим піваркушем, на якому були записані питання, запропоновані присяжним членами трибуналу. Озброївши ліве око оправленим в золото моноклем, він почав читати текст питань тоном, яким старався, як видно, наслідувати тон канцелярського писаки. І лише після того, як було зачитано питання, він енергійним рухом відкидаючи монокль, повішений на едвабному шнурку, додавав цілком відмінним, різким і сильним голосом: десятьма голосами — ні, двома голосами — так, всіма голосами — ні і т. п. Перевага виправдовуючих голосів біля кожного питання була велика. Голова трибуналу був трохи збентежений. Прокурор встав і нахилився вперед, немовби готуючись до опору проти такого нечуваного вироку. Навіть пан комірник якимось аж ніби засоромився і опустил донизу очі, боячись зустрінути повний докору погляд графа Гіацинта.

Та раптом сцена змінилася: голова трибуналу випогдив чоло, прокурор сів, комірник підвів очі. Одного з підсудних сімома голосами проти п'яти присяжні визнали винним у насильному опорі властям. Це був неначебто козел відпущення, якого після кількоххвилинної наради й зарізав трибунал, засудивши його на півроку ув'язнення, а решту всіх обвинувачених звільнивши. Такий наслідок був, в основному, справою голови присяжних, який зі звичною всім фінансистам проникливістю зметукував, що звільнен-

ня всіх обвинувачених матиме для них значно гірші наслідки, бо прокурор безсумнівно опротестує вирок, а трибунал звелить усіх підсудних під слідчим арештом затримати аж до рішення найвищого трибуналу, а це напевне триватиме щонайменше півроку. Отож за його порадою присяжні визнали за найдоцільніше пожертвувати одним підсудним, найбільш обтяженим провинною, щоб негайно здобути звільнення для всіх інших. І дійсно, ця надія справдилася: прокурор не опротестував вирок, а голова суду звелів зараз же випустити на волю всіх ув'язнених селян.

Марним було б намагання описати радість підсудних з приводу цього вироку. Вони обіймалися й плакали в залі. Навіть засуджений посміхався крізь сльози. Навіть публіка, котра під час процесу не дуже їм симпатизувала, розчулилася й виявляла радість. Навіть граф Альфонс, який перед цим і глянути на них не зволив, тепер підійшов до них, протекційно усміхаючись, а коли дехто наблизився до нього й поцілував його в руку, він, погрожуючи їм пальцем, промовив по-українському:

— Но, тим разом маєте щасте!

Владко тим часом, домовившись зі своїми знайомими юристами щодо ресторану, в якому повинен був відбуватися обід, побіг до керкермайстра, щоб негайно залагодити всі формальності й випустити підсудних на волю, водночас залишаючи для засудженого десять гульденів на його потреби. І справді, не минуло й чверті години, як Регіна, мовчки повертаючись із Мільцею додому, побачила оточеного цілою групою звільнених селян Владка, що йшов у їхньому колі до ресторану на обід. У цю хвилину першого й такого повного тріумфу для Владка було, очевидно, приємно побачити Регіну: він уклонився їй, і всі селяни, спонукані інстинктивним відчуттям, зробили те саме.

Була вже сьома година післяобідньої пори, коли Владко, змучений багатими враженнями сьогоднішнього дня, однак водночас веселий і словнений подвоєної сили до дальшої праці, повертався додому. Вгостивши колег і селян, він цих останніх відвів до залізниці, потайки давши кожному з них грошей на дорогу, зайшов до канцелярії свого мецената й опрацював один важливий і невідкладний реферат, а потім, почувши від когось із канцелярії якісь недобрі вісті про Начка й його «Гінця», довго ходив по місту — то до друкарні, то до редакції, то до давньої квартири, шукаючи брата, та, не знайшовши його, повернувся додому. Як же

він здивувався, коли в передпокої застав Регіну, яка, відвернувшись обличчям у куток, гірко плакала.

— Боже мій! — вигукнув Владко.— Ви — тут! І в сльозах! Що сталося? Що з вами?

І, подавши їй руку, повів бліду дівчину, що схлипувала й намарне силкувалася заспокоїтися, до салоники.

— Сідайте, панно! І заспокойтеся! — промовив Владко, з щирою турботою садовлячи її на кріслі.— Боже мій, ви, пані, вже, певне, давно чекаєте мене?

— Так, пане,— відповіла Регіна, поволі заспокоюючись.— Я чекала більше години, і ця година мені видалася вічністю.

— Але що ж сталося? Чому ви, панно, плакали?

Замість відповіді Регіна знову заллялася сльозами й затулила обличчя хустиною.

— Бога ради, панно Регіно! Заспокойтеся! — вигукнув Владко і взяв її за руку, яку вона віддала йому без опору.— Якщо я тільки зможу щось вам порадити, то прошу вас мені сказати... Адже ж ви знаєте,— додав він тихішим голосом, що йшов із глибини серця,— що я для вас готовий зробити все, все...

Регіна відкрила заплакане обличчя й своїми великими, мокрими від сліз очима подивилася на Владка з виразом такої вдячності, такого палкого й глибокого почуття, що йому аж самому сльози почали наvertатися на очі.

— О, спасибі, вам, пане, спасибі! — сказала Регіна.— На вас моя єдина надія. Але, прошу вас, залишіть мене на хвилинку саму! Нехай я заспокоюся, зберуся з думками! Боже мій, усе це спало на мене так несподівано, зрарило мене так боляче!...

Владко, не кажучи й слова, пішов до свого кабінету й сів на кріслі, марно намагаючись відгадати, що могло привести Регіну до нього в таку незвичну пору та в такому незвичному стані. Нараз його погляд упав на купку сьогоднішніх листів, які ще від ранку лежали на столі. Він узяв їх, порозтинав і заходився читати. Раптом, дочитавши першого листа, він підхопився з місця мовби опарений і почав швидко ходити по кімнаті. Лист був від нотаріуса з Дрогобича.

«Шановний пане докторе,— писав нотаріус.— Вперше в моїй практиці трапляється, щоб отак мене ошукано, як це сталося тепер і, на жаль, на шкоду вашій клієнтці, панні Регіні Киселевській. Той негідник Шнайдер поручився за



лотерейний виграш своїм рухомим і нерухомим майном, яке мав лише на папері, та до того ж привів мені як поручителів двох особисто мені відомих бориславських шахраїв, хоча й досить багатих. Як таких я їх знав, але мені не було відомо, що саме того дня, за годину перед підписанням поруки, обидва оголосили себе в суді банкрутами. Вони, правда, сидять тепер у тюрмі, але вам від того користі мало. Шнайдер же з грішми зник невідомо куди. Є підозра, що він утік до Америки, але так, як його ще позавчора тут бачили, то він не міг за цей час далеко заїхати. Шнайдер має брата в гірському містечку Лютовиськах, нібито аптекаря. Хтозна, чи не там, бува, він поки що сховався. Я, зі свого боку, зробив те, що є моїм обов'язком: про все повідомив суд, який негайно в усі сторони вслід за ним розіслав листи й телеграми про розшук. Проте я думаю, що бажано було б, аби ви самі особисто поїхали до Лютовиськ: може, там вдасться вистежити й спіймати цю пташку. Він, можливо, має намір стежками через тамтешні гори перебраться до Угорщини. Це було б для вас дуже погано, бо ж напасти на його слід в Угорщині для нас надзвичайно важко, а може, навіть і неможливо. Тому я насамперед раджу вам не втрачати часу.

З пошаною і т. п.»

Хвилину поміркувавши над листом, Владко пішов просто до Регіни.

— Думаю, що я знайшов причину вашого суму, — сказав він. — Ви, напевне, одержали звістку з Дрогобича?

— З Дрогобича?

— Так, від нотаріуса.

— Хіба ви щось отримали від нього?

— Так. Він надіслав мені погану звістку: Шнайдер утік із грішми.

— Справді? — запитала Регіна досить байдужим голосом.

— Значить, ви вже знаєте про це?

— Ні, пане.

— Як? Хіба не це було причиною вашого суму?

— Ні, пане! — коротко відповіла Регіна. — Віддавна знаючи того Шнайдера, я наперед сподівалася, що він зробить нам якусь несподіванку. Але мені тепер все одно.

— Все одно? Вам? Бійтеся бога, панно! Адже ж це величезна сума, двісті тисяч! Нотаріус пише мені, щоб я негайно

мчав за ним в погоню, в гори, до Лютовиськ. І я вважаю, що він має рацію.

— І ви думаете їхати?

— Так, пані.

— Чудово! — сказала, зрадівши Регіна. — Поїдемо разом!

— Що? Разом? — мовив здивований Владко.

— Саме так, пане. Сподіваюся, що ви візьмете мене з собою.

— Але ж — тітка... Чи вона дозволить вам вибратися в таку подорож?

— Не згадуйте мені про тітку! — гнівно вигукнула Регіна. — Тітка й знати мене не хоче! Тітка вигнала мене з дому, викинула на тротуар! О боже мій, боже! Що мені діяти, нещасній!

І бідна дівчина знову залилася сльозами. Владко стояв перед нею, зацікавившись від здивування.

— Але ж що таке сталося? З якої причини?

— Не питайте, пане, про причину! — відказала Регіна. — Колись я вам, може, розкажу. А тепер ходімо, їдьмо звідси! Я не хочу більше бачити цей ненависний Львів!

Владко стояв зніяковілий і здивований, не знаючи, що казати, що почати в такому незвичайному становищі. Знаюча Регіна енергійним рухом руки обтерла сльози з очей, встала й, підійшовши до Владка, взяла його за обидві руки.

— Пане, — сказала вона, — скажіть мені правду! Чи ви — чесна людина?

Владко великими очима вдивився в неї.

— Намагаюся нею бути!

— А чи кохаєте ви мене хоч трішечки, хоч десяту часточку того, як я вас кохаю?

Замість відповіді Владко з усім запалом молодості пригорнув Регіну до своїх грудей і подарував їй перший довгий цілунок в уста.

— Регіно! Дорога!... — прошептав він і не зміг закінчити від надміру почуттів, що наповнили його.

— Отже, я не помилилася, ви не обманули мого довір'я! — говорила радісна Регіна. — Значить, ви не відмовитеся мені допомогти?

— Життя моє! Я все, все зроблю для тебе!

— Добре. Спасибі тобі. Отже, маєш мене всю, як є. Я — твоя. Від тебе тепер залежить моє життя чи моя смерть.

Дозволь мені їхати з тобою! Не відштовхуй мене, бо інакше мені залишається тільки один шлях — до Пельчинського ставу.

Владко не дав їй скінчити ті слова. Гарячим поцілунком він затулював їй уста.

— Ні, ні, ні! — шепотів він, пригортаючи її до себе. — Не думай про це! Забудь про все зле, про всі муки! Ти — моя, і поки я живу, нікому не дозволю тебе скривдити. Ходімо, поїдемо вслід за тим шахраєм, а що робити далі, подумаємо по дорозі.

І поки Регіна збиралася, Владко написав короткого листа до свого шефа, просячи його надати йому кілька днів відпустки для важливої справи, потім написав картку для Начка, стисло повідомляючи йому, що виїжджає, і, вклавши обидва листи в конверти, заховав їх у кишені пальта.

Регіна була вже готова. Владко позамикав кімнати, відправив слугу й, подавши руку Регіні, вийшов із нею на вулицю. Вкинув листи в поштову скриньку й підкликав візника. Саме пробило восьму; за півгодини відходив поїзд до Перемишля; там треба буде перечекати до ранку й сісти на поїзд, що йде до Хирова й Задвір'я, доїхати тим поїздом до Устерик, а звідти вже возом три милі в гори, до Лютовиськ.

— На головний вокзал! — гукнув Владко до візника, коли обое сіли в зручний фіакр.

Візник свиснув батоном, фіакр із гуркотом помчав по брукові, відвозячи щасливу пару.

## ІХ

Ернест, заклавши руки за спину, широкими кроками ходив по експедиційній кімнаті «Гінця». Відколи ображена ним пані експедиторка зі сльозами в очах подякувала за службу, він сам зайнявся експедицією. Щоправда, за два тижні його урядування біля експедиційного віконця з кожним днем він мав усе менше й менше роботи. З кожним днем все меншала кількість місцевих читачів, що приходили за газетами. Минули ті ранки, коли від восьмої години ще біля замкнутих дверей натовп городян, кухарок і слуг очікував, чи скоро відчиняться двері, чи скоро привезуть на візку з друкарні першу паку газет, яку всі розхоплювали, покрикуючи, штовхаючись, сміючись і жартуючи. Відколи в напрямку «Гінця» стався фатальний поворот, його популярність раптом упала й розвіялась, мов

привид. Із двох тисяч щоденних читачів, яких мав він ще місяць тому, залишилося ледве п'ятсот. Особливо від того тижня, коли Начко на чільному місці почав друкувати «Ретроспективні думки», в яких із нечуваною досі в галицькій журналістиці зневагою й безоглядністю засуджував усе те, що недавно було для нього святощами, кидав у болото те, що недавно обожнював. Один могутній крик обурення залунав серед публіки, коли в донині улюбленому «Гінцеві» почали з'являться оті статті, й чим довше тяглося пасмо Начкових «Думок», тим більше обурення переходило в погорду. На газету, яка водночас із фатальним поворотом у передовицях і перерванням друку нищівної статті про кастову політику шляхти перестала вміщувати й такі цікаві та звично з великим талантом писані кореспонденції з провінції, попросту махнули рукою. Цікаво, що й інші газети, які донедавна нападали на «Гінця» за його крайній і хлопоманський напрям, тепер ударили його ще сильніше, немилосердно висміювали його за те, що він зрадив власні погляди, що кинув у болото власний прапор. Люди, яким недавно було публічно доведено, що вони за гроші продавали свої переконання, тепер зі шпальт бульварних, лакейських газет сипали вогненні протести проти такого приниження журналістського характеру, проти такого нечуваного відступництва.

Ернест ходив по експедиційній кімнаті, в якій уже кілька тижнів був самовладним паном, і усміхався. Дурень цей Начко! Одного дня звелів вигнати його за двері, а через кілька днів сам його розшукав і привів назад! Хотів удати з себе великого Катона, а виявився отаким простим, отаким жалюгідним черв'яком, якого він, Ернест, так легко зумів придушити!

Прийшло кілька читачів за газетами. Один із них, якийсь літній поважний чоловік, залатавши 10 центів за газету, став біля віконця й, прочитавши кілька абзаців передовиці, увесь посинів від злості, подер свіжий номер газети й, звертаючись до Ернеста, що спокійно дивився на цю маніпуляцію, грізно запитав:

- Чи це ви — редактор цього «Гінця»?
- Ні, пане,— відповів Ернест.
- А є пан редактор в канцелярії?
- Немає, пане.
- А коли він прийде?
- Не знаю, пане.

— Ну, то скажіть йому від мого імені, що він — цілковитий осел, божевільний та на додаток і ошуканець, бо велить собі ще й платити за таке шаленство.

— Добре, пане! — сказав із непорушним спокоєм Ернест, і той добродій, голосно лаючись, вийшов, грюкнувши дверима.

Такі сцени повторювалися в експедиційній кімнаті мало не щодня. Такі та до них подібні чемності, писані чорним по білому, приходили й з провінції. Передплатники вимагали повернути гроші — й Начко пунктуально відсилав їм грошові перекази. Кореспонденти, недавні союзники, — одні ганьбили зрадника з обуренням, інші ж із співчуттям радили йому, щоб він звелів відвезти себе на Кульпарків для лікарського огляду. Начко сумлінно перечитував усе це, виконував усі прохання й мовчав, мов заклятий.

Була вже десята година, однак редакційне приміщення ще порожнє. Від часу, коли з'явився перший фрагмент «Ретроспективних думок», увесь давній редакційний штат залишив працю в редакції «Гінця», заявивши про це публічно в газетах. Начко був змушений нашвидкоруч збирати найрізноманітніших збанкрутілих осіб, п'яниць екс-журналістів, вигнаних із навчання гімназистів або ж студентів, що прагнули заробити на хліб і заради грошей готові були працювати будь-де, та й з таких ото сил створювати нову редакцію. Отож і не дивно, що такий штат нелегко було привчити до доброї, систематичної праці, тим більше що три чверті тиражу залишалися на складі, й ніхто не мав бажання напружувати свої сили при такій безплідній праці.

Аж ось прийшов Начко. Боже, як він змінився за цей короткий час! Що залишилося з оцього юнака, ще недавно повного сил, здоров'я й надій! Він ішов згорблений, з опущеною донизу головою, немовби соромився сміливо подивитися на світ божий. Його обличчя, що ще не так давно цвіло свіжим рум'янем, було жовте, змізерніле, щоки позападали, на чолі пролягли дві глибокі борозни, а очі його стали мутними, без блиску, без сліду того внутрішнього життя, яке ще недавно било з них такою повною хвилею.

Похилений і понурий, він перейшов через експедиційну кімнату та приміщення редакції, не промовивши жодного слова до Ернеста, ні разу не глянувши навколо себе. Ішов повільно рівною ходою, немов лунатик по карнизу муру, а коли ввійшов до свого кабінету, то зупинився, начебто здивований тим, що вже немає куди йти далі, повільно під-

вів голову, роздивився довкола й, нарешті, почав знімати пальто, котре недбало кинув на диван. Потім ще кілька разів пройшовся тією ж ходою лунатика по кабінету й згодом присів біля столика, на якому здіймалася ціла купка листів. Машинально, не придивляючись до них ближче, Начко відкривав листи один за одним і читав, читав пильно й терпеливо.

«Зраднику демократичних ідей! Найпідліший покидьку суспільства! Жалюгідна креатура!» — це були епітети, якими наділяли його тепер. Один кореспондент радив йому після закриття «Гінця» найнятися в якогось пана за лакея, інший надсилав йому поштовим переказом гульдена на мотузок, на якому радив йому якнайшвидше повіситися, ще інший лякав його шибеницею і т. ін. Начко терпляче читав усі ці вибухи роздратованої пристрасті й ошуканих надій чесних, але обмежених людей. Його бліде обличчя, міцно заціплені зуби й стиснуті губи не виявляли й сотої частки того болю, що шарпав його нутро і, мов невиліковуваний рак, точив його душу. Але, врешті, один лист, відмінний від інших тоном і наміром, переповнив міру.

«Начку, любий брате, — писав йому одян із його найширших приятелів й найкращих кореспондентів. — Ради святого бога, скажи, що з тобою сталося? Я читаю останні номери твого «Гінця» з найпильнішою увагою й зі співчуттям, якого ти, може, й не сподіваєшся, та й доходжу до одного-єдиного висновку, що тебе, мабуть, спіткало якесь жахливе нещастя, котре одним ударом струсувало увесь фундамент твого життя. Навколо й у всьому краї чую одиноднісінький рев обурення, одну-однісіньку бурю лихослів'я й проклять на твоє ренегатство і, читаючи те, що ти пишеш у «Гінцеві», не можу відкрити рота, щоб оборонити тебе. Одначе моє сумління нашіптує мені, що ти більше нещасливий, аніж нечесний. Що ці блюзнірства, якими ти всіх підбурюєш проти себе, є тільки розпачливим криком твоєї наболілої душі, твого роздертого серця. Що тобі, брате мій? Звірся мені — мені, який знає тебе стільки років, який навчився в тобі цінувати й шанувати одну з окрас людства, людину, душею й тілом віддану ідеї добра й справедливості. Ні, ні, я нізащо в світі не повірю, що ті цинічні вислови про ілюзорність, оманливість цієї ідеї були твоїм переконанням, а не скреготом людини, що відчуває, як його серце гризе черв'як, котрого вона не може звідти видобути й котрого нікому не сміє показати. Ламаю собі

голову над усім цим і нарешті вирішив поїхати до тебе й особисто переконатися, що з тобою. Завтра виїжджаю на кілька днів до Львова; отже, до зустрічі!»

Прочитавши цей лист, Начко сидів якусь хвилю мовби остовпілий, аж зненацька криваві сльози бризнули йому з очей; він схилив голову на столик і заплакав, захлипав, як дитина.

— Боже мій! Боже мій! За що ти покинув мене? — стогнав він, нещасливий. — Чому ти не вберіг мене хоча б від одного болю, хоча б від одного з можливих принижень? Усе, усе — недружелюбність, інтриги, підлі плітки й шляхетні обурення, злослива радість противників і сердечне співчуття найкращих друзів — сплітаєш у вогнений бич, яким шмагаєш мене, шмагаєш до крові й кісті, о боже! А це останнє завдає найбільше болю, бо в усій жахливості вимальовує переді мною безодню, в яку я самохіть упав, і скарби людської симпатії, які я самохіть назавжди втратив!

Схлипування переривало йому мову, а сльози, давно вже не бачені, лилися струмком. Начко довго плакав, не знаходячи полегшення, одначе врешті джерело вичерпалося й не витрачений ще запас молодой енергії почав знову здобувати перевагу над розпачем.

— Чи й справді я втратив назавжди? — запитав він сам себе, підводячи голову. — Ні, тисячу разів ні! Якщо я до цього часу в цьому сумнівався, то саме цей лист справжнього приятеля дає мені доказ, що не все ще втрачено. Упав я — це правда! Спідлів — не заперечую! Але я зробив це з власної волі, хоча й всупереч своєму переконанню. І зробив не для себе, а для неї — для тієї, котру кохаю, — на жаль, відчуваю, що занадто кохаю, що кохаю більше, аніж власне життя, аніж власну честь. Але злочин, вчинений в ім'я кохання, хоча й не перестає бути злочином, все ж дає змогу спокутувати його й повернутися на добрий шлях. Ех, якби то я тільки здобув її кохання, її руку — то все, все зроблю, щоб знову повернути собі втрачене добре ім'я. І я поверну його, відчуваю в собі велику певність цього, з нею разом працюватиму. Вона мені допоможе знову здобути те, що я тепер для неї пожертвував.

І він ще раз — сотий чи, може, тисячний раз — пригадав кожну деталь тієї жахливої, згубної жертви себе самого на вівтар кохання. Після тієї пам'ятної розмови з Регіною він два дні ходив мов отруений, сам із собою борючись

ї не знаючи, що робити. Виразно бачив ниті інтриги, якими його намагалися обплутати, однак вся душа здригалася перед тим, що йому ставили за умову. Але, з другого боку, сльози Регіни розпалили в його серці ще страшнішу невгасиму пожежу: відчував, що без неї не зможе жити й що не зможе протистояти фатальній спокусі. Вирішив отож спробувати на іншому шляху.

Рік тому обидва брати, видобувши поблизу Товстого скарб Семка Тумана, розділили його на дві рівні частини й дали собі слово — не використовувати з цього скарбу ані гроша на свої власні, особисті потреби, а повністю витратити його на досягнення двома шляхами однієї мети — захисту пригнобленого й кривдженого працюючого люду та здобуванню для нього чим раз більших прав і чим раз більшої освіти. Господарюючи цим капіталом, вони повинні були жити й утримуватися лише за рахунок власного заробітку та не одружуватися до того часу, поки кожен із них не зможе утримувати дружину й сім'ю працею власних рук. Правда, брати відразу ж змушені були зробити виняток із цього правила й значну суму витратити на обладнання свого помешкання, але ж це обладнання було, зрештою, необхідною річчю навіть із точки зору тієї справи, якій вони прагнули служити, бо ж все те надавало їм більшої поваги й значення в очах людей, з котрими, згідно з характером їхньої праці, вони передусім повинні були стикатися.

Незважаючи на це, тепер Начко під натиском суперечних почуттів, що мучили його, насмілився цілковито забути про свою обіцянку. На другий день він написав Регіні лист, у якому, ознайомивши її зі своїм маєтковим станом, ще раз просив у неї руки, обіцяючи наперед записати й вручити їй значну суму грошей, котра б дала їй змогу, не шукаючи будь-якої посади, влаштувати доло брата таким чином, який видався б їй найвідповіднішим. Однак на цей лист він не одержав жодної відповіді. Змучений різноманітними думками, не здатний до праці, ходив бідний хлопець, мов туман, по вулиці, пильнуючи, коли вийде Регіна: він хотів ще раз поговорити з нею особисто. Але Регіна вже не з'являлася. Отож пішов він до пані Дреліхової — там його не прийняли. І тільки тоді Начко вирішив розшукати брата Регіни, викинутого за двері Ернеста. Витративши цілий день, він знайшов його в якомусь шинку напів'яного.

— Ха, ха, ха! — засміявся Ернест, побачивши його



й простягаючи йому брудну руку. — *Sergo venis, sed venis*<sup>1</sup> — чи як то нас колись учили. Значить все-таки прийшов, любий редакторе! Чудово, чудово. Сідай коло мене, вели подати пива — вип'ємо за новий союз! Ти, однак, добрий мав нюх, що аж сюди прийшов! Я вже турбувався, чим заплачу за те, що випив. Тепер я спокійний. Ти ж заплатиш, правда?

Начко з огидою поглядав на цю людину, яка хоч була ще така молода, але вже впала так низько. Сісти біля нього, пити разом із ним у цьому публічному місці вельми підозрілого типу він би не насмівся. Отож, підійшовши до Ернеста, сказав коротко й рішуче:

— Вставай і ходімо до мене! Там вип'ємо й поговоримо.

— А, знаєш, ти, їй богу, маєш рацію! — крикнув Ернест і, вставши з брудної лавки, обома руками повісився йому на шиї. — Ти вартий, аби тебе поцілувати! Я завжди знав, що ми ще будемо добрими приятелями, хоча позавчора ти поступив зі мною дуже по-свинському, слово честі!

— Ну, ну, не роби дурниць! — сказав Начко, звільняючись із Ернестових обіймів. — Про все це — потім, а тепер — ходімо!

— Платити! — щосили заричав Ернест, вдаряючи склянкою об стіл так, що аж вухо її відлетіло. — На, маєш! — додав він, піднявши відбите вухо. — Бачиш — добрий знак! Відлетіло вухо склянки — значить, наша дружба ніколи не розіб'ється! Ха, ха, ха! А я наперед був переконаний, що до цього прийде і що ти сам будеш мене шукати! Го, го, брате! Не такий я дурний, як обдертий: знаю, де раки зимують!

— Скільки цей пан повинен заплатити? — звернувся Начко до офіціанта.

— Почекай-но, брате, почекай! — кричав Ернест, проштовхуючись між ним і офіціантом. — Зараз я сам собі пригадаю, що пив, цей кельнер — страшений шахрай! Він один із тих, що хотіли замінити Мойсея за золотого тельця, — чи як там пишеться в Біблії? — слово честі! Отже, як же це було? Випив я три... Ні, чотири... Ні, п'ять... саме так... п'ять кухлів пива, дві чарки горілки... що ж іще? Ага, я їв щось, їй-богу, їв... Якогось дідька лисого з'їв — я ще його відчуваю в животі — але що це було, хай мене грім уб'є, не знаю...

<sup>1</sup> Пізно приходиш, однак приходиш (лат). — Ред.

— Оселедець і дві булочки! — пригадав йому послужливий офіціант.

— Ага, ага! — крикнув Ернест. — Гнилий оселедець! Що коштують у вас гнилі оселедці?

— Жартуйте, пане, собі на здоров'я, — сказав офіціант. — У нас — усе свіже.

— Справді? — проговорив здивований Ернест. — То ж бо я й дивувався, що той оселедець так ворушився на тарілці, — а він був свіжий, ще живий. Ну, то ж скільки коштує живий оселедець?

Уся ця огидна й глупа сцена клином вбилася в Начкову пам'ять, і щоразу, як Начко пробував проаналізувати історію своєї метаморфози останніх тижнів, саме вона поставала перед ним живцем, з усіма подробицями, в усій своїй жахливій мальовничості. Та це й не дивно, бо від цієї сцени розпочався вирішальний згубний поворот у його житті!

Коли вони вийшли з шинку, Ернест усім тягарем свого тіла повисився на Начковому плечі й почав теревенити щось безугавно, немов вода, що плюскає об млинове колесо.

— Ти, брате, не думай, що я такий п'яний, їй-богу, ні! Це я навмисне влаштував такий бешкет у шинку! І, знаєш, для чого? Щоб тебе позлити й сконфузити! Убий мене грім, якщо я тобі кажу неправду. Як тільки я побачив твоє пісне обличчя (страшенно не люблю пісних облич!), то зараз же собі подумав: достобіса, треба його добре розіслити! Ну, але я думаю, що ти розумієш жарти, га? Що? Не гніваєшся? Ну, скажи ж!

Начко щосили тягнув за собою п'яного Ернеста й усе прискорював ходу, подумки кленучи його, однак нічого не відповідав на його запитання. Ернест увесь час базікав, аж доки не дійшли до Начкової квартири. Проходячи попід тітчиною кам'яницею, Ернест не міг утриматися, щоб не сипнути пригорщу проклять та не дуже естетичних компліментів на голову тітки, яка ставиться до нього, мов до пса, не дає йому їсти, мов хлопчиськові.

— Але ж вона сама винна в тому, що я став на такий шлях, на якому тепер стою! — додав Ернест уже зі щирим гнівом. — Взяла мене нібито на виховання, а через рік їй уже сприкрилося посилати мене до школи. Ану, як би це тут позбутися гультя? Та дуже просто — віддати його до військової школи, нехай собачої шкури слухає! Скільки я наплакався, скільки напросився, у ноги їй падав, щоб не забирала мене з гімназії! Обіцяв їй, відьмі, в усьому

слухатися, старанно вчитися! Де там, не послухала, відштовхнула мене, мов цуценя, а тепер заламує руки в святому обуренні над моїм падінням! Ех, ти!..

І Ернест погрозив кулаком освітленому вікну на другому поверсі й додав ще епітет, якого не можна передати друком.

Від того вечора в тихій Начковій квартирі розпочалося нове життя. Ернест заповнив всі кімнати своїми теревенями, забруднив попелом цигарок, який залишав на столах, на софках і кріслах, наніс болота своїми черевиками, в яких ходив по килимах і забирався на дивани. Щоб не пускати його до шинку, Начко змушений був дозволити йому випивати в квартирі й, більше того, мусив і сам з ним пити за компанію. Стара Миколайова, за кілька днів доведена цією зміною до розпачу, подякувала за службу. Начко сприйняв це байдуже й вирішив не наймати нової служниці, а на обід ходити до ресторану. Воднораз він, влаштувавши Ернеста на роботі в експедиторській «Гінця», скоро переконався, що той і там проявляє свій неспокійний, авантюрний дух, що й там на кожному кроці сіє безладдя й нервозність. Панна експедиторка залишила роботу через кілька днів; адміністратор вважав Ернеста справжньою карою божою й уникав його, як зарази; коректор під час якоїсь занадто жвавої суперечки кинувся на нього з кулаками й добре його відлупцював; все це відбивалося й на роботі редакційної машини. Однак для Начка це було байдужим. Він радів тільки від однієї думки, що полегшив долю Регіни, здіймаючи з її плечей такий тягар та беручи на себе усі клопоти з Ернестом. Але це був лише початок. Ернест кілька днів теревенив п'яте через десяте про свої віденські пригоди, про сильфід, із якими водився, про нічні пиятики або й про свої божевільні плани на майбутнє; але, бачачи, що все те мало цікавить Начка, якогось дня почав лити з іншої бочки.

— А знаєш, Начку, ти мені сподобався! — сказав він одного ранку, немовби пригадавши собі щось, що вже давно крутилось на язичі.— Хоча ти й по-свинському повівся зі мною, але з моєю шановною сестричкою повівся ти дуже й дуже шляхетно. Чорт забери, де ти навчився отакої шляхетності? Я ніколи не мав до неї хисту. Знаєш, брате, що мені здається. Ти, видно, дуже кохаєш мою сестру, хоча до цього часу якось нічого й не згадуєш про неї. Ну, признайся, а ж таки її брат!

Начко зблід, слухаючи цинічні слова, котрі так безцеремонно торкалися його свята святих, і після хвиливної мовчанки сказав:

— Знаєш що, Ернесте, обличмо ці розмови!

Це була олія, підлита до вогню.

— Як це — обличмо? — крикнув Ернест. — Чому це обличмо? Для того тільки, щоб я не міг визнати й похвалити твій шляхетний вчинок щодо моєї сестри? Ні, брате, про це ми контракту не робили! І знаєш, що мені найбільше сподобалось у твоїй пропозиції? Те, що ти хочеш дати Регіні таку нечувану суму грошей з тією метою, аби вона могла забезпечити свого улюбленого братика. Не скажу тобі, що ця шляхетність зворушила мене до сліз (плакати я не вмю), але посміявся я над нею від щирого серця. Тільки знаєш, брате, всього цього замало.

— Чого — замало? — запитав Начко, увесь білий і остовпілий від однієї думки про те, що Регіна й цим його листом могла поділитися з тіткою й братом.

— Цієї твоєї пропозиції щодо грошей. Це само собою, але цього замало, цього не досить.

— А чого ж іще треба? — спитав, затинаючись, Начко.

— Треба, брате, виконати ту умову, про яку писала тобі сестра.

— Ту умову? Ніколи!

— Ну, то мені дуже жаль моєї бідної сестри, — сказав Ернест.

— Сестри? — повторив машинально Начко.

— Так, сестри, Регіни, якої ти, любий друже, добиваєшся, але вартості якої не знаєш і не підозрюєш. Насамперед дозволю собі, шановний, одне тільки сказати, що моя сестра, пане ласкавий, тебе кохає — і ще як кохає! Безтямно, шалено! Ні про що інше не хоче ні думати, ні говорити!

Начко посміхнувся недовірливо, хоча ці слова відбилися йому глибоко в серці.

— Не віриш! — зненацька вигукнув Ернест, змінивши голос, — ну, що ж, не вір! Видно, як ти кохаєш її. Видно, що ти не вартий такого кохання й такої жінки, як моя сестра. Посміхаєшся іронічно! Посміхайся, але я знаю, що ти думаєш. Думаєш, яке я маю право, я, зіпсована людина, оцінювати таку жінку? Те, що не мені б її оцінювати, я знаю, але не настільки вже я зіпсований, щоб не міг пишатися такою сестрою. Про її красу я нічого не кажу. Бо що

таке краса? Марний дим. Але я знаю її душу, знаю її характер, і кажу тобі, брате, що це золото, шире золото. Іншу таку не так легко й знайдеш. Треба було бачити її тоді, коли ми були в злиднях, після смерті батька, — з якою витривалістю, з яким самозреченням вона зносила все, відривала від себе, щоб нам з мамою не дати відчутти нестатків! З якою невичерпною терпеливістю й енергією вона додавала нам відваги й до школи ходила, і поза школою працювала, щоб збільшити мізерні матірні засоби до життя! Начку, небоже! Кого кохає така жінка, того вона зробить щасливим! Кохання такої жінки варте й найбільшої жертви!

Начко із здивуванням поглядав на Ернеста, опухле зім'яте обличчя якого аж стало благороднішим й світлішим, коли він говорив про Регіну. Видно було, що він говорив щиро, і взагалі чим довше Начко слухав його торохтіння, тим більше тонував у поведі слів і уявлень, тим більше втрачав почуття, де Ернест говорить правду, а де бреше. А зараз його власні почуття й прагнення зустрічалися на одному шляху з тим, що говорив Ернест. Начко готовий був віддати половину свого життя за крихту кохання Регіни до себе, а тут зненацька дізнавався, що Регіна його кохає — сильніше й гарячіше, ніж сам він смів про це мріяти.

— Але якщо правда те, що ти кажеш, — повільно промовив Начко, — якщо вона мене кохає, то чому ж вона не прислухається до моєї просьби, не віддасть мені своєї руки?

— Отож-то бачиш, брате, в цьому й заковика, — сказав Ернест. — Сестра охоче це зробила б, з цієї причини між нею й тіткою вже навіть до сварки доходило. Але не може.

— Чому не може?

— Бо це була остання воля нашої бідної матері — щоб жодна із сестер не одружувалася без тітчиної волі, — збрав Ернест.

— І Регіна не може піти проти тієї волі?

— Вона хотіла б піти, але бачиш, брате, вона ще неповнолітня, тітка є її опікункою й ніяк не хоче дозволити на її зв'язок із тобою, доки ти не зміниш напрямку свого «Гінця».

— Але ж це безглуздя! — крикнув Начко. — Якщо Регіна мене кохає, то нехай просто покине тітку й одружиться зі мною проти її волі й без її благословення!

— Цього, брате мій, Регіна теж не може зробити. Ти ж знаєш, який вплив має тітка. І порвати з нею — це означало б викликати її гнів проти всієї родини. А ти повинен знати, що ми маємо ще одну сестру, одружену з дрібним урядовцем в провінції. У них є кілька дітей, отож вони намагаються з допомогою тітки здобути протекцію у графа Адольфа, щоб їх перевели до Львова на кращу посаду. Якби Регіна одружилася з тобою всупереч тітчиній волі, то тітка з помсти могла б знищити нашу бідну сестру з її чоловіком і дітьми. Ти, брате, не знаєш, що це за жінка, оця наша тітка!

— В такому разі я краще на певний час перестану видавати «Гінця», — після хвилини тяжкої внутрішньої боротьби сказав Начко. — Аби тільки здобути Регіну, а потім знову розпочну видавати газету наново.

— І я думав, брате, що так було б найліпше, — сказав Ернест, — але здається мені, що й це не вихід із становища. Тут же йдеться не про «Гінця», а про твої власні погляди. «За людину, яка має такі погляди, я ніколи не дозволю вийти заміж моєї племінниці, аж доки та людина своїх поглядів не змінить і відверто не відмовиться від усіх своїх блюзнірств!» — це власні слова тітки.

— Ну, то нехай собі її тримає! — гукнув Начко, встаючи. — Змінити напрям газети — це значить самому собі підтягти ноги! Що ж це, чорт його бери, тут якась інквізиція, щоб я змушений був відмовлятися від того, що я всім серцем і сумлінням вважаю слушним і справедливим! Ні, нічого з цього не буде!

— Бідна Регіна, бідна моя сестричка! — нібито до себе промовив Ернест. — Чи це вже останнє слово? Я можу це їй передати?

— Я сам передам, — сказав Начко.

— Ні, пане, цього аж ніяк не треба робити! — вигукнув Ернест, ніби злякавшись.

— А це чому?

— Якби-то адресант знав, скільки прикрощів робить їй кожний отриманий лист від пана! Але це ще нічого. Тепер вже вона жодного листа від редактора «Гінця» не отримує. Тітка ясно наказала листоношам, щоб вони віддавали їй особисто в руки всі листи, ну, а твоїх листів вона напевно не вручить Регіні. Своїми листами, пане, ти тільки без потреби погіршиш її становище в тітчиному домі.

— Боже мій! — вигукнув Начко, хапаючись за голову. — Виходить, у мене немає ніякого виходу, тільки

стати перевертнем, розтоптати власний прапор або — смерть?

— Ну, ну, брате Начку,— сказав Ернест, поплескуючи його по плечі.— Тільки не сприймай цієї справи так трагічно. Чи то раз людина в газеті встругне дурницю? Невже це така велика справа написати кілька двозначних чи невизначених статей і на кілька місяців замкнути ворота перед кореспондентами? Можна їх навіть попередити листовно, що на такий і такий час ми про людське око змінюємо напрям газети, проводимо дипломатичний маневр, а пізніше знову повернемо на давній шлях.

— Ні, ні, ні! — крикнув Начко.— Це була б підлота подвійна, це підлість фальшива, замаскована. Якщо я вже маю робити підлість, то зроблю її відкрито, беручи на себе всю відповідальність.

— А щодо порозуміння з Регіною, то тобі, брате мій, не залишається ніякого іншого способу, крім мого посередництва. Правда, тітка заборонила мені приходити до її дому, але я все-таки якийсь раз на тиждень можу побувати в сестри й передати їй все, що ти звелиш. Можеш, зрештою, навіть для ліпшої певності написати, бо я часто забуваю, що мені хто сказав.

Начко слово в слово пригадав собі ту розмову, що вперше похитнула його тверду постанову — не піддатись інтризі й вистояти. Однак перемога Ернеста все ж не була ані швидкою, ані легкою. Начко чинив опір на кожному кроці, штурмував Регіну листами, які відсилав через Ернеста і на які звично одержував тільки усні й щоразу неприхильні відповіді. А Ернест, тим часом виявивши слабе місце, мовби кліщ, угризався в хлопця щораз глибше, товк завжди те саме: то вихваляв чесноти Регіни, то малював її тяжке становище в тітчиному домі й на ласці в тітки, в якій є й своя донька на виданні, котру Регіна з усякого погляду затьмарює. Ця безперервна балаканина Ернеста інколи доводила Начка до люті, а інколи й до сліз — і поворот у напрямі «Гінця» відбувався непомітно, немовби сам собою. Вилучено всі дратівливі кореспонденції й систематично замовчувано багато важливих, але для шляхетських сфер неприємних фактів, не кажучи вже про перервання Начкової передової статті, яка в свій час справила таке сильне враження. Однак Ернест із упертістю й монотонністю ідіота штовхав його щораз дальше, немилосердно посилаючи сіллю рани його душі, доки доведений до роз-

пачу Начко врешті не написав своїх «Ретроспективних думок». Ернест похвалив їх і дав йому слово честі, що тепер, після опублікування цієї блискучої статті, тітка напевне нічого не матиме проти його одруження з Регіною. І Начко здав статтю до друку.

Але вчинивши цей великий злочин проти духу прогресу й справедливості, Начко посмутнів і якось швидко спав на силах й на душі. Він став апатичним і замкнутим; навіть Ернестові оповіді про Регіну вже не могли змусити його кров рухатися жвавіше. Начко не бачив Регіни ще з того дня, коли звелів випроводити за двері її брата. Якийсь час Ернест говорив йому, що вона нездорова, потім, що кудись виїхала на кілька днів із тіткою, а то вона не виходила, бо була сльота. На нещастя й Начкового брата вже три тижні не було у Львові: в самий день гучного судового процесу він виїхав, залишивши Начкові лише невелику картку, повідомляючи, що виїжджає на кілька днів у дуже важливі справі й що незабаром напише йому більше. Дивна річ — три тижні минуло, Владко не повертався й нічого не писав. Начко не знав навіть, де він перебуває; канцелярія адвоката мала від нього повідомлення з Устерик, але ще двадцять днів тому. Начко отож залишався сам із своїми почуттями й думками, із своїм болем й приниженням.

Він не раз цілі години просиджував біля вікна своєї квартири, вдивляючись у протилежний глухий мур. Остогидла йому праця, остогидло друковане слово. Думки не плинули ясно й стисло, як давніше, але рвалися й билися на місці, немов чорні птахи в бурю. Начко почував себе зламаним, і лише інколи в ньому зблискувала давня енергія. Про Регіну він думав рідко; часом йому навіть здавалося, що все саяво її краси, всі добрі риси її характеру опадають з її постаті, мов пелюстки зів'ялої троянди, залишаючи лише колючки.

Один тільки Ернест не покидав його: він був повним господарем у їхньому спільному помешканні. Начко корився йому, мов дитина, пив із ним вечорами, не раз до пізньої ночі слухав його патякання й намагався забути про ті гризоти, що терзали його. Трунок, якого він раніше не вживав і який під наполяганням Ернеста спочатку пив із огидою, тепер став для нього необхідним засобом заспокоєння, ліками від безсоння вночі та засобом збудження життєвої енергії вдень. А Ернест із щирістю й старанністю, гідною



кращої справи, вів, майже тягнув його тим похилим шляхом.

Такі думки займали Начка, коли він сидів біля редакційного столу, схиливши голову у руки, над листом приятеля з провінції. Відписувати йому не потрібно: завтра чи післязавтра він сам тут буде, але що йому скаже Начко? Бідний приятель піде від нього розчарованим, а може, навіть і обуреним, коли побачить, що Начко на його щирість не хоче відповідати щирістю. Ліпше було б, якби він не приїжджав.

Задумавшись, Начко навіть не чув, як двері його кабінету тихо відчинились і увійшов Ернест — з тим же, що й раніше, виразом глузливої усмішки на обличчі. Він зупинився у дверях і якусь хвилю приглядався до Начка.

— Пане редакторе, — сказав нарешті.

— Га! — промовив Начко, перелякано зірвавшись з місця. — Це ти, Ернесте?

— Я, пане редакторе, — відказав Ернест. — Прийшов із маленьким проханням.

— Яким проханням?

— Тут, на Зеленому, мені трапляється маленька садибка, будиночок із садком — я хотів би її купити.

— Що, що? — крикнув Начко, протираючи очі. — Ти хочеш купляти садибу? А це за які гроші?

— Отож-бо воно й є, — сказав Ернест, все ще глузливо усміхаючись і чухаючи потилицю, — я хотів би, пане редакторе, просити маленьке а-конто.

— Маленьке а-конто — для купівлі садиби! А скільки ж ти хотів би грошей?

— Та так, десять тисяч.

— Ха, ха, ха! Експедитор, що одержує на місяць тридцять гюльденів, хоче десять тисяч а-конто! Йди геть, Ернесте, не жартуй отак, бо мені не хочеться сміятися!

— А я й не жартую, — поважно відказав Ернест, — і хочу одержати цю суму не на а-конто мого експедиторства. Я думаю про інше а-конто. Пане редакторе, варто б пригадати, що писалось моїй сестрі про забезпечення мого майбутнього. Думаю, що це буде найкращим способом? Я маю великий потяг до господарювання. Куплю собі господарство й стану порядним львівським бюргером, а ви з Регіною живіть собі, як подобається, я вам напевне ні в чому не перешкоджатиму.

І знову глузливий усміх майнув на його обличчі.

— Чи ти, Ернесте, здурів? — понуро запитав Начко.— Я піде й ніколи не обіцяв дати тобі в руки якусь суму й ніколи цього не зроблю.

— Чи це й справді так? — вигукнув ображений Ернест.— Це, значить, така вдячність за мої послуги, за мое добре серце? Гаразд, тоді я й хвилини більше не хочу тут бути! Дякую, пане редакторе, за службу!

— Не плети дурниць, Ернесте! — сказав Начко.— Ти, певне, зранку випив без мене більше, ніж потрібно, й тепер тобі в голові макітриться.

— Чи й справді так думаєш, пане редакторе? — вигукнув Ернест, підходячи до нього ближче.— Помиляєшся, брате! Нічого я не пив, однак скажу тобі правду. Набридло мені це дурне життя з тобою і ця комедія, яку я з тобою граю. Бувай здоров і живи щасливо!

Начко глянув на Ернеста здивованими очима.

— Яку це ти комедію граєш зі мною? — запитав.

— Е, багато говорити, а мало слухати,— відповів Ернест.— Одне тільки скажу я тобі, що ти дурень, подвійний дурень, бо ошукав тебе такий дурень, як я. Бувай здоров! А цей лист розповість тобі решту!

І, кажучи це, він уклонився Начкові й поклав перед ним відкритий лист — на його конверті виднілася адреса Начка, писана Владковою рукою.

— Ще одне тобі скажу, братику,— промовив Ернест, затримуючись у дверях.— Твій лист до Регіни — той, у якому ти обіцяв гроші — перейняла тітка. Регіна його не бачила і з твоєю дурною зміною на пряму газети не має нічого спільного. Це — моя і тітчина справа — за те, що ти звелів мене вигнати. Ось що я ще мав тобі сказати, аби спростувати факти. Прощавай, пане редакторе!

І Ернест, висвистуючи веселу мелодію якоїсь шинкової пісеньки й засунувши в кишені руки, вийшов із редакції «Гінця». А Начко довго стояв на місці мов остовпілий і не міг витлумачити собі того, що сталося, ані зрозуміти всю важливість останніх слів Ернеста. Врешті він сплхнув і сказав:

— П'яна бестія, і все!

І саме в цю мить йому на очі потрапив лист Владка. Начко глянув на дату — лист був писаний ще два тижні тому в Лютовиськах. Лист, певно, був принесений на квартиру тоді, коли Начка не було вдома; Ернест же перехопив його, прочитав і затримав у себе. Але для чого він затримав?

І чому саме тепер згадав про нього й віддав його Начкові? І який зв'язок цей лист має з комедією, яку нібито грав із ним Ернест? Всі ці питання зароїлися в Начковій голові, коли він виймав лист із заяложеного конверта. Лист був короткий.

«Любий брате! — писав йому Владко. — Тобі першому і єдиному сповіщаю про своє щастя. Саме сьогодні в цьому далекому глухому місці я став на шлюбному килимі, присягнув до смерті любити й бути вірним жінці, яку я більше життя кохаю і яка гідна кохання й пошани, — панні Регіні Киселевській. Знаючи тебе як доброго й щирого брата, думаю, що ти не відмовишся надіслати мені братнє привітання, а моїй улюбленій дружині — пошанування і братерську любов. Ми ще з тиждень пробудемо тут, у недалекому селі Ступосяні, а потім повернемося до Львова, в твої обійми. Тоді ти дізнаєшся й про те, що нас обох так зненацька й несподівано зблизило й завело до Лютовиськ.

P. S. Перед моїм від'їздом я чув якісь поголоски, що з твоїм «Гіндем» щось недобре. Я шукав тебе, але не міг знайти, отож і досі не знаю, що там з тобою діється. Тут же ніяких газет не читаю: занадто щасливий. Може, це й гріх, але я сподіваюся, що господь-бог мені його відпустить. Напиши мені отож, що там у тебе чути. Моя Регінка шле тобі сердечне вітання. Обіймаю й цілую тебе від щирого серця.

Твій брат Владко.

— Боже! — прочитавши цей лист, скрикнув Начко й упав зомлілий на диван.

Коли його привели до тями, він був блідий мов труп. Похитувався на ногах, на запитання відповідав механічно «так» або «ні», не розуміючи заданих йому питань. Був наче той голуб, у якого відтято половину мозку: ще живе, але всі головні нерви його вже паралізовані. Увесь редакційний штат стояв навколо нього переляканий і здивований, але він після довгих роздумів махнув рукою, просячи усіх йти до роботи. Потім, знову нерухомо посидівши з чверть години, взяв аркушик паперу, написав вгорі адресу Владка, а під нею слова: «Приїжджай якнайшвидше: я дуже хворий». Подзвонив і віддав аркушик одному з працівників редакції, просячи його, щоб відніс записку на телеграф. І знову ніби остовпів, сидів і ні про що не думав, нічого не чув. Якась величезна чорна тиша залягла в ньому; сидючи

отак непорушно, Начко відчував, що тоне кудись в бездонну темну й тиху глибіню, із якої вже немає ні виходу, ні повороту. Біль, побоювання, тривоги, надії й розчарування, котрі ще годину тому шарпали його нутро, тепер ледь мерехтіли, мов відблиски якихось далеких кривавих зірочок на далекому-далекому небокраї. Що йому до них? Що їм до нього?..

— Пане редакторе, чи ви ще дасте нам якийсь текст для завтрашнього номера? — відчиняючи двері, запитав один із співпрацівників.

— Ні, — відповів Начко безтямно, але в ту ж мить, ніби прокинувшись зі сну, запитав.

— А є тут хлопець із друкарні?

— Є, пане редакторе.

— Гаразд, нехай трохи зачекає, я зараз дещо напишу.

І, нерухомо впершись очима в одну точку, Начко почав думати, думати, а згодом повільно, великими літерами написав на аркушику паперу такі слова: «Усім тим, що в священному гніві й обуренні вже місяць були ласкаві плювати нам в очі й обкидати нас болотом, ми заявляємо, що вони мали цілковиту слухність і що наша поведінка була дійсно безпринципна, дурна й підла. Отож, припиняючи випуск самовільно нами скомпрометованого видання «Гінця», ми визнаємо це, щоб виконати обов'язок перед сумлінням, просимо в наших друзів пробачення. Нехай наш жахливий приклад стане наукою стійкості на один раз вибраному напрямі».

Цей рукопис, єдиний у своєму роді, впав немов бомба в редакційну кімнату, сіючи переполох і тривогу. Співпрацівники сиділи з видовженими обличчями й позиркували один на одного так, ніби хтось їм усім разом дав ляпаса. Раптом відчинилися двері кабінету — й повільно, хистким кроком, із похиленою додолу головою ввійшов Начко і, спершись обома руками на стіл, не підводячи очей, сказав глухим розбитим голосом:

— Дякую вам, панове, за дотеперішню допомогу! Прощу кожного з вас написати собі рахунок аж до кінця місяця — пан адміністратор виплатить. Пане адміністраторе!

Адміністратор вийшов зі своєї клітки, де сидів, похилившись над рахунковими книгами, поряд з великою вогнетривкою касою.

— Я вас слухаю, пане редакторе!

— Сьогодні ми закінчуємо нашу роботу. Повиплачайте усім співпрацівникам до кінця місяця! Складіть також і свій рахунок до кінця кварталу й виплатіть собі. Усім найнятим робітникам — те саме. Ці видатки впишіть до книг, покладіть книги в касу, замкніть її й віддайте мені ключ!

Все це було сказано поволі, хоча й слабким, однак рівним і рішучим голосом, що не допускав ніяких дискусій, ніякого спротиву. Водночас із дванадцятим ударом годинника всі накази були виконані, редакційний штат, попрощавшись із Начком, вийшов, пішов також й адміністратор, розійшлися й найняті робітники. Начко залишився сам. Він не думав, що робить і що з ним буде далі. Перетворився в автомат, що живе лише теперішнім часом. Минуле зникло за ним в безодні, його спалила блискавиця, воно зникло без сліду; майбутнього ж не було ніякого. Начко підвівся з крісла, на якому сидів, і з певним задоволенням розглядався довкола. Тут перо одного із співпрацівників так і залишилося застромленим у чорнильницю — він вийняв його, обтер об товстий папір і поклав на належному місці. Там одне вікно залишилося відчиненим — він присунув стільця, виліз на лутку, зачинив вікно й позачіпав, як годиться, всі гачки й засувки. Так! Тепер усе в порядку. Начко повернувся до свого кабінету й одягнув пальто. Виходячи, замкнув за собою двері кабінету й поклав ключ у кишеню; потім замкнув двері редакційної кімнати й ключ теж поклав у кишеню; врешті, виходячи на вулицю, так само замкнув подвійні двері експедиторської й обидва ключі поклав у кишеню. І тоді вже спокійно пішов додому.

Жвавий рух, що в цю пору панував на львівських вулицях, дивував і лякав його, мов щось ніколи не бачене й загадкове. Куди йдуть ці люди? Над чим розмірковують? Про що говорять? Начко почав заглядати в обличчя перехожих, нібито хотів вичитати в них відповідь на якесь велими заплутане трудне питання. Он хлопці роєм висипалися зі школи — кричать, стрибають, біжать, штовхаються, їхній сміх відлунює далеко. Що це все значить? — сам себе запитував Начко. — Для чого все це? Який зв'язок це має з моїм теперішнім станом? — Питання про цей чи якийсь інший таємничий і недосліджений зв'язок, немов уперта муха, почало кружляти й бриніти в його мозку. — Що я завинив перед цією квітничаркою, яка підносить на мене свої гаснучі очі, своє зів'яле, виголодніле обличчя з таким

кривавим смертельним докором? А ця панночка, котра так швидко йде назустріч, усміхаючись і метляючи шлейфом едавної сукні, — адже ж цілком очевидно, що вона хоче показати мені свою зневагу, свою погорду. Але за що, за що? Що я зробив їй злого? Чи я, може, вже й справді такий таврований злочинець, що кожний від першого погляду повинен розпізнати, які гріхи тяжать на моїй душі? Ну, що ж, хай так, але в такому випадку вони повинні мені сказати це ясно й виразно — я готовий знести кару, навіть найсуворішу. Сам собі її визначу й терпеливо знесу. Нехай тільки не мучать мене своєю мовчанкою, своєю погордою, своєю іронією!

Мертва тиша, котра ще недавно панувала в Начковій душі, перетворювалася в жахливу винищувальну бурю. Начко йшов по вулиці з таким почуттям, немовби він стояв під стовпом на позорищі, а всі очі були звернені на нього і з усіх уст у найближчу мить мали посипатися на нього злослів'я й прокльони. Він прагнув утекти з-посеред цього жорстокого юрмища, але ослаблене тіло немовби приковувало його до місця, гамувало його ходу. «Боже! — волав він з глибини душі. — Скороти мені цей хресний тернистий шлях або забери в мене відчуття болю, щоб я не мучився над міру сили людської!» Але відчуття його не тільки не притуплювалося від болю, але, навпаки, щохвилини ставало витонченішим, вразливішим. Вулична курява, яку підняв туманом проїжджаючий фіакр, біла йому в обличчя, мов град каміння. Хтось із перехожих штовхнув його ліктем, а Начкові здалося, що якийсь венеціанський браво ударив його в бік вістрям стилета. Власний одяг обтяжував його тіло, немовби центнерні залізні штаби, а від бальзамного весняного повітря йому ставало душно, аж холодний піт виступав на лобі.

Діставшись, нарешті, додому й відіславши якнайшвидше слугу, Начко замкнув зсередини двері й потім почав рвучко й поспішно скидати з себе верхній одяг, начебто здрав з тіла палаючу сорочку Деяніри. Залишившись тільки в штанах і жилеті, він відітхнув трохи вільніше й почав ходити по кімнатах. І знову та клята загадка забриніла йому в голові. Що це, що, цвяхом забитим у тім'я, влізло йому в мозок і витискає звідти весь світ вражень, спогадів і думок? Який зв'язок існує між світом, «Гінцем», його братом, Регіною і тим цвяхом? Він напружує всі сили, щоб з'ясувати собі це питання, але в міру того напруження все

плутається ще більше, думка рветься, а в мозку з'являється якийсь жахливий нестерпний біль.

— Ага! — гукнув нарешті Начко й, підбігши поспішно, наче хотів когось випередити, сів на крісло перед письмовим столиком. З його шухляди він витягнув маленький лист — єдиний писаний до нього лист Регіни. Довго вдивлявся в кожну його літеру й відчував, що від одного лише вигляду цих літер (в слова їх він не складав, слів або їх сполучень взагалі не розумів!) та їхніх делікатних ліній і повних грації вигинів його душу проймає якийсь солодкий спокій, якийсь лоскіт, якась тиха й лагідна мелодія заколисуює його до сну в м'якому ліжку. Начко підніс до уст цей клаптик паперу, списаний коханою ручкою, і в ту хвилину, коли він торкався його вустами, гарячі сльози полилися з його очей, змочили лист, попсували тиху гармонію літер.

— Тобі мій останній поцілунок, тобі останні мої сльози! — промовив Начко й, поклавши лист перед собою, витягнув із шухлядки аркуш паперу й конверт, написав на конверті Владкове ім'я без будь-якої конкретної адреси й потім взявся писати лист.

«Мій дорогий брате! Я відходжу до матері. Жодних питань! Жодних жалів! Жодних докорів! Інакше не могу. В цю хвилину я пригадую собі останні материні слова: «Бог вам завжди щаститиме, доки ви будете разом». У цих словах моє прокляття. Бо я розійшовся не тільки з тобою, а навіть й із самим собою, зі своєю душею, зі своїм переконанням. Як це сталося — не питай! Нехай ця страшна історія зійде зі мною в могилу. Ти можеш ясно й світло дивитися на світ, бо не збочив зі свого простого та ясного шляху. Іди ж по ньому й далі! Будь щасливий, дорогий брате, разом з тією, яку... е, ні, пізно вже! Нехай благословить її бог! Чи ти, Владку, пригадуєш собі, як ми ще хлопчиками разом читали «Лілю Венеду» Словацького і як ми наприкінці обидва розплакалися? Пам'ятаєш, як ми засперечалися, хто з нас Лель, а хто Полель, і як ми вирішили тягти жеревки і мій жеребок випав на Леля? Може, ти й забув те все, бо ж це такі дрібнички. Але я в цю хвилину міг би з пам'яті намалювати ту сцену, а в моїй душі все ще дзвенить рядок:

Коли Лель помре, жити буде Полель.

Це, брате, й про нас так, мабуть, говорила ворожка і пам така доля наперед визначена. Отже, живи, брате мій, дорогий мій Полелюм! Те, що залишається після мене, це твоє та її... твоєї...»

Рука його затремтіла — він не міг закінчити речення. Начко підвівся і почав знову ходити по кімнаті, прислухаючись, чи, бува, хтось не стукає в двері, чи не чути чийсь кроків. Глухо, тихо! Після довгого роздуму Начко відчинив вікно й виглянув крізь нього вниз, на подвір'я. І там було порожньо. Він зачинив вікно, поопускав фіранки з боку галереї й, замкнувши за собою одні за одними двері від кухні й від малого салону, залишивсь, нарешті в своєму кабінеті, відділений від усього світу трьома замками. Сів на кріслі й схилив на руки голову. Раптом ніби прокинувся й прислухався. Чи це хтось стукає в кухонні двері? Затремтів увесь, зірвався з місця, приклав вухо до замкнутих дверей кабінету — ні, тихо й глухо, ніхто не стукає!

Тепер Начко остаточно заспокоївся, а його погляд зупинився на одній точці, в одному кутку кабінету, де стояло його ліжко. Над ліжком на стіні висів маленький шестизарядний револьвер — і саме на тому предметі тепер зосередилася Начкова увага. Його погляд прояснився, з обличчя зійшов той тривожний тупий вираз, який буває в людини, котра забула щось надзвичайно важливе й не може його собі пригадати. Начко повільно, спокійно підійшов до ліжка, впевненою рукою здійняв із цвяха револьвер і потім, сівши на кріслі перед письмовим столиком навпроти вікна, спокійно перевірів замок зброї, повкладав нові патрони, потім приклав цівку до скроні й легко натиснув курок...

## Х

Був чудовий весняний день. Небо сміялося своєю чистою глибокою блакиттю; повітря було тепле й тихе. Високі карпатські вершини мали ще білі зимові ковпаки на лиснах, але нижче, в борах, та ще нижче, в долинах, вже починало пробуджуватися нове весняне життя. Сян уже давно поламав і поніс до моря зимову кригу; вдень його води були ще високі й мутні від снігу, що танув у дебрях і ярах, але очищалися вночі, коли сніг при зниженій температурі переставав танути. Звиваючись, немов могутній змії, Сян ніс свої швидкі води через мале вбоге гірське селъце



Ступосян, цілковито сховане серед стрімких гір і борів, відірване від будь-якого більш-менш людного тракту, чи гостинця, справжнє пустельне поселення.

Пізня весна в горах. Сказати по правді, те, що в долинах є порою фіалок і конвалій, у горах є порою болота й приморозків. Тож і Ступосян вдень потопав у болоті, а вночі трусився від морозу в своїх нужденних, погано накритих халупах, під овечими кожухами. Про початок будь-яких весняних робіт до половини травня не було й мови. Змолотивши своє мізерне «збіжжя», під яким у цих околицях розуміли виключно овес, виправши вовну й льняне прядиво, ступосянський люд тепер, власне, не мав що робити: чоловіки й жінки немов напівсонні шведляли по селі, то тут, то там заходячи до хат на цілогодінні балачки. Старші хлопці вирушали з вівцями в поле поблизу домів, дітлашня, боса й майже гола, бродячи по кісточки в холодному болоті, поспішала до річки, де, розсівшись на сухих, гладких і теплих плитах, грілася на сонці й розважалася, ловлячи дрібних рибок на гачки, виготовлені вдома з простого дроту й загострені тертям об м'який камінь-пісковик.

Взагалі річка тут — головний пункт, який притягує до себе всіх мешканців села, його головна й вічно пульсуюча артерія. Біля неї цілими днями просиджують сільські жінки, перучи на гладких плитах свою нетонку білизну; в ній у найтеплішу пору дня газди, по коліна влізши в холодну воду, миють своїх волів і овечок, щоб освіжити їх після цілозимової стоянки в брудних і тісних хлівах. Біля неї кружляють рибалки з вудками й «узьмиками»-приманками; до неї ж кілька разів на день біжить і сільська худоба, щоб вгамувати спрагу. І для любителя природи тут в основному зібрана вся краса ступосянської околиці.

За якусь чверть милі від селяця гори з двох боків зсунулися до самої річки, стискаючи її річище й утруднюючи їй біг поперечними кам'яними порогами. Старі смерекові ліси покривають ці гори й нависають над Сяном, залишаючи лише вузьку смужечку трави над самою водою. Це, безсумнівно, найкраще місце в усій околиці. Сян, затиснений величезними кам'яними брилами, що стирчать з обох берегів, із ревом і шумом кидається на них, шарпаючи й гризучи їх сотні років, вириваючи в них величезні щербини і з вирваних могутніх плит творячи собі нові загати. Між цими лавами, скелями й порогами кружляє вода — кружляє й піниться, бризкає й розбігається в різних напрям-

ках. А що лави стирчать скісно, то вода, вдаряючись об них, повимивала між ними увесь гравій і пісок, навіть повигризала м'якіші частини пісковика, творячи нескінченні, в глибіню сягаючі шпарини, заломи та ями — зручні схованки для безлічі форелі й кленів, які ніде не тішаться такою безпекою, ніде не dorостають до таких колосальних розмірів, як тут.

Нижче цього оглушливого шуму й клетоту збурених хвиль, де можна перейти ріку, не замочивши ніг, ступаючи чи перестрибуючи з одного виступаючого з води каменя на інший, але де встояти навіть у неглибокій, до колін воді ніхто з недосвідчених не зможе, щоб не покалічити ніг об гостре каміння, — ріка заспокоюється й творить один величезний і глибокий вир. Там ще спінена хвиля звільна описує широкі кола, поки зовсім не стихне. Глибина води тут сягає двох сажнів, що для такої гірської річки з кам'янистим дном, як Сян, вже багато. Дно виру завалене величезними деревами, кам'яними брилами, які повинь з могутньою силою повганяла в скельні розколини. Це найбільш рибне місце в усій околиці: тут водиться сила-силенна кленів, вугрів і форелі; це мета прогулянок багатьох рибалок професійних і непрофесійних.

Саме на цьому місці, на вузькому кам'янистому березі понад виром ми зустрічаємо й наших знайомих — Владка й Регіну. Випадок закинув їх у цей романтичний глухий закуток; гірська природа привабила їх, затримала в перельоті. Ступосянська котловина, вгорі — біла від снігу, посередині оточена чорно-зеленою стріхою віковичних борів, а на дні пронизана срібною стрічкою Сяну, — стала для них справжнім гніздом кохання. День за днем спливав їм тут швидко й непомітно, в постійному русі й так тихо, що інколи їм обом здавалося, ніби кожний прожитий тут день — це сторіччя й ніби там, удалині, за горами все вже давно змінилося й про них забули. Вони почували себе щасливими — й того вистачало, більше вони нічого не бажали... Були задоволені одне одним, а решту доповнювала чудова гірська природа.

У погоні за шахраєм Шнайдером Владко й Регіна приїхали до Лютовиськ найнятою в Устериках фірою. Обоє затрималися в заїзді, не знаючи, що робити далі й до кого звернутися. Владко пригадав собі, що він мав у тутешньому суді якогось давнього знайомого, і вже хотів розпитатися про нього в шинкаря, як раптом двері шинку відчинилися

і в приміщення ввійшов сивий, мов голуб, дідусь, в овечому кожусі й овечій шапці, з довгою бородою й довгим волоссям. Владко відразу ж впізнав добродія.

— Чи ви, бува, не пан Ступосяньський? — промовив він, підходячи до нього й уклоняючись.

Дідусь повільно скинув з себе важкий кожух на підлогу, подаючи знак шинкареві, щоб підняв його, а потім, узявши Владка за гудзик на сурдуді, обернув його обличчям до світла й довго вдивлявся в нього. Нарешті сказав:

— Так, так, добродію ласкавий, я — Ступосяньський. Але хто ти, не можу пригадати. Мені здається, що я тебе десь бачив, але де і коли — вже не пам'ятаю.

— І не дивно, шановний пане, — відказав Владко. — Вже минуло років дванадцять від того часу, коли я був домашнім вчителем вашого сина й мав честь бачити вас, добродію, у Львові.

На згадку про сина нижня губа дідуся почала тремтіти й морщитись, як у дитини, що ось-ось заплаче. Той син, його єдина надія, єдина втіха його старості, помер невдовзі після іспитів на атестат зрілості.

— Почекай-но, почекай-но, — сказав дідусь, — як же це звався вчитель мого сина? Слабка вже в мене пам'ять, добродію, але все, що стосується мого бідного сина, я пам'ятаю добре. Здається, що Калинович, Владко Калинович.

— Так, пане, — промовив Владко, — а оце — моя дружина, — додав він, відрекомендовуючи Регіну, все обличчя якої облилося живим рум'янцем.

— Дружина? — повторив Ступосяньський з особливим притиском і простягнув Регіні зморщену тремтливу руку. — Вітаю вас у наших горах! Але куди ж це вас господь-бог провадить? Тільки, перепрошую, може, ми пішли б до окремої кімнатки. Пане Абрамку! — сказав він, звертаючись до єврея. — Там і порозмовляти краще, й горло трохи промочити не зашкодить.

Послужливий Абрамко ніс кожух і шапку Ступосяньського й запросив усіх трьох іти за ним; його син ніс пиво, закуску й сигари.

— Не поспішай із Шнайдером! — шепнула Владкові Регіна, коли вони виходили з великої кімнати. — Треба обережно.

Владко замість відповіді тільки руку їй стиснув, виразивши цим своє признание її дипломатичних здібностей.

— Тут у цій околиці, я маю деякі справи, — сказав Владко, коли вже гості посідали в окремій кімнатці й запалювали сигари, — а при нагоді ми обоє хотіли б знайти десь у горах тихе, глухе місце й кілька тижнів побуту на свіжому повітрі.

— Ага, медовий місяць, медовий місяць! — промовив посміхаючися Ступосянський. — Ну що ж, це дуже гарно, хоча на справжні гірські розваги ще завчасно.

— Що ж робити, шановний пане, — відказав Владко. — Я — на службі, працюю в адвокатській конторі. Відпустку одержати можна там не завжди, а коли дадуть — треба брати, не перебираючи.

— Обгрунтовано, обгрунтовано, — сказав дідусь. — От тільки не знаю, де ви зможете знайти таке місце. Відлюдні в нас околиці. Я запросив би вас до себе, це мені, самотньому дідові, було б навіть приемним. Мое сільце, хоча й близьке до Лютовиськ, але лежить у такому глухому місці, мов у бога за пазухою. Лісів навколо — ціле море, е там великий і дрібний звір. Сян в'ється попід самим домом, риби безліч. Ну, й щодо їжі, напоїв і такого іншого теж не зробив би вам кривди. Шкода тільки, що я вже маю одного гостя.

— Дійсно шкода! — зі справжнім жалем вигукнув Владко, якому відразу ж всміхнулася перспектива прожити з Регіною кілька тижнів у такому чудовому глухому закутку.

— А що ж то за гість? — запитала Регіна. — Може, й ми з ним помістимося?

— Хіба я знаю! — сказав дідусь. — Три дні тому його привіз до мене тутешній аптекар і попросив поквартирувати його кілька тижнів. Якийсь мовчун, ні мови з ним, ні розмови, навіть видався мені якоюсь підозрілою людиною. Я не знаю, хто він і звідки — він відрекомендувався мені як промисловець Шнайдер.

— Шнайдер! — радісно вигукнула Регіна. — Та ж це наш добрий знайомий! З ним ми погодимося!

— Справді? — здивовано й ніби трохи розчаровано сказав Ступосянський. — Ви обоє знаєте паца Шнайдера? Ну, то мені це дуже приємно, що я можу запросити вас до себе.

— Ми будемо вам щиро-щиро вдячні, — сказав Владко, тиснувши дідусеві руку. — Ви робите нам велику послугу.

Пізно ввечері вони прибули до Ступосяну. Як же здивувався й налякався нещасливий Шнайдер, коли, тільки-но

з'ївши вечерю й запиваючи її чаєм, побачив Владко й Регіну, що входили в кімнату! Якби в ту хвилину до кімнати ввійшов його рідний батько, що помер ще тридцять років тому, то Шнайдер, напевне, не зазнав би більшого хвилювання. Владко, побачивши його, удавано здивувався; в очах Регіни зблиснула радість. Обоє привіталися з остовпілим втікачем, немовби нічого не знаючи, й разом із господарем дому засіли до ще теплої вечері. Точилася весела й вільна розмова, і Шнайдер мав час опам'ятатися. Все підкріплювало його думку, що ні Владко, ні Регіна нічого не знають, тим паче він довідався, що обоє прибули сюди на «свіже повітря» з нагоди свого шлюбу. Це осмілило його настільки, що і він почав включатися до розмови й побажав щастя новоженцям.

Але недовгою була його радість. Коли вже розходилися, Владко шепнув йому на вухо:

— Пане Шнайдер, ви — шахрай! Я знаю про все і радію, що вас наздогнав. Суд теж розшукує вас. На добраніч! Завтра ми поговоримо конкретніше, й думаю, що ви будете говорити щиріше, як у Дрогобичі!

Але на другий день Шнайдер зник, тільки вікно своєї спальні залишив відчиненим. Владко, зробивши це відкриття, зараз же пішов до Ступосянського, з'ясувавши йому характер всього знайомства з Шнайдером і водночас повідомив його про втечу. Дідусь засміявся добродушно.

— Ну, ну, ласкавче, — сказав він. — Не турбуйся отією втечею. Шахрай не зможе втекти далеко. Я від самого початку підозривав, що Шнайдер щось-таки приховує, й підозривав особливо тому, що він уперто домагався дати йому провідників через угорський кордон. Отож я й дав моїм людям інструкції — не бійтеся, далеко не втече! Хіба що побажав би піти просто в паші ведмедів.

І справді, господиня не встигла ще подати на стіл каву, як вислані Ступосянським слуги привели Шнайдера, мокро, заболоченого й задубілого; знайшли вони його за півмилі від села, коли він ходив уздовж Сяну, через який не міг перебратися, щоб дійти стежками й горами до прикордонного села Волосатого, де можна було знайти провідника до Угорщини. Зустрінуто його байдуже, один тільки Ступосянський сказав жартівливо:

— Ну, ну, пане Шнайдер, сідайте вже снідати! Ви й так змусили нас довго чекати. А потім поговоримо.

Недовгою була балачка й потім. Владко ясно й стисло з'ясував Шнайдерові ситуацію і зажадав від нього негайно виплатити належну суму. Шнайдер присягнувся, що в усьому своєму маєтку не має такої суми, що бориславські євреї обдурили його, мало що не пограбували.

— В такому разі я змушений буду негайно віддати вас судові, — сказав Владко. — Якщо ж ви розрахуетесь з нами, ми допоможемо вам утекти в Угорщину з вашою половиною грошей.

Цей останній аргумент справив сильне враження на Шнайдера, який дуже боявся увійти в такі близькі стосунки з судом і скуштувати тюремної саламахи. Почалися торги, котрі припинила Регіна, пристаючи на половину того, що їй належало, тобто на чверть лотерейного виграшу, хоча й це становило досить значну суму в кілька десятків тисяч. Після того як Шнайдер виплатив цю суму, Ступосянський звелів осідлати коней і відіслав Шнайдера зі своїм старим слугою до угорського кордону.

А Владко й Регіна, щасливі, що здійснили свій намір, сп'янілі від кохання, залишилися в гостинному дворі, в Ступосяні. Почували вони себе тут як вдома; незабаром зізналися господареві про свої взаємини і за його старанням та впливом взяли шлюб в убогій ступосянській церкві. Коли ж настали зовсім вже теплі весняні дні, старий Ступосянський не давав їм сидіти в домі, посилав їх на вільне повітря, до річки, показував гарні місця.

— Ідіть, діти, — говорив він їм по-батьківському, — не зважайте на мене старого. Я собі посиджу вдома, бо вже своє виходив. А ви йдіть бавтеся, користайте з часу й молодості. Хто знає, чи багато таких гарних днів вам призначила доля, тож хапайте те, що вона вам дає.

І молода пара користалася з тих пречудових днів. Від ранку до вечора на вільному повітрі, рука об руку, в любих тихих розмовах робили спочатку ближчі, а з часом щораз дальші прогулянки. Селяни бачили їх то на вершинах гір, що оточували Ступосян, коли вони захоплено оглядали величні краєвиди; то на теплих, до сонця звернених лісових стежках, сповнених ароматом живиці, що бурштиновими сльозами спливала з віковичних смерек; то над обривами ярів, де Владко приглядався до нагромадження скель, а Регіна увесь час збирала зелений п'ядич і сплітала його в фантастичні вінки. Але найчастіше бачили їх над Сяном, як вони рука в руці, зі сміхом перестрибують із каменя на

камінь або як цілими годинами приглядаються до забав і занять сільських дітей. Від перебування на свіжому повітрі, від безперервного руху й від внутрішнього щастя Регіна за тих кілька тижнів розквітла, мов троянда: личко її зарум'янилось, очі набрали виразу глибокої ясної радості, а рухи — ще більшої легкості й грації, ніж раніше.

А Владко під час тих мандрівок розповідав їй смішні й сумні епізоди зі свого дитинства та шкільних часів, говорив про свої плани надання допомоги народові, однак не згадуючи про Тумановий скарб. Регіна слухала його з захопленням, бачила в ньому мало не пророка й героя і хіба що гарячим потиском руки давала йому пізнати своє спочування тим високим думкам. Зі свого боку вона оповідала Владкові про сумні й щасливі хвилини свого дитинства, описувала чарівні околиці Трускавця та своє важке життя у Львові. Дивна річ, обоє в своїх оповідях, немовби внаслідок якогось мовчазного порозуміння, не згадували про Начка: Регіна, можливо, тому, що згадка про нього здавалася їй прикрою й стиха підшіптувала їй, що вона поступила з ним не зовсім чесно; Владко ж увесь потонув у своєму новому й несподіваному щасті, віддався йому всією душею й принаймі тепер радий був не думати про щось стороннє. Крім того, перед від'їздом він чув, що в редакції «Гінця» відбуваються якісь зміни, але, не бачачи «Гінця» від самого свого виїзду зі Львова, не знав, що то за зміни, й не надавав їм ніякого особливого значення. Щойно після свого шлюбу з Регіною написав лист до Начка й остаточно заспокоївся, очікуючи відповіді, переконаний, що в разі якогось надзвичайного випадку Начко безсумнівно напише йому. Але минав день за днем, тиждень за тижнем, а Начко нічого не писав, бо, очевидно, не було що писати, й Владко з егоїзмом щасливої людини перестав думати про брата й навіть перед Регіною рідко кількома словами згадував про нього.

Під час цих своїх мандрівок вздовж берегів Сяну вони обоє зайшли якось аж до тих скель і до виру. Дивна, незрівнянна краса цієї місцевості зачарувала їх. Сіли обоє на скелі, що звисала над самою водою, й довго дивилися то на чудове весняне небо, то на ліси, що тут же здіймалися перед ними догори амфітеатром, то на скелі, що стирчали з води й іжачилися на протилежному березі, повигризені Сяном, порозбивані на шматки різної фантастичної форми, то, нарешті, на спінені, шумуючі й чисті, мов скло, хвилі.

— Поглянь, Владку! — гукнула Регіна, немов дитина, плещучи в долоні з радості. — Які тут гарні риби плавають! І які великі! І скільки їх!

І справді, тут же, під ними, в прозорій глибині цілими косяками повільно плавали великі клені, поблискували на сонці своєю срібною лускою й злегка ворухали червоними, наче кров, плавниками. Вони почували себе безпечно, отож, і не думали ховатися від людського ока й теж користали з весняної днини на місці, зігрітому сонцем, описуючи кола й час від часу підносячи свої великі голови догори та виставляючи на саму поверхню свої беззубі писочки.

— Як гарно! — гукала Регіна. — Вони ж нас не бояться!

— А чому їм боятися? — сказав Владко, обіймаючи стан Регіни й злегка притискаючи її до грудей. — Адже ж вони знають, що ми їм нічого не можемо зробити.

— Ого! — крикнула Регіна, звичайно схильна до опозиції. — А хтозна, може, ще завтра котрогось із них ми будемо їсти в обід.

— Що ж, це може бути. Воно й справді варто б попросити рибаків, щоб нам наловили цих риб. Ми ж їх ще не їли.

Але сільські рибалки, почувши про білі риби з червоними плавниками, тільки головами похитали.

— Це, пане, мудра риба. Тепер її не зловиш. Треба почекати, аж поки вода стане каламутною.

Та Сян уже не був каламутним, отож, треба було чекати на сльоту й повінь, але цього ні Владко, ні Регіна принаймі не зичили собі. Отож увесь час ходили до виру й цілими годинами любувалися, поглядаючи на ті гарненькі створіння, хоча Регіна досить часто позиркувала на них не самим тільки поетичним оком, а й оком господині, для якої риба лише тоді гарна, коли її принесуть до кухні.

— Ми їх зловимо! — радісно вигукнув Владко. Він кинув між зграйку кленів кілька крайців хліба, й клені жадібно похапали їх та, кілька разів обернувши у своїх писочках, з'їли. Великі клені хапали тільки великі крайці, залишаючи малі пліткам та барбулям, тисячі яких звисали навколо кожного каменя, немов комарі в літньому повітрі. — Який же я дурний, що й досі не додумався до цього! Ми їх усіх вудкою вилavimo!

На другий день обоє прийшли з вудками, але яке ж було їхнє розчарування, коли клені, що сьогодні так само, як



і вчора, хапали окремі крайці хліба, не хотіли навіть дивитися на такі ж шматки, підвішені на гачках вудок. Вони торкались їх писочками й хвостами, цей або той навіть пробував брати їх у писочок, але в ту ж мить відпливав геть, неначе щось пригадавши собі, й намагався відплинути якнайдалі від зрадливої вудки.

— Розумна тварина! — сказав посміхаючись Владко. — Видно, й риби знають, що таке фарбований лис. Ну, даймо їм спокій!

— Шкода! — промовила Регіна й, вийнявши свою вудку з води, здійняла зачеплений на гачок шматочок хліба й кинула його у воду. В ту ж хвилину з глибини вплив величезний, майже на лікоть, клень й схопив здобич.

— Дивися, Владку, дивися, який величезний! Такого ми ще не бачили! Ні, їй-богу, буде нам сором, якщо ми жодного з них не впіймаємо!

— Ну, що ти їм зробиш, — сказав Владко, — коли вони, bestії, такі мудрі! Самий краєць беруть, а підвішений на гачок — і не зачеплять.

— А я тобі кажу, що ми його зловимо ще завтра! — раптом крикнула Регіна, обіймаючи Владкову шию. — Що ти мені даси, якщо я знайду на них спосіб?

— Що я тобі дам? — задумливо запитав Владко. — Що я тобі можу дати, коли все, що маю, вже є твоїм, і сам я твій?

І гарячим поцілунком затулив їй рожеві вуста.

— Гаразд, я спробую знайти на них спосіб! — сказала Регіна, й, хвилинку посидівши, обоє повільно пішли до дому.

Саме сьогодні Регіна повинна була здійснити свій винахід. І справді, перед полуднем вона довго щось готувала в кухні, кілька разів прибігала до Владка, зайнятого розмовою з Ступосянським; присяде біля нього, послухає розмову, поцілує чоловіка й знову біжить у кухню, звідки долетів до неї голос старої кухарки:

— Паннунцю! А ходіть-но сюди, чи добре так буде?

Владко кілька разів питав її, що це, властиво, має бути, але відповіді не отримав.

І ось вони обоє в урочистому дитячому очікуванні сіли на скелі над виром і зацікавлено поглянули на воду. Клені плавали собі спокійно, інколи тільки підіймали до них писки, немовби вітаючи їх. Регіна тремтячою від хвилювання рукою взяла з полив'яного горнятка, яке принесла з собою,

шматок білої твердої маси й кинула її у воду. Найближчий клень кинувся на неї, проковтнув шматок і спокійно поплинув далі.

— Це — мій! — радісно крикнула Регіна. — Пильнуй його, Владку, щоб він не втік від нас! — додала вона, щиросердо сміючись. — Я вже замовила в кухні масло, на якому його ввечері ми будемо смажити.

— Ну, ну, не продавай кожуха, поки вовка не застрелиш! — сказав Владко, але Регіна була певна свого й кинула новий, досить великий шматок у воду. Клені злякалися плюскоту й кинулися врозтіч, але, коли шматок, крутячись у воді, був уже в половині її глибини, з якоїсь прихованої печери вплив учорашній ліктьовий клень, схопив той шматок, повільно з'їв його й, переплинувши кілька разів туди й сюди, заховався десь на дні.

— Ну, якщо ти цього зловиш, — посміхаючися сказав Владко, — то його й одного буде що нести. Тільки як ти його там, на дні, зловиш, цього я досі не второпаю.

— Не бійся, він сам прийде до моїх рук! — радісно промовила Регіна, продовжуючи й далі кидати кленям зрадливий корм. Але її радість тривала недовго. Клені ніби щось зміркували: кілька з них ще з'їли кинуті шматки, але переважна більшість не хотіла їх їсти; деякі, навіть схопивши й попробувавши смак маси, викидали її з писочків назад.

— Ого! — сказав Владко. — Ти поглянь на них: уже зазідали зраду. Ось тобі й твоя перемога!

— Не бійся, — відказала Регіна, ховаючи горнятко, — на перший раз досить буде для нас і тих, що вже похапали.

— Ну, скажи ж уже, що ти їм за чари даєш? — запитав Владко.

— На, понюхай! — сказала Регіна й подала йому горнятко. Міцний запах оковитої вдарив йому в ніс.

— Ха, ха, ха! — засміявся Владко. — Ну, Регінко, я й не думав, що ти така зіпсована, що схочеш деморалізувати навіть невинні водяні створіння й спокушати їх на страшний гріх — п'янство! Тільки бідна ти з усім цим. Мені здається, що ти завчасно тріумфуєш. Спирт розводиться в воді й втрачає свою силу — клені від нього не сп'яніють.

— Почекай, побачиш, — відказала Регіна, в якій також з'явився цей сумнів.

Вони обоє сиділи поряд тихо, непорушно, вдивляючись у воду, де, як і перед цим, спокійно плавали клені.

— Знаєш, Регінко, — промовив Владко м'яким голосом, тулячи свою голову до її грудей і обіймаючи її стан, — щось мені сьогодні так журно, так якось смутно на душі!

— Що тобі, мій дорогий? — зі щирим співчуттям запитала Регіна, пестячи руками його чорне блискуче волосся.

— Я починаю бути забобонним. Починаю лякатися власних снів, — сказав Владко, випростовуючись і заглядаючи їй глибоко в очі.

— Що ж це таке тобі снилося? — запитала Регіна, обіймаючи його шию.

— Снівся мені брат Начко, — сказав із якимось жалем в голосі Владко, — і такий чорний, такий чорний, мов земля. Стояв переді мною німий, із стуленими вустами, з нерухомими скляними очима — страшний. А в тих очах застиг вираз такого болю, такої скарги, такого невимовного докору, що мене всього аж дроз пройняв. І що найдивніше, цей сон переслідує мене від самого ранку: страшна постать брата увесь час, як мара, стоїть переді мною.

— Бог з тобою, Владку! — крикнула Регіна. — Які страшні речі ти говориш? Правда, самі щасливі, ми забули про твого брата, тож і не дивно, що він ображений на нас. Але не бійся, ми скоро повернемося до Львова, і я даю тобі слово, що докладу всіх зусиль, аби стерти ту образу з його пам'яті. О, я буду для нього зразковою братовою!

— Так, так, Регіно, — сказав Владко, відгортаючи їй з чола нависле волосся й цілуєчи те ясне, блискуче, мов слонова кість, чоло. — Будь для нього доброю братовою. Це золотий хлопець, і ти, напевне, полюбиш його, коли пізнаєш його ближче.

При тих словах Регіна, сама не знаючи чому, спаленіла густішим рум'янцем і відвернулася. А потім зірвалася на рівні ноги й крикнула, плещучи в долоні:

— Ось він, ось він! Ми його маємо! Маємо кленя! Дивися, Владку, дивись, як він танцює по воді, як головою покляує, як хапає повітря! Він п'яний, їй-богу, п'яний!

— Дійсно, ти перемогла! — сказав Владко, нахилиючись над водою, де в шалених вистрибах метався по поверхні води клень, наосліп описуючи кола, чимраз вужчі й чимраз швидші, то опускаючись на дно, то знову випливаючи на поверхню. — Ти споїла бідне створіння, але що ти з нього матимеш? Як ти його спіймаєш?

— Е, це вже не біда! Шукай тільки довгої й виластої ліщинової тички. Напнемо на неї мою сітчасту хустку — й риба буде нашою.

— Та ж хустки шкода.

— Йди за тичкою, не питай! — енергійно сказала Регіна. — Хустка не твоя, а моя, і зрештою, стара, а крім того, нічого їй не станеться.

І справді, за якусь хвилину зімпровізована сітка була готова, і Владко, лігши грудьми на скелю, опустил тичку з сіткою у воду. Після кількох невдалих спроб піймати очманілого кленя, йому це нарешті вдалося: отуманена рибина стрілою влетіла в сітку й, піднесена в ту ж мить вище рівня води, лежала нерухомо, ніби мертва. Тільки на березі, вже в Регініних руках, вона почала розпачливо битися, махаючи своїми плавниками й хлипаючи писочком.

— Ага, спіймала таки тебе! Спіймала! — вигукнула радісна Регіна, беручи до рук рибину, що все ще здригалася. А бачиш, що ми тебе обвели-таки навколо пальця!

Вона погладжувала його й пестила словами: мій гарненький, мій золотенький, ну, заспокойся ж, заспокойся! Вмираючому кленьові, мабуть, були дуже приємними ті пестоші!.. Але доки ще він сконав, у виру залунав сильний плюскіт. Владко й Регіна воднораз глянули донизу й заніміли з радості. По поверхні води, поважно киваючи головою, розгулював ошаленілий від горілки величезний клень, із широким, мов селянська рука, хвостом, яким він час від часу, божевільно підстрибуючи, бив об воду.

— Бійся бога, Владку! Лови його! Цього ти мені мусиш зловити! — кричала Регіна.

— А якщо я його не зловлю! — спокійно відказав Владко, знову лягаючи грудьми на скелю й опускаючи свою сітку у воду.

— Ні, ні, ні! — шепотіла Регіна переривчастим від збудження голосом. — Нічого не кажи, тільки лови! А як ні, то я сама спробую! Лови його, лови, бачиш, тепер він близько!

— Є! — спокійно відповів Владко й вправним рухом сітки підхопив здоровенного кленя.

— Був! — із тривогою скрикнула Регіна, коли клень, відчувши дотик чужого тіла, тріпнувся й вистрибнув із сітки. І потонув у глибині. Тривожним поглядом обоє стежили, як він кружляв на дні, запливав під камені й колоди і знову випливав, немовби чогось шукаючи. Нарешті ви-

плив на поверхню, вже, мабуть, ослаблений, і знову почав повільно кружляти, покиваючи головою й б'ючи хвостом. На цей раз Владко підхопив його вправніше й витяг на берег. Утішена Регіна з радості кинулась йому на шию.

— Ти молодець, Владку, молодець! Варто тебе поцілувати за те, що ти витяг цього патріарха! Ну, й велетень! — крикнула вона, обіруч хапаючи дужу рибину й не можучи її обняти своїми малими ручками. — Тримай, Владку, тримай, бо знову стрибне у воду.

Владко одним ударом тички по голові поклав край підстрибуванням і стражданням бідного патріарха, тлінні останки якого покладено на траву, поряд з останками його меншого товариша й накрито листками підбілу. Обое знову сіли на своєму посту, та клені вже більше не з'являлися. Чи віднесла їх хвиля, чи вони позапахалися кудись у печери аж до того часу, як витверезіють, чи, може, не з'їли отруєного алкоголем хліба, — досить, що п'яних більше не було. Регіна, однак, не хотіла сходити з місця.

— Ах, дивися, Владку! — вигукувала вона, зводячи погляд догори, — які гарні ці ліси, ці засніжені полонини, позолочені заходячим сонцем. Як гарно в'ється ріка! І яка я щаслива з тобою, Владонько!

— Регіно, життя моє!

І душі обох злилися в палкому поцілунку.

— Знаєш, Владонько, — промовила Регіна, схилиючи голову, — бувають такі хвилини, що я сама не можу повірити в своє щастя або навіть починаю побоюватися, як отой друг Полікрата. Ні, думаю собі, не може бути, щоб після таких важких років та й відразу могло настати таке чисте й тривале щастя. І в такі хвилини я намагаюся сама собі вигадати якісь клопоти, якісь гризоти, добровільно вкидаю зеренце гірчиди в той келих солодошів, щоб ублагати зависливу долю. Бачиш, — додала вона, посміхаючись і підводячи на нього очі, — стаю забобонною від надміру щастя.

Сонце вже хилилося на захід і кривавим блиском обливало засніжені полонини. Від їхнього рожевого відблиску зарум'янилося кристалеве плесо Сяну. В тому рожевому блиску чудово сяяло щастям обличчя Регіни. Владко дивився на неї із захопленням. Ще ніколи вона не здавалася йому такою гарною, такою привабливою, як у цю хвилину. Ніколи він не почував себе таким безмежно щасливим.

— Регіно моя, — шептав Владко, притуляючи її обличчя до свого чола, — вір у щастя й не бійся долі. Бо що таке доля? Наша доля — це наше власне я, наші почуття й пристрасті, а хіба вони не назавжди поєднані з коханням? Ми щасливіші від мільйонів інших тим, що не потребуємо турбуватися про хліб насущний, а наше щастя зростатиме в міру того, як ми будемо прикладати праці, щоб допомагати нещасливішим за нас. Я не заперечую, що тепер наше щастя є ще дарунком долі, але коли те щастя стане виявом нашої спільної праці, спільних думок, поривів і прагнень — о, тоді ніхто не зуміє в нас вирвати або замутити його! Тоді воно буде домом, збудованим на камені. Але що я кажу: тоді? Я й тепер вже почуваю себе впевненим у майбутньому, почуваю сильним, здоровим, кохаючим і коханим, й ніде не бачу хмаринки, яка могла б загрожувати цьому щастю блискавицею. Що мені доля? В твоїх очах — зорі моєї долі, а ті зорі (і в цьому я не сумніваюся) завжди світитимуть мені так ясно, так чудово, як тепер. Люба моя, ангеле мій! Смерть у цю хвилину... Га! — Крикнув він знепацька зміненим, пронизливим голосом, відіпхнув Регіну, обіруч схопився за голову й навзнік упав на камінь.

— Боже мій! Владонько! — скрикнула налякана Регіна й кинулася до нього. Владко лежав німий, посинілий, із закушеними до крові вустами й виразом страшного болю на обличчі.

— Владку! Владку! — в великій тривозі голосила Регіна, припадаючи до нього й обливаючи його обличчя слізьми. — Встань, опам'ятайся! Скажи мені, що з тобою? Що сталося?

Нарешті Владко за її допомогою повільно підвівся, дзвонячи зубами, немов від великого холоду, й затуманеними очима чогось шукаючи довкола себе. Його руки були холодні, а обличчя — страшне й майже смертельно бліде. Регіна, побачивши це, тільки руки заламала.

— Чи ти хворий, мій любий? — щебетала вона біля нього, прикладаючи руку до його пульсу, що бився дуже повільно, ледь відчутно.

— Ні... це нічого... — прошепотів Владко, звільна проходячи до пам'яті й ніби вперше побачивши Регіну.

— Але ж це — жахливо! — голосила бідна жінка, не можучи й досі заспокоїтися від несподіваного переляку. — Чи такі приступи бували в тебе й раніше?

— Приступи? — безтямно повторив Владко. — Ах, так, це був приступ, такий же, як тоді, коли Начко захворів був на запалення легенів; але на цей раз приступ був страшний, жахливий! Боже! — скрикнув він, підхоплюючись на рівні ноги, з виразом смертельного переляку. — Регіно, ходімо, поспішаймо! Там, мабуть, сталося щось страшне! Я почуваю це напевно. Ходімо!

— Куди? Де сталося щось страшне? — питала Регіна, тримаючи його за руки й думаючи, що він ще не зовсім прийшов до пам'яті. — Ради бога, Владонько, заспокойся! Ти хворий! Не рвись! Почекай, я тобі намочу скроні холодною водою, це тебе освіжить. Боже мій, боже! Надихни мене, як йому допомогти!

— Ні, ні, ні! — з виразом найбільшої нетерпеливості гукав Владко, намагаючись вирвати свою руку з її тремтячих рук. — Пусти мене, пусти! Я мушу спішити! Там щось страшне... страшне...

Він вирвався і, навіть не оглядаючись на охоплену розпачем Регіну, незважаючи на те, що вже смеркалося й околиця була цілковито безлюдна та дика, полетів до села.

— Боже, рятуй його! Рятуй нас обох! — зойкнула Регіна. — Ми згрішили своїм щастям, я почуваю це, але відпусти нам цей гріх! Не занести нас за це!

І задихана стривожена Регіна, тремтячими руками нашвидку позбиравши свої речі разом із зловленою рибою, заспішила до села, вслід за Владком, що вже був якихось сто кроків попереду неї й на всі її оклики навіть не озивався, веначе був глухий. Він поспішав, мов гнаний якоюсь зовнішньою нездоланною силою. В його серці й голові було зовсім пусто. Усе завмерло, ніби вражене блискавицею. Все те, що ще хвилю перед цим було щастям, надією й гордістю, — тепер немовби навіть перестало існувати для нього. Одна блискавка страшного незрозумілого болю, що прошила його душу й струснула його мозком, — і всі ці повітряні замки розвіялись туманом. Регіна була йому чужою, не займала ніякого місця в його думках, бо й думок ніяких не було — тільки темрява та якась нез'ясована тривога, яка рухала ним, мов автоматом, і гнала його вперед, вперед і вперед — з невідомої причини і до невідомої мети.

Зненацька він затримався і став мов остовпілий. Його очі, що з найбільшим напруженням вдивлялися в пустий простір перед ним, раптом спочили на живому рухомому предметі — і Владкові здалося, що він знайшов те, що шу-

кав. Цим живим предметом була людська постать, котра поспішала з села йому назустріч. Звідки знав Владко, що то посланець від Ступослянського і що він несе йому телеграму? Він цього не знав, хіба що впізнав посланця по ході. Тільки почував, що сила, яка настирливо гнала його вперед, зникає стихає, що розгін слабне,— отож і зупинився. І лише тепер помітив, що увесь був залитий потом, задиханий. Тепер лише оглянувся на Регіну, яка давно вже перестала кликати його по імені й, напружуючи всі сили, поспішала за ним, перестрибувала з каменя на камінь, оббивала собі ноги, обтирала з чола рясний піт, однак, і на мить не думаючи про себе, бігла за любимим чоловіком, боялася, щоб з ним знову щось не сталося, й прагнула, на всякий випадок, якнайшвидше прийти йому на допомогу.

Але Владко, побачивши її, відвернувся до посланця. Думка його була безсила, розбита й нездатна розуміти те, що виходило поза обсяг єдиного предмета його тривоги. Посланець, тим часом побачивши Владка, теж сповільнив ходу; він, очевидно, розшукуючи його, змучився й тепер, коли був певний, що за хвилину телеграму вручить-таки, хотів трохи відітхнути. Тільки Регіна не сповільняла ходи. Бачачи, що Владко зупинився, вона ще більше налякалася, думаючи, що приступ повториться знову, і, тривожно скрикнувши, шосили побігла до Владка.

— Владку! Боже мій! — голосила вона, припадаючи до нього.— Може тобі знову погано?

І, сама вмліваючи з тривоги й перевтоми, старалася підтримати його.

— Ні, ні, ні! — відказав, ніби непритомний, Владко, злегка відхилиючи її руку вбік.— Зачекай, зачекай! Там, бачиш?

— Що бачиш? Що там? — питала Регіна, вдивляючись уперед, але Владко не відповідав, тільки стояв нерухомо. Регіна ж, не можучи довше встояти на ногах, присіла збоку на камені, не спускаючи очей з його обличчя, готова кожної хвили підхопитися, щоб подати йому допомогу в разі повторного приступу, якого вона щохвилини побоювалася.

— Мають пан таліграф! — ще здалека гукав посланець, махаючи вчетверо складеним і запечатаним аркушем паперу.

— Ні, Владонько, ні! — крикнула Регіна, зриваючись із каменя й обіймаючи його.— Я прошу тебе, заклинаю тебе! Якщо ти мене любиш — не читай тепер цієї телеграми!



Прочитаєш її дома, за яку хвилину, тільки тепер не читай! Дай її мені, я її й не розгорну, я її віддам тобі, як тільки прийдемо додому. Тільки тепер не читай!

Владко поглянув на неї із здивуванням, немов зовсім не розумів її слів і не знав, чого вона хоче від нього, лагідним, але сильним рухом руки відвів її вбік, узяв телеграму, відкрив її зовсім спокійно, прочитав — і зітхнув трохи вільніше.

— Дуже хворий! — пробурмотів він сам до себе. — Ну, то це дуже добре. Дуже хворий! Ну, що ж, поїдемо.

— Хто — дуже хворий? — запитала Регіна.

— Хто? — повторив Владко, мовби дивуючись, що можна задавати таке питання. — Він, Начко.

— Ах, твій брат! Бідний! А що йому?

— Дуже хворий. Що йому має бути? Все ж, він живий, а це головне. Ходи, поїдемо до Львова.

— Коли?

— Зараз, до нічного поїзда! Не бійся, саме в годину прийдемо до Устерик, а завтра о чвертій після полудня будемо біля нього.

Звістка, що Начко «дуже хворий», замість пригнітити й засмутити Владка, піднесла його дух, війнула на нього освіжаючим вітром. Владко трохи пожвавішав, розмовляв по дорозі з Регіною, правда, тоном цілковито холодним і байдужим та переважно про те, як і що спакувати на дорогу, як їм вдасться швидко проїхати крізь мильовий ліс на Гострій горі по найгіршому гірському шляху. Ані сліду недавнього тепла, запалу й щастя, що бризкали в кожному Владковому слові, в кожному русі, уже не залишилося. Він був ніби людина, яку умовно випустили із тюрми: хоча вона й не бачить навколо себе тюремних мурів, все ж відчуває душею, що вони не перестали бути для неї грізними.

Зі щирим жалем прощався зі своїми любими гістьми старий Ступосянський, висловлюючи надію, що незабаром, як тільки одужає дорогий брат, всі троє завітають до нього надовше і в гарніший, літній час. Владко був маломовним та байдужим. Було видно, що його думки зайняті чимось зовсім іншим. Усю дорогу він мало розмовляв із Регіною, лише увесь час запалював сірники і поглядав на годинник, чи, бува, не запізняться до поїзда, й, незважаючи на заповнення візника, що вони приїдуть вчасно, підганяв його безупинно, просив поспішати.

До Устерик, справді, вони приїхали саме в годину, після педовго очікування прибув поїзд із Загір'я. У вагоні Регіна, змучена різноманітними враженнями цього дня та кількогодинною кінною поїздкою, заснула. Владко ж сидів, все вдивляючись у просторінь і час від часу бурмочучи якісь слова без зв'язку й значення. Один раз тільки глянув він на Регіну, котра лежала навпроти нього на вагонній лаві, довго-довго вдивлявся в неї, немов пригадуючи собі щось давно минуле, і врешті заплакав. Чому заплакав? Цього, напевне, й він сам не зміг би з'ясувати. Це був якийсь хвилинний, несвідомий психічний рефлекс, після якого його розум знову опинився в стані автоматизму.

Рано прокинулася Регіна, одначе надаремно вона просила Владка, щоб заснув, — він і не думав лягати. Так само не можна було впрохати його поспідати, коли вони приїхали до Перемишля. Ні просьби, ні сльози Регіни не подіяли; цих останніх Владко навіть не завважив. Із байдужим спокійним обличчям сидів він у залі очікування. Лише сигнальний дзвінок, що оповіщав про наближення львівського поїзда, подіяв на нього, немов електричний струм. Владко зірвався з місця й, не звертаючи уваги на різні пакунки, поспішно пішов до перону; і тільки черговий біля дверей затримав його, заявляючи, що це щойно перший дзвінок і що вагони ще не готові, а до посадки ще чверть години. Вислухавши це, Владко з попередньою байдужістю сів на стілець і просидів, не сказавши жодного слова, в буквальному остовпінні, аж до другого дзвінка. Тоді він кинувся до першого-ліпшого вагона, як солдат на штурм, так що Регіна ледве встигла за ним.

Із усе наростаючим побоюванням стежила Регіна за кожним його кроком, кожним рухом, словом, виразом обличчя. Серце її здригалося від однієї тільки думки, що важка хвороба Начка могла б позначитися й на організмі брата. І все ж тепер це вже було певним. Регіна чула в школі про таких близнюків, які хоча й живуть, як окремі індивіди, одначе з'єднані між собою невидимими узами, однаково почувають, люблять і ненавидять, спільно терплять муки й один без одного не можуть жити. Невже і Владко належить до таких організмів? Із усього, що Регіна досі знала про життя обох братів, з невблаганною логікою напрошувався висновок, що це саме так і було, — й Регіна вперше злякалася за здоров'я й життя Начка, від якого хтозна, чи не залежало здоров'я й життя її коханого Владка.

Але в такому разі що означав учорашній приступ, якого вазнав Владко так несподівано й з такою страшною силою? Невже це було відлуння якогось раптового випадку, що стався з Начком? Телеграма мовить, що Начко дуже хворий. Але ж телеграма прибула майже в ту часину, коли стався приступ, отже, вона повинна була писатися значно раніше, ще до полудня. Значить, Начко ще перед полуднем був, мабуть, дуже хворим, однак Владко тоді ж таки був у найкращому здоров'ї і в чудовому настрої! Тож невже Начко після полудня помер? Але ж Владкові після отримання телеграми зробилося трохи краще. А це значить, що коли їхні організми сполучає таємнича єдність, то й Начкові повинно було стати краще.

Так ото розмірковувала Регіна, гублячись у домислах і припущеннях і не спускаючи очей із Владка.

Дивна річ! У міру того як вони наближалися до Львова, обличчя Владка почало вияснюватись, оживати, очі наливалися лагідним блиском. Владко почав розмовляти з Регіною, спокійно, але не так холодно, як досі. Навіть посміхнувся кілька разів. Однак ні про Начка, ні про його хворобу не було й згадки.

Вони зупинились у Львові — і в ту хвилину, коли поїзд став на місці, Владко смертельно зблід, стиснув уста й кинувся до дверей. На його обличчі знову з'явився той вираз тривоги та якогось нестримного розгону, з яким він учора біг назустріч посланцеві з телеграмою. Регіна ледве стримувала його, щоб він не впав під колеса вагона; не випускаючи його руки зі своєї, вона з тривогою в серці ледве провела його крізь тісняву, що панувала на пероні, та всадовила в фіакр. Владко нічого не говорив і свої осклянілі, широко розкриті очі нерухомо затоплював у пусту просторінь та тільки час від часу дзвонив зубами, немовби в пропасниці.

— На Панську вулицю! — крикнула Регіна візникові. Слова ці вкололи Владка, мов голка: він підвів голову й зміненим глухим голосом промовив:

— Швидше! Швидше!

Ось вже й мета їхньої поїздки. Владко зірвався з сидіння, Регіна теж встала, бажаючи його супроводити.

— Залишись! — сказав їй коротко Владко, міряючи її тривожним поглядом.

— Владонько, дозволь мені йти з тобою!

— Залишися! — гнівно скрикнув Владко й, відвернувшись, увійшов у коридор кам'яниці. Регіна знову сіла, щоб діждатися його повернення.

А Владко, щодуху пробігши коридором і вибігши східцями на другий поверх, даліше пішов повільно, оглядаючись і прислухаючись. Кам'яниця була мало заселена. Увесь другий поверх від фасаду займав якийсь високий урядовець, кавалер, котрий жив лише з одним лакеєм та старою глухою кухаркою. Одне крило цього поверху займав Начко, а друге вже півтора місяця стояло порожнім. На першому, партерному поверсі було теж небагато мешканців, і все крило під Начковою квартирою теж стояло порожнім. Кам'яниця була обладнана по-панському; ні ремісників, ні робочого люду на квартиру тут не приймали; відмовляли навіть квартирантам, у яких були малі діти. Отож, і не дивно, що Владко йшов по галереї другого поверху, немов вздовж якоїсь катакомби: ніде ні голосу, ні обличчя людського.

Вікна Начкової квартири, що виходили на галерею, були завішені зеленими фіранками, двері замкнуті. Владко зупинився перед ними здивовано. Але за хвилину вираз здивування зник із його обличчя, даючи місце попередньому виразові сліпого напору вперед. Владко, нічого не думаючи, нічого не згадуючи, вийняв із кишені пальта в'язку ключів, між якими були й дублікати ключів від усіх кімнат їхньої, колись спільної квартири. Відімкнув одні й другі двері, ввійшов до кухні. Пусто. Відімкнув наступні двері, ввійшов до малого салону. Пусто. Все в порядку. Завагався: йти праворуч, до бібліотеки, чи ліворуч, до їхньої, недавно ще спільної спальні; але й це вагання було коротким, майже несвідомим. Повільно відімкнув двері і ввійшов.

— А! — стиха вимовив тоном не то здивування, не то якогось внутрішнього полегшення. Поблизу вікна, профілем звернений до нього, а боком об стіл обіпертий, сидів Начко на кріслі з поруччям. Ліва рука ліктем була обіперта об стіл, а права звисала вертикально донизу. Руки були конвульсійно стиснуті, але пістолет із правої випав і лежав на підлозі. Обличчя Начка було чорне, мов земля; на правій скроні виднівся невеличкий отвір, наповнений чорною застиглою кров'ю, суцільне пасмо якої тяглося вздовж обличчя, засохло на сурдуті й дійшло аж до підлоги, де утворило невелику темну калюжу. Хоча рот був міцно

стуленим, однак губи посиніли й сильно вже спухли. Трупний запах повільно починав заповнювати щільно замкнену кімнатку.

Владко хвилину стояв біля дверей, не спускаючи очей з брата, придивляючись до нього з величезною цікавістю. Потім він почав повільно навшпиньках наближатися до нього, немов боявся розбудити сплячого. Біля столу стояло друге крісло з поруччям — його крісло. Владко сів на ньому й, сідаючи, зиркнув на останній лист Начка, адресований до нього. Але не читав його. Впали йому в очі тільки написані жирними літерами слова з рядків Словацького і, мов цвях, застрягли в його голові.

— Коли Лель помре, — прошептав Владко в забутті і, звернувшись обличчям до брата, сів у тій самій, що й він, позі.

— Коли Лель помре... помре... помре... — шептав він щораз тихіше, щораз повільніше, вдивляючись у чорне, печаттю смерті позначене обличчя брата...

Досить довго чекала Регіна на повернення Владка, врешті, не змогла вже довше витримати. Незважаючи на прикре враження, яке справив на неї гострий тон останнього Владкового слова, вона встала й пішла до кам'яниці. З Владкових розповідей Регіна знала, де була їхня колись спільна квартира, отож, ішла й не потребувала нікого розпитувати. Дивна тиша в усій кам'яниці зустріла її непривільно, а перед входом до Начкової кухні навіть дріж пробіг по її спині. Ще більше вразила її могильна тиша, що панувала в тому приміщенні, де повинен був лежати хворий і куди недавно зайшов Владко. Страшне передчуття блиснуло їй у голові. Вона вбігла в спальню й нараз отовпіла, заламавши над головою руки. Один голосний різкий крик — і Регіна впала зомліла біля ніг Владкового трупа...

Її крику ніхто не почув. Щойно кучер, знетерпеливившись довгим очікуванням, зайшов у кімнату й, побачивши страшну подію, покликав людей з вулиці, які привели до пам'яті Регіну й відвезли її до Владкової квартири.

Братів поховано разом. Регіна стала спадкоємицею їхнього добра та ідей. У скромній глушині гірського села живе вона, віддана господарській праці й вихованню єдиного сина, який народився після смерті батька та який колись повинен наново підіймати й далі вести працю, розпочату його батьком і дядьком і так нежданно обірвану

на самому початку. Усе село знає цю струнку бліду й сумну постать, котра завжди ходить в жалобі й завжди готова допомогти хворому, змученому чи бідному. З її скромного дому плине добродійність, освіта на всю околицю. Тут є і мала школа, і народна читальня, аптека з найнеобхіднішими ліками для хворих; тут селянки одержують поради в справі рукоділля, дістають насіння городини й придивляються до удосконалених господарських знарядь; сюди й господарі часто приходять за порадою в громадських, а інколи і юридичних справах. Пані Регіна охоче сама порадить, у книжках пошукає або навіть і до містечка поїде, знайомих панів розпитається й селянську справу підтримає.

І її синок, вірний образ батька, єдина втіха, єдина любов її життя, той самий дух виссав із молоком матері, у тих самих зростає ідеях. Сільська стріха для нього — рідна, сільські діти — товариші його дитячих розваг, його першої науки, першої фізичної праці. На могилах сумного минулого виростає величезна й запашна квітка майбутнього. Нехай щастить тобі бог, запашний квіте! Нехай щастить бог твоїй тихій і благословенній праці, Регіно.

## ГЕРОЙ ПОНЕВОЛІ

Григорій Калинович служив у канцелярії Львівської урядової бухгалтерії ще з часів панщини. Двадцять років він підраховував державні прибутки, двадцять своїх найкращих років просидів над бухгалтерськими книгами в одній і тій же темній канцелярії, на одному й тому ж дерев'яному стільці, проживаючи день за днем регулярно й пунктуально, мовби добре накручений годинник, не мріючи про будь-які зміни й інше життя. Це тихе самотнє життя-буття змогли сколихнути до дна тільки події 1848 року. Щоправда, до політики Калинович не втручався, до газет не дописував, у вуличних збіговиськах, агітаціях та гармидерах участі не брав; під час усіх бурхливих сцен від березня аж до листопада він завжди сидів на своєму місці, в темній брудній канцелярії ратуші, й рахував-рахував, так нібито весь державний патримоніальний лад стояв, як і раніше, а не розлітався на шматки. Аж зненацька у день першого листопада бідний канцелярист, незважаючи на всі зусилля й напружену увагу, котрої вимагала його праця, помітив навколо себе якийсь незвичний рух. До криків, біганини, масових збіговиськ, гучних віватів і галасливих нарад у тому році він, правда, вже звик добре, але на цей раз, очевидячки, розпочиналося щось надзвичайне. Гучних вигуків не було, зате чулись короткі, сильним голосом проголошувані накази; ніхто безладно, без певної мети вже не бігав, тільки в напрямку зали засідань міського відділу й назад щохвилі пробігали то члени міської ради, то поліцейські, гвардійці, члени Ради народової. Нараз запанувала цілковита мертва тиша, як перед бурею. Калинович випустив перо з руки й підвів голову. Йому здалося, ніби він опинився в кам'яній замурованій

гробинці, й раптом відчув, як по його спині пробігає мороз.

— Що це може бути? — подумав і, повільно підвівшись зі свого крісла, попрямував до дверей, щоб довідатись у гвардійців, які пробігали коридором, що там чути на світі. Неждано задзеленчали вікна, здригнулися товсті мури будинку, й могутній гарматний залп струсонув повітрям. Снаряди загупали об брук і стіни ратуші.

— Боже, а це що таке? — закричав бідний канцелярист і, не оглядаючись, з непокритою головою, без калош і пальта вибіг із канцелярії, яку йому вже ніколи в житті не судилося більше побачити. В коридорі було порожньо, шум людських голосів і тупотіння кроків долітали до нього здалека, здається, звідкільсь із другого поверху. Калинович, якусь хвилючку прислухаючись, постояв біля дверей, а потім зненацька підстрибнув, неначе його щось укусило: над містом пролунав другий залп. Серце Калиновича шалено закалатало в грудях, і наляканий канцелярист, немовби сполоханий загнуданий кінь, помчав уздовж коридора до виходу. Біг він нестямно, наосліп, поки не наткнувся на юрбу жителів міста, євреїв і гвардійців, які заповнили браму ратуші.

— Виходити — заборонено! — гримнув на нього один із гвардійців.

— О боже мій, а що там таке? — ще більше лякаючись, зойкнув Калинович.

— Хіба ви не чуєте? Бомбардують місто!

— Бомбардують місто? Як це? За що — бомбардують? — запитав здивований канцелярист. — Якщо бомбардують місто, то значить, що бомбардують і мене? Вони ж стріляють снарядами, правда ж? І наосліп, правда ж? Ну, а снаряди можуть мене першого вбити?

Гомеричний сміх був відповіддю на той сумний висновок канцелярійного щура.

— Смійтеся! — відказав Калинович — Але ж це — очевидний факт. Тільки-но я вийду на ринок, а там мене — торох! — та й по мені! А за що? Що я кому зробив злого?

Знову залунав вибух сміху, на цей раз водночас із третім гучним гарматним залпом і новим градом снарядів.

Калинович не був героєм. Він не був навіть звичним сміливцем. Не добачав великої честі в перебуванні під дахом будинку, на який летять гарматні снаряди, серед людей, які майже всі були озброєні й очевидячки були більше



схильні до бунту й боротьби, ніж до покори й лояльності. Не відчував також у собі потягу до мучеництва за справу, якої він не розумів і яка його не обходила. Думав, що найкраще було б, якби оце зараз він сидів дома, у своєму тихому будиночку на вулиці Голубиній, під захистком цитаделі. Там напевне немає бунту, й туди, значить, не летять гарматні набої. Вибратись із ратуші — таким було тепер найбільше прагнення Калиновича, тим більше що на додаток до страху перед артилерійським обстрілом міста він боявся ще й іншого: ану ж хтось довідається, що в таку важливу годину він перебував серед бунтівників, і його позбавлять посади. Проте, що надворі літають кулі, кожна з яких може обірвати його життя й надії, канцелярист тепер не думав. Вибратися б тільки на вільний білий світ!

Але як звідси вибратися, коли всі виходи зайняла та проклята гвардія народова? Наче той Марко по пеклі, товкся бідний канцелярист по безконечних темних коридорах ратуші, бігаючи від одних дверей до інших, придивляючись, чи десь-таки не можна буде вибратися на волю.

— Випустіть мене, будьте ласкаві: вже ж не бомбардують! — благав Калинович біля одних дверей.

— Не можна! Ще не повернулася депутація! В будь-яку хвилину знову можуть розпочати!.. — почувлася відповідь.

В думках кленучи всі на світі революції, Калинович якимось мимохіть пішов до інших дверей. О, яка радість! Вихід був вільним! Мов камінь із пращі, вилетів Калинович із ратуші, щоб якнайшвидше бігти додому. Але це було не так-то й просто, як йому здавалося. Ринок заповнили багатотисячні, гамірливі й розтривожені юрби. На вулицях було чути крики, закляки, тріск поламаних меблів, розпачливий зойк фортеп'яно, викинутого із вікна другого поверху, плач і галас власників відібраних речей — одним словом, там клекотіло справжнє пекло голосів, звуків і швидких, майже гарячкових рухів: там будували барикади. Гвардійці, одягнені в мальовничі мундири, дрібні ремісники в полотняних куртках і хвартухах, із засуканими рукавами стояли шеренгами зі зброєю в руках. Поміж шеренгами й побіля не закінчених ще барикад носилися цілі рої вуличних пауперів, які щось вигукували, когось проклинали, співали пісень, збирали осколки гарматних снарядів або, зібравшись по кілька разом, виривали з бруку теробовельські плити.

Побачивши це, Калинович остовпів. Значить, дійсно-таки революція така сама, як і ті, про які в цьому році стільки писали газети у повідомленнях із Парижа, Берліна, Відня!..

Барикади у Львові! І він, найвірніший із підданих, який ніколи не думав ні про яку конституцію, замкнутий у цьому гнізді шершнів, залишений на ласку й неласку цієї революційної ватаги! Калинович відчував, що під ним підкошуються ноги, що в голові починає темніти. Але ж ні, цього не може бути! Треба поспішати, поки спокійно. Барикади ще не закінчено будувати. Може, змішатися з тими, що їх будують, вибратися на гребінь барикади й зістрибнути на той бік? Ця думка здалася канцеляристові надзвичайно щасливою, отож він чимдуж побіг до Краківської брами. З краківського боку барикада вже сягала до вікон другого поверху — стрибати з неї значило наражати себе на каліцтво чи смерть. Але вуличка в напрямку до єзуїтських мурів була вільна — і саме туди помчався Калинович. Та тільки-но він, з трудом пробираючись крізь юрбу, зайняту будуванням і зміцненням барикади, звернув від ринку в ту вуличку, зненацька з ратуші залунав гучний розпачливий крик і водночас із боку губерніяльної будівлі затріскотів залп карабінових пострілів. Вишикувані там солдати, не думаючи про різні умови й переговори, взяли собі на прицил гвардійців-спостерігачів, що стояли на галереї ратушної вежі, й почали їх одного за одним змітати звідти влучними пострілами. Увесь ринок закричав жахливим криком обурення.

— На барикаду! На барикаду!! Боронитися до останнього!!! — кричали юрби.— До зброї! До зброї!

Калинович, не знаючи що робити, закам'янів на місці. Карабінові залпи посипалися з боку Галицького й Мар'яцького майданів, з боку головної гауптвахти та ще й з Краківського майдану; увесь ринок разом з прилеглими до нього вулицями був оточений залізним кільцем цісарського війська. Про те, щоб вибратися з цього кільця, не могло бути й мови, тим більше що саме біля косяголу єзуїтів, на високій, але ще не добудованій барикаді вже розпочався гарячий бій. Тут, під захистом перин і матраців, стільців та одного фортеп'яно, стояло зо два десятки гвардійців та кілька літніх чоловіків у порваному вбранні, з вогнем запалу чи шалу в очах і з карабінами в руках.

— Бери його на прицил! Того, що скрадається попід мур!

— Бий каменем, бий!

— Обережно, бо стріляє!

— Єще Польска не згінела! — вистрілює з того пекельного шуму чистий дитячий голос досить добре одягненого хлопчини, який, весело посміхаючись, підбігає до тих, хто б'ється на барикаді, й подає їм свою кашкетину, повну карабінових куль, назбираних на вулиці.

— Бог тобі заплатить, колего, — говорить йому вусатий добродій, відсипаючи частину куль у свою торбу, а решту по жмені роздаючи товаришам. І хлопчина знову біжить із порожнім кашкетом і, так само весело посміхаючись, збирає кулі, як збирав би в лісі суниці.

Калинович, підштовхуваний припливаючими й відпливаючими хвилями людей, стояв серед цього хаосу, мов леживий, бачачи й чуючи, але не розуміючи, що навколо нього діється. Кілька разів тут же, поряд з ним, дзенькали кулі, однак він не звертав на те уваги. З вершини Високого замку знову загриміли гармати, на ратушу й театр посилилися снаряди, які небавом викликали велику пожежу, а він усе ще стояв на своєму місці, мов той верстовий стовп. Від ринку наперла на нього юрба, налякана картечю, якою Гаммерштайн старався «очистити» вулицю Галицьку. Калинович зупинився під муром, біля дверей якоїсь щільно зачиненої крамниці. Погляд його мимоволі затримався на барикаді біля єзуїтського костьолоу — і зненацька в його сірих, уже дещо притуплених канцелярською працею очах спалахнуло щось подібне до електричної іскри. Серед безлічі живих картин і постатей, що роїлися перед ним, одна група привернула до себе особливу увагу.

На гребені барикади, під самим костьолом, стояв високий чоловік у сорочці й жилеті, без шапки й сюртука. Грудьми й обличчям він притулювався до костьольного муру, ноги розставив широко, щоб мати добру опору на не міцній ще барикаді, лівою рукою тримався за карниз, а в правій — мав добрячий штуц зі зведеним курком. Вихилить півголови з-за рогу муру, вмить прицілиться й вистрілить і знову сховає голову за мур. Не сходячи з місця, опускає донизу праву руку з карабіном і віддає його скуленій постаті, що сидить біля його ніг. Що то за постать? Не видно її самої, видно тільки сукняну хустку, що покриває їй голову. Та ось з'явилася з-за хустки біла делікатна маленька ручка — далєбі, жіноча ручка! Взяла розряджений карабін і подала

стрільцеві інший, заряджений і вже підготовлений до пострілу; чоловік знову вихилив голову, прицілюється й стріляє, а скулена постать у сукняній хустці щось там поспішно маніпулює в своїй схованці під прикриттям балок, лав, подушок та різного манаття й старих речей, з яких збудовано барикаду.

Аж от після п'ятого чи шостого пострілу постать під хусткою підвелася трохи догори й крикнула так голосно, що аж Калинович зміг почути:

— Татку, кулі ще є, але пороху вже нема!

— Шкода! Вигідна позиція! — відказав їй чоловік так само гучно й залишив своє місце. Та що це? Голос його видався Калиновичу дуже вже знайомим! Чоловік обернувся обличчям до вулиці — боже мій! та ж це Закшицький, його найближчий товариш по канцелярії! Що він чудовий стрілець, про те Калинович знав віддавна, бо ж обидва вже п'ятнадцять років сиділи поруч в одному канцелярському приміщенні. Але Калинович не знав двох речей: що той чудовий стрілець з однаковою пристрасстю може стріляти в людей, особливо в австрійських солдатів, як стріляє в качок; і по-друге, що той старий похмурий дідусь із величезними сивими вусами та червоними шрамами на обличчі може мати молоду доньку. А що та донька молода, Калинович розпізнав по її стрункій постаті й насамперед по чистому срібному голосу, що викликав у його серці якесь дивне відлуння, — немовби старий канцелярський шур (сорока п'яти років — хіба ж це не поважний вік!) нараз скинув із себе двадцять літ і опинився серед зелених полів, сповнених квітами, ароматом та співом пташок, повен здоров'я, сили в тілі й надії в душі. Він стояв неначе заворожений тим голосом. Кулі могли собі свистати побіля його вух, могли зойкати поранені, могли несамовито вигукувати тимчасові переможці, могли тріщати обстрілювані картеччю барикади, гуркотіти звіддалеки барабани й бойові сигнали та гриміти понад містом гармати, заглушаючи шум подвійної пожежі. Поблизу Калиновича все це мовби не існувало. Його очі, вуха й душа були звернені до одного місця, до огорнутої димом пострілів групки — батька й доньки на барикаді.

— Капітане, нам треба пороху! — гукнув Закшицький до якогось ветерана з обвислими вусами й у високій конфедератці, який стояв з ящиками амуніції біля основи барикади.

— Бери, брате, й шмалти! — сказав капітан. — Протримаємось до вечора, то виграємо. Повстануть передмістя, відтиснемо війсьсько з міста, а тим часом і в провінції, дасть бог, підіймуться народи.

— Це ваша справа думати, що там буде далі, мое діло — шмалити, я вже маю п'ятьох, а дасть бог, то ще... О Єзусе!..

У що мить Закшицький, обернений боком до головної гауптвахти, а обличчям — до капітана, від якого одержав порох, захитавсь і, схопившись обома руками за бік, з голосним стогоном мов підкошений упав із барикади донизу, головою просто під ноги капітана. Куля пробила йому правий бік і застрягла в лівому, пройшовши крізь саме серце. Порох, принесений капітаном, залишився невикористаним.

— Мій батько!.. Батьку!.. — розлігся розпачливий крик дівчини, яка вмить підхопилась у своїй схованці, зістрибнула з барикади й присіла біля мертвого тіла. Але в ту ж хвилю гримнув страшений залп, барикада затріщала й, зруйнована, завалилась, привалюючи своїми уламками батька й доньку. Охоплені шаленою панікою, оборонці барикади розбіглися; загуркотіли барабани, на майдані перед єзуїтським костьолом промайнули високі солдатські шапки — бермиці, над якими їжачилися вістря багнетів, — але Калинович нічого цього теж не чув і не бачив.

«Та ж вона загине там під звалищем! — тільки це єдине подумав він. — Вони її розчавлять, а може, навіть витягнуть звідти й розстріляють!»

При цій думці в його жилах кров заледеніла. Якщо біля неї знайдуть кулі й карабін, то дівчину звичайно ж розстріляють. І Калинович, не роздумуючи й не тямлячи, що робить, кинувся до барикади. З надлюдською силою він взявся відкидати вбік шматки дощок, скринь, шаф та різне манаття, доки не відгріб дівчини. Вона лежала скривавлена й нерухома, може, навіть і мертва, на трупі батька. Калинович хотів її підвести, але задубілі дівочі руки конвульсійно стискали батькову шию. Він щосили шарпнув дівчину до себе й, завдавши дорогий тягар на плечі, почав щодуху втікати з ним, неначебто злодій із краденим скарбом. Солдати саме видиралися на барикаду, вони вже були за кілька кроків від нього, але, не сподіваючися зустрінути опір, не були підготовлені до стрільби. Дві-три секунди, поки передні солдати встигли підійняти карабіни й прицілитись в нього, врятували Калиновича. Мов

гнаний дикий кіт, стрибнув він за ріг будинку, де можна було бодай трохи захиститися від пострілів, і погнався вуличкою на ринок. Влетів у натовп, інстинктивно відчуваючи себе в ньому безпечніше.

— Браво, старий, браво! — озвалося кілька свідків його мимовільного геройства. — Ти вирвав її з самісінького пекла, вирятував від неминучої смерті!

Ці вигуки похвали трохи протверезили Калиновича. Боже, що він наробив! Адже ж оця дівчина, яку він тримав на руках, заради якої він ризикував життям, була злочинницею, боролася на барикадах, заслуговує на смерть. Що скажуть, коли довідаються, що він, найлояльніший із лояльних, найпокірніший із покірних вирвав її з рук справедливості? Звичайно, що сувора кара не обмине і його. І вся його хвилинна відвага, що народилася швидше від притуплення свідомості, ніж від почуття сили, щезла без сліду. Затремтіли коліна, в очах тьмяніло від однієї лише думки про те, що він накоїв та що його чекає, і він тремтячим, майже плачливим голосом почав благати:

— Боже мій! Змилосердіться наді мною! Допоможіть мені, панове, схвати цю бідну сироту! Вона тільки-но втратила батька! Якщо її знайдуть, то її й мене чекає смерть! Ради бога, змилосердіться!..

Але крик його пролунав без відгомону. Хто ж бо міг над ним змилосердитись, коли кожний тремтів за власну шкіру. Барикади впали, солдати штурмом вдирались на ринок. Навколо ратуші, що палала, мовби велетенська свічка, відігравалися сцени пекельної паніки й переляку. Все летіло, кричало, проклинали, ховалося не знати куди. Двері були позамикані, вікна позаслонювані, тут і там налякані юрби з останніх сил добивалися до замкнених брам, верещали й благали милосердя не відомо в кого. В цьому хаосі нещасний Калинович із скривавленою, все ще непритомною дівчиною на плечах скидався на образ безсилої тривоги й повної безпорадності.

— Ну, чого ти тут стоїш, старий дурню! — зненацька обізвався до нього чийсь гучний хрипкий голос. — Чекаєш, аж ті в бермицах прийдуть й нашіпгують вас, як зайців? Іди сюди, тільки швидше!

І якась тверда, сильна рука схопила його за плечі, напівобернула й різко попхнула до найближчої замкненої брами. Він хотів зупинитись, опам'ятатись, але та рука тримала його за комір і пхала до дверей. Калинович уда-

рився в них, двері — о диво! — відчинились, і він зі своїм тигарем опинивсь у темному коридорі якоїсь крамниці. І тут за ним клацнули залізні засуви, скреготнув замок, і майже в ту саму мить на розі ринку пролунав останній карабіновий залп — знак, що солдати цілком зламали опір і вступають на ринок. Хвилина спізнення — й Калинович та дівчина, без сумніву, були б загинули.

— Далі, далі! Нема чого тут стояти! — обізвався ззаду за ним той же гучний хриплий голос, але вже трохи лагідніше. — Вони можуть прийти сюди, можуть зажадати відчинити браму, можуть вас тут знайти. І так ще, слава богу, що ми вирвались...

І обидва щодуху побігли вздовж коридора на подвір'я.

— Стійте тут, у цій ніші, щоб вас з дівчиною ніхто не побачив, — промовив той же голос, — а я піду за ключами від підвалу. Я сховаю вас, не бійтеся: будете в безпеці.

І чоловік із хриплим голосом звільна, немовби від якоїсь праці, пішов собі на подвір'я, помахуючи мітлою, яку взяв у кутку. Був це сторож кам'яниці, котрий у страшну хвилину змилосярдився над Калиновичем і, вибравши слушний момент, вибіг і затягнув його в коридор. За хвилину він повернувся з ключем від підвалу за поясом.

— Ідіть за мною! — стиха промовив сторож. — А як там ваша дівчина — жива?

— Жива, я чую, як б'ється її серце; але вона зомліла і все ще не може прийти до пам'яті.

— Ну, дяка боготві, що жива, а ми її якось уже приведемо до притомності. Дайте її мені: я сильніший, отож, понесу... Тут круті сходи, будьте обережні, щоб не впали.

І, взявши все ще якось безживно обвислу й непорушну дівчину на одну руку, як беруть дитину, сторож пішов уперед, опираючись другою рукою об стінку. Вхід до підвалу був крутий і зовсім темний.

— Тримайтесь за мене, щоб не розгубилися, бо тут, між бочками, без світла можна заблудити, — сказав сторож.

Калинович узяв його за плече, і так вони йшли досить довго темним підземеллям, в якому тільки де-не-де, мовби сірі плямки, мигали малі заграбовані віконця.

— Ось ми й біля мети! — промовив сторож, зупиняючись у найдальшому і, як здавалося, найтемнішому закутку. — Тут ви будете в безпеці. Тільки прошу добре пригнутись і йти за мною.

І, зігнувшись мало не вдвоє, сторож увіз в якусь не то нору, не то нішу, вибиту в мурові. З боку підвалу ту нору закривало дно великої дубової бочки, що лежала на двох товстих балках. Ця бочка сама займала мало не весь відділок підвалу; тепер вона, правда, стояла тут порожня, заслоняючи собою одне з віконць. Від віконця, однак, в її величезному дні була вибита одна дошка вниз, а друга — вгорі, так, що саме з того боку, користуючись вище згаданою корою чи нішею, можна було дістатися в середину бочки, трохи тільки меншої, ніж невелика темна кімнатка. Саме до цієї схованки сторож завів Калиновича та врятовану ним дівчину.

— Тут, шановне товариство, ви можете бути безпечними хоч би й тиждень, поки все втихомириться, — сказав сторож, укладаючи дівчину в кутку бочки. — Я вам зараз принесу сюди подушок, води та ще там чогось, що знайдеться під рукою, аби привести до пам'яті дівчину, та й поїсти щось, може, знайду.

— Добродію, — трохи віддихавшись після стількох приголомшливих і надзвичайних потрясінь, заговорив тремтячим голосом Калинович й обома руками стиснув руку милосердного сторожа, — пане, сам господь-бог зіслав вас до мене в хвилину найстрашнішої небезпеки, в хвилину розпачу. Чим я віддячу за вашу доброту?

— Е, що там говорити, — сказав сторож. — Тепер такий час, що людина людині повинна допомагати. Адже ж я крізь віконце над брамою бачив і чув, як вас хвалили за те, що ви врятували цю дівчину з найстрашнішого вогню. І я подумав собі: а що, хіба я гірший, аніж ви?

І, промовивши ці слова, добросердий чоловік чимшвидше відійшов, залишаючи Калиновича сам-на-сам із дівчиною, яку він врятував. Крізь верхній отвір у дні бочки, що лишився на місці вибитої дошки, падали з підвального віконця слабкі відблиски сонячного світла. При цьому блідуватому блисківі Калинович уперше зміг трохи уважніше придивитися до дівчини, котра все ще лежала непорушна, бліда, з обличчям, оббризканим кров'ю батька, і, як здавалося Калиновичу, з невеликою ранкою на чолі, з якої краплинами сльозилася кров. Була це дівчина років, може, вісімнадцяти, з подовгуватим обличчям, високим опуклим чолом, великими вустами й трохи загостреним підборіддям. Судорожно затиснуті кулаки були складені на грудях, довгі чорні коси двома сплетами охоплювали її голову, покриту



товстою темною сукняною хусткою, кінці якої попід пахви були зав'язані вузлом на спині. Станик та спідничка з простого перкалю, вже досить-таки зношені, не мали нічого спільного з пануючою модою й, очевиднож, були власного крою; на ногах, трохи завеликих для її малої постаті, дівчина мала шнуровані черевики, літні й, теж уже, досить зношені. Все на цій постаті свідчило про незвичайно скромний спосіб життя, про незвичайно мізерні засоби, про щоденну безперервну працю, про не дуже добре харчування й не кращі гігієнічні умови.

Якби Калинович у звичайні часи зустрів таку постать на вулиці, він не звернув би на неї ніякої уваги, як і на тисячі подібних до неї, яких зустрічав щодня. Якби хтось сказав, що ця дівчина здатна до чогось іншого, крім шиття, прання й варіння, що в її душі можуть роїтись якісь вищі, ідеальні, ба, навіть патріотичні мрії, він висміяв би таку людину, як хворобливого романтика, він, чоловік, який хоч і скінчив німецьку школу й має вже 45 років, однак і досі не знав ще ніякого іншого патріотизму, крім канцелярської пунктуальності. І все-таки це був очевидний, безсумнівний факт — те, що ця сама збіджена мала особа безстрашно сиділа на барикаді під градом куль; що ці ж таки негарні спрацьовані руки так само вправно набивали карабін, як, може, ще сьогодні вранці вправно замітали підлогу й готували сніданок. Її голос, її слова, сказані на барикаді до батька, й досі виразно бриніли в душі Калиновича, розбуджували якесь таємниче солодке відлуння в найтаємніших закутках тієї самотно в'янучої душі.

Якась дивна задума опанувала його. Він одвернувся від лежачої дівчини й почав удивлятись в ясну шпару віконця, неначебто хотів за допомогою тієї невеликої ясної шпари дійти до цілковитого усвідомлення свого становища, детально з'ясувати собі всі пригоди сьогоднішнього дня. Навколо панувала глибока тиша; ринок, який ще недавно кипів життям і тисячами голосів, тепер, здавалося, зовсім завмер, тільки десь віддаліки дудніла мірна важка хода кінних патрулів, що проїжджали вулицями. Але, незважаючи на цю тишу, думки Калиновича плуталися, немовби-то якась невидима рука заплутувала їх навмисне. Раптом він почув позад себе шелест, обернувся й мало не скрикнув від подиву, радості й переляку. Дівчина сиділа й напівпритомно вдивлялася в нього своїми великими чорними очима.

Що то були за очі Калиновичеві здалося, що в цю хвилю дивиться на нього зовсім інше обличчя, ніж те, яке він бачив якусь часину тому. Ці очі надавали їй стільки виразу, стільки вогню й життя, що Калинович знітився й засоромився, сам не знаючи чому. Після довгої томливої мовчанки дівчина, нарешті, промовила дзвінким енергійним голосом:

— Де мій батько?

Калинович збентежився ще більше. Він в думці вже складав собі детальний план, як він делікатно й дипломатично підготує цю бідну сироту до жахливої звістки про те, що сталося з нею та з її батьком, однак це просте запитання розладнало його задум.

— Про... про... шу, пан... пан... ночко...— пробурмотів він і замовк.

— Де мій батько? — повторило дівча спокійно, не спускаючи з Калиновича своїх палаючих очей.— Скажіть мені відразу й щиро. Адже ж я знаю, що на барикаді куля влучила батькові в бік. Чи батько помер?

— Помер на місці.

— Це добре,— промовило дівча спокійно.— Це краще, бо він уже не потрапить до їхніх рук, вони не будуть його мучити. А де ж його мертве тіло?

— Залишилось під барикадою. Його не можна було врятувати.

— Чому? Хіба ту барикаду здобуто?

— Очевидно. Як тільки ви зістрибнули з неї до батька, то й барикада впала й привалила вас обох.

— А ви мене врятували, так? Спасибі вам, хоч, може, краще було б для мене, якби я разом із батьком загинула...

— Та що ви говорите, панночко! — вигукнув із справжнім острахом Калинович.— Нехай вас бог боронить! І господь-бог, очевидно, бажав вас мати в живих, бо оберігав у найбільших небезпеках. Перший раз, коли я вас видобув із-під руїн барикади й вирвав майже з-під носа штурмуючих солдатів; і вдруге, коли я стояв з вами на ринку, серед криків, тривоги й паніки, і тільки милосердне серце сторожа цієї кам'яниці врятувало нас обох від неминучого розстрілу військом, що наближалося.

— Ви хоробро поводитися!— промовила дівчина, міряючи поглядом худу, трохи зсутулену постать Калиновича.— Але хто ви такий, власне, і що вас змусило наражати своє життя заради порятунку незнайомої дівчини?

— Може, й не зовсім уже такої й незнайомої, — сказав, трохи бентежачись, Калинович. — Правда, вас самої я не мав приємності знати й навіть дивуюсь, як це так могло статись. Адже ж я з вашим батьком п'ятнадцять років працював ув одній канцелярії.

— Справді? А як ви називаєтесь?

— Калинович.

— Ага, я знаю, знаю! Батько не раз оповідав мені про вас, хвалив вашу чесність, але проклинав вашу покірність. «Добра людина, тільки така чорно-жовта, що аж бридко». Не гнівайтесь, але я кажу, що правда. І саме тому батько ніколи перед вами не звирявся, як він любив Польщу, народ, волю! Він і мене цього навчав! Щасливий батько! Він помер за те, що так гаряче любив! Боже мій, а я?.. Що буде зі мною? — й, охопивши голову руками, дівчина залилася слізьми, почала схлипувати.

Цей раптовий вибух доньчиного й патріотичного почуття схвилював Калиновича ще більше, як попередні слова. Він став перед заплаканою дівчиною навколішки, намагався втішити її, повторюючи різні фрази про свободу й любов до батьківщини, які він неодноразово чув протягом цього року й які дотепер завжди відскакували від його душі, як горох від стіни.

— Мовчіть! — несподівано крикнуло дівча. — Що ви говорите про речі, яких не розумієте й не відчуваєте! Дайте мені можливість виплакаться!

До краю спантеличений і засоромлений Калинович присів у темному прикутку бочки і тільки збоку позиркував на цю дивну дівчину, кожне слово, кожний рух та кожний погляд якої до живого хвилювали всю його душу.

Прийшов сторож і щиро зрадів, що панночка опритомніла. Він приніс коновку з водою, на дні якої стояла пляшка вина. Дівчині обмили рану, що виявилася зовсім легкою; вино підкріпило й дівчину, й Калиновича. За якусь часину сторож приніс у круглій бляшанці бульйон та два шматки м'яса. І поки незвичайні гості їли, сторож, присівши поряд з ними, розповідав, що діється на світі. Нехай бог боронить, що там за страхіття! Всім заборонено показуватись на вулиці. Військові фургони з усіх барикад звозять трупи до моргу. Може статися, що Гамерштайн схоче зробити трус в усіх домах, шукати зброю й повстанців, що поховались. На всякий випадок, шановні, в цій бочці ви можете бути безпечні, при жодному обшуку вас тут не зна-

йдуть, але їй виходити звідси вам зовсім не можна доти, аж поки втихомириться. Ратуша, театр й університет все ще горять; солдати стоять навколо пожежі й нікому не дозволяють рятувати.

— Ну, то вже й до нашої квартири нема чого вертатися, — сумовито промовила дівчина. — Коли ми сьогодні вранці виходили з нашого помешкання на піддашші театрального будинку, то батько сказав мені: «Ганю, щось мені здається, що я останній раз бачу ці стіни!» Й він мав рацію. Бідний батько!

І вона знову залилася рясними сльозами.

... Коротким був роман літнього канцеляриста й бідної, уже бездомної сироти. Коли все заспокоїлось, обоє, сердечно подякувавши милосердому сторожеві, залишили свою схованку. Калинович запропонував Гані замешкати в нього чи, власне кажучи, в тієї господині, в якій він наймав одну затишну й чисту кімнатку в малому одноповерховому будиночку на Голубиній вулиці. Ганя пристала на цю пропозицію, бо, залишившись без батька, родичів і знайомих, не знала, куди йти в такий бурхливий час. Калинович став їй другим батьком, а за кілька місяців і чоловіком.

# КОМЕНТАРИ



До сімнадцятого тому Зібрання творів у п'ятдесяти томах І. Франка ввійшли прозові твори письменника українською і польською мовами 1887—1888 рр.— повість «Lelum i Polelum» та оповідання «Bohater swiego wojni», «Яндруси», «Панталаха». У «Додатках» вміщено переклади з польської мови повісті «Лель і Полель» та оповідання «Герой поневолі», здійснені І. В. Глиньським. Польський текст підготувала до друку О. О. Лисенко.

## LELUM I POLELUM

Повість «Lelum i Polelum» польською мовою друкується вперше.

В архіві І. Франка зберігається неповний автограф твору (відділ рукописів Інституту літератури ім. Т. Г. Шевченка АН УРСР, ф. 3, № 351, арк. 1—215<sup>1</sup>). Із десяти розділів повісті в автографі повністю збереглося сім. З другого розділу залишилася лише одна сторінка, в дев'ятому не вистачає двох сторінок, а в десятому — однієї.

Крім того, в архіві є копія, виготовлена дружиною письменника О. Франко (№ 389, арк. 1—355), що має повний текст четвертого — десятого розділів. З інших — збереглися лише дві сторінки першого та три з половиною сторінки другого розділів.

У копії І. Франко своєю рукою виправив усі описки та правописні помилки, зробив близько тридцяти текстуальних уточнень і стилістичних правок.

Оскільки автограф повісті «Lelum i Polelum» та його копія мають лише окремі невеликі розбіжності, а правки в копії можна вважати останньою волею письменника, текст повісті в томі подається: перший — третій розділи — за автографом, четвертий — десятий: за копією. З другого розділу друкується лише одна сторінка за автографом.

Повість «Lelum i Polelum» має складну історію (див.: М. В о з н я к. З історії «Леля і Полеля». — В кн.: З життя і творчості Івана Франка. К., 1955, с. 164—168; Г. В е р в е с. Повість Івана Франка «Lelum i Polelum». — В зб.: Міжслов'янські літературні взаємини, вид. 3. К., 1963, с. 108—134).

<sup>1</sup> Далі зазначатиметься лише номер автографа і кількість аркушів.

На початку 1887 р. редакція газети «Kurjer Warszawski» оголосила літературний конкурс на оригінальну суспільну повість (терміном подання творів на конкурс було визначено спочатку 30 вересня, а потім — кінець грудня 1887 р.). Дізнавшись про конкурс, І. Франко розпочав роботу над повістю. З листів Целіни Журовської до Франка від 13 і 25 вересня (№ 1602, арк. 219—220, 223—224) випливає, що вже на той час повість була готова або близька до завершення. 20 листопада 1887 р. І. Франко писав М. Драгоманову, маючи на увазі «Lelum i Polelum»: «Роман, на котрий я числю, ... вже готов і швидко буде переписаний начисто. Штука вийшла доволі обширна (арк[ушів], може, з 12 або й більше) і, смію думати, цікава (сцени з львівського життя газетярського, розправа судова, сцени з тюрми, сцени з життя уличних дітей, з бомбардування Львова в р. 1848 і т. д.). Хоча б надія на премію показалася й ілюзією, то все-таки я маю вже майже запевнену можливість надрукувати роман рівночасно в одному варшавському тижневику і в «Kurjer'i Lwowski», що в усякім разі повинно принести кілька сот рублів доходу».

Плани Івана Франка залишилися нездійсненими. 28 квітня 1888 р. відбулося засідання конкурсної комісії. Повість премії не дістала і взагалі не побачила світу в жодному з тодішніх польських періодичних видань.

Письменник зробив спробу надрукувати повість українською мовою і звернувся до редакції журналу «Зоря». Але й тут вона не була прийнята з огляду на її ідейно-естетичне спрямування, про що свідчить лист редактора «Зорі» О. Борковського до Франка (№ 1602, с. 927—929).

У своїй відповіді Франко писав О. Борковському 20 грудня 1888 р.: «Зайшло тут між вами невеличке непорозуміння. Я предложив Вам свій роман з тим запитанням, чи надрукуєте його в «Зорі» з такими перемінами проти польського тексту, які я вважаю буду за потрібні. Замість прямої відповіді на се питання Ви пропонуєте мені план якогось іншого, Вашого роману, котрий, очевидно, найліпше буде Вам самим і написати. До мого роману ані до моїх поглядів артистичних план сей не підходить. Та й о що тут річ розходиться? Я ж друкую роман з своїм підписом, значить, за план, композицію і деталі я сам відповідаю, а не Ви. Ваше діло як редактора осудити, чи роман підходить під програму «Зорі», чи ні. Оце б Ви й сказали прямо, а не виставляли себе на смішність, будши кравцем, та вчити шевця, як має чоботи шити.

А за Ваш суд, висказаний — не сумніваюсь о тім — вповні щиро і, як кажете, без найменшої претензії, позвольте мені віддячити Вам радою, висказаною так само безпретенційально і щиро. Те, чого не знаєте, не видали й не чували, ніколи згори не вважайте неправдивим і неможливим. Завсігди ліпше виходити з того погляду, що не тільки світу, що в Вашому вікні».

Після невдалих спроб надрукувати повість Франко опублікував її окремі частини як самостійні оповідання.

Так виникли оповідання «Jeden dzień z życia uliczników Lwowskich», що текстואльно відповідає першому розділу повісті (друкувалося в газ. «Kurjer Lwowski», № 205—207, 209 від 26. VII—28. VII, 30. VII 1889 р.; в журн. «Ateneum», 1889, т. 1, с. 303—316, у збірці «Obrazki galicyjskie». Lwów, 1897, с. 63—84); «Bohater mimo woli», що становить початок другого розділу (календар на 1890 рік «Lwo-

wianka dla wszystkich», Lwów, 1889, с. 37—45); «Суваксы», в основу якого покладено третій розділ, («Tydzień», щотижневий додаток до газ. «Kurjer Lwowski», № 2—5 від 8.1, 15.1, 22.1, 29.1 1894 р.).

Крім того, перший розділ повісті, перероблений і перекладений українською мовою, автор вмістив під назвою «Яндруси» в збірці оповідань: «На лоні природи і інші оповідання», Львів, 1905, с. 34—55.

Матеріал другого розділу прислужився до написання нового оповідання українською мовою з тією ж назвою, що й польське, — «Герой поневоли», надрукованого в «Літературно-науковому віснику» за 1904 р., т. XXV, кн. 1-2, с. 13—39, 105—120 (друкується в т. 21 цього видання).

На основі зіставлень встановлено, що оповідання польською мовою «Jeden dzień z życia ułiczników lwowskich» та «Суваксы» не мають істотних розбіжностей з першим і третім розділами повісті і через це вони не друкуються в томі. У першому зроблено декілька стилістичних правок, у другому — ще й скорочень (вилучено суперечку з ключником біля входу до камери, згадку про цю суперечку у розмові братів з дідом Семком, сценку вечірнього обходу ключника).

Оповідання «Bohater mimo woli», як зазначалось вище, становить початок другого розділу повісті. З цього розділу збереглася лише одна сторінка в автографі та три з половиною сторінки — у копії.

Як показує зіставлення відповідного місця оповідання з сторінкою автографа розділу, І. Франко ще доопрацьовував цей текст. Сторінки з копії є закінченням другого розділу. Текст цих сторінок подається нижче.

«Ciche, szczęśliwe dni popłynęły teraz w domku na Gołębiej. Obawy Kalinowicza o utratę posady po spółnięciu starej buchalterii w ratuszu nie ziszczyły się, przeciwnie, wskutek jakiejś niewiadomej protekcji on dostał posadę przy urzędzie podatkowym ze znacznie podwyższoną pensją. Przy młodej żonie odżył stary mół kancelaryjny, odmłodniał i jaśniej na świat patrzeć począł. Codzienne rozmowy z Hanią rozbudzały w jego duszy nowe, nieznane dotychczas uczucia, rozwijały nawet jego rozum, gdyż pomimo swych 45 lat i ukończonych szkół „niemieckich” biedny człowiek w swym życiu żadnej prawie książki nie przeczytał, żadną „polityką” się nie interesował, jako rzeczą niebezpieczną i zakazaną. Obecnie dopiero otwierały mu się oczy, zaczynał widzieć i rozumieć mnóstwo takich rzeczy, na które natykał się w swym życiu, nie widząc i nie rozumiejąc ich wcale.

Szczęście jego doszło do zenitu, gdy Hania w rok po ślubie powiła mu bliźniaki, na chrzcie nazwane imionami św. Władysława i Ignacego. Uczucie ojcowstwa po tak długich latach samotnego i w ciasnych ramach zamkniętego bytu było dlań tym, czym jest źródło świeżej wody pątnikowi w spieklej pustyni. Pieścił i miłował swe pisklęta, napawał się ich widokiem, ich głosem, łowił ich pierwsze dzieciinne uśmiechy, a każdy najmniejszy przejaw wzrostu, budzącej się świadomości i siły napełniał go nieopisaną dumą.

Lecz szczęście właśnie jest tak piękne, miłe, drogie, że je w lot chwycić potrzeba, że trwa zazwyczaj krótko. Pewnego jesiennego dnia posłano Kalinowicza na jakąś komisję podatkową do pobliskiej wsi Sroki. Wóz ugrzązł w błocie, deszcz przemoczył biedaka do nitki. ogrzać się nie było gdzie; późno po północy wrócił ledwie żywy do swego cichego zakątka na Gołębiej, położył się do łóżka, a za dwa



tygodnie z tego samego łóżka przeniesiono go na katafalk ustawiony na środku pokoju.

Młoda wdowa pozostała sama, z dwojgiem drobnych dzieci bez środków do życia, bez krewnych i przyjaciół. Lecz nie opuściła rąk. Z urzędu przeznaczono jej do śmierci pół pensji nieboszczyka, a tego wobec panującej drożyzny nawet na wyżycie nie starczyło. Ale bądź co bądź i to coś znaczyło; resztę musiała zapełnić różnorodną pracą. Szyła, prała bieliznę, zaczęła się uczyć akuszerii od znajomej starej akuszerki, i ograniczywszy swe potrzeby do możliwych granic, miała tę radość, że mogła nie tylko uszcziwie wyżyć i chłopców hodować, ale i odkładać bodaj cokolwiek na ich wychowanie. I rzeczywiście, gdy skończyli czwarty rok życia, oddała ich do szkoły. Sama urywała co dnia bodaj godzinę czasu, by dopilnować ich nauki, nie dziw więc, że chłopcy uczyli się dobrze i zaraz w pierwszym roku stanęli między pierwszymi w klasie uczniami. Co to była za radość dla matki, gdy po ukończonym roku szkolnym z dorocznego egzaminu obaj przynieśli po ładnej książce, otrzymanej w nagrodę pilności, i zaczęli opowiadać matce, jak nauczyciele wahali się, któremu z nich dać miejsce przed drugim, gdyż obaj jednakowo dobrze się uczyli.

Szedł rok za rokiem. Chłopcy kończyli już trzecią klasę ludowej, t. zw. niemieckiej szkoły, gdy pewnego dnia matka ich powróciła skądś przed czasem do domu, nadzwyczaj biała i milcząca, chwilę posiedziała koło nich, przysłuchując się ich nauce, z cicha zapłakała, westchnęła głęboko i położyła się do łóżka. Chłopcy z początku nie zwrócili na to żadnej uwagi, kończyli zadane lekcje. Dopiero gdy matka we śnie zaczęła się rzucać i jęczeć boleśnie, przelękli się nadzwyczaj i pobiegli do pobliskiej grajzterki Wojciechowej, dobrej znajomej ich matki, która w tym zakątku uchodziła za znakomitą lekarzkę. Wojciechowa przyszła, ogłędnęła chorą, poszeptowała coś koło niej, a dalej wysłała chłopców do swego pomieszkania na noc, mówiąc im, by się nie bali niczego, bo mamie nic nie będzie. Minał jednak dzień, i drugi, trzeci, a matka nie tylko nie wstawała z pościeli, jak zapewniała Wojciechowa, ale przeciwnie, stan jej coraz bardziej się pogarszał. Uczciwej Wojciechowej trafiło się w tym wypadku to, co się w innych wypadkach nie raz trafi i nierównie od niej znakomitym lekarzom: leczyła Kalinowiczową na „uroki”, a tymczasem pokazało się, że Kalinowiczowa zapadła na tyfus płamisty. W tych kilku dniach, pod wpływem niefortunnych leków Wojciechowej choroba zrobiła takie postępy, że przywołany czwartego dnia lekarz mógł tylko skonstatować, że jego nauka nic się tu nie przyda i że dla chorej nie ma żadnej nadziei.

Chora leżała nieprzytomna, i zdawało się, że nie słyszała lekarzkiego orzeczenia. Mimo to wkrótce po odejściu lekarza ocknęła się i poprosiła Wojciechową przywołać chłopców.

— Nie dajcie im zbliżyć się do mnie — mówiła. — To słabość żarząca. Niech staną tu, oddzieleni ode mnie stołem. Chcę jeszcze raz spojrzeć na nich.

I dwie grube łzy spłynęły po jej policzkach, pałających gorączkowym rumieńcem.

Przyszli chłopcy i przestraszyli się widoku matki, zaczęli głośno płakać. Lecz Kalinowiczowa długi czas cicho, spokojnie patrzyła na nich, wreszcie rzekła dawnym, energicznym głosem:

— No, czego płaczecie? Przecieżeście, Bogu dzięki, chłopcy! Znajdziecie sobie sposób do życia. Tylko się uczyć, szkoły nie opuszczaj-

ciel i pamiętajcie mi, wszędzie i zawsze trzymajcie się razem! Bóg was razem na świat powołał, Bóg wam też szczęście będzie, dopóki się razem trzymać będziecie. Rozumiecie mnie? Dopókiście w kupce, nikt wam nie złego nie zrobi, a rozdzielenie to wasza zguba. Pamiętajcie to sobie i bądźcie zdrowi! No, możecie iść.

Chłopcy odeszli do szkoły. Po powrocie ze szkoły powiedziano im, że matka już nie żyje.

Teraz dopiero zaczęły się ciężkie czasy dla braci. Wojciechowa, która podczas pogrzebu ich matki grała rolę nadzwyczaj liतोściwej osoby, wzięła chłopców do siebie, lecz wkrótce pożałowała tego kroku. Jakiś czas bracia, pomni na upomnienie matczyne, chodzili do szkoły, lecz wkrótce Wojciechowa zaczęła używać ich do posług domowych, co ich zmuszało coraz bardziej zaniebyszać i opuszczać szkołę. Wreszcie Wojciechowa całkiem odebrała ich ze szkoły, usprawiedliwając krok ten wobec sąsiadów tym, że przecież na księży edukować ich nie będzie, a najlepiej będzie od nowego roku oddać ich do rzemiosła. Lecz minął nowy rok, a liतोściwa osoba zupełnie zapomniała o swym przyrzeczeniu, chociaż nie zapomniała jako opiekunka sierot o miesiącę zgłaszać się do kasy po przypadającą dla nich pensję. Jako opiekunka zabrała ona również całą pozostałość Kalinowiczów, zносиła suknie ich matki, przerobiła na swego męża suknie ich ojca, a chłopców pod pozorem hartowania zaczęła systematycznie przyuczać do głodu i chłodu. To ich siłą konieczności wypędzało na ulicę, przyuczało do tego rzemiosła, w którym wkrótce zasłynęli jako mistrze i które też zaprowadziło ich w tak młodym wieku przed kratki sądowe.

Nie dziw więc, że Wojciechowa tak głośnymi złorzeczeniami zegnana ich odchodzących w tę okropną drogę, że tak uparcie wyrzekała na "złodziejską gwiazdę", pod którą się malcy urodzili. Tym krzykiem i tym wyrzekaniem chciała snąć zagłuszyć głos własnego sumienia, które w tej chwili stawiało jej przed oczy obraz umierającej matki tych chłopaków i szeptało jej wyraźnie, że nie kto inny, ale właśnie ona, liतोściwa osoba, Wojciechowa była tą fatalną gwiazdą, która popchnęła te nieszczęsne dzieci na drogę występku<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> «Тихі щасливі дні поплинули тепер у будиночку на Голубиній вулиці. Побоювання Калиновича, що втратить посаду після того, як згоріла стара бухгалтерія в ратуші, не справдилась; навпаки, внаслідок якоїсь невідомої протекції він отримав посаду в податковій установі й значно вищу заробітну платню. При молодій дружині віджив літній канцелярський сірома, відмолодів і почав ясніше дивитися на світ. Щоденні розмови з Ганею розбуджували в його душі не знані досі почуття, розвивали навіть його розум, бо хоча цей бідний чоловік і мав уже сорок п'ять років і скінчив «німецькі» школи, та на протязі всього свого життя він, здається, не прочитав жодної книжки, жодною «політикою» не цікавивсь як річчю небезпечною й забороненою. Щойно тепер відкривались йому очі, він починав добачати й розуміти безліч таких речей, на які хоча й натікався в своєму житті, але яких зовсім не помічав і не розумів.

Щастя його дійшло до zenіту, коли Ганя за рік після шлюбу сповила йому близнята, яких під час хрещення назвали іменами святих Владислава і Ігнатія. Почуття батьківства після таких довгих років самотнього, в тісних рамках замкнутого життя-буття було

для нього тим, чим буває для мандрівника в спаленій пустині джегело свіжої води. Він пестив і голубив своїх маленяток, любувався ними та їхніми голосами, ловив їхні перші дитячі посмішки, а кожний, навіть найменший прояв їхнього росту, пробуджування їхньої свідомості й сили наповнював його гордістю, яку й описати не можна.

Але щастя саме тому таке прекрасне, любе й дороге, що його потрібно вчасно ловити, що воно, як звично, триває коротко. Якогось дня Калиновича відрядили на чергову податкову інспекцію в недалеке село Сорочки. Віз застряг у болоті, дощ промочив бідолаху до нитки, зігрітися не було де; аж за опівніч ледве живий Калинович повернувся до свого тихого закутка на Голубиній вулиці, ліг на ліжко, а два тижні пізніше з того ж самого ліжка його перенесли на катафалк, поставлений на середині кімнати.

Молода вдова залишилася сама, з двома малими дітьми на руках, без засобів до життя, без родичів і друзів. Та вона не опустила рук. Урядом їй призначено пожиттєву пенсію — половину платні її чоловіка, а цього, зважаючи на дорожнечу, не вистачало навіть на прожиття. Але все-таки це теж щось значило; решту вдова змушена була здобувати безупинною й різноманітною працею. Вона шила, прала білизну, у знайомій старій акушерки почала вчитись акушерства й, докраю обмеживши свої потреби, мала ту радість, що могла не тільки чесно прожити й підготовувати хлопців, але й дещо відкладати на їхнє виховання. І дійсно, коли сини скінчили четвертий рік життя, вона віддала їх до школи. Щодня уривала якусь годину свого часу, аби допильнувати за їхнім навчанням, отож і не дивно, що хлопці вчилися добре і вже в першому році стали в ряд кращих учнів класу. І що то була за радість для матері, коли після закінчення шкільного року, склавши річний екзамен, обидва сини принесли кожний по гарній книжці, отриманій в нагороду за пильність у навчанні, й почали розповідати мамі, як учителі вагалися, котрому з них дати перше місце, бо ж обидва, бач, однаково добре вчилися.

Минав рік за роком. Хлопці вже скінчили третій клас народної, так званої німецької школи, коли якогось дня їхня мати звідкільяє повернулася додому передчасно надзвичайно бліда й мовчазна, хвилянку посиділа біля них, прислухаючись, як вони готують уроки, стиха заплакала, зітхнула глибоко й лягла в ліжко. Хлопці спочатку не звернули на те ніякої уваги, підготували уроки. Й лише тоді, коли мати уві сні почала кидатися й стогнати з болю, вони дуже валякалися й побігли до доброї знайомої їхньої матері, дрібної крамарки-грайзлерки Войцехової, яка жила поблизу і вважалася на тому кутку за знамениту лікарку. Войцехова прийшла, оглянула хвору, щось пошептала над нею, а потім відіслала хлопців до свого помешкання на ніч, кажучи їм, щоб вони нічого не боялися, бо їхній мамі нічого не буде. Минув, однак, день, другий і третій, а мати не тільки не вставала з постелі, як заповіяла Войцехова, а навпаки, її стан погіршувався все більше й більше. Добросердій Войцеховій у цьому випадку прилучилося те, що в інших випадках не раз лучається й більш знаменитим, як вона, лікарям: вона лікувала Калиновичеву від «уроки», а тим часом виявилось, що Калиновичева захворіла на плямистий тиф. Протягом кількох днів під впливом нещасливих ліків Войцехової хвороба посилювалась так, що лікар, якого викликали на четвертий день, міг тільки констатувати те, що його

наука тут уже ні на що не придасться і що для хворої нема вже ніякої надії.

Хвора лежала непритомна й, здавалося, не чула лікарського висловку. Все ж, як тільки лікар вийшов, вона прийшла до пам'яті й поспрохала Войцехову покликати хлопців.

— Не дозволяйте їм наблизитися до мене, — промовила вона. — Це заразна хвороба. Нехай стануть тут, відділені від мене столом. Я хочу ще раз подивитися на них.

І дві важкі сльозини скотилися по її щоках, що палали гарячковим рум'янцем.

Хлопці прийшли й, перелякані виглядом матері, почали голосно плакати. А Калиновичева довго тихо й спокійно дивилася на них і врешті заговорила по-давньому енергійним голосом:

— Ну, чого плачете? Ви ж такі, слава богу, хлопці. Знайдете собі засоби на життя. Тільки вчіться, не кидайте школи! І запам'ятайте мені, всюди і завжди тримайтеся разом! Бог вас разом покликав на світ, бог вам і щаститиме доти, поки ви будете триматися разом! Розумієте мене? Доки ви вкупі, ніхто вам не зробить нічого злого, а роз'єднається, то загинете. Запам'ятайте це й будьте здорові! Ну... можете йти...

І хлопці пішли до школи. А коли повернулися додому, їм сказали, що мати вже померла.

Щойно тепер для братів почалися тяжкі часи. Войцехова, яка під час похорону їхньої матері грала роль надзвичайно милосердої особи, взяла близнюків до себе, але незабаром пожалкувала, що зробила такий крок. Якийсь час брати, пам'ятаючи материнський наказ, ходили до школи, та згодом Войцехова почала використовувати їх на домашніх роботах так, що це їх щораз більше змушувало занедбувати навчання й пропускати уроки. Нарешті Войцехова й зовсім забрала їх із школи, виправдовуючись перед сусідами тим, що, мовляв, вона ж не збирається вивчати їх на попів і що краще буде після Нового року віддати їх кудись учитися ремесла. Але проминув уже й рік, а милосерда особа зовсім забула про свою обіцянку, хоча не забула щомісяця заходити в касу та як опікунка сиріт одержувати там належну їм пенсію. Як опікунка вона забрала також усю спадщину Калиновичів, зносила сукні їхньої матері, перешила на свого чоловіка вбрання їхнього батька, а хлопців, нібито бажаючи загартувати, почала систематично привчати до голоду й холоду. Це їх, в силу конечних потреб, вигнало на вулицю й привчило до того ремесла, в якому вони незабаром прославились як майстри свого фаху та яке їх у такому молодому віці привело за тюремні ґрати.

Не дивно, отож, що Войцехова такими гучними прокльонами прощалася із ними, коли вони впрямували по тій страшній дорозі, і що так уперто нарікала на «зłodійську зірку», під якою, бач, народилися хлопчики. Тим криком і тим наріканням вона, мабуть, бажала заглушити голос власного сумління, яке в ту хвилину відновлювало перед її очима картину смерті матері цих хлоп'ят і виразно нашіптувало їй, що не хто інший, але саме вона, милосерда особа Войцехова, була тією фатальною зіркою, яка похнула цих нещасних дітей на шлях злочину (польськ.). — Ред.

Драгоманов Михайло Петрович (1841—1895) — український публіцист, учений і громадський діяч буржуазно-демократичного, потім ліберально-буржуазного напрямку.

Борковський Олександр (1841—1921) — український літератор ліберально-буржуазних поглядів, редагував «Зоря» протягом 1888—1890 рр.

«Зоря» — літературно-науковий журнал ліберально-буржуазного напрямку, виходив у Львові в 1880—1897 рр.

«Kurjer Warszawski» — польська ліберально-буржуазна газета, виходила у Варшаві протягом 1821—1939 рр.

«Kurjer Lwowski» (1883—1926) — щоденна польська ліберально-буржуазна газета. Коли її співробітником був І. Франко (1887—1897 рр.), підтримувала польський і український демократичний рух. Газета мала щотижневий додаток «Tydzień».

«Атеїст» — літературно-критичний щомісячний журнал ліберально-буржуазного напрямку. Виходив у Варшаві у 1876—1901 рр.

Журавська Целіна — львівська знайома І. Я. Франка.

Франко Ольга Федорівна (1864—1941) — дружина письменника.

## ВОНАТЕР МИМО ВОЛІ

Вперше надруковано в календарі на 1890 р. «Lwowianka dla wszystkich», Lwow, 1889, с. 37—45.

Подається за першодруком.

Оповідання походить з другого розділу повісті І. Франка «Lelum i Polelum». З відповідної частини розділу в автографі збереглася лише одна сторінка, текст якої надруковано в корпусі повісті.

## ЯНДРУСИ

Вперше надруковано у збірці «На лоні природи і інші оповідання», Львів, 1905, с. 34—55.

Подається за першодруком.

Оповідання є авторським перекладом першого розділу повісті «Lelum i Polelum». Рівніше цей розділ в оригіналі автор оформив як окреме оповідання і друкував під назвою «Jeden dzień z życia ułiczników lwowskich» (див. примітку до повісті в цьому томі). Істотних змін порівняно з повістю в текст оповідання польською мовою І. Франко не вніс: зняв дату — 1859 р., що пояснюється вилученням оповідання з хронології подій повісті, зробив кілька незначних стилістичних правок та додав чотири посилання.

Готуючи український переклад до збірки «На лоні природи і інші оповідання», І. Франко дещо переробив свій текст і дав оповіданню нову назву. Він не змінив ні фабули, ні сюжету твору, залишив тих самих дійових осіб, але загальний обсяг оповідання збільшився. Це відбулося за рахунок ретельнішої розробки діалогів, розширення окремих ситуацій (наприклад, сцена спілкування братів на кукурудзяному полі), описів природи, місця дії тощо. Крім того, І. Франко вніс суттєві зміни в мову героїв.

## ПАНТАЛАХА

Вперше надруковано польською мовою в газ. «Kurjer Lwowski», № 25—29, 31—33, 36, 38—42 в січні—лютому 1888 р. Пізніше оповідання ввійшло до збірки «Obrazki galicyjskie» (Biblioteka «Mrówki», № 287—289), Львів, 1897, с. 85—159.

Українською мовою оповідання вперше було надруковане у виданні «Панталаха і інші оповідання», Львів, 1902, с. 1—105.

Цей авторський переклад на українську мову має незначні відмінності проти польського першодруку, про які сам автор писав у передмові (друкується у 34-му томі цього видання) до збірки «Панталаха і інші оповідання»: «По-польськи був написаний первісно й «Панталаха» і надрукований у фейлетонах «Kurjer'a Lwowskiego», а відси 1897 р. передрукований у книжечці «Obrazki galicyjskie». Оба ті польські видання подали мій текст не зовсім повно; крім дрібніших пропусків, зроблених редактором «Kurjer'a Lwowskiego» з естетичних мотивів, там було пропущено також кінець розділу VI (побут Прокопа в кухні)—з яких мотивів, злого я не міг зрозуміти. Сей пропуск лишав невиясненою досить важну обставину: відки у Прокопа взялося гусяче перо, не зовсім звичайний гість у тюремній казні».

Розповівши далі історію написання оповідання «В тюремнім шпиталі», І. Франко «Передмову» закінчив так:

«Епізоди тюремного життя, оповідані тут, певно в значній мірі належать уже до історії: се остатні сліди старих, доконституційних відносин, а фігури такі, як Панталаха, дід Гарасим та герої «Хлопської комісії», також витвори старого, панщизняного ладу. Я передав ті епізоди, не мудруючи та не вдаючися в ніяке філософствування про їх значення. Нехай їх фактична основа говорить сама за себе.

Жорстокі часи та обставини плодили жорстоких людей. Та наскільки всі ті жорстокості тепер уже *tempri passati*<sup>1</sup>, сумна та страшна казка, а не дійсність? Сього я не беруся рішати, та події останніх днів, бунт в'язнів у Бригідках і те, що про його причини дійшло до прилюдної відомості, свідчить, що давнє лихо не зовсім іще минуло. І не минеться без основної реформи самого розуміння того, чим є злочин із соціологічного та психологічного погляду і чим повинна бути кара. Сучасна наука загарливо працює над сею реформою, та поки наука копає свої глибокі міня, стара рутинна господарює собі по-давньому, толчучи людські душі та гасячи остатні іскри чоловіцтва там, де в інтересі суспільності й людяності було б піддержати їх та роздути в ясне полум'я» («Панталаха і інші оповідання», Львів, 1902, с. V—VI).

Подається за українським першодруком.

<sup>1</sup> Минулі часи (лат.). — Ред.

## ДОДАТКИ

### ЛЕЛЬ І ПОЛЕЛЬ

Вперше надруковано українською мовою у видавництві «Рух» (Іван Франко. Твори, т. ХХХ, кн. 2, 1929. 312 с.). Реконструкція і переклад повісті зроблені М. Возняком. Оскільки М. Возняк мав у своєму розпорядженні лише копію автографа, переписану О. Франко, він перший і третій розділи відтворив відповідно за оповіданнями «Jeden dzień z życia właścników lwowskich» та «Ciwaksy», а другий за оповіданням «Bohater mimo woli», додавши до нього ті сторінки копії, які залишилися.

У шостому томі двадцятитомного видання творів письменника подано дещо інший варіант. Перший розділ повісті було замінено оповіданням українською мовою «Яндруси», решта розділів — це вищезгаданий переклад М. Возняка з непослідовною правкою за автографом.

Отже, обидві публікації повісті українською мовою не можна вважати досконалими: першу — через механічну заміну розділів оповіданнями, другу, до того ж, через порушення стилістичної єдності твору, неприпустимим об'єднанням мови автора і перекладача.

Все це зумовило необхідність нового перекладу, який зроблено у повній відповідності з польським текстом, поданим у корпусі тому.

**Р а д а н а р о д о в а** — реакційна організація, заснована у Галичині після придушення революції 1848 р. для захисту інтересів польської шляхти.

«46» — 1846 рік — рік антифеодального селянського повстання проти польських і австрійських поневолювачів.

**Ю з е ф и н с ь к і і н в е н т а р і** — майнові податкові книги за часів кріпацчини у Галичині. В них записувалися панські і селянські ґрунти та майно, визначалися розміри панщини.

### ГЕРОЙ ПОНЕВОЛІ

Оповідання «Bohater mimo woli» як переклад окремого твору друкується вперше.

## ПОЯСНЕННЯ СЛІВ

Алярмува́ти — полошити, три-  
вожити

Берлячі — вовняне чи хутряне  
зрмове взуття, яке під час  
сильних морозів одягають по-  
верх звичайного взуття

Бєрмиця — висока хутряна шапка

Бібу́ла — обгортковий або про-  
мокальний папір

Білиця — тут: білка

Бра́нжа — відділ, військовий  
підрозділ, компанія

Ві́трих — відмичка

Відмі́нча́ — за народним по-  
вір'ям: виродок, чортеня

Візиті́рка — віконце в дверях  
тюремної камери

Ві́ктуа́ли — харчі

Га́льба — півлітровий кухоль

Га́нделес — лахмітник, скуп-  
щик старих речей

Гзі́ме — карниз

Гни́п — тупий ніж

Го́ф — подвір'я

Гу́нцвот — собачий син, шельма

Держа́вець — володар, тут: по-  
міщик

Драб — голодранець, ледащо,  
злодій

Ексконтува́ти — враховувати

Замельдува́тися — заявитися  
Зафундува́ти — почастивати

Індемніза́ція — відшкодування

Ка́зня — тюремна камера

Канта́рик — вуздечка

Керті́ця — кріт

Кобі́льниці — дерев'яні козли

Ко́нар — гілляка

Конверса́ція — розмова

Кра́ти — грати

Креперува́ти — бідувати, страж-  
дати

Ку́фер — скриня

Лібе́рія — ліврея

Лобу́з — свавільник

Лю́фа — цівка рушниці

На прэ́зентгір — на караул

Па́ка — ящик

Попла́чувати — давати добрий  
заробіток

Пришрі́бований — пригвинчений

П'ясту́к — кулак

Ра́дний — тут: член сільського  
управління

Ре́гал — стелаж

Реквізи́ція — домагання, вимога

Рє́тязь — залізний засув

Рі́скаль — заступ



Секатюра — урізування в пра-  
вах, переслідування  
Слохова — схил  
Стєктися — сказитися  
Субєрніція — неспокій, сварка  
Сутєрєн — підвал

Тарлятана — прозора вовняна  
тканина  
Тєрмінатор — учень ремісника  
Торністра — ранець

Фаєрбєнд, фаєрєнт — кінець ро-  
боти  
Фірєр — австрійський військо-  
вий підстаршина  
Фрай — воля

Цувак — новоприбулий в'язень  
Цюпка — комірчина

Юха, собака юха — кров, тут  
вжито як лайка

Шальга — скаженість, шалєн-  
ство

Шанталєвєць — обідранець  
Шапокляк — давній твердий  
високий чоловічий капелюх,  
якого можна було складати

Шпіц — вільне місце в кінці га-  
зетної сторінки

Штанд — становнице, наявна  
кількість

Шульок — качан кукурудзи

## СПИСОК ІЛЮСТРАЦІЙ

1. Іван Франко. Фото 1886 р. . . . . 4—5
2. Перша сторінка автографа повісті І. Франка «Lelut і Ro-  
lelut» . . . . . 192—193
3. Перша сторінка оповідання «Яндруси» у збірці «На лоні  
природи і інші оповідання» (Львів, 1905) . . . . . 192—193
4. Титульна сторінка збірки «На лоні природи і інші опо-  
відання» (1905) . . . . . 224—225
5. Початок повісті «Панталаха» у збірці «Панталаха і інші  
оповідання» (Львів, 1902) . . . . . 224—225

## ЗМІСТ

### ПОВІСТІ ТА ОПОВІДАННЯ

Lelum i Polelum <i>Powieść współczesna</i> . . . . .	7
Bohater mimo woli . . . . .	198
Яндруси . . . . .	212
Панталах . . . . .	227

### ДОДАТКИ

Лель і Полель <i>Сучасний роман</i> . . . . .	283
Герой поневолі . . . . .	474
КОМЕНТАРІ . . . . .	489
Пояснення слів . . . . .	501
Список ілюстрацій . . . . .	502

Академия наук  
Украинской ССР  
Институт литературы  
им. Т. Г. Шевченко

**ИВАН  
ФРАНКО**  
Собрание сочинений  
в пятидесяти томах  
Художественные  
произведения  
Томы 1—25  
*Том 17*  
Повести и рассказы  
(1887—1888)  
(На украинском языке)

*Друкується за постановою  
Президії АН УРСР*

Редактор  
*В. Я. Пипченко*  
Художній редактор  
*С. П. Квітка*  
Оформлення художника  
*О. Г. Комякова*  
Технічний редактор  
*М. А. Притикіна*  
Коректори *Я. М. Зубко,*  
*Е. О. Кривша, Ю. І. Бойко*

Информ. бланк № 1651

Здано до набору 26.09.78. Підп. до друку  
05.07.79. Формат 84×108<sup>1/2</sup>. Папір друк. №1.  
Літ. гарн. Вис. друк. Фіз. друк. арк. 15,75+  
+3 вкл. Ум.-друк. арк. 26,78. Обл.-вид. арк.  
28,16. Тираж 46 000. Зам. № 8-405. Ціна  
3 крб. 20 коп.

Видавництво «Наукова думка»  
Київ, Рєпінна, 3

Книжкова фабрика ім. М. В. Фрунзе  
Республіканського виробничого об'єднання  
«Поліграфкнига» Держкомвидаву УРСР,  
Харків, Донець-Захаржевська, 6/8.